



Agnieszka Janiszewska

Szepty i tajemnice

TOM 2

NOVAE RES

Agnieszka Janiszewska

Szepty i tajemnice

TOM II



NOVAE RES

Spis treści

[Rozdział 65](#)

[Rozdział 66](#)

[Rozdział 67](#)

[Rozdział 68](#)

[Rozdział 69](#)

[Rozdział 70](#)

[Rozdział 71](#)

[Rozdział 72](#)

[Rozdział 73](#)

[Rozdział 74](#)

[Rozdział 75](#)

[Rozdział 76](#)

[Rozdział 77](#)

[Rozdział 78](#)

[Rozdział 79](#)

[Rozdział 80](#)

[Rozdział 81](#)

[Rozdział 82](#)

[Rozdział 83](#)

[Rozdział 84](#)

[Rozdział 85](#)

[Rozdział 86](#)

[Rozdział 87](#)

[Rozdział 88](#)

[Rozdział 89](#)

[Rozdział 90](#)

[Rozdział 91](#)

[Rozdział 92](#)

[Rozdział 93](#)

[Rozdział 94](#)

[Rozdział 95](#)

[Rozdział 96](#)

[Rozdział 97](#)

[Rozdział 98](#)

[Rozdział 99](#)

[Rozdział 100](#)

[Rozdział 101](#)

[Rozdział 102](#)

[Rozdział 103](#)

[Rozdział 104](#)

[Rozdział 105](#)

[Rozdział 106](#)

[Rozdział 107](#)

[Rozdział 108](#)

[Rozdział 109](#)

[Rozdział 110](#)

[Rozdział 111](#)

[Rozdział 112](#)

[Rozdział 113](#)

[Rozdział 114](#)

[Rozdział 115](#)

[Rozdział 116](#)

[Rozdział 117](#)

[Rozdział 118](#)

[Rozdział 119](#)

[Rozdział 120](#)

[Rozdział 121](#)

[Rozdział 122](#)

[Rozdział 123](#)

[Rozdział 124](#)

[Rozdział 125](#)

[Rozdział 126](#)

[Rozdział 127](#)

[Rozdział 128](#)

[Rozdział 129](#)

[Rozdział 130](#)

[Rozdział 131](#)

[Rozdział 132](#)

[Rozdział 133](#)

[Rozdział 134](#)

[Rozdział 135](#)

Rozdział 65

- No, nareszcie dałaś się wyciągnąć z tej twojej jamy - powiedziała z westchnieniem Pola Durand, opadając na kawiarniane krzeselko. - Oczywiście wojna zrobiła swoje, ale zobacz, Alice, jakie miasto jest teraz ożywione. Mieliśmy wreszcie prawdziwe Boże Narodzenie, a nadal tyle światełek i lampionów na ulicach. I tylu ludzi. Paryż huczy życiem jak przed wojną, a nawet bardziej. W dodatku tylu żołnierzy kręci się jeszcze po ulicach. Mówcie, co chcecie, dziewczyny, ale mundury mają swój urok. Alice, siedzisz na okrągło w domu i nawet nie wiesz, że Solange poznała pewnego przystojnego Jankesa.

- No wiesz. - Solange skrzywiła się. - Mówisz tak bez pardonu. A poza tym Alice to nic a nic nie obchodzi.

- Nie szkodzi. - Pola wzruszyła ramionami, wyciągnęła z torebki papierosa i go zapaliła. - Uważam za ogromny sukces, że udało nam się wyciągnąć Alę do miasta. Wprawdzie, jak to mówią, kropla draży skałę, ale w przypadku Alice ta metoda mogłaby poskutkować dopiero za kilkadziesiąt lat. A tak, wpadłyśmy i przemocą wyciągnęłyśmy ją na zewnątrz. Dziewczyno, ten twój dom przyśni mi się w nocy jak najgorszy koszmar o duchach! Muszę wlać w siebie morze alkoholu, aby o tym zapomnieć. Siedziałaś tam sama jak w grobie. A przed wojną było to takie przyjemne miejsce. Najwyborniejsze zabawy odbywały się właśnie u ciebie.

Ala odpowiedziała coś niewyraźnie, gdyż nadal czuła się nieswojo. Odkąd Nicole razem z Sylwią wyjechały do Awinionu, siedziała w domu w całkowitej samotności i dobrze jej z tym było. Niczego innego nie oczekiwała, zwłaszcza odkąd wreszcie nawiązała kontakt listowny z rodziną i dowiedziała się, że wszyscy przeżyli. Dowiedziała się też o Janku, ale nie do końca jeszcze do niej dotarło, co go spotkało. Chciała to sobie przemyśleć, zastanowić się, co dalej, tym bardziej że Basia i Marta usilnie

namawiały ją na przyjazd. Tymczasem tego wieczoru wpadły do niej jak huragan dwie bliskie znajome sprzed wojny i nie zdołała się od nich odpędzić. Od listopada, odkąd obie wróciły do Paryża, nie dawały jej spokoju, namawiając na wspólne wyjście „jak za dawnych lat”. Zawsze się jakoś wykręciła, dziś jej się nie udało. W końcu uznała, że ustąpi, to może później na jakiś czas odpuszczają. Nie czuła się pewnie w kawiarni pełnej roześmianych ludzi. Nie wiedziała, jak ma się zachować, ona, dla której niegdyś takie wyjścia były chlebem powszednim. Wtedy była jednak młodą, beztroską, nieliczącą się z nikim i niczym dziewczyną. Teraz...

- Zima zapowiada się wspaniale - paplała dalej Pola. - Pełno Jankesów, mundurów. Paryż aż kipi. Wojna skończyła się prawie dwa miesiące temu i trzeba się cieszyć. Odnowimy nasze przyjaźnie i pocujemy się nie tylko jak przed wojną, ale nawet jak dziesięć lat wcześniej.

- Myślę, że tego nie uda się już zrobić - mruknęła Solange, wyjmując za przykładem Poli papierosa z torebki. - Już nigdy nie będzie tak jak wtedy. Tamten świat, nasz piękny, beztroski świat już nie powróci.

- Do diabła, Solange, nie mów, jakbyś była staruszką - oburzyła się Pola. - Oczywiście, że tamto już nie wróci. Nowe czasy będą jednak weselsze. Już mamy więcej swobody i wolności jako kobiety.

- Z czego to niby wnosisz?

- Choćby z tego, że zrzuciliśmy gorsety, te niepraktyczne długie kiecki, ścięliśmy włosy... - odparła prowokacyjnie Pola. - Lecz nie tylko o to chodzi, i ty dobrze o tym wiesz.

- Akurat my trzy i inne nasze przyjaciółki nie przejmowałyśmy się i wówczas konwenansami.

- I srodze za to obrywałyśmy. Wszyscy wokół bez przerwy nas obgadywali, miałyśmy reputację kobiet upadłych. Mówcie, co chcecie, ale teraz to się zmienia. Stare, zmurszałe poglądy runęły wraz ze starym porządkiem. To, co powiem, zabrzmi strasznie, zwłaszcza dla Ali, lecz wojna przyniosła nam wolność. My miałyśmy odwagę żyć tak i wtedy, ale nasze siostry dawały się pokornie traktować jak niepełnoletnie dzieci, i to przez całe życie. Bez urazy, Alice, nie miałam na myśli twojej tragedii.

- Nie gniewam się - odparła Ala spokojnie, choć serce jej się ścisnęło. - Wiem i rozumiem, co masz na myśli. Ja jednak myślę tak jak Solange. Tamten świat, nawet z jego ciasnymi regułami, był dla mnie zrozumiały. To

była nasza kultura. Teraz jest chaos, w którym się gubię. Tamte zasady obowiązywały od zawsze. Teraz nie wiemy, co dalej.

- Ja wiem - odparowała Pola. - Tobie rzeczywiście dobrze się wtedy wiodło. Byłaś doceniana jako artystka, a potem wyszłaś szczęśliwie za mąż. Solange też nie mogła narzekać ani na brak męskiego towarzystwa, ani na problemy finansowe. Ja ze wszystkim miałam pod górkę. Staralam się tworzyć i pisać, ale niewiele z tego miałam. Tyle, by nie zdechnąć z głodu. Czasami też otrzymywałam propozycje *liaison* w zamian za wydrukowanie jakiegoś opowiadania. Myślę, że teraz będzie lepiej.

- Zginęły miliony młodych mężczyzn. Jak może być lepiej? - spytała Ala drżącym głosem. - Będą miliony samotnych kobiet, o wiele więcej niż przed wojną.

Zapadła cisza. Szczęśliwie do ich stolika podszedł kelner i zapytał, co zamawiają. Tak jak dawniej policzyły pieniądze i zamówiły trzy kawy oraz butelkę wina.

- Polecam paniom potrawkę z kurczaka - zaproponował kelner, puszczając do nich szelmowsko oko. Dawniej byłoby to nie do pomyslenia. - Zapewniam, że jest wyśmienita i pobudza... apetyt

- Niech będzie - odpowiedziała ze śmiechem Pola. Potem nagle spoważniała i zwróciła się do Ali: - Nie powinnaś przesiadywać sama w domu - rzekła z powagą. - Naprawdę nie żartuję. I zapalaj tam światła, już nie trzeba tak oszczędzać. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego Nicole wyjechała teraz z Paryża. Nie powinna cię zostawiać samej.

- Mieszkałyśmy razem przez całą wojnę - odparła Ala. - Zresztą nie brałyśmy ze sobą ślubu, aby razem spędzać życie.

- Brawo - roześmiała się Pola. - Widzę, że zachowałeś rezon, a twój język jest tak samo cięty jak kiedyś. Mimo to na miejscu Nicole nie wyjeżdżałabym teraz z Paryża. Wściekłabym się z nudów na prowincji. No, ale ja i Nicole zawsze stanowiłyśmy dwa przeciwległe bieguny.

- Nicole nie była w swoim domu ponad cztery lata - wyjaśniła Ala. - Ma tam daleką rodzinę... - „To tak naprawdę rodzina Waltera” - przemknęło jej przez myśl, ale nie miała ochoty teraz tego wyjaśniać. - A poza tym - kontynuowała - powinna załatwić pewne formalności związane z tym domem. Być może go sprzeda i przeniesie się do Paryża. Chce jednak mieszkać tu osobno, wynajmując jakieś mieszkanie, a musi zdobyć na to środki.

Jesteśmy sobie bliskie, ale nie będziemy dłużej prowadzić wspólnego gospodarstwa.

- Bardzo słusznie. - Solange skinęła głową z aprobatą. - Macie prawo do osobnego życia, zwłaszcza ty. I tak cię podziwiałam, gdy dowiedziałam się, że dzieliłaś z nią dom przez cztery lata. Nicole jest raczej trudnym towarzystwem, a w dodatku teraz... ma dziecko.

- Zapominasz, że to moja szwagierka - odparła zimno Ala. - Zapominasz też, że już dziesięć lat temu dzieliłyśmy dom. Dzięki temu zresztą miałam możliwość poznać Waltera.

- Wybacz - szepnęła zdenerwowana Solange. - Rzeczywiście, nie pomyślałam.

- Poza tym - kontynuowała już spokojniej Ala - Nicole bardzo mi pomogła. Bez jej wsparcia i opieki nie przeżyłabym po śmierci męża.

Nie podjęła tematu dotyczącego dziecka Nicole, choć wiedziała, że obie jej koleżanki aż skręcało z ciekawości, aby czegoś się w tej sprawie dowiedzieć. Teraz, przestraszone jej zdecydowanym tonem, nie śmiały o to pytać. Ala stopniowo uspokajała się i nawet poczuła wyrzuty sumienia, że zanadto się uniosła. Ostatecznie lubiła obie siedzące tu z nią kobiety. Miały dobre intencje, chciały wyrwać ją z domu i rozweselić. Dawno temu, jeszcze zanim wyjechała do Zaborowa na ślub Barbary i Olafa, Solange i Pola niemal codziennie jej towarzyszyły. Były wtedy wszystkie trzy takie młode, tak uroczo lekkomyślne i samolubne.

Ala pojednawczo ujęła ich dłonie, a one z ulgą odpowiedziały tym samym.

- Niewiele nas zostało - szepnęła ze smutkiem Solange. - Większość chłopców z naszego kółka towarzyskiego zginęła. René wprawdzie wrócił, ale do niczego się nie nadaje. Dominique boi się zostawiać go samego w domu, jakby był małym dzieckiem.

- Byłam u nich - potwierdziła Ala. - Na szczęście mnie poznał, a więc nie ma uszkodzenia mózgu. Nie był zresztą ranny, ale to wszystko nie musi wynikać z odniesionej rany. Rozmawiał ze mną o śmierci. Mówił, że wszędzie ją widzi i słyszy. Nie zwraca prawie zupełnie uwagi na dzieci.

- Był niegdyś duszą naszego towarzystwa.

- Następnym razem spróbujemy ich zaprosić - zawyrokowała Pola. - Powiedz, Alice, czy miałas wreszcie jakieś wieści od rodziny.

- Tak - odparła Ala, zadowolona ze zmiany tematu. - Wszyscy żyją, chociaż mój brat Janek niemal otarł się o śmierć. Stracił oko... - Jej głos na chwilę się załamał. Nadal nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

- Także Marta przez długi czas chorowała, więc wszystko było na głowie Basi. Lecz ona potrafi wziąć się w garść, jeśli musi. Tak została wychowana. Zresztą kobiety w Polsce często z powodu wojen, powstań i różnych innych nieszczęść musiały radzić sobie same. Zawsze były bardziej samodzielne niż tutejsze.

- Tam też dużo się teraz dzieje - zauważyła Pola. - Coś czytałam.

- Z chaosu powstaje państwo - odparła Ala i lekko się uśmiechnęła na wspomnienie listu bratowej.

Czy potrafisz to sobie wyobrazić, Alu? Własne państwo, własne symbole, polskie wojsko, polscy policjanci, polska poczta. Na razie chaos, niepewny rząd, niepewne granice. Lecz to nic wobec takiej radości. Czekano na to tyle pokoleń, nasze doczekano się...

- Wypijmy zatem za nowe życie, za twój rodzinny kraj, za to, że nareszcie teraz nawet kobiety mają prawo się upić - zawyrokowała wesoło Pola. - Sprawdzimy, jak silne mamy głowy po latach posuchy.

- Ja nigdy nie miałam mocnej - westchnęła Ala. - Obawiam się, że teraz będę musiała uważać bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Drzwi kawiarni otworzyły się i weszło dwóch rozbawionych żołnierzy amerykańskich. Solange zerknęła na nich, lecz nie dostrzegła wśród nich swojego Jankesa, więc ponownie zwróciła się ku koleżankom.

- Spójrz, Alice, to autentyczni mężczyźni - mruknęła Pola. - O cholera, idą do nas.

Rzeczywiście, nie tylko podeszli, ale w dodatku przystawili sobie krzeselka do ich stolika. Nie pytali o pozwolenie, widocznie szkoda im było czasu, a może ani razu nie spotkali się z odmową. Pozdrowili je po angielsku.

- Też coś - Solange, przynajmniej pozornie, była oburzona. - Powinni mówić do nas po francusku. Nie wierzę, by nie uczyli się go w szkole. Ostatecznie jesteśmy we Francji, a nie w Ameryce.

- No proszę! - Pola uśmiechnęła się drwiąco. - W jaki sposób zatem

rozmawiasz z tym swoim?

- On trochę mówi po francusku - odparła wyniosłe Solange.

- Ach tak? Powiedz raczej, że niewiele rozmawiacie. Znacie inne sposoby porozumiewania się i kontaktowania. No, nie obrażaj się. Nikt się już nie gorszy. Mówiłam, że czasy się zmieniły - powiedziała Pola i nie zwracając już uwagi na oburzoną Solange, zwróciła się do Ali:

- Nie ma rady, Alice. Musisz tłumaczyć. Wiem, że znasz angielski. Spotykałaś się kiedyś z amerykańskim chłopakiem i rozmawiałaś z nim w jego języku.

- To było wieki temu - broniła się Ala. - Nie wiem, czy coś jeszcze pamiętam.

- Na pewno więcej niż ja. Potrafię się tylko przedstawić.

- Więc się przedstaw - mruknęła Ala.

Nie chciała jednak robić przykrości Poli, Solange, i nawet tym amerykańskim chłopcom. Wyglądali sympatycznie, byli żołnierzami, jak Walter. Amerykanie pomogli Koalicji wygrać wojnę i ginęli tak daleko od swojego kraju. Sięgnęła zatem do pokładów pamięci i podjęła się tłumaczenia. Nie było to trudne, bo rozmowa dotyczyła spraw banalnych. Nie ulegało zresztą wątpliwości, że nie tylko o rozmowę chodziło. Żołnierze pytali, czy są z kimś związane, czy mają rodziny. Sami na ten temat odpowiadali wymijająco. Ala, orientując się, dokąd to wszystko zmierza, nie angażowała się w rozmowę i wzięła na siebie jedynie rolę tłumacza. Czuła się jednak coraz bardziej niepewnie i zaczęła zastanawiać się, jak by tu opuścić towarzystwo w miarę grzecznie i dyskretnie.

W pewnym momencie jeden z żołnierzy zaproponował im drinka, tak to ujął, Pola i Solange skorzystały z zaproszenia i podeszły z tym chłopakiem do baru. Ala i drugi żołnierz zostali przy stoliku sami.

Już się miała pożegnać i wstać, ale nie zdążyła.

- Mam na imię George - odezwał się.

- Wiem - odparła. - Przedstawiał się pan.

- Tak, ale myślałam, że nie zwróciłaś na to uwagi, że w ogóle nie uczestniczysz w naszej rozmowie.

Ala, zaskoczona jego bezpośredniością i bezceremonialnością, milczała.

- Pochodzę z Południa, ze stanu Georgia - mówił dalej, niezrażony jej milczeniem. - Nie wiem, czy coś ci to mówi.

- Tak - odparła, zanim zdążyła to przemyśleć. - Znałam kiedyś kogoś ze stanu Georgia.

Spojrzał na nią uważnie.

- Mężczyzna? - spytał. - Twój? Zabili go na wojnie?

- Nie wiem, czy brał udział w wojnie - odpowiedziała w zamyśleniu. - Nic już o nim nie wiem. To stare dzieje.

- Powiedz mi jego nazwisko. Może go znam.

- Nie - odparła. - To już nieistotne.

- To dobrze - odparł, po czym przysunął się bliżej i niespodziewanie położył dłoń na jej dłoni. Nie zdążyła w porę zareagować, zauważyła jednak spojrzenie kelnera. Nie o kelnera jej jednak chodziło.

- Nie zrozumiałeś mnie - rzekła cicho do George'a. - Na wojnie zginął mój mąż, a on akurat był francuskim żołnierzem.

- Przykro mi - odparł, lecz nie cofnął dłoni. - I jesteś teraz sama?

- Nie mam dzieci, jeśli o to ci chodzi - wyjaśniła, próbując wysunąć dłoń z jego, już silnego, uścisku. Daremnie. - Powinnam już iść do domu - dodała, usiłując zachować spokój. - Musimy się pożegnać.

- Odprowadzę cię - zaproponował.

- Nie ma takiej potrzeby. Poradzę sobie sama.

- Wszystko będzie dobrze, nie bój się mnie - odparł i uśmiechnął się do niej, ale jego wzrok nie pozostawiał wątpliwości, o co mu chodzi.

Znała już takie spojrzenia, chociaż ten chłopak był najmłodszy z tych, którzy kiedykolwiek tak na nią patrzyli. Pomyślała, że prawdopodobnie zaciągnięcie się do wojska było dla niego formą ucieczki przed surową dyscypliną w rodzicielskim domu. Teraz zaś, po zakończeniu wojny, chciał jeszcze zażyć wszelkich przyjemności życia przed powrotem do kraju. Dobrze, że w ogóle przeżył.

- Słuchaj, George, to bardzo miło z twojej strony, ale nie interesuje mnie teraz towarzystwo - mówiła łagodnie.

- Na pewno ci źle samej w domu - mówił, jakby wcale nie przejął się jej odmową. - Nic złego nie zrobimy. Przecież twój mąż już nie żyje.

- Żyje - odparła cicho i wskazała na serce. - Tutaj żyje.

Wtedy ujął też i tę rękę, którą położyła na moment na piersi. Cofnęła się instynktownie razem z krzesłem.

- Możesz go nadal kochać - odparł George. - To w niczym nie

przeszkadza. Potem przekonasz się, że ze mną jest ci dobrze. Pójdziemy teraz do twojego domu, a potem zabiorę cię do Ameryki.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - prawie krzyknęła ze zdumienia. Miała też nadzieję, że zwróci na siebie uwagę przyjaciółek, ale one w dalszym ciągu stały z tym drugim żołnierzem przy barze. Ciekawe, jak sobie radziły bez znajomości angielskiego?

- Od razu zwróciłem na ciebie uwagę - odparł z prostotą. - Myślę, że ty i ja... Że moglibyśmy...

Wiedziała, że wreszcie musi to skończyć. Jednak w jaki sposób? Był taki młody i naiwny. Nadal nie chciała być niemiła i wszczynać awantury na cały lokal.

- Posłuchaj - starała się przybrać niemal nauczycielski ton - pomyliłeś się. Nie mam zamiaru wracać do domu z tobą ani z nikim innym. Jestem w żałobie, nie mam nastroju i mam swoje zasady, chociaż słyszałam, że zasady już nie istnieją. Poza tym wszystkim jestem od ciebie dobre kilka lat starsza, więc posłuchaj mojej rady i znajdź sobie młodą, śliczną dziewczynę w swoim wieku. Zapewniam cię, że znajdziesz teraz niejedną. I niejedna chętnie pojedzie z tobą do Ameryki.

- Ty jesteś taką dziewczyną - powiedział, bo nie dawał za wygraną.

- Nie - odparła i zdecydowanym ruchem głowy, ponieważ obie jej ręce wciąż trzymał w swoich George, dała znak Poli, aby podeszła ze swoim towarzystwem.

To pomogło, tym bardziej że zbliżył się również kelner, aby przyjąć kolejne zamówienie. George wyraźnie przygaśł i posmutniał, ale po pewnym czasie przysunął się do Solange. Ta, chichocząc, chętnie przyjęła jego awanse. Ala uznała wreszcie, że może już odejść i zostawić dwie, już wyraźnie zaprzyjaźnione, pary.

- Pójdę już - rzekła. - Dziękuję za miły wieczór.

- Nie powinnaś wracać sama - zauważyła Pola. - Tak naprawdę wieczorami i nocą nie jest teraz bezpiecznie. W dodatku zrobiło się bardzo późno.

- Proponowałem jej - wtrącił George, odwracając się na chwilę od rozanielonej Solange.

- Poczekaj jeszcze. Wyjdziemy wszyscy razem i odprowadzimy cię.

- Nie róbcie sobie kłopotu. - Ala już zapinała płaszcz. - Przez całą wojnę

wracałam sama do domu ze szpitala, bywało, że w środku nocy. Naprawdę niczego się nie obawiam. Nie będę już dłużej czekać, jestem zmęczona. Bawcie się dobrze.

Skinęła im głowę i wyszła. Wyglądało na to, że jako tłumaczka też już nie będzie potrzebna i dalej poradzą sobie bez niej. Rzeczywiście, powojenny świat stawał wszystko na głowie. Nie była specjalnie pruderyjna, a jednak to, czego doświadczyła dzisiejszego wieczoru, nadal nie mogło pomieścić się w jej głowie. Jak się miało okazać, nie był to bynajmniej koniec niespodzianek.

Wracała szybkim krokiem, nie nawiązując z mijanymi osobami kontaktu wzrokowego. Rozmyślała nad listem Basi i nad ewentualnością wyjazdu do Polski. Tęskniła za nimi wszystkimi, ale czy miała siły, by ruszać się z domu? Z domu, w którym nadal odczuwała obecność Waltera i czasem jeszcze próbowała z nim rozmawiać. Wizyta w Polsce może znowu potrwać tygodnie albo miesiące. Czy po powrocie do Paryża nadal będzie tu mogła usłyszeć swojego męża?

Zwolniła trochę kroku, bo chodnik okazał się śliski, nadal jednak nie zwracała uwagi na otoczenie. Drgnęła nerwowo, gdy poczuła, że czyjeś ramię ciasno ją obejmuje.

- Taka samotna, w taką noc? - usłyszała. Tym razem był to żołnierz francuski. - Chodźmy, napijmy się. Chyba nie odmówisz, młoda damo, dzielnemu bohaterowi walczącemu za ojczyznę?

Ostatnie słowa wymówił z ironią i roześmiał się.

- Proszę odejść i zostawić mnie w spokoju. - Ala szarpnęła się, lecz zupełnie bez skutku.

Ubawiło to tylko szczerze żołnierza.

- Co? Nie podobam ci się? To po jaką cholere włączysz się sama po nocy?

- Nie włączę się, tylko usiłuję wrócić do domu - warknęła. - Bardzo proszę o umożliwienie mi tego.

- Dobra, nie złość się. Będzie wedle życzenia. Pójdziemy tam razem.

Zaczynała ją ogarniać panika. Człowiek, który obejmował ją z całej siły, nie był naiwnym amerykańskim chłopcem, spragnionym kobiecego towarzystwa. Nie znajdowała się teraz w kawiarni pełnej ludzi, lecz na odludnej uliczce. Nogi się pod nią ugięły, gdy podszedł do nich drugi

żołnierz, tym razem w mundurze amerykańskim.

- Daj jej spokój, Maxim - odezwał się łamaną francuszczyzną. - Nie chce, to nie. Niech idzie. W dodatku nie wygląda na dziwkę. Po co nam kłopoty?

- Chyba żartujesz, Tony - odpowiedział ze śmiechem ten, który trzymał coraz bardziej zdenerwowaną Alę. - Spójrz tylko na nią! Sam zwróciłeś uwagę, jak się poruszała, jak kręciła biodrami.

- Proszę... - Ala bezradnie zwróciła się do Amerykanina.

- Chodźmy już, Maxim. - Tony ujął Francuza za ramię. - Znajdziemy coś lepszego. - A ty nie włócz się sama po nocach - odezwał się do Ali. - Przyzwoite kobiety tego nie robią. Jeśli robią, to mogą mieć potem pretensje do siebie. Znasz starą zasadę wojny? Kobieta jest nagrodą dla wojownika. - Roześmiał się.

- Dobrze powiedziane - zawtórował mu Maxim. - Wobec tego bierzemy naszą nagrodę.

Nagle w Alę wstąpił gniew tak wielki, że natychmiast wróciły jej siły. Z furią wyrwała się z rąk Maxima, ale nie uciekała. Mniejsza z tym, czy pozwolą jej odejść, czy nie. Mniejsza z tym, co jej zrobią. To już nie miało znaczenia. Czuła taką nienawiść i upokorzenie, że pragnęła najpierw je wykrzyzczyć. Nie krzyczała jednak.

- Przez całą wojnę tak się nie bałam, jak tego wieczoru - mówiła zduszonym głosem. - Pracowałam przy rannych żołnierzach w szpitalu i bardzo często wracałam późną nocą do domu. Nigdy nie spotkało mnie coś takiego. A nagrodą byłam tylko dla mojego męża. - Teraz słyszała w swoim głosie łzy, i oni obaj też je usłyszeli. - Niestety, mój mąż nie miał tyle szczęścia co wy i już do mnie nie wróci. Kobiety, które traktujecie jak nagrodę, modliły się za was przez całą wojnę... nie po to, by teraz bać się wychodzić wieczorem na ulice.

Zapadło milczenie. Patrzyła im wyzywająco w oczy, zadowolona, że to powiedziała. Teraz było jej już wszystko jedno.

- Niech pani już idzie - odezwał się Amerykanin. - Mimo wszystko proszę uważać na siebie.

Patrzyła jeszcze na Maxima, ale on odwrócił od niej wzrok. Chciała, aby odeszli pierwsi. Nadal im nie ufała.

„Pomóż mi, Walterze” - powtarzała w myślach. „Pomóż mi wrócić do naszego domu”.

I wtedy niespodziewanie usłyszała, że ktoś wymawia jej imię.

- Alice? To naprawdę ty?

Natychmiast poznała ten głos, bo rozpoznałaby go wszędzie i w najmroczniejszych ciemnościach. Jednak nie był to Walter. Taki cud się nie zdarzył. Zdarzył się za to inny, także niespodziewany.

W świetle latarni zamajaczyła postać innego żołnierza w amerykańskim mundurze, a ona znowu poczuła, że odpływają z niej wszystkie siły. Niewiele by brakowało, a usiadłaby na chodniku.

- Raul - szepnęła - ty... tutaj?

Tymczasem Raul podszedł do nich i niby roztargnionym spojrzeniem objął całą sytuację.

- Jakies problemy? - spytał spokojnie.

- Dziewczyna zgubiła drogę. Pomyśleliśmy, że ją odprowadzimy - Maxim próbował powtórnie się roześmiać - lecz skoro się znicie...

- To miło z waszej strony - odparł pozornie niedbałym głosem Raul - lecz ta pani jest moją przyjaciółką i sam się nią zajmę.

- Jasne, przyjacielu - odparł Tony, patrząc na amerykański mundur Raula. - Skoro już się zaprzyjaźniliście...

Machnęli obaj rękami w geście pozdrowienia, a Maxim, porozumiewawczo patrząc na Raula, przy okazji wykonał jeszcze jeden gest, wskazując na Alę. Zauważyła to, ale nie reagowała. Raul też nie.

Stali teraz naprzeciw siebie i milczeli.

„Boże, ja przecież prawie zapomniałam, że on istnieje. Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni? Na moim ślubie i weselu. Kiedy odezwaliśmy się do siebie po raz ostatni? Gdy napisałam mu, że spodziewam się dziecka, a potem o narodzinach Melanie, a on mi odpisał. Potem zapadła między nami cisza. Wycofałeś się, przyjacielu, bo nie chciałeś wchodzić między mnie i Waltera. A ja na to pozwoliłam, bo obchodził mnie tylko on. Nawet nie zawiadomiłam cię, że moje dziecko umarło. I nagle teraz zjawiasz się z tej krainy niebytu i zapomnienia, jak zwykle wtedy, gdy jesteś mi potrzebny”.

Podeszła do niego i machinalnie pogłaskała rękaw jego żołnierskiego munduru.

- Wstąpiłeś do amerykańskiej armii - rzekła cicho. - Nawet nie wiedziałam, że walczysz na froncie i możesz zginąć w każdej chwili.

Nagle objął ją gorącym, silnym uściskiem i po tym geście rozpoznała, że nie był to wyłącznie odruch brata i przyjaciela. Zrobił to już raz przed swoim wyjazdem do Ameryki, ale tamto wspomnienie wyparła z pamięci. Teraz wróciło i zrozumiała, że to był główny powód, dla którego przestał się z nią kontaktować, a ona pogodziła się z jego decyzją.

Odsunęła się teraz delikatnie i patrzyła w jego zawsze wesołe, łobuzerskie oczy. „Oczy rasowego hazardzisty” – jak mawiała kiedyś pani Maurion, jej gospodyni. Pani Maurion zawsze podejrzewała Raula o nieczyste zamiary wobec Ali, bo taką zdobył reputację w towarzystwie. O to samo podejrzewała go cała jej rodzina, z wyjątkiem Janka, którego to zresztą bawiło. Ala jednak zawsze wiedziała, że Raul nigdy nie miał wobec niej takich planów. Dla niej był zawsze jak trzeci brat, i tak już miało pozostać. Dlaczego zatem teraz...

Przestała się nad tym zastanawiać, gdy Raul, jak gdyby nigdy nic, wesoło zapytał:

- A właściwie to dlaczego włączysz się, dziewczyno, sama po nocy, i to w takich zaułkach? Szukasz wrażeń? Prowokujesz jak dawniej? To nie są grzeczni chłopcy, jakich pamiętasz. Zbyt wiele przeszli, byli w piekle, a teraz chcą odzyskać życie.

- Wiem, zakomunikowali mi, że kobieta jest nagrodą dla wojownika.

Uśmiechnęła się jednak, bo sposób mówienia Raula zawsze ją rozbrajał. Groza całej nocnej przygody minęła. Raul znowu zachowywał się jak dawniej, jak dobry przyjaciel. Była bezpieczna.

- Alice nagrodą dla wojownika! To mi się nawet podoba - powiedział, po czym roześmiał się, tak jak dawniej, a ona, już całkiem spokojna, wzięła go pod ramię, jak kiedyś, dawno temu.

Wszyscy zawsze plotkowali na ich temat, bo ta ich przyjaźń wymykała się wszelkiemu rozumieniu. Oni jednak nigdy tym się nie przejmowali. Przeciwnie, bawiło ich to wyśmienie.

- Nawet nie przypuszczałam, że w ciągu jednego wieczoru będę miała trzech chętnych do dotrzymania mi towarzystwa w moim domu - rzekła z sarkazmem w głosie. - Raz jeden dałam się namówić Poli i Solange na wyjście do miasta i od razu takie rozrywki...

- Mnie jednak wpuścisz do domu? - zapytał wesoło.

- Ciebie tak, i nawet możesz zostać do rana - zażartowała, bo tak

niegdyś potrafili ze sobą rozmawiać i na rozmowach zawsze się kończyło.

Nagle przystanęła i poczuła znajomy ból. Czy Raul już wiedział? Dlaczego nie zastanowiło go, że jest sama na ulicy?

- Wiesz, co się stało? - spytała cicho drżącym głosem. - Wiesz, że nie mam do kogo wracać?

- Wiem, Alice - odparł z powagą i współczująco uściśnął jej rękę.

- Kto ci powiedział?

- Przeszedłem do was. Do ciebie... - poprawił się - dziś wieczorem. Dom był zamknięty, ale twoja sąsiadka powiedziała mi, że wyszłaś gdzieś z przyjaciółkami. Przy okazji powiedziała mi też o twoim mężu i o dziecku.

Ala ponownie ujęła go pod ramię i ruszyli z miejsca. Chciała koniecznie przerwać tę ciszę, która zapanowała między nimi, ciszę, która teraz stała się nieznośna. Wiedziała, że Raul przez szacunek dla jej bólu nie zacznie znowu żartować i nie zacznie pierwszy mówić, a ona zapragnęła tych jego żartów i słów. Zapragnęła rozmowy o tym wszystkim, co się stało. Dawniej sądziła, że potrzebuje do tego braci i Basi. Teraz dotarło do niej, że to może być Raul. To musi być Raul. Najlepiej, aby to był Raul. Należało tylko przerwać ciszę.

- Pani Barton musiała cię rozpoznać, skoro tyle ci o mnie powiedziała - odezwała się cicho, ale spokojnie.

- Istotnie, poznała mnie. Ja też ją rozpoznałem i nawet wygłosiłem górnolotny komplement na temat jej znakomitego wyglądu, który przez tyle lat nie uległ zmianie. To ją do reszty rozbroiło i wszystko mi opowiedziała. Sąsiedzi mówią o tobie same dobre rzeczy. Niewiarygodne, że kiedyś te same kobiety wieszały na tobie psy.

- Z ich punktu widzenia byłam kiedyś niemal skandalistką. Teraz jestem porządną francuską kobietą, którą dotknęło nieszczęście, której mąż zginął w obronie ojczyzny. Zapewniam cię, że jest to szacunek obwarowany wyśrubowanymi warunkami. Lubię mnie za moją żałobę. Byliby radzi, gdybym żyła tak do końca. W przeciwnym razie czeka mnie surowy ostracyzm.

- Nie sądzę, Alice. Obyczaje się zmieniają. Odniosłem wrażenie, że twoja sąsiadka była rada z powodu tego, że wyszłaś w końcu z przyjaciółkami, aby się rozerwać.

Dotarli na miejsce i weszli do domu. Ala zapaliła lampę w kuchni

i w salonie, a potem wyrzała za okno.

- Pozornie wszyscy wokół już grzecznie śpią - rzekła - a tak naprawdę w jednym z tych ciemnych okien stoi ktoś, kto obserwuje, co dzieje się wokół, także u mnie. Moje mieszkanie nadal wzbudza zainteresowanie, zwłaszcza odkąd Nicole urodziła dziecko. Dla mieszkających tu samotnych starszych kobiet to, co się u mnie działo, zawsze było formą rozrywki w ich monotonnym życiu.

- Nicole ma dziecko? - spytał zdumiony Raul.

Ala na chwilę znieruchomiała, jednak potem wzruszyła ramionami.

- Pani Barton nie powiedziała ci tego? Widocznie wszyscy już przywykli. Tak, Nicole ma dziecko. Od razu mówię, że nie wyszła za męża. Sama ci o tym pewnie opowie, gdy wróci z Awinionu. Poznała kogoś, nie mogła się z nim związać na stałe. Tak wyszło. Od siebie tyle ci mogę powiedzieć - poinformowała go, po czym szybko zmieniła temat. - Na pewno jesteś głodny. Zaraz coś przygotuję. Rozgość się.

- Nie rób sobie kłopotu. Niczego mi nie trzeba. Jeśli można, to poproszę jedynie o kawę.

Gdy już usiedli, Ala impulsywnie położyła rękę na jego ramieniu, jakby nie była jeszcze pewna, że to dzieje się naprawdę, że Raul naprawdę tu jest. Jak to możliwe, że przez kilka lat był nieobecny w jej myślach i wspomnieniach? Nawet miłość do Waltera i jego śmierć, nawet kataklizm wojny nie mogły tego wytłumaczyć ani usprawiedliwić.

- Nie mogę uwierzyć, że cię widzę - szepnęła. - A jeśli to kolejny realistyczny sen?

- Było ci samej ciężko... - Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie.

- Nie byłam sama. Przez całą wojnę mieszkała tu Nicole. Tu urodziła się jej córka. Przychodzili nasi przyjaciele a raczej przyjaciółki, które zdecydowały się nie opuszczać Paryża. Przychodziła Dominique, ona najczęściej. Przychodziła swoje dzieci. Pracowałam na okrągło w szpitalu. Wokoło stale byli ludzie, pełno ludzi. Nie byłam sama.

Zapatrzyła się na kominek, w którym teraz nie płonął ogień. Nie czuła jednak chłodu, pomimo zimy za oknem. Wojna ją zahartowała.

- Jego jednak nie było - mówiła dalej. - Przyjechał raz, na urlop, w grudniu w 1916 roku, równo dwa lata temu. Od tamtej pory już go nie widziałam. Został zabity pod Chemin des Dames na początku maja

następnego roku. Gdyby nie koszmarny upór Nivelles'a, Walter mógłby żyć dalej.

- Nie wiadomo, Alice, nie wiadomo, co by było - upomniał ją łagodnie Raul. - Późniejsze ofensywy były już uzasadnione, a ludzie nadal ginęli. Nie dręcz się tym, co by było, gdyby... Ja nauczyłem się wierzyć w przeznaczenie.

- Pamiętam, jaki byłeś zszokowany, gdy dowiedziałeś się, że wychodzę za męża za kogoś, kogo tak krótko znam - mówiła w zamyśleniu. - Nie byłeś zresztą wyjątkiem. Prawie cała moja rodzina była zdumiona. Chyba nikt nie wierzył, że potrafię żyć w małżeństwie, mieć rodzinę. Taka wtedy byłam, wiem o tym. Nie kochałam Waltera, gdy za niego wychodziłam, a przynajmniej nie tak, jak na to zasługiwał. To przyszło dopiero później, stopniowo. Potem już nie wyobrażałam sobie życia bez niego. Czasem myślę, że żyłam tylko przez te lata, gdy byliśmy razem. Boję się tej pustki, która otworzyła się przede mną. Ile jeszcze czasu mam czekać, aby znowu się z nim spotkać?

Raul nie patrzył już na nią i schylił głowę. Szczerze mówiąc, chciała, aby się odezwał, aby powiedział cokolwiek. Czekala.

- Przynajmniej przez kilka lat żyłaś z człowiekiem tak bardzo ci bliskim - odezwał się wreszcie. - Większość ludzi może o tym tylko pomarzyć. Nie potrafię cię pocieszyć. Przykro mi, że tak cierpisz. Nie zawsze to będzie tak bolało.

- Chcę, aby bolało. Czy ty wiesz, że jeszcze nie odwiedziłam jego grobu? Dostałam już zawiadomienie, gdzie jest, i mogłam tam pojechać, ale...

- Dlaczego, Alice? Przyznam, że tego nie rozumiem.

- Nicole mnie namawiała, ale w końcu pojechała sama. Boję się, że jeśli wybiorę się tam, to będzie koniec. To już będzie zamknięte.

- Co będzie zamknięte?

Dostrzegła w jego oczach ten sam niepokój, co w oczach innych, którym starała się początkowo to wyjaśnić. Dawno już przestała dzielić się z kimkolwiek tymi myślami, ale teraz postanowiła spróbować. Zaryzykować. Zdawała sobie przecież sprawę, że także Raul zacznie ją podejrzewać o problemy z psychiką. Ona jednak wiedziała, na pewno... Nie traciła zmysłów.

- Boję się, że gdy stanę nad jego mogiłą, on już ostatecznie odejdzie. Już

go nie usłyszę, nie zobaczę go we śnie. A za jakiś czas zapomnę jego twarz. Nie pomoże żadna fotografia. Wszystkie zresztą są takie niedoskonałe.

Nadal nie płakała, oczy wciąż miała suche. Raul delikatnie dotknął jej twarzy.

- Musisz pozwolić mu odejść - powiedział cicho. - Dopiero wtedy oboje zaznacie spokoju.

- Wiem.

Przynajmniej nie uznał jej za wariatkę. Lecz nie rozumiał, nie rozumiał. Nawet on. Czowała, że nie powinna tak myśleć, ale nie potrafiła pogodzić się ze śmiercią Waltera, więc jak mogła pozwolić mu odejść, jak mogła zamknąć ten rozdział, odwiedzając jego grób? Mimo to tak bardzo pragnęła, by był blisko. Czowała, że to sprzeczne uczucia, ale nic nie mogła na nie poradzić. Bała się odwiedzić jego grób i jednocześnie tęskniła za jego fizyczną bliskością, chciała przychodzić do swoich najbliższych, spoczywających tuż obok siebie.

„Nie będę już o tym z nikim rozmawiać. Sama też sobie z tym nie poradzę, ale trudno. Obojętnie, ile lat będę jeszcze żyć, nie pogodzę się z jego śmiercią. Nie będę już jednak o tym rozmawiać” - powzięła wewnętrzne postanowienie, a Raulowi chciała powiedzieć o jeszcze jednej sprawie. Mając nadzieję, że weźmie to za dobrą monetę i uwierzy w to, że ją przekonał, zaczęła:

- Wspominałam już o tym Nicole, ale nie mam jeszcze sił ani pomysłu, jak to przeprowadzić. Ekshumacja... - Zabrakło jej tchu i pospiesznie napiła się wody.

Nie mogła mówić dalej.

- To jest do zrobienia - rzekł Raul i pomyślał, że to faktycznie może przynieść jej ulgę. - Wiele rodzin tak robi. Amerykanie chcą sprowadzić ciała swoich chłopców do kraju, do ojczyzny. Zastanów się jednak. Walter jest pochowany w swoim kraju, nie za morzem, wśród swoich towarzyszy. Są tam razem.

- Tu jednak będzie bliżej nas. Mogę pochować go obok córki. Nicole pytała księdza i jest taka możliwość. Skoro są razem w niebie, mogą też spoczywać obok siebie. A kiedyś... ja do nich dołączę.

Zgodnie ze swoim postanowieniem nie dodała, że dzięki temu Walter nadal będzie blisko, nadal będzie go słyszała i z nim rozmawiała. Tutaj,

w Paryżu nawet jego grób nie będzie już oznaczał całkowitego ziemskiego rozstania. Wierzyła w to lub tylko chciała wierzyć.

Raul patrzył na nią z troską i bólem, tak jakby jej ostatnie słowa szczególnie go zraniły.

- Zrobisz, jak zechcesz - powiedział w końcu. - Jeśli zdecydujesz się z tym jeszcze poczekać, pomogę ci.

- Dziękuję. - Ala liczyła na te słowa i spojrzała na niego z wdzięcznością.

Dopiero teraz zauważyła, że prawie się nie zmienił. Wciąż był taki sam jak sześć lat temu, gdy ostatni raz się widzieli: pełen wigoru, życia i energii.

„Mój Boże, przecież przyплыł z Amerykanami do Europy, aby wziąć udział w wojnie. Mógł w każdej chwili zginąć, a ja nawet nie dowiedziałabym się o tym. Zapomniałam o nim. Czy ktokolwiek inny by się dowiedział?” - pomyślała i dotarło do niej, że Raul nie miał przecież rodziny. Chyba że jakaś kolejna kobieta... Poczowała wyrzuty sumienia, że do tej pory mówiła tylko o sobie i żaliła się wyłącznie nad sobą. Czy Raul nie zasłużył choćby na minimum jej zainteresowania?

- Wybacz mi - odezwała się już innym, pewniejszym i bardziej rzeczowym tonem - że tylko płaczę nad sobą, chociaż nic nie mogę już zmienić. Powiedz, co u ciebie. Jak ci się wiodło przez te lata? Czy wydarzyło się coś nowego w twoim życiu?

W odpowiedzi sięgnął do wewnętrznej kieszeni munduru i wyjął fotografię. Ala była pewna, że chodzi o następną kobietę w jego życiu, której nie miała okazji poznać, gdyż kobieta owa mieszkała w Ameryce. Może wreszcie był to ktoś dla niego ważny? Życzyła mu tego z całego serca.

- Poznaj moich synów - powiedział i podał jej zdjęcie.

Jej ręka, wyciągnięta już ponad stołem, znieruchomiała. Ala w jednej chwili przestała myśleć o swoich sprawach i swojej żalobie. Siedziała jak osłupiała, niemal jak żona Lota.

- Udało się. Niemal cię zastrzeliłem - zażartował Raul.

- Masz dzieci? Ożeniłeś się? - wykrztusiła wreszcie po kilku wcześniejszych, nieudanych próbach.

- Mam dzieci - odparł, patrząc na nią rozbawiony.

Wreszcie wzięła fotografię do ręki. Ze zdjęcia patrzyły na nią dziecięce buzie małych chłopców.

- Alan i Ralf, mają po sześć lat. No, nie patrz tak, Alice, zawsze lubiłem

dzieci.

- Lecz do tej pory nigdy ich nie miałeś, o ile mi wiadomo. Może zresztą ty sam o tym nie wiesz.

- Wspaniale, Alice, wracasz, widzę, do formy, skoro po staremu mnie atakujesz!

- Dlaczego nie ożeniłeś się z ich matką? - odezwała się z surową naganą w głosie.

Raul przestał się śmiać i oparł się wygodniej o kanapę.

- Moja żona, Rebeka, umarła przy porodzie - odparł cicho.

Ala poczuła wtedy, że w saloniku zrobiło się jednak zimno, i podeszła do kominka. Leżało tam parę przygotowanych wcześniej drewniaków. Raul podszedł do niej i wyjął podpałkę z jej rąk. Potem oboje patrzyli w milczeniu na niewielkie, lecz wesołe, języki ognia.

- Pamiętasz, gdy przyjechałem do Francji sześć lat temu i dowiedziałem się, że wychodzisz za męża? Chciałem ci wtedy opowiedzieć o Rebecce, o Alanie i Ralfie. Chłopcy mieli wówczas pół roku, a ich matka już nie żyła.

- Dlaczego mi wobec tego nie powiedziałeś? - spytała, nadal zupełnie zdezorientowana. - Cały czas widziałam, że coś leży ci na sercu.

Popatrzył na nią przez chwilę i wzruszył ramionami.

- Jak miałem ci to powiedzieć? Byłaś podekscytowana, cieszyłaś się ślubem. Nie chciałem tego psuć.

- Byłam pewna, że masz dla mnie jakąś propozycję.

Twarz mu pociemniała i przez moment milczał.

- Tak, miałem dla ciebie propozycję, ale ty wychodziłaś za męża.

- Mówiłeś, że podróżowałaś po Ameryce i dlatego moje zawiadomienie o ślubie do ciebie nie dotarło.

- Naprawdę podróżowałem, choć nie cały czas. To było już po śmierci Rebeki, a ja myślałem, jak zorganizować życie na nowo, także moim synom. Wprawdzie krewni Rebeki chcieli się nimi zająć na stałe, przejąć nad nimi opiekę. Tłumaczyli, że ja sporo podróżuję, prowadzę czasochłonne interesy i lepiej będzie, jeśli oni wezmą dzieci, niż ma się tym zająć jakaś wynajęta opiekunka, ale nie mogłem się zgodzić. Rebeka nie chciałaby, aby dzieci przejęli jej bardzo purytańscy, surowi i rygorystyczni krewni. Sama niemal od nich uciekła.

- Nie miałam pojęcia, że straciłeś żonę. Musiało ci być ciężko.

Przyszedłeś do mnie, aby o tym powiedzieć, a ja... Żartowaliście ze mnie obaj z Jankiem. Było tak wesoło. Nie miałam pojęcia, że jesteś w żałobie, że przeżywasz taki dramat. Powinieneś był mi to powiedzieć, a nie zastanawiać się, czy mi to nie zepsuje humoru.

- Spokojnie, Alice. Niestety, rozczaruję cię trochę co do mojej osoby, ale nigdy cię nie oszukiwałem. Nie kochałem Rebeki. Od dawna była mi zupełnie obojętna. Ożeniłem się z nią, bo spodziewała się mojego dziecka, a pochodziła, jak już mówiłem, z bardzo purytańskiej rodziny. Wprawdzie uciekła od nich i od ich zasad, próbowała szczęścia w artystycznym świecie, ale oni nigdy nie odpuścili. Ciężka byłaby jej dola, gdyby odkryli, że jest w ciąży, a nie ma męża. Poza tym czułem się zobowiązany wobec dziecka. Potem okazało się, że to dwoje dzieci. Taki jestem staroświecki, że uważam, iż dziecko powinno się urodzić w małżeńskim związku, obojętnie, czy jego rodzice nadal coś do siebie czują, czy też im się odwiedziało. Rebeka jednak umarła, a przed śmiercią błagała mnie, abym nie zostawiał chłopców. Myślałem nawet, czy nie wrócić z nimi do Francji. Dlatego wtedy przyjechałem. Nie sądzisz chyba, Alice, że odbyłem podróż przez Atlantyk tylko po to, aby ci opowiedzieć łązawe koleje mego życia w Ameryce. Alan i Ralf, wraz z oddaną im bezgranicznie nianią, zostali wtedy u moich przyjaciół. Byli zbyt mali na taką podróż, a poza tym chciałem zrobić we Francji rozpoznanie. Czy jest tu do czego wracać? Czy jest do kogo wracać... Ty jednak wychodziłaś właśnie za męża. Gdyby twoje zawiadomienie o ślubie zastało mnie w moim nowojorskim domu, z pewnością nie ruszałbym się stamtąd.

Ala patrzyła na niego jak ogłuszona.

- Chodziło ci wtedy o mnie? Chciałaś się ze mną związać?

- Od pewnego czasu... Jednak nie było łatwo za tobą nadążyć. Stale się gdzieś wymykałaś, a odkąd wyjechałaś do Zaborowa na ślub tej twojej kuzynki, zupełnie straciłem z tobą kontakt. Wracałaś i wyjeżdżałaś, zmieniałaś się, muzyka przestała cię obchodzić. Jakim cudem Walterowi Salangerowi udało się pochwycić cię i zatrzymać? W dodatku tak skutecznie.

Ala na powrót usiadła na kanapie i ukryła twarz w dłoniach.

- Wybacz mi - powiedziała. - Nie miałam o niczym pojęcia.

- Oczywiście, przyjaciółko... - Raul usiadł przy niej i objął ją swoim zwykłym przyjacielskim gestem, bez żadnych podtekstów. - Skąd mogłaś

wiedzieć? Tak dobrze grałem rolę troskliwego, starszego brata albo miłego kolegi. Nie ma czego wybaczać. To nie twoja wina. A Walter Salanger był tym, na kogo zasłużyłaś. Nauczyłaś się przy nim żyć i kochać. Nie bój się, Alice, jeśli o mnie chodzi, to już przeszłość. Wolę naszą starą przyjaźń niż nic, dlatego być może wrócę w końcu na stałe do Paryża. A poza tym chcę trzymać moich chłopaków z dala od rodziny Rebeki. Wiem, że ci ludzie mają do nich jakieś prawa, ale na razie bałbym się ich obecności w życiu moich dzieci. Może kiedyś, gdy dorosną, będą na tyle silni, by spotkać się z rodziną ich matki i dać sobie z tym radę.

- Dlaczego wstąpiłeś do wojska i wyjechałeś na wojnę? - spytała, przetrawiwszy jego słowa. - Mogłeś zginąć i co wtedy stałoby się z twoimi dziećmi?

- Zrobiłem to, co miliony innych ojców. Dzieci są finansowo zabezpieczone, a na wszelki wypadek wyznaczyłem im opiekunów prawnych. To rodzina mojego amerykańskiego współnika. Nie mogłem inaczej, Alice, nie mogłem nie wstąpić do armii. Taka była atmosfera. Jak by to wyglądało? Amerykanie płynęli bić się za Francję, a Francuz miał wtedy zostać przy ciepłym piecu?

- Dobrze, że chcesz wrócić - rzekła szczerze, czując prawdziwą radość. - Cieszę się, że poznam twoje dzieci.

Kiedy ostatnio tak bardzo się cieszyła? Przecież wiedziała. To było w grudniu 1916 roku, podczas urlopu Waltera.

- Zajmie to trochę czasu. Spodziewam się, że wrócę do Nowego Jorku w styczniu. Muszę zająć się procedurą przeniesienia firmy do Paryża jako filii amerykańskiej spółki. Nadal będę współpracował z moim amerykańskim partnerem. Nawet gdy na dobre tu wrócę, od czasu do czasu będę zobowiązany odbywać podróże do Ameryki. Chłopcy jednak będą wychowywać się tutaj. W sumie cała przeprowadzka zajmie mi czas do lata. Ja też się cieszę, że wracam - powiedział, a po chwili dodał: - Brakowało mi przyjaciół.

„Brakowało mi ciebie” - chciał tak naprawdę powiedzieć, ale powstrzymał się.

- Kilku zginęło - odparła ze smutkiem Ala. - W tym większość z tych najbliższych.

- Wiem, słyszałem. Zawsze pozostanie po nich przerażająca pustka. Jak

leje na froncie. Ludzi jednak nie zabraknie, a żyć dalej trzeba.

„Będzie mi o wiele łatwiej, gdy wrócisz” – przemknęło Ali przez myśl i nagle zapragnęła zadać mu dwa pytania, dwa dość dziwne pytania.

- Masz prawo mi nie odpowiadać, ale... czy wróciłbyś do Paryża, gdyby... Walter przeżył wojnę?

Głos jej drgnął, pomimo że tak się starała zachować spokój. Pożałowała też, że zapytała. Właściwie czemu miało służyć to pytanie? Jaki sens było ranić ich oboje?

Raul jednak odpowiedział, jak gdyby to nie miało już dla niego żadnego znaczenia.

- Tak, Alice. Zresztą zakładałem, że twój mąż nadal żyje. Przyszedłem dzisiaj odwiedzić was oboje. O jego śmierci dowiedziałem się przez przypadek. Wróciłbym do Paryża w bliżej nieokreślonej przyszłości, ale zasady naszej przyjaźni musiałyby wtedy ulec zmianie. Mogliśmy kiedyś intrygować tym i denerwować wszystkich dookoła, nawet twojego ojca, jednak nie twojego męża. To nie mogło dotyczyć jego. Nie musiałby tego zrozumieć.

„Zrozumiałby” – pomyślała w nagłym przebłysku świadomości i już nie mogła powstrzymać się przed drugim pytaniem.

- Dlaczego dziś w nocy szedłeś akurat tamtą, ciemną ulicą? Tam, gdzie zaczepili mnie ci dwaj? Co tam właściwie robiłeś?

Raul uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Nie wiem, Alice, to zwykły zbieg okoliczności. Nie zastałem cię w domu, więc poszedłem się napić do bistro. Pogadałem z paroma chłopakami w mundurach i ruszyłem przed siebie. Naprawdę nie analizowałem. Szedłem raczej bezmyślnie, ty zresztą też. Nie spodziewałem się ciebie o tej porze na tak odludnej uliczce. Miałś paskudny pomysł, aby iść tamtędy.

- Chciałam skrócić sobie drogę – wyjaśniła machinalnie, myśląc już o czymś innym. - W czasie wojny często wracałam ze szpitala jeszcze później i przez bardziej odludne zaułki.

„Walterze, pomóż mi...” – cały czas pamiętała swoją własną, niewypowiedzianą wtedy głośno prośbę. I wtedy pojawił się Raul. Nie ulegało wątpliwości. Walter rozumiałby przyjaźń jej i Raula. A przecież ledwo się znali.

Rozmawiali do rana o wszystkim, jak dwoje starych przyjaciół, którzy nie widzieli się dobrych parę lat. Oczywiście, że oboje nie byli starzy. Oczywiście, że od ich ostatniego spotkania nie minęło sto, lecz sześć lat. Jednak stanowiły one całą epokę. W tym czasie wybuchła i szalała Wielka Wojna, w tym czasie przez życie każdego z nich przetoczyły się wielkie zmiany. W tym czasie pojawili się inni ludzie, małżeństwa, dzieci. Także śmierć. A oni oboje dopiero teraz odkrywali przed sobą, co się wydarzyło w tym okresie milczenia.

- Ale to już przeszłość, Alice, to już bez znaczenia - zapewniał Raul. - Teraz nie obawiam się już powrotu do kraju. Nie martw się.

Mówił o Rebecce i ich przypadkowym spotkaniu, o tym, że była urocza, ale nie miała dość talentu, by odnieść sukces na scenie, a w dodatku zaszła w ciążę. Gdyby nie ten fakt, rozstałby się z nią tak, jak to zwykle robił - w zgodzie i bez pretensji.

Mówił o chłopcach, którzy są wprawdzie bliźniakami, ale nie ma między nimi większego podobieństwa.

- Są dowodem na sprawiedliwość natury, Alice. Jeden przypomina Reбекę, a drugi to skóra zdarta ze mnie.

Mówił też o wojnie, o tym, jak Wilson przygotowywał Amerykanów do jej wypowiedzenia, o nastrojach po zatopieniu Lusitanii i innych statków amerykańskich, o decyzji Kongresu, o atmosferze, jaka towarzyszyła zaciąganiu się do wojska. Mówił też o walce, o ofensywach, w których brał udział w 1918 roku.

- Przeżyłem, bo widocznie tak chciał los. To wszystko kwestia przeznaczenia - skwitował.

Ona też opowiadała. O Melanie, o Walterze, o tym, co jej mąż myślał o wojnie, o zabijaniu. Mówiła o René i o śmierci ich wspólnych przyjaciół, o tym, co wszyscy bezpowrotnie stracili.

- Naszą młodość, Raulu, straciliśmy naszą młodość. Mam dwadzieścia osiem lat, lecz w środku jestem starą kobietą.

- Zbyt często patrzysz w przeszłość, Alice, to dlatego - odparł, klepiąc ją krzepiąco po ręce. - Pomyśl o terażniejszości i trochę o przyszłości.

„Myślę tylko o przeszłości” - skonstratowała ponuro. „Teraźniejszość mnie nie obchodzi, a przyszłości może nie będzie”.

Nie chciała jednak wypowiadać swych myśli na głos i zepsuć tego

spotkania. Raul planował przyszłość i miał dla kogo żyć.

- Masz jednak rację co do przeznaczenia - powiedziała cicho. - Rzeczywiście, istnieje coś takiego. Walter i ja... Szkoda, że nie zdążyliście się bliżej poznać.

- Nie poznalibyśmy się bliżej, nawet gdyby on żył. Mówiłem ci przecież - przypomniał jej łagodnie.

Pokiwała zatem głową, jakby na znak zgody, chociaż miała na ten temat inne zdanie. Walter by zrozumiał. Jednak przekonywanie Raula o tym, a nawet samo wspomnianie tego, nie miało już znaczenia. Może kiedyś mu to powie, na pewno nie dzisiaj.

Zapytał ją o jej rodzinę, więc opowiedziała mu o listach od bratowej, a nawet przeczytała niektóre fragmenty.

- Robert przez całą wojnę służył jako lekarz przyfrontowy, a potem przeniósł się do tworzonej od lata 1917 roku polskiej armii we Francji. Wkrótce zapewne będzie mógł wrócić do żony i dzieci. Janek był ciężko ranny na froncie wschodnim.

Nie miała siły po raz kolejny tej nocy opowiadać, że brat stracił oko i jeszcze w pełni nie odzyskał zdrowia, chociaż bardzo pomagał bratowej i macosze w Zaborowie. Kiedyś i o tym opowie Raulowi, ale nie dziś.

Raul przezornie nie pytał o jej własne plany, o to, co ona zamierzała dalej robić. Zapewne obawiał się usłyszeć kolejne, pełne bólu słowa świadczące o całkowitym braku nadziei i chęci do życia.

„Nie obawiaj się, przyjacielu. Nie będzie kolejnej żałobnej mowy. Zachowam to dla siebie. Nie będę już sobą męczyć ani ciebie, ani nikogo więcej. Tylko z Basią, i może z Martą, jeszcze sobie na to pozwolę. Lecz one to już zupełnie inna bajka”.

- Uważaj na gripę, panuje jakaś wyjątkowo paskudna odmiana - powiedział Raul przy pożegnaniu. - Chociaż podobno samo uważanie niewiele pomaga.

- Jak to po wojnie. - Ala wzruszyła ramionami. - Zawsze tak było: przemarsz wojsk, a potem dżuma. A myśleliśmy, że ludzkość już zmądrzała na tyle, aby nie odświeżać takich rzeczy.

- Nigdy nie wierzyłem pod tym względem w ludzkość - odparł Raul, zapinając swój wojskowy płaszcz. - Ludzkość od czasu do czasu potrzebuje wojny.

- Jest elementem ładu Bożego. Bez niej świat popadłby w stagnację, a ludzkość pogrążyłaby się w materializmie. - Ala niespodziewanie przypomniała sobie słowa von Moltkego i zadrżała.

Raul uspokajająco położył rękę na jej ramieniu i otworzył drzwi. Do środka wpadło lodowate powietrze grudniowego poranka.

- Co za ziąb. A jeszcze cała zima przed nami - powiedziała z westchnieniem Ala.

Zauważyli, że w oknie naprzeciwko poruszyła się firanka.

- A jednak zepsułem pani opinię, pani Salanger - skomentował to wesoło Raul. - Przyjmuje pani po nocach jankeskich żołnierzy.

- I tak byłem dzisiaj skazana na któregoś z was - odparła i prawie się roześmiała. - Czuj się wyróżniony. Pojawiłeś się jako czwarty w ciągu jednego wieczoru i wybrałam ciebie.

- A więc wszystko wraca, jest po staremu - powiedział, po czym zasalutował jej żartobliwie i poszedł.

Rozdział 66

Koniec stycznia był mroźny, ale nie było to nic wyjątkowego o tej porze roku i w tej strefie klimatycznej. Czekali już jednak dość długo na pociąg, więc zimno i przejmujący wiatr dokuczały im coraz bardziej.

- Będzie cud, jeśli unikniemy grypy - zagderała Marta. - Pociąg ma już tak duże opóźnienie... Ale przecież można się było tego spodziewać. Mimo to nie rozumiem, dlaczego przybyliśmy tu na godzinę przed jego przyjazdem. Ty, jak się na coś uprzesz, to nie ma na ciebie sposobu.

- Nie musiałaś tu z nami przyjeżdżać, mamó - odparła niechętnie Basia. - Mogłaś spokojnie poczekać na nas w domu.

- A co by to dało? Uparłaś się zabrać dzieci na taki mróz, więc wołałam przyjechać z wami.

- Uznałaś, że ja nie dam rady ciepło ich ubrać i ochronić przed zimnem? A może sądziłaś, że sama twoja obecność sprawi, że mróz ucieknie gdzie pieprz rośnie?

- Jestem przekonany, że scena kabaretowa straciła w waszych osobach wielkie talenty. - Janek, słuchając ich, wprost zataczał się ze śmiechu. - Błagam, kłóćcie się dalej. Od razu robi mi się wtedy cieplej.

- Mamó, czy tata na pewno dzisiaj przyjedzie? - spytała po raz setny Urszulka i zatupała niecierpliwie nóżkami.

- Oczywiście - odparła znużona Basia. - Przestań bez przerwy powtarzać to samo pytanie.

- Jeśli nie wróci, to się nie martw - odparła dziewczynka bez cienia żalu w głosie. - Możesz być żoną wujka Jasia.

Barbara poczuła, że łuna bije jej na twarz i ostrzegawczo szarpnęła dziewczynkę za rączkę.

Natomiast Jaś roześmiał się i nachylił do małej.

- Nic z tego - odparł wesoło. - Nie miałem szans u twojej mamy. Ona zawsze wołała waszego ojca.

- Dlaczego? - zdziwiła się szczerze dziewczynka. - Jesteś przecież ładny.

- O! Dziękuję ci, młoda damo. Daleko mi jednak do twojego ojczulka.

- Nie martw się, wujku - odparła Urszulka po chwili namysłu. - W takim razie ożenisz się ze mną.

- Dobrze, umowa stoi. - Janek śmiał się i chwycił dziecko na ręce. - Ty mała spryciaro, jak zwykle o wszystkim pomyślałaś.

Basia też się roześmiała, ale towarzyszyła temu także niewesoła refleksja. Siedmioletnia Ula zupełnie nie pamiętała Roberta. Zniknął z jej życia w momencie, gdy była bardzo małym dzieckiem. To samo dotyczyło Pawła. Tylko Karolek, już teraz prawie dziewięcioletni, nadal upierał się, że pamięta ojca i wszystkie zdarzenia z nim związane. On jeden z trójki dzieci przez cztery lata wojny i dwa powojenne miesiące mówił o Robercie. Ula i Paweł nawet słówkiem o nim nie wspomnieli. Był postacią na tyle enigmatyczną, że nawet nie odczuwali chęci rozmowy o nim. Zamiast tego bardzo przywiązali się do stryja, którego mieli na co dzień od ponad dwóch lat. Zresztą za Jasiem przepadało też potomstwo kowala, który mieszkał niedaleko pałacu w Zaborowie, a nawet dwóch stajennych chłopców - wnuki Antoniego po jego starszym synu. Imponował im, bo walczył na froncie, w polskich legionach, a w dodatku został ranny w krwawej bitwie pod Kostiuchnówką w lipcu 1916 roku. A z tej bitwy wręcz nie wypadało nie być dumnym. Wyglądało więc na to, że Janek młodszym dzieciom w zupełności wystarczał i nie potrzebowały zmian. Tylko Karolek pozostał wierny Robertowi i przekonywał wszystkich wokoło, a zwłaszcza rodzeństwo, że ich ojciec jest również wielkim bohaterem i walczył daleko, we Francji.

- A tam były bitwy ogromne, często potężniejsze od naszych - podkreślał. - Front zachodni był najważniejszy w tej wojnie.

Basię zdumiewała jego wiedza na temat wojny. Chłonał wszystkie dostępne mu informacje, z zapartym tchem słuchał opowieści stryja, a potem lokaja Jana i innych mężczyzn, którzy wrócili z frontu. Zresztą wojna stała się żywiołem także innych dzieci, i to nie tylko w Zaborowie, ale także w okolicznych ocalałych wsiach, miasteczkach i dworach. Rosły wraz z tą wojną, a spora ich część w ogóle nie przypominała sobie czasów pokoju. Poza tym przez pierwsze dwa lata działań, gdy front się zmieniał, zaborowski pałac był miejscem, gdzie od czasu do czasu stacjonowały wymiennie wojska rosyjskie i austriackie. Niezależnie od tego prawie bez przerwy szukali tu schronienia cywile, którzy stracili dach nad głową. W tych warunkach dzieci szybko dorastały, operowały też słownictwem, które było nie do pomyślenia wcześniej. Basia przyznawała sama przed sobą, że w wieku siedmiu lat nie miała nawet połowy tej wiedzy o życiu, co

jej córka. W dodatku Urszulka, podobnie jak jej starszy brat, była zawsze nad wiek rozwinięta i bardzo bystra.

„Nie mają tego po mnie” – przyznawała w duchu Barbara. „Każde z nich odziedziczyło tę inteligencję po swoim ojcu... Każde po swoim ojcu. Tylko Pawełek jest taki zupełnie mój”.

Z czułością przyciągnęła do siebie młodszego synka i starannie opatulila go płaszczem. O niego bała się najbardziej. Uważała, że stale coś mu grozi. Tamtych dwoje z pewnością poradzi sobie w życiu, ale Pawełek zawsze będzie potrzebował czyjeś pomocy. Był taki delikatny, zamknięty w świecie swoich marzeń i wyobraźni, w świecie, który sobie stworzył, aby uciec przed brutalną rzeczywistością, a niekiedy przed innymi ludźmi. Szczęśliwie miał rodzeństwo, które kochało go ogromnie i chroniło przed drwinami i dokuczaniem dzieci z sąsiedztwa. Rodzeństwo to będzie mu potrzebne jeszcze przez wiele lat, a może i przez całe życie. Ona przecież nie zawsze będzie wiedziała, czy nie dzieje mu się krzywda. A najgorsze dopiero przed nim. Trzeba będzie wysłać go do szkoły. Pozostała dwójka zresztą także. Wiedza zdobywana w domu na niewiele się zda. Będą potrzebne świadectwa, egzaminy, dokumenty.

Jak to dobrze, że wraca Robert. Jak to dobrze, że zdjęcie z niej przynajmniej część tych trosk i obowiązków, że będzie mogła mu o tym wszystkim opowiedzieć, poradzić się. Jak to dobrze, że nie będzie już ze wszystkim sama. Nie będzie już sama. Dobry, pomocny, przyjacielski Jaś nie mógł wypełnić pustki i tęsknoty, jaką czuła za mężem.

Z zamyślenia wyrwał ją odgłos nadjeżdżającego pociągu i nagle poczuła emocje tak wielkie, o jakie już nawet się nie podejrzewała. Serce tłukło w jej piersi jak oszalałe, chyba wszyscy na stacji to słyszeli. Cała drżała jak w gorączce. Nic się nie zmieniło. Znowu była młodą, zakochaną dziewczyną, która nie śmiała nawet marzyć o Robercie. Znowu była oszalałą ze szczęścia narzeczoną, której ten właśnie Robert ofiarował dalsze, wspólne już życie i uratował ją przed hańbą. Znowu była młodziutką małżonką, która osiem lat temu na tej właśnie stacji z miłością i pragnieniem witała męża powracającego z podróży do Afryki.

„To się nigdy nie zmieni” – myślała, patrząc na zatrzymujący się pociąg. „Będziemy już starzy, a ja będę za każdym razem czekać na niego jak zakochana po uszy dziewczyna. Boże, niech to się nigdy nie zmieni”.

Planowane rozmowy o dzieciach, ich szkołach i przyszłości, o konieczności remontu pałacu i innych codziennych sprawach zeszyły nagle na dalszy plan. Teraz liczyła się tylko miłość w swej najczystszej postaci.

A jeśli jednak nie przyjechał tym pociągiem? Jeśli nagle zmienił plany albo coś niespodziewanego go zatrzymało we Francji?

Robert jednak wysiadł z pociągu w gronie innych podróżnych i Karolek z krzykiem nieopisanej radości rzucił się ku niemu. Przyłgnął do ojca z ogromną siłą, wykluczając wszelkie próby oderwania go przez innych. Cały czas obejmował „swego tatę”, podczas gdy Robert witał się już z bratem.

- No, pięknie - skwitował, patrząc na opaskę na jego prawym oku. - Wyglądasz jak podczas naszych dawnych zabaw w piratów.

Starł się mówić lekkim tonem, głos go jednak zawiódł.

- Jeszcze cię widzę drugim okiem. Wystarczy mi, aby się z tobą po dawnemu rozprawić - odparł nonszalancko Jaś i wesoło uderzył brata po ramieniu.

Potem podeszła do nich Marta, która już otwarcie się rozpląkała, a łzy były bardzo rzadkim gościem w jej oczach. W każdym razie nikt z obecnych jeszcze jej takiej nie widział.

- Na litość boską, Marto, ja nie umarłem - powiedział ze śmiechem Robert, całując z czułością ręce macochy.

- Ojciec przyjedzie pojutrze z Warszawy. Nie mógł się wczoraj wydostać. Zresztą, teraz w czasie epidemii ma pełne ręce roboty - wyjaśniała już rzeczowo Marta, która doszła do siebie po pierwszym wzruszeniu. - Mam nadzieję, że teraz wspólnymi siłami zmusimy go, aby trochę mniej pracował. W końcu nie jest już młodzieńcem i sam może się zarazić i umrzeć.

- Dziadek mówił, że ta grypa atakuje szczególnie ludzi silnych i młodych, a nie starych i słabych - odezwał się nagle Karolek, uwalniając twarz od płaszcza Roberta.

Basia z dwójką przytulonych do niej młodszych dzieci stała cały czas jak zahipnotyzowana. Patrzyła z daleka, nie była w stanie zrobić kroku. Nogi zupełnie odmówiły jej posłuszeństwa.

To Robert podszedł do niej pierwszy i wyciągnął rękę na powitanie. Nie mogła oderwać oczu od jego twarzy, poruszyła ustami, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- To tak mnie witasz, droga żono? Zamieniłaś się w pomnik? - zażartował Robert, chociaż jego oczy też były wilgotne.

- Robercie... ja... To znaczy... - zaczęła się jękać.

- Co za ludzie! Nie wytrzymam! - krzyknął Janek. - Całą noc dzisiaj beczała, jak by nie wiem jakie nieszczęście ją spotkało, a od kilku dni chodziła jak nieprzytomna. A teraz stoi i się jęka. Po co tyle ceregieli?!

Z tymi słowami objął brata i bratową i popchnął ich ku sobie. Następnie wziął pod rękę Martę, ujął Karolka za kołnierz i skierował się z nimi w stronę powozu.

Nieważne, że wokół stali ludzie. Basia puściła rączki Urszulki i Pawełka i rzuciła się z płaczem w ramiona męża. Całowała go, tuliła i nadal nie wierzyła, nie wierzyła. Nie było w tym nic oryginalnego. Tak witały swoich mężczyzn kobiety na całym świecie. Nie było żadnych wielkich słów. Nagle zniknęły w niebycie całe lata rozłąki.

- Prawie się nie zmieniłeś - mówiła i z czułością dotykała jego twarzy.

Wiedziała, że ona sama bardzo się zmieniła, spoważniała, zmizerniała. Tylko oczy pozostały takie jak dawniej - duże, niebieskie, pełne słodczy i rozmarzenia. To nadal były oczy dziewczyny, która kochała, tęskniła, czekała.

Urszulka niecierpliwie zatupała nóżkami i to odniosło skutek. Oboje spojrzeli na dzieci.

- To nasze dzieciaki? - szepnęła z zachwytem i niedowierzaniem.

- A któż by inny? - odparła, ocierając oczy.

Robert przyklęknął i wyciągnął ręce do dzieci. Chłonał ich widok, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Urszulka miała złociste, bujne loki swojej matki, podobny do niej owalny kształt twarzy i delikatną, szczupłą figurę. Lecz regularne, rasowe rysy przypominały Roberta, po nim również odziedziczyła ciemnobrązowe oczy iskrzące sprytem i inteligencją. Już teraz zapowiadała się na piękną i interesującą kobietę. Paweł też był szczuplutki, lecz ciemnowłosy i ciemnooki. Podobny do siostry z rysów twarzy, był nieodrodnym synem swego ojca. Nie tylko zresztą z wyglądu obaj byli do siebie tak uderzająco podobni. Robert pamiętał, że w dzieciństwie i młodości także stronił od towarzystwa, zwłaszcza rówieśników. Wolał być sam, gdyż sam ze sobą nigdy się nie nudził, a w dodatku czuł się bezpieczniej.

- Witajcie, dzieciaki! - wykrzyknął, starając się, by brzmiało to wesoło. -

Prawie mnie nie znacie, ale ja was doskonale pamiętam. Ależ wyrosliście!

- Nie stójcie tak. Przywitajcie waszego ojca - upomniała dzieci Barbara.

Pierwszy podszedł Pawełek. Nieśmiało podał Robertowi rękę.

- Dzień dobry, synku. - Robert z troską przygarnął go do siebie. - Nie martw się, wkrótce się zaprzyjaźnimy.

Urszulka podeszła ostrożnie i uważnie mu się przyglądała.

- A ty jesteś moją małą księżniczką - zwrócił się do niej.

Wówczas zignorowała jego wyciągniętą rękę i bez słowa rzuciła mu się na szyję.

Siedzieli wszyscy razem w jadalni do późnej nocy, nie tylko rodzina, ale także tych kilka osób ze służby, które pozostało, a także kowal ze swoją rodziną. Nawet dzieci nie dały się zapędzić do łóżek, ku wielkiemu niezadowoleniu kowalowej, która nie miała pojęcia, jak później ujarzmi swoich trzech chłopaków, zwłaszcza że głównym tematem rozmowy były wspomnienia z wojny.

Robert opowiadał o tym, jak było na froncie zachodnim, co działo się na co dzień we Francji i w Belgii. Reszta, zwłaszcza mężczyźni, opowiadała o walkach na wschodzie. Kobiety wspominały grozę tego, co rozgrywało się tak niedaleko od Zaborowa, i tych ludzi, którzy tutaj szukali schronienia. Dzieci, przekrzykując się nawzajem, opowiadały o żołnierzach, którzy w pewnym momencie zajmowali niemal cały pałac.

- Kiedy wreszcie przywykniemy do pokoju? - spytała retorycznie Marta.

- Ja w dalszym ciągu każdego ranka po przebudzeniu muszę sama siebie przekonywać, że to naprawdę koniec koszmaru.

- Kiedy te dzieciaki nauczą się normalnie żyć i wrócą do nauki? - dodał Jaś. - One nie potrafią sobie nawet tego wyobrazić. Ciągle im w głowach tylko wojna i wojna.

- To już są dzieci wolnej Polski - szepnęła Marta. - Nie będą pamiętać innej.

- Sam nie mogę uwierzyć, że tego dożyłem - rzekł uroczyście Antoni, a po chwili dodał cicho: - Mieliśmy wybory i mamy wreszcie polski sejm. Mamy polski rząd i Naczelnika. Lepiej by jednak było, gdyby na nasze państwo mógł teraz patrzeć mój Maciek zamiast mnie.

Zapadło milczenie, a Katarzyna krzepiąco pogłaskała ramię męża.

- Zawsze będziemy pamiętać o twoim synu i o innych - powiedziała

łagodnie Marta. - Będziemy pamiętać o Walterze naszej Ali...

- Widziałeś się z nią przed wyjazdem z Francji? - spytała męża Basia.

Do tej pory nie brała udziału w rozmowie, zbyt jeszcze oszołomiona jego powrotem.

- Ostatni raz widziałem ją jesienią 1917 roku - odparł z westchnieniem Robert. - Wtedy było z nią niedobrze. Przypominała bardziej zjawę niż istotę z krwi i kości. Po podpisaniu zawieszenia broni nie mieliśmy już okazji się spotkać. Wymieniliśmy tylko listy. Wygląda jednak na to, że pomału dochodzi do siebie. Albo tylko udaje.

- Musimy ją tu ściągnąć - zawyrokowała Basia. - Nie ma sensu, aby została tam sama.

- Nie jest tam sama - zaprotestował Robert. - Jest z nią przecież...

Raptownie przerwał, ale Basia jak gdyby nigdy nic dokończyła za niego:

- Masz na myśli siostrę Waltera? Obawiam się, że słaba to pociecha. Niewiele ją znam, ale odniosłam wrażenie, że raczej się nie dogadują. Pamiętajcie, jak zachowała się ta... Nicole przed ślubem Ali i Waltera? Przyjechała z wielką łaską w ostatniej chwili. Ali było naprawdę przykro, sama to widziałam. Podczas wesela panna Perrier prawie z nikim nie rozmawiała, wyraźnie dawała do zrozumienia, jak bardzo jest niezadowolona z wyboru brata.

Robert drgnął, ale nie zareagował na słowa żony. Niespodziewanie natomiast włączyła się Marta.

- Ja odniosłam inne wrażenie niż ty - rzekła do córki. - Rozmawiałam z nią w czasie wesela. To miła i bardzo inteligentna dziewczyna.

- Próbowałam porozmawiać z nią przyjaźnie, gdy wreszcie raczyła przyjechać na ślub, ale była strasznie sztywna - odparowała Basia, sama dziwiąc się, dlaczego aż tak bardzo zirytowały ją słowa matki.

- Może wystąpiły w waszym przypadku problemy językowe - powiedziała Marta, uśmiechając się leciutko. - Panna Perrier, o ile wiem, mówi tylko po francusku i po angielsku. Ty zaś... - Znacząco zawiesiła głos.

Basia pobladała i z niemą furią patrzyła na matkę. Ze względu na obecność innych osób powstrzymała się, by nie wrzasnąć, że jeśli słabo zna francuski czy jakikolwiek inny język, to jest to wina wychowania, jakie odebrała. Marta zdawała się czytać w jej myślach, ale, pewna swoich racji, patrzyła na córkę spokojnie.

Wymiana zdań między dwiema dziedziczkami skłoniła jednak wszystkich obecnych do rozejścia się na nocny odpoczynek.

- Jutro czeka nas praca, jak zwykle - westchnął Antoni. - Już i tak mamy wielkie święto z okazji przyjazdu pana Roberta.

Po raz pierwszy od kilku lat Basia nie wracała do małżeńskiego pokoju sama. Na samą myśl o tym jej złość na matkę gdzieś się ulotniła. Niepotrzebne było to starcie, prawie zepsuło cały wieczór. W dodatku Basia teraz rozumiała, że sama sprowokowała całe zajście. Niepotrzebnie w ogóle zaczęła krytykować Nicole. Jak by na to nie patrzeć, panna Perrier była jednak ukochaną i jedyną siostrą Waltera, i chociażby z tego powodu rodzina Matzerów nie odetnie się od tej kobiety. Nawet w sprawie znajomości języka francuskiego matka miała rację. Barbara pamiętała, że przecież miała stworzone najlepsze warunki i dobrych nauczycieli. Co z tego, skoro nauka wyraźnie nie wchodziła jej do głowy? Skoro sama nie przykładła się do książek?

„Znowu wyszła ze mnie jędrza” - myślała teraz niezadowolona. „Znowu w obecności Roberta. A przecież obiecywałam sobie...”

Weszli już do pokoju, a ona starannie zamknęła za nimi drzwi i podeszła do męża.

- Tak mi przykro z powodu tej sceny przy stole - zaczęła nieporadnie. - Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Źle się stało, ale czasami puszczają mi nerwy.

Czułym gestem odgarnął kosmyk włosów z jej twarzy i dotknął jej gorącego policzka.

- Musiało być ci bardzo ciężko - powiedział miękko. - Jak ty w ogóle sobie z tym wszystkim poradziłaś? Mnie tu wtedy nie było...

- Nikt tego nie planował... - Basia przylgnęła do niego spragniona jego miłości. - Ważne, że już jesteś.

Spojrzała na niego tymi dziewczęcymi, niebieskimi oczami, a było w nich tyle szczęścia. I bezgranicznego oddania! Dlaczego więc nagle zobaczył tamte oczy o czarnych, żywo błyszczących źrenicach? Może dlatego, że nieopatrznie przywołano jej osobę dzisiejszego wieczoru. A właśnie dziś nie zamierzał w ogóle o niej myśleć i jej wspominać. A może dlatego, że i w tamtych oczach było wtedy takie samo szczęście i oddanie, jakie zobaczył tutaj. Co ona teraz robi? Jak sobie radzi w życiu po śmierci brata?

Basia patrzyła zdumiona na pobladłą twarz męża i przyjaźnie pogładziła go po włosach.

- To nic, mój kochany - szepnęła. - Odłożymy to. Dzisiaj odpocznij, jesteś po długiej podróży i ledwo żyjesz. Mamy teraz tyle czasu przed sobą.

Rozdział 67

- Pani Salanger?

- Tak, słucham.

- Proszę za mną, zaprowadzę panią na miejsce.

Ala odwróciła się jeszcze do Raula.

- Nie masz nic przeciwko temu, że pójdę tam sama? - spytała.

- Oczywiście, Alice. Nie musiałaś pytać.

Poszła więc sama za człowiekiem, który opiekował się cmentarzem wojskowym. Wokoło w kwaterach, jeden przy drugim stały w równym szeregu białe krzyże. Tak jak kiedyś, gdy leżący w tych mogiłach ruszyli do ataku, ramię w ramię.

- Większość z nich to poległ pod Chemin des Dames - mówił do Ali przewodnik. - Proszę, tu właśnie jest mogiła pani męża. Gdyby pani czegoś potrzebowała...

Ala w milczeniu skinęła głową i zapatrzyła się w biały krzyż. Tam, pod tym krzyżem i pod tą ziemią... Naraz zakręciło jej się w głowie i musiała przyklęknąć. Chętnie napiłaby się wody, ale nic ze sobą nie wzięła. Tego nie przewidziała. A potem przyszło jej do głowy, że może Walter przed śmiercią też potrzebował choćby kropli wody i ci inni leżący dookoła również.

„Wytrzymam” - pomyślała. „Skoro ty musiałaś przez to przejść...”

Grób był uporządkowany i zadbany. Pewnie zrobiła to Nicole, która już odwiedziła miejsce spoczynku brata. A może zrobiły to jakieś stowarzyszenia opieki nad grobami poległych? Skoro ona, żona, nie miała do tej pory odwagi i siły, aby tu przyjechać, aby wreszcie stanąć oko w oko z prawdą? Namówił ją w końcu Raul. Dlaczego jednak ktokolwiek musiał ją namawiać?!

„Tak długo na mnie czekałeś, najdroższy. Wybrałeś sobie strasznego tchórza na żonę. Umiałam być dobrą kochanką i współpracowniczką przyjemnej strony życia. Zawsze jednak bałam się prawdy o sprawach trudnych. Kochałam cię z całej duszy, ale nie pozwoliłam ci na poważną rozmowę tej ostatniej nocy, gdy trapił cię niepokój i troska. Musiałeś w końcu napisać o tym do mnie w swoim ostatnim liście, a wszystko dlatego, że bałam się rozmawiać z tobą o śmierci. Tak jakby ta rozmowa miała sprowadzić na nas nieszczęście. A ono przyszło i bez tego. Gdyby można było cofnąć czas,

choćby tylko do tej ostatniej nocy twojego urlopu! Wysłuchałabym cię teraz z pewnością, nawet gdybym wiedziała, że za kilka miesięcy umrzesz. Żałuję, Walterze, z całego serca żałuję, ale nic już nie zmienię. Poza tym jednym, poza tą nieprzeprowadzoną należycie rozmową, wszystko między nami było dobre. Tak jak napisałeś. Byliśmy dla siebie. Raul miał rację, gdy powiedział, że lepiej przeżyć kilka lat szczęścia w takim związku jak ja i ty, niż całe życie męczyć się z kimś zupełnie obojętnym lub wrogiem, a często tak właśnie muszą żyć ludzie. Wiesz już, że Raul chce wrócić do Francji? Oczywiście, że wiesz. Sam mi go przysłałeś tamtego wieczora w grudniu, na ulicy. To mój stary przyjaciel w końcu mnie tu przywiózł. Został jednak tam, za cmentarzem. Tu jesteśmy znowu tylko we dwoje, ty i ja. I tak już zostanie, kochanie. Ty i ja, nikogo innego nie potrzebuję. Nie namawiaj mnie, kochany, na inne szczęście. To niemożliwe. Jak inaczej odnalazłabym ciebie i nasze dziecko tam, w niebie? Pocięsza mnie jeszcze to, że każdy mijający dzień przyspiesza nasze ostateczne spotkanie. Mówię takie rzeczy tylko tobie, bo inni od razu patrzą na mnie podejrzliwie i z przerażeniem. Myślą wtedy, że jestem chora, i gotowi szukać dla mnie pomocy u lekarza. Lekarze zaś zamknęliby mnie w domu dla obłąkanych, tak jak kiedyś chcieli to zrobić z Nicole. Dlatego tu, we Francji, nikomu się tak nie zwierzam, jak tobie. Może powiem to w Polsce, gdy w końcu tam pojedę. Oni tam może szybciej to zrozumieją. Tam historia przez wiele lat tak się układała, że ludzie nieraz rozmawiali ze zmarłymi. Ty wiesz, że wcale nie zwariowałam. Już się nie boję śmierci i lubię o niej rozmawiać. Na razie jednak nie mam z kim. Nawet Raul tego nie rozumie, a nie chcę go martwić”.

Przytuliła się do krzyża i miała wrażenie, że czuje ciepło i dotyk człowieka, który był tu pochowany. Niesamowite to było uczucie. Zamknęła oczy, by zatrzymać te chwile.

„Alice, nie martw się już o mnie. Oboje z Melanie dobrze sobie radzimy i jesteśmy przy tobie. Zaczynaj żyć, kochana. Bądź spokojna”.

Naprawdę go usłyszała. Był teraz obok niej, tak jak powiedział. Dotykał jej i podtrzymywał, jak zawsze, gdy coś się działo – gdy wypita za dużo wina, gdy szukała Andrzeja Krzyckiego, gdy umarła Melanie, gdy przyjechał niespodziewanie na swój jedyny, wojenny urlop.

„Jestem o was spokojna, Walterze. Wiem, że wam nic już złego nie grozi, ale tęsknię, potwornie tęsknię. To nigdy nie minie”.

Opierała się o krzyż, a on ją trzymał, aby nie straciła równowagi. Tak wyraźnie go teraz czuła...

- Dobrze, że akurat tędy przechodziłyśmy razem z moją matką. Wołałyśmy do tej pani, ale chyba nas nie słyszała. Chyba była nieprzytomna.

- Zachowywała się zupełnie spokojnie, gdy ją tu przyprowadziłem. Czasami ludzie tak tu reagują, ale ta pani była taka... zrównoważona.

- Całe szczęście, że przyjechała tu z panem. Może nie należało jej jednak pozwalać, aby przyszła do grobu sama?

Ala otworzyła oczy i zobaczyła grupkę zaniepokojonych ludzi stojących wokół niej. Nie opierała się już o mały, biały krzyż. Zresztą, nie wytrzymałby on ciężaru jej bezwładnego ciała. Opierała się o ramię Raula, który obmywał jej twarz zimną wodą.

- Od razu pomyślałam, że ten pan stojący przy samochodzie za cmentarzem musiał towarzyszyć tej biedaczce - mówiła młoda dziewczyna, jedna z osób zgromadzonych przy grobie Waltera.

- Bardzo pani dziękuję - odpowiedział jej Raul i zwrócił się do dwóch mężczyzn, z których jeden zajmował się tym cmentarzem. - Proszę mi pomóc zaprowadzić panią Salanger do samochodu. Gdyby panowie byli tak mili...

Oczywiście nikt nie odmówił pomocy.

- Alice, czy będziesz mogła podnieść się i iść? - Raul zwrócił się już bezpośrednio do niej.

- Tak - odparła, choć w głowie jeszcze jej szumiało. - Wszystko już ze mną w porządku.

- Powinna pani napić się wody - poradziła starsza kobieta. - Mój Boże, też mnie to spotkało, gdy odwiedziłam grób syna po raz pierwszy. Nie jesteś wyjątkiem, moje dziecko.

Po paru minutach Ala podniosła się i, podtrzymywana przez Raula i pracownika cmentarza, ruszyła wraz z nimi do wyjścia. Pomoc trzeciego mężczyzny nie była już konieczna. Obejrzała się jeszcze na mogiłę.

„Naprawdę tu byłeś. To ciebie słyszałam”.

W drodze powrotnej do Paryża przeważnie milczeli. Tylko od czasu do czasu Raul rzucał jakieś uwagi o mijanym, ponurym, lutowym krajobrazie i pogodzie, a ona odpowiadała zdawkowo. Czuła się niezręcznie po tym, co się stało na cmentarzu, że okazała się taka słaba w obecności przyjaciela. Przed samym domem Raul niespodziewanie, jakby przełamując się, rzekł:

- Przepraszam cię, Alice, że prawie cię zmusiłem do tej podróży. Czasami jestem taki cholernie pewny swoich racji. Następnym razem, gdy ty będziesz czegoś pewna, a ja będę cię przekonywał do czegoś zupełnie przeciwnego, rzuć we mnie ciężkim sprzętem. Obiecujesz?

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się niewyraźnie.

- Miałeś rację - odparła. - Miałeś rację, że mnie tam zabrałeś. Musiałam mu coś powiedzieć, a teraz jestem spokojna.

Spojrzała w głąb ulicy i zobaczyła peron i pociąg szykujący się do odjazdu. Wokół kłębił się tłum ludzi. Wszyscy obejmowali się i płakali. Potem Walter wskoczył do odjeżdżającego pociągu, pomachał do niej swoją żołnierską czapką i zawołał:

- Do zobaczenia!

- Do zobaczenia - odpowiedziała.

- Do zobaczenia - powiedział Raul, patrząc na jej pobladłą twarz. - Mam tylko nadzieję, że możesz zostać teraz sama.

Wróciła rzeczywistość i teraźniejszość. Tamten obraz pomału rozmywał się jak w oparach odjeżdżającego pociągu, a zza tej mgły wyraźnie już widziała twarz Raula.

- A ty dokąd? - powiedziała z uśmiechem. - Na pewno konasz z głodu. Ja zresztą też. Chodźmy, przygotowałam obiad.

Rozdział 68

W marcu przyszła niespodziewana wiadomość od Ali. Spadła jak grom z jasnego nieba. Na tak zwaną hiszpańską grypę umierała ich matka, Zofia Matzer-Dobussy.

Zawiadomił mnie jej mąż. Dopiero co wrócili do Francji, do jego rodowej siedziby. Mąż naszej matki zakończył służbę w Algierii i postanowił osiąść na stare lata w ojczyźnie. Matka już w momencie przeprowadzki była chora i dlatego nie zawiadamiali mnie o powrocie. Liczyli na wyzdrowienie. Teraz jednak stan jest beznadziejny i nie ma co zwlekać. Przyjeżdżajcie, jeśli chcecie lub możecie. Nikt nie wie, jak długo ona jeszcze będzie żyła.

- Nie mam zamiaru - skomentował wreszcie Robert. - Szczerze mówiąc, zapomniałem już o istnieniu kobiety, która przez przypadek mnie urodziła.

- A jednak... to nasza matka. Jeśli już umarła, to naszym obowiązkiem jest ją pożegnać - odparł mało przekonującym tonem Janek.

- Chyba żartujesz! - prychnął Robert. - To ona pożegnała się z nami wiele lat temu i nic jej więcej nie obchodziło. Wychowaliśmy się bez matki, rozbiła naszą rodzinę, pozbawiła nas naszej siostry. W dodatku pozostawiła nas w niepewności, czy to nasza rodzona, czy przyrodnia siostra. Ja nie poczuwam się do żadnych obowiązków wobec niej. Nawet rozmawiać o tej kobiecie nie będę.

- Opamiętaj się, Ala nie może być tam teraz sama - wtrąciła przerażona Basia. - Myślę tak jak Janek. To wasza matka i musicie ją pożegnać. Może zechce wam coś powiedzieć? Nie wybaczysz umierającej?

- Jeśli już umarła, powinniśmy być na pogrzebie - perswadował Janek, ale nadal bez wielkiego przekonania.

- Wątpię, by umarła. Złego diabli nie wezmą. Zresztą osoby w jej wieku mają większą szansę z tego wyjść niż ewentualnie ja czy ty. Ala również nie powinna się przy niej kręcić.

- Jedź, kochany - przekonywała Basia. - Sama bym z tobą pojechała, bo to w końcu moja teściowa. Jednak nie możemy sobie wszyscy na taki wyjazd pozwolić. Ty musisz. Ty i Janek.

- Na litość boską, dopiero stamtąd wróciłem pod koniec stycznia. Nie jestem w stanie kręcić się po Europie z taką częstotliwością. Nie mam już

ochoty na podróż.

- To nie podróż, tylko być może ostatnia posługa - odezwała się milcząca do tej pory Marta. - Nie przerażaj mnie, mój zięciu. Zrób to choćby dla twojego ojca. Umarłby ze strapienia, gdybyście teraz nie pojechali do waszej matki.

Następnego dnia przyszedł telegram z Paryża. Ala informowała, że matka zmarła nad ranem i pogrzeb odbędzie się za pięć dni. Z depeszy wynikało, że pułkownik Dobussy właśnie ze względu na spodziewany przyjazd synów swojej zmarłej żony zdecydował się tak długo czekać z pochówkiem. Joachim Matzer nawet nie dyskutował z Robertem i Jankiem. Po prostu zawiadomił ich, że kupił dla nich bilety na podróż i mają niezwłocznie wyruszyć do Paryża.

- Ja oczywiście nie jadę - oznajmił. - Nie chcę wywoływać niezdrowej sensacji, tym bardziej że Zofia od lat żyła już w innym małżeństwie. Kiedyś zresztą odwiedzę jej grób. Wy jednak to co innego. Właśnie wasza nieobecność wywołałaby niezdrową sensację.

- Jadę, bo ustępuję przed przemocą całej rodziny - oznajmił kwaśno Robert, żegnając się z żoną w dniu wyjazdu.

- Jedziesz, bo tak trzeba - odparła Basia, poprawiając mu kołnierz od płaszcza. - Gdyby nie chodziło o taką sprawę, sama bym cię nie puściła.

- Cała rodzina zrobiła się nagle wyjątkowo miłosierna. Wystarczyło, że tamta kobieta umarła, i nagle wszyscy wszystko zapomnieli. Nie lituj się nad moją matką. Nie żałowała sobie w życiu niczego. Nie mam zamiaru jej tego zapomnieć. Jedyną korzyścią z tego wyjazdu jest to, że obaj spotkamy się z naszą siostrą.

Przygarnął ją do siebie i dotknął ustami jej włosów.

- Obrzydły mi już wyjazdy, Baśka. Ta wojna odebrała mi całe zainteresowanie światem. Teraz zaszyłbym się jak ojciec w laboratorium, w szpitalu albo w gabinecie lekarskim. A potem wracałbym do tego domu, na wsi, gdzie pod pewnymi względami zatrzymał się czas. Tyle tu chciałem jeszcze zrobić! Dwór wymaga kapitalnego remontu, obie z Martą temu nie podołacie.

Westchnął. Pałac w Zaborowie, który w czasie wojny zamieszkiwany był przez żołnierzy rosyjskich, a potem austriackich, zaś w międzyczasie przez licznych cywilnych uchodźców, rzeczywiście poważnie podupadł. Zwłaszcza

pokoje aż prosiły się o renowację.

- Zrobimy to po waszym powrocie. Nie sądzę, aby w tym czasie wybuchła kolejna europejska wojna, która uniemożliwi ci powrót. A poza tym sam wiesz, że lepiej, aby Janek nie podróżował zupełnie sam. Czasami w dalszym ciągu nie najlepiej się czuje.

To ostatnie nie było do końca prawdą, ale Barbara naprawdę nie była pewna, czy jej szwagier, pozbawiony prawego oka, jest na tyle sprawny, by podołać trudom tak dalekiej podróży. Jednak nie mówiła tego głośno. Janek nie cierpiał, by ktokolwiek robił aluzje do jego kalectwa.

Pojechali w końcu, a ona ponownie poczuła dojmującą samotność, jak tyle już razy w życiu. Przez ostatnie dwa lata miała przynajmniej towarzystwo Janka, teraz i jego zabrakło. Pocięszała się tylko, że niedługo wrócą. Żaden z nich nie planował dłuższego pobytu we Francji. Mieli wraz z Alą pojechać na pogrzeb do siedziby rodowej pułkownika Dobussy'ego w Normandii, a potem zatrzymać się jeszcze na tydzień lub dziesięć dni u siostry w Paryżu.

„Przynajmniej Ala nie będzie tak przeraźliwie sama” - myślała Basia, przechadzając się samotnie po starym, nieco już zaniedbanym, parku zaborowskim. „Właściwie dlaczego i ona miałyby nie przyjechać do Zaborowa? Nic jej już nie trzyma w Paryżu. Nikt”.

Miała też wrażenie, że odnajdywali się oboje z Robertem, że wszystko już było na najlepszej drodze. Żyli ze sobą, jak dawniej, tyle że jej mąż popadał niekiedy w jakieś dziwne zamyślenie. Zamykał się w sobie, wracał jakby do innej rzeczywistości, do wspomnień, do których ona nie miała dostępu. Była już teraz pewna, że nie wszystko opowiedział, że musiały zdarzyć się rzeczy, które postanowił zatrzymać dla siebie. Nie naciskała, nie dopytywała o nic. Na pewno niektóre jego wspomnienia z frontu i ze szpitala polowego były zbyt straszne, by mógł o tym mówić. Tak to sobie tłumaczyła.

Najbardziej żał jej było dzieci. Przywiązały się do swego nieznanego wcześniej, lub - jak w przypadku Karolka - do wytęsknionego ojca, a on ponownie wyjechał. Tłumaczenie, że wyruszył na pogrzeb babci, niewiele pomagało, jako że owa „babcia” była dla dzieci kimś zupełnie nieznanym. Młodsze popłakiwały po kątach, a Karol zamknął się w swoim pokoju i z nikim nie chciał rozmawiać.

„Niedługo wróci, musiał pojechać” - uspokajała samą siebie, ale gdzieś

w głębi serca wciąż się dziwny niepokój.

Stali wokół trumny matki w kościele nieopodal Caen, gdzie Dobussy miał swój majątek i bardzo stary, majestatyczny dom. Było tu naprawdę pięknie i całe rodzeństwo Matzerów szczerze żałowało, że ich matce niedane tu było spędzić więcej czasu. Stojąc przed ołtarzem i patrząc na trumnę, żadne z nich nie czuło nic. Miłość do zmarłej była już sprawą całkiem zapomnianą, o miłości do matki nie mogło być mowy. Nie czuli już jednak żalu i nawet Robert zrozumiał, że już jej wybaczył. Trudno przecież żałować czegoś, czego prawie nigdy nie było. Obaj synowie nie pamiętali wspólnych chwil z matką, tych chwil jeszcze z czasów wspólnego życia w Warszawie. Ala pamiętała więcej, lecz również od dawna nie kontaktowała się z nią. Czy odczuwali jakikolwiek smutek? Raczej powagę chwili, wrażenie, jakie przynosi ostateczność, nieodwracalność i poczucie spełnionego wobec zmarłej obowiązku. Żal im natomiast było pułkownika Dobussy'ego, który szczerze opłakiwał żonę. Budził ich sympatię, zresztą to nie on był przyczyną, dla której matka zniszczyła ich rodzinę.

- Było nam razem dobrze, naprawdę - mówił do nich podczas obiadu, na który zostali zaproszeni po uroczystości. - Cieszyliśmy się, że na starość osiadziemy w bardziej przyjaznym nam klimacie. Zostałem sam, bo mój syn również już nie żyje. Zginął pod Verdun. Mam braci i siostrę, ale to już nie to samo. Może zostanieie kilka dni w moim domu? Sophie byłaby z tego bardzo rada.

Wymówili się bardzo grzecznie, tłumacząc, że już wkrótce oni obaj wracają do Polski, że czeka na nich rodzina. Nie nalegał, tylko zapraszał, by odwiedzili go za każdym razem, gdy będą u matki. Obiecali mu to, dobrze jednak wiedząc, że raczej nigdy już nie zawitają w te strony, że również nigdy nie przyjedzie tu ich ojciec. Nie odczuwali żadnych emocji i dlatego z ulgą wyruszyli wreszcie w drogę powrotną do Paryża. Nie rozmawiali więcej ani o matce, ani o pogrzebie.

- Zimno tu u ciebie - zauważył Janek, gdy przestąpili wreszcie próg domu Ali. - Powinnaś lepiej ogrzewać ten dom, bo w końcu sama zachorujesz.

- Niestety, braciszku, nie ma sposobu na tę grypę. - Zamiast Ali odezwał się Robert. - Zarażenie się nią jest jak pocisk na wojnie. Nigdy nie wiadomo, w kogo trafi. Nie pomaga ani ciepło, ani zimno, ani higiena, ani

różnorakie środki ostrożności. Jest pochodną wojny, jak wszystkie niemal zarazy w historii. To tylko nam, współczesnym, wydawało się do niedawna, że mamy to wszystko za sobą. Epidemia przypomina przemądrzałej ludzkości, że nie jest Wszechmogącym.

- Porozmawiajmy o czymś weselszym - zaproponowała Ala, co wprawiło obu braci w lekką konsternację. Nie byli pewni, jak z nią rozmawiać, w jakim stanie jest ich siostra. Wyglądało jednak na to, że panowała nad swoim życiem, że samotność tak jej nie doskwierała, jak wszyscy w Zaborowie sądzili.

- Tu jest mój dom - powiedziała spokojnie. - Tu mieszkałam z moim mężem i moim dzieckiem. Nigdzie się stąd na dłużej nie ruszę. To moje miejsce na ziemi.

W każdym pokoju widzieli przynajmniej jedną fotografię Waltera, co początkowo ich zaniepokoiło. Ala jednak nie zwracała się im ze swojej żaloby, o mężu zaledwie kilka razy wspomniała. Siostra była zatem taka, jaką ją znali od zawsze: silna, panująca nad sobą, samodzielna, nieżycząca sobie opieki ze strony rodziny. Z pewnością nie była to osoba zagubiona, która nie wie, co dalej ze sobą robić, którą można tak po prostu zabrać ze sobą do Polski.

- Pojadę tam - oznajmiła - najpierw jednak muszę poukładać swoje sprawy tutaj.

Czy naprawdę była taka silna i opanowana, czy tylko tak dobrze udawała? - zastanawiali się.

Odpowiedzi, w sposób całkiem niespodziewany, udzielił im Raul. Pojawienie się starego przyjaciela Ali było dla obu jej braci ogromnym zaskoczeniem, by nie powiedzieć szokiem. Nie spodziewali się go zupełnie. Byli przekonani, że zniknął z jej życia, że przebywa w Stanach. Okazało się, że wrócił, a przynajmniej zamierzał wrócić na stałe. Ala nie była już wprawdzie młodą panną, o którą należało się bać. Była dorosłą, w dodatku owdowiałą kobietą, a jednak Robert, jak dawniej, patrzył na Raula podejrzliwie. Czyżby to on był przyczyną, dla którego siostra tak dobrze sobie radziła? Czy, jak dawniej, był jej prawą ręką? Czy nadal służył jej pomocą? Robert nie wierzył w braterskie uczucia Raula w stosunku do Ali.

- Oczywiście, że ona jest dla niego kimś więcej - potwierdził to Janek. - Wiem o tym bardzo dobrze od kilku lat. Nie zapominaj jednak, że Ala

skończy niedługo dwadzieścia dziewięć lat. Przeżyła tragedię i coś jej się od życia należy. Ja osobiście czuję ulgę na myśl, że Renet zamierza wrócić tu na stałe.

- Mówisz jak głupiec. Przecież on ma dwoje dzieci, sam o tym wspomniał. Ma zatem również żonę albo jakąś kobietę, która jest ich matką. Jaką zatem rolę wyznaczył naszej siostrze?

Nagle Robert przerwał i zmieszany odwrócił twarz od brata. Zwyzywał Janka od głupców, a przecież sam nim był. Jak mógł zapomnieć, że kto jak kto, ale on nie ma prawa robić wyrzutów Raulowi, Ali ani komukolwiek, kto...

- Żona Reneta nie żyje od lat. - Usłyszał spokojne, rzeczowe wyjaśnienie brata. - Sądziłem, że o tym wiesz. Ala o tym wspominała, on sam zresztą także... A poza tym zastanów się... Widzisz wokół fotografie Waltera powystawiane niczym na ołtarzu. Naprawdę przypuszczasz, że ona jest gotowa na nowy związek? Nawet zupełnie niezobowiązujący? Wątpię, czy to kiedykolwiek nastąpi. Mogę się tylko modlić, aby tak się stało.

Tak, to brzmiało przekonująco. Jeszcze bardziej przekonał ich Raul, gdy pewnego wieczora wyszli we trzech do miasta. Raul za trzy dni wypływał do Nowego Jorku i zaprosił ich na pożegnalną kolację. Ala, która właśnie była z wizytą u Dominique i René, zamierzała do nich dołączyć za jakiś czas.

- Marzec w Paryżu to już jednak wiosenny miesiąc - zauważył Janek, rozglądając się po ożywionej ulicy. Nawet epidemia grypy nie mogła wyludnić placów, bulwarów i lokali tego miasta. - W naszych stronach leżał jeszcze śnieg, gdy wyjeżdżaliśmy. Wątpię, by w przeciągu tych kilku dni coś się tam zmieniło w kwestii pogody.

- Zabierzcie ją tam, tak szybko, jak to tylko możliwe - odezwał się niespodziewanie Raul, tak jakby ta sprawa nie dawała mu już od dawna spokoju, jakby tylko czekał, by się tym podzielić z nimi dwoma.

Patrzyli zaskoczeni. Nie spodziewali się tych słów, zwłaszcza od niego.

- Wracam do Ameryki i będę tu z powrotem dopiero za kilka miesięcy - wyjaśnił, ale słyszeli w jego głosie napięcie i niepokój. - Na samą myśl, że ona zostanie w tym sanktuarium, w tym grobowcu sama, robi mi się niedobrze.

- Dlaczego? - spytał zdumiony Janek. - Wydaje się, że znakomicie radzi sobie z żałobą. Wróciła do życia, widać to i słyhać.

Raul potrząsnął jednak głową.

- Pozornie jest lepiej, niż było - odparł. - Ona jednak nie pokazuje nam całej prawdy o sobie. Może wraca do życia, ale w dalszym ciągu czeka na śmierć. Sam to widziałem, więc wiem. Rozmawia z nim, słucha go, czuła jego dotyk na cmentarzu. Z naszym przyjacielem René dobrali się jak w korcu maku. Uwielbiają wręcz rozmawiać o śmierci. Dominique mnie o tym zapewniała. Słyszała kiedyś ich rozmowę, gdy sądzili, że są sami w domu. Dominique mówiła, że do tej pory czuje zimne dreszcze w krzyżu, gdy sobie to przypomina. Alice prawie udało się nas zwieść pod tym względem. W moim przypadku jednak na krótko. Zamknęła się przed nami, odgrodziła jak warownym murem. Mówi to, na co czekamy. Zachowuje się tak, jak byśmy sobie tego życzyli. To jednak pozory. Zresztą, jeśli mi nie wierzycie, spytajcie Nicole. Ona odnosi to samo wrażenie.

- Nicole? - zdumiał się znowu Jaś, a widząc, że Robertowi jakby odjęło mowę, dodał: - Przecież Nicole wróciła do Awinionu.

- Do Awinionu? - Teraz z kolei zdziwił się Raul. - Od końca lutego Nicole mieszka już w Paryżu. Ala nie mówiła wam o tym? Dom w Awinionie został sprzedany. Podzieliły się pieniędzmi, bo dom był tak naprawdę własnością dziadków Waltera. Ala jednak przekazała większość pieniędzy szwagierce. Chodziło o to, by Nicole mogła kupić jakieś niewielkie mieszkanie w Paryżu i zapewnić utrzymanie sobie i dziecku, zanim znajdzie jakieś zatrudnienie.

- Dziecku? - Robertowi jakby wróciło mowę. - Ona ma dziecko?

- Nicole wyszła za mąż? - zainteresował się Janek.

Raul aż przystanął i spojrzał na nich zmieszany.

- O cholera - powiedział. - To siostra wam nic nie mówiła? Tęgo nie rozumiem, przyznaję.

- Może zapomniała... - Jaś niedbale machnął ręką, był jednak mało przekonujący.

- Tylko mnie nie wydajcie, nie wiedziałem, że to jakaś tajemnica.

- Wiesz, jakie są baby... - Tym razem lekceważący ton Jasia był już bardziej przekonujący.

- Sam za dużo nie wiem. - Raul wzruszył ramionami. - Mnie jednak Ala powiedziała, że Nicole na dziecko. Równie dobrze wy możecie wiedzieć. W sumie jesteście rodziną. Nicole ma trzyletnią córkę. Nie wyszła za mąż.

Coś tam obito mi się o uszy, jakieś skrawki informacji o narzeczonym, który jakoby miał zginąć na froncie. Nic więcej jednak nie wiem.

- Dlaczego Ala robi z tego taką tajemnicę? - zastanowił się Jaś, a po chwili po raz drugi machnął ręką. - Nie ma na to wytłumaczenia innego, jak tylko zwykłe zapomnienie. W sumie mieliśmy inne sprawy na głowie. Przyjechaliśmy na pogrzeb naszej matki. Za kilka dni wracamy do kraju. Faktycznie, nie było nawet okazji, by rozmawiać o wszystkim. No dobrze, jesteście już prawie na miejscu. Lada moment powinna przybyć nasza siostra.

Tak rzeczywiście było. Ala przysłała nawet wcześniej, niż się spodziewali, a wieści przyniosła nie najweselejsze. Obaj synowie Dominique i René byli chorzy na grypę, toteż wizytę tam trzeba było ograniczyć do minimum. W przypadku dzieci choroba ta była wyjątkowo groźna i trzeba ją było potraktować z pełną powagą.

- Żyjemy w jakimś nierealnym świecie - stwierdziła Ala, rozglądając się po zgromadzonych w lokalu ludziach. - Cieszymy się z zakończenia wojny, a przecież wokół nas czai się śmierć. Ludzie spotykają się tam, gdzie jest najtłumniej, próbują odzyskać stracone podczas wojny lata, bawią się i tańczą, a przecież podczas epidemii takie miejsca są najbardziej niebezpieczne. Jest w tym jakiś paradoks, a może i świadome prowokowanie śmierci.

- Być może ludziom wydaje się, że najgorsze mają już za sobą - odparł Janek. - Mnie się tak wydaje. Widziałem piekło na ziemi i w pewnej chwili myślałem, że ten widok będzie ostatnim, jaki miałem okazję oglądać. W sekundę potem usłyszałem jakby wybuch we własnej głowie i niebo się nade mną zapadło. Niesamowite uczucie, zapewniam was. A jednak dostałem w darze drugie życie. Znaleźli mnie, wyciągnęli spod stosu trupów. Mogli nie zauważyć, że jeszcze oddycham, ale stał się cud. Jestem kaleką, ale żyję, a cholernie lubię żyć. Czy po tym wszystkim mam się jeszcze bać jakiejś grypy? Widziałem żołnierzy umierających na dyzenterię i tyfus. Nikt teraz nie zamknie mnie w domu z powodu grypy.

- Tak, to wszystko sprawa przeznaczenia albo głupiego przypadku - potwierdził Raul. - Trafiło w chłopaka, który biegł parę metrów ode mnie. Mnie rzuciło na ziemię, jego rozerwało na kawałki...

Przerwał i spojrzał szybko na Alę, przeklinając w myślach własną

głupotę. Ona jednak nawet nie zbladła, nie zmieniła też wyrazu twarzy. Patrzyła na niego i na obu braci spokojnie, jakby analizowali jakąś sytuację polityczną albo pasjonujące zagadnienie filozoficzne.

Tylko Robert nie włączył się do wojennych wspomnień z frontu. W ogóle niewiele się odzywał, myślami krążył gdzie indziej.

- Nie chcę już do tego wracać - powiedział w końcu. - Chcę się wreszcie otrząsnąć i wrócić do normalnego życia i pracy, do tego przerwanej przez wojnę wątku. Miałem nadzieję, że tak będzie.

Ostatnie zdanie zabrzmiało jakoś dziwnie złowroźnie i wszyscy to tak odczuli. Nikt jednak tego nie skomentował i zaraz rozpoczęła się rozmowa o konferencji pokojowej.

- To może być zmierzch Europy - mówił Raul. - Lider polityczny przybył zza oceanu i tak już zostanie. Ameryka nie wróci do doktryny Monroe.

- Skoro najsilniejsze państwo kontynentalne w Europie zostało tak sponiewierane... - Janek kiwał głową - skoro Niemcy są już niczym...

- Anglicy na to nie pozwolą. Lloyd George przyjechał tu po to, by bronić brytyjskiej polityki równowagi.

- Nie ma polityki równowagi. Potężne Niemcy zostały wykończone, a zyskała Francja.

- Z tego, co mi wiadomo, Niemcy nadal istnieją.

- Liderem jest jednak Francja.

- Zadaniem Lloyd George'a jest nie dopuścić do tego.

Robert i Ala przeważnie milczeli i spoglądali ku sobie. Nie rozumiała tych zagadkowych spojrzeń brata i jego milczenia podczas rozmowy, która tak rozpałała dwóch pozostałych biesiadników. Robert zachowywał się zagadkowo. Zapytany w końcu przez Janka o jakieś zagadnienie polityczne związane z przyszłością Turcji, wzruszył tylko obojętnie ramionami.

- Mam dość wojny i polityki. Marzyłem, aby powrócić do mojej pracy i do laboratorium, marzyłem o jednostajnym, spokojnym życiu, które tak kochałem. Marzyłem o życiu zawieszonym między Warszawą a Zaborowem...

- Nie ma już nic, co by mogło ci w tym przeszkodzić - wtrącił Jaś, który, podobnie jak cała reszta, słuchał brata zdumiony i zaniepokojony.

Robert nie odpowiedział i ponownie spojrzął siostrze prosto w oczy. Zmieszła się pod wpływem tego spojrzenia, nadal jednak nie rozumiała,

o co chodzi. Nie miała już jednak wątpliwości, że chodzi o nią, że to ona jest przyczyną jego zastanawiającego zachowania. Ogarnęło ją złe przecucie. Nie wiedzieć czemu pomyślała, że ma to związek ze śmiercią Waltera, że Robert chciał wreszcie wyjawić jej jakąś straszną prawdę. Nie mogła już jeść, tylko modliła się, aby ten wieczór wreszcie się skończył, aby mogli wrócić i porozmawiać tylko we dwoje. Nawet nie podejrzewała, z czym przyjdzie jej się zmierzyć.

W domu, gdy Raul już się pożegnał, a Janek udał się do swojego pokoju, Robert zajrzał do jej małego gabinetu i bez żadnego wstępu i ostrzeżenia zapytał o Nicole.

- Powiedz mi - zagadnął tonem niemal urzędowym - co to za historia z dzieckiem Nicole?

Nie wyjaśniał, jakim prawem w ogóle zadaje takie pytanie. Nie miało to już sensu, skoro oboje wiedzieli, jak się sprawy mają. Ala drgnęła, jakby ją ktoś uderzył. Nie była na to przygotowana. Była przygotowana wtedy, w 1917 roku, gdy oboje na krótko spotkali się w przydworcowej kawiarence. Wtedy wiedziała, co mu odpowiedzieć, gdyby zapytał. Lecz nie teraz. Właściwie nie miała pojęcia, dlaczego nie wzięła tego pod uwagę. Przecież istniało takie prawdopodobieństwo, że Robert się dowie. Przecież pewnego dnia, tak czy inaczej, dowiedziałyby się. Czy jej zmysł percepcji i funkcje mózgowe aż tak bardzo się przytępiły, że o tym nie pomyślała?

Naraz jednak poczuła gniew i urazę. Dlaczego pytał jak inkwizytor? Dlaczego nie da jej spokoju? To nie były jej sprawy, nie jej tajemnice. W jej życiu nie było tajemnic, tylko wspomnienia. Jej jedyne dziecko było dzieckiem jej męża. Niech inni odpowiadają za swoje błędy.

- Co to za historia? - powtórzyła pytanie brata i dotarło do niej, że drży na całym ciele. - Zwykła historia, mój kochany bracie. Opowieść, jakich wiele tym świecie. Jest to historia zakazanego romansu dziewczyny z mężczyzną, który ma rodzinę i zobowiązania wobec własnej żony i dzieci. Zapomniał jednak o tym wszystkim, bo cóż... jest wojna. Podczas wojny wielu tak robi, gdyż życie wisi każdego dnia na włosku. I trzeba łapać chwile. *Carpe diem*, jak mawiano niegdyś.

Mówiła z goryczą i zaciskała nerwowo dłonie. Myślała teraz o człowieku, który zapewniał ją o swojej bezwarunkowej wierności, chociaż nigdy w to nie wątpiła. Sama także dochowała mu wiary i zamierzała w tym

trwać do końca życia.

- Przestań! - Robert prawie na nią krzyknął, a ona spojrzała na niego, zupełnie oszołomiona.

- Jak mogłaś? - mówił dalej podniesionym głosem. - Pisałaś do mnie listy, spotkaliśmy się przed moim wstąpieniem do Błękitnej Armii, teraz przyjechałem tu na pewien czas, a ty... Nie wspomniałaś ani słowem. Zamierzałaś to ukrywać? Jak długo jeszcze?

Nie wierzyła własnym uszom.

- A ty? Jak mogłaś?! - odpowiedziała wzburzona, nawet nie starając się ściszyć głosu. - W Polsce została twoja żona. Wystarczyło ci kilka dni pobytu w tym domu i piękne ciało Nicole, by zapomnieć o mojej bratowej?! Dlaczego nic ci nie mówiłam? A spytałeś choć raz? Trzeba było zapytać, miałeś prawo zapytać o siostrę Waltera. Zapytałeś? Nie zataiłabym przed tobą niczego, gdybyś chociaż jednym słowem wspomniał... Choć ona sama mi zabroniła.

- Dlaczego miałyby zabronić? - Ściszył głos, wyraźnie zaskoczony gwałtownością reakcji siostry i jej słowami.

- Gdyż, szanowny bracie, w przeciwieństwie do ciebie, przynajmniej przewidziała niezawinione cierpienie twojej żony. Uznała, że tak będzie lepiej dla ciebie i twojej rodziny. A moim obowiązkiem było podporządkować się temu. Chyba że zapytałbyś...

- A ty uważasz, że takich tajemnic trzeba dochować. Jakbyś sama nie doświadczyła na własnej skórze...

- Pamiętaj, że i wobec Basi zobowiązałam się do takiej tajemnicy - wypaliła. - Zobowiązaliśmy się wszyscy, nawet ty...

- Nie mówmy o tamtej sprawie. Nie mamy na nią wpływu - przerwał jej słowa.

Umilkli oboje, jakby zmieszani pierwszą w ich życiu kłótnią. Nie spędzali dzieciństwa we wspólnej rodzinie, ominęły ich więc zwykłe konflikty między dorastającym rodzeństwem. Jako dorośli ludzie pragnęli żyć w zgodzie.

- Nie zmienię przeszłości, nie cofnę czasu - zaczął mówić dużo ciszej i w zamyśleniu. - Dlaczego tak się stało? To niezupełnie tak, jak myślisz, że zapomniałem o Baśce, bo od kilku lat nie byłem z kobietą, a nawinęła się akurat Nicole. To nie tak.

- Nie musisz mi tego wyjaśniać - odezwała się Ala, bo jego słowa zrobiły na niej przykre wrażenie. Czyżby tak się wyraziła?

- Tu nie chodziło o to, czy zapomniałem o rodzinie, czy nie. - Robert jakby jej nie słyszał i mówił dalej: - Tu chodzi o to, że nigdy nie zapomniałem Nicole. Nie widziałem jej kilka lat, a potem przyjechaliśmy oboje, niezależnie od siebie, na ślub jej brata i mojej siostry. I wtedy stało się jasne, że ona zawsze była. Te lata rozłąki niczego nie zmieniły. Zawsze była i na zawsze pozostanie.

- Nie możesz... - Ala złożyła dłonie jak do modlitwy. - Nie wolno wam teraz...

- Przecież wiem. Nie zamierzam porzucać Baśki i dzieci. Nie słuchałaś tego, co mówiłem wam dzisiaj wieczorem? Chciałem ułożyć moje życie między Warszawą a Zaborowem, między szpitalem, uczelnią i laboratorium a moją rodziną. Nicole miała mi towarzyszyć tylko we wspomnieniach. Nie jestem już młodzieńcem, a romantykiem nie byłem nigdy. Mógłbym spędzać życie jak nasz ojciec i reszta moich dni upłynęłaby mi w spokoju. Tak miało być.

- Ty chciałeś żyć jak ojciec. Czy to znaczy, że Basia miała być dla ciebie jak nasza macocha dla naszego ojca? - Ala aż zadrżała. - A nie pomyślałeś, że twoja żona inaczej to odbiera niż jej matka?

- Znowu się mylisz albo udajesz, że nie rozumiesz. - W głosie Roberta pojawiła się lekka ironia i gorycz. Jednak nie na tyle lekka, by Ala jej nie usłyszała. - Związek mój i Basi jest inny niż jej matki i naszego ojca. Ich małżeństwo zasadzało się na sile ducha, nasze... na sprawach cielesnych. Górnolotnie powiedziane, czyż nie? Staram się jednak unikać języka żołnierzy w okopach. Ojciec i Marta to starzy przyjaciele, którzy potrafią żyć na co dzień bez siebie, a gdy są razem, mogą bez końca rozmawiać albo milczeć, i jest im dobrze. Takiego duchowego pokrewieństwa nigdy nie było między mną a moją żoną. To, co nam wychodziło naprawdę dobrze, to była miłość fizyczna, chociaż i z tym bywało w pewnym momencie różnie. No, ale to nie była wina Barbary.

- Rozumiem, że żona miała ci dostarczać uciech erotycznych, gdy akurat nie zajmowałbyś się pracą i nauką. - Ala dostosowała się do jego sposobu mówienia.

Przez moment jakby rozważał, czy zaprotestować, ale w końcu dał temu

spokój.

- Nie wyjaśnię ci tego dobrze - odpowiedział spokojnie. - Zawsze wyrażę się źle, nie jestem mówcą. Nie przepadałem za ludźmi i koniecznością prowadzenia konwersacji, nie lubiłem się tłumaczyć z mojego życia ani niczego wyjaśniać. To zbliżyło mnie dziesięć lat temu do Nicole. Pod tym względem byliśmy identyczni. Nie mówiąc o tym, że łączyła nas wspólnota zainteresowań i zawsze mieliśmy o czym rozmawiać. Oczywiście, o ile nie woleliśmy akurat milczeć. Nicole jednak nie chciała zakładać rodziny, więc pożegnaliśmy się. A potem ty wyszłaś za jej brata i znowu oboje stanęliśmy na jednej drodze.

- A potem wybuchła wojna, a potem byłeś ranny, a potem dochodziłeś do zdrowia w tym domu - wyliczała Ala z goryczą. - A jednak nie musieliście zostać kochankami.

- W jaki sposób dowiedziałaś się o tym? - spytał nagle Robert. - Byliśmy pewni, że niczego nie zauważyłaś. Byłaś taka, taka nieobecna, zajęta, zamyślona...

- Istotnie, niczego nie zauważyłam. Nie pomyślałam nawet o czymś takim. Pewnego dnia lekarz w szpitalu powiedział mi, że moja szwagierka jest w ciąży. Gdyby nie Sylwia, po dzień dzisiejszy nic bym nie wiedziała, może nawet na zawsze pozostałoby to waszą tajemnicą.

- Sylwia - powtórzył Robert. - Ma na imię Sylwia?

Ala na moment umilkła i tylko skinęła głową. Patrzyli na siebie w milczeniu i już wiedzieli, że nie ma odwrotu. Już nie można się wycofać. Życie pobiegnie dalej ku niepewnej przyszłości. W tej przyszłości nie będzie miejsca na spokojną pracę i nieskomplikowane sprawy rodzinne. „Miałem nadzieję na takie życie” - mówił podczas kolacji Robert, a Ala teraz rozumiała, że brat już kilka godzin temu wiedział, że nic z tych marzeń nie będzie.

- No cóż - powiedział w końcu. - Człowiek, jak to mówią, jest kowalem swego losu. Nie chciałem przyjeżdżać na pogrzeb matki. Czułem, że może wydarzyć się coś, co sprawi, że życie stanie na głowie. A jednak uciekanie przed tym nie ma już sensu. Podaj mi adres Nicole.

- Nie, nie mogę - odparła Ala bezradnie. - Ona nie chciała...

- Ala, nie mam czasu, aby szukać ich w kilkumilionowym mieście bez adresu. Niedługo wyjeżdżam. Muszę się z nią rozmówić. Na pewno

potrzebuje pieniędzy i jakiegoś wsparcia. Życie lubi płać niespodzianki. Dziś jeszcze chadzamy po tym świecie, a jutro może nas już nie być. Dziecko w miarę możliwości potrzebuje zwrócić się do obojga rodziców. Ala, zrozum... na litość boską, jesteś przecież myślącą istotą.

Ala podniosła się, wzięła kartkę i zapisała na niej to, o co prosił.

Zanim mu ją podała, zacisnęła na moment dłoń.

- Sylwia jest śliczna i podobna jak dwie krople wody do Nicole i Waltera. Moja bratanica jest dla mnie obrazem mojej Melanie. Masz rację, życie jest niepewne. Gdyby coś złego miało spotkać Nicole, ja miałam być opiekunką jej córki. Nicole mnie do tego zobowiązała. Jednak ty masz tu większe prawa ode mnie, a i mnie duszą te tajemnice. Za dużo ich jak na jedną rodzinę. Jedź do niej i porozmawiaj. To wasze sprawy.

Rozdział 69

Stanęła jak wryta, gdy go spostrzegła u bramy kamienicy. Wracała właśnie do domu z targu z koszem wypełnionym owocami i warzywami.

- Nie za ciężki dla tak szczupłej osoby? - spytał Robert z uśmiechem, odbierając jej zakupy. Była tak zdumiona i zdezorientowana, że machinalnie podała mu kosz.

Z okna wyjrzała jej stara sąsiadka.

- Panno Perrier, ten pan czekał tu na panią już jakiś czas - oznajmiła, starając się nadaremnie ukryć wielką ciekawość.

- Tak, dziękuję pani - wymamrotała Nicole, nie mogąc oderwać oczu od Roberta.

- Gdzie jest Sylwia? - spytał Robert ciepłym i przyjaznym tonem. - Czeka na ciebie w mieszkaniu?

Dźwięk jego głosu sprawił, że pomału wróciła jej zdolność myślenia. Uśmiechnęła się blado, niepewnie.

- Ma niespełna trzy lata. Sądzisz, że zostawiłabym ją samą w domu?

Nie mógł przestać na nią patrzeć, pragnął, by mówiła, chciał słyszeć jej głos. Chciał się upewnić, że to wszystko dzieje się naprawdę, że naprawdę znowu są tu razem. Był pewien, że ona czuje to samo. Pierwsze szokujące wrażenie minęło. Szczęście i radość aż biły z jej oczu, postaci, uśmiechu.

- Zostawiłam ją w zaprzyjaźnionym domu. Ma tam towarzystwo małych dzieci, a z ich matką często tak sobie pomagamy. Czasami Sylwia bawi się w tamtym domu, innym razem tamte dzieci przychodzą do mnie. Dzięki temu my obie możemy zająć się codzienną pracą.

- Nicole - powiedział cicho jej imię.

- Chodź - odparła i ujęła go za rękę. - Zapraszam do siebie. Odniesiemy zakupy i pójdziemy po Sylwię.

Niemal w każdym oknie kamienicy tkwiła czyjaś głowa. Widać Nicole, jako samotna, niezamężna matka, musiała wzbudzać zainteresowanie. Wizyta tego przystojnego mężczyzny była prawdziwą sensacją. Otworzyła ciężkie, stare drzwi i znaleźli się w mieszkaniu. Było nieduże, ale wygodne i gustownie urządzone, chociaż sprzęty nie świadczyły o zamożności właścicielki.

Robert nie mógł uwierzyć, że jeszcze dziś rano żałował perspektywy spokojnego życia bez zbędnych wzruszeń i uniesień, spędzanego pomiędzy Warszawą a Zaborowem. Nie mógł uwierzyć, że do niedawna pragnął pracy w ciszy gabinetu i laboratorium, tylko od czasu do czasu przerywanej wizytami u żony i dzieci. Teraz pragnął już tylko tej kobiety, więc ledwo zamknęli za sobą drzwi, natychmiast dali się oboje unieść temu pragnieniu, tęsknocie i tej miłości. Świat wokół wirował, a oni jeszcze długo, ogłuszeni tym, co się stało, leżeli obok siebie i trzymali się za ręce, jakby nadal nie wierzyli, że są tu razem.

- Nie do wiary - szepnął wreszcie Robert. - Nie do wiary, że tak się broniłem przed przyjazdem na pogrzeb matki. Nie do wiary, że byłem starym grzybem, który niczego już nie oczekiwał od życia.

- Może to właśnie ostatni prezent twojej matki dla ciebie - powiedziała z uśmiechem Nicole, całując jego wargi. - Postanowiła odejść, abyś ty zaczął żyć.

- A wiesz, że to możliwe? - Robert odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech. - To akurat do niej podobne.

- Poza tym jesteśmy tak samo niemoralni jak ona.

- Mniej więcej.

- Kocham cię, Nicole - odezwał się po mniej więcej godzinie. - Boję się jednak, że cię krzywdzę.

- Nieprawda...

- Nie możemy być razem, chociaż powinniśmy...

- Wszystko rozumiem. Nie musisz tego tłumaczyć.

- Powinniśmy być razem - zawołał i ponownie porwał ją w ramiona. - Powinniśmy, tak samo jak moja siostra i twój brat. Stworzylibyśmy sobie taki raj jak oni. A potem, gdyby któryś z nas ostatecznie odeszło, wówczas to drugie, które by zostało, tęskniłoby jak Ala, słyszałoby jak Ala, czuło dotyk i ciepło jak ona. Ona wciąż należy do Waltera i teraz doskonale ją rozumiem. Czułbym to samo, gdybyś ty odeszła. Nie dałbym się zabrać z miejsc, w których byłem z tobą.

- Tak, mój kochany, właśnie tak...

- Nicole, dlaczego mi wtedy odmówiłaś? Dlaczego? Nie wierzę, że bałaś się stworzyć ze mną rodzinę.

Drżała, przytulona do niego. Przez chwilę milczała, a potem odezwała

się cicho:

- Opowiem ci o tym, ale nie dzisiaj. Chcę, abyś poznał prawdę, ale jeszcze poczekaj. Kochaj mnie jeszcze, bo niedługo musimy wyjść z domu. Musimy pójść i odebrać nasze dziecko.

Na oczach całej skupionej w oknach kamienicy, trzymając się za ręce, szli w kierunku ulicy.

- Czuję się, jakby cały świat był mój.

- Bo jest - potwierdziła ze śmiechem.

- Mam znowu dwadzieścia albo osiemnaście lat. Chociaż wtedy tak się nie czułem. Byłem książkowym molem i wszyscy kumple, razem z moim rodzonym bratem, kpili ze mnie niemiłośnierie. Byłaś pierwszą dziewczyną, która mnie zainteresowała.

- A drugą była twoja żona - dodała Nicole niewinnie i swobodnie, jakby czyniła uwagi na temat pogody.

- Tak - potwierdził Robert i nagle jakby mu przybyło lat.

Zauważyła to i mocniej ścisnęła mu dłoń.

- Nie zrobię krzywdy twojej żonie - rzekła cicho. - Wrócisz do niej i będziesz dla niej dobry. Nie może się o nas dowiedzieć. Nie możemy oczekiwać, że nas zrozumie. Wystarczy mi świadomość, że jesteś gdzieś tam, że mnie kochasz, że wiesz o dziecku. Jeśli będziesz kiedyś w Paryżu i zapragniesz mnie odwiedzić, to zrób to. Jestem twoja i zawsze będę czekała.

- Nicole - powiedział, obejmując z czułością jej ramiona - nie chcę dla ciebie takiego życia.

- Nie mamy innego wyjścia. Możemy tylko ostatecznie zerwać ze sobą kontakty, ale to przecież niemożliwe. Zresztą próbowaliśmy to zrobić dwa razy, bez powodzenia.

- Sam los nas do siebie popychał. Wiesz, że będziemy za to potępieni?

Zatrzymała się i dotknęła z czułością jego twarzy.

- Będziemy, jeśli odejdziesz od żony. Nie wolno ci tego zrobić.

Ujął dłoń, która go dotykała, i pocałował niczym relikwię.

- Jak mam z nią żyć? Sama powiedz.

Nie odpowiedziała. Przez chwilę nic nie mówili, aż wreszcie skreślił w wąską uliczkę i stanęli przed niską, czynszową kamienicą.

- Tutaj jest Sylwia - rzekła Nicole. - Poczekaj chwilkę, zaraz z nią wyjdę.

Sylwia, jego najmłodsze dziecko... Przynajmniej na razie najmłodsze. Mimo woli wzdrygnął się na myśl o ewentualnym nowym potomstwie. Chyba że byłyby to dzieci Nicole. W tych warunkach nie byłoby to jednak mądre. Czy jednak mądrość ma tu coś do rzeczy? Pomyślał o dzieciach, które zostały w Polsce - o Karolku, który powitał go wtedy jako pierwszy i nie rozstawał się z nim przez całe dni. Myślał o Karolku, którego powitał na świecie jako swojego syna, do którego przywiązał się jak do syna i nauczył się traktować go jak pierworodnego. Olaf być może nigdy się o nim nie dowie. Z każdym rokiem malało prawdopodobieństwo, by mogło się to zdarzyć. Być może, gdyby nie przypadkowa rozmowa z Raulem, on sam, Robert Matzer, nie dowiedziałby się o Sylwii. Nie poszedłby do Nicole. Bez żadnych emocji i wzruszeń wróciłby do Polski.

Przypadek i przeznaczenie. Raul miał rację. Te dwie rzeczy rządzą życiem. W jego życiu nie będzie już spokoju i wyciszenia. Nigdy nie lubił silnych wrażeń i nie szukał przygód. Teraz rozpierało go szczęście nie do opisanie. Czekają go trudne lata, ale z nikim by się nie zamienił. Nie oddałby nawet jednego dnia. Poczuł wszechogarniające wzruszenie, gdy zobaczył Nicole wyprowadzającą za rękę małą dziewczynkę. Sylwia była tak szczuplutka jak Pawełek, szczuplejsza nawet od Urszulki. Nie mógł nie pomyśleć o bliźniętach. Oczywiście były one znacznie starsze, miały po siedem lat. Ta kruszynka była jeszcze maleńkim dzieckiem. Tamte dzieci były niewiele od niej młodsze, gdy wyjechał przed samą wojną do Francji. Czy jego dzieci były do siebie podobne?

Sylwia miała bardzo ciemne, niemal czarne oczy, istotnie rypominające oczy Waltera i Nicole. Nawet spojrzenie miała identyczne jak jej nieżyjący wuj. Ala musiała ją za to bardzo kochać. On pokochał tę dziewczynkę za jej podobieństwo do matki. Była taka słodka. Podała mu rączkę i przywitała się nieśmiałym:

- *Bonjour, papa*^[1].

Nieskazitelna francuska wymowa wzruszyła go jeszcze bardziej. Nicole zdążyła już powiedzieć córeczce, że jest jej ojcem. Nie mógł się powstrzymać i chwycił dziecko na rękę.

- Dzień dobry, mój skarbie. - Napawał się dotykiem tego dziecka, jego ciepłem i zapachem.

Patrzył na Nicole, którą przecież też nie tak dawno trzymał

w ramionach.

- Ala miała rację - powiedział. - Jest śliczna. Wiesz, o czym marzę? Aby poznała swoje rodzeństwo. Przecież tak powinno być. Powinni się poznać i zaprzyjaźnić.

Nicole nie komentowała tych słów, bo nie było potrzeby. Oboje przecież wiedzieli, że ze względu na Barbarę nie będzie to możliwe.

Nie spieszili się z powrotem do domu. Poszli na spacer do Ogrodu Luksemburskiego, patrzyli, jak mała razem z innymi dziećmi biega za ptakami dziobiącymi trawę. Świeciło ciepłe, marcowe słońce i w parku kręcili się także inne pary z dziećmi i bez dzieci, a także samotne kobiety z potomstwem lub podopiecznymi. Lada moment przyroda miała już w pełni zmartwychwstać do wiosny, a Robert i Nicole wiedzieli już, że wiosna nie opuści ich nigdy. Ten dzień pozostanie w ich wspomnieniach na zawsze, nawet jeśli przyjdzie im ponownie się spotkać po bardzo długim rozstaniu.

- Błogosławię Raula za to, że się wygadał - powiedziała Nicole, gdy oboje, spacerując alejkami, starali się nie stracić z oczu córeczki. - Błogosławię też Alę, że dała ci mój adres wbrew mojemu zakazowi. Jak to dobrze, że masz taką nieposłuszną siostrę.

- Gdyby przewidziała, jak wykorzystamy to spotkanie, nigdy by na nie nie pozwoliła - odparł Robert i uśmiechnął się łobuzersko.

- Wiem. Twardo trzyma stronę swojej bratowej. Była w szoku, gdy dowiedziała się o Sylwii. Jednak kocham twoją siostrę za to, jaka jest. Walter przeżył z nią najwspanialsze lata swojego życia. Wynagrodziła mu wszystkie smutki jego dzieciństwa i młodości. Do śmierci jej tego nie zapomnę.

- Czy wiesz, że wyglądamy w tym parku dokładnie tak, jak oni by wyglądali, gdyby nie skończyła się ich bajka? Trzymaliby się za ręce, a ich Melanie biegałaby z innymi dziećmi jak nasza córka. - Robert patrzył przed siebie z zamyśleniem.

- Wiem. - Nicole przyłgnęła do niego. - Mieliby już może więcej dzieci. Nie mówmy jej jednak o nas, jeszcze nie. W końcu i tak się dowie.

- Ani mojemu bratu - powiedział z westchnieniem Robert. - On jest bez reszty oddany Baśce. Na nas powiesiłby wszystkie psy.

- Dlaczego zatem to nie on ożenił się z Barbarą? - zażartowała.

Robert nagle sposepniał. Twarz mu pociemniała i przestał się uśmiechać.

- Przepraszam, to był głupi żart. - Nicole wystraszyła się jego reakcji.

- Przyjechałem wtedy pierwszy do Zaborowa - powiedział cicho Robert.

- Basia była w kompletnej rozsypce po rozstaniu z poprzednim narzeczonym. Może gdyby to Janek zjawił się tam przede mną... Spodziewała się dziecka...

- Spodziewała się twojego dziecka, a twój brat miał się z nią ożenić? - Nicole roześmiała się.

- To nie było moje dziecko - odparł nagle Robert, jakby pod wpływem jej słów pękła w nim jakaś tama.

Uśmiech zamarł na twarzy Nicole. Patrzyli na siebie, przerażeni i oszołomieni. Do Roberta nagle dotarło, co powiedział. Niestety, słów, tak jak czynów, cofnąć się już nie da.

- Nie powinienem był tego mówić, nawet tobie - rzekł, wciąż oszołomiony tym, co się stało. - Przynajmniej tyle jej się ode mnie należy. Nicole, przysięgnij, że cokolwiek się stanie, jakkolwiek potoczy się nasze życie, nawet jeśli będziesz na nią wściekła do nieprzytomności, nawet jeśli stracisz w końcu cierpliwość i mnie zniechęcisz, nawet jeśli... Nigdy jej nie powiesz, czego się dzisiaj dowiedziałas...

- Kochanie, chyba nie mówisz poważnie? - wyjąkała Nicole.

- Wybacz, jestem głupcem - odparł i przycisnął jej dłoń do ust.

- Nigdy... Rozumiesz? Nigdy bym tego nie zrobiła. Bez słowa przyjmę od niej wszystko, jeśli się o nas jakoś nieszczęśliwie dowie. To ona ma prawo mnie zranić i zniechęcić, nigdy na odwrót - powiedziała dobitnie i spojrzała mu w oczy. - Nie bój się, nie będziesz miał z mojego powodu większych kłopotów niż obecnie.

- Nie oddałbym żadnego z tych kłopotów, które mam dzięki tobie. - Robert ponownie się uśmiechnął i wyglądało na to, że troski gdzieś się rozpierzchły.

Potem podbiegła do nich Sylwia i swoim dziecięcym szczebiotem oświadczyła, że jest głodna i chce ciastko.

- Ależ oczywiście, skarbie, moja królewno! - Robert ponownie podniósł dziecko.

„Moja księżniczko” - przypomniał sobie, jak powitał Urszulkę, i znowu poczuł ból. „Oby te dzieci jednak jakimś cudem poznały się, pokochały, zaprzyjaźniły...” - zapragnął. Ale czuł, że chyba jednak nie ma prawa o tym marzyć.

„Mała Francuzeczka” - myślał, słuchając jej paplaniny jak najpiękniejszej muzyki. „Smutne jest to, że będzie rosła tak daleko ode mnie. I że zbyt rzadko będę ją widywał. Materialnie jednak nie zabraknie jej niczego. Może dowie się kiedyś, ile dla mnie znaczy. Nicole jej powie. Alą także, jestem tego pewien. A mogłem się o niej wcale nie dowiedzieć. Mogłem się nigdy nie dowiedzieć niczego o sobie”.

[1] *Bonjour, papa* (fr.) - Dzień dobry, tato.

Rozdział 70

Dwa dni później Nicole wraz z Sylwią przyszły wreszcie do domu Ali. Ala, nieświadoma szczegółów spotkania brata i szwagierki, zdecydowała, że skoro prawda o macierzyństwie Nicole ujrzała światło dzienne, nie ma sensu unikać spotkania z Jankiem. Oczywiście Jaś jako jeden jedyny w ich gronie nie miał zielonego pojęcia, kto jest ojcem małej, i tak miało, przynajmniej w założeniu, pozostać. Spotkanie zresztą przebiegło bez zakłóceń i każdy należycie odegrał swą rolę. Z wyjątkiem Jasia, który jak zwykle nikogo innego nie grał, i oczywiście z wyjątkiem Sylwii.

- Nicole, piękna jak zawsze! - zawołał Jaś, witając się z trochę zdenerwowaną panną Perrier. - Znowu mnie zaczarowałaś, zwodnico, tak samo jak kilka lat temu.

- Jesteś łatwym materiałem do uwiedzenia. - Nicole mimo wszystko nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Tylko możliwości mam już nieco mniejsze - westchnął zabawnie Janek. - Oka nie mam, siły też już nie te.

- Na brak oka polecą niejedna dziewczyna. Może on bowiem oznaczać bohaterskiego obrońcę ojczyzny.

- Tak sądzisz? Obawiam się, że to raczej wzniosła teoria. W praktyce każda woli, jak jej facet ma wszystko, co trzeba. No, cóż będę próbował dalej. W razie czego mam już kandydatkę na żonę, a jest nią moja własna bratanica Urszulka, która najformalniej mi się oświadczyła. A kim jest ta piękna młoda dama? - zapytał i nachylił się do Sylwii.

- Sylwia - przedstawiło się dziecko.

Bezwiednie pogłaskał ją po główce, bo w pierwszej chwili nie był w stanie odpowiedzieć. Z małej, drobnej twarzyczki patrzyły na niego oczy zmarłego szwagra. Dziewczynka była do niego tak uderzająco podobna! Jeszcze bardziej niż do matki!

- Walter szalałby na jej punkcie. - Janek nie potrafił oprzeć się tej uwadze.

- Pożegnał ją, zanim wyruszył stąd po raz ostatni - szepnęła Ala i uśmiechnęła się do tego wspomnienia oraz do brata.

Jaś odetchnął, bo nie był pewien, jak siostra przyjmie jego uwagę.

Spojrzał wobec tego na wzruszoną wspomnieniem Waltera Nicole i mrugnął do nich.

- Szukałaś, Nicole, praw fizyki w gwiazdach i rozwiązywałaś zagadki matematyczne, które wymykały się mojemu rozumieniu, a tymczasem szczęście znalazłaś na ziemi, jak inne śmiertelnice.

- A może właśnie spadło mi ono z tych gwiazd? - odpowiedziała pytaniem i uśmiechnęła się figlarnie.

- Bardzo wygodne wytłumaczenie.

- Czyżbym obraziła twoją moralność?

- Moją moralność? Nic takiego nie istnieje. Zawsze wisiała na włosku, a wojna nie takie włosy zrywała.

„Nie żartowałbyś tak, gdybyś znał prawdę o tym dziecku” - pomyślała Ala i była pewna, że te same refleksje towarzyszyły teraz Nicole i Robertowi.

- Jestem za tym, aby rodziło się dużo dzieci - dodał potem Janek. - Kto tylko jest w stanie, niech robi dzieci. Zginęło zbyt wielu młodych ludzi. A wielu z tych, co przeżyli, nigdy już dzieci mieć nie będzie.

Naraz głos mu się załamał i odwrócił głowę. A do pozostałych nagle dotarła cała groza jego słów. Nagle zrozumieli, że mówił o sobie.

„A więc tylko dzieci Roberta” - pomyślała przygnębiona Ala. „Naszą rodzinę poprowadzą dalej tylko dzieci Roberta. Muszą trzymać się razem. W pewnym momencie, gdy nas zabraknie, pozostaną tylko one. Będą miały tylko siebie. Muszą się zebrać i żyć w zgodzie i przyjaźni. Ale jak tego dokonać? Jak?”

Następnego dnia Robert i Janek wyjechali do Polski.

- Dobrze, że Robert wie o Sylwii - powiedziała Nicole najbardziej obojętnym tonem, jaki można sobie wyobrazić. - Dzięki temu będę spokojniejsza o przyszłość małej. W razie gdyby coś mi się stało, Sylwią możesz zaopiekować się ty, a Robert ci pomoże.

Alę zwiódł obojętny głos szwagierki. Wyglądało na to, że sprawa znalazła w miarę bezbolesne rozwiązanie. Wszyscy, świadomi prawdy, mogli przynajmniej w jakiejś mierze czuć satysfakcję, w każdym razie na tyle, na ile było to w danej sytuacji możliwe. Jeśli coś zaniepokoiło Alę, to raczej te słowa o śmierci. Walter też próbował mówić z nią o śmierci, jakby przeczuwał. Czyżby i Nicole...?

- Dlaczego ostatnio mówisz, że może ci się stać coś złego? - spytała w końcu z zalem. - Skąd takie myśli?

- Och, Alice, to tylko ostrożność - powiedziała z uśmiechem Nicole. - To ostrożność samotnej matki, nic więcej. Zapewniam cię, że pragnę żyć, bardziej niż kiedykolwiek. Niestety, trzeba być przygotowanym na wszystko. Zawsze mądrzejsze wydawało mi się średniowieczne *memento mori* niż starożytne *carpe diem*.

- Bo średniowiecze było rzeczywiście mądrzejsze, nie tylko pod tym względem - przyznała Ala. - Jednak pamiętaj, siostró Waltera, że musisz żyć nie tylko dla swojej córki. Także dla mnie.

- Spokojnie, Alice... - Nicole uśmiechnęła się tajemniczo. - Zresztą jest przecież ktoś, na kim w razie czego możesz się oprzeć pewniej niż na mnie.

Ala spojrzała pytająco, lecz już po chwili widać było, że nie obchodzi jej odpowiedź.

- A ty po staremu nic nie zauważasz, niczego się nie domyślasz - dodała Nicole. - Upadła nasza cywilizacja, przeżyliśmy koszmar wojny, a Alice pod pewnymi względami nic się nie zmieniła.

- Nie będziemy o tym mówić - rzekła łagodnie, lecz stanowczo, Ala. - Pokochałam twojego brata siedem lat temu i zamierzam kochać go do śmierci, jego jednego.

„Pokochałam twojego brata dziesięć lat temu - pomyślała w przebłysku zrozumienia Nicole - i również będę należeć tylko do niego... Kiedy tylko on przyjedzie i tego zapragnie. Kiedyś ci o tym powiem lub napiszę. To nie pozostanie tajemnicą na całe życie. Przynajmniej ty i moja córka będziecie o tym wiedziały”.

Nicole, moja Kochana!

Tak się cieszę, że tak szybko odpisałaś, że dobrze się czujecie i otrzymałaś pieniądze. Mówiłem Ci i pisałem, że niczego Wam nie zabraknie. Jeśli będziesz potrzebowała dodatkowej pomocy materialnej, pisz natychmiast. Z radością Ci pomogę. Co u mnie? Pozornie jest tak, jak sobie to wymyśliłem w trakcie wojny. Pracuję w gabinecie ojca w Warszawie i przejmuję coraz więcej jego obowiązków i pacjentów. On jest już coraz bardziej zmęczony, daje mu o sobie znać jego wiek. Całe życie był bardzo aktywny i pracował na okrągło. Wykłady, laboratoria, wyjazdy na zagraniczne sympozja, pacjenci w szpitalu, w gabinecie. Takie było jego życie i takim go pamiętam. Jednak zawsze miał w sobie wielką pasję i chęć takiej aktywności. Teraz to się zmienia i widzę z dnia na dzień to jego zmęczenie, postępujący smutek i rezygnację. Wiem nawet, o co chodzi w tym wszystkim. Nie trzeba być geniuszem, aby to zgadnąć. Wykończyła go wojna, opieka nad rannymi w warszawskich szpitalach, praca, która wyczerpywała fizycznie i psychicznie silniejszych i młodszych od niego. Przybiła go śmierć Waltera, bo naprawdę kochał go jak rodzzonego syna, i dziękował Bogu na kolanach, że zesłał Ali takiego męża. Dlatego śmierć twojego brata była dla niego ogromnym ciosem i często o tym wspomina. Dobija go samotność i wdowieństwo Ali. Prawie życiem przypłacił fakt, że Janek omal nie zginął pod Kostiuchnowką. No i śmierć naszej matki... Widać, że to zabolowało go do żywego. Nigdy nie wyleczył się z tej kobiety. Zawsze mnie to dziwiło i oburzało. Przecież ożenił się po raz drugi z taką wartościową osobą!

Teraz już mnie to nie oburza. Teraz go rozumiem. Ty wiesz dlaczego. Nie wszystko można podporządkować rozumowi i rozsądkowi. To zresztą czyni mojego ojca w jakiś sposób bardziej ludzkim, to znaczy bardziej zwyczajnym, podobnym do przeciętnego człowieka. Tylko polityka pasjonuje go jak dawniej. Tym bardziej że w naszym odrodzonym państwie tyle się dzieje i tyle nas jeszcze czeka.

Dobrze, że moją codziennością jest Warszawa. Stolica rozwija się imponująco, kwitnie życie polityczne, kulturalne i towarzyskie. Mamy

polskie teatry, kabarety, lokale literackie. Dziwisz się pewnie, Kochanie, skąd u mnie zainteresowanie kwestiami polityki, kultury i towarzystwa. Nie biorę w tym przecież udziału, więc pewnie zastanawiasz się, czemu o tym wspominam. Sam nie wiem. Czuję się jak młody chłopak, jak student i cieszę mnie sprawy, które były mi zupełnie obojętne, kiedy naprawdę byłem młody. Tak jakbym odzyskiwał młodość. Ty to sprawiłaś, Kochanie, chociaż sama również żyjesz bardzo spokojnie i całe bogactwo urody życia czerpiesz z wnętrza twego umysłu i serca. Obudziłaś mnie jednak do życia, i to nie po raz pierwszy. Jesteś moją radością i sensem wszystkiego. Pragnę Cię i tęsknię jak idiota, ale mogę to jeszcze wytrzymać.

W pewnym momencie przyjadę do Paryża pod byle pretekstem i spędzimy jakiś czas razem. Kocham Cię, a także wszystkie moje dzieci, i nie przestanę marzyć o tym, byśmy kiedyś mogli wszyscy się spotkać. Powiesz, że to niemożliwe. Wiem, ale może kiedyś... Tyle że nie mogę w tej akurat sprawie modlić się ani liczyć na cud.

Nie pytasz mnie o to, kochanie, lecz wiem, że powinienem napisać Ci coś jeszcze. Co z Barbarą? Ano, nic szczególnego. Jest tak, jak sobie tego życzyłaś. Odwiedzam ją i dzieci regularnie. Żyję z nią, bo widzę, że ona tego potrzebuje, że poprawia jej to nastrój. Jest na swój sposób bardzo zmysłową i atrakcyjną kobietą i ma swoje potrzeby. Wystarczy je zaspokoić i już jest szczęśliwa. Ma tak niewielkie wymagania. Jest dobra i miła, bez reszty oddana dzieciom i majątkowi, który odziedziczy. Jest mi także oddana jako żona. Przykro mi, gdy to widzę. Nie mogę jej niczego zarzucić. Dawno temu życie z nią bywało trudne, ale teraz bardzo się stara, bardzo jej zależy. Zgadza się bez protestów na to, że żyjemy na co dzień na odległość, zgadza się na moje wyjazdy. Ciepła i dobra, jak domowa szarlotka.

To okrutne, Nicole, ale taka jest prawda. Też się staram, bo prosiłaś mnie o to, i czuję, że to nie jej wina. Moja jednak też nie, ani Twoja. Mogę się zmusić do bycia jej mężem, ale nie do tego, aby naprawdę z nią być i ją kochać. Oby się tego nie domyśliła i nie dowiedziała. Nie obchodzi mnie to, że nie wybaczyłaby mi. Nie śmiałybym ją o to prosić. Obchodzi mnie jednak jej cierpienie, całkowicie przez nią niezawinione. Miałaś rację, Nicole, że nie wolno rozbijać rodziny. Wprawdzie i tak już

ją rozbiliśmy, ale formalnie ona nadal istnieje, a w dodatku nie wie o tym, że tak właśnie jest.

A jednak nie mógłbym ich zostawić, tak jak moja matka zostawiła ojca i nas. Ojciec nigdy się po tym nie pozbierał i z Barbarą byłoby podobnie. Tłumaczyłaś mi to, wiem, że tak jest. Niestety najwyższą cenę płacisz za to Ty i nasza słodka kruszynka, moje ukochane dziecko, które będzie mnie tak słabo znało. Gdy jestem w Zaborowie, prawdziwą pociechą są dla mnie właśnie dzieci. Wyjątkowe, mądre i każde inne.

Od września Karol pójdzie do szkoły katolickiej do Krakowa. Szkołę prowadzą duchowni, podobno jest na wysokim poziomie. Zdał wszystkie niezbędne egzaminy i został przyjęty. Myślę, że będzie tęsknił za matką i za Zaborowem, nie wiem, czy będzie czuł się dobrze w szkole z internatem. Tak jednak zdecydowała jego matka i nie zamierzam się wtrącać. W razie jakichś problemów jestem gotów zabrać go do Warszawy i tu zapisać do szkoły, ale świeckiej. Młodsze dzieci na razie uczyć się w domu, a po roku mają również zostać wysłane do Krakowa, chociaż, jeśli chodzi o Pawła, nie bardzo to sobie wyobrażam.

Uważaj na siebie, Kochana, i nie przestawaj o mnie mówić naszemu dziecku. Czekam na wiadomość, stale jesteście przy mnie.

Robert

Robercie, mój najdroższy!

Wszystkie potrzeby materialne mamy zaspokojone, więc nie trapij się tym, proszę. Sylwia i ja czujemy się nadal dobrze, choć epidemia nie daje za wygraną, ale tak jest na całym świecie.

Pamiętasz Dominique i René, moich i Ali przyjaciół? Na grype zmarł ich młodszy syn i choć starszy wyzdrowiał, René nie potrafił się z tą tragedią uporać. Może doszedłby do siebie i pomógł w żałobie swojej żonie, ale przed śmiercią dziecka był już wrakiem człowieka. Wojna całkowicie zniszczyła jego psychikę, stale wspominał zmarłych na froncie przyjaciół, był jakby pogrążony w mroku śmierci. Odejście młodszego synka załamało go do reszty. Powiesił się w ogrodzie za domem i tam znalazła go żona. Obie z Alą bałyśmy się, że teraz z kolei Dominique postrada zmysły, ona jednak zachowała przerażający spokój.

- Wiedziałam, że to się stanie - powiedziała tylko. - Wiedziałam od

momentu, gdy wrócił z frontu. Najgorsze było czekanie na ten dzień. Nikt nie mógł nic poradzić. Wiem, że jego matka oskarżyła o jego śmierć mnie. Uznała, że mogłam jednak coś zrobić, dopilnować. Ja jednak nic nie mogłam już zrobić, a pilnowanie dorosłego mężczyzny jak małego dziecka przerosło moje możliwości.

Na pogrzebie byliśmy tylko my, kilkoro innych przyjaciół i oczywiście rodzina. Matka René płakała i histeryzowała przez cały czas ceremonii, ale Dominique była zupełnie wyciszona i spokojna.

- Mogłaś chociaż udawać, że jest ci go żal - wyrzucała potem teściowa biednej Dominique, gdy wychodziliśmy z cmentarza. - Ożenił się z tobą, bo byłaś w ciąży. Mogłabyś okazać mu jakąś wdzięczność i uronić chociaż parę łez. Ja zawsze marzyłam o innej żonie dla niego.

- Może inna byłaby lepsza - Dominique tylko pokiwała głową - ja jednak nie żałuję ani jednego dnia z nim spędzonego. Wolałabym, aby został ze mną dłużej, lecz on widać uznał, że jest potrzebny tam, naszemu synkowi. Ja zostanę z jednym, a on poszedł za drugim. Może miał rację...

Nie zwracała już uwagi na skamieniałą ze zdumienia teściową. Ja również byłam w szoku. Skąd jej takie pomysły przyszły do głowy? Tylko Ala jakby zmieniła się na twarzy, lecz nie wyglądała na zdumioną.

- To Ala nieumyślnie poddała mi taką myśl - przyznała się Dominique, gdy rozmawialiśmy kilka dni potem. - Powiedziała, że tak napisał jej Walter w swoim ostatnim liście. Napisał, że jeśli nie przeżyje kolejnej ofensywy, to znak, że jest potrzebny małej Melanie. Nie mogłam o tym zapomnieć. To najsensowniejsze wytłumaczenie takiej śmierci, jakie słyszałam.

Piszę Ci o tym, bo nie potrafię jeszcze rozmawiać o tej sprawie z Alą. Do tej pory nie powiedziałyśmy sobie, o czym Walter napisał do nas w listach, które okazały się pożegnalnymi. Nie porozmawiamy już o tym, gdyż każdy kolejny dzień coraz bardziej nas od tego oddala. Pokażę Ci kiedyś te ostatnie słowa mojego brata skierowane do mnie. Pisał też o żonie. Prosił, bym nie zostawiała Ali, bym przeniosła się do Paryża i uczyniła wszystko, aby Ala ułożyła sobie życie na nowo z kim innym, jeśli pojawi się taka możliwość. Chciał, aby była jeszcze szczęśliwa. Nie przewidział mój kochany brat, że będzie to zadanie nie

do wykonania dla mnie... Nie można nikomu wymazać z myśli, głowy i serca jednej osoby, by zastąpić inną. Teraz i ja to wiem, chyba zresztą wiedziałam od lat. Czy Ala potrafi pojąć, jak dalece ją rozumiem? Tak bardzo chciałabym już jej opowiedzieć o nas, lecz jeszcze tego nie uczynię. Czuję i wiem, że tu może przebiegać granica naszej przyjaźni, a przyjaźń Twojej siostry jest dla mnie bezcenna.

Jednak Ala jest bardzo związana z twoją żoną. Barbara wręcz uważa ją za siostrę. To, przynajmniej na razie, zamyka drogę dalszym zwierzeniom.

Myślę, że Ala w czerwcu lub w lipcu zdecyduje się w końcu na wyjazd do rodziny, do Polski. Nie chce jechać na długo, cały czas się w tym zastrzega, ja jednak usilnie ją namawiam. Powinna jechać, to jej dobrze zrobi. Chyba mnie posłucha, choćby w tym jednym.

Tęsknię za Tobą i nie pozwalam Sylwii o Tobie zapomnieć. Gdy podrośnie, sama będzie do Ciebie pisać swoje własne listy. Nie mogę się już tego doczekać. Wiem, że któregoś dnia przyjedziesz, lecz nie działaj pochopnie. Musimy być ostrożni, nie ze względu na nas, ale na Twoją rodzinę. Jest dokładnie tak, jak Ci mówiłam i jak sam piszesz. Twoja żona nie zasłużyła na to, co się stało. Nie powinna cierpieć. My też nie, więc nie zrezygnujemy z siebie, nawet jeśli kiedyś za to zapłacimy. To jednak będzie tylko nasz wybór. Wiem, że jeszcze nie raz będziemy się kochać, i wyobrażam sobie te chwile, gdy razem zawieziemy naszą córkę do szkoły. Razem wybierzemy tę szkołę i razem będziemy podejmować decyzje dotyczące naszego dziecka. Nie zrobię nic, zanim nie zapytam Ciebie o zdanie. Sylwia zawsze będzie wiedziała, że ma ojca, który ją kocha, i że ma rodzeństwo, które kiedyś spotka. Nikt przecież nie zabroni im tego, gdy będą już dorośli. Nie będą mieli tylko wspólnego dzieciństwa, ale trudno. Z tym musimy się pogodzić. Ty i Twoja siostra też wychowywaliście się osobno, a jednak jako dorośli ludzie staliście się sobie tacy bliscy.

Jeśli o mnie chodzi, mam jeszcze jedną dobrą wiadomość. Podjęłam pracę w liceum w Paryżu, gdzie wykładałam matematykę i fizykę. To renomowana szkoła i duże wyzwanie, przyjęli mnie jednak bez problemów. Mam przecież odpowiednie świadectwa i dyplom. W opiece nad Sylwią pomaga mi wtedy Twoja siostra i zaprzyjaźniona rodzina,

o której Ci już mówiłam. Mam silną motywację do pracy oraz chęć życia.

Marcjanna rozprawiała właśnie z Katarzyną na temat ostatniej ulewy, gdy niespodziewanie podeszła do nich Ala. W pierwszej chwili zaniemówiły i niemal się przelękły. Katarzyna nawet ledwo dostrzegalnym gestem wykonała znak krzyża.

- Nie poznajecie mnie? - spytała cicho Ala. - Aż tak się zmieniłam?

- Wszelki duch Pana Boga chwali, toż to naprawdę panienka Alicja - wyszeptała Marcjanna i drżącą ręką dotknęła ramienia Ali, jakby ostatecznie chciała się przekonać, że ma do czynienia z istotą z krwi i kości, a nie ze zjawą.

- Ano, ja - odparła Ala i poczuła łzy napływające do oczu, co było czymś niezwykłym. Nie potrafiła bowiem płakać od śmierci Waltera. Te niewypłakane łzy znajdowały się do tej pory gdzieś w jej wnętrzu niczym w zamkniętej twierdzy. Aż do tej chwili.

- Jezusie Nazareński, Matko Przenajświętsza, a skąd panienka tak nagle się tu wzięła? - Katarzyna dygotała na całym ciele. - Po tylu latach, tak niespodziewanie... Wiedzieliśmy oczywiście, że panienka planuje przyjazd, ale to nie było jeszcze takie pewne. Nikt nie miał pojęcia, kiedy to nastąpi, a niektóre to w ogóle wątpiły...

- Pani, nie panienka - poprawiła Marcjanna i nagle rozplakała się. - Ale dla nas zawsze panienka, tak jak nasza panna Basia. Nic nie poradzimy, trudno na starość zmienić przyzwyczajenie i myślenie. Nic się panna Alicja nie zmieniła - dodała po chwili już pewniejszym głosem. - Cały czas taka młoda dziewczyna jak zawsze. Wszędzie bym panią poznała, tylko w pierwszej chwili przeraziłam się, czy... - Przerwała zmieszana.

- Czy to nie widmo z zaświatów! - Ala próbowała się roześmiać, ale łzy ścisnęły ją za gardło.

Widziała ich spojrzenia i wiedziała, o czym obie służące myślały. Wciąż miała na sobie żałobną, czarną sukienkę, czarny, chociaż letni, kapelusz. Wciąż była blada i wymizerowana na twarzy. Ją samą niewiele to obchodziło, ale na otoczeniu ludzi, którzy ją znali, musiało wywierać przygnębiające wrażenie. Jej oczy były wciąż przygaszone i smutne, choć przyciągały uwagę jak dawniej. Jakie to jednak mogło mieć teraz dla niej

znaczenie?! Nie interesowały ją spojrzenia mężczyzn, w tym sensie dla niej nie istnieli. Nie chciała jednak martwić bliskich jej ludzi, więc spróbowała i teraz żartować.

- Nie jestem duchem i nie przybyłam z krainy cieni, aby was zawiadomić o mojej śmierci. Długo nie mogłam zdecydować się, czy jechać w tak daleką podróż. Nie miałam siły tego planować i nie wyobrażałam sobie, czy temu podołam. Szwagierka i przyjaciele w końcu kupili mi bilet i zapakowali do pociągu. Widać uznali, że i im należy się jakiś odpoczynek ode mnie.

- Niech będą błogosławieni ci pani przyjaciele. Trzeba było chociaż jaką depeszę wysłać! Przygotowalibyśmy się jak należy.

- A po co? Co ze mnie za gość! Chciałam was zobaczyć bez tych przygotowań, tak na co dzień. Chciałam zobaczyć Zaborów moich wspomnień.

- Oj, tego już panienka nie zobaczy. Wszyscy zbiednieli, to i Zaborów podupadł. Na gwałt trzeba remontu. I tak dziękować Bogu, że z dymem wszystko nie poszło, tak jak to w całym kraju bywało. Szczęśliwie, dzięki pomocy Przenajświętszej Pani, ocaliliśmy.

- Ocaliliśmy, ale różne wojska tu były. Wykarcić trzeba było, a i uważać na nich też trzeba było - dodała Marcjanna, nie chcąc, aby sama tylko Katarzyna przejęła rozmowę. - A jak wojska odchodziły, to biedy różnej tłumu tu przychodziły. Pokoje już nie te, co dawniej, sama pani zobaczy. Ściany pobrudzone, dywany niektóre zdeptane. Inne dywany na szczęście w porę udało się pozdejmować z podłóg.

- Ale co tam dywany! - zawołała Katarzyna. - Ludzi tylu naginęło! I starych, i młodych. Zaczęło się, jak ci barbarzyńcy spalili Kalisz. Pasierb mój zginął, inni tu też w żałobie chodzili...

Nagle przerwała i spojrzała niepewnie na Alę. Ta oczywiście rozumiała, w czym rzecz, i szybko uściśnięta uspokajająco dłoń pocziwej służącej.

- Tak - rzekła łagodnie, bo należało i przez to przejść. - Ja też zostałam sama.

To przełamało wreszcie wszelkie opory. Obie służące tuliły do siebie panienkę, która zawsze wzbudzała ich sympatię, a potem głębokie przywiązanie, nad którą tyle razy nawydziały się z powodu jej oryginalności i niezależności, której szczęściem małżeńskim wreszcie tak się

cieszyły. A potem były myślami, łzami i modlitwami wraz z nią, gdy spadła na nią jedna żałoba po drugiej. Chciały teraz wyrazić jej tę swoją miłość, przyjaźń i współczucie najlepiej, jak umiały. Wypowiadane głośno słowa nie były potrzebne.

„Niech cię Bóg błogosławi” – myślała Katarzyna i była przekonana, że to samo chodzi po głowie Marcjanny. „Nie będziesz ty, niebogo, całe życie płakała. Za młoda jesteś, za ładna na tę czerń”.

- Pan Robert to nam opowiadał, że wszędzie po świecie tylu ludzi naginęło - odezwała się wreszcie Marcjanna. - Wszędzie tak cierpieli, wszędzie był płacz i morze krwi. Ja to nawet czasem myślałam, czy to nie koniec świata nastął za tyle grzechów.

Objęte wespół, weszły do starego pałacu i wtedy Ala poczuła, jak ściska się jej serce. Oczywiście, że dom najlepsze lata miał już za sobą. Nawet jeśli w końcu zostanie przeprowadzony remont, a podłogi, meble i ściany będą odnowione, to już nie będzie ten wytworny, wysmakowany szyk, który pamiętała sprzed wojny.

To jednak nieważne, w każdym razie nie najważniejsze. To był dom, który nauczyła się przed laty kochać, to był dom, w którym mieszkali kochający ją ludzie. Tu była zawsze uważana za córkę, za siostrę, za „naszą panienkę”. Tu zawsze na nią z wytęsknieniem czekano. Tu wreszcie po raz pierwszy zaznała miłości i przeżyła upojenie rozkoszą, ból upokorzenia i poczucie winy. Tu wreszcie przyjechała po ślubie z Walterem, którego tu wszyscy zaakceptowali i polubili. Tu mieli jeszcze wrócić wszyscy troje, razem z Melanie. Wróciła sama. A jednak tu był jej drugi dom. Nicole miała rację, gdy ją przekonywała, że przyjazd do Zaborowa jest jej tak potrzebny jak spragnionemu woda.

Na powitanie wyszedł posiwiały Antoni i rozplakał się na jej widok. Nie dbając o zachowanie form i etykiety, której całe życie starał się przestrzegać, tulił w ramionach „drogą pannę Alę”.

- Jak pani się tu dostała? Gdzie konie? Gdzie bagaże? - pytał dalej, starając się bez powodzenia narzucić sobie spokój.

- A właśnie, zupełnie o tym nie pomyślałam! - krzyknęła zapłakana Marcjanna. - Jednak, jak zobaczyłam pannę Alę, nie w głowie mi były bagaże.

- Mam w torebce podróżnej najbardziej niezbędne rzeczy - odparła

rezolutnie Ala, broniąc się jeszcze przed łzami. – Reszta bagażu przyjedzie wieczorem. Na stacji nie mieli akurat wolnych koni, a ja nie chciałam tam czekać jeszcze kilka godzin.

– Przyszła pani od samej stacji z Hajnowa? – wykrzyknęła zdumiona pokojowa Zosia. – Toż to pięć kilometrów!

– Ot, prawdziwa fantazja paryska – wykrzyknął ze śmiechem mąż Zosi, Jan, i przywitał Alę. – Mogłaby pani w wojsku służyć jak prawdziwy piechur. Nie takie kilometry tam się przemierzało, ale nie wątpię, że dałaby pani radę.

– Trzeba było chociaż zatelefonować ze stacji! – gderał Antoni. – Tamtejsi pracownicy też rozumu nie mają. Żeby tak samej iść przez pola i zagajniki przez pięć kilometrów. Takie niebezpieczeństwo!

– Niech pan nie przesadza, Antoni – roześmiała się w końcu Ala i zaraz spoważniała. – Nie rozumiecie? Chciałam odbyć tę drogę sama. Chciałam patrzeć na te miejsca, pola i lasy i wspominać. Sama. Bez rozmów, bez towarzystwa, a potem zobaczyć was znienacka w tej waszej codzienności i na chwilę... wyobrazić sobie... że jest... jak wtedy...

Zrobiło się cicho. Patrzyli na siebie, wzruszeni, i nie wiadomo, jak długo jeszcze trwaliby w tej wypełnionej radością i łzami ciszy, gdyby nie rozległ się tupot nóg na schodach. Biegła Basia, przeskakując jak mała dziewczynka po kilka stopni i wyciągając przed siebie ręce. Beładnie coś krzyczała, a zaraz za nią pojawiła się trójka jej dzieci. Zanim Ala zdążyła się im przyjrzeć, już niemal utonęła w siostrzanych, stęsknionych ramionach Barbary.

– Przyjechałaś, moja sestro – mówiła ze szlochom bratowa. – Jak zwykle... Wtedy gdy tak cię potrzebuję. Jesteś, naprawdę, jesteś.

– Tak, kochanie, jestem. – Ala z trudem wydobywała z siebie głos.

Nie mogła przyjrzeć się przybranej siostrze, bo ta zbyt blisko tuliła ją do siebie.

– Mamo, co się stało? Kim jest ta pani? – zapytała mała dziewczynka stojąca obok i wlepiająca w nie swoje śliczne, ciemnobrązowe oczy.

Zanim Basia zdążyła zareagować, po schodach zeszła Marta. Spokojna, opanowana i zawsze z godnością wyprostowana, dziedziczka Zaborowa jak zwykle starała się dawać przykład dobrych, wielkopańskich manier i nie rozklejać się na oczach domowników i służby. Była jednak głęboko poruszona

i nie zdołała tego ukryć.

- Wielkie nieba! - zawołała. - Jakżeś się tu znalazła, dziewczyno?!

- Sama... pięć kilometrów... - próbował wyrazić swoją ogromną dezaprobatę Antoni.

Fala ciepła i nagłe poczucie ukojenia dosłownie zalały serce Ali. Od dawna już wiedziała, że potrafi dogadać się, i nawet zaprzyjaźnić, z macochą. Czasy nieporozumień, wzajemnych pretensji, a nawet wrogości, miały już za sobą. To jednak, czego Ala doświadczyła w tej chwili, było zupełnym olśnieniem, objawieniem, nowością. Marta objęła ją czułym, macierzyńskim gestem, którego Ala nie zaznała nigdy, a w każdym razie nie pamiętała. Objęła ją matka, chociaż nie ta, która urodziła. Tamta rozminęła się ze swoim macierzyńskim powołaniem. Marta miała je we krwi, choć nie szafowała nim zbyt często, zawsze jednak, gdy było trzeba.

- Mamo - wyszeptła Ala najciszej, jak mogła, bo nie chciała, by ktokolwiek ją usłyszał. Nie była nawet pewna, czy chce, aby usłyszała ją Marta. Ta, jeśli nawet usłyszała, nie dała tego po sobie poznać.

„Jak ubogi jest człowiek, który nie poznał dotyku matki, jej czułości” - pomyślała Ala i w tym momencie poczuła łzy na policzkach, te łzy, które nie mogły się z niej wydostać po śmierci Waltera. Nie pojawiły się nawet wtedy, gdy poszła odwiedzić jego grób. Teraz szlochała jak dziecko, które w ramionach matki szuka pociechy, pomocy i obrony. Wokół zaś stali przyjaciele, którzy niczego nie komentowali, a potem dyskretnie odchodzili, ocierając oczy. Spadał z niej ten nieznośny, dławiący ją przez lata ciężar. Jakże potrzebowała tych łez!

Obok niej i Marty została tylko Basia i dzieci. Karol, Urszulka i Paweł nic nie rozumieli, w dodatku poczuli jakies nieuzasadnione zagrożenie. Barbara dosłownie została zarzucona ich pytaniami, na które na razie nie była w stanie, sama półprzytomna, sensownie odpowiedzieć.

- Mamusiu, kim jest ta pani?

- Mamusiu, dlaczego ona tak płacze? Może jest głodna?

- Mamusiu, czy to ciocia Ala z Paryża?

- Mamo, odpowiedz w końcu!

- Mamo, dlaczego babcia teraz płacze?

- Mamo, dlaczego ty płaczesz?

Rozdział 73

- A jednak jest jak dawniej - rzekła Ala, zasłuchana w ciszę czerwcowej nocy.

Ciszę te przerywało tylko cykanie świerszczy, rechot żab z pobliskiego stawu, leciutki szum gałęzi drzew poruszanych słabym, ciepłym wietrzykiem. Balsamiczne powietrze przynosiło ukojenie i odpoczynek po upalnym dniu. W powietrzu unosił się zapach świeżo skoszonego siana. Było już zupełnie ciemno i obie z Barbarą nie do końca były pewne, która to już godzina wybiła na starym zegarze w salonie. Podejrzywały, że w końcu świt zastanie je w zaborowskim ogrodzie, gdzie cały czas spacerowały lub siadały dla odpoczynku na ławce. Nie potrafiły przestać rozmawiać, ale czy można w ten sposób nadrobić pięcioletnią rozłąkę?!

Zaniepokojony ich nocnym spacerem po parku Antoni próbował dać do zrozumienia obu panienkom, aby wróciły do pałacu i nie pozostawały tak długo na dworze.

- Daj spokój, Antoni, przecież nie jesteśmy obie małymi dziewczynkami - próbowała mu perswadować zniecierpliwiona Basia. - Wojna już się skończyła i żaden żołnierz nie zagraża już naszej czci.

- Na litość boską, panienko, co też panienka opowiada? - protestował, wyraźnie zmieszany i oburzony Antoni. - A poza tym nadal nie jest bezpiecznie. Wszędzie jacyś podejrzani włóczędzy. Nie jest już tak bezpiecznie jak dawniej.

- Nie może być - zawołała ubawiona Basia. - Wychodzi więc na to, że za Franciszka Józefa było bezpieczniej niż w wolnej Polsce!

- Panna Basia jak zwykle łapie mnie za słowa. Wiadomo, że nie ma to jak własne państwo. A jednak te pierwsze lata po wojnie nie są bezpieczne. Nie raz widziałem, jak czasem ktoś obcy włóczył się po naszym parku. Dawniej nie trzeba było tak wszystkiego pilnować. Ludzie sami wiedzieli, gdzie im wolno wchodzić, a gdzie nie. W czasie wojny wszystko stanęło na głowie. Wchodził tu, kto chciał, i prawie tak samo zostało. Kiedy znowu ludzie zaczną szanować święte prawo własności?!

- Może już nie zdążą - przekomarzała się z nim Basia, bo od dzieciństwa lubiła czasem podrażnić się z Antonim. - Podobno, jeśli przyjdą bolszewicy,

to wszystko będzie wspólne. I pałace, i dwory, i lasy, i łąki, i nawet kobiety.

Rozśmiała się, a Antoni spurpurowiał na twarzy.

- Ludziom już zupełnie w głowach się poprzewracało. Mało to było kary Bożej za grzechy? Już się wydawało, że po wojnie jakieś opamiętanie wróciło.

- Mój brat Jaś tak mówił - broniła się wesoło Basia. - A wasz zięć to potwierdzał.

- Wstyd, doprawdy wstyd, ale z młodymi tak zawsze - mruzczał Antoni. - Ja jednak zapowiadam, że dopóki obie młode panie będą spacerowały po parku w nocy, dopóty spać się nie położę. Trudno, ale oka bym nie zmrużył.

- Skaranie boskie z tobą, Antoni - jęknęła Basia. - Przy tobie nigdy nie wydorosłeję. No dobrze, pójdziemy z panią Alą na taras. Będziemy blisko domu. Tam już jest bezpieczniej, choć moim zdaniem nawet w parku włos by nam z głowy nie spadł.

Wreszcie Antoni ustąpił, niemniej nie były do końca przekonane, czy nie obserwował ich z okien swojego pokoju. Nareszcie jednak mogły bez przeszkód porozmawiać tak, jak przed laty, gdy obie były jeszcze naprawdę bardzo młodymi pannami.

- Mam wrażenie, że to było wieki temu - westchnęła Basia - że to była inna epoka.

- Bo była - potwierdziła Ala.

- A przecież to zaledwie kilka lat!

- A jednak jest jak dawniej...

W ciemnościach nocy, skrywających zaniedbanie niektórych miejsc posiadłości, można było odnieść wrażenie, że istotnie czas się zatrzymał. Barbara jednak ze smutkiem potrząsnęła głową.

- Nic już nie jest jak dawniej. Matka poświęciła życie tej posiadłości, a jednak straty są oczywiste. Nie jesteśmy już milionowymi dziedziczkami. Całe szczęście, że udało się nie popaść w ruinę i ocalić cokolwiek. No i wynieśliśmy cało głowy. I tak miałyśmy więcej szczęścia niż inni.

- To nadal piękny dom i piękny majątek - zauważyła Ala i zapatrzyła się w korony prawie niewidocznych w mroku drzew. Naraz uśmiechnęła się. - Naprawdę ci bolszewicy są aż tacy groźni?

- Mówi się o nich tu i tam. - Basia machnęła ręką. - Jeszcze jakiś czas temu lewica robiła trochę jazgotu. Społeczeństwo mamy jednak raczej

tradycyjne. Wybory do naszego pierwszego sejmku wygrały partie prawicowe, katolickie. Nie zapominaj wszakże, że za wschodnią granicą mamy rewolucję i wojnę domową.

- Nie trzeba bolszewików, aby stać się kobietą kilku mężczyzn - odparła po chwili wahania Ala i opowiedziała bratowej swoją przygodę w Paryżu sprzed kilku miesięcy.

- No wiesz, to rzeczywiście przeżycie. - Barbara była szczerze zaciekawiona i przejęta. - W dodatku to nagłe pojawienie się twojego przyjaciela... to niemal metafizyka.

- To zupełna metafizyka - potwierdziła Ala, wspominając, jak prosiła wówczas Waltera o pomoc.

- Metafizyka nie musi jednak zawsze zadziałać. Powinnaś uważać. W pewnych sprawach stary Antoni ma jednak rację, chociaż nigdy mu tego w oczy nie powiem. Pewne wartości upadły albo się zmieniły. Ludzie pozwalają sobie na więcej niż kiedyś. Ja sama przed wojną nigdy bym nie mówiła z Antonim tak swobodnie o niektórych... kwestiach jak obecnie.

Ala nie odpowiedziała. Grudniowa przygoda na paryskiej ulicy już od dawna nie miała dla niej znaczenia. Wróciła myślami do tego wieczora sprzed siedmiu lat, gdy przyjechała do Zaborowa z Walterem. Poszli wtedy na wieczorny spacer i roztaczała przed swoim młodym mężem uroki tego miejsca. Szli przed siebie i rozmawiali, rozmawiali, a potem...

Nagle zrozumiała, że temu wspomnieniu nie towarzyszy już ból, cierpienie czy nawet zwykły smutek. Nawet uśmiechnęła się, jakby Walter był znowu obok niej i mówił, że czuje się jak idiota, gdy widzi chichoczące i rozprawiające na jego temat służące i nie rozumie z tego ani słowa. A ona, śmiejąc się, zapewniała go, że zawojował wszystkie te kobiety, które chętnie na pewien czas, na jedną noc, na jedną godzinę znalazłyby się w jej skórze.

W pewnym momencie wstrząsnęła się, usłyszała bowiem znane jej już, dobrze zapamiętane przygnębienie w głosie Barbary.

- Coś się wydarzyło, Alu, czuję to.

Ala skuliła się, jakby ktoś ją uderzył. Bała się tych siostrzanych zwierzeń, kiedyś ją zresztą trochę denerwowały. Lecz nie teraz. Teraz słowa Basi ją przerażały, teraz miały silne podstawy.

- Jest miły, dobry i układny. Żyjemy niby normalnie, jak mąż i żona. Interesuje się dziećmi, jest nawet gotów zabrać Karolka do szkoły

w Warszawie. A mimo to... Słucha, ale wiem, że nie potrafiłyby powtórzyć moich słów. Patrzy, ale wiem, że mnie nie widzi. Jest nieobecny nawet wtedy, gdy leżymy obok siebie w nocy. Myślami przebywa gdzie indziej.

Ala nie śmiała patrzeć bratowej w oczy. Bała się jej pytań. Co miała odpowiedzieć? Pragnęła trzymać się od tej sprawy z daleka. Nie po to przyjechała do Zaborowa. Szukała wspomnień i o innych rozmowach marzyła. Okazało się, że jak zwykle będą to znowu zwierzenia Barbary. Nie tylko zwierzenia. Basia oczekiwała rady, pomocy. Teraz też czekała, aż Ala coś odpowie na jej słowa.

- Jest myślami w szpitalu polowym - powiedziała więc. - Widzi młodych ludzi, których nie zdołał utrzymać przy życiu, widzi zmasakrowane twarze, amputowane ręce i nogi, ofiary trującego gazu. Może nigdy do końca nie pozbędzie się tego widoku.

- Tak. - Basia pokiwała głową. - Lecz nie on jeden ma takie wspomnienia. Wrócili z wojny także inni ludzie, żołnierze i... zajęli się życiem. Wrócił Waław, syn Bazylego, który widział amputowaną nogę... swoją własną, i stara się żyć. A co powiesz o Janku, swoim bracie? Cieszy się, że dostał od Boga szansę na drugie życie. Do dziś uważa to za cud. Nie mógł potem walczyć, ale działał w różnych polskich komitetach obywatelskich. Nadal jest wesołym, pełnym temperamentu człowiekiem. Twój ojciec harował jak wół w szpitalach przez całą wojnę, jest potwornie wyczerpany, lecz gdy przyjeżdża do Zaborowa, naprawdę uczestniczy w tutejszych sprawach. Z Robertem jest inaczej. W dodatku - ściszyła trwożliwie głos - to nasiliło się bardzo po ostatnim jego pobycie we Francji, po pogrzebie matki. Nie chciał jechać na ten pogrzeb, niemal go zmusiłam, a teraz... boję się, czy nie popełniłam jakiegoś głupstwa. Gdy przyjechał po kilku latach nieobecności, po wojnie, to widziałam, że wrócił mój ukochany, mój mąż, ojciec moich dzieci. Witałam go na dworcu i widziałam jego radość i jego miłość. Gdy wrócił w marcu po pożegnaniu matki, miałam nie raz takie paskudne wrażenie, że wrócił... ktoś obcy. On wygląda tylko jak Robert, jest jego sobowtórem, lecz naprawdę jest to ktoś inny.

- Głupstwa pleciesz - odparła ze zdenerwowaniem Ala, lecz po chwili pożałowała swych słów.

Mimo to uważała, że bratowa jak zwykle przesadza. Oczywiście Robert dowiedział się w Paryżu o Sylwii, oczywiście, że jego żona nie ma o tym

zielonego pojęcia. Oczywiście, nie jest to dla niego sytuacja komfortowa, ale nie może być powodem aż takiego zachowania, o którym wspominała jak zwykle przewrażliwiona Barbara. Nie mógł aż tak się zmienić.

A jeśli jednak?

- Sama zobaczysz, czy nie przesadzam. - Basia nie oburzyła się na jej słowa. Była spokojna, skupiona. Nawet uważała za zrozumiałe, że nikt jej nie wierzy. Sama jednak była wewnętrznie przekonana, że ma rację.

- Przyjadą tu za kilka dni wszyscy trzej, sama to ocenisz - dodała. - Jestem pewna, że niedługo znowu będzie chciał gdzieś wyjechać. Nie usiedzi długo na miejscu, choć jeszcze przed wyjazdem na pogrzeb zastrzegął się, że nie zamierza już opuszczać kraju. Powiedz mi tylko, czy stało się coś niezwykłego, szczególnego na tym pogrzebie?

Ala poczuła na sobie uparty wzrok bratowej. Musiała zdobyć się na odwagę i spokój, by spojrzeć jej prosto w oczy. Pozornie przecież odpowiedź nie była trudna.

- Pogrzeb jak pogrzeb - odparła w miarę obojętnie. - Mało osób i my we troje. Byliśmy jednocześnie smutni i obojętni. To chyba było najgorsze. Przecież matkę powinno się żegnać inaczej. Urodziła nas troje, może myślała o nas przed samą śmiercią. A może nie... Te refleksje przygnębiają, nawet teraz.

- Tak, może to o to chodzi. - Basia pokiwała głową i widać było, jak stara się sama siebie przekonać.

- Przyjedźcie do mnie, do Paryża - zawołała nagle impulsywnie Ala. - Nie ruszałaś się stąd przez kilka lat, było ci bardzo ciężko. Dźwigałaś na sobie obowiązki ponad siły. Dzieci już podrosły, podróż będzie łatwiejsza.

- Niestety, dość kosztowna - powiedziała Barbara. - Teraz powinniśmy przeznaczyć środki i oszczędności na naprawianie szkód i ewentualnie na nowe inwestycje.

Widać jednak było, że propozycja Ali przypadła jej do serca i poczucie obowiązku walczy z marzeniami.

- Poradźcie sobie - przekonywała ją Ala. - Nie wszystko da się przeliczyć na remonty, inwestycje i oszczędności. Nie twierdzą, że musisz decydować już dziś, to może potrwać. Weź to jednak pod uwagę. Wszyscy będą zadowoleni.

Czy jednak na pewno? Tknęły ją pewne wątpliwości. Czy Robert będzie

z tego zadowolony?

- Zobaczmy - odparła z westchnieniem Barbara i naraz, jakby zmieniając front, ścisnęła dłoń przyjaciółki. - Cieszę się, że przynajmniej ty tutaj jesteś. Siedzisz obok mnie, a ja wciąż nie mogę w to uwierzyć. Czasem boję się, że to sen, jeden z tych realistycznych snów, jakie nawiedzały mnie w czasie wojny. Obiecywałam sobie wtedy, że jeśli jeszcze będzie mi dane spotkać się z moją siostrą, nie będę jej zanudzać i narzekać. Matka ma czasem rację, gdy mi wypomina, że za bardzo koncentruję się na swoich uczuciach, robię z igły widły. To jej ulubione ostatnio określenie. Przeżyliśmy, ocalał dom, ocalał mój mąż, moje dzieci. Poradziłam sobie z żołnierzami, chociaż początkowo wszystkie potwornie bałyśmy się ich. To najważniejsze.

- Tak - przytaknęła Ala. - To najważniejsze.

- Wiem, jak tobie było ciężko - szepnęła po chwili wahania Barbara.

„Nie wiesz...”

- Czasem myślałam, jakie to niesprawiedliwe - kontynuowała Basia. - Cieszę się, że nikogo nie straciłam, ale ty...

- Czasami pragnęłam umrzeć i być już z nimi - odparła Ala i nagle dotarło do niej, że chyba nie chce już o tym rozmawiać. Chyba już nie chce opowiadać o swoich cierpieniach i rozterkach. Myślała, że tu zostanie wysłuchana i rozumiana, i z pewnością by tak było. Tu, w Zaborowie każdy by ją zrozumiał. Tu, w tym kraju, gdzie niemal na każdym rozstaju dróg stały krzyże, gdzie były powstańcze mogiły, gdzie prawie każdy nosił w sobie cześć i przywiązanie do przeszłości, nikt by się nie dziwił jej zapatrzeniu w minione lata. Jednak - nie miała już sił o tym mówić.

- Wiem, Alu - rzekła Barbara. - Na razie musisz jednak zostać z nami. Za bardzo cię kochamy. Śmierć i tak nikogo nie ominie, o nikim nie zapomni. Niczego też nie kończy. Jeszcze będziecie razem. A życie może szykuje ci jakąś niespodziankę.

- Zlituj się, Basiu, chociaż ty mnie nie swataj.

- Z kim mam cię swatać? - zdumiała się przyjaciółka i roześmiała się. - Czyżbym czegoś nie wiedziała?

- Ach, dajmy temu spokój! - Ala machnęła ręką. - Niczego tak nie lubię, jak uszczęśliwiania na siłę. Opowiedz mi lepiej, co tu się działo podczas wojny. Opowiedz mi dzień po dniu, jeśli masz ochotę.

- Opowiem ci o pewnym rosyjskim oficerze. - Basia uśmiechnęła się figlarnie jak młoda dziewczyna. - Otóż ponownie byłam przedmiotem plotek. A gdybyś widziała niepokój mojej matki... podniecenie służby...

Rozdział 74

Ala spędziła w Zaborowie cały miesiąc - od końca czerwca do końca lipca 1919 roku i miała zapamiętać ten czas w sposób szczególny. Nie dlatego, że wydarzyło się coś wyjątkowego, dramatycznego, wstrząsającego czy nawet radosnego. W przeciwieństwie do innych jej pobytów tutaj nie wydarzyło się nic. Może dlatego zachowała to w pamięci na całe lata. Pobyt w Zaborowie był wtedy jak balsam na jej zboląłą duszę, przywracał równowagę i porządek w jej życiu, na nowo przypominał, że życie nie składa się wyłącznie z wydarzeń poruszających nas do głębi. Życie na ogół składa się z codzienności, ze zwykłych dni, podobnych jeden do drugiego. Kiedy ostatni raz miała okazję tego doświadczyć?

Nie myślała już o śmierci jak o wytęsknionej przyjaciółce. Barbara miała rację. Przecież śmierć o nikim nie zapomni. Walter i Melanie poczekają na nią, ile będzie trzeba. Nadal tęskniła i wspominała, ale już bez tego szaleńczego pragnienia końca. Coraz częściej myślała o życiu i żyjących. Może sprawiał to czas, który podobno jest najlepszym lekarzem na rany, może ludzie, którzy ją kochali, a może Zaborów i jego niepowtarzalny, specyficzny klimat. Mógł to być Walter, który czasem przy niej był. Czuła jego obecność i mówiła do niego jak dawniej. Jednak - już bez tego dławiącego bólu.

„Spotkamy się, Walterze” - myślała wówczas. „W końcu się spotkamy. Moja bratowa ma rację, śmierć niczego nie kończy”.

Na razie jednak wokół było życie i żywi ludzie. Codzienne rozmowy w salonie, w kuchni, w ogrodzie, codzienne ploteczki i porcja poważnej polityki, codzienna praca w okresie żniw.

- Aż się wierzyć nie chce, jak wszystko się odradza - mawiała Perlicka w kuchni. - Znowu normalnie żyjemy, siejemy i zbieramy.

Istotnie, wreszcie nastąpiła piękna, prawdziwie letnia pogoda. Ustały deszcze, słoty i chłody. Wyrzało słońce, zrobiło się gorąco, nawet upalnie.

- Dzięki Bogu - komentowała to Marta. - Do połowy czerwca lało dzień w dzień i już przygotowywałam się na nędzne zbiory. Potrzebujemy teraz takiej dobrej pogody i urodzaju jak nigdy przedtem. Nie tylko zresztą my, ale cały kraj.

- To Ala przywiozła nam ze sobą te piękne dni - odezwała się wesoło Basia. - A przy okazji dodatkowe ręce do pracy.

- Pani Alicja powinna więcej odpoczywać - wtrącił Antoni. - Toż żał patrzeć, jak zmizerniała przez te lata. Zdrowia pewnie straciła mnóstwo, a szczupluteńka taka... Teraz też za dużo pracuje.

- Lubię pracować - odparła Ala. - To najlepsze lekarstwo na zmęczoną głowę i na stargane nerwy. Od razu lepiej się czuję.

- Co prawda to prawda - potwierdziła Marta, a inni skwapliwie pokiwali głowami. - Sama pamiętam, jak było, gdy ratowałam majątek od bankructwa. Szczęśliwie, czasu nie miałam na załamywanie rąk, bo biegałam jak nakręcona.

- Wszyscy pamiętamy, proszę wielmożnej pani. - Katarzyna pokiwała głową.

Pracy w majątku i w pałacu było istotnie mnóstwo, gdyż nie zatrudniano nowych pracowników, nawet sezonowych, na lato, żniwa i zbiory. Marta robiła, co mogła, jednak nie dało się ukryć, że nie ma już tych sił, co dawniej. Większość obowiązków spadła na Barbarę, a Ala była jej prawą ręką. Nie tylko organizowały pracę w całym majątku, ale i same osobiście brały w niej udział w większym zakresie niż dawniej. Było ich pełno i w domu, i w ogrodzie, i w sadzie. Jeździły do odległych dzierżawców i folwarków, zaglądały nawet do stajni, obór i chlewni. Widziano je niejednokrotnie na polach, gdy patrzyły na pracę żniwiarzy. Na rozmowy mogły przeznaczać tylko poranki przy kawie i wieczory. Zresztą tak mniej więcej wyglądało życie i w okolicznych majątkach. Panie, które przed wojną pojęcia nie miały o gospodarstwie - Marta i jej córka stanowiły wśród nich wyjątek - teraz musiały zakasać rękawy i brać się do roboty. Nikt jednak nie narzekał. Już samo przeżycie wojny, pokój i własne państwo wydawały się łaską boską i cudem. W dodatku, o czym poinformował Alę jej brat Janek, nie wszystko jeszcze w tym państwie funkcjonowało jak trzeba.

- Niepewne granice na wschodzie, zachodzie, północy i południu, odmienne wizje tych granic i kształtu państwa, zróżnicowanie polityczne w sejmie, różne priorytety w sprawie polityki zagranicznej - mówił zdumionej siostrze, przed którą te sprawy odkrywano po raz pierwszy. - A oprócz tego, wyobraź sobie, jak trudno scalić w jedno ziemie, które ponad sto dwadzieścia lat były częścią trzech różnych państw. Mamy do

przewyciężenia różnice prawne i administracyjne, na przykład w prawie małżeńskim, w ruchu drogowym. Mamy zniszczoną infrastrukturę kolejową i przemysł. Przez nasze państwo przechodził front wschodni, wszystkie wojska niszczyły i rabowały, ile wzięło.

- Jak sobie z tym poradzicie? - spytała go przestraszona.

- Siostro, nie płacz, to prawdziwe wyzwanie - roześmiał się Janek. - Nareszcie coś mogę robić. Jestem inżynierem i teraz wszyscy potrzebują takich jak ja. Do Zaborowa mogę wpadać tylko raz na jakiś czas i to zaledwie na kilka dni.

- Chociaż to dobre, że na wojnę pan Janek nie pójdzie - burknęła stara Perlicka przysłuchująca się tej rozmowie.

Siedzieli bowiem w kuchni i zwyczajowo już pili herbatę w towarzystwie służby.

- Na jaką wojnę, kobieto! - krzyknął Bazyli. - Mało ci było?

- Przecie nie ja wojnę wypowiedziałam, to czego się czepia - odparła. - A skąd to niby mam wiedzieć, czy następnej jakiej nie będzie. Tyle mamy do powiedzenia w takich sprawach, co i nic. Sam pan Janek mówił, że granice niepewne. We Lwowie na ten przykład już się prali nasi z Ukraińcami, i co?

- Jak trzeba będzie, to i na wojnę pójdę - dodał wesoło Jaś. - Nawet i bez oka mnie wezmą do służb pomocniczych albo inżynieryjnych.

- A jeszcze czego! Ożeniłby się lepiej i dzieci miał, zamiast na wojnie ginąć.

- Która by mnie teraz chciała! - roześmiał się Jaś.

- A co? Że niby bez oka? W tych rzeczach nie oko najważniejsze!

- A Perlicka im starsza, tym głupsza - krzyknęła Felicja. - I po dawnemu jedno jej w głowie.

- Jeno głowa jej do tego została - zawołał lokaj Jan. - A co to, źle teraz panu Jankowi? Swobodę ma i nikt mu głowy nie suszy!

- Trzeba mieć kogoś, kto poda na starość kubek wody - odgryzła się Perlicka.

Zapało milczenie i lokaj wyszedł z kuchni. Zmarkotnieli wszyscy na pewien czas, wiadomo bowiem było, w czym rzecz. Małżeństwo dwojga służących do tej pory pozostawało bezdzietne i gryzło się tym okrutnie. Nawet Perlicka poczuła się niepewnie i spod oka patrzyła na całą resztę.

- Teraz dużo się tu dzieje. - Janek na nowo podjął przerwany temat. -

Nie czas na sprawy osobiste. Gdybyś tu została, siostrze, zobaczyłabyś, jak ciekawe może być życie. Ile jeszcze jest do zrobienia.

- Przestałam tęsknić za ciekawym życiem dziesięć lat temu - odparła Ala. - Marzyłam o spokoju i jednostajności. Niestety, nie było mi dane...

- Co będziesz robić we Francji? - spytał szybko Jaś i spojrzał jej prosto w oczy.

- Będę pracować jak dawniej - odparła, siląc się na spokój. - Tam upłynie moje życie. Tam był mój dom i tam zostali... oni...

W kuchni znowu zapadła cisza, więc po chwili Ala podziękowała za herbatę i wyszła. Zaraz za nią podążył jej brat.

- Nie możesz żyć tam sama - powiedział, gdy znaleźli się w ogrodzie.

- Mogę. Zresztą nie jestem sama.

- Musisz żyć wśród żywych.

- Myślę teraz o żywych. - Ala uśmiechnęła się do niego. - To Zaborów sprawił, że częściej myślę o życiu i żywych. Mam tam szwagierkę. Walter prosił mnie, bym jej pomogła. Ją pewnie prosił, by pomogła mu. Tylko dlatego przeniosła się z Awinionu, który kochała, do Paryża, za którym nie przepada. Widziałeś jej dziecko, to siostrzenica Waltera.

- Wiem, że to siostrzenica Waltera - odparł dziwnym tonem Janek i znowu przyjrzał się siostrze.

Nie wytrzymała jego wzroku i odwróciła głowę. Tak bardzo bała się jego następnych słów.

- Miałaś ostatnio wiadomość od Raula? - spytał jednak o coś, czego się nie spodziewała.

- Prawdopodobnie wróci do Francji pod koniec sierpnia, najpóźniej we wrześniu.

- To dobrze - powiedział z uśmiechem. - I tobie, i Nicole przyda się jego pomoc. Ja też będę o was spokojniejszy.

I to był cały jego komentarz. Ośmieliło ją to, więc dodała:

- Namawia mnie na nowe koncerty. Sama nie wiem... wyszłam z wprawy. Chociaż trochę mnie to kusi.

- Cieszę się - odparł, a ona do końca nie była pewna, czy bardziej cieszyły go te, niepewne jeszcze, koncerty, czy perspektywa powrotu Raula z Ameryki.

Osobną sprawą były dzieci Barbary. Tak bardzo się zmieniły, odkąd

widziała je po raz ostatni! Teraz miały odpowiednio dziewięć i siedem lat, więc w zasadzie poznawała je od początku. Z chłopcami nie było problemów. Obaj do niej lgnęli, zwłaszcza Karolek stał się jej niemal nieodstępnym towarzyszem - dokładnie jak siedem lat temu, gdy bliźnięta miały dopiero przyjść na świat. Towarzyszył jej podczas pracy w ogrodzie, podczas spacerów, jeździł z nią do sąsiednich folwarków z poleceniami od Marty dla dzierżawców, pokazywał drogę, gdy nie wiedziała, jak trafić. Rozmawiali lub milczeli, ale widać było, że ten mały chłopiec szczególnie polubił jej towarzystwo. Dużo opowiadał o sobie, o tym, co działo się w okolicy w czasie wojny, ją pytał o to samo. Czasem oboje milczeli i też nie było w tym nic krępującego.

- Zabierz mnie kiedyś do Paryża, ciociu - poprosił ją pewnego razu. - Albo poproś tatę, żeby zabrał mnie ze sobą. Nic jeszcze nie widziałem oprócz Krakowa. Podobno byłem też kiedyś w Warszawie, ale nic z tego nie pamiętam. Od czasu wojny nikt mnie nigdzie nie zabierał.

- Chętnie bym cię zaprosiła, kochanie, na pewien czas - odparła Ala, przygarniając chłopca ramieniem - niestety, to twoi rodzice o tym decydują. Jako małe dziecko przyjechałeś kiedyś z nimi do mnie, do Paryża, ale nic z tego nie pamiętasz.

- Wiem - przytaknął chłopiec z powagą. - Opowiadali mi o tym. Wychodziłaś wtedy za mąż za wujka Waltera.

„Za wujka Waltera”.

Ala poczuła, że jakaś obręcz na sekundę zaciska jej się na sercu, ale trwało to krótko. Zostało pełne ciepła wzruszenie. „Wujek Walter” - jak to słodko zabrzmiało w ustach tego małego chłopca. Przytuliła go do siebie jeszcze mocniej, a wtedy podniósł na nią swoje szare oczy. Drgnęła i na moment odsunęła dziecko od siebie. Dlaczego zobaczyła to dopiero teraz? Miał szare oczy, takie same jak... Oczywiście nie patrzył na nią tak samo jak jego ojciec, a jednak na moment dostrzegła to podobieństwo... w oczach, w rysach twarzy. Identycznie przechylał głowę, gdy patrzył w górę. Pamiętała, jak mogła zapomnieć, że kiedyś obejmowała tak mocno Olafa, że czasem potrafił przyglądać się jej tak ciepło i niewinnie jak ten mały chłopiec. Przez jedną krótką chwilę wróciło to wspomnienie, gdy tuliła go do siebie, gdy uczył ją miłości, gdy potem zasypiała, kołysana jego ramionami. Nie powinna pozwalać sobie na takie myśli przy tym małym chłopcu. Nie

pozwoiliaby sobie na nie z pewnością, gdyby nie to, że przyszly nagle, nieproszone, znikad, a ona przez moment miala wrazenie, ze obok niej siedzi Olaf. Az przymknela oczy.

- Przepraszam, ciociu - odezwal sie Karolek, nie odrywajac od niej wzroku.

- Za co mnie przepraszasz, kochanie?

- Bo... bo pewnie jest ci przykro, ze powiedzialem cos o wujku.

- Alez nie, skarbie... - Ala ponownie go przygarnela i znowu wrocily tamte chwile sprzed dziesieciu lat, ale chyba tego wlasnie chciala. - Ciesze sie, ze o nim mowisz. Gdyby zyl, z pewnością byście sie zaprzyjaznili i opowiedzialby ci duzo o wojsku i o wojnie.

- Myslisz, ze polubilby mnie?

- Z cala pewnością. Zreszta widzial ciebie i twoje rodzenstwo, tyle ze byliście jeszcze malutkimi dziecmi.

„Bdziesz podobny do swojego ojca. Juz teraz zaczynasz go przypominać. Jak znesie to twoja matka? Ile jeszcze przyjdzie jej w zyciu znieść?”

Karol byl na swój wiek wysoki, szczuply jak reszta rodzenstwa, jasnowlosy jak mlodsza siostra i tak jak ona potrafil patrzec przed siebie smialo, zuchwale i bystro. W przeciwienstwie jednak do spojrzenia Urszulki, w jego oczach bylo cos cieplego, uroczego i sympatycznego. A przy tym wszystkim byl taki inteligentny, mądry, nad wiek rozwinięty!

„Powinni mu zapewnić jak najlepszą edukację” - myslala. „Szkola w Krakowie szybko przestanie mu wystarczac. Moze pomowie o tym z Basią”.

Czasami Karolkowi towarzyszył mlodszy brat Pawelek. On z kolei byl nieodrodnym synem Roberta. Ala nie mogla pamietac brata z czasow, gdy byl siedmioletnim dzieckiem. Byla jednak pewna, ze wygladal i zachowywal sie podobnie jak jego syn. Wrazliwy, delikatny, zamkniety w sobie i malomowny, w dodatku porzucony przez matke, zapewne nie mial latwego zycia. Oczywiscie uwaga ta dotyczyla dzieciństwa Roberta. Dopiero patrzac na Pawla, Ala zdala sobie sprawe, przez co musial przejść jej starszy brat jako dziecko. Pawel mial kochajaca matke i rodzenstwo gotowe oddac za niego zycie. Nadrobil ten czas, gdy rozwijal sie znacznie wolniej od siostry bliźniaczki. Teraz chwytal za serce kazdego.

- Nie poradzi sobie dzieciak w brutalnym zyciu - powiedziala kiedyś

Zosia do Ali. - Pani upiera się, aby posłać go do szkoły, ale to zły sposób. Zjedzą go tam żywcem. Pani Barbara chce mu zapewnić dobre wykształcenie, ale co on zrobi z jakimiś łobuzami? Nie wiem, jak jej to wytłumaczyć. Pani czasami jest taka uparta.

- Nie zostawię brata samego - potwierdził to Karolek. - Jeśli będę mógł pojechać do ciebie, do Paryża, ciciu, to wezmę go ze sobą.

Ala nie miała by nic przeciwko temu. Pawełka pokochała od samego początku miłością bezwarunkową. Nic więc dziwnego, że najczęściej widywano ją w Zaborowie w towarzystwie obu chłopców, z których jeden prowadził z nią ożywioną konwersację, a drugi na ogół milczał. Zarówno rodzina, jak i służba patrzyli na tę przyjaźń z rozczuleniem.

- Pani Alicja to stworzona jest do dzieci - powiedziała nawet pokojówka Zosia, gdy obie z Martą, stojąc w otwartych drzwiach na taras, obserwowały pewnego razu całą trójkę.

- Tak jak i ty, Zosiu - odparła z westchnieniem Marta. - Lecz sama widzisz, że życie rozmija się z naszymi wyobrażeniami.

- Ja to co innego, proszę wielmożnej pani - dziewczyna zasmuciła się - lecz pani Alicja miała już dziecko i gdyby zechciała...

- Jest jednak wyjątkowo trwała w uczuciach - dodała Marta. - Według niej małżeństwo jest nierozzerwalne także po śmierci. Rzadka to rzecz w naszych czasach. W Indiach do niedawna, a może niekiedy i teraz, wdowy wstępowały na stos, gdzie palono zwłoki zmarłego męża. Powszechnie uważa się to za barbarzyński zwyczaj. A jednak Ala zrobiłaby to bez wahania.

Głos jej drgnął, odwróciła się i wyszła. Zosia jednak została i patrzyła w mrok ogrodu, skąd dochodził do niej głosik Karola. Nie wiedziała, co opowiadał swojej ciotce. To nie było istotne. Słuchała głosu tego dziecka z dziwnym rozrzewnieniem, podobnie jak Ala, oddana odległemu wspomnieniu.

„Czy widzisz to, co ja, pani Alicjo? Czy to chciałaś mi kiedyś powiedzieć, lecz nie było ci wolno? Dałaś mi nadzieję, lecz nie mogłaś mówić więcej... Nic nie szkodzi, panno Alu. Od pewnego czasu sama wiem, bo widzę. Pewnego razu dotarło to do mnie. Olaf Lityński ma udane, zdrowe dziecko i w dużej mierze to ja... je wychowałam”.

W połowie lipca Ala pojechała do ojca, do Warszawy. Stamtąd już bezpośrednio miała udać się do Paryża. Widok ojca początkowo ją przeraził. Miała wrażenie, że jakby skurczył się, zmalał, wychudł. Jego twarz nosiła na sobie wszystkie troski i cierpienia, jakich zaznał w ostatnich latach. Znać było też po nim chroniczne już niemal zmęczenie.

Tylko oczy płonęły mu jakimś wewnętrznym ogniem, gdy zaczynał mówić o swoim kraju, o jego problemach, sukcesach, polityce.

- Nie sądziłem, że tego doczekam, nie śmiałem o tym marzyć - zapewniał córkę. - Cóż tak na mnie patrzysz? To pierwsza i ostatnia miłość w moim życiu. Mój kraj. I twój, pamiętaj.

- Dlaczego ty w ogóle o sobie nie dbasz? - Ala załamała rękę. - Powinieneś zamieszkać w Zaborowie, Marta zadbałaby o ciebie. Nie musisz bez końca pracować.

- A co ja bym robił w Zaborowie? Nie mam pojęcia o majątku i gospodarstwie. Mogę tam pojechać na dwa tygodnie i wystarczy. Zaborów jest królestwem Marty i jej córki, nie moim.

- Co ty powiesz? Przecież marzyłeś, abym spędziła tam dzieciństwo i młodość, a może i całe życie.

- Oj, stare dzieje. Nic z tego nie wyszło, chociaż nadal trochę żałuję. Miałbym cię na miejscu, w kraju.

- Tylko trochę żałujesz? - Droczyła się z nim zuchwale. - Cóż takiego się stało? Kiedyś lamentowałeś całą duszą nad naszym oddaleniem.

- Dopóki nie zrozumiałem, że we Francji znalazłaś swoje szczęście, swojego męża. - Joachim zakasłał, zmieszany. - Wtedy dałem spokój. Nadal uważam, że dokonałaś najstuszniejszego wyboru.

- Tak, mój ojciec - potwierdziła po chwili Ala. - Byłam bardzo szczęśliwa.

- Ty jedyna z nas wszystkich - dodał doktor. - I nawet u ciebie nie mogło to potrwać dłużej. Wybacz, że cię dręcę, ale czemu los nie mógł być dla nas bardziej łaskawy?

- Nie wiem, mój ojciec.

Podeszła do stołu i nastawiła samowar z herbatą. Kręciła się po jego mieszkaniu jak gospodyni i obojgu przypomniawszy się niemal identyczna

sytuacja sprzed lat, gdy mieszkała tu przez kilka dni w czasie poszukiwań ludzi związanych z Andrzejem Krzyckim.

- Ty przynajmniej byłaś szczęśliwa - powtórzył ojciec. - Wciąż robi mi się ciepło w sercu, gdy wspominam Waltera. Mógłbym mieć takiego syna. Pozwól mi o nim mówić, nawet jeśli sprawia ci to ból.

- Nie sprawia mi to bólu, przeciwnie - zaprzeczyła z uśmiechem i poczuła łzy spływające po policzkach.

Chciała zaraz zapewnić ojca, że te łzy nie świadczą o bólu, ale nie potrzebowała tego robić. Poglaskał ją po głowie, jakby była małą dziewczynką, i uśmiechnął się przyjaźnie.

- Żał mi cię, dziecko, z powodu twojej samotności i żałoby, ale wierz mi, że jeszcze bardziej mi żał twoich braci i Baśki. Janek przetańczył swoją młodość, a potem omal nie został zabity. Choć w pewnym sensie został. Boleję nad jego samotnością.

- Ależ, ojcze, Jaś sprawia wrażenie czynnego, pełnego energii człowieka. Jest nadal młody i może ułożyć sobie życie.

- Bardzo w to wątpię. W każdym razie wątpię, czy tego doczekam. To zresztą nie jest jeszcze największy dramat w tej rodzinie. Robert i Barbara...

Ala miała wrażenie, że cała krew odpływa z jej twarzy. Aż musiała się oprzeć wygodniej o kanapę. Co ojciec wiedział? Co przeczuwał?

- Nie mam z kim o tym porozmawiać - powiedział tak, jakby się skarżył. - Obaj synowie są zbyt zajęci, aby słuchać mojego narzekania. Uznaliby to za stękanie starego człowieka. Marty nie chcę dodatkowo martwić. Widzę przecież, że i ją to gryzie.

- Co takiego, ojcze? - spytała słabym głosem Ala, bo wiedziała, że czekał na to pytanie. Bała się jego pytań i po raz kolejny przeklinała los, że musiała zajmować się tą sprawą.

- Nie powinniśmy byli dopuścić do tego małżeństwa. - Doktor spuścił głowę i dopiero wtedy zobaczyła, jak bardzo zwiotczała mu skóra na brodzie i policzkach. W tym momencie naprawdę wyglądał jak stary człowiek.

- Nie mieliśmy nic do powiedzenia... - odparła. Próbowała się roześmiać, aby odgonić jego troskę, ale ruchem ręki nakazał jej milczenie.

- Proszę, nie zaczynaj rozmawiać ze mną jak twój brat Janek - rzekł. - Nie traktuj mnie jak bezradnego staruszka, którego trzeba uspokajać. W przeciwieństwie do swoich braci zawsze byłaś myśląca i znałaś się na

ludziach. Nie dałaś się nigdy wyprowadzić w pole.

„Nieprawda” – pomyślała. „Nie wiesz o Olafie. Nie wiesz, że do tej pory nie potrafię wzbudzić w sobie żalu za to, co zrobiliśmy, chociaż zawsze towarzyszyło mi poczucie winy”.

- Jak mogliśmy zapobiec ich małżeństwu? – powtórzyła. – Łatwo ci mówić o tym teraz, ale przecież wtedy, gdy nam to oświadczyli, byliśmy całkowicie zaskoczeni.

- Byliśmy zaskoczeni – potwierdził doktor. – Spadły na nas, jedna za drugą, dwie wiadomości. Przede wszystkim jednak stchórzyliśmy, ja i Marta. Wyobraziliśmy sobie, że Basia stanie pod pręgierzem plotek jako panna z dzieckiem. Gorzej: wyobraziliśmy sobie naszą szacowną rodzinę stojącą pod pręgierzem plotek. I bez tego było o nas głośno. A jednak oni nie powinni byli brać ślubu! Trzeba to było inaczej urządzić. Trzeba było zawiadomić Lityńskiego. Ożeniłby się z Barbarą. Mimo wszystko byłoby to normalniejsze niż jej małżeństwo z Robertem!

- Co ty mówisz?! – krzyknęła Ala. – Nigdy nie wyszłaby za Olafa! Nie pamiętasz, że... posądzała go o zdradę? Znienawidziła go w jednej chwili. Ty i Marta nigdy go nie akceptowaliście.

- Ty też nie – przypomniał jej, więc umilkła. – Pamiętaj jednak, że wtedy nie wiedzieliśmy, że oni... że... no wiesz.

- Wiem, sypiali ze sobą. – Ala nagle odzyskała głos.

Zaraz jednak pożałowała swoich słów, bo doktor aż się skrzywił.

- Te wasze nowoczesne określenia – jęknął cicho.

- Przepraszam – powiedziała skruszona, a po chwili spytała: – Naprawdę uważasz, że gdy okazało się, że ona spodziewa się dziecka, należało zawiadomić Olafa i przekonać ją do małżeństwa z nim? Przecież to absurd. Nigdy by się nie zgodziła. Była przekonana, że zdradzał ją na prawo i lewo.

- Wiem. – Doktor skinął głową. – Nawet myślała, że ma na to dowód. Ja też myślałem. A jednak... Mówisz: absurd. Mieli dziecko, swoje własne. Czy nie większym absurdem było mimo wszystko to pospieszne małżeństwo z Robertem? Przecież oni ... Oni byli prawie jak rodzeństwo. Przez wiele lat... byli dla siebie jak brat i siostra. Ludzie mówią o tym po dziś dzień.

- Nie są rodzeństwem – zaprzeczyła Ala. – Nawet nie wychowywali się razem. Spędzali tylko wspólne wakacje i święta. To tylko ich rodzice byli i są małżeństwem.

- Tylko? - Joachim załamał ręce. - To najlepszy powód, aby oni tym małżeństwem się nie stali. Dziecko nie pozna prawdy o własnym ojcu.

- Nie pierwsze takie dziecko na całym świecie - nie wytrzymała Ala. - I nie pierwsze w tej rodzinie.

- Oczywiście! - krzyknął doktor. - Myślisz, że zapomniałem?

- Wybacz. - Córka ujęła go za rękę. - Wiem, że to inna sytuacja. W przypadku Karolka nie ma żadnych wątpliwości.

- Ale może dojść do następnego dramatu. Obym go nie dożył, choć należy mi się za to, że nie próbowałem im wyperswadować tego nienormalnego pomysłu. Gdybym chociaż spróbował! Nie miałbym dziś takiego żalu do siebie.

- Byli szczęśliwi, zakochani.

- Ona była zakochana. Robert bawił się w rycerza, który zbawia świat, a przynajmniej ratuje z opresji przyjaciółkę z dzieciństwa. Nie kochał jej, jak mogliśmy tego nie widzieć. Teraz jest podobnie.

- Nie pamiętasz, jak za sobą szaleli? Ręk od siebie oderwać nie mogli, zanim urodziły się bliźnięta.

- Tak. Lecz potem już nie widziałem tych rąk splecionych razem i uścisków wymienianych na oczach wszystkich. Potem im przeszło, a przynajmniej Robertowi.

- Jak to rozumiesz?

- Bardzo prosto. Prawda jest brutalna. Basia była pierwszą kobietą w jego życiu w sensie...

- Nie baw się ze mną w ceregiele, ojcze. Czasy się zmieniły, a ja już nie jestem niedoświadczoną panienką. Chcesz powiedzieć, że przed Basią mój brat nie miał żadnych kontaktów fizycznych z kobietami? Skąd możesz to wiedzieć?

- Widziałem, że żadną nigdy się nie interesował. Tylko książki i książki. Nawet ta piękna dziewczyna z Paryża, siostra Waltera, też nie wywołała w nim wtedy żadnych zdrowych u chłopaka odruchów. Czasem mnie to nawet niepokoiło, zastanawiało. Czy on nie jest... No, wiesz... Aż tu nagle postanowił uratować od hańby córkę własnej macochy, niemal własną siostrę. Nie żyli jednak jak rodzeństwo, więc dokonał odkrycia, jak piękna jest miłość fizyczna. Długo to jednak nie trwało. Teraz ona znowu jest dla niego jak siostra.

Ala nagle przypomniała sobie rozmowę z bratową w Zaborowie i już wiedziała, że ojciec miał rację. Skąd to jednak wiedział? Umiał czytać w myślach? Miał szósty zmysł? Czy w takim razie wiedział również o niej i o Olafie?

- Skąd to wiesz? - spytała nieswoim głosem.

Doktor wstał z fotela i podszedł do okna. Patrzył przez chwilę na ulicę i nie odwrócił się, gdy wreszcie odpowiedział. Miała wrażenie, że mówił do niej stary, stojący nad grobem człowiek.

- On ma kogoś. W jego życiu jest inna kobieta. Tydzień temu wyjechał do Berlina na konferencję naukową. Był tam tylko dwa dni. Teraz jest gdzieś we Francji. Sprawdziłem to.

- Nie wiedziałam o żadnej konferencji. Barbara nic mi nie mówiła. - Ala nie mogła powstrzymać się przed wypowiedzeniem tych słów.

- Oczywiście. Nie ma zielonego pojęcia. Miał ją zawiadomić, gdy już znajdzie się na miejscu. Rzeczywiście, odbywała się tam taka konferencja. Debatowali nad sposobami walki z grypą i zapobiegania chorobom płuc. Konferencja skończyła się jednak trzy dni temu, a on nie wrócił.

- Robert nie jest dzieckiem - próbowała mówić pogodnie i beztrąsko - nie musi, jak grzeczny mały chłopiec, wracać zaraz po szkole do domu.

- Jest jednak żonaty i powinien spędzać więcej czasu z rodziną. Skoro się ożenił...

- A ty? - spytała zaczepnie. - Ty też byłeś żonaty. Nadal jesteś. Obie twoje żony na ogół spędzały czas bez ciebie. Nie samotnie, ale jednak bez ciebie.

- Gdy byłem żonaty z waszą matką, jako młody lekarz i naukowiec musiałem dopiero wyrabiać swoją pozycję zawodową w świecie, w środowisku. Nie zrobiłbym tego, siedząc w domu i zabawiając żonę - próbował tłumaczyć, ale bez przekonania, trochę bezradnie.

- Wiem... - Ala podeszła do niego i dotknęła jego pleców. - Już nam to kiedyś mówiłeś. Czy jednak nie rozumiesz, że Robert jest w prawie identycznej sytuacji jak ty - wtedy? A nawet w gorszej, bo wojna wyrwała mu z życiorysu naukowego kilka lat. Poza tym umówili się z Barbarą, że będzie mógł pracować i wyjeżdżać bez przeszkód.

Doktor nie odpowiedział, więc zaczynała mieć nadzieję, że go uspokoiła. Jego i przy okazji siebie. Miała nadzieję, że rozwiała wszystkie wątpliwości

ojca. Nie przewidziała tylko jednego. On nie miał wątpliwości.

- Skąd przyszedł ci do głowy pomysł z Francją? - spytała i zaraz pożałowała, że podnosi tę kwestię. Miała już dość mówienia i myślenia o tym problemie rodzinnym.

- Z Francją? - spytał ojciec, jakby wybudził się z głębokiego snu.

Tym bardziej żałowała, że zadała to pytanie, lecz nie było już możliwości, aby sensownie się wycofać.

- Powiedziałeś, że Robert z Berlina pojechał do Francji - przypomniała niechętnie.

- Wiem, że ktoś tam jest. Wysyła tam regularnie pieniądze, i nie są to małe kwoty. Gdy przebywa w Warszawie, haruje jak wariat i rzeczywiście zarabia dużo, tak jakby... utrzymywał dwa domy. Na adres paryski regularnie wysyła korespondencję.

- Czytasz jego listy? - przeraziła się córka.

- Oczywiście, że nie - oburzył się doktor. - Od pewnego czasu nabrałem krańcowej niechęci do cudzych listów. Niechęć jednak widziałem kopertę i raz doręczyciel dostarczył list z Paryża do tego domu. Podobno przez pomyłkę, bo, jak się okazuje, listy z Paryża na polecenie Roberta mają omijać to mieszkanie i być dostarczane bezpośrednio na adres jego gabinetu. Na tamtym liście też był adres gabinetu, ale znajomy doręczyciel myślał, że robi miłą przysługę, przynosząc to od razu do domu.

- To jeszcze o niczym nie świadczy - mówiła cicho, aby nie słyszał drżenia w jej głosie. - Widzę, że masz za dużo czasu, ojczulku, skoro takie podejrzenia przychodzą ci do głowy.

- A co mam robić? - Joachim mimo wszystko uśmiechnął się lekko. - Na starość zaczynam szpiegować własne dzieci. Nie zapytam go przecież wprost i nie powiem, że mam złe przeczucia.

„Masz dobre przeczucia, mój ojczy” - myślała, odprowadziwszy go z powrotem do stołu i wydawszy kucharce polecenie co do wieczerzy. „Nie wiesz tylko, że nie chodzi wyłącznie o kobietę, ale o dziecko. Masz we Francji piękną wnuczkę i nic o niej nie wiesz. A twój syn wprawdzie popełnił w czasie wojny błąd i spłodził to dziecko, ale teraz czuje się za nie odpowiedzialny. Chciałby ci pewnie o tym powiedzieć, ja również, ale zagryzłoby cię to na śmierć. Byłbyś wściekły, a w dodatku musiałbyś to trzymać w tajemnicy przed Martą”.

- Odwiedzisz mnie kiedyś w Paryżu? - spytała go przy kolacji. - Przyjedziesz tak niespodziewanie jak wtedy, dziesięć lat temu?

- Byłem wtedy innym człowiekiem - odparł i uśmiechnął się smutno. - Nie mam już siły. Nie wiem, moje dziecko, czy cię odwiedzę i w ogóle to zrobię. Myślę też, że nie odwiedzę już waszej matki.

- Dlaczego mówisz takie rzeczy? Nie jesteś jeszcze stary. Jesteś tylko zmęczony. Ja też długo nie wiedziałam, czy znajdę siły, aby tu przyjechać.

- Jestem stary, córeczko, w duchu jestem już stary. Entuzjazm budzi we mnie już tylko życie w moim niepodległym kraju. Nie chce mi się stąd ruszać. Jutro zabiorę cię w pewne miejsce. Nie byłeś tam jeszcze. Aż dziw bierze, że w czasie wcześniejszych twoich pobytów w Warszawie żaden z nas cię tam nie zaprowadził. Teraz jednak nie będziemy tego odwlekać.

Następnego dnia pojechali na Powązki. Doktor prowadził córkę cienistymi alejkami, pomiędzy starymi nagrobkami. Cicho tu było i dostojnie, a raczej panowałyby głucha cisza, gdyby nie ptaki urządzające trele na drzewach. Gdy wspomniała o tym ojcu, uśmiechnął się tylko i wzruszył ramionami.

- Teraz to nic. Powinnaś kiedyś przyjechać tu w kwietniu lub w maju. Wtedy dopiero odbywają się prawdziwe koncerty! Ja lubię to miejsce o każdej porze roku. Przyjedź tu w listopadzie, gdy wszyscy wspominamy naszych zmarłych. Przyjedź zimą, gdy śnieg leży na mogiłach i panuje urokliwa, przejmująca cisza. Nic tak nie wycisza jak śnieg.

Podeszli do wysokiego, rozłożystego wręcz pomnika przedstawiającego klęczącego anioła.

- Twoi dziadkowie - powiedział doktor. - Moi rodzice. Matka zmarła zaraz po moim urodzeniu. Ojciec odszedł osiemnaście lat później. Nie mieliście okazji ich poznać.

Zapatrzyła się na imiona i nazwisko na pomniku. Dziadkowie byli młodymi jeszcze ludźmi, gdy odeszli. Babka wręcz bardzo młoda. Ala nagle poczuła smutek, że tak niewiele jej to wszystko mówi, że to wszystko jest dla niej odległe i obce.

- Pamięć o każdym z nas w końcu się zatrze - odezwał się doktor. - O nich pamiętam tylko ja. Gdy odejdę, wy tu czasem zajrzycie, ale oni będą dla was obcymi ludźmi. Nas czeka to samo. W pewnym momencie odejdą ludzie, którzy mogli nas pamiętać, potem nawet ci, którzy coś tam o nas

słyszeli. Każdy z nas odejdzie w końcu w mrok zapomnienia.

Słuchała przejęta i myślała, jak krótko przetrwa pamięć o Walterze. Gdy w końcu odejdzie ona, Nicole i ich rodziny, pozostanie tylko Sylwia. A Sylwia go przecież nie pamiętała. Dla dzieci Sylwii Walter będzie już nikim.

- Gdy umrę, chcę się znaleźć tu - powiedział Joachim. - Musisz tego dopilnować.

- Ojczy - zaczęła, ale znowu, tak jak wczoraj, nakazał jej milczenie.

- Twoja matka zostanie już we Francji. Ja pozostanę przy swoich. Nie daj mi pochować w rodzinnym grobowcu zaborowskim, gdyby pojawiły się takie pomysły.

- Powinieneś rozmawiać o tym z żoną.

- Ona to wie, ale nie wiadomo, które z nas pierwsze opuści ten padół łez. Gdyby Marta mnie wyprzedziła, to pamiętaj, że nie mogę, nawet po śmierci, zostać przy niej w Zaborowie. Marta to Galicjanka, a ja jestem z Kongresówki. Chcę zostać w Warszawie. Ejże, panienko, chyba nie boisz się rozmawiać o sprawach ostatecznych?

- Nie - odparła, czując ulgę, że wreszcie tu, przy ojcu może o tym mówić bez obawy, że zostanie posądzona o ciężką depresję lub zachwianie równowagi psychicznej.

- To dobrze - odparł doktor - bo twoi bracia natychmiast zamykają mi usta, gdy o tym wspominam.

- Może nie chcę rozmawiać o tym teraz - rzekła z wahaniem. - To tak, jakbyś chciał już nas opuścić i odejść. Powiedz, może jesteś chory?

- Błagam, nie zaczynaj jak oni. Nie jestem chory, ale śmierć waszej matki i kilkorga moich przyjaciół każe mi spojrzeć prawdzie w oczy. Z pewnymi sprawami nie można czekać, aż będzie za późno. Czasami pożegnanie z tym światem spada na nas nagle. Odchodzą ludzie młodzi, odchodzą małe dzieci. Sama wiesz... - Tu przerwał i spojrzał na nią z troską.

Zobaczył, że nagle pobladła i zmieniła się na twarzy. Szli już z powrotem do bramy, ale inną drogą niż poprzednio. Doktor, sądząc, że to jego słowa wywarły na Ali takie wrażenie, pogłodził ją krzepiąco po policzku.

- Zaczekaj tu na mnie chwilę - poprosił. - Skręcę na moment w tamtą alejkę i odwiedzę grób przyjaciela z gimnazjum. Przez cały szkolny okres

byliśmy nierozłączni i raz nawet za jakiś wybryk chcieli nas relegować ze szkoły. Zawsze go odwiedzam, gdy przyjeżdżam do rodziców.

Bezwiednie skinęła głową i stała, zapatrzona w inny nagrobek, tym razem ze zdjęciem. Gdy została sama, podeszła bliżej. Nagrobek był skromniejszy i mniejszy niż ten przeznaczony dla jej dziadków. Łatwo go było przeoczyć, idąc główną aleją, bo wciśnięty był niemal pomiędzy dwa duże pomniki. Jak to się stało, że go zobaczyła? Czekał tu na nią? Może to był czysty przypadek, a może to jeden z tych dużych, sąsiednich pomników tak zwrócił jej uwagę, że przy okazji zobaczyła i ten skromniejszy. I tę fotografię...

Adela Krzycka, lat 17, zmarła 25 kwietnia 1888 roku. Prosi o Ave Maria. Śmierć zabrała i zostawiła nam boleść. Rodzice i brat.

Przy tym napisie znajdowało się zdjęcie zmarłej dziewczyny. To zdjęcie Ala zobaczyła najpierw, zanim spostrzegła nazwisko. Fotografia była bardzo wyraźna, zwłaszcza zważywszy na datę śmierci. Czy w tamtych czasach robiono tak wyraźne i dobrej jakości zdjęcia?

Władysław Krzycki, zmarł 2 maja 1889 roku, w wieku 47 lat.

Marianna Krzycka, zmarła 17 lutego 1891 roku, w wieku 45 lat.

Wieczne Odpoczywanie racz im dać, Panie...

- Co tam robisz? - Nagle usłyszała głos ojca zbliżającego się do niej główną alejką.

- Nic, nic, oglądałam tylko ten duży pomnik przypominający różaniec - odparła swobodnym i pewnym głosem, oddalając się pospiesznie od nagrobka rodziny Krzyckich. Nie chciała, by Joachim Matzer go zobaczył. Nie chciała, aby ktokolwiek z jej rodziny zobaczył to, co ona - zdjęcie młodej Adeli Krzyckiej.

„Wyglądała jak ja” - Ala czuła, że serce tłucze jej jak szalone, lecz nie była specjalnie zszokowana, przerażona czy wstrząśnięta. Widziała swoje zdjęcie na cudzym grobie, a przecież wiedziała, że to niemożliwe. Tam spoczywała dziewczyna jedynie łudząco do niej podobna.

„Szukałam go przed laty wszędzie, gdzie tylko mogłam. A tymczasem prawda cierpliwie czekała na mnie tak blisko. I tak jak przed laty, po prostu i zwyczajnie los mnie ku tej prawdzie poprowadził. Tyle że teraz... nie ma to już znaczenia”.

- Dobrze się czujesz, moje dziecko? - spytał doktor.

- Wszystko w porządku, mój ojciec - odparła spokojnie i ujęła go pod rękę.

Rozdział 76

- Nareszcie wróciłaś - paplała wesoło Nicole, gdy jechały taksówką z Paris-Nord do domu. - Wiem, wiem, to ja kazałam ci wyjechać. Brakowało mi jednak ciebie na każdym kroku. W każdym razie jesień zapowiada się jak najlepiej. Coraz więcej starych znajomych wraca do Paryża, a niedługo spodziewamy się też Raula.

Ala uważniej przyjrzała się szwagierce. Nicole nie tylko wyglądała inaczej niż zwykle, ale i zachowywała się inaczej. Ubrana w elegancką, kremową sukienkę, wręcz przyciągała spojrzenia wszystkich. Była tak piękna i promieniała takim wewnętrznym szczęściem i blaskiem, że Alę wręcz zabolaty oczy. Wyobrażała sobie, jaki stanowią kontrast na ulicy. Taka piękna, elegancka młoda kobieta, a obok druga, wyraźnie przygaszona i w żałobnym stroju. Ala wiedziała, że w sensie formalnym żałoba dawno już się skończyła. Co z tego jednak? To nadal łączyło ją z Walterem i pozwalało układać życie według jej własnych reguł.

Nicole paplała wesoło, przekazując jej plotki o wspólnych znajomych i o tym, co się działo w Paryżu podczas jej nieobecności. To było zastanawiające, bo Nicole nigdy dotąd tak się nie zachowywała. Nigdy nie paplała, nie obchodziły jej plotki, znajomi i rozrywki. Czy teraz różniła się czymkolwiek od Poli albo Solange?

„Co się z tobą dzieje, mała Nicole? Poznałaś kogoś, zakochałaś się?”

Ala westchnęła i opuściła głowę. Jak mogła być tak głupia, by nic nie zauważyć? Joachim, nie ruszając się z Warszawy, wiedział. A ona? Przecież podobno tak dobrze znała się na ludziach.

- Wiedziałam, że pobyt w Zaborowie ci pomoże - mówiła dalej Nicole, a oczy jej się śmiały. - Wyglądasz zupełnie inaczej. Opaliłaś się, masz znowu tyle energii!

„Czy wszystkie zakochane kobiety robią z siebie takie idiotki? Nie raz to widziałam u innych, nawet u Basi. Lecz Nicole? Walterze, czy ja też tak do ciebie szczebiałam? Jeśli tak, to jak to mogłeś znieść?”

- Jutro, a może nawet dziś, wybierzemy się do sklepów. Czas, abyś kupiła sobie wreszcie coś nowego. Zobacz, jak ubiera się Paryż. Kiedy ostatni raz coś sobie kupiłaś? Założę się, że jeszcze przed wojną.

- Tak - odparła Ala spokojnie. - Przed wojną Walter wybrał dla mnie śmieszny, czerwony suknię, prezent na moje urodziny. Była na mnie za duża i kiedy ją włożyłam, oboje omal nie umarliśmy ze śmiechu. Trzymam ją do tej pory, to moja ulubiona... Dziś już się takich nie nosi.

Uśmiech zamarł na twarzy Nicole, ale dojechały już na miejsce i rozmowa chwilowo się urwała. Na spotkanie wybiegła im mała Sylwia, która bawiła się z wnuczką sąsiadki Ali, zresztą pod okiem tej szacownej damy.

- Jakże wyrosłaś, kochanie, a nie widziałam cię raptem jeden miesiąc - zawołała Ala, podnosząc dziewczynkę.

„Gdybyś wiedziała, jakie masz wspaniałe rodzeństwo! Gdybyś wiedziała, ile bólu możesz im sprawić ty, a przede wszystkim twój rodzice”.

- Zaraz przygotuję coś do jedzenia - mówiła dalej Nicole, gdy już weszły do domu. - Wyobrażam sobie, jak musisz być głodna i skonana.

Kręciła się po kuchni, a poruszała się tak, jakby wykonywała jakiś zmysłowy taniec. Tymczasem Nicole tylko odgrzewała wcześniej przygotowany obiad.

- Nicole - spytała wreszcie Ala - czy Robert odwiedził was w Paryżu?

Talerz wypadł z rąk Nicole, ale nie stłukł się na kawałki. Nie pojawiła się na nim ani jedna rysa.

„Niedobrze” - pomyślały jednocześnie. „Zły znak”.

- Skąd wiesz? - spytała Nicole.

- To miał być sekret? Jeśli tak, to marnie pilnujecie swoich tajemnic.

- Robert ma prawo odwiedzać swoją córkę - uniosła się nagle Nicole, a cała twarz jej płonęła. - Dlaczego tak na mnie patrzysz? Nie mógł przecież oznajmić całej rodzinie, ani nawet tobie, że chce wyrwać się na parę dni i zobaczyć dziecko. Tajemnica jest tu koniecznością dla dobra wszystkich. Przecież wiesz.

- Nie denerwuj się - przerwała jej spokojnie Ala. - Tylko spytałam.

- Skąd jednak wiesz? - spytała już spokojniej Nicole, mimo to wciąż drżała. - Przecież Robert nikomu nie mówił.

- Spokojnie. - Ala machnęła ręką. - Nic się jeszcze nie stało. Nasz ojciec coś podejrzewa, ale to na razie wszystko.

Nicole wróciła do pracy przy kuchni, nadal jednak drżała. Cała swoboda, lekkość i chęć do żartów nagle od niej odstąpiły. Usłyszała za sobą kroki

bratowej i zrozumiała, że Ala wstała od stołu i podchodzi do niej. Niemal skuliła się ze strachu. Nie chciała jeszcze o tym mówić kobiecie, którą tak bardzo kochał jej brat, kobiecie tak oddanej jego pamięci, tak bezgranicznie bezkompromisowej i wiernej.

- Nicole - szepnęła Ala i pogładziła włosy szwagierki, obcięte według najnowszej mody. - Mała Nicole...

- Alice - zaczęła tamta bezradnie, lecz nie wiedziała, co dodać.

- Uważaj - mówiła dalej Ala cichym, ciepłym tonem. - To nie może się udać. Nie słyszałam, aby kiedykolwiek komukolwiek udało się coś takiego...

Rozdział 77

Nastąpiła jesień, najpierw ta kolorowa, pracowita, niosąca ze sobą atmosferę zbiorów, porządków, grzybobrania i przygotowywania przetworów, jesień pełna jeszcze uroku, ciepła i zapachów późnego lata. Ta jej część minęła szybko, niemal bezrefleksyjnie, jak to zwykle bywa, gdy całe dni wypełnione są pracą. Teraz świat zwolnił, przynajmniej nasz zaborowski świat. Ranki budzą się we mgle. Zawsze lubiłam mgłę. Gdy byłam dzieckiem, wyobrażałam sobie, że kryje w sobie jakąś tajemnicę, ale wierzyłam, że to na pewno będzie coś dobrego, coś, co zmieni moje życie. Tak myślałam. Teraz boję się mgieł. Czuję, że czai się w nich coś, czego jeszcze nie znam, a co może okazać się groźne. Staram się nie myśleć o tym zbyt często. Niestety, późna jesień oznacza więcej czasu, także na myślenie, analizy, refleksje. Nie jest dobrze.

W ciągu dnia, gdy się rozjaśnia, jadę na pola i patrzę na ludzi zbierających ziemniaki. Potem, po południu zgodnie ze zwyczajem rozpalają ogniska i ten blask niczym łuna odbija się w zapadającym wcześniej mroku. Jako dziecko też to lubiłam. Moje dzieci także przepadają za tym widokiem i atmosferą. Przeważnie razem z Zosią chodziły na wieś popatrzeć na ogniska i na ludzi piekących tam kartofle. Wojna uczyniła z moich dzieci małych dzikusów. Sama nie byłam wychowywana na jaśnie panienkę, ale dzieciaki nie mają w ogóle żadnych manier. Szczerze powiedziawszy, niewiele jej różni od chłopskiego potomstwa.

Teraz mam o jednego dzikusa mniej. Karol od września przebywa w szkole u salezjanów w Krakowie i do domu przyjeżdża tylko na niedziele. Nie spełniły się na szczęście ponure przepowiednie wszystkich wokół, że mały, dziewięcioletni chłopiec będzie czuł się źle w szkole z internatem, w atmosferze księżowskiego rygoru. Mój syn najwyraźniej polubił szkołę, kolegów i nauczycieli. Nabrał tam ogłady i dyscypliny, której w domu nie miałam czasu ani sposobności go nauczyć. Przebywa w Krakowie, w towarzystwie dzieci z dobrych ziemiańskich, mieszczańskich i inteligenckich rodzin. Ma to, czego niestety zabrakło w ostatnich latach w naszym ziemiańskim, zaborowskim domu. Przez kilka lat chował się bez ojca, za to w otoczeniu żołnierzy albo chłopskich dzieci. To było jego

najczęstsze towarzystwo, trudno zatem, aby nabrał dobrych manier. Teraz to się zmienia i to w okamgnieniu. Mój najstarszy syn jest zdolny, bystry i bardzo inteligentny. Chłonie wiedzę jak gąbka, nauka nie sprawia mu najmniejszych problemów, w szkole zajmuje jedno z pierwszych miejsc, jeśli chodzi o postępy w nauce. Gdy przypomnę sobie swoje własne zmagania i niepowodzenia, niemożność przyswojenia sobie czegokolwiek, ciągły stres i wstyd, że nie daję rady, nie nadążam, to teraz składam ręce do nieba w podzięcie za to, że jednak moje dziecko nie wrodziło się we mnie. Wszystko go interesuje, uwielbia czytać i słuchać tych, którzy mają mu coś ciekawego do przekazania. Wśród rówieśników czuje się znakomicie. Jego oddalenie od domu to raczej wielka próba dla mnie. Brakuje mi go na każdym kroku. Narodziny moich młodszych dzieci nie sprawiły mi tyle radości, co jego pojawienie się na świecie. To paradoksalne, ale tak przecież było. Nigdy potem nie byłam już tak szczęśliwa, jak przez pierwsze półtora roku jego życia. Nigdy przedtem ani nigdy potem nie czułam się taka silna, potrzebna i kochana. Nie tylko przez to dziecko. Nie tylko... Karolek jest dla mnie przypomnieniem tych lat. Niestety, cóż to teraz znaczy? Nie wychowujemy naszych dzieci dla siebie, lecz dla innych. Nie możemy ich spętać i trzymać całe życie przy sobie.

Dawno temu obiecałam sobie, że pozwolę mu ruszyć w świat, jeśli zajdzie taka potrzeba i on tego zapragnie. Nie zwiążę mu życia Zaborowem. Będzie podróżował, będzie uczył się języków, odbierze takie wykształcenie jak Ala, Janek i Robert. Da mu to kapitał i siły na całe życie. Nie będzie samotny jak ja, otoczony całymi latami taką mgłą, jaka wita poranki tej jesieni.

Wokół mnie jest tak gęsta mgła, że czasami już nie wiem, jak odnaleźć drogę. Nikomu jednak o tym nie mówię. Nawet mojej drogiej siostrze Ali o tym nie piszę. Nie dzielę się już z nią moimi myślami, marzeniami i smutkami, jak czyniłam to niegdyś. Dociera do mnie, że mogło ją to irytować jak moją matkę. Czasami mam wrażenie, że obie myślą o mnie podobnie. Matka jest taka silna, energiczna i twarda. Wojna nadszarpnęła jej zdrowie, ale nie odebrała hartu ducha, nie zmieniła charakteru. Ja zdecydowanie ciężiej pracowałam podczas tych lat niż ona, ale to ona była naszą ostoją w najgorszych chwilach. W sytuacjach naprawdę krytycznych wszyscy patrzyli na nią, nie na mnie. Ona miała znaleźć wyjście i...

znajdowała. Dzięki tej wewnętrznej sile matka przetrwała niejedno i pokonała własną samotność. Dlatego zawsze z góry patrzyła na moją słabość i pragnienia. Ona nie znała takich pragnień, były jej zupełnie obce.

Ala zaś straciła męża i dziecko. I dlatego przyjmuje inną miarę samotności i smutku niż ja. Z jej punktu widzenia powody mojej melancholii to czysta fanaberia. Czuję, że czasami śmiertelnie ją nudziłam. Uważa, że przesadzam. Nigdy tego nie powiedziała, ale ja to czuję. Dlatego tylko raz podczas jej ostatniego pobytu w Zaborowie starałam się jej o tym powiedzieć. Tak liczyłam na tę rozmowę! Moja przybrana siostra nie mogła mi pomóc, przecież o tym wiem. Nie musiała też nic do mnie mówić. Wystarczyło, by mnie wysłuchała, tak jak robiła to kiedyś. Niestety – wszystko się zmieniło. Męczyły ją moje zwierzenia, więc dałam sobie z tym spokój. Śmiałam się, żartowałam, byłam pełną życia towarzyszką pracy i niefrasobliwych rozmów.

Ala nie wyrwała się ze swojej żałoby, udaje tylko, że wszystko już u niej w porządku. Nie jest w porządku, bo wszystkie jej myśli, uczucia i niemal cała dusza często były gdzie indziej. Nie chciała jednak, lub nie mogła, o tym mówić. Obie więc udawałyśmy i przez to nie przełamaliśmy jakiegś wewnętrznej bariery, która pojawiła się między nami. Dlaczego tak się stało? Życie i odmienne doświadczenia tak nas na siebie zamknęły? Zrobiła to wojna i wszystko, co ze sobą przyniosła? A może już wcześniej istniała między nami jakaś przeszkoda, którą przeoczyliśmy i której teraz nie potrafimy albo nie mamy siły już pokonać? Może czegoś sobie nie powiedziałyśmy?

Czasami zdaje mi się, że ciągle wraca do mnie pytanie, którego nie zadałam jej dziesięć lat temu. Nie ośmieliłam się i teraz nie powinno to już mieć znaczenia. Tyle się przecież od tamtej pory wydarzyło. A jednak czasem żałuję, że jej nie spytałam.

Czy to byłaś Ty, moja siostrze? Czy człowiek, którego pragnęłam wtedy poślubić, był zakochany w Tobie? A jeśli tak, to jak zareagowałaś? Pamiętam twoją niechęć do niego i twoją nagłą chorobę, ale co to naprawdę znaczyło? Czy to nie były pozory, takie jak te, które teraz obie wokół siebie stworzyłyśmy? Oczywiście za późno już, aby do tych spraw wracać. Teraz obie mamy inne problemy. Gdzieś jednak jest przyczyna tego, że zawsze tak mało mówiłaś o sobie. Chyba nie bardzo miałaś ochotę mnie wysłuchać. Czy

jedynym powodem jest to, że uważasz moje przeczucia i troskę za wyolbrzymione w porównaniu z tym, co Ciebie spotkało?

Jeśli tak, to bardzo się mylisz, moja siostró.

Tak bardzo potrzebuję szczerej rozmowy z Tobą, jak prawdziwego oczyszczenia. Chcę Ci powiedzieć wszystko, co leży mi na sercu, i Ciebie nakłonić w końcu do mówienia.

Jestem taka samotna i nie potrafię dłużej z tym żyć. Nie potrafię, ale muszę, bo wymaga tego ode mnie zwykła codzienność. Muszę zająć się majątkiem i dwojgiem młodszych dzieci, które zostały ze mną w domu. Jak zatem wygląda owa codzienność, z którą walczę?

Dzieci pewnego dnia opuszczą ten dom. Życzę im tego z całego serca. Nie spędzą tu życia jak ich babka i matka. Nie będą samotne jak one. Tak mało im z siebie dałam. Byłam z nimi na co dzień, lecz nie miałam czasu należycie się nimi zająć. Mnie moja matka też nie poświęcała czasu, a nie miałam żadnej niani, bony, nikogo w tym rodzaju. Nie miałam też ojca, a moje dzieci teraz, od czasu do czasu, lecz jednak go mają. Nie byłam skomplikowanym dzieckiem. Nie wymagałam ciągłej uwagi, nie trzeba było pilnować mnie jak oka w głowie. Umiałam o siebie zadbać i nie być uciążliwą dla otoczenia.

Tymczasem moja córka jest zupełnie inna. Nie widziałam większego dzikusa od niej, nie wyłączając chłopskich dzieciaków. Prawie nie miała kontaktów towarzyskich z dziewczynkami, a nawet gdy czasem takowe się zdarzały, widać było, że mojej córce ich zabawy do gustu nie przypadły. Dziewczynek nie lubi i uważa je za głupie. Wokół przeważają chłopcy, a Ula zachowuje się tak, jakby była jednym z nich, i to nie z tych najgrzeczniejszych niestety. Stąd to łażenie po drzewach, guzy na głowie i wiecznie podrapane kolana. Psoci bardziej niż wszystkie okoliczne dzieciaki razem wzięte. Nie to jednak jest najgorsze. Jest samolubna w tym najgorszym znaczeniu, nie obchodzi jej potrzeby i uczucia innych. Jest jeszcze taka mała, a już potrafi zręcznie manipulować otoczeniem, kłamać, uparcie i niemal po trupach dążyć do celu. Widzę, jakie przebiegłe stworzenie z niej wyrasta. Wszyscy wokół to widzą, lecz tylko moja matka mówi mi o tym wprost.

Oddam ją za rok lub dwa do szkoły sakramentek w Krakowie. Może one będą potrafiły ją utemperować. Ja niestety coś przeoczyłam, gdy dziecko było zupełnie małe. Cóż jednak miałam robić? Wtedy, gdy moja córka

wymagała najczulszej matczynej uwagi i opieki, wybuchła wojna i przez te cztery kluczowe dla małego dziecka lata musiałam robić tyle innych rzeczy! Ojca też wtedy przy Uli nie było. To jednak akurat nic szczególnego, gdyż w czasie wojny wiele dzieci wychowywało się bez ojców. Nikt tej małej teraz nie lubi i ona też nie garnie się specjalnie do nikogo. Wyjątek stanowią tylko Robert i Paweł. Z bratem bliźniakiem w sposób naturalny czuje się bardzo związana, broni go przed innymi dziećmi, gotowa jest za niego oczy wydrapać. Niestety podporządkowała go sobie całkowicie, bo jest silna, zaborcza, bardzo bystra, a on, tak delikatny i spokojny, nie potrafi się jej przeciwstawić. Nawet nie próbuje, dla świętego spokoju.

Ula nie znosi sprzeciwu, stąd nie może znieść faktu, że nie zdołała podyktować własnych warunków starszemu z kolei bratu. Karol nie tylko nie pozwolił wkroczyć siostrze na swoje terytorium, ale stara się także ratować przed jej wpływem młodszego brata. Stąd te bezustanne wojny między moimi dziećmi, a ja nie potrafię już patrzeć na to spokojnie. Dochodzi nawet do tego, że własne służące mnie pocieszają i tłumaczą, że taka rywalizacja między rodzeństwem i taka próba sił to coś normalnego, tylko ja tego nie znam, bo byłam jedynaczką.

Nie potrafię się tym nie martwić. Czuję, że to nie jest normalne. Nasza rodzina nie funkcjonuje normalnie. Chłopcy lepiej sobie z tym radzą niż Ula. Tęsknię oczywiście za Robertem i szaleją z radości, gdy ojciec przyjeżdża do domu, nie odstępują go na krok, jednak Ula nie daje się wręcz od niego oderwać. Tęskni za nim rozpaczliwie. Pragnie go mieć dla siebie na wyłączność. Jakże ją rozumiem! Czuję to samo, co ta siedmioletnia dziewczynka. Tęsknię i kocham... coraz bardziej.

Robert bardzo dużo teraz pracuje, często wyjeżdża na konferencje naukowe, stale podnosi swoje kwalifikacje. Mówi, że lekarz, który się nie rozwija, nie nadąża za najnowszymi wynalazkami w swej dziedzinie - cofa się. Tłumaczy, że mamy teraz duże potrzeby finansowe, że trzeba zadbać o potrzeby dzieci i tak dalej, i tak dalej. Oczywiście, że to rozumiem. Pieniądze są nam teraz potrzebne, tym bardziej że wojna poważnie nasze finanse nadszarpnęła. A jednak... stale mi go brakuje. Najchętniej uczepliłabym się go jak Ula, lecz tego, rzecz jasna, nie zrobię. Obiecałam przecież, że nie będę dla niego ciężarem, że nie będę słabą kobietką, która wiesza się na nim rozpaczliwie i próbuje na siłę zatrzymać w miejscu.

Obiecałam mu to, gdy zaproponował mi małżeństwo. Wiedziałam, że podobnie jak ojciec, także i Robert nie jest typem mężczyzny spędzającym czas w domu. Początkowo nie było to dla mnie takie trudne. Karolek jako niemowlę wypełnił całe moje życie. Potem wraz z Robertem przeżywaliśmy jakby nasz miodowy miesiąc, co zaowocowało urodzeniem się bliźniąt. Potem... Wiadomo, co się działo ze mną, z nami, a kiedy zaczęło się na nowo układać, wybuchła wojna. Po jej zakończeniu wrócił... A teraz?

Roberta przy mnie nie ma, nawet gdy fizycznie jest tuż obok. Nawet gdy jesteśmy razem, intymnie... jego jakby naprawdę nie było. W rzeczywistości jest wtedy gdzie indziej. Robi to ze mną tak, jakby spełniał jedynie swój męzowski obowiązek, w dodatku nie doświadczając przy tym żadnej przyjemności. Czasami mam ochotę mu powiedzieć, aby przestał się tak poświęcać. Mam ochotę powiedzieć mu to spokojnie, bez złości, bez goryczy. Naprawdę tak myślę. Nie zrobię tego jednak. Co mi wówczas zostanie, gdy nawet tego mi zabraknie, tej nędznej namiastki jego miłości, bez której nie potrafię się obyć.

Nie jestem jak moja matka, która uwięziła własne serce i zamknęła je na klucz. Nie jestem jak Ala, która zamierza resztę życia spędzić jak zakonnica. Naprawdę potrafiłaby to zrobić. Aż dziw bierze, że mężczyźni uważają ją za kobietę zmysłową i pełną temperamentu. A jednak sama widziałam, jak na nią patrzą. Nawet teraz, gdy przestała dbać o urodę i chodzi ubrana w te niemodne, czarne suknie. A ona zupełnie o tym nie myśli. Nie, nie jestem jak ona. Sądzę jednak, że Ala otrzymała już w życiu tak ogromną dawkę miłości i szczęścia od Waltera, że być może starczy jej tego na resztę życia. Dał jej tyle ciepła, by nie zaznała już nigdy chłodu. Ja tego nie dostałam ani w poprzednim związku, ani teraz. Mówiąc wprost - ja nigdy nie byłam tak kochana. Nawet jeśli byłam, to trwało to zbyt krótko i nie miało takiej siły, jakiej potrzebuję.

Dlaczego? Co robiłam źle? Tak bardzo pragnę o tym porozmawiać z moim własnym mężem. To kolejna osoba, z którą chcę mówić szczerze i o wszystkim, a zarazem to kolejna, która się na tę rozmowę zamyka. Często pragnę, aby zamiast tych wymuszonych aktów fizycznej miłości usiadł przy mnie i powiedział, co się stało, co mu leży na sercu. Czy w jego życiu pojawiło się coś, z czym nie potrafi sobie poradzić? Chcę mu powiedzieć, że razem z pewnością przez to przejdziemy. Kiedy jednak próbuję dać mu to do

zrozumienia, uśmiecha się tylko i macha niedbale ręką. A potem się kochamy, jeśli oczywiście można to tak nazwać. Daję więc spokój tym rozmowom. Nie chcę być natarczywa i zniechęcić go do siebie całkowicie. Bez tych resztek jego miłości i czułości, bez tego, choćby pozornego, zainteresowania mną, nie poradzę sobie. Nie potrafię. Żyję więc tak, jak on tego oczekuje. Żyję na jego warunkach. Rozmawiamy tylko o tym, o czym on chce rozmawiać - głównie o dzieciach, o planach z nimi związanych, o potrzebach finansowych, o rodzinie, o znajomych. Pyta, jak się czuję, czego sobie życzę, czy nie brakuje mi czegoś.

- Nie - mówię ze słodkim uśmiechem idiotki. - Jest mi dobrze. Wszystko mam. Dobrze sobie radzę.

A potem, gdy zostaję sama, krzyczę do siebie. Nie jest mi dobrze! Brakuje mi Ciebie! Ciebie pragnę!

Nikomu jednak o tym wszystkim nie powiem. Znowu popatrzyliby na mnie jak na głupią, słabą kobietę, która cierpi na chore fanaberie. Wokół tyle się dzieje! Czesi zajęli Zaolzie, na Śląsku przez kilka dni trwały zamieszki, przygotowują się do plebiscytu, od wiosny odzyskane Wilno, ale na południowym wschodzie niepokoje z Ukraińcami. Mamy własny kraj, a wokół czai się nań tyle zagrożeń. Tymczasem zaś biedna, głupia Barbara Matzer myśli tylko o swoim smutku, samotności. Ludzie potracili podczas wojny domy, majątki, bliskich, stracili zdrowie, ręce, nogi, czy - jak Jaś - jedno lub dwoje oczu, a Barbara Matzer skamle, że mąż nie kocha jej tak, jak ona by tego pragnęła! Tak skomentowaliby to ludzie, więc milczę.

Dzięki Bogu, że mam ten pamiętnik. To mój przyjaciel, może jedyny. Dzięki niemu jeszcze nie zwariowałam. I dzięki pracy. Ala powiedziała prawdę. Praca jest jak lekarstwo, koi stargane nerwy. Niestety, przyszła późna jesień. Jest już po zbiorach, na wsi życie spowalnia tempo. Przyroda wyciszyła się i szykuje się do zimy. Mnie też jest zimno, chronicznie zimno, coraz zimniej. I wokół ta mgła...

Synowie Raula okazali się przemiłymi, wesołymi chłopakami, którzy wszystkich dookoła bez trudu chwyтали za serce. Mieli po siedem lat i może dzięki tak młodemu wiekowi bardzo łatwo asymilowali się w nowym otoczeniu. Bez trudu przyzwyczajali się do życia w nowym dla nich kraju, od razu też we wrześniu zaczęli chodzić do prywatnej francuskiej szkoły. Jeszcze przed przyjazdem do Francji uczyli się języka kraju, w którym mieli zamieszkać, stąd nie mieli też większych problemów z komunikowaniem się ze znajomymi i przyjaciółmi ojca, z nawiązywaniem kontaktów z innymi dziećmi. Wkrótce też władali francuskim jak rodzimym językiem i należało zadbać raczej o to, by nie zapomnieli angielskiego, którym przecież posługiwała się rodzina ich matki.

Oczywiście trudno było nie zauważyć podobieństwa między nimi. Nie było ono jednak tak wielkie, jak by się mogło wydawać w przypadku bliźniaków. Alan miał ciemne, gęste włosy jak ojciec i brat, ale jego oczy były duże, łagodne i piwne, uśmiech – nieśmiały i pełen słodyczy. Był spokojnym, posłusznym dzieckiem, raczej małomównym i zamkniętym we własnym świecie. Ali bardzo przypominał jej bratanka, Pawełka. Była też pewna, że obaj chłopcy na pewno by się rozumieli i polubili, a może nawet zostaliby przyjaciółmi, gdyby, rzecz jasna, mieli ku temu sposobność.

- Jest podobny do Rebeki - powiedział Raul. - Rebeka właśnie taka była... Nieśmiała i wycofana, dlatego nie mogła odnieść sukcesu na scenie. Jemu też nie będzie w życiu łatwo.

Ala pokochała to dziecko niemal z dnia na dzień. Pokochała to dziecko, któremu nie będzie łatwo żyć na tym świecie, które już na progu życia zostało osierocone przez matkę, które było bezbronne, wrażliwe i tak jej oddane. Alan bowiem lgnął do niej od samego początku, tak jak jej obaj bratankowie. Nie mogło to być podyktowane jedynie szukaniem kobiecego, matczynego ciepła, gdyż obaj synowie Raula mieli oddaną im czarnoskórą nianię Nancy, która przybyła razem z nimi ze Stanów Zjednoczonych i najwyraźniej świata poza nimi nie widziała.

Ralf z kolei był nieodrodnym synem Raula, i to w każdym calu. To samo wesołe, łobuzerskie spojrzenie, ten sam zniewalający uśmiech, te same

czarne, żywe oczy, w których dokazywały dwa chochliki, i ta sama, ciemna, niesforna czupryna. Od razu przejął dowodzenie nad bratem i kolegami, w perspektywie miał się stać wodzem całej szkolnej klasy. Rozdokazywany i ruchliwy, przyciągał serca i spojrzenia wszystkich wokół. Ala i Nicole go uwielbiały i były przekonane, że w przyszłości wyrośnie z niego prawdziwy Romeo.

- Będzie jak ojciec. W każdym porcie inna kobieta - zauważyła Nicole, po czym zerkając na bratową, szybko dodała: - Oczywiście w przypadku Raula to już przeszłość. Bardzo się zmienił pod tym względem.

Ala puszczała mimo uszu tego typu uwagi. Oczywiście i ona zauważyła, że przyjaciel się zmienił. Bujne życie towarzyskie, któremu oddawał się z zapamiętaniem jeszcze kilka lat temu, należało już do przeszłości. Nie towarzyszyła mu też żadna kobieta.

- Nie da się oszukać czasu - skomentował to kiedyś po swoim, nonszalancko i wesoło. - Pewne rzeczy odeszły do lamusa. Niedługo skończę trzydzieści osiem lat, Alice. Poza tym muszę dać przykład synom. Ludzie nie lubią wspominać łajdaczących się rodziców.

Dużo pracował, prowadził filię amerykańskiej firmy. W dalszym ciągu „łowił” talenty i promował ich wejście w świat. Był stale zajęty, często wyjeżdżał, ale po kilku dniach wracał, aby nie tracić na długo z oczu swoich synów. Nawet gdy nie był obecny, chłopcy mieli idealną wręcz opiekę, bo ich niania dałaby się za nich pokroić na kawałki, a zarazem dobrze ich wychowywała. Rozpieszczała, lecz ustalała twarde zasady, reguły i nieprzekraczalne granice.

- Tak mnie wychowano - oznajmiła Ali z godnością. - Pochodzę z Południa i mój tatuś musiał ciężko pracować, aby wyżywić siedmioro dzieci. Nie było mowy o grymasach, starsze pomagały przy młodszych. Mamusia sama nie dałaby rady. Wszyscy wyrosliśmy na porządnym ludzi.

Obaj chłopcy niemal codziennie przychodzili do Ali i prawie się tu zadomowili. Oczywiście nie byłoby to możliwe bez aprobaty Nancy. Nawet Raul nie zdołałby postawić na swoim, gdyby piastunka nie zaakceptowała Ali i jej otoczenia. Nancy jednak polubiła Alę, a także Nicole, choćby dlatego, że mogła porozmawiać z nimi po angielsku, a nie miała talentów językowych swoich podopiecznych, aby nauczyć się szybko i poprawnie francuskiego.

Lubiła też Alę z innego powodu i bez ogródek powiedziała to kiedyś Nicole i Dominique, które akurat pod nieobecność właścicielki siedziały w jej domu wraz ze zgrają dzieci.

- To doprawdy wzruszające, że tak młoda i ładna kobieta wciąż wiernie kocha swojego zmarłego męża. Rzadko teraz zdarzają się takie rzeczy. Myślę jednak, że dobrze by było, gdyby mogła pokochać jeszcze kogoś żywego na tej ziemi. Byłaby tak dobrą matką jak moja mamusia. U nas w domu też na okrągło były tłumy dzieci.

Nie dodała nic więcej, ale Nicole i Dominique od razu zrozumiały, w czym rzecz. Myślały o tym samym. Nie one jedne. Ala wiedziała, że wokół niej i Raula aż huczy od domysłów. Nie przejmowała się tym jednak. Przed laty też tak było. Wtedy oboje byli jeszcze zupełnie młodzi, ona była bardzo młodą dziewczyną. Nikt nie rozumiał fenomenu ich przyjaźni i był czas, że podejrzewano ich o romans, o to, że w istocie są kochankami. Oboje zawsze mieli z tego mnóstwo śmiechu. Potem znajomi, przyjaciele i sąsiedzi przyzwyczaili się do tej ich przyjaźni i dali spokój plotkom i domysłom. Tylko rodzina Ali, z wyjątkiem Janka, nie potrafiła tego zaakceptować. Nie miało to jednak żadnego znaczenia, tym bardziej że w pewnym momencie drogi Ali i Raula wyraźnie się rozeszły, i to na całe lata. To, co działo się wcześniej, spadło do rangi mało istotnych epizodów.

Teraz jednak życie wracało ze zdwojoną siłą. Wszystko przeżywano intensywniej, silniej i szybciej niż kiedyś, tak jakby ludzie pragnęli nadrobić stracony czas. Powrót Raula, w dodatku z dwoma synami, rozpałił na nowo wyobraźnię wszystkich, którzy znali jego i Alę jeszcze z dawnych lat. Powszechnie kojarzono ich ze sobą, i to jeszcze bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Każdy uważał, że idealnie do siebie pasują. W dodatku te dzieci kręcące się stale przy Ali nadawały całej sprawie nowego kolorytu i miłego dreszczyku.

Każdy też pragnął, by Ala pozbyła się w końcu żałoby, by odzyskała w pełni dawną radość, werwę, by zabłysła dawnym blaskiem. Ala o tym wszystkim wiedziała, chociaż nikt nie miał śmiałości powiedzieć jej tego wprost. Wzruszała jednak ramionami i cierpliwie czekała, aż im się znudzi, aż się zajmą czym innym lub kim innym. Wiedziała, że w końcu dadzą sobie spokój, jak przed laty. Tyle że tym razem już oboje z Raulem nie śmiali się z tego, jak wtedy. Oboje spowaźnieli, wydorosleli, nieśli na sobie bagaż

doświadczeń i przeżyć, które dawniej nie istniały. Nie umieli do pewnych spraw podchodzić tak lekko jak dziesięć czy jedenaście lat temu. Starali się więc bez potrzeby nie prowokować nowych plotek. Przy ludziach nie stwarzali dwuznacznych sytuacji, prawie się nie dotykali, jak to bywało przed laty, zachowywali się jedynie jak para oddanych sobie wieloletnich przyjaciół. Raul odwiedzał ją zdecydowanie rzadziej niż niegdyś.

Mimo wszystko traktowano ich jak parę i wyglądało na to, że znajomi, przyjaciele, a nawet obaj bracia Ali, patrzyli na ich wzajemne stosunki życzliwie i wyraźnie ich sobie życzyli. Janek nigdy zresztą nie miał obiekcji wobec Raula, ale zmiana nastawienia Roberta do tej kwestii była już zastanawiająca i mogła dawać do myślenia. Szczęśliwie Joachim Matzer o niczym nie wiedział. Nawet jego synowie zdawali sobie sprawę, że ojciec nie zmienił nieprzychylnego zdania o Renecie. Ludzie w pewnym wieku nie zmieniają już poglądów albo zmieniają je bardzo rzadko. Dla Joachima Ala pozostała nadal młodziutką dziewczyną, na którą czyhają niebezpieczeństwa ze strony mężczyzn całego świata, i nie było już na to rady.

Dla Ali fakt, że znowu była w centrum uwagi, nie miał znaczenia. Wyraz jej twarzy i żałoba skutecznie zamykały wszystkim usta i najczęściej kończyło się na mniej lub bardziej wprost wyrażanych aluzjach. Ala zachowywała się wtedy jak osoba, której uwagi te nie dotyczą, która ich nie rozumie. Zdawała sobie jednak sprawę, że noszona przez nią tak uparcie i długo żałoba niepokoi wszystkich wokół, nie wyłączając dzieci, które nie potrafiły tego zrozumieć.

Dlatego, aby przestać zwracać na siebie uwagę, zdecydowała się zdjąć wreszcie czarne suknie i zmienić garderobę. Uczyniła to z bólem serca, jakby pozbywała się najserdeczniejszych przyjaciółek, jakby musiała na swoją twarz nałożyć maskę. „Lecz trudno - pomyślała - niech będzie. Czasami życie przypomina teatr, czasami trzeba w nim zagrać cudzą rolę”. Dała się nawet zaprowadzić do sklepów i fryzjera. Dla niej to nie miało znaczenia, ale jej przyjaciółkom, a zwłaszcza Nicole, sprawiło widoczną przyjemność. Ubierały ją, rozbierały i przebierały, a ona poddawała się temu potulnie i udawała, że ją to bawi. Niech im będzie, były przecież na swój sposób kochane. Nie chciała, aby ktokolwiek martwił się z jej powodu. Ludzie i bez niej mieli dość własnych problemów. Tak więc znowu była elegancka, ubrana i ostrzyżona zgodnie z obowiązującymi nowymi trendami w modzie.

Odmłodziła dzięki temu i wyładniała, znowu przyciągała spojrzenia – jednak bez wzajemności z jej strony. Zmiana zewnętrznego wizerunku była jedynym ustępstwem, na jakie mogła się zgodzić. Wszystko inne pozostało niezmienione.

„Oni nie rozumieją, że nie potrzebuję innych zmian” – myślała, siedząc pewnej nocy przy oknie i patrząc na fotografię męża. „Gdybym była starą kobietą, daliby mi pewnie spokój. Nawet oczekiwano by ode mnie, bym żywcem wstąpiła do grobu. Teraz chcą mnie na siłę uszczęśliwić nowym związkiem. Nie wiedzą, że jestem na swój sposób szczęśliwa. Nie jestem ani święta, ani uparta. Po prostu, mój kochany, nie potrzebuję innego życia ani innego mężczyzny. Nadal jestem częścią ciebie, nadal jesteś we mnie. Jak więc może znaleźć się tam ktoś inny?”

Czuła jednak, że pod pewnymi względami się zmienia, że na pewne zmiany jest otwarta. Dotyczyło to dzieci. Dzięki nim jej dom nieodwołalnie przestał już przypominać przybytek łez i smutku. Nikt teraz nie nazwałby go grobowcem, a wiedziała, że wcześniej niektórzy określali tak jej mieszkanie. Prawie codziennie bawiły się w nim teraz dzieci, i to nie tylko synowie Raula oraz Sylwia. Przychodził też tu chętnie synek Dominique, a także wnuki sąsiadów mieszkających wokół. Niekiedy dom przypominał prawdziwe pole bitwy, choć zawsze potem doprowadzone do ładu.

- Takie byłyby też nasze dzieci – mówiła do Waltera, gdy odwiedzała jego mogiłę. - Biegałyby po całym domu i próbowałyby przestawiać w nim różne rzeczy. Ty pewnie na wszystko byś im pozwalał. Ja czasem wkraczałabym do akcji. Wyobrażam sobie czasem, że Melanie robi teraz wszystko, na co ma tylko ochotę... taki byłeś. Pozwalałeś na wszystko, nie stawiałeś granic ani warunków.

Westchnęła. Dzieci też z radością przyjęły fakt, że zdjęła żałobę. Były takie niewinne, niczego nieświadome.

„Dobrze, niech im będzie. W końcu nie żyje się tylko dla siebie, ale także dla innych” – pomyślała. „To, co jest we mnie najważniejsze, i tak należy do ciebie, Walterze. Tego nawet ja nie mogę zmienić, ani ty nie możesz mnie z tego zwolnić. Tak po prostu jest... i pozostanie”.

Raul chyba to rozumiał i nigdy nie podejmował na ten temat dyskusji ani perswazji. Pomagali sobie wzajemnie, bo dla niego fakt, że jego synowie znaleźli w Ali bratnią, a właściwie matczyną, duszę, był bezcenny. Pomagała

mu w ten sposób, o tym jednak również nie rozmawiali. On także odwdzięczał się jej pomocą, mogła zawsze liczyć na jego wsparcie i rady. Pod tym względem nic się nie zmieniło od lat.

Największą przysługą, jaką jej w tym czasie wyświadczył, była pomoc przy ekshumacji ciała Waltera i pochowaniu go w Paryżu. Właściwie zajął się wszystkim niemal sam, za co była mu ogromnie wdzięczna. Nie musiał przecież tego robić, miał dość własnych spraw, uważał nawet, że Walter powinien zostać ze swoimi ostatnimi towarzyszami. A jednak zrobił to... tylko dla niej. Zrobił to nawet wbrew sobie, nie był bowiem przekonany do perspektywy codziennych wizyt Ali na cmentarzu niedaleko domu. Bał się takiej przyszłości dla niej. A jednak nie powiedział tego głośno, tylko wszystko załatwił i przeprowadził.

Odkryło się to w grudniu. Do Paryża przyjechał na tę okoliczność Robert. Wiedziała oczywiście, że przy okazji mógł odwiedzić Sylwię, ale ucieszyła ją wizyta brata. Nikt inny z Polski nie mógł przyjechać. Nawet Janek, zajęty pracą przy odbudowie jakiejś linii kolejowej i różnymi czynnościami w służbie publicznej, nie mógł się nigdzie ruszyć, chociaż na początku to planował. W pobliskim kościele odprawiona została msza za spokój duszy Waltera, a potem wszyscy poszli na cmentarz. Przyszła obecna w Paryżu rodzina i spore grono przedwojennych jeszcze przyjaciół. Potem udali się razem na obiad do domu Ali.

Atmosfera jednak nie była naładowana smutkiem czy przygnębieniem. Rozmowy toczyły się w zwykłej, przyjaznej atmosferze i dotyczyły spraw codziennych, życiowych. Ala cieszyła się, że przyszli, że siedzą razem przy stole, tak jak to niegdyś bywało w jej domu. Przecież ci ludzie bywali tu, zanim jeszcze w jej życiu pojawił się Walter, zanim w ogóle dowiedziała się o jego istnieniu.

W pewnym momencie wstała, aby przygotować ser i kawę, a ponieważ Nicole była zajęta przy stole, Raul ofiarował się Ali z pomocą w kuchni. Oczywiście wszyscy wymownie odprowadzili ich wzrokiem, tym bardziej że również Alan zapragnął im towarzyszyć. Ala jednak nie przejęła się tym, chociaż czuła na sobie spojrzenia biesiadników i dostrzegała ich wymowne uśmiechy. Chciała przez chwilę porozmawiać tylko z Raulem, chciała mu podziękować właśnie teraz, w tej chwili i zrobić to sam na sam. Należał mu się ten gest z jej strony. Wręczyła małemu Alanowi tacę ze słodyczami

i poleciała, by ostrożnie zaniósł ją do jadalni, a potem zajęła się ustawianiem serwisu do kawy na wielkiej tacy.

- Postaram się nic nie zbić ani nie wyłąć, mamusiu - zażartował Raul, bo gdy czasem byli tylko we dwoje i nikt ich nie mógł obserwować, żartowali niekiedy po staremu.

- Dziękuję ci, przyjacielu, że zająłeś się wszystkim - odpowiedziała najserdeczniej, jak mogła. - Bez ciebie nie dałabym sobie z tym rady, nawet przy pomocy mojej szwagierki.

Raul nagle spowaźniał i niespodziewanie położył dłoń na jej dłoni, po czym na moment ją uściśnął, ale nie jak przyjaciel. To było coś zupełnie innego, nowego.

- Alice - szepnął - gdyby to mogło mi cię przywrócić...

Ala drgnęła i omal nie upuściła dzbanka z kawą na podłogę. Nie mogła się mylić. To nie stary przyjaciel przez krótką chwilę pieścił jej dłoń.

„Walterze” - przemknęło jej przez myśl i przytknęła oczy. Była pewna, że wypowiedziała to imię na głos. Uwolnił jej dłoń, a kiedy otworzyła oczy, zobaczyła tylko, jak Raul odbiera jej dzbanek i ustawia go na tacy. Uśmiechnął się do niej krzepiąco i po staremu zawadiacko mrugnął okiem.

„Pięknie mu podziękowałam, nie ma co” - pomyślała zawstydzona, ale Raul najwyraźniej nie zamierzał robić z tego problemu.

- Otwórz mi drzwi, Alice - poprosił wesoło. - Mam obie ręce zajęte. Módl się też, aby żaden dzieciak nie wpadł mi pod nogi w drodze do jadalni.

Przez kilka kolejnych lat nie wspominał słowem o incydencie w kuchni.

Rozdział 79

- Chciałem przywieźć tu ze sobą dzieci, a przynajmniej chłopców - powiedział Robert do siostry, gdy oboje dwa dni później poszli na cmentarz.

- Myślałem o tym, ale ostatecznie nie zdecydowałem się. To nie takie proste.

- Wypadałoby zabrać również ich matkę - zauważyła, trochę sarkastycznie, Ala.

- Nie, Barbara nigdzie by się teraz nie ruszyła. Szkoda jej pieniędzy, stale myśli tylko o oszczędzaniu na remonty, na szkoły, na wyposażenie dzieci... Mówi tylko o tym.

- Nie wiesz, czego naprawdę chce twoja żona - przerwała mu Ala. - Pytałeś ją o to?

Nie odpowiedział, tylko zapatrzył się na mogiłę szwagra.

Ala też milczała. Czyżby Walter chciał jej coś przekazać? Czy ojciec mógł mieć rację, gdy mówił o swoich przypuszczeniach w sprawie Basi i Roberta? Zamykała na to oczy, nie chciała o tym myśleć. Jednak tu, tak blisko Waltera, cała prawda otwierała się przed nią nieubłaganie. Wiedziała przecież od dawna, że Nicole była zakochana w jej bracie. Wiedziała też, że Robert w miarę możliwości dbał o małą Sylwii i starał się łapać każdą okazję, by ją odwiedzić. Czy jednak... czy ograniczał się tylko do Sylwii? A jeśli ojciec miał jednak rację?

„Nie” - nakazała sobie kategorycznie. „Ojciec nie ma racji. Wszystko ogranicza się tylko do małej Sylwii. Roberta interesuje tylko dziecko. Przyjechał tu kilka dni temu i nie zauważyłam, aby oprócz córki interesował się dodatkowo jej matką. Przecież, gdyby tak było... coś bym spostrzegła”.

Rzeczywiście, kontakty Roberta i Nicole były koleżeńskie, miały charakter zwykłej towarzyskiej poprawności. Oprócz Ali nikt nie wiedział i nie domyślał się nawet, że jej brat jest ojcem Sylwii. Nicole i Robert funkcjonowali przecież razem już wcześniej na oczach ludzi, którzy ich znali, i nikt właściwie nie zwracał na nich uwagi. Nie było w nich nic podejrzanego. Nikt nie mógł im nic zarzucić. Kiedyś wprawdzie przyjaźnili się ze sobą, ale wiadomo było, że nie przerodziło się to w nic poważnego. Ala sama niczego by się nie domyśliła, gdyby nie mała Sylwia. Co jednak,

jeśli nie ograniczało się to tylko do wspólnego dziecka?

- Wspomniałam kiedyś Basi, że mogłaby się ruszyć z Zaborowa i mnie odwiedzić - wyraziła teraz na głos swoje wątpliwości. - Rzeczywiście, wykreśliła się, mówiąc o konieczności oszczędzania. Kiedyś jednak zechce tu przyjechać i musisz się do tego przygotować. Wizyta twojej rodziny w Paryżu będzie oznaczać, że Nicole i Sylwia będą musiały na ten czas gdzieś wyjechać. Inne wyjście jest tylko takie, że powiesz o wszystkim Basi. To jednak zbyt duże ryzyko.

- Wiem - odparł. - Pewnego dnia będzie musiała się o wszystkim dowiedzieć.

Jego zdecydowanie i determinacja zaskoczyły ją.

- Zastanów się, czy warto - zaznaczyła ostrożnie. - Czy nie lepiej zachować tajemnicę, przynajmniej dopóki wszystkie dzieci nie dorosną. Basia może nie udźwignąć faktu, że masz dziecko z inną kobietą.

Robert potrząsnął głową w zamyśleniu i nagle spojrzął na siostrę tak, jakby chciał jej coś ważnego powiedzieć. Jakby pokonał jakąś wewnętrzną zapórę, która do tej pory nie pozwalała mu mówić.

- Chodzi jeszcze o coś - zaczął ostrożnie. - Tak dalej się nie da...

- Co takiego? - spytała Ala. - Co masz na myśli?

Robert patrzył na siostrę z uwagą, przenikliwością i jakąś niezrozumiałą dla niej prośbą.

- Pomożesz mi? - zapytał tak cicho, że bardziej domyśliła się tych słów, niż je usłyszała.

- Zawsze ci pomogę, jeśli tylko będę potrafiła - odparła, ale już się bała.

Co jej chciał powiedzieć? Nie chciała nawet snuć domysłów.

- Jeśli odwrócą się wszyscy pozostali, ty zostaniesz przy mnie?

„Boże drogi! O co mu chodzi?” - pomyślała, przestraszona, ale głośno powiedziała:

- Jesteś moim bratem i kocham cię. Zawsze będziesz mi bliski.

Ujął ją pod rękę i zaczęli powoli iść aleją cmentarną w kierunku bramy i ulicy pełnej ludzi.

- Chcesz powiedzieć żonie o swoim dziecku? - spytała. - Jeśli to zrobisz, spróbuję pomóc ci i przekonać ją jakoś. Powiem Basi, że to nie jest jeszcze koniec świata. Powiem jej, że pomimo tego, co się stało, nadal jest dla

ciebie ważna. Nie bój się, pomogę ci. Powiem jej...

- Alu!

Ścisnął jej ramię tak mocno, że poczuła silny ból. Zatrzymała się, zaskoczona, i chciała uwolnić się z jego uścisku, ale niemal zmusił ją, aby szła dalej.

- To jednak duże ryzyko - mówiła wobec tego, coraz bardziej przerażona i zrozpaczona. - Basia jest bardzo zasadnicza i ma niewzruszone poglądy. Pamiętasz, jak potraktowała Olafa, gdy dowiedziała się... o jego zdradach? - Na chwilę przerwała, bo akurat tamte wspomnienia niespecjalnie chciała przywoływać. A jednak aż się prosiły o przypomnienie teraz, gdy rodzinie ponownie zagrażało coś złego. - Nie ryzykuj - prosiła - poczekaj, aż dzieci dorosną i same podejmą decyzję, co dalej. Jako dorośli ludzie może łatwiej zrozumieją twoją chwilową słabość do matki Sylwii.

- Chwilową słabość? - powtórzył i spojrzał na nią takim wzrokiem, że ponownie się przeraziła. - Powiedziałaś: chwilową słabość do matki Sylwii?

- Wiem, że to trudne - mówiła dalej, coraz bardziej bezładnie. - Także organizacyjnie trudne, jeśli chcesz nadal mieć kontakt z Sylwią i równocześnie nie zaniedbywać żony i dzieci, jednak... taka jest cena tego, co zrobiłeś z Nicole w czasie wojny. Czasem żałuję, że nie stało się tak, jak chciała tego ona. Miała rację. Żałuję, że dowiedziałeś się o tym dziecku. Byłoby lepiej...

- Nie mów tak - przerwał jej ostro, zdecydowanie, niemal brutalnie.

- Wybacz - odparła po chwili zaskoczenia. - Nie powinnam była tego mówić.

- Nie powinnaś była. - Jego ton tylko odrobinę złagodniał.

Prawie się go bała. Był blady, oczy płonęły mu gniewem. A jednak pragnęła przytulić go do siebie i powiedzieć, że go rozumie. Naprawdę go rozumiała. To jednak było wszystko, co mogła zrobić.

- Poczekaj jeszcze - powtarzała uparcie, choć wiedziała, że to już nie ma sensu. - Nie rozgłaszaaj tego, nie mów żonie. Jeszcze nie... jeśli ci na niej zależy...

- Zależy mi na moich dzieciach. Chcę, aby wychowywały się razem, aby znały się wzajemnie, aby przynajmniej o sobie wiedziały.

- Teraz to niemożliwe - odparła zdecydowanie, pełna najgorszych przeczuć.

Wtedy zaczął mówić już zupełnie innym tonem – łagodnie i ciepło, dokładnie tak, jak mówił do niej Walter, gdy chciał ją do czegoś przekonać. Zaciskała teraz zęby, aby nie szlochać na głos, i z trudem powstrzymywała łzy.

- Tyle lat ty i ja wychowywaliśmy się osobno. Wiedziałem, że gdzieś tam istniejesz, i brakowało mi ciebie. Miałem przy sobie wspaniałego brata, ale brakowało mi siostry. Przynajmniej jednak znałem prawdę. Odzyskaliśmy się z trudem już jako dorośli ludzie, a mnie nadal tak cholernie żał tamtych lat spędzonych oddzielnie. Nie chcę, aby to samo spotkało moje dzieci.

Nie była dobra w sztuce perswazji. Gdy dyskutowali o czymś z Walterem, to jego argumenty okazywały się trafniejsze, a przynajmniej solidniej uzasadnione. Gdy mimo to chciała go przekonać do swoich racji, musiała uciekać się do innych sposobów. Uwielbiał te sposoby i ona też potrafiła być wtedy przekonująca i postawić na swoim. Sposobów tych nie mogła jednak przeprowadzić w bracie.

- Nie zależy ci już na twoim małżeństwie – stwierdziła tylko, bo wreszcie to do niej dotarło.

Nie czekała na odpowiedź. Zapragnęła zostać sama, w każdym razie uwolnić się od jego towarzystwa.

„Skąd to wiedziałeś, ojczu? Jak na to wpadłeś? A ja nie chciałam cię słuchać, prawie cię wyśmiałam. Jesteś taki mądry, tyle przez nas wycierpiałeś. Jak sobie poradzisz, gdy wreszcie poznasz całą prawdę? Co zrobić, abyś jej nie poznał?”

- Czy nadal zależy ci na rodzinie? – spytała. – Nawet jeśli przestało ci zależeć na Basi? Co z resztą rodziny? Nie da się oderwać twoich dzieci od reszty rodziny.

- Nikt z nich tego nie zrozumie. Zrozumiałyby mnie matka. Teraz to wiem, ale jest już za późno. Zostajesz mi tylko ty. Zawsze byłaś inna niż cała reszta, przynajmniej kiedyś byłaś inna. Postaraj się choćby na moment być taka, jak przed laty: wesoła, spontaniczna, roztrzepana, samolubna, żyjąca wbrew normom społecznym i ludzkim konwenansom. Najpierw posłuchaj, zanim rzucisz kamieniem.

„Nie mów nic, błagam cię, nie mów” – myślała rozpaczliwie, tak jak kiedyś, przed laty, gdy zwierzała jej się Basia.

Nie chciała być już powiernikiem cudzych zmartwień. Nie chciała siedzieć w konfesjonale i wysłuchiwać spowiedzi. Nie mogła rozgrzeszać.

Lecz nie mogła też zabronić mu mówić. Był jej bratem i przyjechał kiedyś specjalnie do Paryża, aby podnieść ją na duchu po śmierci Waltera. Właściwie tylko po to w drodze do polskiej Błękitnej Armii spotkał się z nią w przydworcowej kawiarence.

- Zacząłem żyć pełnią życia w wieku trzydziestu paru lat - mówił. - Nie narzekam na to, co było wcześniej. Robiłem, co chciałem. Chciałem być mołem książkowym, to byłem. Tak przeleciała młodość. Ale nie żałuję. To były mimo wszystko piękne lata. Wtedy myślałem, że mogę tak spędzić resztę moich dni. Książki, laboratoria, wyjazdy naukowe i choroby w szpitalach.

- Plus nieskomplikowana, cierpliwa kobieta - dodała cierpko Ala. - Dlatego ożeniłeś się z nią?

Robert spochmurniał, a jej zrobiło się go żal, trochę żal, odrobinę żal. W końcu bardzo żal.

Mimo to nie chciała okazać litości. Była zła, także sama na siebie, że tak dała się w to wciągnąć. Zaangażować. Konfesjonał. Zrobili sobie z niej konfesjonał, a ona sama miała przecież coś na sumieniu wobec Basi. Będzie to miała na sumieniu do końca życia. Dlatego teraz musiała słuchać innych. To miała być jej pokuta, bez możliwości spowiedzi. Z warunków nieodbytej spowiedzi spełnić mogła tylko dwa: właśnie tę pokutę i mocne postanowienie poprawy.

- Niewymagająca kobieta nagle zaczęła wymagać? - bardziej to stwierdziła, niż spytała.

- Nagle, nie nagle. - Wzruszył ramionami. - Jakie to ma znaczenie? To nie jej wina, dopominała się o swoje, to wszystko.

- To chyba zrozumiałe.

- Toteż rozumiem. Co to jednak zmienia? Czy nie mamy prawa pomylić się w życiu? Nie mamy prawa wycofać się z tego błędu, nawet jeśli dotyczy to fundamentalnej sprawy? Musimy dalej w tym błędzie trwać? Nigdy, pod żadnym pozorem nie ma odwrotu? Należy tkwić w związku, który był pomyłką, który się skończył, ale należy go kontynuować, bo takie są zasady? Zatem, w imię tych zasad, przykazań czy czegoś tam jeszcze, mam dożywić bez żadnej nadziei na żywy, prawdziwy związek?

- Bo to jest dożywocie. Mówisz tylko o swoich uczuciach, a małżeństwo to dożywotnia instytucja.

- Zmieniłaś się aż tak bardzo? Nasza rodzina wywarła na ciebie aż taki wpływ? Gdzie podziała się ta wesoła dziewczyna sprzed lat, która śmiała się z takich zasad?

- Z tych zasad nigdy się nie śmiałam. Dlatego nie wiązałam się z nikim, dopóki nie byłam pewna, że jestem gotowa trwać w tym, jak to ująłeś, dożywociu. To nie nasza rodzina mnie zmieniła.

- Mówisz jednak dokładnie jak oni, jak cała nasza rodzina w Polsce. Tylko nasza matka rozumiała to inaczej.

- I nie pamiętasz, jak to się skończyło? Całe lata miałaś jej to za złe. Rozbiła nasz dom, unieszczęśliwiła ojca. Sam mówiłeś, że to nas wszystkich w pewien sposób okaleczyło.

- Tak mówiłem. Oceniałem ją najsurowiej z nas wszystkich. A potem ona wzięła odwet i zza grobu sprawiła, że zacząłem żyć i odczuwać zupełnie inaczej. Jestem innym człowiekiem, narodziłem się po raz drugi, gdy ona umarła. Jej śmierć była dla mnie początkiem czegoś nowego, czego wcześniej nie zaznałem. Nie zrezygnuję z tego. Wiem, że wszyscy mnie oplują, rodzina nie będzie chciała mieć ze mną nic wspólnego. Ty jednak... liczyłem na ciebie...

- Dlaczego? - spytała i naraz pojawiła się absurdalna myśl, że może on wie... o niej i Olafie. Przecież ktoś mógł to zauważyć. Starali się być wtedy ostrożni, ale ryzyko było jednak ogromne. W dodatku Robert nie patrzył teraz na nią jak brat, ale jak mężczyzna. Sama ta myśl wydała jej się jednak tak absurdalna, że aż się zarumieniła.

- Dlaczego? - powtórzył jej pytanie. - Wiesz dlaczego. Bo jesteś spontaniczna, zmysłowa, bo zawsze potrafiłaś być niezależna i samodzielna w myśleniu i działaniu. Bo nikt w naszej świętej rodzinie nie doświadczył takiej skali uczuć jak ty. Dlatego tak ciągle, uparcie jesteś ze swoim mężem, chociaż inni nie widzą w tym żadnego sensu.

- Nie... - Próbowwała przerwać tę rozmowę i odejść, ale Robert nie zamierzał jej na to pozwolić.

- Ja ciebie rozumiem - ciągnął dalej. - Żyłas przecież w raju, a raju nikt nie chce opuszczać. Też bym nie chciał...

- Raj - szepnęła i zapragnęła w tym momencie przytulić się do brata, do

jedynego człowieka, który wreszcie ją zrozumiał. Nie wymagał, aby dała sobie spokój ze wspomnieniami, nie sugerował, aby związała się z bliskim przyjacielem. Rozumiał jej tęsknotę i siłę przywiązania. A ona sądziła, że i Robert – podobnie jak inni – pragnął ją wyswatać. Raj! Spodobało jej się to słowo. Nigdy dotąd go nie użyła, a przecież było takie prawdziwe.

- Dopiero przy nim zaczęłam żyć - dodała szeptem.

- Więc mnie rozumiesz.

„To nie to samo” - pomyślała. „Ja i Walter byliśmy wcześniej wolni”.

Na głos jednak powiedziała co innego.

- Chcesz odejść od żony? - spytała spokojnie i oczami wyobraźni ujrzała konsekwencje tego kroku.

Szli tak blisko siebie, że mijający ich ludzie z pewnością uważali ich za zakochaną parę. Mocniej tuliła się tylko do Waltera.

- Tak naprawdę odszedłem od niej już jakiś czas temu - odparł Robert. - Ona jednak o tym jeszcze nie wie. Myśli, że nadal ma we mnie męża. To jednak tylko pozory, chociaż myślałem, że wystarczą. Tak się jednak nie da dłużej żyć. Tak, choć od niej odejść, już na dobre. Nic przeciwko niej nie mam, powtarzam. To ja się zmieniłem, niech będzie, że to moja wina. Ludzie nazwą mnie łajdakiem, ale nie widzę innego wyjścia.

- Basia tego nie przeżyje. - Ala była przerażona.

- Musi przeżyć. Inaczej będzie żyła tylko pozorami, a sama by tego nie chciała. Gdy postanowiliśmy się pobrać, miała tylko jedną prośbę. Miałem jej obiecać, że nie będzie funkcjonować w moim życiu równolegle z inną kobietą. Chciała mieć wszystko albo nic. To już naprawdę skończone.

„Bodaj się nigdy nie zaczęło” - wspomniała słowa ojca.

Joachim Matzer miał rację! Po raz kolejny chyliła przed nim głowę. Jak on to przeżyje? A Marta? Dzieci? Zebrała się, aby zadać te pytania bratu, dotrzeć jakoś do niego, wybić mu z głowy szaleństwo, jakie chciał popełnić. Kochała go i rozumiała, nawet współczuła, bo umiała sobie wyobrazić skalę jego miłości i rozterek. Byli jednak jeszcze inni ludzie. Dzieci: Karolek, Urszulka, Pawełek, Sylwia... wszystkie tak łatwo i bez problemów powołane do istnienia, jakby spadały z nieba. A potem wspomniała swoją Melanie, na którą oboje z Walterem musieli poczekać, zanim pojawiła się w ich życiu. Taka upragniona, wyczekana, kochana...

„Mój aniołku” - pomyślała, a w jej oczach zakręciły się łzy. - „Mój

skarbie, ja bym ci nigdy tego nie zrobiła. Nigdy nie odeszłabym od twojego ojca, nawet gdybym przez jakieś przekleństwo losu przestała go kochać. Nigdy nie pozbawiłabym cię rodziny. Byłaś dla nas najważniejsza i twoje dobro było pierwsze”.

Westchnęła. Jej sytuacja była jednak inna niż Roberta. Żyła przecież w raju, a raju nikt dobrowolnie nie opuszcza. Melanie i Walter też nie odeszli z własnej woli.

- Dzieci... - mówił tymczasem Robert, jakby czytał w jej myślach. - Ze względu na nie dam sobie jeszcze trochę czasu. Nie odejdę od ich matki od razu, z dnia na dzień. Przygotuję je na to stopniowo i w miarę bezboleśnie. Aż w końcu pewnego dnia przywiozę wszystkie do Paryża i przedstawię im siostrę.

Pomimo przygnębienia nie mogła się nie uśmiechnąć z powodu jego niewiarygodnej wręcz naiwności. Dorosły mężczyzna, a mówi jak młody chłopiec! Zauważył jej uśmiech i zrozumiał, co miała na myśli.

- Poradzę sobie - przekonywał ją. - Czeka ich trzęsienie ziemi, ale przecież nie koniec świata.

- Czeka je koniec ich świata - odparła. - Nie miej złudzeń, na co się porywasz.

- Przecież ty, ja i Janek poradziliśmy sobie z rozpadem naszego domu.

- Byliśmy znacznie młodszy - przypomniała mu. - Ja byłam niemowlęciem. Nie rozumieliśmy dobrze tego, co się wtedy działo. Nie byliśmy świadomi piekła, jakie się wtedy rozpętało. Ojciec nie opowiadał ci o tym? Z każdym rokiem będzie ci coraz trudniej, starsze dzieci odbierają takie sprawy coraz gorzej. Mogą ci tego nigdy nie wybaczyć. Odwrócą się od ciebie. Musisz to wziąć pod uwagę.

- Więc co mam robić?! - prawie krzyknął i kilka osób spojrzało za nimi. - Do końca życia mam być więźniem jednej decyzji podjętej przed laty? Przecież tu także mieszka moje dziecko. Mam je całe życie ukrywać przed rodziną, rodzeństwem i odwiedzać potajemnie jak spiskowiec?

- Przecież tu nie chodzi o dziecko, tylko o Nicole - przywołała go twardo do porządku. - Ona jest w tym wszystkim najważniejsza, jest głównym powodem twojej zmiany. Dlatego poczekaj...

- Nie będę czekał latami - odparł po chwili. - A wobec ciebie nie mam zamiaru już niczego udawać.

Dotarli do domu. Już z daleka zobaczyli dzieci, bawiące się na małym podwórku. Jak to dobrze, że chłopcy Raula polubili małą Sylwią i chętnie spędzali z nią czas. Innych dzieci akurat w pobliżu nie było, ale nawet ich obecność nie wpłynęłaby już na decyzję Roberta.

- Pomyśl tylko - odezwał się jeszcze, patrząc z rozrzewnieniem na córeczkę. - Ona ma przecież siostrę. Jak wspaniale byłoby, gdyby...

Nie dokończył, bo Sylwia z piskiem radości podbiegła do nich i zawisła na szyi ojca. Widać było, że jest w nim na swój dziecienny sposób zakochana, chociaż widując go tak rzadko, nie pojmowała w pełni znaczenia słowa „papa”.

Robert objął ją z taką czułością, jakiej Ala u niego nie widywała, i zaczął tańczyć z dzieckiem w kółko. Sylwia była oczywiście w siódmym niebie, a Ala nie mogła oderwać od nich oczu. Dokładnie tak samo zachowywał się Walter wobec Melanie, choć oczywiście zabawy z dwumiesięcznym niemowlęciem wyglądały nieco inaczej. To była jednak ta sama miłość, ta sama czułość. Ala wiedziała, że jest zupełnie bezbronna wobec takiego widoku, że nigdy nie będzie w stanie stanąć z całą rodziną przeciw bratu. Wrócił też obraz Waltera, który obejmował to właśnie dziecko, swoją siostrzenicę, zanim opuścił dom po raz ostatni.

„Zawsze ci pomogę, nawet jeśli sama będę musiała za to zapłacić” - myślała, patrząc na Roberta oczami pełnymi łez.

Nic nie mogła poradzić na to, że cała była odwrócona ku przeszłości. To Robert chwilę po narodzinach Melanie przyszedł razem z Walterem do jej pokoju. To Nicole była wtedy przy niej i pierwsza otulała jej dziecko w pieluszki. To Robert był z nimi, gdy Melanie umarła, i to on podawał im do rąk martwą córeczkę. I Nicole też tam wtedy z nimi była. Jak można było tego nie pamiętać! Przeszłość w sercu Ali miała wartość wprost bezcenną, w tej chwili ważniejszą niż niepewna przyszłość.

A potem przyszła smutna refleksja dotycząca tej przyszłości.

„Naprawdę myślisz, braciszku, że córka twojej żony zechce mieć cokolwiek wspólnego z dzieckiem kobiety, którą teraz kochasz? Nawet sobie nie wyobrażasz skali nienawiści, jaka może zapanować między dziećmi, które są ci tak drogie”.

Ciarki ją przeszły, gdy wspomniała naburmuszoną, hardą buzię Uli i jej na ogół zmrużone, złośliwe oczy. Ala nie była wyjątkiem i podobnie jak

znakomita większość mieszkańców Zaborowa i okolic nie zapalała gorącym uczuciem do małej bratanicy z Polski. W duchu przyznawała, że coś z tą małą jest nie tak. Silna, bystra, skłócona niemal ze wszystkimi, już w wieku siedmiu lat wydawała się stworzeniem nie do ujarznienia. Jedna Marta potrafiła jeszcze na swój kategoriyczny sposób wskazać wnuczce, gdzie jej miejsce. Także Karolek nie dawał sobie wejść na głowę, ale za cenę ciągłych niemal batalii. Ala wątpiła, aby między tak hardym, trudnym i niesympatycznym dzieckiem jak Ula a delikatną, subtelną i słodką Sylwią mogła narodzić się siostrzana miłość. Robert był jednak bardzo naiwny i nie znał się na ludzkich charakterach.

W drzwiach domu pokazała się Nicole, która miała dziś dzień wolny od zajęć w szkole i z racji tego podjęła się pilnowania dzieci i przygotowania wspólnego dla wszystkich obiadu. W kuchennym fartuszk narzuconym na czerwoną, domową sukienkę, w zaczesanych do tyłu i podtrzymywanych opaską włosach wyglądała jak typowa gospodyni domowa czekająca z posiłkiem na męża wracającego z pracy i na przybiegające ze szkoły dzieci. Robert podeszedł do niej z trzymaną w objęciach córką.

„No proszę” – pomyślała Ala, obejmując wzrokiem całą trójkę. „Mama, tata i dziecko”.

Nie umiała być przy tym ironiczna. Czuła tylko przejmujący smutek i przyznawała, że tamci idealnie do siebie pasowali. Robert i Basia nigdy nie tworzyli obrazu takiej harmonii.

Serce podeszło jej do gardła, gdy to sobie uświadomiła. Jednak nie można zapanować nad własnymi myślami i wrażeniami.

Robert na moment odwrócił się w stronę siostry i nagle objął Nicole. Nigdy nie robił tego publicznie. Ala nigdy ich tak nie widziała. Nicole, w pierwszej chwili zaskoczona, cofnęła się mimowolnie i też spojrzała na bratową. Robert jednak przygarnął ją do siebie ramieniem i pocałował jej usta. Wówczas Nicole, przełamując resztki onieśmielenia i wewnętrznego oporu, zarzuciła mu ręce na szyję. Tak stali, objęci, razem ze swoim dzieckiem w chłodzie grudniowego dnia... na oczach Ali i dwóch synów Raula przytulonych do jej rąk.

Rozdział 80

Robert wyjechał kilka dni później i przez cały ten czas Ala słowem nie skomentowała tego, co widziała, i tego, o czym się dowiedziała. Zadawała jedynie sobie samej pytanie, które miało do niej powracać w ciągu następnych lat. Czy mogła zrobić coś, aby zapobiec temu, co się stało i co jeszcze miało się stać? Czy cokolwiek sensownego zrobiła w tej sprawie?

- Nic nie mogłaś zrobić - cierpliwie, wielokrotnie miał jej tłumaczyć Raul, bo i w jego obecności para zakochanych przestała ukrywać prawdę. - To dwoje dorosłych ludzi. Sami ułożyli sobie życie, sami za to zapłacą.

- Nie tylko oni za to zapłacą - odpowiedziała ponuro.

- Niestety. Dlatego nigdy nie interesowały mnie zamężne kobiety. Ty jednak niczego sobie nie wyrzucaj. Długo o niczym nie wiedziałaś. Dowiedziałaś się, gdy decyzja już zapadła. Nawet jednak, gdybyś wiedziała wcześniej, że oni są razem, nic byś nie mogła zrobić. Niczemu byś nie zapobiegła. Nie dręcz się tym, Alice. Dosyć ma dzień swojej biedy, jak powiada Pismo.

- Staralam się mu wytłumaczyć - rzekła bezradnie. - Przedstawiałam scenariusze tego, co go czeka, co ich czeka. Jej też powiedziałam...

Zawsze będzie przymykać oczy na wspomnienie rozmowy, jaką w końcu odbyła z Nicole. Stało się to już po wyjeździe Roberta do Polski. Rozmowa była nieunikniona, obie o tym wiedziały, obie jej się bały i obie chciały mieć ją za sobą.

„Chcę mieć możliwie czyste sumienie” - tłumaczyła sobie Ala, zastanawiając się nad strategią własnych argumentów. „Nie chcę kiedyś sobie wyrzucać, że nawet z nią o tym nie rozmawiałam. Tak jakbym to bez żadnych zastrzeżeń zaakceptowała”.

- Nicole, obiecałaś mi, że nie rozbijesz jego małżeństwa. Czy ta obietnica cię przerosła? - zaatakowała prosto z mostu, gdy odprowadziły Roberta na dworzec, a potem usiadły razem przy popołudniowej kawie. Starła się, aby Nicole usłyszała nutkę goryczy i ironii w jej głosie.

- Mnie nie - odparła Nicole, która najwyraźniej była również przygotowana do rozmowy - ale twojego brata tak. Mnie jest jednak łatwiej niż jemu. Ja nie muszę sypiać z kimś, do kogo nic już nie czuję.

Ala nie mogła zapanować nad wrażeniem pewnego podziwu, gdy dotarły do niej te słowa. Sama nie sformułowałaby tego lepiej. Nie dała jednak tego po sobie poznać.

- Przecież nie tylko o sypianie tu chodzi! - zawołała z rozpaczą. - Przecież życie nie składa się tylko z tego.

- Oczywiście - odparła chłodno Nicole. - Sama jednak przyznasz, że to jego bardzo ważna część.

Patrzyła przy tym na bratową nieprzyjemnym, przenikliwym wzrokiem. Ala jednak nie dała się zwieść. To twarde spojrzenie i chłodny ton były tylko mechanizmem obronnym. W ten sposób Nicole broniła się przed światem. Przed laty, gdy z konieczności finansowej razem zamieszkały, Nicole zachowywała się podobnie. Tak długo były sobie wtedy obce. To jednak nieodwołalnie należało już do przeszłości.

- Czy warto aż tak ryzykować? Czy warto palić za sobą wszystkie mosty? Niszczyć życie innym? Basia nic ci nie zrobiła, tym bardziej jej dzieci.

To było celne uderzenie. Wyraz twarzy Nicole natychmiast się zmienił. Ton jej głosu pozostał jednak taki sam, choć słycać w nim było tłumione drżenie.

- To jego decyzja. Ja niczego takiego nie wymagałam. Marzyłam o wspólnym życiu i domu, ale nie stawiałam takich warunków. Uważałam, że jego rodzina ma tu prawo pierwszeństwa. Nie żądałam, aby porzucił żonę.

- Nie wymagałaś tego, ale się zgodziłaś.

- Robert mnie przekonał, że nie potrafi żyć z nami dwiema. To niemoralne i nieuczciwe wobec nas obu.

- Wobec niej - sprostowała Ala.

Twarz Nicole zapłonęła rumieńcem, ale nie skomentowała tych słów.

- Żał mi każdego z was - dodała Ala. - Powinniście jednak z tym skończyć.

- Musielibyśmy najpierw o sobie zapomnieć - odparła hardo Nicole - czyli przestać się widywać. Jak to zrobić, skoro mamy wspólne dziecko?

Na tak postawioną kwestię z kolei Ala nie mogła znaleźć odpowiedzi. Potrzebowała na to czasu. Teraz go nie miała.

- Poza tym my nie chcemy ani o sobie zapomnieć, ani przestać się widywać - dodała Nicole. - Jak moglibyśmy wtedy żyć? Ty przecież

mogłabyś to zrozumieć.

- Przecież ja jakoś żyję - odparła Ala i głos jej się załamał.

Przestała kontrolować tę rozmowę, była w wyraźnej defensywie.

- Alice, kogo ty chcesz oszukać? To nazywasz życiem?

- A ty uważasz, że ja nie żyję? - spytała Ala, odzyskując pomału panowanie nad sobą.

Postanowiła, że nie pozwoli, aby zbczyły z tematu.

- Wybacz - odparła Nicole po chwili. - Zagalopowałam się. Masz prawo do takiego życia, jakie prowadzisz. Nie będę cię do niczego innego zmuszać. Nie wiem, czy jest ci z tym dobrze, czy nie, ale to twój wybór. Wiem, że chodzi o mojego brata i dlatego ...

- Ja nikomu nie rujnuję życia. Wy tak.

Mówiła spokojnie i stanowczo, choć serce się jej ścisnęło. Nicole i Robert byli jej tak bliscy, tak drodzy. A jednak musiała mówić w ten sposób do szwagierki. Wiedziała, że to boli, litowała się nad nimi, ale była przekonana, że ma rację. Tak samo myślał też Walter. Oczywiście liczyła się z tym, że Nicole, urażona do głębi, może wstać, zabrać swoje dziecko, wyjść i już nie wrócić, i że to byłoby straszne. Mimo to... musiała ją przestrzec.

- Zaraz mi pewnie powiesz, że będę potępiona i skończę w piekle. - Nicole wciąż ją prowokowała. - Bez obaw, Alice, już tam byłam. Przecież wiesz. Zaraz mi wygłosisz wielkanocne kazanie na temat szóstego, dziewiątego i dziesiątego przykazania Bożego. Przypomnisz mi różne święte zasady. Ty w końcu tylko czekasz na to, aby pójść wreszcie do nieba i spotkać tam Waltera. A nie pomyślałaś, Alice, że może nie ma żadnego nieba, piekła i życia po śmierci? Co wtedy zrobisz?

- Wtedy nic już nie zrobię - odparła pozornie obojętnie Ala, choć chciała wstać i rzucić w Nicole szklanką lodowatej wody. - Czy mogę coś zrobić, jeśli nic tam nie będzie, a wobec tego mnie też nie będzie?

Czarne, pełne życia oczy Nicole płonęły jak w gorączce. Najwyraźniej spokój Ali wytrącił ją z pozornej równowagi.

- A jeśli Boga nie ma?! - zawołała bez związku z tematem rozmowy.

- A jeśli jest? - odparła pytaniem Ala i pochyliła się do przodu.

Teraz Nicole szukała odpowiedzi, ale jej bratowa postanowiła nie dać jej na to czasu.

- Nie rozmawiamy teraz o Bogu, niebie, piekle i zasadach - rzekła. -

Słabo się na tym znam i nie potrafię prowadzić teologicznych rozważań. Nie obawiaj się, Nicole, nie będę prawić ci kazań, krzyczeć i przekonywać, że robicie źle. Moim zdaniem powinnaś się wycofać. To wasz związek powinien się skończyć, nie ich. Nie umiem jednak walczyć z cudzymi uczuciami, z cudzą miłością. Odpowiedz sobie tylko na jedno pytanie: czy będziecie mogli z tym żyć?

- Wiem, że nie możemy żyć bez siebie - odparła po chwili Nicole, a jej twarz na przemian czerwieniła się i bladła.

- Żyjemy tak, odkąd Robert przyszedł do mnie zobaczyć po raz pierwszy nasze dziecko - dodała, ponownie zdobywając się na zaczepny ton. - To przecież ty wskazałaś mu mój adres. Od ciebie się dowiedział.

- Tak. - Ala pokiwała głową i spojrzała ze smutkiem. - Nie sądziłam jednak, że ze sobą żyjecie.

- Nie przyszło ci to do głowy, prawda? - Nicole patrzyła złośliwie i naprawdę zachowywała się jak przed laty. - Ty byś tak nie potrafiła, bez ślubu, czyż nie?

„Potrafiłam i nadal to wspominam. Skrzywdziłyśmy tę samą kobietę, ja jednak chciałam z tym skończyć i wycofać się. Nie kochałam Olafa tak jak ty mojego brata” - pomyślała Ala, nie wypowiedziała jednak tej refleksji na głos. Szczerze mówiąc, straciła już ochotę do rozmowy o tym, temat uważała za wyczerpany. Nie miała już siły panować nad sobą i udawać, że uwagi Nicole jej nie dotyczą. Dotarło też do niej, że niezależnie od tego, jak bardzo by się starała, i tak może zostać uznana za winną tego, co się stało. Faktycznie, ona przekazała adres Nicole Robertowi. A idąc dalej według tej logiki, to przecież jej ślub na nowo skrzyżował losy jej brata i tej kobiety. Dość tego, czas się wycofać. Niech każdy zajmie się już swoimi sprawami. Konfesjonał zamknięty.

Nicole opacznie zroszczyła jej milczenie i determinację wypisaną na twarzy. Nagle zaczęła drżeć jak człowiek, który chce skoczyć w przepaść, ale w porę postanowił się cofnąć.

- Wiem, co o mnie myślisz, ale proszę, nie odwracaj się teraz ode mnie. - W jej głosie była już tylko prośba. Znikła złość, ironia i lodowata niechęć.

- Myślisz, że mogłabym to zrobić? - spytała z niedowierzaniem Ala. - Jesteś siostrą mojego Waltera, a Robert jest moim bratem. Sylwia to moja bratanica. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym stracić was z oczu.

Na samą myśl zrobiło jej się zimno i świat zakolysał się przed oczami. Nicole nagle wybuchła głośnym, niepohamowanym płaczem.

- Walter chciał, abyśmy zawsze były blisko siebie. Prosił, abym była przy tobie zawsze, gdy będziesz tego potrzebować.

- Mała Nicole - powiedziała cicho Ala. Nie była w stanie mówić głośniejsze, starała się spokojnie oddychać. - Nie akceptuję tego, co robicie, żeby było jasne. Jednak po śmierci Waltera jesteś najbliższą mi osobą z grona wszystkich, których kocham. Dzięki tobie i Sylwii czuję, że on nie do końca odszedł. Jest we mnie, ale w was także. Jesteś dla mnie jak siostra i nic tego nie zmienia. Nawet to, że Robert nie chce żyć bez ciebie.

Rozdział 81

A jednak powiedzenie prawdy okazało się trudniejsze, niż przewidywał. Łatwiej było o tym mówić Ali w jej paryskim domu, na paryskiej ulicy. Łatwo było obiecywać to Nicole, zwłaszcza gdy trzymał ją w ramionach albo bawił się z córeczką. W Warszawie i w Zaborowie nie było to już takie proste.

W Warszawie napotykał pełne smutku i niemego wyrzutu spojrzenia ojca, a także uważne i zagadkowe spojrzenia brata. Wiedział, że z ich strony nie może liczyć bodaj na tyle, ile mógł się spodziewać ze strony siostry. Ojciec i brat nawet nie będą się starali go zrozumieć. Zwłaszcza Janek był bez reszty oddany Barbarze. Zawsze byli sobie oboje bliscy, chociaż w tej ich bliskości nigdy nie było żadnej dwuznaczności. Robert pamiętał, że kiedyś zastanawiał się nad tym, czy gdyby to Janek dowiedział się pierwszy o ciąży Barbary, postąpiłby tak jak on? Czy ruszyłby jej z pomocą jak rycerz na białym koniu i zaproponował małżeństwo? W zasadzie takie rozważania nie miały już sensu, niemniej... Teraz wiedział, że Janek nigdy by tego nie zrobił. Staralby się pomóc Basi w każdy inny sposób, walczyłby o jej dobre imię z całym światem, zabiłby każdego, kto by jej ubliżył, ale nie ożeniłby się z dziewczyną, którą traktował jak siostrę, jak przyjaciółkę. Nie ulegało też wątpliwości, że i teraz stanie po jej stronie, nawet za cenę zupełnego zerwania stosunków z jedynym bratem.

W Zaborowie było jeszcze trudniej poważnie porozmawiać z żoną. Święta Bożego Narodzenia całkowicie to wykluczały. Wokół kłębiła się rodzina i służba, a dzieci nawet na chwilę od niego nie odstępowały. Nie chciał psuć im świąt, bo wiedział, że to nie będzie spokojna rozmowa. Marzył, by wyjechać choćby do Warszawy, ale przecież kilka przynajmniej dni musiał poświęcić na pobyt w Zaborowie. Zresztą to nie dni były najgorsze. Dni dawały możliwość zajęcia się czymkolwiek, aby tak intensywnie nie myśleć, nie tęsknić, nie wspominać. Najgorsze były noce. Trudno było sobie wyobrazić, że obok niego leży Nicole. I nie chodziło wcale o to, że obie kobiety były tak diametralnie różne pod każdym względem. Istotą całego problemu stanowił fakt, że w jego pojęciu to Nicole była teraz jego żoną. Nie potrzebował do tego księdza ani urzędnika. Barbara zaś stała się tym, kim była tak naprawdę zawsze – stała się jego siostrą. Nawet nie przyjaciółką,

nigdy bowiem nie byli zaprzyjaźnieni. Tak ją kiedyś lubił! Nie była to jednak przyjaźń taka, jaka łączyła ją z Jankiem.

„Przecież w gruncie rzeczy nawet nie mieliśmy wspólnych tematów” – myślał, patrząc na nią którejs bezsennej nocy. „Nie umiałem rozmawiać o byle czym, a ty nie znałaś się na sprawach, które zawsze interesowały mnie. Lubilem cię ogromnie, bo byłaś taka słodka, ciepła i miła. Taka wdzięczna, bezgranicznie dobra i bezinteresowna. Potem dostrzegłem twoją urodę. Cieszyłem się, że wychodzisz za mąż za mojego przyjaciela. Wydawałaś się taka niewinna. Cieszyłem się, że wyrwiesz się w świat, że zobaczysz życie toczące się poza Zaborowem. Potem to wszystko wzięło w łeb, ty znalazłaś się w rozpaczliwym położeniu, czułem się winny tego, że was ze sobą poznałem, i wyraźnie popierałem to, co między wami było. Chciałem ci pomóc, sądziłem, że to ma sens. Było mi ciebie żal... Teraz też jest mi ciebie żal. Teraz też czuję się winy. Jednak kontynuowanie naszego małżeństwa nie ma już sensu”.

Był o tym przekonany. Mimo to wciąż nie widział możliwości rozmówienia się z żoną, wciąż pojawiały się nowe przeszkody, aby to zrobić. Tym bardziej że na przełomie grudnia i stycznia Barbara z dziećmi przyjechała na kilka dni do Warszawy. Zaproponował to Joachim, gorąco poparł ten pomysł Janek. Robert nie mógł oponować, nie wypadało. Stolica oferowała dzieciom atrakcje, z których do tej pory nie miały okazji korzystać. Basia też korzystała z karnawału w wielkim mieście. Byli na balu, w teatrze, w kabarecie, w operze. Wyglądało na to, że wszyscy doskonale się bawili. Wszyscy oprócz Roberta, ale starał się jak mógł, aby nikt nie zauważył jego prawdziwego nastroju.

Czasami miał wrażenie, że ojciec, a także brat, robili wszystko, by utrudnić mu przeprowadzenie tego, co umyślił. To podejrzenie było absurdalne, przecież doktor i Janek o niczym jeszcze nie mogli wiedzieć, ale myśl taka wciąż Roberta nurtowała. Barbara również robiła wszystko, aby mu się przypodobać. Tak to przynajmniej wyglądało. Sama też wyglądała wyjątkowo korzystnie. Zmęczenie wojennymi trudami, wypisane wcześniej na jej twarzy, jakby znikło. Znowu była atrakcyjna, by nie powiedzieć – piękna. Efektowna blondynka, szczupła, wysoka, nienagannie uczesana, prezentująca eleganckie toalety – kiedy zdążyła się w nie zaopatrzyć i z jakim bólem musiała przeznaczać na to pieniądze?! – zwracała na siebie

uwagę, gdziekolwiek się pojawiła.

Robert czuł do niej tylko litość. Tak się starała! Nie domagała się natarczywie jego uwagi i towarzystwa, wydawała się zadowolona z życia, iskrzyła wręcz znakomitym humorem. Czy naprawdę niczego się nie domyślała? A może domyślała się, ale nie chciała wiedzieć na pewno? Walczyła, aby go nie stracić, i chwyciła się nawet takich sposobów, aby tylko ją zauważył? Aby przypomnieć sobie, jaka potrafi być piękna i interesująca?

Chciał jej wreszcie powiedzieć, że to nie ma sensu. Przecież od kiedy oboje dorośli, dostrzegał jej urodę. Uważał ją kiedyś za piękną dziewczynę, a potem kobietę. Interesująca jednak, w szerokim tego słowa rozumieniu, nie była nigdy. Zainteresować go mogła tylko w sensie fizycznym, jako seksualna partnerka, ale też na krótko. Potem bowiem związał się z kobietą, z którą nawet pod tym względem Barbara nie mogła się równać. Nie tylko jednak ta kwestia była ważna. Nie mógł już dłużej sypiać z kobietą, którą ponownie zaczął uważać za swoją siostrę. Ta zmiana w jego podejściu do żony nie pojawiła się nagle. Po raz pierwszy dostrzegł to, gdy zobaczył związek Ali i Waltera. Odniósł wtedy wrażenie, że wokół tych dwojga wszystko promienieje od pewnych niewidocznych, chemicznych fluidów, od namiętności wyczuwanej i zauważanej przez każdego, nawet najmniej wrażliwego, człowieka.

Wtedy już widział, że sam czegoś podobnego nigdy nie przeżył. Nie robił jednak z tego problemu. Miał wtedy inne priorytety, a jeśli chodziło o sprawy osobiste, to marzył wyłącznie o spokojnym małżeństwie, bez wielkich wzlotów i bolesnych upadków. Najważniejsza była praca. Wtedy jednak w jego życiu ponownie pojawiła się Nicole i ziemia się zatrzęsała. To, co zaistniało między nimi w czasie jego rekonwalescencji i urlopu podczas wojny, chyba musiało się wydarzyć. Wraz ze wszystkimi konsekwencjami, które nastąpiły później.

Czasami, podczas świąt spędzanych z żoną w Zaborowie, i potem, podczas jej wizyty w Warszawie, napotykał jej wzrok, w którym czaił się jakby strach i prośba. Czy coś mimo wszystko wyczuwała? Nie potrafił już tego kontynuować.

„Chciałbym, aby wróciło to, co już jest niemożliwe - abyś znowu była moją siostrą. Byłaś mi wtedy tak droga, chciałem ci pomagać i cię ratować. Powinniśmy jednak byli pozostać przybranym rodzeństwem. Nasze stosunki

nigdy nie powinny były przekroczyć granicy niewinności. Lubiłaś miłość i w niej się realizujesz, a ja dostrzegłem w tym twój główny atut. Przez to jednak, że żyliśmy ze sobą, już nigdy nie będzie możliwy powrót do tego, co było między nami, zanim wzięliśmy ślub”.

Potem ferie szkolne się skończyły i Barbara z dziećmi wróciła do Zaborowa. Nie porozmawiali więc ze sobą i napisał o tym do Nicole. Miał wobec niej wyrzuty sumienia, przecież obiecał jej wspólne życie. Nicole odpisała chyba od razu, bo odpowiedź przyszła szybciej, niż się spodziewał. Uspokajała go, zapewniała, że czuje się szczęśliwa, że nadal niczego od niego nie żąda, że rozumie.

Nawet gdybyś zmienił zdanie i wycofał się, zrozumiem. Powtarzam, że nie wymagam od Ciebie, abys odszedł od żony. Tęsknię za Tobą, kocham Cię i pragnę, ale jestem taka szczęśliwa! Liczy się Twoja miłość, a wiem, że ona w pełni należy tylko do mnie, naszej córki i Twoich pozostałych dzieci. Zaklinam Cię, abys nie podejmował pochopnych kroków. To nie ja jestem Twoją żoną, lecz ona. Ja mogę na Ciebie czekać całe życie. Przecież wiem, że tak naprawdę należysz tylko do mnie. Tego nam nikt nie zabierze. Jednak Barbara jest częścią Twojej rodzinnej rzeczywistości i nie możesz się od tego odwracać. Musisz być pewien, najdroższy, czy w razie zerwania z rodziną wystarczę Ci z naszą córką do końca życia. Możemy liczyć tylko na Alice, choć nawet ona nie aprobeje tego, co się dzieje. Czy nie będziesz żałował ojca, brata, w razie czego dzieci, czy nawet Barbary? Czy nie będziesz żałował, że pozostawiłeś za sobą zgliszcza? Ja zgodzę się na wszystko, co postanowisz, jednak oni istnieli w twoim życiu przede mną. Nie spiesz się, zastanów się nad tym, co mówiła Twoja siostra.

Podziwiał kobiety. Te, które znał, były zdolne do każdego poświęcenia. Wyjątek stanowiła jego matka, ale przecież jej nigdy dobrze nie poznał. Nigdy nie chciał z nią od serca porozmawiać. Kobiety obecne w jego życiu wręcz porażały go zdolnością do zapomnienia o sobie, do przedkładania dobra innych nad swoje własne. Były gotowe nawet tworzyć pozory, że wszystko jest w porządku, że nie trzeba się o nie martwić. On tak nie potrafił. Z Nicole chciał być teraz, natychmiast. Czytał jej list i pragnął ją

mieć obok siebie. Nawet litość wobec Barbary musiała przed tym ustąpić. A jednak żona już wyjechała do swojego rodzinnego domu, a on nie ruszył za nią, aby ostatecznie wszystko zakończyć. W Warszawie trzymały go obowiązki, wykłady, chorzy. Nie mógł też z dnia na dzień tej pracy i obowiązków rzucić, aby rozpocząć nowe życie w Paryżu. Nie miał tam zagwarantowanej pracy i zarobków. Sprowadzenie zaś Nicole i Sylwii do Warszawy nie wchodziło w grę. Nie mieliby tu życia, ich wspólna przyszłość mogła być kontynuowana jedynie daleko stąd.

Na tych rozterkach upłynęły mu następne cztery miesiące, podczas których zakopał się w pracy jak wariat, a w międzyczasie pisał i odbierał korespondencję z Paryża. W jednym z listów Nicole umieściła kilka fotografii swoich i Sylwii.

Wiem, że to może nierozsądne i nieostrożne - pisała - jednak nie mogłam się powstrzymać. Nie wiem, kiedy się znowu zobaczymy, a ponieważ tak Ci bez nas źle, to chociaż w ten sposób będziemy z Tobą. Nie wysyłaj mi swoich zdjęć. Wzięłam od Ali Twoją fotografię i jak na razie ta jedna w pełni mi wystarcza.

Na wszystkie te rozterki nałożyły się wkrótce i inne kwestie, tym razem związane z polityką.

W ogniu gwałtownych polemik, krytyki i protestów, a potem wbrew nim naczelnik państwa poprowadził w kwietniu wyprawę na Kijów. Niemal wszystkie stronnictwa polityczne były temu przeciwne. Opinia publiczna, jeśli chodzi o tych, których to w ogóle interesowało, podzieliła się na różne obozy. W domu doktora Matzera krzyżowały się wyrażane w sposób wyważony lub gwałtowny różne, niejednokrotnie przeciwstawne sobie, poglądy. Zbierali się ludzie, którzy na ten temat zażarcie dyskutowali. Trudno było tego uniknąć, skoro zarówno ojciec, jak i Janek byli zaangażowani w życie polityczne i w służbę publiczną. Janek, wierny swojej legionowej przeszłości, z oddaniem bronił decyzji Piłsudskiego.

- Trzeba być ślepym i głupim, aby nie dostrzegać realnego zagrożenia ze strony Rosji - dowodził. - Nawet jeśli w gazetach tego nie napiszą, to przecież każdy mniej więcej zna historię, a znakomita większość pamięta, że ze strony tego państwa zawsze czaiło się śmiertelne zagrożenie. Popieranie

przez nas koncepcji federalnej i pomoc dla Zachodniej Ukrainy jest dla naszego kraju sprawą życia i śmierci. Nad czym tu, do diabła, dyskutować?!

- Oczywiście, że z tamtej strony zawsze czaiło się niebezpieczeństwo - odparł doktor Joachim - dlatego nie powinniśmy prosić się o nowe nieszczęście. W czym Rosja nam obecnie zagraża? Mają bałagan, by nie nazwać tego dosadniej, bolszewicki chaos i wojnę domową. Są słabi i zajęci sobą. My też jesteśmy jeszcze słabi. Dopiero od kilkunastu miesięcy funkcjonujemy jako państwo. Mamy problemy niemal na każdej granicy. Uczymy się legalnego życia politycznego w sprawach wewnętrznych i niekoniecznie dobrze nam to wychodzi.

- W dodatku dźwigamy się ze zniszczeń wojennych - dodał doktor Rygielski, który od czasu do czasu odwiedzał stolicę. - Przyjęto ciekawe projekty tej odbudowy i czekamy na ich realizację. Tymczasem głowa naszego młodego państwa notorycznie angażuje się w ryzykowne operacje wojskowe.

- Zrażamy do siebie państwa Zachodu - potakiwał inny znajomy doktora. - Polska jawi się na arenie międzynarodowej niby rzezimieszek, który nie respektuje umów.

- Jakich umów? - oburzał się Janek. - Naprawdę byliście gotowi zgodzić się na oddzielenie od nas Wilna i Lwowa? Tacy czuliście się bezpieczni, uważając, że bałagan rewolucyjny w Rosji odwróci uwagę od nas? Do cholery! Przecież oni nigdy nie rezygnują! Od ponad roku prowadzą z nami niewypowiedzianą wojnę poprzez działania na Białorusi i wschodniej Ukrainie, nawet na Litwie.

- Uważają je za swoje strefy - wtrącił nieśmiało pan Toczyski, jeden ze znajomych doktora. Zrobił to jednak bez widocznego przekonania, jakby sam chciał się pozbyć resztek wątpliwości.

- Niebezpiecznie jest tak myśleć - odezwał się wtedy jeden z kolegów Janka, Adam Borczyński. - Takie myślenie może uspić naszą czujność. Już rok temu Międzynarodowy Zjazd Komunistów w Moskwie przyjął tezy Trockiego, że natychmiast po rozgromieniu kontrrewolucji w Rosji nastąpi rewolucyjny pochód na kraje Europy. Przecież wiecie, co się działo, choćby na Węgrzech.

- To zwykłe bajania. Bolszewicy nie mają takiej siły. Poza tym nie pragną wojny z nami. Proponują pokojowe metody zażegnania sporu.

- A nie dociera do was, że to zwykła propaganda, wyjątkowo zmyślnie

prowadzona? Propaganda, która ma uspić nasze społeczeństwo i nasze stronnictwa polityczne? - zaproponował Burczyński.

- A jeśli mają złe zamiary? - Janek już mówił spokojnie. - Zdaniem Piłsudskiego należy podjąć jakieś działania uprzedzające. Zanim ta „rewolucja z zewnątrz”, przyniesiona przez bolszewickie bagnety, nie zniszczy nam państwa, które dopiero zaczęło istnieć. Nie możemy czekać biernie, aż wejdą w granice Polski. Trzeba powstrzymać ich daleko od nas. Dlatego koniecznym było zawrzeć porozumienie z Petlurą i w razie potrzeby czynnie wspomóc Ukrainę. Nie nazywajcie tego szaleństwem. Zwyczajnie, jest to jedyny wybór polityczny, jakiego należało dokonać.

W maju, siódmego, wojska polskie wkroczyły do Kijowa i to sprawiło, że niemal wszystkie kontrowersje i protesty wokół wojskowej wyprawy zmieniły się w okamgnieniu w nieopisany szal radości.

Nie potrafię Ci opisać, co się działo w Warszawie i w innych miastach na wiadomość o zdobyciu Kijowa przez polskie wojska - pisał Robert do Nicole. Ci sami ludzie, którzy jeszcze parę dni wcześniej wieszali psy na Naczelniku, teraz rozpływali się w pochwałach pod jego adresem. Ja sam dałem się ponieść szaleństwu dziejowej chwili. Musisz wiedzieć, Kochana, że Polska utraciła Kijów niemal trzysta lat temu. Stąd ta radość, entuzjazm, prawdziwa eksplozja patriotyzmu. Jedynie skrajna lewica w dalszym ciągu zachowuje wrogą postawę wobec polityki państwa w tej materii. Jeśli chodzi o mnie, nie angażuję się specjalnie w to wszystko. Mam dość wojny, polityki, wrzaskliwych dyskusji. To, co wyrabia Janek i inni, jest na marginesie spraw dla mnie ważnych. Poniosła i mnie radość z zajęcia Kijowa, pragnę jednak żyć i pracować w stabilnym, spokojnym i może dla niektórych zbyt nudnym, świecie. Trudno mi pojąć czyjeś poczucie nudy. Dla mnie nuda jest czystą abstrakcją. Wciąż mam co robić i o czym myśleć. Nie potrzebuję jeszcze dodatkowo wojny, aby organizowała moje życie.

Ala, decydując się w lipcu na wyjazd do Warszawy, oczywiście nie ze wszystkiego zdawała sobie sprawę. Wielka polityka była poza nią – podobnie jak w przypadku większości społeczeństwa, w którym żyła. Istota problemu była jej jednak znana. Kraj, w którym się urodziła i który poznała jako dorosła osoba, znowu znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Francja, w której się wychowała, udzielała teraz Polsce pełnego poparcia i obiecywała pomoc, co było w obecnych warunkach propagandy antypolskiej, izolacji i strajków poważnie utrudnione. Ala wierzyła temu, co pisał jej ojciec, bracia i Barbara. Nagle dramat rodzinny, którego była świadoma, jak dotąd jako jedyna z tej rodziny, zszedł na plan dalszy. Basia już nie pisała, że czuje się samotna i nie wie, co się dzieje z jej mężem. Ojciec przestał dzielić się z nią swoim niepokojem dotyczącym syna i synowej. Robert także nie poruszał kwestii osobistych. Wszyscy pisali o wojnie.

- Nie wygląda na to, aby byli przerażeni – powiedziała Ala do Raula po przeczytaniu kolejnego listu. - To raczej tutaj, na Zachodzie, prorokuje się Polsce rychłą klęskę. Zdaje się, że w Polsce społeczeństwo skonsolidowało się i jest zdecydowane walczyć. Nie brakuje ochotników do wojska, nie widać paniki. Nawet spory polityczne jakby teraz ucichły w poczuciu, że należy wspólnie bronić kraju. Na Fundusz Obrony Kraju składane są coraz liczniejsze dobrowolne ofiary. Znam ten klimat. Przeżyliśmy go także tutaj kilka lat temu.

- Nie powinnaś tam teraz jechać – odparł po chwili Raul. - Wierz mi, że zaczepka ze strony żołnierzy na paryskiej ulicy dwa lata temu to niewinna igraszka w porównaniu z tym, co mogą zrobić ci bolszewicy, jeśli jednak zdobędą Warszawę.

- Widzę, że jesteś dzisiaj w marnym nastroju – powiedziała z uśmiechem Ala. - Jak większość Francuzów mówisz, że Polska nie ma żadnych szans. Ja natomiast, podobnie jak większość Polaków, zakładam odwrotnie.

- Nie chcę, abyś jechała w oko cyklonu, to wszystko – odparł.

Nie dodał nic więcej, lecz Ala odniosła wrażenie, że w ogóle nie chciał, aby wyjeżdżała, niezależnie od wojny. Nie musiała oczywiście tłumaczyć się

przed nim, jednak zrobiła to.

- Muszę tam jechać - zaczęła.

- Alice, ty chcesz tam jechać - sprostował.

- Obaj zgłosili się do wojska - dodała, a głos jej zadrżał. - Rozumiesz?

Obaj moi bracia.

- Janek? - Raul był wyraźnie poruszony. - Jakim cudem? Kto go przyjął do wojska?

- Jest w służbach pomocniczych. W każdym razie bierze udział w wojnie. Twierdzi, że jeśli zajdzie potrzeba, pójdzie na front i nikt go nie zatrzyma. Ostatecznie, jak pisze, na drugie oko widzi dobrze. Robert już jest na froncie jako lekarz polowy. Jeśli nie pojedę do Warszawy, ojciec jest gotów zrobić to samo, co Robert. Mój przyjazd zatrzyma go na miejscu. Już mu napisałam, aby spodziewał się mnie w ciągu najbliższych dni. Przekonam go, że powinien pracować w szpitalu w Warszawie. Nie powinien ruszać się z miasta, bo niedawno chorował i jeszcze jest słaby.

- Na co chorował?

- Żaden z braci nie podał mi szczegółów. Zresztą wszystkiego dowiem się na miejscu.

- Jedziesz tylko do Warszawy? Co z Zaborowem? - zapytał, niby od niechcienia, Raul.

- Nie wybieram się tam, przynajmniej na razie. - Ala czuła, że się czerwieni, i Raul to zauważył.

- Nie musisz tego tłumaczyć - odparł prędko. - Jedyne pytałem.

- Nie spieszy mi się do spotkania z Barbarą. - Ala mimo to podjęła temat. - Wprawdzie teraz sprawy prywatne zeszyły na drugi plan, niemniej nie zniknęły. Nie potrafię patrzeć jej w oczy ze świadomością, że wiem to, o czym ona nie ma jeszcze pojęcia. Gdybym chociaż wiedziała na pewno, że ona nigdy nie dowie się o tym wszystkim. Dowie się jednak, prędzej czy później, i zacznie dociekać, dlaczego nie przygotowałam jej na to wcześniej. Dlaczego, mając wiedzę o Robercie i Nicole, nie uprzedziłam jej, nie reagowałam skuteczniej. Wolę więc zostać z ojcem w Warszawie i nie pokazywać się w Zaborowie. Wiem, że to mętne tłumaczenie, ale...

- Alice, nie daj innym wejść sobie na głowę - przerwał jej łagodnie Raul.

- Nawet jeśli to twoja bliska rodzina.

Spojrzała na niego z wdzięcznością. Zawsze potrafił znaleźć właściwe

proporcje, właściwe słowa. Kiedyś najtrudniejsze z jej punktu widzenia sprawy zręcznie obracał w żart, a one nagle przestawały być palącym problemem. Nie dotyczyło to tylko Waltera. O Walterze rozmawiali jednak bardzo rzadko.

- Zostanę tam tylko tyle, ile będzie trzeba - powiedziała miękko, bo zawsze wiedziała, że Raul nie przepadał za jej wyjazdami do Polski. Chciała nawet, jak za dawnych lat, dotknąć przyjacielsko jego dłoni lub ramienia, ale nie zrobiła tego. Od jakiegoś czasu nie było to już takie proste i oczywiste jak kiedyś.

- Nie musisz się z tego tłumaczyć - powtórzył łagodnie i uśmiechnął się lekko - chociaż lubię, gdy to robisz. Twoje argumenty są nie do obalenia. - Z sąsiedniego pokoju dobiegły ich głosy dyskutujących ze sobą zajadłe Ralfa i Alana. - Gorzej pójdzie ci z nimi - dodał już weselszym głosem ich ojciec. - Tak łatwo jak ja nie zrozumiem, że znikasz im z oczu. Są o ciebie piekielnie zazdrośni.

Jeszcze trudniej poszło jej z Nicole. Szwagierka była przerażona i zrozpaczona.

- Gdy pomyślę, że on przebywa na froncie, a ty jedziesz tam, gdzie jest tak niebezpiecznie! Och, Alice, moja kochana! Przecież w niebezpieczeństwach wojny zawsze byliśmy razem.

- Czuję, że muszę być tam z nimi - odparła z ciężkim sercem Ala. - Nie wytrzymałabym tutaj, w tych okolicznościach.

- Oczywiście - przytaknęła Nicole, ale miała łzy w oczach. - Pisz mi o wszystkim, jeśli będzie to możliwe. Strasznie się boję.

- Nie zostajesz sama. W razie czego Raul ci pomoże. Jest jeszcze Dominique i inni...

- O was się boję, o ciebie, ty wariatko. Przecież nie o siebie. - Nicole próbowała uśmiechnąć się przez łzy.

- Może i masz powody, aby bać się także o siebie. Z tego, co mi pisał Janek, bolszewicy, jeśli pokonają Polskę, pójdą na Zachód. - Ala próbowała żartować, aczkolwiek ze średnim powodzeniem.

- Nie wiem, kiedy zobaczę Roberta. Może nigdy - szepnęła nagle Nicole.

Zapadła między nimi cisza i przez pewien czas żadna z nich nie wiedziała, jak ją przerwać.

- Nie wiem, co ci odpowiedzieć - odezwała się w końcu Ala.

- Tak. - Nicole wreszcie kiwnęła głową, na znak, że rozumie. - Wiem, że Barbara potrzebuje twojej obecności równie mocno jak ja. Wiem, że też się boi.

- Jadę do ojca, nie do niej - odpowiedziała szybko Ala.

Nie chciała kontynuować tematu dotyczącego Basi i Nicole natychmiast to pojęła. Odwróciła się do okna i zapatrzyła na słońce przebijające się przez niegroźne, jasne chmury.

- Zaopiekuj się w tym czasie moim domem - odezwała się znowu Ala, chcąc przerwać własne rozmyślenia i ciszę, która stawała się nie do wytrzymania.

- Nie obawiaj się - odparła Nicole. - Obiecuję, że jeśli wrócisz tu przed ewentualnym nadejściem bolszewików, wszystko zastaniesz na swoim miejscu.

- Jesteś taką samą wariatką jak ja - odparła Ala i spróbowały roześmiać się obie.

Tym razem próba ta się powiodła.

Próba wesołego pożegnania nie za bardzo im się jednak udało następnego dnia, gdy Raul wraz z synami odprowadzał swoją przyjaciółkę na Paris-Nord. Alan tulił się do niej i prosił, aby została. Ralf usiłował zachować bohaterski spokój, ale też pociągał nosem.

- Nie możesz nas tam zabrać, ciociu Alice? - spytał w końcu. - Ja też mogę iść na wojnę.

- Nie daj Boże, abym i ciebie miała kiedyś odprowadzać na wojnę - odparła Ala. - Zresztą, mówiłam wam, że ja nie jadę na wojnę, tylko pomóc mojemu ojcu. Wy musicie zostać ze swoim.

- Wracaj zaraz, ciociu! - Alan nie chciał oderwać się od jej szyi.

- Oczywiście, że mam zamiar szybko wracać, kochanie - zapewniała go Ala.

Nie sądziła, że i dla niej to pożegnanie będzie takie trudne. Nie pojmowała, że obaj chłopcy Raula tak bardzo ją kochali.

- Przywieziesz nam tych dwóch chłopców, o których nam mówiłaś? - spytał Ralf. - Karola i Paula? Mówiłaś kiedyś, że ich poznamy.

- Poznacie ich z pewnością, ale przyjadą ze mną wtedy, gdy zgodzą się na to ich rodzice - odpowiadała z ciężkim sercem, zdając sobie sprawę, że

spełnienie tego marzenia może okazać się trudniejsze, niż początkowo zakładała, może nawet niewykonalne.

Wreszcie sytuację opanował Raul, który łagodnie, acz stanowczo, odsunął obu synów od przyjaciółki.

- Dostyc już, chłopcy - zakomenderował. - Zachowujcie się jak mężczyźni. Teraz ja pożegnam się z Alice.

Dzieci nie oponowały i odsunęły się na bok, patrząc nawet z nieskrywanym zainteresowaniem i zadowoleniem na ojca i „ciocię”.

Raul nie uściśnął tym razem jej ręki, do czego ostatnio się ograniczał. Ujął w obie dłonie jej twarz i przez chwilę patrzył w jej zaskoczone oczy, a potem uczynił taki ruch, jakby chciał pocałować jej usta, ale w ułamku sekundy zmienił zamiar i dotknął jedynie jej policzka.

- Szczęśliwej podróży, Alice - powiedział cicho. - I pamiętaj, że masz tu do czego wracać, choćby i za sto lat.

Odpowiedziała coś niewyraźnie i równie cicho. Jak ogłuszona, weszła na stopnie wagonu. Wszystkie jej rzeczy już były na miejscu, w przedziale. Raul jak zwykle o to zadbał. Wychyliła się jeszcze, aby spojrzeć na niego i jego dzieci. Chciała coś do nich zawołać, ale głos odmówił jej posłuszeństwa. To, co się stało między nimi na dworcu, obezwładniło ją na moment. Całe jej ciało reagowało, jakby znowu miała osiemnaście lat. Najbardziej jednak wstrząsnęło nią to, że tym razem z całą pewnością nie dostrzegła obok siebie Waltera. Była tylko ona, Raul, a obok stało dwoje zaintrygowanych nimi dzieci.

Zanim pociąg dojechał do Warszawy, Ala zdążyła już ochłonąć. Podczas podróży słyszała przeważnie uwagi dotyczące wojny. Episkopat Polski wezwał do obrony chrześcijaństwa i ojczyzny. W szeregi armii polskiej wstąpiło sto tysięcy ochotników. Już na dworcu Joachim oznajmił jej, że ustąpił rząd premiera Grabskiego.

- Premier został skrytykowany za to, że okazał się zbyt miękki w Spa. Uległ żądaniom Lloyd'a George'a w sprawie niekorzystnej dla Polski granicy na linii Curzona. Piłsudski był wściekły, zresztą nie tylko on - informował w drodze do warszawskiego mieszkania. - Premierem został Witos.

- Co to za człowiek? - spytała, rozglądając się z uwagą po mieście i próbując rozpoznać symptomy paniki czy niepokoju. Niczego takiego nie dostrzegła, przynajmniej na pierwszy rzut oka.

- Witos jest przywódcą ruchu ludowego, faktycznym autorytetem wśród polskich chłopów. Miało to zachęcić również mieszkańców wsi do wstępowania do wojska i obrony kraju.

- I udało się?

- Oczywiście. To była dobra polityczna decyzja. Zastępcą Witos'a jest socjalista Daszyński. Wprawdzie endecy zażądali dymisji Piłsudskiego ze stanowiska Wodza Naczelnego i zaproponowali na jego miejsce Dowbora-Muśnickiego, ale na razie skończyło się na słowach. Politycy, jak to politycy, trochę szaleją, ale przeciętni obywatele zachowują spokój i w dalszym ciągu optymizm. Naród jest w zasadniczej swojej masie zmobilizowany i skonsolidowany.

- Nie znam się na tym wszystkim - przyznała Ala. - Mam nadzieję, że nie stanie się najgorsze. Musimy jednak pomyśleć, co robić, jeśli to najgorsze się stanie.

- Nie ma prawa się stać - wykrzyknął już w domu doktor. - Boże, uchowaj! Nie tylko dla naszego państwa, ale i dla całej cywilizacji europejskiej nie będzie już wtedy ratunku.

- Mówisz o tych bolszewikach tak, jakby to byli wojownicy Czyngis-chana.

- Coś w tym rodzaju. Ja wiem, że wy tam, na Zachodzie, nie widziecie

tego w ten sposób. Sądźcie, że owszem, jest pewien problem, ale daleko od was.

- Atmosfera wokół Polski nie jest najlepsza - przyznała Ala. - Francja jednak zdecydowanie stoi po waszej stronie.

- Po waszej? - Doktorowi wyraźnie nie spodobało się sformułowanie córki.

- Po naszej - poprawiła się szybko. - Po polskiej stronie.

- Wiem, ale siłą bolszewików jest także wojna propagandowa i zdolności ich agentury w całej Europie. To doskonale, jak sama wiesz, funkcjonuje i zdaje egzamin. Te wszystkie antypolskie protesty i strajki blokujące możliwość materialnej dla nas pomocy...

- Ty jednak zakładasz, że istnieją szanse na ocalenie?

Doktor zwiesił głowę i popatrzył spod oka na córkę.

- Nawet nie chcę myśleć, co by było w razie naszej klęski - powiedział cicho i nagle zapytał: - Nie wolałabyś pojechać teraz do Zaborowa?

- Nie - odparła zbyt zdecydowanie i zbyt pośpiesznie, więc aby zatrzeć wrażenie tonu swojej odpowiedzi, dodała: - Przyjechałam, aby być teraz z tobą i mieć bieżące wiadomości o naszych chłopcach. Myślałam, że umrę na wiadomość od Janka, że i ty zamierzasz udać się na front.

- A któż by mnie tam zechciał, moje dziecko - powiedział doktor i uśmiechnął się szeroko. Najwyraźniej spodobały mu się słowa Ali. - Zdążyłem już zresztą tam być, ale po ostatniej zapaści sercowej...

- Gdzie zdążyłeś być?! Na froncie?! - wykrzyknęła wniebogłoso.

- Spokojnie, dziecko, spokojnie. Już mi się dostało od Marty i od twoich braci. Owszem, byłem w okolicach Wilna jako lekarz polowy. Nie mogłem usiedzieć na miejscu. Nie dowiedzielibyście się o tym, gdyby moje serce nie odmówiło mi posłuszeństwa. A zatem nic o tym nie wiedziałaś? Dzięki Bogu, że chociaż w tej sprawie rodzina posłuchała mnie i ci o tym nie doniosła. Napisał za to, abyś przyjechała i mnie przypilnowała, bym ponownie nie uciekł do armii.

- Trzeba cię pilnować jak dziecka. - Ala uśmiechnęła się mimo woli. Mimo woli poczuła także, że jest z niego dumna.

- To doprawdy skandal, aby taki stary chłop jak ja musiał w ukryciu przed całą rodziną uciekać do wojska jak jakiś młodzieniec - zżymał się doktor, ale widać było, że obecność córki i jej uwagi sprawiają mu radość.

- To raczej cud, że Marta podstępem nie uprowadziła cię do Zaborowa.

- Oczywiście, że miała taki zamiar. A cudem jest fakt, że tego uniknąłem. Do końca życia byłbym potem przedmiotem kpiny w całej Warszawie. Gdy leżałem w szpitalu, na krok ode mnie nie odeszła. Musiałem się upewniać, czy nie podają mi tam żadnych środków usypiających. Bałem się, że pewnego dnia obudzę się w Zaborowie. Potem przez tydzień siedziała tu ze mną w Warszawie i nie spuszczała mnie z oka.

Śmiali się oboje, jakby przebywali teraz w najspokojniejszym, najbardziej bezpiecznym kraju pod słońcem.

- Dokąd właściwie dotarli bolszewicy? Czy Zaborów jest bezpieczny? Czy to raczej nie Marta, Basia i dzieci powinny uciekać do Warszawy? - spytała wreszcie Ala.

- Nie znasz Marty? W obliczu wojny nie opuściłaby za skarby świata swojej ziemi. Niech Bóg ma w opiece bolszewików, którzy ośmieliliby się zajrzeć do Zaborowa. Nie chciałbym być w ich skórze. A mówiąc poważnie, Zaborów wydaje się w miarę bezpieczny. Wprawdzie na froncie południowym szaleje Armia Konna z Siemionem Budionnym na czele, a nie są to przyjemni ludzie, najogólniej mówiąc, jednak daleko im jeszcze do Zaborowa. Zajęli Kijów, dezorganizowali całe zaplecze frontu, przerywali łączność, palili szpitale z rannymi, ale nie zdobyli ani Lwowa, ani, o ile wiem, Zamościa. - Przestał się uśmiechać i spojrzał z powagą na córkę. - Jest jednak naprawdę źle, moje dziecko. Nasi nieprzyjaciele mają nad nami przewagę. Gdzie są? Dokąd dotarli? Są bardzo blisko, są wokół. Tak jakby wokół nas na niebie z różnych stron gromadziły się gradowe chmury.

- Trudno, mój ojciec. - Ala też już się nie uśmiechała. - Znam to uczucie. Całą wojnę spędziłam w Paryżu. Dwa razy był on w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Pamiętam ostrzał niemiecki z ciężkich dział w osiemnastym roku. Nie umiem opisać ci atmosfery grozy, jaka wtedy panowała. A jednak jakoś żyliśmy i przetrwaliśmy. Mało tego: zwyciężyliśmy. Niemcy byli już tak blisko, wydawało się, że tylko cud może nas uratować. Większość, a przynajmniej wielu, wierzyło, że to był cud.

- Cud - powtórzył doktor w zamyśleniu.

- Przeżyłam to wszystko, widziałam na własne oczy. Mogę przez to przejść jeszcze raz. Nie boję się o życie, aż tak bardzo mi nie zależy. Byłam przecież żoną oficera...

Nie zdołała dokończyć. Ukryła twarz w dłoniach. Doktor podszedł do niej i krzepiąco położył dłoń na jej głowie.

- Postaramy się mimo wszystko przeżyć - powiedział pogodnie.

Rozdział 84

Na początku sierpnia sytuacja Polski wydawała się już beznadziejna. Warszawę opuściły wszystkie ambasady, z wyjątkiem nuncjatury apostolskiej. Prasa krajowa i zagraniczna niemal na wyścigi licytowała się w mnożeniu relacji o polskich stratach. Polskie siły jednak nie topniały, a to dzięki stale napływającym ochotnikom. Wojsko polskie zachowywało pełną wartość bojową, nawet w warunkach bezustannej defensywy. Spokój zachowywali też obywatela, mimo wszystko.

Radzimy sobie, nie musicie się martwić – pisała w tym czasie Marta. Wszyscy wokół staramy się zachować spokój z wyjątkiem Anny Jadwickiej, naszej, jak wiesz, najbliższej sąsiadki. Otóż Anna Jadwicka każdego dnia oczekuje oddziałów Konarmii i Budionnego pod swoimi drzwiami. Jest przekonana, że stanie się to lada dzień. Ostatnio przyjeżdżała do nas z częstotliwością co trzy godziny. Powiedziała jej w końcu, że nie ma dokąd uciekać i najbezpieczniej w domu. Umrzeć też najlepiej w domu. Gdybyś ją wtedy widział! I pomyśleć, że jej mąż walczy teraz na froncie! My w każdym razie wiemy, jak się zachować, i mamy wypraktykowany plan działania na wszelkie ewentualności. Dzięki Bogu u chłopców wszystko dobrze. Wypada mieć tylko nadzieję, że Jaś przy okazji nie straci drugiego oka. Nie sądziłam, że po tylu latach względnego spokoju przyjdzie mi patrzeć na dwie wojny, jedną za drugą. Rację miał mój świętej pamięci ojciec, że do końca życia nie można być niczego pewnym, że zawsze wszystko jest możliwe. Dzieciaki naturalnie w swoim żywiole i o nauce słyszeć nie chcą. A już było tak normalnie! Biednemu Robertowi też nie było dane prowadzić spokojnego życia naukowego, o którym zawsze marzył. Zamiast tego przyszło mu pracować w wojennych szpitalach polowych w różnych częściach naszej biednej Europy. Lecz mniejsza o to! Ważne, abyśmy to przetrwali, my jako rodzina, i nasze państwo. Ja wierzę, że wszystko w rękach Boga i Jego Przenajświętszej Matki. Dobrze, że Ala jest z tobą. Od razu czuję się spokojniejsza. Przy niej nie zrobisz już żadnego głupstwa. Pozdrów ją ode mnie, stale o was wszystkich myślę, modłę się o ocalenie

Mimo sytuacji, która wydawała się beznadziejna, mimo wielkiej liczby ofiar w walkach o Radzymin, Zielonkę, Ossów Piłsudski zdecydował się na przeprowadzenie ofensywy znad Wieprza. Całkowicie zaskoczył tym dowództwo rosyjskie, przekonane, że zdobycie Warszawy jest kwestią dni. Stolica ocalała, a wielu niemal od razu zaczęło dopatrywać się w tym ingerencji z nieba. Tym bardziej że przygotowaniom do ofensywy towarzyszyły nieustające modlitwy, nabożeństwa i procesje.

Wyobrażam sobie, co musi się teraz dziać w Warszawie – pisała Basia. Musicie tam szaleć z radości, skoro my tutaj prawie od zmysłów odchodziliśmy. Gdy kilka dni temu zobaczyłam pędzącego ku nam na wierzchowcu syna państwa Stankiewiczów, pewna byłam w pierwszej chwili, że stało się nieszczęście. Zaczęłam nagle krzyczeć i biegłam ku niemu, aby wiedzieć jak najwcześniej, aby mieć to za sobą. Za mną biegła mama i nie uwierzycie, ale gnała jak młoda dziewczyna. Biegły też naturalnie dzieciaki, a nawet otyła pani Jadwiga, która już prawie u nas zamieszkała. Chciałam ją zatrzymać, bo bałam się o jej serce, ale słuchać mnie nie chciała. A potem biegła już cała chmara ludzi. Tchu złapać nie mogłam, gdy znalazłam się przy Wojtku Stankiewicz. W pędzie zeskoczył z konia, cud, że się nie zabił, albo i nóg na połamał. Wrzeszczał, że zwycięstwo, że nasze wojsko zmusiło tę bolszewicką dziczą do odwrotu. Prosił mnie, abym ubłagała jego matkę, by pozwoliła mu teraz iść na front.

- Bo jak nie, to ucieknę. Bóg mi świadkiem, że ucieknę – zarzekał się i uspokoić go nie mogłam.

Ludzie potem mówili, że nie mogło być inaczej, skoro wszystko co najważniejsze zbiegło się ze świętem Wniebowzięcia. Ksiądz też tak poświadczał i coraz więcej osób w to wierzy, że sama Najświętsza Pani stanęła w naszej obronie, jak ongiś w czasie szwedzkiego najazdu pod Częstochową. Oczywiście geniusz naszego Wodza Naczelnego Piłsudskiego, oczywiście bohaterstwo i poświęcenie naszego wojska, ale i cud. Sama już tak zaczynam myśleć.

- Kochana Basia... - Uśmiechnął się Janek, który akurat zawitał do Warszawy.

Ala właśnie przeczytała mu list od Barbary, a on wciąż się uśmiechał.

- Jest taka słodka i kochana jak zawsze - skwitował.

- Nie ona jedna - przypomniała mu Ala. - Tak myśli tysiące ludzi. Nie było cię w Warszawie w tych dniach, kiedy toczyły się decydujące walki, i w dniach je poprzedzających. Takich tłumów w kościołach nie widziałam od listopada osiemnastego roku.

- Ja jestem wśród tych, którzy twierdzą, że o zwycięstwie, ocaleniu Polski, i nie tylko Polski, zdecydował geniusz jednego człowieka.

- Ty jesteś przede wszystkim oddanym czcicielem swojego Piłsudskiego - powiedziała z uśmiechem Ala.

- Nie znasz, siostrzo, kraju, skąd twój ród. Tutaj każde tego typu zdarzenie rozumiane jest jako cud. Tu nie ma prawa zaistnieć wybitny człowiek. Tu największym wodzem zawsze będzie Matka Boska, nawet bardziej niż jej Syn.

- Widziałam to we Francji - przypomniała mu. - Tam wierzono w cud nad Marną. Mówiono tak w najbardziej laickim państwie w Europie.

- A ty co na ten temat myślisz? - zapytał znienacka Jaś i roześmiał się. - Jakie zdanie ma oświecona, wolnomyślna siostra znad Sekwany?

Ala zamyśliła się. Zbierała myśli, jak to wszystko opisać swoim przyjaciołom w Paryżu. Jak ubrać w zwykłe słowa te dni, które przeżyła pod koniec lipca i w pierwszej połowie sierpnia w Warszawie? Broniła się przed bezpośrednim, egzaltowanym stylem Basi. Nie lubiła też nadętych i napuszonych słów. Jak jednak oddać grozę tych dni, ich chwałę i bohaterstwo? Nieludzkie zmęczenie, cierpienia ofiar, krew i łzy, a zarazem ten spokój, ufność tysięcy zwykłych ludzi, tę dyscyplinę społeczeństwa, które zawierzyło się opiece nadprzyrodzonej.

- Nigdy nie będę kpiła z wiary w cud - odparła. - Nie odbiera to w niczym zasług czysto ludzkich.

- Nie odbiera, ale umniejsza - sprostował Jaś.

- Niby dlaczego? Gdy we Francji mówiono o cudzie nad Marną, nikt nie umniejszał zasług generała Joffre'a.

- Złotko, jesteśmy teraz w Polsce, nie we Francji.

- Lepiej teraz rozumiem tę Polskę niż ty sam. Więcej się o niej

nauczyłam w ciągu tych dni niż w ciągu wszystkich moich dotychczasowych pobyków tutaj razem wziętych. Powtarzam, wiem i rozumiem więcej niż ty.

- Niby co takiego? - Brat trochę się z nią droczył, ale zaintrygowała go.

- Pomoc boska nikomu tu nie umniejsza zasług. Zwiększa poczucie wartości i wyjątkowości narodu, przy którym w tak spektakularny sposób objawia się potęga Boga.

- A zwłaszcza Matki Boskiej. - Jaś mrugnął do niej. - Mówimy bowiem o narodzie polskim, który podobno tak dobrze poznałaś.

Widać chciał, aby ostatnie słowo należało do niego.

- Albo Matki Boskiej - odparła i skinęła głową na znak kompromisu.

Nawet obecny wówczas w Polsce francuski generał Weygand, który pochodził z kraju chlubiącego się od ponad dwustu lat swoją laickością, nie ośmielił się cudowi zaprzeczyć.

Kilka dni później Ala w towarzystwie Janka udała się na Powązki. Prosił ich o to ojciec, który nie czuł się tego dnia najlepiej.

- Idźcie sami i odwiedźcie waszych dziadków - oznajmił. - Dzisiaj rocznica ich ślubu, a zawsze przychodziłem wtedy do nich na cmentarz. Coś mi mówi, że czekają dzisiaj na was.

Jaś w najbliższych dniach miał ponownie opuścić Warszawę, wojna bowiem nadal trwała. Uznali więc, że nie od rzeczy będzie spędzić jeszcze parę godzin razem, we dwoje.

- Oboje byli tacy młodzi - powiedziała z westchnieniem Ala, gdy zatrzymali się nad grobem. - Ona miała zaledwie dziewiętnaście lat. To chyba smutne nie znać dziadków, nie sądzisz?

- Czy ja wiem? - Jaś wzruszył ramionami. - Ja myślę, że znacznie smutniej jest nie znać najbliższych, z którymi niby spędzasz życie. Wydaje ci się, że znasz kogoś dobrze, aż tu nagle okazuje się, że to zupełnie ktoś inny, niż się myślało.

Ala drgnęła, bo nagle dotarło do niej, o kim mówił jej brat. Nie podjęła tematu, wydał jej się zbyt niebezpieczny. Po zwycięstwie pod Warszawą nieubłagalnie wracała, wciśnięta tymczasowo w kąt, sprawa rodzinna. A zatem Jaś domyślał się tego samego, co ojciec? Na to wyglądało. Pytanie dotyczyło tylko tego, czy nie domyślał się więcej niż ojciec. Czy wręcz nie wiedział więcej. W przeciwieństwie do niego miał przecież okazję widzieć Nicole i poznać jej córkę.

- Chodźmy stąd, może zacząć padać - odpowiedziała trochę nerwowo i zawróciła.

Szli w milczeniu alejką w kierunku bramy i mimo woli jej wzrok znowu powędrował w tamto miejsce, gdzie stał stary, niepozorny pomnik pomiędzy dwoma innymi, okazałymi. Wtedy stanęła jak wryta. Przy pomniku Krzyckich i najprawdopodobniej ich zmarłej w młodym wieku córki zobaczyła jakiegoś oficera. Był w średnim wieku, stał odwrócony do nich tyłem. Lecz gdy go minęli, Ala dostrzegła profil jego twarzy. Zwolniła kroku, niemal przystanąła, a nieznajomy, jakby wyczuwając jej wzrok, spojrzął w ich kierunku. Na moment zatrzymali na sobie wzrok. Ala patrzyła na niego przez chwilę jak zakłęta, po czym zrozumiała, że nieznajomy może zauważyć jej podobieństwo do zmarłej dziewczyny z fotografii, więc szybko odwróciła głowę. Chwila decyzji minęła. Nie podeszła do tego człowieka, nie przedstawiła się, nie zapytała. Bo i o co miałyby zapytać? Jak miałyby uzasadnić swoje pytanie?

Jaś, napotkawszy spojrzenie oficera, zasalutował, a tamten odpowiedział tym samym. Obaj przecież byli w mundurach.

- Widziałem go już kiedyś - odezwał się Jaś po chwili, gdy już oddalili się od tamtego miejsca, od tamtego grobu.

Ala spojrzała zaskoczona, nie spodziewała się tego.

- Znacie się? Wiesz, kto to jest? - spytała nagle i serce jej się ścisnęło. Nie była pewna, czy chce znać odpowiedź.

- No, nie przesadzajmy. Powiedziałem tylko, że widziałem go już kiedyś.

- Na froncie? - spytała ponownie nieswoim głosem.

- Coś taka spięta! - Jaś roześmiał się i objął ją ramieniem. - Nie bój się, wojna już niedługo się skończy. Dokopimy teraz tym skurczybykom. A co do tego majora... Nie, nie spotkałem go na froncie. Widziałem go tu, na cmentarzu, jeszcze przed wojną światową. Stał przy tamtym pomniku i nie wiem czemu, ale zwrócił moją uwagę. Wydał mi się znajomy, chociaż nie potrafiłem go z nikim skojarzyć. No, chyba miałas rację z tym deszczem, droga sestro. Musimy uciekać.

- Czyś ty naprawdę myślała, że pozwolę ci wrócić do Francji bez zajrzenia choćby na parę dni do Zaborowa? Tak długo nie widziałyśmy się, a ty byłaś gotowa już wracać do Paryża?

Basia mówiła z udaną pretensją w głosie, ale oczy jej się śmiały. Widać, że obecność przybranej siostry rozwiewała wszystkie jej smutki. Ala czuła się naprawdę niezręcznie, a chwilami wręcz podle. Barbara nadal nic nie wiedziała, nie domyślała się nawet. Wojna odsunęła od niej ewentualne podejrzenia. Była dumna z Roberta, z jego zaangażowania dla Sprawy i ani słowem nie poskarżyła się na jego wielomiesięczną nieobecność.

- Jest na froncie, ratuje rannych - mówiła, a jej oczy płonęły z zapału i uniesienia.

Zaborów w dalszym ciągu żył doniesieniami z pól bitewnych, cudem nad Wisłą, poświęceniem i rzezią pod Zadwórzem, bitwą pod Brodami i nad Niemnem. Trudno było oderwać się od tych spraw, skoro znowu tylu mężczyzn z całej okolicy poszło do wojska, a kilku miało już nigdy nie wrócić.

- Czasem myślę, że czasy, gdy byłyśmy młodymi dziewczynami, nie istniały naprawdę - mówiła Basia, bo na ogół to ona rozprawiała. - Moje dzieci to prawdziwe dzieci wojny. Szkoda, że nie chcesz z nami dłużej zostać. Mogłabyś spędzić tu Boże Narodzenie. Będziemy same z mamą i dziećmi, ewentualnie Joachim do nas dołączy. Po raz pierwszy będzie tu tak pusto. Robert i Jaś są w dalszym ciągu zajęci i trudno mieć do nich pretensje. Jednak... pusto tu będzie.

- Przetrywamy i takie święta - wtrąciła się rzeczowym i spokojnym głosem Marta. - W życiu bywa różnie. Mogło być znacznie gorzej. Gdyby bolszewicy wygrali, nie byłoby nawet takich świąt.

Nastał już listopad, a więc pora melancholii, podsumowań i refleksji, niedobra dla Basi. Dlatego Ala nie mogła odmówić jej prośbom o odwiedzinę i musiała przedłużyć pobyt w Polsce o następne dziesięć dni. Nie wypadało inaczej, chociaż przebywanie w towarzystwie bratowej było tym razem wyjątkowo trudne. Basia na nic się nie skarżyła, jednak sama świadomość nadciągającej rodzinnej katastrofy była dla Ali nie do zniesienia. Widok tych

dzieci, opowiadających z entuzjazmem o stryju i ojcu, sprawiał, że chciała uciekać stąd jak najszybciej. Czasami pragnęła nawet, aby to już się stało, aby Robert ostatecznie rozmówił się z żoną. Aby już było po wszystkim.

„Nigdy nie będzie po wszystkim” – dodawała w myślach i znowu przeklinała własną bezsilność wobec losu. Innym razem chwyciła się nowej nadziei – że wszystko ułoży się szczęśliwie dla Basi, dzieci i całej rodziny. Jednak – nie dla Nicole.

Wściekała się też sama na siebie, że znalazła się w środku tych beznadziejnych tajemnic rodzinnych, że zapętlili się w tym. Ona, która jeszcze kilkanaście lat temu z takim powodzeniem tej rodziny unikała!

Podczas nielicznych chwil, które miała tylko dla siebie, wymykała się na samotne spacerunki poza ogród i park zaborowski. Szła w kierunku pustych, smutnych pól i patrzyła daleko na horyzont. Nie przeszkadzał jej pejzaż listopada. Od zakończenia Wielkiej Wojny polubiła tę porę roku, to wyciszenie, szarość i melancholię. Wiosna do końca życia będzie jej przypominać o śmierci Melanie i Waltera. Jesień, zwłaszcza późna jesień, przynosiła ukojenie i zadumę. Miała o czym rozmyślać. Poza gnębiącą ją sprawą Basi, Roberta i Nicole było jeszcze coś. Pojawiło się coś. Sama przed sobą nie chciała się do tego przyznać, ale to coś jednak było. Tęskniła za Paryżem, za swoim domem, za przyjaciółmi. Tęskniła za Nicole i Sylwią, choć towarzyszyło temu nieznośne poczucie winy wobec rodziny w Polsce. Tęskniła za Ralfem i Alanem, których pokochała, jakby byli jej dziećmi, wiedziała też o ich miłości do niej. Tęskniła wreszcie za Raulem. Tego drogiego przyjaciela brakowało jej jak nigdy dotąd. Na próżno wmawiała sobie, że był niemal jej trzecim bratem. Nie był i dobrze widziała różnicę między nim a uczuciem, jakim darzyła Janka i Roberta. Myślała z tęsknotą o powrocie do domu i jednocześnie bała się tego. Raul... Wciąż miała przed oczami ich pożegnanie na Paris-Nord kilka miesięcy temu. Ten jego gest, który wywołał w niej tak gwałtowną reakcję całego ciała i umysłu, która – jak sądziła – została w niej już na zawsze pogrzebana.

Broniła się przed tą tęsknotą, jak mogła, i nie potrafiła sobie jej wytłumaczyć.

„Nie, Walterze, nie” – powtarzała w myślach. „Zawsze, do końca będziesz tylko ty. Więcej nikt już mnie obchodzi. Zawsze będziemy razem. Jak inaczej mogłabym przyjść do ciebie, gdy już się tam znajduję? I ty nie

wyszedłbyś mi wtedy na spotkanie razem z naszym dzieckiem. A ja tylko tego pragnę”.

Lubiła listopad. Kojarzył jej się z końcem czegoś przemijającego i zapowiedzią szczęśliwego początku nowego. Obejmowała spojrzeniem zaborowskie pola, odległe lasy i staw, nad który też czasami przychodziła. Nie przeszkadzało jej zimno, szarugi i mgły, nawet szybko zapadający zmierzch. Gdyby miała do wyboru, kiedy przyjechać tu po raz kolejny, latem czy późną jesienią, ponownie wybrałby listopad. Na Boże Narodzenie pragnęła jednak wrócić do domu.

„Pójdę do Waltera, na cmentarz. Tam najłatwiej zbieram myśli. Może usłyszę go znowu w sobie, może podpowie mi, co dalej. Tu nie zostanę, bo wiem, co się wydarzy. Nie mogłabym teraz spędzać tu świąt, patrzeć na nich wszystkich i wiedzieć... wiedzieć...”

Wiedzieć, że to się kończy.

- Nie będzie ci tam smutno samej? - spytała Basia na dzień przed wyjazdem. - Jest mi przykro, gdy pomyślę, że jesteś tam sama, zwłaszcza w okresie świąt.

- Nie jestem sama - powtórzyła po raz kolejny Ala, trochę poirytowana myślą, że Basia tak uparcie nie przyjmuje pewnych spraw do świadomości. Przecież wiedziała, że Ala ma w Paryżu rodzinę i przyjaciół.

- Wiem... - Barbara pokiwała głową i westchnęła z rezygnacją. - Twoja szwagierka... martwisz się, aby nie była w tym czasie sama.

Ala poczuła pewną irytację, chociaż zdawała sobie sprawę, że czyniąc podobne uwagi, Basia nie była w tym wypadku bezmyślna. Niewiele wiedziała o Nicole, nie miała też pojęcia, że szwagierka Ali miała dziecko. Nie знаła wobec tego nawet wymyślonej wersji o tragicznie zmarłym na wojnie narzeczonym Nicole. Nawet Janek - co było dla Ali zastanawiające - nie powiedział o tym bratowej.

- Jak ci się z nią układa? - zapytała nieoczekiwanie Barbara. - Wprawdzie widziałam was razem dawno temu, ale odniosłam wrażenie, że niezbyt za sobą przepadacie.

Ala nie miała ochoty rozmawiać o Nicole z żoną Roberta. Jednak musiała dać jej jakąś odpowiedź.

- Jest siostrą mojego męża - odparła neutralnym, spokojnym głosem, starając się, by nie zagrały w nim żadne emocje. - Już samo to mi wystarczy.

- Rozumiem - odparła Basia, która najwyraźniej bez oporów przyjęła do wiadomości taką odpowiedź.

Temat Nicole został zatem wyczerpany. Były jednak inne sprawy, które najwyraźniej ją nurtowały.

- Janek mi kiedyś mówił, że Raul Renet wrócił do Paryża, że owdowiał w Ameryce i ma dwoje dzieci - odezwała się po chwili z wahaniem.

Twarz Ali niemal spłonęła od gwałtownego rumieńca. Nie spodziewała się, że Basia coś wie i to powie. Nie była przygotowana, by udzielić jej odpowiedzi. Bratowa zobaczyła ten rumieniec i jej całkowite zmieszanie.

- To dobrze - rzekła i uśmiechnęła się ciepło. - Bardzo się cieszę. W takim razie rzeczywiście nie jesteś tam sama.

- To mój stary przyjaciel, przecież wiesz - zdołała wyjąkać niezadowolona z siebie Ala, lecz po uśmiechu Basi widziała, że jej nie przekonała.

Następnego dnia pożegnała się z Barbarą, Martą, dziećmi i całą służbą. Wysłuchiła przemówień i życzeń, by w przyszłym roku spędziła święta z nimi i aby nie zwlekała z kolejnymi odwiedzinami. Wychodząc z domu, rozejrzała się jeszcze wokół. W drodze na stację kolejową pozdrowiała całą mijaną okolicę i śpiącą już przyrodę.

Robiła to wszystko, nie mając świadomości, że był to jej ostatni pobyt w Zaborowie.

Już nigdy tu nie wróciła.

Rozdział 86

W maju 1921 roku Robert, Barbara i ich dzieci przyjechali w odwiedziny do Paryża. Ala oczywiście miała świadomość tego, że jej brat nie był zadowolony z takiego obrotu sprawy. Nie odwiedzał Paryża od grudnia 1919 roku i marzył o tym, aby wreszcie zobaczyć się z Nicole i Sylwią. Planował tę podróż, odkąd skończyła się wojna z Rosją, czyli od marca. Nie było jednak możliwości, aby tym razem pojechał sam. W ciągu tych dwóch miesięcy pokoju zaledwie raz był w Zaborowie - w czasie Wielkanocy - a święta po raz kolejny nie wydały mu się odpowiednim czasem na poważną rozmowę z Barbarą. Nie miał serca niszczyć rodzinie radości ze spotkania, ze wspólnego świętowania. Dzieci przecież tak dawno go nie widziały.

Jednak zauważył, że tym razem nie skarżyły się na jego długą nieobecność. Były z niego dumne, bo przez całą wojnę ratował rannych żołnierzy, i uważały go za bohatera równego tym, którzy osobiście i bezpośrednio narażali swoje życie w obronie ojczyzny. Nie miał serca odbierać im tego, podświadomie przecież wiedział, że dla dzieci jego decyzja o rozstaniu z ich matką będzie, przynajmniej początkowo, katastrofą, że oskarżą o to jego. I słusznie - myślał - to jego inicjatywa i jego wina. Od dawna nie ukrywał tego sam przed sobą. Czym innym była jednak odważnie uświadamiana sobie prawda, a czym innym rzeczywiste spojrzenie w oczy tym, których zamierzał zostawić.

Kochał całą trójkę, ale przecież zdawał sobie sprawę, że nie sprawdził się do końca jako ojciec. Nieobecny w życiu dzieci na co dzień, był gościem w domu. Codziennosc i decyzje należały do Barbary. Jego najczęściej nie było, a w momentach naprawdę trudnych zawsze go brakowało. Jednak ani dzieci, ani żona nie miały do niego pretensji, a w każdym razie żadne z nich nigdy nie powiedziało na ten temat nawet słowa. Wręcz przeciwnie - był w ich oczach jednym z bohaterów obu wojen, które przetoczyły się przez ich życie w tak krótkim czasie. Teraz jednak oczekiwali, że będzie z nimi przebywał dużo częściej. Jak mógł im oznajmić, że odchodzi z ich życia? Wprawdzie zamierzał im wyjaśnić, że rozstaje się tylko z ich matką, nie z nimi, że będą się widywali, że będzie do nich pisał, że będzie ich do siebie zapraszał... Oczywiście, ale gdy patrzył w ich dziecięce, pełne miłości

i tęsknoty oczy, wiedział, że podobne słowa nie wyrażają prawdy. Prawda wygląda przecież zupełnie inaczej. Będzie daleko mieszkał i dzieci stracą go z oczu. Sporadyczne odwiedziny i listy nie zdołają nadrobić tej straty. Teraz w takim położeniu znajdowało się jego najmłodsze, ukochane dziecko. Potem sytuacja się odwróci. Zawsze ktoś będzie cierpiał.

A jednak - nie żałował. Na wspomnienie Nicole ogarniało go uczucie niewyobrażalnego szału radości, entuzjazmu i chęci życia. Nie potrafił zrezygnować z tej kobiety, a porzucenie odwiedzin u Sylwii nie mieściło mu się w głowie. Niczego tak nie pragnął, jak wyjechać do Paryża. Tym razem jednak nie mógł udać się tam sam, chyba że powiedziała by Basi prawdę. Jednak po tak długiej nieobecności w Zaborowie nie mógł zdobyć się na odsłonięcie kart. Pozostawała wspólna podróż do Paryża.

„Może i ma to swoją dobrą stronę” - myślał. „Może będzie to jakaś forma zadośćuczynienia rodzinie tego, co wydarzy się później. Może zostaną jakieś wspólne, dobre wspomnienia. A poza tym...”

Doszedł do wniosku, że dzieciom należą się takie, choćby tylko kilkudniowe wakacje po tym, co przeszły w swym dotychczasowym krótkim życiu. Jedna wojna, druga wojna, ruchy wojsk, strach przed klęską, radość zwycięstwa... Zobaczą świat, który już żyje normalnym życiem, który stara się otrząsnąć z wojennych blizn. Wreszcie - musiał to przyznać - ten wyjazd należy się także Barbarze. Za to, że tyle czasu była sama i radziła sobie z życiem. Za to, że znowu zostanie sama. Za to, że właściwie przez całe życie jest sama. Nie skarży się, o nic się nie dopomina. Wcale też nie prosiła, aby zabierał ich ze sobą do Paryża. Lecz wiedział, że jest to jej marzenie, a tylko tyle potrafił dla niej zrobić.

Miał świadomość, że utrudni mu to kontakty z Nicole, ale pogodził się z tym. Trudne nie znaczyło dla niego: niemożliwe. Poza tym Barbara z dziećmi planowała spędzić w Paryżu zaledwie tydzień, a to ze względu na szkołę Karolka, koszty i początek wiosennego sezonu prac w Zaborowie. Nie widziała też problemu, gdy Robert oświadczył, że on zostanie w Paryżu dłużej. Przynajmniej nie pokazała tego po sobie. Rozumiał, że na tym polegała teraz jej taktyka. Nie chciała go do siebie zrażać ewentualnym narzekaniem i cierpiętnictwem. Nie chciała być dla niego ciężarem.

„Potrafię być twarda, jestem silna. Powiedz tylko, co się dzieje. Przejdziemy przez to razem. Jesteś moją wielką miłością, poradzę sobie,

poradzimy sobie” - mówiły czasem jej oczy, ale ona sama milczała. Czekwała. Postanowiła dać mu jeszcze czas. Miała być miła, pogodna, roześmiana, zadbana i piękna. Niestety, nie była przy tym sobą.

Krótkie wakacje w Paryżu okazały się udane i szczęśliwe. Miały okazać się dobrym i ciepłym wspomnieniem, które będzie im wszystkim towarzyszyć długie lata. Nigdy żadne z nich nie pozbędzie się z pamięci tych dni. To w przyszłości ułatwi im...

Ala przyjęła całą ich piątkę w swoim domu, co było pewnym organizacyjnym wyzwaniem, ale przecież miała już w tym praktykę. Dzieci były zachwycone jej mieszkaniem, tym bardziej że gdy zjawili się tam również Alan i Ralf, bardzo szybko nawiązała się między nimi przyjaźń.

- Nic się tu nie zmieniło. - Barbara uśmiechnęła się, rozglądając się wokół. - Te same meble, to samo ustawienie.

- Pamiętałaś to wszystko? - Ala trochę się zdziwiła. - Przecież byłaś tu po raz ostatni w styczniu czternastego roku.

- Tak - szepnęła Basia. - To było wtedy, gdy...

Umilkła zmieszana.

- Wtedy, gdy urodziłam Melanie - uzupełniła miękko i ciepło głosem Ala, a widząc, że Basia zmieniała się trochę na twarzy, dodała szybko: - To dobre wspomnienie, naprawdę.

- Boże, jak to już dawno...

Patrzyły na siebie, przejęte wspomnieniami i mimo wszystko wzruszone, aż wreszcie zadumę przerwały im wesołe krzyki dzieci na górze.

- Jak widzisz, życie tu tętni - powiedziała z uśmiechem Ala. - Obaj chłopcy Raula doczekać się nie mogli, kiedy przyjedziecie.

- Zachowują się, jakby to był ich dom rodzinny - odparła podstępnie Basia. - Dom, w którym przebywa kochająca ich matka.

- Daj spokój, Basiu, chociaż ty... - Ala machnęła ręką.

- Mówię tylko, że te dzieci pasują do ciebie, a ty do nich.

- Naprawdę ich kocham - przyznała Ala. - Dobrze się dogadujemy.

- Raul... - zaczęła powoli Basia, a gdy Ala wykonała taki ruch, jakby chciała jej przerwać, szybko dodała: - Chciałam tylko powiedzieć, że zupełnie zmieniłam zdanie na jego temat. Wydał mi się teraz takim miłym, odpowiedzialnym, dojrzałym facetem. Naprawdę go polubiłam. Myślę, że dziś nawet twój ojciec przekonałby się do niego.

- Myślę, że zagalopowałaś się z tą opinią - odparła z uśmiechem Ala, starając się przybrać ton bagatelizujący całą sprawę. - A poza tym nie zapominaj, moja droga bratowo, że wszyscy się zmieniliśmy. Choćby dlatego, że nie mamy dwudziestu lat, jak wtedy...

- Tak - odparła Barbara i przekorny uśmiech znikł z jej twarzy. - Ja zmieniłam się bardzo.

Umilkły obie, zajęte przygotowaniem podwieczorku dla gromady dzieci i dorosłych, którzy w ciągu tych kilku dni przebywali w tym domu lub go odwiedzali. Obie pogrążone we własnych myślach, obie pragnęły rozmowy, ale każda z innego powodu wołała milczeć.

„Nie będę więcej użalać się nad sobą. Wiem, jak bardzo cię to ostatnio męczyło i irytowało. Zresztą ty nie potrafiłabyś tego zrozumieć. Byłaś zawsze kochana, i to zupełnie bezwarunkowo - najpierw przez twojego męża, a teraz przez tego człowieka, którego uparcie i wbrew rozsądkowi nazywasz tylko przyjacielem. Nigdy o miłość nie zabiegałaś, a zawsze dostawałaś ją za darmo. Nigdy nie byłaś samotna. Nigdy nie musiałaś się starać, walczyć o tego, na którym ci zależy tak bardzo jak na nikim i niczym w życiu. Nie rozumiałabyś walki, jaką toczę każdego dnia o to wszystko, po co ty nie musisz nawet sięgać. Co najwyżej litowałaś się nade mną, ale ja nie chcę już litości. Czasem zdaje mi się, że widzę ją w oczach każdego człowieka mieszkającego w Zaborowie i w sąsiedztwie. To boli i tak upokarza... Nie możesz mi pomóc, moja siostró”.

Myśląc tak, Barbara nawet na moment nie przestawała się uśmiechać i wesoło nucić. Niczego nie dała po sobie poznać.

Ala nie śmiała jej patrzeć w oczy i milczała, lecz z zupełnie innego powodu. Powodem tym była oczywiście Nicole, która na czas przyjazdu rodziny Roberta miała przezornie wyjechać na kilka dni do Awinionu, aby uniknąć nawet przypadkowego spotkania. Powodem tym był również Raul, lecz i o nim Ala wołała nie rozprawiać. Raul złożył wizytę dwukrotnie w czasie pobytu Barbary i dzieci w Paryżu, toteż mieli okazję, aby odnowić starą znajomość. Raul znowu zachowywał się jak przyjaciel i oboje z Alą od jej powrotu z Polski nie nawiązywali już do tego osobliwego zdarzenia sprzed paru miesięcy na dworcu. Mimo to od czasu do czasu odczuwała jeszcze niepokój i napięcie, zwłaszcza gdy byli sami. Nie zdarzało się to często, Raul nie był też codziennym gościem, niemniej nie lubiła poruszać kwestii z nim

związanych. Szczerze mówiąc, obie z Basią miały niewiele okazji, by zmagać się z ewentualną pokusą rozmowy na tematy osobiste, intymne. Całe dni wypełniały im wycieczki, zabawa, zwiedzanie, rozrywki. Dzieci miały jak najbardziej wykorzystać pierwszą w ich życiu podróż zagraniczną (Karolek poprzedniej wizyty u ciotki nie pamiętał), Barbara odnawiała i odświeżała wspomnienia sprzed lat.

- Niby to samo miasto, a jednak inne - mówiła kilka razy. - Inna epoka, moda, zwyczaje, ludzie. Ty już do tego przywykłaś, a dla mnie to coś zupełnie nowego.

- Czasem tak tęsknię za tamtymi czasami - odpowiedziała w zadumie Ala.

- Ja tam nie tęsknię - odparła Basia i w jej głosie słychać było jakieś gniewne przebłyski. - Taka byłam wtedy głupia.

Ala spojrzała na nią zaskoczona i milczała, bo nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. W jaki sposób zaprzeczyć.

- Myślę o Olafie - uściśliła wobec tego Basia, wypowiadając to imię po raz pierwszy od lat. - Gdy tak razem spacerujemy tymi uliczkami i bulwarami, wspominam tamten mój pobyt w Paryżu, gdy on tak niespodziewanie przyjechał i nas zaskoczył. Właściwie dlaczego to zrobił? Przecież dziś już wiem, że nie ze względu na mnie.

- Nie myśl już o tym - odparła cicho Ala. - To już nieważne.

- Oczywiście. Mam teraz inne problemy. A jednak, gdy tu teraz jestem i chodzę tymi samymi ulicami, co kiedyś, nie mogę wprost opędnąć się od tego pytania. Jak mogłam być tak głupia?!

- Byłaś zakochana, ale nie dręcz się tym od początku.

Basia spojrzała uważniej na wyraźnie zdenerwowaną Alicję i nagle roześmiała się.

- Wiesz, czasem myślę, że on nagle znowu do nas podejdzie, jak wówczas, pod Conciergerie, a my staniemy jak ogłupiałe, dokładnie jak przed laty. Jakiż twój ojciec był wtedy wściekły!

Ala słuchała jej bezradnie, próbując skierować uwagę bratowej na cokolwiek lub kogokolwiek innego, gdy nagle usłyszała za sobą wesóły, dziecinny głosik:

- Ciociu, spójrz na mnie!

Cała krew odpłynęła jej z twarzy. Basia obejrzała się zdumiona i wzrok

jej padł na małą dziewczynkę, która podbiegła ku nim w radosnych podskokach. To oczywiście nie była Urszulka, która razem z chłopcami też bawiła się nieopodal. Ze względu na piękną majową pogodę przyszły przecież na spacer do Ogrodu Luksemburskiego. Wokoło biegały też inne dzieci. Jednak Sylwii miało tu nie być! Sylwia razem z matką miała przecież wyjechać na kilka dni do Awinionu.

- Co tu robisz, skarbie? - wydusiła z siebie Ala.

- Mama musiała zostać w pracy - szczebiotała mała. - Nie mogła wyjechać. I wiesz, ciociu? - Złożyła ręce w zachwycie. - Papa przyjechał! Chciałyśmy zostać i trochę z nim pobyc.

Ala w panice rozejrzała się wokół, czy przypadkiem nie dostrzeże gdzieś Nicole w towarzystwie „papy”. Była w stanie rozerwać ich na strzępy, gdyby wpadli teraz w jej ręce. Do stu piorunów! Nicole przecież obiecała, że wyjedzie! Jak nakłonić teraz pięcioletnią dziewczynkę, aby w towarzystwie Basi i nie daj Boże jej dzieci nie wyjawiała, kto kryje się za słowem „papa”.

- Jesteś tu sama? - Rozpaczliwie szukała wyjścia z sytuacji.

- Nie, jestem z panią Seiger, z Sophie i Adele - mówiła radośnie Sylwia.

Coraz lepiej! Nicole zostawiła córkę pod opieką znajomej. Czasem tak robiła, gdy była zajęta. Sylwia miała wtedy towarzystwo swoich małych koleżanek, a Nicole odwdzięczała się tamtej kobiecie, opiekując się od czasu do czasu jej córkami. To był dobry układ dla obu zajętych często matek. Teraz jednak było sobotnie popołudnie. Nicole nie miała już zajęć w szkole. Czym mogła być zajęta?

„Wiem czym” - pomyślała z głuchą pasją Ala. „Zabiję ich. Najpierw jednak muszę postarać się z tego wybrnąć. Dość już tego! Tym razem przesadzili”.

- Idź już, kochanie, do pani Seiger - powiedziała, chyba zbyt pośpiesznie i nerwowo. - Na pewno się niepokoi. Myślę, że odwiedzicie mnie obie z mamą za parę dni.

- Dobrze, ciociu - odparła posłusznie dziewczynka i byłaby rzeczywiście wróciła do opiekunki, gdyby nie zauważył jej Ralf.

- Sylwia - zaczął do niej machać ręką - chodź tu do nas!

„Oby ziemia się pode mną rozstała” - pomyślała w panice Ala i chciała odwrócić uwagę bratanicy od Ralfa i Alana, ale było już za późno. Mała z głośnym piskiem pobiegła do chłopców, a wkrótce dołączyli do nich

Ula, Paweł i Karol. Dzieciaki przez chwilę żywo ze sobą rozprawiały, a po chwili Ralf przybiegł do Ali z pytaniem, czy Sylwia może z nimi zostać.

- Nie - odparła zdecydowanie Ala, takim tonem, że chłopiec spojrzał na nią zdumiony. - Sylwia jest pod opieką kogoś innego i bez zgody jej mamy nie możemy zabierać jej ze sobą.

- Ale... - próbował jeszcze Ralf.

- Powiedziałam - ucięła Ala stanowczo. - Zresztą musimy już wracać.

- Dopiero przyszliśmy...

- Kiedy nauczyłeś się tak dyskutować?

Chłopiec zaprzestał walki i ze spuszczoną głową odszedł w kierunku pozostałych dzieci.

- Surowa z ciebie mamuśka - skwitowała całe zajście Basia.

- Dajże spokój... - Ala nagle poczuła wyrzuty sumienia.

Nie chciała psuć radości dzieciom. Nie im. Nagle dotarło do niej, czego jest świadkiem. Patrzyła na dzieci Roberta, które przez krótką chwilę bawiły się razem. Nie mogła w to uwierzyć, że marzenie jej wiarołomnego brata stało się rzeczywistością. Nie on jednak na to patrzył, tylko jego żona, niczego zresztą nieświadoma.

- Widzę, że jesteś ciotką niemal połowy tego miasta - żartowała dalej Basia.

Ala nie odpowiadała, tylko patrzyła, jak do grupki dzieci zbliża się jakaś kobieta i woła Sylwię. Była to z pewnością pani Seiger. Z pewnym ociąganiem Sylwia podążyła za opiekunką, nauczona była przecież posłuszeństwa.

- Dobrze wychowana dziewczynka - skwitowała Barbara. - Mojej Urszulki nikt by tak łatwo nie przekonał, że powinna wypełnić polecenie osoby dorosłej. To znaczy prawie nikt. Moja matka z pewnością by to wyegzekwowała. Naprawdę chcesz już wracać? Przyznam, że podoba mi się to miejsce.

- Możemy jeszcze zostać - stwierdziła po chwili Ala, zauważywszy z ulgą, że pani Seiger i wszystkie dziewczynki znajdujące się pod jej opieką opuszczają właśnie park.

Nie wyjaśniła bratowej, dlaczego tak nagle zmieniła zdanie. Wciąż jeszcze drżała z emocji i niepokoju. Dzięki Bogu, że Basia pojutrze wyjedzie. Na samą myśl, że Nicole z córką przez cały ten czas były obecne w Paryżu

i do podobnych spotkań mogło dojść już kilka razy, robiło jej się gorąco. A druga myśl była nie mniej szokująca. Przez cały ten czas Robert widywał się ze swoją kochanką, bo tak należało to bez ogródek nazwać. Ryzykował jak głupi sztubak, ryzykował znacznie bardziej. Przecież przywiózł tu ze sobą całą rodzinę!

„Obedrę go ze skóry, gdy tylko będzie ku temu okazja” - pomstowała w myślach z wściekłością. „A zatem za każdym razem, gdy wychodził do miasta sam, prawdopodobnie ją odwiedzał. Jaką oni mi wyznaczili rolę? Podczas ich schadzek miałam zabawiać jego żonę i dzieci? Za kogo on mnie ma? To niemal tak, jakbym była rajfurką. Ostatecznie już chyba lepiej nią być, niż znajdować się w takiej sytuacji jak ja”.

Nie wiedziała, co mówiła do niej Barbara. Nie miała pojęcia, o co pytały ją podbiegające co chwila dzieciaki. Potakiwała im głową, ale nieświadoma tego, o co im chodzi. Marzyła, by uciec od nich wszystkich, pójść na cmentarz i poskarżyć się Walterowi. Gdyby żył, byłby to ich wspólny problem. Chociaż Walter z pewnością zaradziłby wszystkiemu. Nie było go jednak, a ona miała już szczerze dość. Zapragnęła zostać naprawdę sama, trzymać się z daleka od kłopotów, tajemnic i romansów całej rodziny i całego świata. Dlaczego ludzie nie potrafią normalnie żyć?

Robert zjawił się w domu późnym popołudniem, w samą porę, by zdążyli wybrać się jeszcze do opery. Mieli to zaplanowane od samego początku wizyty Matzerów. Zabrali ze sobą jedynie jedenastoletniego Karolka, który przejawiał zainteresowanie muzyką, a nawet pewien talent do gry. Reszta dzieci obiecała się zająć Dominique, co spotkało się z entuzjazmem jej synka.

- Wszystko dobrze, szkoda tylko, że podobnie jak w Zaborowie, także i tu towarzyszami naszej córki są sami chłopcy - komentowała Barbara w drodze do Opery. Niestety nawet Paryż nie wpłynął na ogładę Urszuli. Obecność dobrze ułożonej dziewczynki mogłaby sporo zdziałać.

- Nie sądzę. - Robert uśmiechnął się do niej. - Ula nie lubi towarzystwa przedstawicielek swojej płci. Nie dalej jak wczoraj powtórzyła mi swoją zwykłą sentencję, że dziewczynki są strasznie głupie. Nie spotkała jeszcze takiej, która mogłaby być towarzyszką jej zabaw.

- Tak mogło być jeszcze wczoraj. - Żona skinęła głową. - Dziś jednak, krótko bo krótko, ale bawiła się całkiem zgodnie w Ogrodzie Luksemburskim z dużo młodszą od siebie dziewczynką. Muszę przyznać, że

uroczo to wyglądało, aż ciepło się robiło na sercu.

- Nie wierzę - powiedział Robert, który również wyjątkowo ciepło patrzył dziś na żonę.

- Ala zna tę dziewczynkę - odparła wesoło Basia, która także dostrzegła zainteresowanie męża swoją osobą. - Mała zwracała się do niej, nazywając ją ciocią.

Robert drgnął nieznacznie i spojrzał pytająco na siostrę. Nie patrzyła na niego, skinęła tylko głową.

- Dzieci wszystkich moich znajomych tak do mnie mówią - odparła wymijająco. - Lepiej się pospieszmy, aby nie utknąć w tłoku.

Po raz pierwszy nie mogła się skupić na ulubionym Czajkowskim. Miała też nadzieję, że po raz ostatni. Poza tym wszystkim miała zupełnie zepsuty wieczór i paskudne przecucie, że kłopoty dopiero się zaczynają, że powinna być bardziej stanowcza wobec brata, Nicole i nawet reszty rodziny. Powinna posłuchać Raula, który w swoim czasie właśnie to jej sugerował.

Raul... Był jedyną osobą, z którą mogła porozmawiać o tym, co najbardziej ją od jakiegoś czasu dręczyło. Zawsze cierpliwie słuchał i potrafił ustawić wszystko na właściwym miejscu. Nie miała jednak prawa dłużej dręczyć go sprawami swojej rodziny, skoro miał tyle własnych na głowie. Prowadził interesy, firma prosperowała coraz lepiej, coraz częściej był nieobecny. Czasami zastanawiała się, czy za tym nie stoi przypadkiem nowa kobieta. Wcale by jej to nie zdziwiło. Raczej brak takiej kobiety mógł zastanawiać i niepokoić. Nie miała prawa wtrącać się do jego życia, angażować go w swoje problemy i komplikować jego spraw. Gdyby jej przypuszczenia okazały się prawdą, powinna wręcz usunąć się w cień, tak jak on to zrobił, gdy związała się kiedyś z Walterem. Teraz dodatkowo sprawę komplikowały jego dzieci. O ile ona mogła bez trudu zaakceptować nową znajomość przyjaciela, wszak robiła to już tyle razy, o tyle chłopcy prawdopodobnie stawiliby opór. Właśnie ze względu na nią. Nie należało wplątywać się w życie Raula i jego synów bardziej, niż to się już stało.

Po wyjściu z opery spędzili resztę wieczoru na kolacji w okolicach Trocadero i tam pochłonęła ich w miarę neutralna rozmowa o planach związanych z przyszłością dzieci.

Robert po raz kolejny zasugerował, że dobrze by było wykształcić je właśnie za granicą.

- Są zdolne, a wyjście z naszego zaścianka poszerzy ich horyzonty.

- Z zaścianka? - Basia zmarszczyła brwi.

- Czy coś jest nie tak? - spytał.

- Nie lubię tego określenia - odparła nadspodziewanie śmiało. - Nie lubię, gdy ktoś tak mówi o naszym świeżo odzyskanym i uratowanym kraju. Sam narażałeś się za niego. Skąd ta pogarda?

- Nie chodzi mi o kraj, lecz o większość mieszkających tam ludzi. Obawiam się, że długo niewiele da się tam zrobić przy takim poziomie konfliktów światopoglądowych, skłóconej władzy ustawodawczej, niedoskonałym prawie i przestarzałym szkolnictwie.

- Dopiero zakończyliśmy śmiertelnie dla nas niebezpieczną wojnę. Nie możesz oczekiwać natychmiastowego rozkwitu gospodarczego. Wprowadzanie nowych ustaw też wymaga czasu. Okrzepnięcie naszego parlamentaryzmu wymaga czasu.

- Obawiam się, że nie mamy go zbyt wiele. Niemal na każdej granicy mamy za to wrogów. Nowa konstytucja sankcjonuje raczej słabość i patologię naszego ustroju, niż próbuje im zapobiec.

- A to dlaczego?

- Bo daje nienormalnie silną pozycję parlamentowi, który ze względu na wewnętrzne rozbieżności nie jest w stanie skutecznie rządzić.

- Mam wrażenie, jakbym słuchała Janka. Jest oburzony i na konstytucję, i na pokój ryski. Uważa, że granica, jaką mamy z Rosją, i porzucenie sprawy Ukrainy to zapowiedź przyszłej katastrofy. Na konstytucji nie zostawia zaś suchej nitki. Wiadomo - oddany żołnierz Piłsudskiego. Tyle że Jaś nie nazywa naszego państwa zaściankiem i jest całym sercem zaangażowany w służbę publiczną. Ty zaś...

- Ja zaś jestem już tym zmęczony.

Robert nagle jakby wycofał się z dyskusji i spojrzał na siedzącą dotąd w milczeniu i zaskoczoną siostrę.

Ala nie spodziewała się takiej wymiany poglądów między nimi, nie w tym miejscu. Nie spodziewała się też, że Basia podejmie taką dyskusję. Poza tym słowo „zaścianek” i jej nie przypadło do gustu.

- Tak, rozmawiamy w Polsce - mówił teraz Robert i jakby zupełnie ignorując żonę, patrzył tylko na Alę. - Tym rozprawom nie ma tam końca, przynajmniej w naszym domu, w domu moich i ojca znajomych. Jaś potrafi

gadać tylko o polityce. Rozumiesz? Świat idzie do przodu, a my tylko wojna, granice, konstytucja, polityka, Wilno, Lwów, Śląsk i cud nad Wisłą. Nie ma z kim, a przynajmniej ja nie mam z kim rozmawiać o najnowszych odkryciach naukowych, o nowych trendach w kulturze.

- W tym celu możesz przecież zawsze przyjechać do Paryża - odparowała natychmiast Basia.

- Tak. - Robert zwrócił się znowu w jej stronę i w jego oczach pojawił się nowy, osobliwy wyraz. - Tu rzeczywiście mogę odnaleźć to, co dla mnie ważne.

Basia chciała coś odpowiedzieć, ale nagle umilkła, speszona. Ali wciąż brakowało słów. Podobało jej się jednak, że przynajmniej od czasu do czasu Basia była w stanie podnieść rękawicę i toczyć bój, a nie tylko pokornie patrzeć w oczy uwielbianemu mężczyźnie. Tyle że dla Roberta jej wystąpienia nie miały już większego znaczenia.

- Nie jestem politykiem - odezwał się znowu, jakby coś tłumaczył gromadzie studentów - a w naszym kraju, przynajmniej wśród znajomych i rodziny, jestem zmuszony do bycia nim.

- Dlaczego tak bardzo nie podoba ci się Polska? - spytała, niespodziewanie i z żalem w głosie, jego żona.

- Czy wiesz, że kiedy u nas upadało, rozgniatane buciorami rosyjskimi, powstanie styczniowe, w Londynie powstało metro?

- Taką mieliśmy historię. Teraz mamy szansę stworzyć potężne, nowoczesne państwo i nadrobić tę zapaść między nami a Zachodem. Właśnie tacy zdolni ludzie jak ty są potrzebni w naszym kraju. W Polsce, rozumiesz? Nie tu, w Paryżu. Tu poradzą sobie bez ciebie.

Przez chwilę Ala zastanawiała się, czy bratowa miała na myśli tylko sprawy publiczne. W dalszym ciągu nie mogła wyjść z podziwu. Nie przypuszczała, że Basia ma tak zdeklarowane poglądy, że tak potrafi ich bronić. I że w ogóle interesuje ją coś więcej niż własne problemy uczuciowe, ewentualnie gospodarowanie w Zaborowie.

„Byłam wobec niej niesprawiedliwa” - pomyślała, głęboko zawstydzona. „Uważałam ją za przeciętną, średnio inteligentną kobietę. A tymczasem to ja ledwo orientuję się, o czym oni tu rozmawiają”.

- Nie mam już do tego cierpliwości - westchnął Robert. - Straciłem tyle najlepszych lat w moim życiu. Zabrały mi je obie wojny. Ja wiem, że

w twoich uszach brzmi to jak herezja, ale taka jest prawda. Zaniedbałem badania, jestem pod tym względem w tyle za znacznie młodszymi od siebie ludźmi. Ale oni mieszkają tu. Tu ludzie nie są skazywani na ogień wieczny za to, że nie pasjonuje ich służba publiczna dla ojczyzny. Tu chęć indywidualnego rozwoju jednostki, która nie pragnie poświęcić się interesom grupy, nie jest traktowana jak odszczepieństwo i bez mała grzech śmiertelny.

- Tu nawet kocha się inaczej - niespodziewanie dodała Basia i popatrzyła na niego z ironią.

Na moment Ala i Robert znieruchomieli. Po chwili jednak dotarło do nich, że cokolwiek Basia miała na myśli, nie wiązało się to z prawdą, o której tu, przy tym stole, wiedzieli tylko oni oboje. Prawdy tej Barbara nadal się nie domyślała. Ona też zresztą najwyraźniej chciała wycofać się z ostatnich swoich słów, nie wiedziała tylko, w jaki sposób. Wtedy odezwała się Ala, bo słowa brata poruszyły ją do głębi.

- To, o czym mówisz, czyli zgoda na nieskrępowany rozwój jednostki, zaistniało dopiero po Wielkiej Wojnie i jest reakcją na tamtą katastrofę. Ludzie pragną odzyskać życie i straconą młodość. Czy mam ci jednak przypomnieć, jakie nastroje panowały tu latem w czternastym roku i przez następne miesiące? Byłeś tu przecież, więc wiesz. Czy była jakakolwiek szansa dla zdrowego mężczyzny, by uniknąć pójścia na front? Ostracyzm w Atenach był niczym wobec sankcji społecznych, jakie serwowano tutaj w tamtym czasie.

- Tak było wtedy wszędzie - odparł Robert. - To było zrozumiałe, choć okrutne. Wtedy jednak była wojna światowa. Teraz jest pokój, ale w naszym kraju chętnie w dalszym ciągu wymachiwano by szabelką. U nas złym okiem patrzy się nawet na poezję, która nie wielbi ojczyzny.

- Nie przesadzaj - zachnęła się Basia. - Z tego, co wiem, te nowe grupy poetyckie całkiem dobrze sobie radzą.

- Obrywają jednak za swoje.

- Czasem słusznie. Bywają dość wulgarni.

Robert uśmiechnął się ironicznie na ostatnie spostrzeżenie żony. Od razu to dostrzegła i zrozumiała.

- Rozumiem, że jestem ciemną parafianką - rzekła z przekąsem, ale w jej oczach pojawił się ból i przestach. - Boisz się, aby nasze dzieci nie zrobiły się do mnie podobne.

Robert dotknął jej dłoni i natychmiast wyczuł jej reakcję na jego nawet tak oszczędnie wyrażoną bliskość. Widać było, jak momentalnie cała ikra i wojowniczość, które czyniły ją interesującą, ulatują bez śladu. Została tylko zakochana, zalękniona o przyszłość kobieta.

- Nie podoba mi się tylko, że w naszym kraju duchowieństwo ma tak duży wpływ na szkolnictwo - mówił łagodnie, jak do dziewczynki.

Ala nigdy nie lubiła tego tonu i zawsze reagowała gwałtownie, gdy Walter próbował tak do niej mówić. Widać była to wspólna cecha mężczyzn, chociaż nie przypominała jej sobie u Raula. Basia jednak patrzyła na Roberta z uwielbieniem i pokorą, niby uczennica na swego mistrza.

- Wolałbym, aby nasze dzieci kończyły dobre świeckie szkoły, jednak te, które istnieją w naszym kraju, mają jeszcze zbyt niski poziom. Rzeczywiście wyżej pod względem merytorycznym stoją niektóre szkoły wyznaniowe, jednak kształtują równocześnie postawy, które mogą zawęzić horyzonty uczniów. Szkoła powinna być laicka i jednocześnie na dobrym poziomie. A na takie w Polsce musimy jeszcze poczekać.

- Skąd wiesz, jakie właściwie są szkoły w Polsce? - Ala w końcu nie wytrzymała.

Była przekonana, że bratowa sama chciała zadać mu to pytanie, jednak schowała już swój pazur. Dotyk ręki męża odebrał jej gotowość i chęć do dalszej konfrontacji.

Robert spojrział na siostrę i dopiero teraz dostrzegł bezsilny gniew w jej oczach. Gniew tak ogromny, jakiego jeszcze u niej nie widział. O co jej chodziło? Wiedział, że nie godziła się na jego związek z Nicole, ale przecież tym razem zadbał o wszelkie pozory, aby nawet jej nie denerwować. Oburzało ją to, że oszukiwał Basię, że trzymał ją teraz za rękę? Jego to też oburzało i gardził sobą za to. Sam nienawidził podwójnego życia, jakie prowadził, i zamierzał w końcu to przerwać.

Wreszcie Barbara, chcąc zakończyć to widoczne napięcie, jakie nagle pojawiło się między mężem a jego siostrą, wyszeptala nieporadnie, że czas już wracać.

- Twoja przyjaciółka nie może w nieskończoność pilnować naszych dzieci - powiedziała. - Zrobiło się już bardzo późno.

Z Robertem rozmówiła się dopiero po wyjeździe Barbary i dzieci. Wcześniej zamieszanie w domu nie pozwalało na jakiekolwiek skupienie uwagi, a poza tym obawiała się, że ktoś mógłby całkiem przypadkowo usłyszeć, o czym rozmawiają. Byłoby zaś czego słuchać. Szykowała się na prawdziwą batalię i nie zamierzała bawić się w konwenanse ani udawać pełną wyrozumiałości siostrę.

- Nicole miała opuścić miasto na czas wizyty Barbary - zaatakowała od razu i bez uprzedzenia pierwszego wieczoru, gdy byli już sami przy kolacji.

Robert drgnął i na moment zagryzł wargi. Dopiero po dłuższej chwili odważył się spojrzeć siostrze prosto w oczy.

- Sama szukasz trosk i kłopotów nawet wtedy, gdy chcemy trzymać cię od tego z daleka.

- Sugerujesz, że was śledziłam? - Mimo woli nie mogła oprzeć się zdumieniu wobec jego toku rozumowania.

- Inaczej skąd byś wiedziała? Naturalnie mogłaś się też domyślić.

- Nie domyśliłam się jednak. Nie jestem aż taka domyślna. Niestety jestem za to naiwna jak dziecko. Albo jak Basia. Uwierzyłam, gdy dorosła kobieta zapewniła mnie, że wyjedzie do Awinionu, by uniknąć ewentualnej konfrontacji lub niezręcznego spotkania.

- Alu... - zaczął Robert, ale przerwała mu. Nie chciała słuchać.

- Nie mogliście powstrzymać się choćby przez kilka dni? Nie jesteście parą nastolatków, która nie potrafi logicznie myśleć! Chcesz wiedzieć, skąd wiem? Wasza córka mi powiedziała. A właściwie nie potrzebowała mówić. Wystarczy, że ją zobaczyłam w Ogrodzie Luksemburskim, gdzie przebywała pod opieką jakiejś znajomej Nicole. Ja natomiast byłam tam w towarzystwie twojej żony i dzieci.

- Barbara widziała Sylwię? - Robert nie mógł uwierzyć i do tego stopnia był wstrząśnięty, że nawet nie próbował niczego tłumaczyć.

- Widziała, owszem. Na szczęście, nie dowiedziała się, kim jest to dziecko. Cudem udało się tego uniknąć. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego, rozumiesz? Następnym razem...

- Powiedz, czy ta dziewczynka, o której mówiła wtedy Barbara... No

wiesz, ta dziewczynka, z którą bawiła się Ula... to właśnie była Sylwia? - Robert ujął delikatnie obie dłonie siostry, chociaż wyraźnie się temu opierała. W jego oczach pojawiło się wzruszenie.

Postanowiła nie dać mu się wzruszyć.

- Czy ty w ogóle słuchasz, co do ciebie mówię? - warknęła. - Mała mówiła o tobie, o twoim przyjeździe. Niewiele brakowało, a użyłaby twojego imienia.

Robert puścił jej rękę i zapatrzył się w pusty kominek.

- Nie mogę dłużej stawiać cię w takiej sytuacji - powiedział wreszcie. - Jutro wyprowadzę się do hotelu.

- Powinieneś jak najszybciej dołączyć do swojej rodziny w Polsce - wykrzyknęła ze złością. - Do reszty odebrało ci rozum? Nie widzisz, że to nie może się udać? Sam już wiesz, że powiedzenie prawdy Barbarze i porzucenie trójki dzieci nie jest takie łatwe. Jest właściwie niemożliwe. Musisz zakończyć romans z Nicole. Gdyby Walter żył, zrobiłby z tym porządek. Z tobą w pierwszym rządzie zrobiłby porządek. Nie da się z tego wyjść bez rannych.

- Dlaczego mają to być Nicole i Sylwia? - spytał z roztargnieniem Robert, ale tak, jakby znał odpowiedź i ta odpowiedź kompletnie go już nie interesowała.

W Alę w tym momencie wstąpiły furie całego świata.

- Nicole nie będzie się temu sprzeciwiać, jeśli ją zostawisz - mówiła gorączkowo. - Postępuje niegodziwie, ale nie pozbyła się do reszty sumienia. Sama mówiła, że jest w stanie zrozumieć i ustąpić. Sylwia niestety ucierpi bardziej, ale jest jeszcze mała, a czas jest łaskawy dla dzieci. Zresztą, gdy dorośnie, zrozumie. Może wtedy łatwiej zrozumieją to też pozostałe twoje dzieci. Już ci to tłumaczyłam, więc, na litość boską, nie każ mi się powtarzać. Wiem za to z całą pewnością, że dla Basi twoja decyzja o porzuceniu jej będzie tragedią nie do udźwignięcia. Jej dzieci nie wybaczą ci tego nigdy. Nie widzisz tego? Jakim prawem wygłaszasz te oskarżenia przeciwko katolickim szkołom w Polsce, do których Basia chce posłać dzieci?! To ona samotnie je wychowuje, ma prawo do takich decyzji! Ciebie nigdy z nią nie ma! A może przeszkadza ci w ogóle katolicki Kościół, który nazywa po imieniu takie układy jak twój i Nicole?! Jakim prawem chcesz zabrać dodatkowo swojej żonie jej dzieci i wbrew jej zdaniu umieszczać je

w szkole we Francji? Tylko dlatego, że zamierzasz tu uwić gniazdko ze swoją... kochanką?! Po co wygłaszasz te banialuki o zaletach szkół neutralnych światopoglądowo! Przecież nie o to naprawdę ci chodzi!

Robert rzucił serwetkę i wstał od stołu. Bez słowa skierował się do drzwi. W pierwszym odruchu chciała się zerwać i pobiec za nim, ale dotarło do niej, że tak z pewnością postąpiłaby Basia. Tak pewnie postąpi, gdy Robert ostatecznie powie jej, że odchodzi. Ta myśl zatrzymała Alę na miejscu. Ze ściśniętym sercem słuchała kroków brata na górze w gościnnym pokoju, gdzie zbierał swoje rzeczy. Potem zszedł na dół i bez pożegnania opuścił jej dom. Dopiero wtedy rozplakała się rozpaczliwie. Cisza i pustka były dziś trudne do wytrzymania, a przecież jeszcze wczoraj tak za nimi tęskniła.

Czy to możliwe, że jednak straciła ich troje: Roberta, Nicole i Sylwię? Naturalnie samotność jej nie groziła, w Paryżu jak za dawnych lat miała znajomych i przyjaciół. To raczej Robert i jego nowa rodzina będą zupełnie sami. Tak ich kochała i nie chciała tracić! Widziała też ich wzajemną miłość i to, że do siebie pasowali jak niewiele par na świecie. Rozumiała to i współczuła im. Jak zawsze.

Czuła jednak, wreszcie to czuła, że postąpiła słusznie. Tak postąpiłby Walter. Dłużej nie mogła udawać przed resztą rodziny i oszukiwać jej. To nie ona decydowała się przecież na podwójne życie w kłamstwie, w niemożności wyznania prawdy z obawy przed straszliwymi konsekwencjami. Nie mogła pomóc im żyć tak, jak by tego pragnęli. Jeśli chciała być wierna temu, w co zawsze wierzyła, musiała wreszcie to wszystko wykrzyczeć Robertowi w twarz.

Marzyła teraz o spokoju, a płacz nareszcie przyniósł jej ukojenie i sen.

- Będziesz jej potrzebna. Musisz być silna, kochanie.

Usiadła gwałtownie na łóżku. Nie mogła sobie przypomnieć, co jej się śniło dokładnie, ale wiedziała, kto się w tym śnie pojawił. A jednak słowa, które tak wyraźnie usłyszała, nie pochodziły ze snu. Może częściowo, lecz nie tylko. Nie wydawało jej się.

- Walterze, co się dzieje? Co mi chcesz powiedzieć?

Popatrzyła prosto w jego zdjęcie, tknięta nagłym przecuciem. Miała wrażenie, że coś nieubłaganie zbliża się do niej. To nie było jeszcze nic konkretnego, raczej jakaś zapowiedź. Jednak czego?

- Kochanie, co mam robić? - szepnęła, patrząc na niego.

Wiedziała, że jej odpowie, tylko będzie musiała zebrać myśli i ześrodkować je w głowie jakby w jeden punkt. Zawsze tak robiła, gdy chciała go usłyszeć, chociaż oczywiście nikomu o tym nie mówiła.

- Boję się. Co mam robić? - powtórzyła.

„Będziesz wiedziała...”

Tylko tyle? Drżała na całym ciele i położyła zdjęcie męża obok siebie na poduszce. Dawno już tego nie robiła, właściwie oduczyła ją tego cierpliwie Nicole.

Nicole... Była z nią przez całą wojnę, opiekowała się nią jak dzieckiem po śmierci Waltera. Bywało, że na siłę karmiła, zmuszała do wyjścia z domu, do nowej fryzury, do zdjęcia żałobnych, przedwojennych sukien, do kupna nowych, do powrotu do życia.

Tak jak ona sama pomogła kiedyś jej wydobyć się ze śmiertelnie niebezpiecznej depresji po śmierci Melanie. Były jak siostry. A przecież nie można odwrócić się od własnej siostry, nawet gdy ta postępuje karygodnie. Trzeba ją ratować, jak kiedyś.

„Będziesz jej potrzebna...”

Nie miała wątpliwości, że Walter chciał jej to przypomnieć. Jak mogła przypuszczać jeszcze kilka godzin temu, że on odwróciłby się od własnej siostry, że zostawiłby ją!

Oznaczało to jednak powrót niepokoju, rozterek, godzenie się na dwuznaczność.

„Dobrze” - pomyślała z rezygnacją. „Jeśli tak trzeba, to trudno”.

Szczęśliwie następnego dnia miała prywatne zajęcia z uczniami, a poza tym spotkanie w wydawnictwie muzycznym, gdzie miała zaopiniować publikację artykułu jakiegoś młodego dziennikarza piszącego na temat *Fantazji-impromptu* Chopina. Zajęte miała też następne dni, mimo to czekała, czy Nicole nie złoży jej jednak wizyty. Tak się nie stało, a w dodatku Ala nie miała zielonego pojęcia, czy Robert jeszcze przebywa w Paryżu, czy już wrócił do Polski.

Po dziesięciu dniach w końcu zdecydowała, że sama uda się do szwagierki i dowie się, jak się sprawy mają. Mimo wszystko tak długa cisza była zastanawiająca. Czyżby śmiertelnie obrażony Robert w aż tak złym świetle przekazał Nicole relację z rozmowy z siostrą? A może oboje do

reszty oszaleli albo coś złego im się stało? Może tak należało odczytać ostrzeżenie Waltera?

Drzwi mieszkania Nicole były zamknięte na głucho i nikt nie odpowiadał na pukanie. No cóż, Robert mógł już bez pożegnania wrócić do Polski, a Nicole być może miała jeszcze zajęcia w szkole.

Ala już miała odejść, gdy raptem otworzyły się drzwi mieszkania naprzeciwko i stanęła w nich starsza kobieta.

- Wszystko w porządku, proszę pani - oświadczyła sąsiadka Nicole, którą zresztą Ala trochę знаła. - Podlałam kwiaty, tak jak panna Perrier sobie życzyła.

- Dlaczego miała pani podlewać jej kwiaty? - Ala była zbyt zdumiona, aby powstrzymać się od tego pytania.

- Ależ to żaden kłopot. - Starsza kobieta uśmiechnęła się, najwyraźniej zadowolona, że ma z kim rozmawiać. - Sama jej to zaproponowałam.

Ala już nie drążyła dalej tej sprawy i chciała odejść, ale sąsiadka ją zatrzymała.

- A ma pani jakieś wieści od panny Perrier? - spytała z obawą w głosie.

- Nie widziałyśmy się trzy tygodnie - odparła w pierwszym odruchu Ala, zanim dotarło do niej, że mówi zbyt dużo tej skądinąd obcej osobie.

- No tak, ja rozumiem - mówiła dziwnie lekko kobieta, co Alę zastanawiało. - Myślałam tylko, że może pisała coś do pani. Przepraszam, że tak wypyuję, może zbyt nachalnie, ale trochę się niepokoję.

- Dlaczego miałyby do mnie pisać? - zapytała zaintrygowana nagle Ala.

- No tak. Nie chcę się wtrącać - wymamrotała tamta i z rezygnacją wycofała się do mieszkania.

Tym razem jednak to Ala ją zatrzymała.

- Czy nie wie pani, do której godziny moja szwagierka dziś pracuje? - spytała. - Czy dziecko jest u pani Seiger?

To były dziwne pytania w ustach osoby, która była jedyną rodziną dla Nicole. Ala o tym wiedziała, lecz zbyt wielki czuła niepokój, aby przejmować się reakcją sąsiadki.

- Z tego, co wiem, to już nie pracuje - odparła tamta, gdy przetrwała wyraźne zdumienie. - Panna Perrier wyjechała z tym swoim... przyjacielem i zabrała dziecko. Wyjechali gdzieś nad morze, do Normandii.

„Jak uroczo” - pomyślała zjadliwie Ala.

Czy przed tym ostrzegał ją Walter? Chciał, aby zapobiegła temu wyjazdowi? W takim razie spisała się gorzej niż źle, czekając z odwiedzinami u Nicole dziesięć dni od czasu tamtego snu czy widzenia, od czasu awantury z Robertem.

- Dziękuję pani - rzekła do starszej kobiety. - Nie wiedziałam o tym.

Nie potrafiła ukryć pewnej goryczy w głosie. Tamta ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Może nie chciała pani niepokoić - odparła. - Najbliżsi czasem wpadają w panikę. Wygląda jednak na to, że panna Perrier czuje się już dobrze. Ten pan, ten jej... przyjaciel wszystkim się zajął i zabrał ją do szpitala. A potem, gdy wyszła ze szpitala, od razu zabrał ją nad morze. Wyglądała już dużo lepiej.

Umilkła, widząc wyraz oczu Ali, która aż oparła się o ścianę.

- Szpital? - spytała cicho Ala.

- Nie chciała iść, chociaż już wcześniej ją namawialiśmy. Miesiąc temu zemdląła i przyszedł lekarz, ale ona nie chciała iść na żadne badania. Chociaż mówiliśmy jej, że nie jest zupełnie sama i ma z kim zostawić dziecko pod opieką. Potem jakby poweselała i już wszyscy wiedzieliśmy, że pewnie tamten... pan niedługo przyjedzie. Tak długo go nie było. Musiała bardzo tym się gryźć. Wiadomo, taka piękna, młoda, a żyje sama. - Starsza kobieta potrząsnęła głową, jakby nie mogła tego pojąć. - Przyjechał jakieś trzy tygodnie temu i prawie codziennie ją odwiedzał. Ale nie zostawał na noc - ściszyła konspiracyjnie głos.

Ala wyobrażała sobie, jaką gratką dla mieszkających w tej kamienicy ludzi było obserwowanie niekonwencjonalnego życia jej szwagierki. Było na co popatrzeć...

- Mówiła pani, że ten mężczyzna zabrał ją do szpitala - przynagliła.

- Przez pierwszy tydzień, może trochę ponad tydzień od jego przyjazdu, była radosna jak skowronek, i ta jej córeczka także. Widać gołym okiem, jak się kochają. Pani nie zna tego mężczyzny? - spytała nagle, patrząc na Alę uważnie. - Wie pani, że ktoś taki istnieje?

Ala nie odpowiedziała, więc starsza pani trochę się zmieszała. Pomyślała, że może była zbyt wścibska, zadając tak osobiste pytanie.

- Potem znowu poczuła się gorzej i ten pan przekonał ją, aby poszła na badania. Nie było jej kilka dni, a on w tym czasie tu zamieszkał i zajmował

się tą dziewczynką. Wygląda na to, że to jej ojciec. Szkoda, że z jakiegoś powodu nie mogą na stałe być razem. Tak pięknie wyglądają, jak kochające się małżeństwo. Lepiej niż niejedno małżeństwo.

Do Ali nagle dotarło, że musiała całkiem nieświadomie uśmiechnąć się do tej kobieciny, bo ta nagle jakby nabrała odwagi w wyrażaniu opinii.

- Czasem myślimy, że on może już jest żonaty - szepnęła konspiracyjnie.
- Bo niby dlaczego tak rzadko mogą być razem?

- Kiedy wyjechali nad morze? - spytała Ala, wpadając kobiecie w słowo.

- Zaraz jak wróciła ze szpitala. - Tamta zastanowiła się. - W szpitalu była chyba pięć dni. Ale wyglądała już całkiem dobrze. Zresztą ten jej ukochany chyba też jest lekarzem, bo tak fachowo wiedział, jak się za nią zabrać. Szkoda, że go pani jeszcze nie poznała. Taki przystojny...

- Dziękuję pani za te wiadomości - odezwała się w końcu Ala, gdy wreszcie zebrała myśli.

Uścisnęła rękę poczciwej sąsiadki, choć zdawała sobie sprawę, że tamtą musi bardzo nurtować fakt, dlaczego jedyna osoba z rodziny nic nie wie o intymnych sprawach z życia pięknej panny Perrier ani o jej wyjeździe. Dlaczego do siebie nie piszą?

„Wyjechali niedługo potem, gdy pokłóciłam się z Robertem” - myślała Ala, stojąc godzinę później przy grobie Waltera. „Gdy na niego krzyczałam, on pewnie myślał, by zabrać Nicole do szpitala. Może chciał mi to powiedzieć, ale nie zdążył, a potem zrezygnował. Może czekał, aż Basia wyjedzie, aby bez przeszkód zająć się Sylwią. Może chciał mnie wtedy prosić o pomoc w opiece nad dzieckiem. Może twoja siostra, Walterze, potrzebowała mnie wtedy. Dlatego dałeś mi znak. Niestety, już jest za późno. Już mnie nie potrzebują. Odwróciłam się wtedy od nich. Wprawdzie nie wiedziałam o jej chorobie, ale nie dałam mu możliwości, by mi to wytłumaczył. Potraktowałam ich wyłącznie jak lubieżną parę kochanków bez żadnych moralnych hamulców. A on nie tylko dlatego spędzał z nią wtedy tyle czasu”.

A to wyjście do opery? Z pewnością nie miał na nie ochoty. Poszedł, bo było to wcześniej ustalone i umówione. Był wtedy taki miły dla Basi, niemal czuły. Te gesty, te uśmiechy, to trzymanie za rękę. Dlaczego to robił? Już przecież wiedział, że kobieta, którą kochał, potrzebowała pomocy szpitalnej. A potem ta zdumiewająca dyskusja przy kolacji na temat polskiej

mentalności i polskiej szkoły. O co mu wtedy chodziło?

Ala westchnęła. Być może nigdy się już nie dowie. Powinna była zaraz tej samej nocy, gdy usłyszała Waltera, nieważne – we śnie czy w rzeczywistości – pobiec do mieszkania Nicole. Albo zrobić to następnego dnia.

„Prosiłeś mnie o to, kochany, a ja czekałam dumnie i hardo całe dziesięć dni. Czekałam, aż oni odezwą się pierwsi. Następnym razem posłucham cię od razu, tylko proszę, nie odchodź i nie rezygnuj z mówienia do mnie. Nigdy już nie będę czekała. Zawsze odezwę się pierwsza, gdy jeszcze raz przydarzy mi się jakikolwiek konflikt z kimś bliskim. Przecież potem może już być... za późno”.

„Będziesz wiedziała, co robić” – właśnie tak jej wtedy powiedział.

Niestety nie wiedziała. Ani wtedy, ani teraz.

Następne dni dłużyły się w nieskończoność i gdyby nie lekcje muzyki, jakich udzielała coraz więcej, oszalałaby chyba z niepokoju. Nawet synowie Raula przychodzili rzadziej niż zwykle, bo mieli jakieś dodatkowe zajęcia w szkole. Nie mówiąc już o samym Raulu, który ostatnio pracował od rana do wieczora, a kiedy nie pracował, zabierał swoje dzieci w ich wolne dni na wyprawy za miasto. Z przyjaciółek i znajomych tylko Dominique знаła prawdę o Nicole, jej chorobie, wyjeździe, romansie i było to zaiste pocieszające, że jeszcze ktoś podzielał jej niepokój. Poza tym wszystkim było jeszcze coś – niepokój rodziny z Polski o przedłużającą się osobliwie nieobecność Roberta.

Wiesz może, co się z nim dzieje? – pytał listownie ojciec. Wybacz, Drogie Dziecko, że zawracam Ci tym głowę, ale sam już nie wiem, co mam robić. Co mówić ludziom? Jakich informacji udzielać jego pacjentom? Wszyscy pytają o jego powrót, a on nawet nie odpowiada na moje listy. Jeśli stracę cierpliwość, to każę zamknąć nasz gabinet. Powiedz mu to, jeśli go spotkasz. Ja mogę obyć się bez dodatkowej praktyki. W zupełności wystarczają mi zajęcia na uczelni i praca w szpitalu. Nie będę dodatkowo pracował z jego pacjentami w prywatnym gabinecie. Powtórz mu to, jeśli będziesz miała okazję. Nigdy bym nie przypuszczał, że ten z moich synów okaże się tak nieodpowiedzialny.

Robert wyjechał do Normandii - odpisała wreszcie bez ogródek, bo nie znalazła żadnego innego wytłumaczenia, które brzmiałoby wiarygodnie. Nie wiem dokładnie, gdzie przebywa, to znaczy nie znam jego adresu. Nie pisze do mnie, nie wiem, kiedy zamierza stamtąd wrócić. Zupełnie nie znam jego planów.

Inna seria listów przychodziła od Janka, który strasznie pomstował na brata. Zadawał jej jednak pytania wprost.

Jestem pewien, że w grę wchodzi inna kobieta. Inaczej nie potrafię sobie tego wytłumaczyć. Kiedy tylko go spotkam, o ile to w ogóle nastąpi, przysięgam, że rozmówię się z nim. Co o tym myślisz? Jesteś tam, na miejscu, może coś wiesz? Baśka niczego nie podejrzewa albo też nie dopuszcza do siebie takiej możliwości. Zresztą unika rozmów na ten temat. Daje nam wszystkim do zrozumienia, żebyśmy zostawili ją w spokoju i poszli do wszystkich diabłów. Zaborów trzęsie się od plotek, nie tylko zresztą Zaborów. Od zakończenia wojny nasz brat był tam bowiem bardzo sporadycznym bywalcem. Mówię Ci, Siostró, tak między nami, że szkoda takiej kobiety jak Baśka dla takiego durnia. Już chyba z Olafa Lityńskiego miałyby więcej pożytku. Szkoda też dzieciaków dla takiego ojca, którego właściwie nigdy z nimi nie ma.

Po dawnemu sięgnęła po kieliszek wina, aby się uspokoić. Nie robiła tego od pamiętnych zaręczyn z Walterem i teraz zabrakło go, aby ją powstrzymać. Jak jednak inaczej mogła wziąć papier i pisać?

Nie mam pojęcia, Janku, gdzie teraz jest nasz brat. Wiem tyle, że nad morzem, w Normandii. Nie wiem, co dalej zamierza ani czy jeszcze zechce zobaczyć się ze mną. Nie napisał do mnie ani słowa przez cały ten czas.

Tylko Basia nie pisała i o nic nie pytała. Ale jednak wolała nie zadawać sobie własnych pytań na ten temat. Czy to możliwe, by bratowa naprawdę nie domyślała się niczego? A może, jak przypuszczał Janek, rzeczywiście nie chciała o tym myśleć?

„A ja, czy domyśliłabym się na jej miejscu?” - zastanowiła się kiedyś Ala. „Czy można łatwo odczytać sygnały, jeśli kocha się kogoś tak bardzo?”

Zaraz jednak porzuciła tę myśl, bo zżerał ją wręcz paniczny niepokój o Roberta, a zwłaszcza o Nicole.

Co jej właściwie dolegało? Możliwość ciąży należało odrzucić z powodów czysto praktycznych. W momencie, gdy Nicole zaczęła chorować i po raz pierwszy zasłabła, nie widziała się z Robertem półtora roku. Zatem co? Zemdląca miesiąc temu, jak twierdziła sąsiadka. To było jeszcze przed przyjazdem Matzerów do Paryża. Dlaczego więc nic nie powiedziała Ali?

Przecież w Paryżu były sobie najbliższe. No cóż, widocznie nie były.

Tego wieczoru natrętne myśli i niepokój nie dawały jej wytchnienia. Wyjęła więc butelkę wina, lecz nie zamierzała się upić, aby kompletnie przestać myśleć. Chciała tylko wprawić się w ten przyjemny stan, który trochę pamiętała z dawnych lat, gdy wszystkie problemy stawały się mniejsze niż w rzeczywistości, gdy można było na nie spojrzeć z dystansu, z boku. Pomyśleć: to nie moje kłopoty, ale czyjeś, i wcale nie są takie straszne. Nie robiła tego od zaręczyn z Walterem. Ani po jego śmierci. Nawet nie czuła takiej pokusy. Cierpienie i żalobę chciała przeżywać autentycznie, świadomie i bez znieczulenia. Teraz jednak chodziło o coś innego.

A potem wydarzyło się swoiste *déjà vu*. Wypiła dwa kieliszki i w głowie jej zaszumiało. Oczywiście wyszła już z wprawy, chociaż szczerze mówiąc nigdy nie umiała pić. Głowa zrobiła jej się niepokojąco ciężka, ale mimo to, a może właśnie dlatego, z jakąś złością nalała sobie trzeci kieliszek. Bardzo dobrze, skoro inaczej nie da się uciec od kłopotów i złych myśli, to zrobi to właśnie tak.

Przymknęła na chwilę oczy i po chwili zrozumiała, że nie jest już sama w pokoju.

- Nareszcie jesteś - szepnęła, nie otwierając oczu. - Musiałam jednak wprawić się w taki stan, żebyś w końcu przyszedł? Wtedy, przed laty pojawiłeś się wcześniej, wtedy wystarczył mi jeden kieliszek.

- Alice, co ty wyprawiasz? - usłyszała w odpowiedzi.

- Czekam na ciebie - odparła, nadal nie otwierając oczu. - Jest tak jak wtedy. Pamiętasz? Prawie tak jak wtedy.

- Jeśli chcesz się upić, zrób to chociaż z klasą, jak kiedyś. Trzeba

zaprosić ludzi i postawić dobry alkohol, a nie takie coś, w dodatku w samotności. Nie pij nigdy w samotności, Alice. To fatalny zwyczaj i źle się kończy.

Już wiedziała, że to nie Walter, chociaż mówił prawie to samo, co on - wtedy. Mimo to nie chciała jeszcze tracić resztek cudownej wizji, jeszcze nie otwierała oczu.

Raul usiadł tymczasem obok niej i po raz pierwszy od bardzo dawna dotknął jej twarzy, po to zresztą, by odgarnąć kosmyk włosów, który z pewnością wszedłby jej do oczu, gdyby je otworzyła.

- Jak tu wszedłeś? - spytała po chwili sennym głosem.

- Zwyczajnie. Drzwiami. Czy mam dodawać, że jak zwykle były otwarte?

- Właśnie dodałeś. Dziwne... od lat pamiętam, aby je zamykać na zasuwę.

- Alice... - Znowu jej dotknął, tyle że bardzo delikatnie, niemal niedostrzegalnie, jakby niechący - potrzebujesz pomocy.

Otworzyła wreszcie oczy i spojrzała na jego zatroskaną, smutną twarz.

- To nie to, o czym myślisz - powiedziała spokojnie. - Nie chodzi o Waltera.

- Przed chwilą mówiłaś jednak do niego.

- Przywołałam wspomnienia, dobre wspomnienia. Miałam kłopot rodziny, kiedyś ci o nim opowiem. Otóż miałam list, który bałam się przeczytać bez alkoholu. Walter przyszedł wtedy tak jak ty teraz i zabrał mi butelkę. A potem zaręczyliśmy się.

Roześmiała się, ale umilkła pod wpływem spojrzenia Raula. Patrzył na nią z powagą. Zbyt często ostatnio był taki poważny, zbyt rzadko żartował. Brakowało jej tamtego wesołego kompana. Przyszło jej teraz do głowy, że może i jemu brakowało jej dawnej wesołości.

- Lubię myśleć o Walterze - dodała cicho - i nie potrzebuję do tego alkoholu. Nie martw się, z powodu Waltera nie upiłabym się nigdy, nie sięgnęłabym nawet po jeden kieliszek.

- Musisz wreszcie pozwolić mu odejść. Znasz moje zdanie.

Nie podjęła tego tematu. Oczywiście, że od dawna znała jego zdanie. I zdanie innych. Jednak miała na ten temat inny pogląd. Zresztą nie to było teraz najważniejsze.

- Moja rodzina ma kłopoty - oznajmiła. - Nic nowego, wciąż ta sama,

znana ci sprawa. Jednak ewoluje w złym kierunku.

- I tak sobie z tym radzisz? - zapytał, wskazując na butelkę.

- Daj spokój, nie jestem pijaczką - oburzyła się i dotarło do niej, że do Waltera wypowiedziała wtedy te same słowa.

- Oczywiście, że nie jesteś. Pogadaj jednak z rodzinką i powiedz, aby każdy zajął się własnymi sprawami. Już ci to kiedyś tłumaczyłem. Ludzie nie mogą sobie nawzajem wchodzić na głowę.

- Dobrze ci mówić, bo nie masz rodziny! - sarknęła i zrobiło jej się niezręcznie z tego powodu.

Raul jednak roześmiał się, po raz pierwszy, odkąd wszedł dziś do jej domu.

- Gdy na ciebie patrzę, to nie żałuję - odparł. - A poza tym mam dzieci, więc już nie jestem takim kompletnym biedakiem bez rodziny.

- Zrobię kawę. - Ala podźwignęła się z kanapy.

- To chyba nie najlepszy pomysł. Poczujesz się słabo i...

- Nie kracz - przerwała dobrotliwie i w miarę pewnym krokiem dotarła do kuchni. Ponieważ jednak ręce trochę jej drżały, Raul pomógł jej przygotować naprawdę doskonałą kawę, po czym stwierdzili, że usiądą przy stole w kuchni.

- Powiem ci, o co chodzi, bo nie chcę mieć w twoich oczach zepsutej opinii - rzekła pozornie lekko, a potem spoważniała. - Czy ty zauważyłeś, że coś niepokojącego dzieje się z Nicole?

Raul spojrział na nią uważnie, ale i z lekkim zdumieniem. Widać było, że nic nie zauważył, a słowa przyjaciółki wyraźnie go zaskoczyły.

- Ma jakieś kłopoty ze zdrowiem - wyjaśniła wobec tego. - Przynajmniej raz straciła przytomność. Nikt z naszych przyjaciół o niczym nie wiedział, tylko jej sąsiedzi.

- A Robert? - spytał Raul.

- On to zauważył. - Ala skinęła głową. - Jest przecież lekarzem. Zabrał ją do szpitala na jakieś badania, a potem wyjechali z Sylwią do Normandii. Nic mi nie powiedzieli. Wiem o tym od sąsiadki Nicole. Rodzina w Polsce oczywiście nie ma o niczym pojęcia, ale przecież gubią się w domysłach, gdzie podziewa się Robert, dostają niemal szału. Tak naprawdę nie wiemy nawet, czy on żyje jeszcze. Zасыpują mnie pytaniami, czy coś wiem. Ja oczywiście nie powiem im, że Robert nie zniknął sam, ale z Nicole i ich

dzieckiem.

- Napisz do Roberta. Niech weźmie na siebie te wszystkie wyjaśnienia.

- Nie słuchasz mnie? Jak mam do niego napisać, skoro nie znam adresu? O Normandii powiedziała mi sąsiadka, ale nie wspominała o dokładnym adresie. Nawet jeśli go zna, to trochę wstyd pytać. Nie uważasz?

- Nie zostawił ci adresu? To coś nowego.

- Nawrzeszczałam na niego. Wyszedł bez słowa - przyznała Ala niechętnie, a Raul nagle ponownie się roześmiał.

- To mi się podoba. Nareszcie. Teraz nawrzeszcz na resztę rodziny i niech ci dadzą spokój.

- Dlaczego taki jesteś? Nie mogę tego zrobić. Nicole potrzebuje mojej pomocy.

- Widocznie nie, skoro bez słowa cię zostawiła.

- Jest chora, a ja obiecałam... - Naraz urwała.

Nie mogła powiedzieć Raulowi o śnie lub wizji, którą przeżyła po kłótni z Robertem. Nie mogła powiedzieć Raulowi, że to Walter prosił ją o opiekę nad Nicole. Znała zdanie przyjaciela w tej sprawie. Czyli w zasadzie nic mu nie mogła powiedzieć.

- Nicole w końcu odezwie się do ciebie - odparł po chwili uspokajająco.

- Do tego czasu nic nie możesz zrobić. Nie dręcz się i nie marnuj zdrowia. Rodzinie zaś napisz tyle, ile możesz, nie zdradzając tego, co powinien im wyjaśnić twój brat.

- Tak właśnie zrobiłam - powiedziała i skinęła głową.

- Wobec tego zrobiłaś wszystko, co trzeba. - Raul ponownie spojrzał na nią z z troskaniem. - Nie wiem, co dolega twojej szwagierce, ale widzę, że i z tobą nie jest dobrze. Jesteś błada jak nieboszczyk.

- Jesteś romantyczny jak zawsze. - Ala próbowała mówić niefrasobliwie.

- Nic mi nie jest, to tylko nerwy. Poza tym od niepamiętnych czasów nie piłam alkoholu w ilościach większych niż jeden kieliszek. Dzisiaj też nie uraczyłam się dużą ilością, raptem trzy kieliszki, ale...

- Kiedy ostatnio coś jadłaś? - spytał dobrotliwie, przybierając ojcowski ton.

Zastanowiła się nad odpowiedzią i poczuła mdłości.

- Nie pamiętam - przyznała niechętnie.

- Coraz lepiej. Pijesz na pusty żołądek, a potem, dla dodania sobie

animuszu, raczysz się kawą. To cud, że w ogóle jesteś w stanie usiedzieć przy tym stole.

- Trochę mi niedobrze, przyznaję.

- Musisz się położyć, odstaw tę filiżankę. Najpierw jednak przygotuję ci cokolwiek do jedzenia.

- Lepiej nie - mruknęła. - Chyba nie dam rady nic przełknąć.

- Dostyć już zajmowania się sprawami innych. W końcu ja napiszę do twojego ojca albo do Jeana, w jakim jesteś stanie i ile cię to wszystko kosztuje. Dadzą ci może spokój.

- Obiecuj, że tego nie zrobisz. W przeciwnym razie zmuszą mnie do przyjazdu do Polski.

- Jesteś dorosła i samodzielna. Do niczego cię nie zmuszą. Alice, zacznij w końcu żyć własnym życiem!

Umilkł i przez pewien czas żadne nie przerwało ciszy, jaka zapanowała między nimi. Jedno nie mogło przekonać drugiego i oboje o tym wiedzieli. Wiedzieli też, że już od jakiegoś czasu nie mówią sobie wszystkiego, że narosły między nimi niedopowiedzenia, że będzie tego coraz więcej. Do ich przyjaźni wdarły się rzeczy nowe, których dawniej między nimi nie było. Inne mieli wartości i priorytety, rzadziej się widywali.

Raul w końcu podniósł się z wyrazem rezygnacji na twarzy. Wiedział, że przyjaciółka nie okaże stanowczości wobec rodziny i nie pozwoli odejść zmarłym tam, gdzie ich miejsce.

- Pójdę już, Alice - powiedział cicho. - Zebrało mi się dziś na rozmowę z tobą, ale trafiłem na marną porę. Odpocznij, przyjaciółeczko, i daj znać, jeśli będę ci potrzebny.

- Poczekaj. - Zareagowała natychmiast. - Jesteś mi potrzebny.

Raul spojrzał na nią pytająco z pewną, jak jej się wydało, nadzieją. Na ten widok ścisnęło się jej serce.

- Może przygotuj mi coś do jedzenia. To znaczy, poproszę - powiedziała i uśmiechnęła się. - Kiedyś robiłeś dobre kanapki.

Chyba nie na takie słowa liczył, ale wreszcie i on się uśmiechnął.

- Twoje pierwsze rozsądne słowa, odkąd tu przyszedłem - skwitował i zaraz zabrał się za spełnianie jej życzenia.

- Masz tu swoją kanapkę. - Podał jej talerzyk. - Wprawdzie z trudem znalazłem jakiegokolwiek składniki na nią, ale cóż... To mnie akurat nie

zdziwiło. Jak tak dalej pójdzie, zatrudnię ci kolejną gospodynię, podobną do pani Maurion. Pamiętasz panią Maurion?

Czy pamiętała panią Maurion?

- Niech cię ręka boska broni! - prawie wykrzyknęła.

- No, tak myślałem. Od tej pory będę miał dobry argument, jeśli zobaczę, że działasz wbrew własnemu zdrowiu. A teraz idź i połóż się do łóżka - zakomenderował.

- Nie wiem, czy tam dojdę. Chyba będziesz musiał i w tym mi dziś pomóc - odparła wesoło i nagle dotarło do niej, co powiedziała.

Zastygła z kanapką w ustach i poczuła silny rumieniec na twarzy.

- Uważaj na to, co mówisz. - Raul roześmiał się na widok jej panicznego zmieszania. - Powiesz to przypadkowo jakiemuś innemu facetowi i gotów potraktować to całkiem poważnie.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Jeden przynajmniej był z tego pożytek - całkowicie wytrzeźwiała i minęły jej wszelkie dolegliwości. Może by zresztą znalazła w końcu jakieś w miarę odpowiednie do sytuacji słowa, ale w tym momencie usłyszeli pukanie do drzwi.

- O tej porze? - zdumiała się Ala.

- Poczekaj, otworzę - ofiarował się Raul i wyszedł do holu.

Po chwili wrócił w towarzystwie Roberta. Ten, krótko, ale jednak zastanawiał się nad obecnością przyjaciela swojej siostry w jej domu o tak późnej porze, lecz w końcu zdecydował się dać temu spokój. Może nawet był z tego zadowolony?

- Robert, dzięki Bogu! - wykrzyknęła Ala, zrywając się od stołu.

- Pójdę już i zostawię was samych - oznajmił Raul, ale tym razem to Robert go zatrzymał.

- Nie, zostań. Nie ma tu nic do ukrycia, a twoja świadomość rzeczy i ewentualna pomoc mogą się przydać. To raczej ja przepraszam, że wam przeszkadzam.

- Co masz na myśli? W niczym nam nie przeszkadzasz - zaprzeczyła Ala, bo dotarło do niej, co miał na myśli jej brat.

- Nie zwracałbym wam głowy o tej porze - kontynuował Robert, jakby w ogóle nie słyszał jej słów - jednak jutro wracam do Polski i musiałem się z tobą, siostrze, rozmówić. Raul w niczym mi nie przeszkadza. Powiem, co mam do powiedzenia, i zostawiam was samych.

- Przestań - przerwała, czując, że znowu ogarnia ją fala wściekłości.

Czyżby chciał jej dać do zrozumienia, jaką była hipokrytką, atakując jego związek z Nicole, skoro sama najwyraźniej żyła ze swoim przyjacielem? Do stu piorunów! Nawet gdyby rzeczywiście tak było, to przecież ona i Raul byli wolni i nikogo nie skrzywdzili! Czy jej głupi brat nie widział tej różnicy?

Powstrzymała się jednak przed wygłoszeniem tej tyrady i wywołaniem nowej kłótni. Ostatecznie umierała z niepokoju o wiarołomnego męża Basi i niewiele brakowało, a może nawet upiłaby się dziś z jego powodu. Gdyby nie niespodziewana wizyta Raula, być może Robert nie miałby teraz żadnej możliwości, aby z nią porozmawiać. A musiało to być coś ważnego, co do tego nie było wątpliwości.

- Siadaj i mów, o co chodzi - zakomenderowała krótko. - Chcesz kawy?

Skinął głową z roztargnieniem i spełnił jej żądanie.

- Umieraliśmy wszyscy ze strachu o ciebie. - Przygotowując kawę, nie mogła powstrzymać się od gderliwych uwag. - Nie muszę chyba dodawać, że ja dodatkowo umierałam ze strachu o Nicole i Sylwię.

Robert od razu zrozumiał, że Raul jest o wszystkim dobrze poinformowany. Nie mogło go to jednak oburzać i w istocie nie oburzało. Nawet sprawiło mu pewną ulgę. To dobrze, obojdzie się bez dodatkowych wyjaśnień albo kluczenia. Można od razu przejść do rzeczy.

- Wiem, siostrzo, że masz mnie za ostatniego plugawca, drania i rozpustnika, a Nicole uważasz za moją dziwkę, mimo to nie mam wyjścia i muszę prosić cię o pomoc. Tak się złożyło, że tu, w Paryżu, jesteś moją najbliższą rodziną. Jedyłą rodziną.

Nie przerywała mu i nawet powieka jej nie drgnęła, gdy usłyszała pierwsze słowa. Jeśli liczył na to, że ona teraz z płaczem zerwie się i zacznie go zapewniać, że wcale tak nie ocenia jego romansu, to się przeliczył. Chciała go przytulić i powiedzieć coś dobrego, ale skoro zaczął w taki sposób... W dodatku ten chłodny, urzędowy niemal ton!

- Zostawcie Alice w spokoju - odezwał się niespodziewanie Raul. - Chcecie, aby wykończyła się przez wasze sprawy i awantury? Jesteś lekarzem, spójrz, jak ona wygląda...

- Raul... nie... - zaprotestowała słabo.

Robert spojrzał zaskoczony na Raula, a potem przyjrzał się siostrze. Zmienił jednak ton, a nawet wyraz twarzy. Cała sztywność w jego objęciu

zniknęła bez śladu. Ala przez moment obawiała się, że brat ponownie, jak wtedy, wstanie bez słowa i wyjdzie, tym razem jednak tak się nie stało.

- Wiem - powiedział cicho. - Niepotrzebnie o wszystkim się dowiedziałas już tak dawno. To był błąd, potrzebowałem jednak wówczas rozmowy z tobą. Byłaś, przynajmniej tak mi się wydawało, najmniej staroświecką w poglądach osobą z rodziny.

- Staroświecką? - powtórzyła z ironią.

Staroświeckość, zaściankowość. Zorientowała się już jakiś czas temu, jakich słów używał jej wykształcony brat na określanie tradycyjnych obyczajów, którym ludzie w jego ojczystym kraju byli w większości wierni. No cóż, on był widać taki europejski. Nawet dzieci chciał kształcić na Zachodzie, z dala od polskiego ciemnogrodu. Z trudem hamowała wzbierającą w niej falę irytacji.

Robert natychmiast to zrozumiał.

- Użyłem niewłaściwego słowa - zaczął tłumaczyć. - Chodziło mi...

- Mów, co się dzieje - przerwała mu. - Jak się czuje Nicole?

Był wyraźnie zaskoczony jej wiedzą i nie zdołał tego zaskoczenia ukryć.

- Jej sąsiadka mi powiedziała - wyjaśniła Ala, uprzedzając jego pytanie.

- Nie wiedziałam, co się z wami dzieje, więc przyszedłam pod mieszkanie Nicole. Inaczej nie miałabym o niczym pojęcia, bo wy nie zostawiliście żadnej wiadomości. Gdyby nie ta sąsiadka, prawdopodobnie zgłosiłabym w końcu na policji fakt waszego zniknięcia.

- Chciałem powiedzieć ci wcześniej od wszystkich, ale po szarży, jaką przypuściłaś na mnie i Nicole tamtego wieczoru, uznałem, że to nie ma sensu.

- No jasne, rozumiem. Dlatego zostałam ukarana niepewnością, paniką i koszmarnymi nerwami.

- Wyglądało na to, że nie chcesz mieć z nami nic wspólnego. Dałaś dosadnie do zrozumienia, co o nas myślisz.

- I co z tego? Miałam was pochwalić? Skończmy z tą dyskusją, bo nie przekonasz mnie ani ja ciebie. Powiedz, co się dzieje z Nicole. Na litość boską! Czy siostra WALTERA jest poważnie chora?! - znowu krzyknęła i poczuła, że Raul kładzie uspokajającym gestem rękę na jej ramieniu.

Robert to oczywiście zauważył i zapewne ugruntowało go to w jego przypuszczeniach co do relacji między nimi.

- Jest bardzo chora - powiedział cicho. - Nie wie jednak, jak bardzo. Lepiej, żeby nie wiedziała. Wyniki badań potwierdziły to jednoznacznie. Ma zmiany nowotworowe w prawym płucu. Podjęto wprawdzie próbę usunięcia guza, ale nic z tego nie wyszło. Niedobre umiejscowienie i zbyt duże ryzyko. Mogłoby skończyć się rychłą śmiercią zaraz po zabiegu albo w bardzo niedługim czasie. Nicole jest przekonana, że przebieg operacji był prawidłowy i już jest po wszystkim. Niech tak myśli, przynajmniej przez jakiś czas.

- Czy ona... - Ala usłyszała swój zmieniony głos, lecz i tak nie była w stanie dokończyć.

- Nie ma szans na wyleczenie - odparł Robert nienaturalnie spokojnym tonem. - Na dzień dzisiejszy medycyna jest bezradna. Ponieważ jednak skalpel nie dotknął raka i go nie rozdrażnił, używając języka potocznego, Nicole ma szansę jeszcze trochę z nami pobyt.

- Co ty do nas mówisz? Ja nic nie rozumiem. - Alę ogarnęła raptowna panika.

Raul położył obie ręce na jej ramionach i nie zwracając już uwagi na Roberta, przygarnął ją do siebie z całej siły.

- Walterze, powiedz, że to nieprawda - wykrztusiła i rozplakała się nagle, a wtedy poczuła, że obejmujące ją ramiona rozluźniają swój uścisk.

Robert i Raul wymienili między sobą spojrzenia i po chwili usłyszała łagodny, ale stanowczy głos Roberta:

- Nie, siostrze, teraz nie możesz być słaba. Teraz musisz być silna. Musisz jej pomóc.

„Będziesz jej potrzebna. Musisz być silna, kochanie”.

„Tak, Walterze. Teraz już rozumiem, co chciałeś mi powiedzieć. Nie obawiaj się, nie zostawię twojej siostry, mojej siostry”.

- Zrobię, co tylko zdołam. Zrobię nawet więcej - powiedziała na głos, wycierając oczy.

- Ona nie może pracować, musi dużo wypoczywać i brać różne leki, które jej nie wyleczą, ale sprawią, że przez jakiś czas będzie mogła jakoś funkcjonować. Jeśli będzie miała szczęście i będzie uważać, może opóźni to...

Teraz i jemu głos się na chwilę załamał. Maskę spokoju i opanowania opadła i odsłoniła rozpacz na jego twarzy.

Ala już nie czekała, tylko zerwała się, okrążyła stół i objęła go tak silnie i z taką miłością, jak jeszcze nikogo, poza Walterem, nie obejmowała.

- Uratujemy ją - szeptała. - Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze. Nie damy jej odejść.

Robert delikatnie dotknął jej rozplamionej, zapłakanej twarzy i pokręcił głową.

- Nie możemy jej uratować - powiedział cicho, jak do dziecka, które trzeba łagodnie wyprowadzić z błędu. - Możemy jednak sprawić, aby była szczęśliwa, na ile to możliwe, aby była spokojna i czuła się bezpiecznie. Więcej nie da się już zrobić, ale to i tak dużo.

Nigdy nie lubiła, gdy mężczyźni mówili do niej takim tonem, gdy mówili tak również do innych kobiet. Oburzało ją i zdumiewało, że te inne kobiety na to pozwalały, że zdawały się z tego nawet zadowolone. Teraz je rozumiała. Sposób, w jaki mówił do niej jej starszy brat, przynosił jej ukojenie, przywracał złudzenie spokoju, w pewien sposób pocieszał. Już nigdy nie nazwie tego sposobu obraźliwym.

- Ile zostało jej czasu? - spytał Raul i słychać było, że i on był poruszony.

- W najlepszym układzie rok. Trudno jednak coś wyrokować na sto procent.

- Nie mogę w to uwierzyć - odezwała się znowu Ala. - To nie może się dziać naprawdę.

Nikt jej nie odpowiedział. Zegar wybijał kolejne nocne godziny, a oni patrzyli na siebie, próbowali mówić i ustalać, co dalej. Mieli zbyt mało czasu, aby popełnić błąd.

- Czasami kasłała - przypominała sobie teraz Ala. - Mówiła jednak, że to jakieś niedoleczone grypy, przeziębienia. Nie zauważyłam, aby chudła, mizerniała. No, może trochę...

- Mówiłeś, że jedziesz teraz do Polski - przypomniał Raul.

- Tak, zrobię to od razu, aby możliwie najszybciej wrócić. Zostawiam Nicole z wami na jakieś trzy tygodnie, a potem wracam i... będę... cały czas.

Spojrzał na siostrę, jakby oczekiwał jej reakcji na swoje słowa. Ala jednak nie komentowała. Patrzyła na niego rozgorączkowanym wzrokiem i pokiwała z aprobatą głową. Chciał ją za to wyściskać, wiedząc, że nie może liczyć nawet na tak milcząco wyrażoną aprobatę reszty rodziny.

- Muszę jechać teraz do Polski i uregulować swoje sprawy. - Robert

mówił spokojnie, rzeczowo, jakby wyjaśniał jakieś urzędnicze procedury. Nie zwiódło to jednak Ali i Raula.

- Sprzedaję gabinet mojemu koledze ze szpitala. Od dawna mu na tym zależało. Likwiduję moje osobiste lokaty bankowe. Otworzę rachunek dla Barbary i dzieci i będę im przekazywał pieniądze. Połowa zysków ze sprzedaży gabinetu też będzie przeznaczona dla Barbary. Resztę pieniędzy przeznaczę na tutejsze wydatki.

- Palisz za sobą wszystkie mosty w kraju? - powiedziała z wahaniem Ala, a zadanie tego pytania kosztowało ją sporo trudu. - Nie zamierzasz już nigdy tam wrócić?

Bała się, jak brat zareaguje na jej słowa. Mówiła przecież o tym, co będzie, gdy Nicole już...

Robert zrozumiał ją natychmiast, zresztą widać jej refleksja i jemu nie była obca.

- To zależy - mówił z widocznym wysiłkiem. - Może wrócę i wtedy zacznę tam od nowa budować swoją pozycję jako lekarz. Jednak to zależy...

- Od czego? - spytała, mimo wszystko zaintrygowana.

- Od wielu spraw i od kilku osób.

- Od Basi - dopowiedziała za niego.

Po raz kolejny nie mogła nadziwić się logice jego rozumowania. Czy naprawdę myślał, że Barbara, wiedząc już do tej pory o wszystkim, przyjmie go z powrotem z otwartymi ramionami? Że zrobi wszystko i zgodzi się na wszystko, byle go odzyskać? Tak niskie miał o niej mniemanie? A może tak wysokie?

- Wrócę do Warszawy pod jednym warunkiem. Przyjadę z moją córką i chcę mieć pewność, że wszyscy tam co najmniej zaakceptują jej obecność, że nie spotka jej tam żadne cierpienie ze strony mojej rodziny.

- Chcesz im jeszcze stawiać warunki? W dodatku takie? - Ala nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- To na razie nieważne - odparł szybko, jakby przestraszony, że już mówią o tym, co będzie, gdy Nicole...

Podszedł do szafki, gdzie stała karafka z wodą, i pospiesznie wypił łyk.

- Muszę wreszcie porozmawiać z Barbarą - powiedział po chwili. - Wszystko jej wyjaśnię.

- Ona nie zrozumie...

- Może tak, może nie. Tak naprawdę nie wiem, jaka ona jest w istocie. Jeśli nie zrozumie, że moje miejsce przez najbliższe miesiące może być tylko w Paryżu, jeśli to będzie dla niej za trudne, nie do zaakceptowania, to... trudno. Ja nie wyobrażam sobie, że nie będzie mnie przy Nicole. Nie ma takiej możliwości. Mogłem się ewentualnie zawahać, gdy była zdrowa, ale nie teraz.

- Będziemy cały czas na miejscu, chociaż o to jedno możesz być spokojny - zapewnił go Raul.

- Wiem, dziękuję. Wiem, że mogę na was liczyć.

- Poza tym znam tylu ludzi i różnych lekarzy. Możemy spróbować zasięgnąć opinii gdzie indziej, we Francji i poza Francją, po tej i po tamtej stronie Atlantyku.

- Wiem, że zrobiłbyś to. Nigdy nie wątpiłem. Niestety Nicole nie wytrzymałaby wyprawy przez Atlantyk. To zresztą i tak by nic nie dało. Byliśmy kilka dni temu w Londynie u najlepszego chyba specjalisty, doktora Beckerella. Francuscy koledzy polecili mi go. Nie pozostawił żadnych złudzeń.

- Byliście w Anglii? Nie w Normandii? - Ala była kompletnie zbita z tropu.

- W Normandii też byliśmy przez kilka dni, głównie jednak w Anglii.

- I Nicole nie domyśliła się, że coś jest nie tak?

- Sądzi, że chodziło o potwierdzenie optymistycznej diagnozy i właściwego doboru lekarstw. Jest w bardzo pozytywnym nastroju. Bardzo chce być zdrowa, a jeśli czegoś chcemy, to na ogół w to wierzymy.

„Jak Baśka” - przemknęło Ali przez głowę, lecz problem bratowej przestał być już dla niej największym zmartwieniem.

- Muszę tu znaleźć pracę, przynajmniej na pewien czas - dodał w końcu Robert.

- Nie martw się tym - odparł Raul. - To akurat nie będzie trudne.

Wyszli obaj, gdy już świtało. Czerwcowe noce są przecież takie krótkie, dni takie łaskawe.

Szli przez dłuższą część drogi w milczeniu i kiedy wreszcie każdy miał skrócić w swoją stronę, Robert wyciągnął rękę na pożegnanie i zapytał:

- Nie jesteście jednak razem, ty i moja siostra?

Raul nawet przez chwilę nie zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Ala w dalszym ciągu jest zakochaną mężatką. Większość nocy spędza z Walterem, z nim omawia każdy problem, jego pyta o zdanie i od niego dostaje wskazówki. Sam widziałeś i słyszałeś.

Robert pokiwał głową i machnął ręką na pożegnanie. Na chwilę jednak jeszcze się odwrócił.

- Powiedz - spytał - dlaczego to wszystko musi być tak cholernie trudne?

- Czy ja wiem? - Raul wzruszył ramionami i uśmiechnął się lekko. -

Może jesteśmy nieprzeciętni? Życie takich nieprzeciętnych było zawsze dość nieznośne...

Była już na miejscu, przed kamienicą na Świętokrzyskiej, lecz jeszcze wahała się, czy wejść. Miała wrażenie, że Robert nie byłby zadowolony z tego, że bez jego wyraźnie wyrażonej zgody przychodziła do jego gabinetu i przeglądała jego papiery. Była tu już kiedyś, podczas któregoś z wcześniejszych pobytów w Warszawie, lecz zawsze tylko na chwilę, gdy mąż już kończył pracę i szykował się do wyjścia. Sama nie przychodziła tu nigdy. Wyglądało jednak na to, że tym razem musiała to zrobić.

„Będzie wściekły, gdy dowie się, że tu byłam podczas jego nieobecności” – pomyślała i ogarnęła ją lekka panika. Nie chciała konfliktu z Robertem. Już i bez tego nie było łatwo. Już i bez tego czasami niemal dusiła się pod spojrzeniami innych ludzi. Wiedziała, że mówią o niej, o nich za jej plecami. Kilka dni temu dostała wreszcie wiadomość od męża, że przyjeżdża do Warszawy i prosi ją, aby i ona znalazła się w stolicy.

Nie mam zbyt dużo czasu, a sprawa jest pilna. Musimy parę rzeczy omówić. Pozbywam się gabinetu i wszelkich udziałów z nim związanych. Nabywa je ode mnie mój kolega ze szpitala, Jacek Morawski. Pamiętasz go, przedstawiłem was sobie, gdy poprzedniej zimy odwiedziłaś mnie razem z dziećmi. Zanim wrócę, chciałbym, aby Jacek mógł się tam wprowadzić i zagospodarowywać po swojemu lokum. Zależy mi, aby jak najszybciej zacząć przyjmować własnych pacjentów. Może w pełni dysponować sprzętami i rzeczami, które są na miejscu. Uprzedzam cię, że cokolwiek on tam teraz robi, robi to za moją zgodą...

Dziwnie niepokojący był ten list. Pisany w przyjaznym, zwykłym tonie, a jednak biło od niego coś złowrogiego. Najpierw to długie milczenie, zaś potem nagła decyzja o pozbyciu się gabinetu, z którego przecież miał bardzo duże dochody. Spakowała od razy rzeczy i razem z Urszulką i Pawłem niezwłocznie wyruszyła do Warszawy. Robert wprawdzie nie wspominał w liście o dzieciach i o tym, aby je przywiozła, było to jednak dla niej oczywiste, że je zabierze. Po pierwsze, matka nie czuła się najlepiej, a w Zaborowie w czerwcu trwały już intensywne prace. Nie miała sumienia

zostawiać jej na głowie jeszcze dwójki swoich dzieci.

Po drugie – dzieciaki długo nie widziały ojca i tęskniły za nim ogromnie. W duchu dziwiła się, że Robert chyba po raz pierwszy o nie nie zapytał. Karolka nie chciała zabierać ze szkoły. Zbliżały się wakacje letnie, a w czerwcu uczniowie zdawali różne roczne egzaminy. Już i tak wystarczyło tych dni wyrwanych ze szkoły na majową podróż do Paryża.

Miała nadzieję, że na miejscu, w Warszawie dowie się więcej szczegółów od Joachima. Ten jednak wiedział tyle samo, co ona, i z trudem ukrywał przed nią swoje zdenerwowanie. Postanowiła zachować spokój i poczekać te parę dni na powrót męża. Tyle wiedziała, że miał jej coś ważnego do powiedzenia, że zdecydował się w końcu na rozmowę. Czekwała na to przynajmniej dwa lata. Teraz jednak czuła strach przed nieznanym, które gdzieś się groźnie czaiło. Czasem uświadamiała sobie, że chyba już nie chce poznać prawdy, że może nie da sobie z nią rady. Jednak nie było już możliwości wycofania się, poza tchórzliwą ucieczką do Zaborowa. Czekwała więc na przyjazd Roberta, ale tak jak więzień czeka na mającą się odbyć egzekucję.

Tymczasem dziś rano do ich warszawskiego mieszkania zawitał dozorca kamienicy, gdzie znajdował się ten gabinet, z prośbą, by tam przysłała i zadysponowała, co zrobić z papierami „pana doktora”.

- Nie mam pojęcia – wyjąkała, całkowicie zaskoczona. – Sądziłam, że dokumentację medyczną przejmie doktor Morawski, tak samo wszelkie rachunki i inne zobowiązania bankowe.

- To się rozumie, pani dobrodziejko. – Dozorca Jacenty pokiwał głową. – Tyle że tam są też jakieś papiery pana doktora, takie, wie pani, bardziej osobiste. Jakies listy, książki... Trzeba to zabrać, bo dzisiaj mają przywieźć nowe meble, półki. Kobiety mają też przyjść do sprzątanania. Niedobrze, aby te papiery brali w ręce obcy ludzie. Zniszczą co albo grzebać będą.

Basia rozejrzała się bezradnie. Joachima nie było akurat w mieszkaniu, pracował dziś przy egzaminach na uczelni. Nie miała się kogo poradzić. Nie miała zielonego pojęcia, że Robert mógł trzymać jakieś prywatne papiery, w tym prywatną korespondencję, w swoim gabinecie. Dlaczego nie trzymał tego w mieszkaniu? Na samą myśl, że ktoś obcy miał zaglądać do listów, na przykład od niej, zrobiło jej się gorąco. Wprawdzie istniała i taka możliwość, a nawet było to wysoce prawdopodobne, że sprzątaczką nie umiała czytać,

ale przecież w pomieszczeniu miało się kręcić wiele innych osób.

- Zaraz idę - odparła po chwili. - Zajmę się tym.

Wydała dyspozycje gospodyni i dwóm służącym, pod ich opieką zostawiła też dzieci i poszła na Świętokrzyską. A teraz stała jak sparaliżowana przed tą kamienicą i miała zamiar zrezygnować z zamiaru wejścia do środka. Chciała uciec.

- Nareszcie pani jest - zawołał Jacenty, wychylając się z bramy. - Proszę, niech pani wejdzie, bo tamci niedługo przyjadą z meblami.

„Oczywiście, że wejdę” - pomyślała nagle w przypływie odwagi, a nawet gniewu. „To on robi, co chce, wyjeżdża, wraca, tygodniami nie pisze, a potem oznajmia, że sprzedaje gabinet, niczego przy tym nie wyjaśniając, każe mi wszystko rzucać i wzywa do Warszawy - a ja boję się wejść do jego gabinetu? Boże, jak mogłam pozwolić samej sobie na taki upadek?”

Zdecydowanym krokiem weszła do lokalu, gdzie mieścił się gabinet. Było to całkiem sporych rozmiarów mieszkanie składające się oprócz samego pokoju przyjąć chorych, także z innych elegancko wyposażonych pomieszczeń. Kiedyś Robert i jego ojciec pracowali tu wspólnie w dwóch różnych pokojach. Od kiedy Robert, po zakończeniu wojny światowej, wrócił z Francji, wszystko to należało już tylko do niego.

Jacenty zaprowadził Basię do najmniejszego pokoju, w którym Robert odpoczywał zazwyczaj w przerwie między wizytami kolejnych pacjentów. Tu znajdowało się biurko, książki, wygodny fotel i samowar.

- To wszystko jest w szufladach - oznajmił Jacenty. - Może też w szafie. Tego to ja już nie wiem. Pani sama będzie wiedziała, co z tym zrobić.

Basia wydobyła z szuflad plik otwartych kopert przewiązanych jakąś wstążką czy tasiemką i zaczęła je przerzucać w roztargnieniu jedną za drugą. To nie były listy od niej. Chwała Bogu, co za ulga. Był czas, że pisała niemal wyłącznie o swojej miłości i tęsknocie. Potem dotarło do niej, że na tych kopertach nie było nadawcy, ale wszystkie miały paryski stempel.

Robert przechowywał w gabinecie listy od siostry? W jakim celu?

Nie chciała zaglądać do środka i czytać, jednak zaintrygowana rzuciła okiem na pierwsze z brzegu pismo. Nie należało do Ali, z całą pewnością. Już miała odłożyć i tę kopertę na biurko, przechyliła ją jednak za bardzo i ze środka wypadło kilka fotografii. Schyliła się i podniosła je z podłogi. Nie włożyła ich jednak na powrót do feralnej koperty, lecz zaczęła przeglądać.

Było ich kilka i przedstawiały młodą kobietę i małą dziewczynkę. Kobietę tę Basia rozpoznała natychmiast. Nie widziała jej dobrych parę lat, ale nie miała wątpliwości, kto uśmiechał się do niej radośnie i niemal triumfalnie ze zdjęcia. Dziewczynkę skojarzyła dopiero po pewnym czasie, ale też bez cienia wątpliwości.

Nagle wszystko zaczęło układać się w logiczną całość. Majowa pogoda w Ogrodzie Luksemburskim i małe dziecko zagadujące do Ali.

„Ciociu, ciociu!”

I to wyraźne zdenerwowanie Ali, widoczne nieprzyjemne zaskoczenie... To jej pragnienie, aby mała sobie już poszła i nie bawiła się z resztą dzieci. Potem Ala była taka roztargniona i nieobecna duchem!

Co wtedy szczebiotała po francusku ta dziewczuszka? Basia nigdy nie mogła się nadziwić, że przy tak przeciętnej znajomości francuskiego doskonale zrozumiała szczebiot dziecka.

„Papa przyjechał...”

Gwałtownym ruchem otworzyła okno, czując, że tym razem naprawdę się udusi. Zanim to jednak nastąpi, musi poznać prawdę. Jeszcze jej bowiem do końca nie zna. Nie miała już skrupułów. Skoro jak widać inni ich nie mieli, dlaczego ona miała być taka szlachetna, taka wyrozumiała, nawet wobec tajemnicy prywatnej korespondencji. Otwierała jeden list za drugim i czytała zachłannie od pierwszego do ostatniego słowa.

Nie płakała, nie zginała się z rozpacz jak kiedyś, dawno temu, gdy w podobny sposób odkryła zdradę Olafa. Zastanawiała się w pierwszej refleksji, jak głupi są mężczyźni, którzy zostawiają tak jednoznaczne dowody swojego wiarołomstwa? A może to nie głupota? Może im kompletnie nie zależy, czy te dowody zostaną odkryte, czy nie? Może w oczach męża tak niewiele już znaczyła, że nawet nie chciało mu się postarać o lepsze środki bezpieczeństwa. Ona sama na jego miejscu spaliłaby te listy. Lecz widocznie dla Roberta znaczyły zbyt wiele, by je niszczyć. A fotografie? Dlaczego nie woził ich wszędzie ze sobą? Ona, Barbara, tak by właśnie robiła na jego miejscu. Z drugiej jednak strony, dlaczego miał te zdjęcia wozić ze sobą, skoro na miejscu miał oryginał.

Basia poczuła dojmujący chłód, jakby za oknem był mroźny styczeń, a nie gorący czerwiec. Zastanowiło ją też, że sama potrafi tak chłodno i logicznie myśleć. Jakby nagle umarły w niej wszystkie emocje, cała wiara

w Boga i ludzi. Wiedziała, że rozpacz w końcu nadejdzie, że nadejdzie nienawiść i zlorzeczenia. Teraz jednak była zimna jak lód. Teraz kalkulowała chłodno i bez emocji. A może zawsze była taka chłodna? Zawsze sądziła, że to jej matka jest zimną, pozbawioną seksualnego temperamentu kobietą. A może to ona sama taka była? Dlatego jej mężczyźni wybierali inne kobiety. Może były bardziej inteligentne, błyskotliwe albo bardziej pomysłowe w łóżku? Może nie były prowadzane do kościoła czasem i po parę razy w tygodniu, nie słuchały od dziecka, że dziewczyna ma być dziewicą do dnia ślubu, że każda śmielsza myśl jest grzechem? Nagle zacisnęła pięści z gniewem.

To bez sensu. Oskarżała Kościół, Boga i matkę, która ją wychowała, a przecież to nie z tej strony przyszło zło. Krzywdę wyrządzili inni. Mniejsza o Olafa, choć pamiętać go będzie całe życie. Teraz myślała o Robercie i Nicole. Wyobraziła ich sobie razem. To ze względu na swoją kochankę Robert został dłużej w Paryżu. Jej, swojej prawowitej żonie i dzieciom urodzonym w chrześcijańskim małżeństwie, rzucił łaskawy ochłap ze stołu i zabrał ich na wycieczkę za granicę, ale zapewne doczekać się nie mógł, kiedy wreszcie odjadą. Teraz miał czas dla swojej kochanicy. A może i wtedy się z nią widywał? Przecież na ogół nie uczestniczył we wspólnych wycieczkach, zwykle miał inne sprawy do załatwienia. Podobno Nicole wyjechała wtedy do Awinionu. No cóż, było już jasne, że nie wyjechała.

„Mama nie mogła wyjechać... i papa przyjechał”.

Omiał nie wydało ich małe dziecko! Teraz Basia zrozumiała do końca zdenerwowanie Ali. Tak jakby i do niej dotarło, co robią jej brat i szwagierka, podczas gdy ich dziecko bawi się w parku pod opieką obcej kobiety. Jednak postawa Ali nie była tu jednoznaczna. Musiała przecież o wielu sprawach wiedzieć. Dlaczego milczała? Kogo osłaniała?

„Na razie mniejsza o Alę” - myślała Barbara pośpiesznie, lecz już z coraz większą furią. „Alą zajmę się później. Nie wszystko naraz, bo wściekłość i ból rozsądzą mi czaszkę. A więc to tak, mój mężu, moja miłości, odkąd tylko pamiętam! To, co czułam do Olafa, nigdy nie mogło się równać z moją miłością do ciebie. A ty pewnie teraz kochasz się bez opamiętania w łóżku z tą... piekielnicą, przeklętą dziwką. Teraz wiem, dlaczego tak jej zawsze nie znosiłam. Nigdy nie umiałam sobie tego wytłumaczyć, a teraz już wszystko jasne”.

Spokój, chłód i opanowanie zniknęły bez śladu. Chciała ciskać sprzętami po całym pokoju i po całym mieszkaniu. Chciała powybijać szyby, a na koniec podpalić to wszystko.

Wtedy nie będzie już miał czego sprzedawać!

Nagle zamarła, bo w jej głowie pojawiła się nowa myśl. Właściwie dlaczego chciał to wszystko sprzedać?

Dlaczego tak nagle wezwał ją na spotkanie do Warszawy? O czym tak pilnie chciał z nią rozmawiać? A może chciał, aby tu przyszła i o wszystkim się dowiedziała właśnie w taki sposób?

Zrobiło jej się słabo i przeraziła się, że może nie wytrzymać i zwymiotuje. Tu, na środku pokoju. Tak się jednak nie stało, może dlatego, że ktoś zapukał do drzwi i w progu pokazał się Jacency.

- Przyszły już te kobiety do sprzątanania, a na podwórze zajęchały pierwsze fury, aby zabrać stare meble. Jeśli już pani skończyła z tymi papierami, to...

- Nie, nie skończyłam - odparła ostro i kategorycznie.

- Przepraszam, że tak śmiało zagadałem. - Jacency speszył się i wyraźnie spokorniał. - Tyle że oni wszyscy czekają, a trzeba jeszcze...

- Niech czekają! - krzyknęła. - Ja czekałam tak długo, to teraz niech i inni sobie poczekają!

Jacency stanął jak wryty, bo do tej pory nie przypuszczał, że ta nieśmiała i miłutka żona pryncypała potrafi w ogóle głośniej mówić. Okazuje się, że darła się niezgorzej niż jego stara. Widać wszystkie baby takie! Musi być, że pan doktor jej czymś podpadł.

Usiadła i na powrót zaczęła przeglądać listy tamtej pisane do jej ukochanego męża. W domu, gdzie przebywał jej teść i dzieci, nie będzie mogła się nad tym skupić. Czują, jak wzbiera w niej nienawiść, i pragnęła nienawidzić jeszcze bardziej. Musiała jednak przyznać, że listy, przy całej ich niewybaczalnej i bezwstydnym treści, były jednak piękne. Ta dziwka miała prawdziwy talent do pisania i - jak wynikało z wnikliwej lektury - nie tylko do pisania. Czytając słowa pełne świętokradczej, jak uważała Barbara, miłości, pełne pożądania, pragnienia i zgody na wszystko, co przyniesie los, Basia czuła przyspieszone bicie własnego serca. Gdyby to wszystko nie dotyczyło jej własnego życia, czytałaby to jak najbardziej pasjonującą powieść.

„Moje listy, w porównaniu z tymi, to bazgranina tępej pensjonarki. Jakaż żałosna musiałam mu się wydawać, gdy czytał potem takie słowa jak te tutaj” - myślała ponuro.

Zresztą to nie tylko ich miłosna treść tak bardzo Basię bolała i jednocześnie fascynowała. Nicole pisała też o tym, co było jej i Roberta wspólną pasją. Przywoływała terminy naukowe z dziedziny fizyki, chemii, nawet medycyny, o których Barbara nie słyszała. Pisała o odkryciach, o nowych teoriach. Wyglądało na to, że prowadzili ożywioną dyskusję na tematy dotyczące nauki, że wymieniali poglądy i spostrzeżenia. Padały nazwiska ludzi, którzy najwyraźniej w ich wspólnym świecie byli znani, a o istnieniu których Basia nie miała zielonego pojęcia. Wyjątek stanowiła pani Skłodowska-Curie, ale o niej wiedział chyba każdy w Polsce. Przy czym Basia nie potrafiła dokładniej wyjaśnić naukowych osiągnięć słynnej rodaczki. Właśnie te listy niepokoiły ją w sposób szczególny. Przecież to od wspólnej naukowej pasji zaczęła się kiedyś znajomość Roberta i Nicole. A nic tak ludzi nie łączy jak wspólne zainteresowania. Przecież kiedyś przeminie największa nawet uroda, przeminie młodość, namiętność straci swój powab, ale pasje pozostaną. I okażą się tym, co najskuteczniej może scementować każdy związek.

Przerażona i zrozpaczona do głębi, sięgała wciąż po kolejne listy, jakby chciała nauczyć się ich na pamięć. Jakże żałowała, że nie zna treści odpowiedzi Roberta. Co mógł pisać o niej, o swojej ślubnej małżonce?

Nawet gdybyś zmienił zdanie i wycofał się, zrozumieć. Powtarzam, że nie wymagam od Ciebie, abys odszedł od żony. Tęsknię za Tobą, kocham Cię i pragnę, ale jestem taka szczęśliwa! Liczy się Twoja miłość, a wiem, że ona w pełni należy tylko do mnie, naszej córki i Twoich pozostałych dzieci. Zaklinam Cię, abys nie podejmował pochopnych kroków. To nie ja jestem Twoją żoną, lecz ona.

- Jakie to odkrywcze, parszywa dziwko, jaka łaskawość i poświęcenie od ciebie bije - mruknęła zjadliwie Barbara. Nie mogła jednak oderwać się od lektury.

Przecież wiem, że tak naprawdę należysz tylko do mnie... Możemy liczyć

tylko na Alice, choć nawet ona nie aprobuję tego, co się dzieje... Nie spiesz się, zastanów się nad tym, co mówiła Twoja siostra...

Ala... Wiedziała o wszystkim i nic nie powiedziała. Gdyby to uczyniła, Barbara czuła, że mogłaby to jakoś rozegrać, jeszcze w Paryżu. Może by nawet wygrała? Milczenie Ali zabolalo podwójnie.

A potem wzięła do ręki ostatni list, który wcześniej przeoczyła, i po chwili wiedziała już, że nawet gdyby Ala wyznała jej prawdę, nic by to nie zmieniło. Tej najważniejszej w swym życiu sprawy ona, Barbara, nie mogła wygrać. Już było na to za późno.

Najdroższy mój, więc przyjeżdżasz! Nie mogę spać ani jeść. Zachowuję się jak rozwydrzona, zakochana po uszy dziewczyna. Zostawiam w roztargnieniu zakupy w sklepie i muszę po nie wracać. Śmieję się jak głupia do obcych ludzi na ulicy. Szklanki i talerze lecą mi z rąk. Uczniowie w szkole śmieją się ze mnie, tak bardzo myślami jestem gdzie indziej. Nie widziałam Cię całe wieki. Bałam się o Ciebie każdego dnia i każdej minuty, gdy służyłeś jako lekarz na wojnie w twoim kraju.

A teraz przyjeżdżasz i już nic poza tym się nie liczy. Znowu będziemy się kochać jak szaleni, tak jak za każdym razem. Co noc dotykam poduszki w tym miejscu, gdzie zazwyczaj spoczywa Twoja głowa, i myślę... I nie mogę do rana zasnąć. Dopiero przy Tobie może mi się to uda, choć zapewniasz mnie, że nie pozwolisz mi spać. To, że przyjeżdżasz z rodziną, nie ma dla mnie znaczenia. Jak mogłabym coś powiedzieć przeciwko Twojej żonie!? Jakie mam prawo?! To, że nie chcesz już z nią żyć i że praktycznie prawie jej nie widzisz, to Twój wybór. Nigdy nie nakłaniałabym Cię do tego. Zawiniłam już wystarczająco dużo wobec tej kobiety. Powiedziałeś kiedyś, że będziemy za to potępieni. Tak, będziemy potępieni, ale było warto, Najdroższy.

A teraz planuję coś bardzo podłego. Powiedziałam Alice, że wyjadę z Sylwią do Awinionu na czas wizyty Twojej rodziny. Musiałam ją o tym zapewnić, bo biedaczka żyje w takim rozstroju nerwowym i stresie, że nie mam serca męczyć jej jeszcze bardziej. Straszne jest jej położenie, przyznaję. Kocha nas i jednocześnie potępia. Nie mogę jednak spełnić tej obietnicy, jakżebyśmy mogła stracić choćby jeden dzień z Tobą? Sylwia też

tak dawno Cię nie widziała, będzie musiała przypomnieć sobie Ciebie od początku. Nie bój się, Kochany, tak to urządzę, aby nie wpaść w Paryżu pod nogi Twojej żonie i siostrze. Ostatnio nie czułam się najlepiej, ale od kiedy napisałeś, że przyjeżdżasz, wróciły mi siły i radość życia.

- Tak, będziecie za to potępieni - wyszeptwała Basia. - Alu, musisz być teraz po mojej stronie. Jednoznacznie.

Ponownie rozległo się pukanie i do pokoju zajrzał tym razem osobiście doktor Morawski.

- Pani Barbaro, przepraszam, ale musimy już przystąpić do pracy.

- Tak, oczywiście. - Basia nie miała ochoty na dyskusję.

Nagle poczuła się tak, jakby ktoś wypuścił z niej całe powietrze. Nie miała nawet pewności, czy zbierze siły, by wstać, wyjść i dotrzeć do własnego domu. Podniosła się jednak i zaczęła zbierać wszystkie listy a następnie pakować je do torby. W pewnym momencie ręce jej zdrząły i wszystkie zdjęcia wypadły na podłogę. Morawski podszedł szybko i zanim zdążyła zareagować, podniósł fotografie i wręczył jej bez słowa.

- Dziękuję panu - wymamrotała cicho, unikając jego spojrzenia.

A potem powlokła się do domu, do swoich dzieci.

Rozdział 89

- Barbara z tobą nie przyjechała? - Robert rozejrzał się niespokojnie po peronie.

- Od kiedy tak się za nią stęskniłeś? - zapytał gderliwie Joachim.

- Ale jest w Warszawie? - Robert nie miał ochoty na utarczki słowne z ojcem.

- Owszem, jak zwykle gotowa na twoje rozkazy. Zamierzam ją jednak nauczyć, aby trochę zhardziała. Sumienia nie masz czy co? Tygodniami milczysz, wszyscy odchodzimy od zmysłów, a potem zjawiasz się nie wiadomo skąd i oświadczasz, że sprzedajesz gabinet. Może raczysz mi wreszcie powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?

- Może i tak, ale nie na dworcu pełnym ludzi. Pozwolisz, że zaczekamy z tym do powrotu do domu?

Całą drogę z dworca odbyli w ponurym i raczej wrogim milczeniu. Robert wiedział, że to zaledwie preludium tego, co go czeka, i od razu nastawiał się na konfrontację. Tymczasem w proggu wpadł od razu w ramiona bliźniąt, które dosłownie zawisły na jego szyi. Zasypały go też gradem pytań i swoich dziecięcych opowieści, tak że długo jeszcze nie miał okazji na rozmowę z ojcem i żoną. Zobaczył ją dopiero po dłuższej chwili. Wyłoniła się z jadalni prawie jak duch i stała w milczeniu, obserwując jego i dzieci.

- Dzień dobry, Basiu - powiedział, wyciągając do niej rękę. - Jak się masz?

Uderzyła go dziwna zmiana na jej twarzy i w postawie. Początkowo nie wiedział, czego dotyczyła. Dopiero gdy baczniej jej się przyjrzał, zobaczył, że w sposób widoczny schudła, i to w przeciągu miesiąca, odkąd widzieli się po raz ostatni w Paryżu. Twarz jej się wydłużyła i zaostrzyła, znikła dawna miękkość jej rysów i owalu.

„Czyżby i ona była chora?” - pomyślał w pierwszej chwili, lecz zanim zdołał zadać jej pytanie o zdrowie, zrobiła to pierwsza.

- Bardzo zeszczuplałeś - powiedziała i dojrzał w jej oczach znany mu już wyraz zatroskania.

- To samo mogę powiedzieć o tobie - odparł i uśmiechnął się do niej przyjaźnie.

- To pewnie przez kłopoty. Chyba oboje je mamy.

Powiedziała to bez cienia uśmiechu i ciepła. Skutecznie zamknęło mu to usta.

- Obiad już gotowy. Najpierw zjemy, a potem porozmawiamy - rzekła po chwili. - Zanim jednak porozmawiamy, będziesz zapewne chciał spędzić trochę czasu ze swoimi dziećmi.

Skinął bezradnie głową, widząc, że sprawa zaczyna się coraz bardziej komplikować. Przy stole doktor Joachim wyniośle milczał, Basia odpowiadała monosylabami i tylko dzieci, a zwłaszcza Urszulka, gadały jak najęte. Na razie miał okazję porozmawiać jedynie ze swoim dziewięcioletnim potomstwem. Zerkał kątem oka na żonę. Jaka była inna, gdy wreszcie nie udawała kogoś obcego, gdy nie świergotała jak dziewczynka, nie patrzyła z lękliwą miłością w oczy, nie iskrzyła sztucznym salonowym humorem, nie stroiła się w kosztowne szaty, które nigdy do niej nie pasowały. Wreszcie była taka prawdziwa i w naturalny sposób sygnalizowała, że jest problem, że jest źle, że ma już dość. Wreszcie mogła być partnerem do rozmowy, nawet do awantury, jego godnym przeciwnikiem. Komuś kto patrzy ci tak hardo i nieustępliwie w oczy, łatwiej powiedzieć ponurą prawdę niż istocie w gruncie rzeczy mentalnie niedoroślej, nienaturalnie łagodnej i rozbrajająco dobrej. Kobieta, z którą teraz siedział przy stole, była uzbrojona po zęby i gotowa do walki. To będzie prawdziwy pojedynek, co do tego nie miał już wątpliwości. Tylko co sprawiło, że wreszcie była znowu taka, jaką już ledwo ją pamiętał?

Z dziećmi spędził resztę dnia. Rozmowa z ojcem została odłożona na później.

- Najpierw porozmawiaj z żoną - powiedział doktor i wyszedł z domu.

Dzieci zostały wcześniej położone do łóżek i Robert siedział przy nich, dopóki nie zasnęły. Wprawdzie były już na to za duże, jednak nie potrafił sobie tego odmówić. Tak właśnie przez ostatnie tygodnie siedział przy swojej pięcioletniej córeczce we Francji, myślami był znowu przy niej. Potem sam siebie musiał przywołać do porządku, by skupić uwagę na tej dwójce, której tak rzadko w życiu towarzyszył. A takich chwil będzie jeszcze mniej w przyszłości.

„Chyba że wasza matka zrozumie i nie zabroni nam się widywać, jak często tego zapagniemy - myślał. - Może kiedyś i wy to zrozumiecie, że

byłem, że teraz jestem bardziej potrzebny waszej siostrze, która niedługo zostanie... bez własnej matki”.

Zdenerwowany i wytrącony tą myślą z równowagi, postanowił szybko wziąć się w garść. Czekala go rozmowa z Barbarą i nie mógł się teraz rozklejać ani okazać słabości. Tym bardziej że druga strona najwyraźniej przygotowała się do walki.

Żonę znalazł w ich małżeńskim pokoju. Siedziała przy oknie, ale gdy wszedł, zaraz zwróciła się w jego stronę.

- Słucham - odezwała się po dłuższej chwili milczenia, w czasie której mierzyli się wzrokiem. - Co ważnego chciałeś mi powiedzieć? - uściśliła pytanie.

Usiadł ciężko w fotelu i zapatrzył się w okno. Słowa, które miał od dawna przygotowane, nagle uwięzły mu w gardle. Znowu nie wiedział, od czego zacząć. Czuł na sobie jej uparty wzrok.

- To dobrze, że tak trudno ci o tym mówić - dodała, a on wyczuł w jej głosie odrobinę ironii i goryczy.

Musiała wkładać nadludzki wysiłek w to, by tak nad sobą panować. Umiała być twarda, teraz i on musiał to przyznać.

- Tak, to niełatwe - odparł i skinął głową.

- Rozumiem. Pomogę ci więc po raz ostatni. Najpierw zadam ci pytanie. Jak długo trwa twój romans z Nicole Perrier?

To było celne. Tego się nie spodziewał. Skąd wiedziała? Gdzie popełnił błąd? Jak długo wiedziała?

- Zatem już wiesz? - Tylko tyle zdołał z siebie wydusić.

- Tak. To chyba dobrze, że wiem. Dla mnie, bo nie zrobiłam dziś z siebie idiotki, rzucając ci się na szyję w powitalnym geście i zapraszając do wspólnego łóżka... No i dla ciebie, bo nie musisz szukać sposobów, jak w miarę po ludzku mi odmówić, a zarazem wyznać w końcu prawdę.

Nigdy jeszcze tak do niego nie mówiła, tak śmiało, logicznie i wprost. Opanował się jednak i podjął tę rękawicę.

- Nicole znam od wielu lat - zaczął, ale przerwała mu niecierpliwie.

- Pytam, jak długo z nią sypiasz, a nie jak długo ją znasz. Chyba że jedno nie wyklucza drugiego.

Poniósł go wtedy gniew, ale opanował się. Ostro grała, dobrze. Chciał być delikatny, ale dostosuje się do niej. Nawet jako żona nie miała prawa

zadawać mu takich pytań. Nie w taki sposób. Nie był jej własnością, tak to widział.

- Znamy się z czasów, gdy ty jeszcze byłaś moją siostrą - odparł twardo.
- Wróciliśmy do siebie podczas wojny. W kwietniu szesnastego roku urodziło się nasze dziecko, więc sobie policz. Liczyć potrafisz.

Bał się, czy nie uderzył jednak za mocno. Takie wieści mogły ją przewrócić łatwiej niż najsilniejszy cios. Była mimo wszystko bardzo spontaniczna i wrażliwa. A jednak ponownie się przekonał, że jej nie znał. Ożenił się i żył z kobietą, której w ogóle nie znał.

- To by się zgadzało - powiedziała spokojnie, jakby rzeczywiście wszystko policzyła. - Potem jednak wróciłeś do domu... do mnie i do naszych dzieci - dodała i wtedy głos jej drgnął.

- Tak - mówił już spokojnie - i myślałem, że tamto z Nicole jest skończone. Nie wiedziałem o dziecku, nie powiedziała mi. Ala też milczała.

- Ala rzeczywiście ostatnio na ogół milczy - przyznała Basia, lecz teraz ból w jej głosie był już wyraźny.

- Nicole zabroniła jej mówić o tym komukolwiek. - Uznał, że musi wziąć siostrę w obronę.

Podniosła ręce ruchem, który miał wyrażać sprzeciw.

- Nie będziemy teraz rozmawiać o Ali. To osobny problem i sama go z nią omówię. Nie broń jej jednak, potrafię myśleć. Jak to się stało, że dowiedziałeś się o tym dziecku? Napisała do ciebie? Byłeś już przecież w domu, z nami. Chciałeś z nami zostać, było nam dobrze. Takie odniosłam wrażenie. Nie chciałeś już nawet wyjeżdżać za granicę, prawie cię zmusiłam do wyjazdu na pogrzeb matki. Więc co się stało, że do niej wróciłeś? Ta kobieta napisała do ciebie i doniosła ci o dziecku? Nie wytrzymała, czyż nie?!

- Nie napisała. Obie z Alą solidarnie milczały, aby nie komplikować naszych małżeńskich spraw. To ja pojechałem wtedy do Francji. Sama przed chwilą to przypomniałaś. Zmusiłaś mnie do wyjazdu na pogrzeb matki.

Dotychczasowa przewaga Barbary w tej wymianie ciosów została złamana. Ostatnie uderzenie było wyjątkowo celne. Basia znieruchomiła i zakryła twarz dłońmi.

- Wtedy się dowiedziałeś - szepnęła. - Spotkaliście się.

- Dowiedziałem się przypadkowo od przypadkowego znajomego

w Paryżu. Miałem z Alą awanturę, pierwszą, lecz nie ostatnią, na ten temat.

- Nie mówmy teraz o twojej siostrze - krzyknęła po raz pierwszy. - To osobny temat.

- Masz rację. Zresztą najlepiej zostawmy ją w spokoju.

- Nie. Nie zostawię jej w spokoju, ale teraz mnie ona nie obchodzi.

- Zostawisz ją w spokoju - powiedział to takim tonem, że aż ciarki przeszły jej po plecach.

Nigdy nie widziała go takim jak w tym ułamku sekundy, gdy ujął się za siostrą. Trochę się wystraszyła i nie podjęła już tematu Ali. Zresztą naprawdę wolała teraz mówić i słyszeć o kim innym.

- Od tamtego czasu jesteśmy już razem, chociaż oczywiście widujemy się bardzo rzadko, za rzadko - dodał już spokojniej.

- *Liaison* - rzekła wolno, jakby coś sobie przypominała.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- *Liaison* - wyjaśniła niczym nauczycielka niezbyt rozgarniętemu uczniowi. - Przecież w przeciwieństwie do mnie dobrze znasz francuski.

- Przestań - przerwał jej.

- Dlaczego? Już raz groziło mi życie w takim układzie. Olaf zamierzał ożenić się ze mną dla pieniędzy, a równocześnie stworzyć romantyczną *liaison* z jakąś swoją dziwką. Wtedy cudem tego uniknęłam. Niestety, jak widać, nie można uciec przeznaczeniu, więc i tak mnie to dopadło w małżeństwie z tobą. Niestety dla ciebie, nie zgadzam się na taki stan rzeczy.

- Nie ma takiej potrzeby. Nawet jeśli upierasz się, by ochrzcić to takim słowem, to już bez znaczenia. To skończone.

- Co?! - Tym razem była zszokowana. Tego się nie spodziewała. Na moment opanowała ją szalona radość, ale nie chciała, aby to zauważył. Nie, jeszcze musi go podręczyć za to, że przez kilka lat nie potrafił dochować jej wierności. Jeszcze będzie musiał pocierpieć, zanim ona mu przebaczy.

Uśmiechnęła się wobec tego ironicznie i głosem pełnym jadu spytała:

- Zakończyłeś swój związek z tą dziwką? Jak miło! A jak ona to zniosła?

Już nie miał zamiaru jej oszczędzać. Podziw, jaki czuł do niej jeszcze kilka godzin temu, pękł jak bańka mydlana. Nie była wrażliwa, łagodna i dobra. Nie była też przesadnie okrutna, chociaż siliła się na bycie taką. Była zupełnie nijaka, czyli taka jak zazwyczaj.

- Nie rozumiałaś mnie - odparł, patrząc jej obojętnie w oczy. - Zakończyłem związek z tobą. Nie kojarzysz faktów? Sprzedaję gabinet, likwiduję moje sprawy w Warszawie. Wyprowadzam się do Francji.

Zbladła straszliwie i na moment przestała oddychać. Patrzyła na niego z przerażeniem, a następnie z rozpaczą. W jednej chwili pożałowała wszystkich swoich słów, jakie do niego dziś powiedziała. Nie wątpiła, że mówił prawdę. A najgorszy był jego wzrok, pozbawiony jakiegokolwiek wyrazu, jakichkolwiek emocji. Patrzył na nią jak na stertę starych ubrań w szafie, z którymi właściwie nie do końca wiadomo co robić. Niewiele brakowało, a rzuciłaby się teraz na kolana i błagała, żebrała, aby z nią został.

„Co ja teraz zrobię, co zrobię?” - powtarzała w myślach.

- Nie, to nieprawda, nie odejdziesz - mówiła beładnie. - Jesteśmy małżeństwem od dwunastu lat, mamy troje dzieci.

- Dlatego wcześniej tego nie zrobiłem. Teraz jednak nie mogę już inaczej. - Robert ściszył głos i mówił łagodniej. - Nicole jest nieuleczalnie chora i muszę z nią być do końca. Nasze dziecko potrzebuje mnie teraz tam, w Paryżu. Wiem, że dla ciebie to żaden argument. Skrzywdziłem cię i czujesz się zraniona. Wiem, że być może nigdy mi nie wybaczysz. Nie mogę jednak postąpić inaczej. Nie chcę. Taka jest prawda. Ty sama kiedyś prosiłaś mnie, żeby między nami była tylko prawda.

Łzy płynęły strumieniem po jej twarzy. Słyszała go, nie mogła zrozumieć. Wszystko wokół leżało w gruzach, a ona była jednym z tych rozwalonych kamieni.

- Nie zgadzam się, nie - powtarzała z płaczem. - Jeśli teraz odejdziesz, nie wracaj już nigdy. To będzie koniec. Jeśli teraz ją wybierzesz... Jej dziecko... A co z naszymi dziećmi? One też cię potrzebują i prawie cię nie widzą... Nie pozwalam ci, słyszysz, nie zgadzam się...

- Uspokój się, Basiu. Nie tak chciałem z tobą rozmawiać. Zostawię ci pieniądze, naszym dzieciom niczego nie zabraknie. Tobie niczego nie zabraknie. Pisz do mnie za każdym razem, gdy pojawi się jakiś problem.

- Jak to niczego nie zabraknie?! Ciebie zabraknie! Nie obchodzą mnie twoje pieniądze. Boże, Boże... Nie rób tego, mój kochany. Nie jestem może taka wspaniała jak ona, ale kocham cię nad życie. A co z dziećmi?

- Mogą do mnie przyjeżdżać, mogą się tam uczyć. Odbiorą dobre

wykształcenie, ułatwię im start w życie...

- Ach tak! - Barbara nagle oprzytomniała i gwałtownym ruchem wytarła łzy. - To temu miała służyć ta twoja gadka w restauracji w Paryżu? Już wtedy to zaplanowałeś? Chcesz jeszcze w dodatku odebrać mi moje dzieci?

- Nasze dzieci.

- Jeśli odejdziesz, będą to tylko moje dzieci! - wrzasnęła. - Nie pozwolę, abyś do nich pisał, abyś je kiedykolwiek zobaczył. Nie ma mowy o żadnym wyjeździe dzieci do Paryża. Zostaną w kraju, gdzie szanuje się małżeństwo i przysięgi. Czy myślisz, że zgodzę się, aby odwiedzały dom twojej dziwki, twojego bękarta?!

Omali jej nie uderzył w tę zalaną łzami twarz. Bojąc się jednak, że dłużej nie zapanuje nad sobą, skierował się do drzwi.

Wpadła już w ostateczną desperację. Pobiegła za nim i chwyciła go za rękaw.

- Nawet nie spytałeś, skąd wiem o twoim bękarcie, o twojej dziwce, o całym tym brudzie! Mam jej listy do ciebie. Znowu przez głupi przypadek. Same przypadki rządzą naszym życiem! Ja o zdradach dowiedziałam się przez przypadek z listów. Ty przez przypadek dowiedziałeś się o swoim przypadkowym bękarcie.

- I ty przez przypadek zaszłaś w ciążę po raz pierwszy - odparł i wyrwał swój rękaw z jej rąk.

Przez chwilę wyglądała tak, jakby miała dostać ataku apopleksji.

- Mam te listy.

- Skoro w nich grzebałaś, to masz. Należą jednak do mnie.

- O, nie! - krzyknęła, a w jej oczach pojawił się triumf. - Zostawię je jako rodzinną pamiątkę. Przeczytają je nasze dzieci, potem wnuki, a może i prawnuki. Gdybyś był znanym naukowcem, kazałabym je opublikować w gazetach. No, ale nie zdążyłeś zrobić naukowej kariery i pewnie już nie zrobisz. Podobno z powodu wojny...

Nie odpowiedział. Zabrał swoje bagaże i odepchnąwszy ją od siebie, wyszedł z mieszkania. Kiedy zatrzasnęły się za nim drzwi, usiadła przy nich i szlochała z bezsilnej rozpacz. W głębi mieszkania stała bezradnie trzyosobowa służba. Z pokoju dziecinnego wyjrzeli Ula i Paweł. Chłopiec podbiegł do matki i próbował ją podnieść z kolan, co oczywiście było niemożliwe.

- Mamo, mamusiu - powtarzał z żalem.

Ula stała, nieporuszona, w progu i z wściekłością zaciskała małe pięstki.

Rozdział 90

Przez dwa tygodnie wynajmował pokój w hotelu. Nie musiał spędzać w Warszawie aż tyle czasu, wszystkie konieczne sprawy udało mu się sfinalizować w ciągu dziewięciu dni. Morawski przejął gabinet i kiedy Robert przyszedł tam po raz ostatni, na moment poczuł żal z powodu wspomnień, jakie go nawiedziły. Ten gabinet był w ich rodzinie od pokoleń. Prowadził go jego pradziadek, dziadek, ojciec, a na końcu on. Być może po nim przejąłby tę schedę któryś z synów... albo córek. Teraz także i kobiety mogły już bez większych przeszkód pracować jako lekarki. Gdyby życie ułożyło się inaczej...

- Gdybyś ty ułożył je sobie inaczej - sprostował Morawski, gdy podzielił się z nim swą niewesołą refleksją.

Jacek wiedział mniej więcej, co się wydarzyło. Zresztą, jak wyznał, podejrzewał pewne sprawy od dawna.

- To nie było trudne - zauważył. - Co pewien czas wyjeżdżałeś i długo cię nie było. W takim trybie nie utrzymałbyś także posady w szpitalu. A potem, gdy zobaczyłem tu twoją żonę, gdy przeglądała jakieś papiery i wypadły jej te zdjęcia... Już byłem pewien, co w trawie piszczy. Jacenty mi tłumaczył, że on ją tam przyprowadził, aby zdecydowała, co zrobić z twoimi prywatnymi notatkami. No, głupio wyszło, tyle ci mogę powiedzieć.

Robert nie skomentował już tych słów, nie było nic do dodania. Rozglądał się przez chwilę po tym tak dobrze mu znanym miejscu. Przychodził tu często do ojca jako mały chłopak i już wtedy wiedział, że tak jak on pragnie zostać lekarzem. Praca ojca fascynowała go zawsze, nie było dla niego innej drogi. Doktor Joachim był z niego taki dumny, taki szczęśliwy z jego decyzji, z osiągnięć w szkole i na studiach. Pracowali tu potem przez jakiś czas razem, wymieniali się spostrzeżeniami i dyskutowali na temat niejednej lekarskiej diagnozy. Należało to już do przeszłości. Teraz był już skreślony w oczach ojca.

- Tyle ci powiem, ze zhańbiłeś, sponiewierałeś nasze nazwisko! - krzyczał Joachim do syna, gdy odwiedził go w hotelu trzy dni po pamiętnej awanturze z Barbarą. - Żaden z Matzerów nigdy nie był dziwkarczem, ale widać nic nie jest dane raz na zawsze.

- Czy matce też wygłosiłeś taką mowę na pożegnanie?

Robert nie wytrzymał wtedy i odgryzł się, a potem stwierdził, że poczuł satysfakcję na widok wyrazu twarzy ojca. Oburzony do żywego Joachim wyszedł z hotelowego pokoju syna, trzaskając drzwiami.

Potem Robert spotkał się z Jankiem i było jeszcze gorzej. Najpierw rozmawiali spokojnie i oficjalnie, niby klient z pracownikiem banku. Już samo to było nie do zniesienia. Przecież Janek był jego bratem, przyjaźnili się całe życie, zawsze mieli świadomość, że jeden może liczyć na drugiego. Zawsze, wszędzie, w każdej sytuacji. To on, Robert, był tym grzecznym synem, a Jaś zawsze urwisował. To on, Robert, pilnie się uczył, nie palił ukradkiem papierosów, nie uciekał na wagary, nie biegał za dziewczynami, nie czytał zakazanych księzek z tanią pornografią, tak modną wśród chłopców z klasy. To jego jedni przezywali na studiach zakonnikami, a inni w żartach podejrzewali, że może nie lubi dziewczyn, lecz chłopców. Tak, to były barwne lata, a on wcale z nich nie korzystał. Jaś nie odmawiał sobie niczego i już w szkole nie pominął żadnej z nadarzających się okazji. Robert nieraz krył go przed ojcem i był cierpliwym powiernikiem wszystkich wyskoków i tajemnic. Nie wyobrażał sobie, że Janka mogłoby zabraknąć.

A teraz rozmawiali ze sobą jak obcy ludzie, i to tak cholernie bolało. Nie mógł się jednak zdobyć na inny ton, gdy czuł na sobie lodowate spojrzenie tamtego i słyszał sucho wymawiane monosylaby. Wobec tego też był chłodny i oficjalny. Tak właśnie przekazywał bratu informacje o koncie bankowym dla Barbary, o pieniądzach z gabinetu wpłaconych już na to konto, o osobnym funduszu na kształcenie dzieci. Pragnął innej rozmowy, chciał wygadać się jak przed najbliższym przyjacielem, przecież łączył ich wspólny dramat w dzieciństwie. Nie mógł jednak liczyć na nic podobnego. Wyglądało na to, że nie miał już brata.

- Chciałem te informacje przekazać osobiście Barbarze, jednak nie jest to, przynajmniej na razie, możliwe - powiedział na koniec, licząc na to, że ta uwaga sprowokuje Janka do normalnej rozmowy, choćby do awantury. Wszystko było lepsze od tej drętwej, formalnej wymiany słów.

- Przekazałeś jej już przecież wszelkie informacje - odparł Janek i w jego jedynym zdrowym oku pojawił się osobliwy wyraz. - Zrobiłeś to osobiście. Służba nie mogła jej uspokoić. Dopiero ojciec, gdy wrócił z miasta, dał jej jakieś zastrzyki na uspokojenie. Cud, że nic sobie nie zrobiła, co zapewne

uprościłoby swoją sytuację osobistą. Ta właśnie myśl być może powstrzymała ją od targnięcia się na swoje życie. W domu były wtedy dzieci, wasze dzieci. Ty cholerny kretynie, mógłbyś dalej z tym żyć?

Robert wolał nie odpowiadać bratu, że zamiar targnięcia się na swoje życie uważał w przypadku Barbary za niemożliwy i co najwyżej pozorowany. Nie zrobiłaby tego, z całą pewnością. Nie było też sensu przytaczać słów, jakich użyła jego żona na określenie Nicole i jej małej córeczki. Zresztą Jaś zapewne użyłby takich samych, o ile nie dosadniejszych.

Robert pragnął teraz mówić o czym innym.

- Chcę zobaczyć się z dziećmi przed wyjazdem - zakomunikował. - Nie mam czasu na podchody i błagania, a potem na czekanie tygodniami na pozwolenie. To moje dzieci, a moje prawa potwierdzi każdy prawnik.

- Nie próbuj nawet straszyć jej prawnikami! Błagaj ją, żeby ci wybaczyła, to wszystko, co możesz zrobić. W przeciwnym razie zapomnij o spotkaniach z dziećmi! Zresztą były świadkami tego, co się stało. Paweł nie mógł się uspokoić przez całą noc, a twoja córka zachowuje się tak, jakby diabeł w nią wstąpił.

- Zrozum, że właśnie dlatego chcę z nimi porozmawiać. Muszę im wyjaśnić...

- Ty durniu, co chcesz wyjaśniać dziewięcioletnim dzieciom?! Powiesz im, że odchodzisz od ich matki, bo opętał cię seks z inną kobietą?! Powiem ci, jak możesz im to wyjaśnić. Jeśli wybłagasz przebaczenie u Basi i ona pozwoli ci wrócić, a raczej pozwoli, bo niestety świata poza tobą nie widzi, wówczas delikatnie wytłumaczysz dzieciom, że było to fatalne nieporozumienie, a teraz ty prosisz, aby o wszystkim zapomniały. To jedyny warunek.

- To również moje dzieci.

- Co ty powiesz, wakacyjny tatusiu?! Policz na palcach dni, które z nimi spędziłeś. Twoja francuska córeczka miała ich z tobą niewiele mniej. Jako ojciec jesteś żaloszny. Jedyne, co umiałeś zrobić jako ojciec, to splodzić troje dzieci. Dalej twoje kobiety musiały już radzić sobie same.

Robert docenił, że Jaś nie wyrażał się jakoś szczególnie źle lub wulgarnie na temat Nicole! To już było coś! To skłoniło go do małego wyznania.

- To na nic, mój bracie. Nie wrócę już do Barbary, nawet jeśli miałbyś

mnie za to ukrzyżować. Nicole jest nieuleczalnie chora i chce być przy niej i przy naszej córce. Wszystko inne musi poczekać.

- Zostałbyś z Barbarą, gdyby stało się na odwrót? Gdyby to ona umierała?

- Co za głupie pytanie! - Robert sam już się nad tym nie raz zastanawiał. - To chyba oczywiste.

- Jasne, święty Robercie, niegdyś pobożny. Zostałbyś z Barbarą, a potem ją pochował. A na koniec ożenił się z tamtą, zadowolony, że tak to się dobrze skończyło. Obawiam się, że mogłoby tak się stać, gdyby Barbara, po awanturze z tobą, została zupełnie sama w domu.

„Nie mogłoby się tak stać” - odpowiedział w myślach Robert. Musiał jednak przyznać, że w toku rozumowania brata coś było. Sam tyle razy przecież w najtajniejszych zakamarkach swojego umysłu przyznawał, że gdyby Barbara jakimś sposobem zniknęła z jego życia, natychmiast ożeniłby się z Nicole. A wszystkie dzieci wychowywałyby się razem. To było jednak paskudne analizowanie - przyznawał to i czuł się winny.

- Nie dywagujmy jak głupie pensjonarki, tylko rozmawiajmy o faktach. A fakty są takie, że to Nicole potrzebuje teraz mojej pomocy.

- Zamierzasz wrócić do swojej żony po śmierci kochanki? - spytał twardo Jaś, patrząc na brata bez cienia sentymentu i współczucia. Straszne to było spojrzenie - tym jednym okiem. Wyglądało upiornie jak nigdy.

- Nie, nie ma takiej możliwości - odparł Robert lodowatym tonem.

Wolał, przynajmniej na razie, nie dodawać, że myśl o Barbarze budzi w nim niechęć i wstręt, którego nigdy nie czuł - aż do tej ostatniej rozmowy z nią i słów, jakie wtedy padły. Na myśl, że mógłby wrócić do tej kobiety, położyć się z nią do wspólnego łóżka, robiło mu się niedobrze.

- W takim razie rozmowę uważam za zakończoną - odezwał się Janek i podniósł się z krzesła.

- Przekaż jej pieniądze i informacje dotyczące konta i funduszu - odparł Robert i serce mu się ścisnęło, że tak się rozstają, może na zawsze.

- Nie robisz jej łaski w tej sprawie. Nawet gdybyś oddał jej wszystko, co masz, to i tak byłoby za mało.

Janek skierował się do drzwi, po czym, jakby po namyśle, odwrócił się.

- Aha, jeszcze jedno, byłbym zapomniał - rzekł i wymierzył bratu w twarz solidny cios pięścią. Robert, z powodu siły uderzenia i z powodu

kompletnego zaskoczenia, stracił równowagę i przewrócił się na podłogę.

Potem usłyszał już tylko odgłos zamykanych drzwi.

Nie pożegnał się z Pawłem i Urszulką. Nie dostał takiej możliwości od oburzonej rodziny. Napisał do dzieci, ale wątpił, czy przekazano im listy od niego. Zaadresował je zresztą do nich na adres Zaborowa, bo, jak się dowiedział, jego żona po kilku dniach wróciła do swojej rodowej siedziby. Ojciec również, dodatkowo jeszcze zraniony sprzedażą rodzinnego przedsięwzięcia w postaci gabinetu, nie miał ochoty widzieć się z nim. Pozostawało jedno – powrót do Paryża, do kobiety, która była treścią jego życia, do jedyne go dziecka, które wolno mu było widzieć, do siostry, która nie odwróciła się od niego, do życzliwych ludzi, którzy tam żyli.

Ostatniego wieczoru przed wyjazdem hotelowy lokaj zapukał do jego pokoju i oznajmił, że ktoś czeka na niego na dole.

- Jakiś mężczyzna z kobietą i chłopcem, proszę pana – oświadczył. - Odmówili podania nazwisk, więc nie wpuściliśmy ich na górę. Czy zechce pan zejść na dół, do holu, czy mamy im powiedzieć, żeby sobie poszli?

- Już schodzę – odparł zaintrygowany Robert.

To było coś nowego, nikogo przecież nie mógł się spodziewać.

Na dole rozejrzał się uważnie, bo ludzi kręciło się tu sporo, jednak dość szybko zauważył Jana Lubowicza, lokaja z Zaborowa. Robert, całkiem zaskoczony i zaniepokojony, już miał podejść do służącego i zapytać, czy w Zaborowie stało się coś złego, lecz nie zdążył.

- Tato, tato! - usłyszał wypełniony szlochem dziecięcy głos i nagle objęły go raniona Karolka.

Przejęty do głębi i nadal nie do końca wiedząc, co się dzieje, Robert pochylił się i mocnym ruchem przygarnął do siebie chłopca. Mały drżał na całym ciele, dygotał i szlochał.

„Baśka! Coś jej się stało. Jednak to zrobiła” - to była pierwsza myśl.

Wtedy jednak zauważył podchodzącą do nich Zosię Lubowiczową, pokojówkę z Zaborowa. Zaraz też zbliżył się jej mąż.

- Proszę się nie denerwować, panie Robercie - odezwała się cicho młoda kobieta. - Paniom ani dzieciom nic nie jest, oczywiście jeśli można tak powiedzieć w tej sytuacji.

- Chłopiec uparł się, aby pana zobaczyć - dodał Jan. - Groził, że ucieknie ze szkoły, jak się dowiedział, że pan wyjeżdża na dobre. Matce swojej nic nie

powiedział, ale zadzwonił do Zosi. Groził, że sam pojedzie do pana do Warszawy, jeśli mu nie pomożemy. Nie mogliśmy pozwolić, aby tak zupełnie sam... Pani Barbara nic o tym nie wie, proszę nas nie wydać.

- Na litość boską! Szkoła już na pewno ją zawiadomiła o zniknięciu chłopca - wyjąkał Robert, gdy tylko był w stanie wydobyć głos.

- Pojechaliśmy od razu do szkoły, przekonaliśmy księżę, że wszystko jest ustalone i Karol jutro wróci na zajęcia.

- Nie wrócę, tato, nigdy. Zabierz mnie ze sobą.

Chłopak dygotał na całym ciele, jakby miał silną gorączkę. Zwracali już na siebie powszechną uwagę, zarówno służby hotelowej, jak i pozostałych gości. Robert, obejmując chłopca, wskazał Lubowiczom, aby wyszli wszyscy razem na zewnątrz.

Wokół toczyło się wieczorne życie wielkiego miasta, lecz cała ich czwórka była teraz obojętna na jego niewątpliwe piękno.

- Nie gniewaj się, tato, proszę, nie gniewaj się na mnie - powtarzał jak w transie mały uciekinier.

- Ja miałbym się na ciebie gniewać, mój synku? - Robert poczuł łzy i nie wypuszczał chłopca z objęć. - Przecież kocham cię tak bardzo, i to od samego początku. Wiesz o tym, prawda?

- Tak, zawsze to wiedziałem. A teraz zabierz mnie ze sobą.

Zaprowadził Karola do ławki, znajdowali się bowiem tuż przy Ogrodzie Saskim. Sąsiednią ławkę zajęła dwójka wiernych służących.

- Wiesz, co się stało? - zapytał po chwili Robert, gdy już jako tako pozbierał myśli i zadawało mu się, że chłopak też trochę się uspokoił.

- Wiem. - Skinął głową. - Mama zadzwoniła do mnie do szkoły. Czasami w nagłych sprawach księża pozwalają korzystać z ich aparatu w kancelarii. Wiedziałem, że przyjeżdżasz do Warszawy, ale wtedy mama nie chciała mnie zwolnić ze szkoły. Powiedziała, że teraz muszę się uczyć, bo dość już mam zaległości przez ten wyjazd do Paryża w maju. Ale powiedziała też, że przecież idą wakacje i na pewno zobaczą się z tobą, jak już będę miał wolne od szkoły. A przedwczoraj zadzwoniła znowu i powiedziała, że ty znowu wyjeżdżasz, że nas zostawiasz i już nigdy nie wrócisz i że bym już nie pytał o ciebie nigdy. Wczoraj wyszedłem przez okno z pokoju chłopców i poszedłem na pocztę niedaleko szkoły. Chciałem zadzwonić do domu, a bałem się prosić księżę o pozwolenie zadzwonienia z kancelarii. I tak już

mówili, że za dużo tych telefonów do mnie, że to szkoła z dyscypliną, a nie internat dla rozpuszczonych paniczów z pałacu. Na poczcie pracuje taki miły pan i czasami pozwalał innym chłopcom dzwonić, tylko trzeba zapłacić. Ja miałem trochę pieniędzy. Zmieniłem sobie trochę głos i kiedy zadzwoniłem do Zaborowa, poprosiłem od razu Zosię. Ten nowy lokaj na szczęście mnie nie poznał. Powiedziałem, że Zosia jest moją ciotką.

„Po kim ty taki sprytny jesteś?” – pomyślał mimo woli Robert. „Nie po matce i nie po mnie”.

Znał oczywiście odpowiedź, a mimo to lekko się uśmiechnął. Widząc ten uśmiech Karol odetchnął z ulgą, nie był bowiem jeszcze pewien reakcji ojca. Robert wiedział jednak, że musi wreszcie zareagować. Nie mógł pochwalić chłopca tak po prostu.

- Naraziłeś się na niebezpieczeństwo. Mogła ci się stać krzywda. Nie rób tak więcej, synu.

- Nic się przecież nie stało. Zosia i Jan przyjechali zaraz następnego dnia rano. Zgodzili się pojechać ze mną do Warszawy. Nie byłem sam. Załatwili wszystko z księżmi.

- Prawie ich do tego zmusiłeś, grożąc, że i tak uciekniesz. Naraziłeś przecież także i ich. Pomyśl, co może zrobić im twoja mama, jeśli dowie się prawdy. Oboje mogą przez to ucierpieć.

- A jednak pomogli mi. Nie wydali mnie mamie po tym, jak zadzwoniłem do Zaborowa. Przecież Zosia mogła to zrobić, prawda?

Tak, bez wątpienia to była prawda. Spojrzał na służącą, ale nie odwróciła od niego wzroku. Patrzyła śmiało i spokojnie. To było mimo wszystko zdumiewające, bo przecież pokojowa mogła powiadomić Barbarę o planowanej przez Karola ucieczce, a jednak zrobiła coś zupełnie innego. Pomogła chłopcu. Dlaczego?

- Co ci się stało, tato? Czy ktoś cię uderzył? A może pobiłeś się z kimś? - spytał nagle Karol, dotykając delikatnie widocznego zasinienia na twarzy Roberta, śladu po wizycie Janka.

Robert mimo woli uśmiechnął się znowu, widząc błysk aprobaty w oczach chłopca.

- Powiedzmy, że wpadłem przypadkowo na drzwi - odparł i mrugnął porozumiewawczo. Siniak wzbudzał zresztą ogólne zainteresowanie, chociaż do tej pory nikt nie zapytał o jego pochodzenie.

- Jasne, tato - zawołał rozpromieniony w tej już chwili Karol, po czym powtórzył przymilnie: - Zabierzesz mnie ze sobą do Paryża, prawda?

- Nie, synu, naprawdę nie mogę - odparł Robert cicho i ponownie przytulił chłopca.

- Będę grzeczny, naprawdę. W ogóle nie będziesz musiał się o mnie martwić. Pójdę tam do szkoły. Pamiętasz, mówiłeś kiedyś, że to byłoby dobrze, gdybym chodził do szkoły za granicą. Umiem już mówić trochę po francusku, poradzę sobie. Zobaczysz, jak nam będzie dobrze.

Robert tulił chłopca i nie potrafił z siebie wydobyć słów. A mały dalej szukał kolejnych argumentów na poparcie swojego pomysłu. Jakże przypominał w tym momencie Olafa z dawnych beztrudnych studenckich czasów! A jednak był również jego synem, tak gorąco przezeń kochanym, tak przywiązany i zdolnym do poświęceń jak żadne z jego dzieci. Kochał go z całego serca i szczerze teraz żałował, że tak mało czasu spędzili w życiu razem. Przywiązanie tego chłopca, na które przecież jako ojciec nie do końca zasłużył, wymykało się wszelkim schematom i rozumieniu. Marzył on o tym, aby tata zabrał go ze sobą, jednak nie było to teraz możliwe. Może nigdy już nie będzie.

- Chcę pojechać z tobą do cici Ali - szlochał mały. - Będę do niej przychodził jak Alan i Ralf.

- Synku, ja tam nie jadę do cici Ali - odezwał się wreszcie Robert. - Nie wiem, ile ty już wiesz, ale wolę, abyś usłyszał pewne rzeczy ode mnie.

Mówił powoli, łagodnie, w miarę spokojnie. Trudno, jeśli zabroniono mu porozmawiać z dziećmi, robi to teraz wobec tego chłopca, którego należało traktować poważnie pomimo jego młodego wieku.

- We Francji mieszka kobieta, która jest mi bliska, którą bardzo kocham. Ja wiem, że to dla ciebie nie do przyjęcia. Twoja mama jest moją żoną i też jest mi bliska, ale tamta kobieta jest bardzo chora i muszę się nią teraz zająć.

Chłopiec słuchał ze spuszczoną głową. Nie reagował, więc Robert zebrał się na odwagę i mówił dalej.

- To jeszcze nie wszystko, mój synu. Tam, w Paryżu, masz jeszcze jedną siostrę. Jest jeszcze bardzo mała i niedługo zostanie sama, bez matki. Czy potrafisz wyobrazić sobie życie, gdyby zabrakło matki? Kochasz swoją, więc czy potrafisz wyobrazić sobie świat bez niej?

- Mam drugą siostrę? - Karolek nagle podniósł głowę i oczy niespodziewanie mu zajaśniały.

- Tak.

Robert popatrzył na małego ze zdumieniem.

- Czy ją zobaczę?

- Bardzo bym tego chciał. Tak, myślę, że spotkacie się i na pewno zaprzyjaźnicie.

Nie spodziewał się takiego przebiegu rozmowy.

- Mama na to nie pozwoli. Dlatego muszę pojechać z tobą od razu.

- Nie możesz, synku. Zabrałbym cię z radością i zamieszkałbyś tam z nami...

- No właśnie...

- Ale twoja mama nie zniosłaby rozstania z tobą. Jesteś jej najstarszym dzieckiem, nikogo nie kocha tak jak ciebie.

- Nie, to nieprawda. Wysłała mnie do szkoły i rzadko ją widuję.

- Źle ci w tej szkole?

- Może być, mam tam kolegów.

- No widzisz...

- Ale już tak nie tęsknię za mamą. Ona już ma inne sprawy, ciągle myśli o innych rzeczach. Gdyby nie Zosia, Jan i Paweł to mógłbym już nie przyjeżdżać do Zaborowa. No, może jeszcze czasami babcia.

- Jednak to mama kocha cię najbardziej. Ma tylko tyle spraw na głowie i nie zawsze może to okazać.

- Chcę poznać moją drugą siostrę.

- Poznasz ją, przysięgam ci, synu. Teraz nie mogę cię zabrać, bo twoja mama umarłaby chyba z żalu.

„Przeklełaby mnie na wieki, nasłałaby policję wszystkich krajów albo płatnego mordercę” - dopowiedział sobie w myślach i prawie roześmiał się na głos. Jednak cała ta sytuacja, dramat tego dziecka - to nie było śmieszne ani na jotę.

- Jesteś najstarszy. Twój brat i siostra, których masz tutaj, bardzo cię potrzebują.

- Pawła możemy później zabrać do Paryża. Jego nie zostawiłbym tu na długo samego. Nie poradzi sobie w szkole z chłopakami beze mnie.

- A Ula? - Nagle do Roberta jakby dotarło coś groźnego, a już na pewno

nie do końca miłego.

- Nie cierpię jej. Jest niedobra. Wszyscy tak mówią. Zawsze chciałem mieć inną siostrę... i mam! - zakończył z triumfem chłopiec.

Robert westchnął. Nie miał już czasu zająć się jeszcze jednym problemem - wrogością między jego własnymi dziećmi tu, w Polsce. Zresztą nigdy nie miał dla nich czasu. Janek w tym jednym przynajmniej miał rację, nazywając go wakacyjnym tatusiem. Był ojcem od święta, od zabawy i fajerwerków. Od codzienności była Barbara i sama jedna nie mogła sprostać wszystkiemu. A jego jako ojca zabrakło właśnie wtedy, gdy rodziły się kolejne kłopoty i problemy. Synowie może mimo wszystko sobie poradzili. I poradzą w przyszłości, choć każdy po swojemu. Ula pogubiła się zupełnie, a może być jeszcze gorzej.

- To moja wina - powiedział sam do siebie, jednak na głos i Karol natychmiast zareagował.

- Nie, to nieprawda. Ty byłeś zawsze dobry. Ty jesteś najważniejszy, tato.

- To, że odchodzę, nie jest dla was dobre. Jednak to robię. - Robert wytarł dłonią łzy, które znowu pojawiły się na policzkach syna. - Nawet nie wiem, czy mogę prosić cię o wybaczenie.

- Przecież sam powiedziałaś, że musisz to zrobić, bo ta pani jest bardzo chora.

- Ty nie czujesz do mnie złości, żalu? - spytał po chwili Robert. Nie dowierzał w to, co słyszy.

Chwilami nie mógł uwierzyć, że ta rozmowa, to niesamowite spotkanie z Karolem dzieje się naprawdę, że to nie sen.

- Nie - odparł chłopiec i spojrzał mu nagle prosto w oczy z dziwnie nieprzejeđnanym wyrazem. - Mama chciała zrobić to samo. Wszyscy mówili, że próbowała.

Zosia podniosła się z ławki i chciała szybko podejść do chłopca, jednak jej mąż powstrzymał ją. Robert, choć trochę zdumiony tym, co usłyszał, nie zamierzał jednak drażnić tematu i wypytywać chłopca. Cokolwiek Barbara zrobiła, cokolwiek miała na sumieniu, nie obchodziło go to wcale, było mu najzupełniej obojętne.

- Był taki rosyjski oficer, który z innymi żołnierzami stacjonował w domu, w Zaborowie przez jakiś czas. Wszyscy widzieli, jak mama go

lubiła. On ją też lubił. Ciągłe gdzieś razem chodzili. Wszystkie dzieciaki śmiały się ze mnie, Ulki i Pawła. Babcia była zła, ludzie gadali. Ula kiedyś ze złości schowała mu czapkę. Cały dzień jej szukał.

- Obiecuj, że nie będziesz już o tym myślał i nie powiesz nic złego o swojej matce. Została z wami i była przy was cały czas.

- Mam nadzieję, że tamten Rosjanin potem zginął na wojnie.

- Obiecuj też, że nikomu nigdy nie będziesz życzył śmierci. Ja dość się już na nią napatrzyłem na wojnie i jeszcze ją w życiu zobaczę. Nie chcę, byś życzył ludziom śmierci. Czy mnie rozumiesz, Karolu?

Patrzył na chłopca z taką powagą, że chłopak skinął w końcu głową.

- Dobrze. Obiecuję ci, tato.

- Jesteś dzielny i bardzo mądry. Zawsze byłem dumny z mojego najstarszego syna. Obiecuję, że przyjedziesz do mnie do Francji. Nie wiem kiedy, ale to się stanie, z całą pewnością. Codziennie będę o tym myślał i na pewno się uda. Będziesz się tam uczył...

- Będę lekarzem tak jak ty - zapewnił go skwapliwie chłopiec.

- Wszystko jest możliwe. - Robert ponownie poczuł wzruszenie. - Jesteś mądry i zdolny, dlatego wszystko jest dla ciebie możliwe. Jestem o ciebie spokojny, poradzisz sobie. Jednak jesteś też najstarszy i na razie twoje rodzeństwo i mama potrzebują cię tutaj. Potem... nawet sam będziesz miał prawo decydować o tym, gdzie chcesz żyć. Pamiętaj.

Chłopiec z widocznym wysiłkiem pokiwał głową i westchnął ciężko za niespełnionym jak na razie marzeniem wyjazdu z ojcem.

- A teraz chciałbym przez chwilę porozmawiać z Zosią - rzekł spokojnie Robert.

Karol bez protestów podszedł do Jana Lubowicza i obaj oddalili się nieco w kierunku jakiegoś sprzedawcy lodów. Robert zaprosił pokojówkę, aby usiadła obok niego. Próbował zebrać myśli. Teraz, gdy syn się oddalił, czuł, że nerwy trzymane dotąd na wodzy niebezpiecznie uwalniają się przez wzruszenie.

- Czy naprawdę księża bez problemów pozwolili wam zabrać małego?- spytał, choć akurat ta kwestia niespecjalnie go interesowała. Chciał jednak pozbiierać się, zanim zada inne, ważniejsze pytania.

- Wszystko będzie w porządku, zapewniam pana. Jutro chłopiec będzie już na lekcjach. Za dwie godziny mamy powrotny pociąg. Co najwyżej Karol

będzie tylko trochę zmęczony.

Zawsze mówiła zwięźle, nie traciła słów. Zawsze udzielała logicznych, jednoznacznych odpowiedzi. Wiedział, że i ona była w swoim czasie krótko związana z Olafem, ale nigdy tego nie komentował. To nie było ważne. Liczyło się tylko jej bezgraniczne oddanie jego dzieciom. Była dla nich zawsze jak matka, także wtedy, a zwłaszcza wtedy, gdy Barbara nie była w stanie temu wyzwaniu sprostać.

- Dziękuję - powiedział zatem, tak po prostu, chociaż nie był pewien, czy to nie za mało.

Zosia swoim zwyczajem spojrzała mu spokojnie prosto w oczy.

- Nie ma za co, proszę pana. Nie mogłam pozwolić, aby dziecko podróżowało samo.

- Mogłaś jednak o wszystkim powiedzieć mojej żonie. Mały nie miałby wtedy szans wyslizgnąć się ze szkoły. Świątobliwi ojcowie skutecznie by go przypilnowali.

- Karol zadzwonił do mnie, bo mi ufał. Wiedział, że nie zdradziłabym go nigdy.

- Dziękuję jeszcze raz. Nie tylko za to, że go tu przywieźliście oboje z mężem. Mój syn ci zaufał, bo traktowałaś go jak własne dziecko. Jego i jego rodzeństwo. Moja żona i teściowa nie dałyby sobie rady bez ciebie. Taka opiekunka jak ty to prawdziwy klejnot. Może nie mam prawa tak do ciebie teraz mówić...

- Dlaczego nie ma pan prawa?

Na poważnej twarzy Zosi wreszcie ukazał się słaby uśmiech. To go ośmieliło do odpowiedzi.

- Wiesz przecież, co wydarzyło się w życiu mojej żony i moim. Na pewno, jak cała reszta, uważasz mnie za skończonego łajdaka. Być może nim jestem.

- Nie - odpowiedziała prawie natychmiast. - Nie uważam tak.

To było mimo wszystko zaskakujące. Przyjrzał się kobiecie, która usługiwała jego żonie od lat. Kiedyś, jako młode dziewczyny, były prawie ze sobą zaprzyjaźnione, oczywiście do pewnych granic wyznaczonych przez przynależność do różnych warstw społecznych.

- Nawet gdybym tak uważała, nie miałyby to żadnego znaczenia. To są sprawy między panem a panią, mnie nic do tego. Lecz dzieci to co innego.

Dzieci to już moja sprawa. Sam pan powiedział. Nosiłam je na rękach, tuliłam do snu i kołysałam, gdy pani chorowała po ich urodzeniu. Początkowo zresztą pomagała mi w tym pana siostra. Potem zawsze biegły do mnie, jak miały jakiś problem. Najstarszym zaczęłam się zajmować, gdy już biegał i mówił. Potem zawsze najbardziej lubił rozmawiać właśnie ze mną, a przynajmniej dopóki nie przyjechała tu pani Alicja. Dlatego mam prawo wtrącić się teraz, choćby w tajemnicy przed panią Barbarą. Mam prawo powiedzieć, że pani Barbara nie ma racji, zabraniając dzieciom kontaktów z ich ojcem. To źle, bardzo źle. Sama przecież wychowała się bez ojca.

Robert słuchał w milczeniu, po raz kolejny tego wieczora całkowicie oszołomiony. Nie spodziewał się, że tu, na miejscu spotka jeszcze życzliwych sobie ludzi.

- Nie uważam też pana za łajdaka - dodała Zosia bez cienia wahania. - Zawsze pana lubiłam. Był pan wobec mnie miły i kulturalny. Nie usłyszałam od pana ani jednego niedobrego słowa. Lubiłam też pana brata i siostrę. Proszę ją ode mnie pozdrowić. Nigdy mnie nie okłamała i dała nadzieję, która wiele mi pomogła. Życzę panu szczęścia.

- Za późno już na szczęście - odparł cicho Robert.

Pokiwała głową. Wiedziała widać o wszystkim.

- Czasami warto nawet parę miesięcy w życiu być prawdziwie szczęśliwym - odparła.

Pragnął ją za to uściskać, z trudem się opanował. Chciał coś szybko powiedzieć, bardzo szybko, zanim rozbeczy się jak dzieciak, w dodatku w publicznym miejscu.

- Jak wytłumaczyliście w domu wyjazd do Warszawy? - spytał wobec tego, chociaż wcale nie był tego ciekawy.

- Powiedzieliśmy, że jedziemy po poradę lekarską do specjalisty - odparła Zosia i oczy jej zalśniły.

Robert wiedział, o co chodzi. Znał problem Lubowiczów i ich niespełnione pragnienie posiadania własnego potomstwa. Czasami nawet myślał, jak im pomóc, ale na myśleniu się kończyło. Skoro nie miał czasu dla rodziny, tym bardziej nie miał go dla zaborowskiej służby.

- Ja też życzę wam obojgu wiele szczęścia - powiedział więc tylko.

- Dziękuję, przyda się. Już jest początek! - Nagle promienny uśmiech

rozjaśnił jej twarz. Znowu była tak ładna jak niegdyś. - Naprawdę byłam dziś u lekarza, jak tylko przyjechaliśmy do Warszawy. Jan z Karolkiem poszli w tym czasie do restauracji zjeść obiad. Ja byłam u lekarza. Stał się cud, panie Robercie. Bóg wysłuchał naszych modlitw. Spodziewam się dziecka.

Łzy popłynęły po jej roześmianej twarzy. Wciąż uśmiechała się promiennie.

- Bardzo się cieszę. - Robert już się nie wahał i położył obie dłonie na jej ramionach. - Oboje w pełni na to zasłużyliście.

Nicole potrafiła wiele wynagrodzić, jednak, zwłaszcza na początku, było mu trudno. Mógł się tego wcześniej spodziewać, zresztą brał pod uwagę wyrzuty sumienia i tęsknotę za dziećmi, a nawet niepokój o Barbarę. To były kwestie, z którymi zawsze się liczył. A jednak w praktyce okazało się to trudniejsze, niż kiedykolwiek wcześniej zakładał. Przez całą drogę do Paryża nie zmrużył oka. Wciąż czuł ramiona Karolka zaciśnięte na jego szyi, gdy żegnał go na dworcu w Warszawie przed powrotem do Krakowa. Gdyby nie Lubowiczowie, którzy w końcu siłą odciągnęli chłopca, prawdopodobnie pociąg do Krakowa odjechałby bez niego.

- Będę do ciebie pisał, synu, tak często, jak tylko się da - zapewnił go po raz kolejny poruszony do głębi Robert.

- Ja będę pisał do ciebie, tato, codziennie. Zobaczysz, przysięgam - mówił mały, cały we łzach.

Ustalili bowiem, że Robert będzie pisał listy do syna na adres brata Jana Lubowicza, a ten będzie je przysyłał do Zaborowa na nazwisko właśnie pracującego tam Jana. Jan z kolei będzie dostarczał korespondencję chłopcu. Jeśli zaś chodziło o Karolka, sprawa była prostsza, mógł do ojca pisać ze szkoły na adres Ali. Na wszelki wypadek ustalili, że nie będzie to jednak adres mieszkania Nicole. Młodszych dzieci postanowiono na razie w to nie wtajemniczać. I bez tego proceder był dość ryzykowny.

„Zaiste, nasz naród ma smykałkę do konspiracji, i to już od małego” - to była jedyna pogodna myśl, jaka nawiedziła Roberta w czasie podróży.

Spotkanie z Nicole osłodziło mu gorycz warszawskich doświadczeń. Wyglądała wprost zniewalająco pięknie i od razu zapewniła go, że czuje się znakomicie. Zamieszkali razem, co wywołało uzasadnione ożywienie w całej kamienicy. Razem żyli, razem zajmowali się dzieckiem, razem dbali o dom. Byli jak prawdziwa rodzina, jak prawdziwe małżeństwo, i od początku mieli nieodparte wrażenie, że realizowali jedynie swoje przeznaczenie. Robert od razu też został zatrudniony w jednym ze szpitali paryskich, w czym oczywiście, zgodnie z obietnicą, pomógł mu Raul. Słowem mogło być to doskonałe szczęście, gdyby nie wspomnienia, poczucie winy, tęsknota, i to nie tylko za dziećmi.

Niemal żałował, gdy siniak na twarzy w końcu zniknął. To było głupie, ale żałował tej ostatniej pamiątki po bracie. Wiedział, że to niedorzeczne, ale nie mógł oprzeć się temu uczuciu. Pragnął pogodzić się z Jankiem, pragnął, by uścisnęli sobie dłonie. Zamiast tego musiał przywyknąć do myśli, że to być może nigdy już nie nastąpi.

Myślał też o Barbarze i z każdym dniem jego złość do niej malała, a pozostawał żal, że tak się to potoczyło, że byli na to skazani chyba od samego początku. Tak naprawdę przecież nigdy nie było do końca dobrze w ich związku. Zawsze odnosił wrażenie, że coś jest nie tak. Czy ona nie miała tego poczucia? Nie tylko dlatego, że przeważnie żyli osobno. Będąc z Nicole, widział to tak wyraźnie, chociaż nadal nie potrafił tego nazwać – tego osobliwego poczucia bliskości, jedności, spełnienia. Osobliwego przekonania, że to jest ta jedyna osoba, właśnie jemu w życiu przeznaczona, z którą jest dobrze milczeć i dobrze rozmawiać, dobrze spędzać upojne godziny miłości i dobrze leżeć obok siebie, odpoczywając. Taka druga połowa własnego ja, do której zawsze spieszymy, aby się spotkać po pracy i być przez resztę czasu razem. Na dobre i na złe, w zdrowiu i chorobie... aż do końca życia. Nie wyobrażał już sobie, że mógłby pracować daleko od tej kobiety, że mógłby ją zostawiać samą na całe tygodnie, miesiące i lata, przyjeżdżać do domu od czasu do czasu. A przy Barbarze nie miał z tym większych problemów, i to od samego początku.

Tak, to był zupełnie inny związek i całkiem inaczej wewnętrznie przeżywany. A jednak... poczucie winy wobec żony czaiło się w głębi jego umysłu. Czasami nie mógł spać, podnosił się z łóżka, szedł do pokoiku Sylwii i patrzył godzinami na dziecko. Uwielbiał tę córeczkę, urodzoną z wielkiej namiętności przez jego ukochaną kobietę. Nie mógł jednak wtedy nie myśleć o starszych dzieciach i okolicznościach ich narodzin. Jak bumerang wracało wspomnienie Barbary, która, zmagając się z nieludzkim cierpieniem porodu, błagała go, by ratować te dzieci, ich wspólne dzieci.

Żałował, że nie pomyślał o tym, gdy tak brutalnie się z nią rozstawał. Byłby wtedy delikatniejszy, tak jak to sobie wcześniej obiecywał. Zniósłby w milczeniu te wszystkie obelgi, jakimi obrzucała Nicole i Sylwię, te niesprawiedliwe oskarżenia pod adresem Ali. Spokojnie by tego wysłuchał i może wreszcie Barbara, wykrzyczawszy swoją rozpacz, uspokoiłaby się także. Mógł inaczej to rozegrać. Niestety wszystko wymknęło się spod

kontroli, a teraz było już za późno. Może zresztą nic by to i tak nie dało? Emocje były wtedy zbyt wielkie. Może dopiero po kilku latach, gdy czas zrobi już swoje, ludzie potrafią usiąść i spokojnie porozmawiać o zadanym sobie nawzajem bólu? Tak czy owak, powinien był w milczeniu znieść krzyki Barbary i wszystkie te słowa, którymi go uraczyła.

- Miała do tego prawo - wyjaśniła mu Nicole, gdy niechętnie i z ociąganiem opowiedział jej o wszystkim. - Nienawidzi mnie, bo w jej przekonaniu ukradłam jej męża, a dzieciom ojca. Tak się przecież w pewnym sensie stało i nie będę się usprawiedliwiać. Powiedz sobie to samo.

Mówił więc sobie to samo, ale poczucie winy nie chciało go opuścić. Nicole o tym wiedziała i czasami, gdy budziła się w nocy i nie widziała go obok siebie w łóżku, wstawiała i szła do niego. Gdy znajdowała go siedzącego przy łóżeczku Sylwii, siadała obok. Podobnie, gdy widziała, że siedział sam w mroku saloniku.

- Wybacz mi, że musisz na to patrzeć - powiedział jej kiedyś. - To pewnie odbiera ci całą radość z naszego wspólnego życia.

- Nie mogłabym cię tak kochać, gdybyś podchodził lekko do tego, co się stało - odpowiedziała wtedy, tuląc się do niego.

Nie miał wątpliwości, że zrobił dobrze... Że dokonał słusznego wyboru, jedyne wyboru. Tyle że to tak cholernie bolało, i to nie tylko jego.

Bał się pytać Alę o listy od rodziny. Domyślał się tylko, że siostra była nimi zasypywana. Może ojciec, Janek, Marta oczekiwali od niej jakiegoś działania, interwencji? Może Barbara zarzucała ją pretensjami? Wolał nie wiedzieć, a Ala nic nie mówiła. Jej też musiało być ciężko, stała przecież pod prężeniem rodziny jako ta, która nie odwróciła się od niego. Nic o tym nie mówiła, była niezawodna. Przychodziła do Nicole, pomagała, w czym się tylko dało. Oni sami spędzali z nią wiele czasu.

Byli przy nich także inni. Również Raul Renet, którego Robert uważał już niemal za brata. Głupio mu było, że przez tyle lat nie potrafił przekonać się do przyjaciela Ali. Teraz to wszystko należało już do przeszłości. Teraz marzył o tym, by w przyszłości stali się dla siebie prawdziwą rodziną. Pragnął, aby i siostra wreszcie przejrzała na oczy, tym bardziej że przecież przed nią i Raulem nie było żadnych przeszkód prawnych. Mieli wręcz wymarzoną sytuację, niedostępną dla niego i Nicole. Istniały jednak inne przeszkody, a te nie pozwalały się sforsować.

- Teraz najważniejsza jest Nicole - odpowiedziała mu siostra, gdy pewnego wieczora próbował delikatnie wysondować, czy przyjaźń jej i Raula nabiera może innego charakteru.

Dał więc spokój, choć z żalem. Nicole, rzecz jasna, była najważniejsza, lecz życie miało swoje prawa i pragnął widzieć swoją siostrę szczęśliwą.

Jeśli zaś chodziło o Nicole, to sytuacja wyglądała na razie stabilnie - jej stan się jeszcze nie pogarszał. Wprawdzie znowu zeszczupiała, sama jednak śmiała się z tego, żartobliwie wskazując na miłosne przyczyny tego faktu. Przestrzegała skrupulatnie wszystkich lekarskich nakazów, nie przemęczała się, sporo przebywała na powietrzu, a nawet planowała sierpniowy wyjazd z Alą nad morze, na Lazurowe Wybrzeże. Robert, z racji tego, że dopiero podjął pracę, nie mógł im towarzyszyć, ale z pomocą zaoferował się Raul, który mógł wygospodarować na ten cel tydzień czasu.

- W każdym razie chętnie zatrzymamy chłopców na dłużej - odparła Ala.
- Po co mają siedzieć latem w Paryżu?

Raul przystał na to z ochotą, a tym bardziej jego synowie. Zatrzymali się w małym nadmorskim hoteliku niedaleko Biarritz, a Ala z Nicole i trójką dzieci spędziły tam ponad dwa tygodnie. Można było zostać dłużej, ale to Nicole oznajmiła, że osiemnaście dni w pełni jej wystarczy. Nie chciała rozstawać się na dłużej z Robertem i każdy to rozumiał.

- Mam nadzieję, że zimą zdołamy już wyjechać gdzieś razem - mówiła pogodnie do Ali i Raula, którzy ukradkiem wymienili się spojrzeniami.

- To podobno ważne, abyś zimą mogła pojechać w jakieś cieplejsze miejsce - odparła Ala, bo odniosła wrażenie, że Nicole czeka na jakąś odpowiedź.

- Doprawdy, tak się mną wszyscy przejmujecie, że aż mi głupio - zawołała ze śmiechem Nicole. - Naprawdę już dobrze się czuję. Zwłaszcza tu, z dala od tłumów, w tym czystym nadmorskim powietrzu oddycham już zupełnie swobodnie. Robert jednak uważa, że zimą powinnam ponownie wyjechać z Paryża. Oby tylko mógł mi towarzyszyć. Bez niego nigdzie się nie ruszam, od razu to oświadczam. Za rok Sylwia pójdzie do szkoły i trzeba będzie już wszystko planować inaczej. Zresztą wtedy nie będziemy już nigdzie wyjeżdżać, o ile spełni się moje marzenie.

- Jakie marzenie? - spytała Ala, gdyż znowu miała wrażenie, że szwagierka oczekuje od niej tego pytania.

Spacerowali we troje brzegiem morza, a chłopcy razem z Sylwią rzucali piaskiem i muszelkami. Akurat w tej miejscowości nie było tłumów turystów, dlatego plaża niemal świeciła pustkami.

- Dobrze, powiem wam! - Nicole ponownie się roześmiała i jej twarz oblał rumieniec. - Myślę o następnym dziecku. Myślę, że to już pora. Marzę o dziecku, które od samego początku będzie miało dwoje rodziców.

Ala zatrzymała się raptownie i najpierw mimo woli szybko spojrzała na Raula. Ugięły się pod nią nogi.

- Jesteś w ciąży? - wyjąkała.

- Nie, jeszcze nie - odparła beztrzesko Nicole. - Chociaż sama dziwię się dlaczego, bo przecież nie zamierzam tego unikać.

Ala, w niewidoczny sposób, lecz odetchnęła z ulgą. Ciekawe, czy jej brat zdawał sobie sprawę z marzeń tej kobiety? Wątpliwe, by Nicole mogła po raz kolejny zająć w ciąży. Wątpliwe nie oznaczało jednak, że niemożliwe. Tyle że nie miałyby szans jej donosić i urodzić zdrowego dziecka. W dodatku mogło to przyspieszyć jej śmierć. Jak jej to jednak powiedzieć?

- Spokojnie, Alice, sama przecież rozumiem, że muszę z tym poczekać jeszcze kilka miesięcy. Wcale teraz nie żartuję.

Głos Nicole nadal brzmiał wesoło, ale ona sama przestała się już śmiać. Najwyraźniej mówiła poważnie.

- Nie moja sprawa, ale też tak myślę - wydusiła z siebie Ala.

Jeszcze nie do końca do siebie doszła.

- Czuję się już dobrze, jak mówiłam. Dobrze, że wtedy Robert zmusił mnie do pójścia do szpitala. Bardzo mi to pomogło. Jednak, mówiąc między nami, nie mam jeszcze tyle sił, co kiedyś. Nadal jestem trochę słaba i dość szybko się męczę. To podobno normalne, ale nie chcę na razie narażać organizmu na dodatkowy wysiłek.

- Bardzo rozsądnie.

Ala poczuła, że musi na chwilę zostawić Nicole tylko z Raulem i podejść do dzieci. Ta rozmowa ją przerosła. Udając zatem, że chce coś powiedzieć najmłodszemu, skierowała się nad brzeg morza. Łzy napłynęły jej do oczu i miała wrażenie, że jeszcze chwila, a się rozplacze.

- Poza tym chciałabym, aby moje ewentualne dziecko miało towarzysza zabaw - dodała Nicole, patrząc za oddalającą się Alą.

- Dzieci akurat nie brakuje wśród naszych paryskich przyjaciół - odparł

Raul i uśmiechnął się do niej zdawkowo.

- Oczywiście, ale ja mam na myśli rówieśnika, i to w rodzinie. O takiego trzeba się dodatkowo postarać.

- Z tym, przyznaję, może być problem. Z rodziną jako taką jest już problem.

- Nie rozumiesz, co mam na myśli? - spytała i przyjrzała mu się uważnie.

- Jestem gruboskórnym samcem i nigdy nie nadążałem za niuansami kobiecych zagadek. Lubię tak zwaną mowę wprost.

- Wobec tego powiem wprost. Wiem, że coś do niej czujesz, i to od dawna. Wszyscy są za. Wiem oczywiście, w czym tkwi problem, rozumiem moją bratową i podziwiam. Jednak mam wrażenie, że gdybyś bardziej się postarał, gdybyś ją przekonał... Jej serce nie jest z ołowiu... ani jej ciało. Mojemu bratu udało się to kiedyś, tym bardziej uda się tobie. Waltera prawie nie znała, ja byłam przeciwna. Ty zaś byłeś obecny zawsze. Serce boli, gdy się patrzy na was... osobno. Raul, przecież potrafisz zdobywać bez problemu... Dlaczego więc...

- Nie, Nicole - odparł spokojnie, lecz zdecydowanie.

- Wybacz, że jestem nachalna, ale dlaczego nie? - Odważyła się zadać to pytanie.

- Bo tu chodzi o Alice, a nie o jakąś tam kobietę, która mi się akurat podoba.

- Wobec tego wybacz, że się wtrącałam. Widocznie widziałam to, co chciałam widzieć, a prawda nie ma z tym nic wspólnego. Jesteście przyjaciółmi. To wszystko. Nie moja sprawa.

Raul ujął ją delikatnie za łokieć i zatrzymał.

- Wyjaśniłem to kiedyś Robertowi, ale dość ogólnie. Jest przecież jej bratem. Sądziłem jednak, że tobie niczego wyjaśniać nie muszę. Sądziłem, że ty wiesz i rozumiesz. Widziałas małżeństwo Alice i twojego brata, spędziłaś z nią tak blisko te najgorsze dla niej lata. Przecież byłaś tu wtedy, to ty byłaś zawsze na miejscu, nie ja.

- Tak, i dlatego smutno mi, kiedy na nią patrzę. Rozumiem ją, ale marzę dla niej o innym życiu.

- Nicole, ty nic nie rozumiesz. Pozwól zatem, że powiem to wprost, bez owijania w bawełnę...

Zdumiona, skinęła głową, a Raul poprowadził ją pomału dalej.

- Wiesz, że nie jestem święty i niczego sobie w życiu nie odmawiałem. Jednej jednak rzeczy nie robiłem nigdy, jakoś nie mogłem. Nigdy nie byłem w łóżku z dwiema osobami na raz. Mówiąc wprost, nigdy nie robiłem tego we troje. I nie mam takiego zamiaru. Rozumiesz teraz, o co chodzi? O kogo chodzi?

Nicole zmieszała się, ale po chwili śmiało spojrzała Raulowi w oczy.

- Mój brat nie będzie wam w niczym zawadzał. Z pewnością wtedy odejdzie już na dobre, bo zawsze pragnął jej szczęścia. Powiedział mi to, gdy zęgałam go po raz ostatni. On był...

- Był porządnym facetem, nie mam co do tego wątpliwości. Tyle że Alice ma swoją wolną wolę. Sama przecież wiesz, że nie zawsze jesteśmy panami własnych uczuć i myśli. - Spojrzał na jej przygasłą nagle twarz i przyjaźnie dotknął jej policzka. - Nie martw się, Nicole, takimi sprawami. Szkoda twojego zdrowia. Trzeba pogodzić się z tym, że nie na wszystko mamy wpływ, i brać życie takim, jakie jest. Zresztą będę musiał pomówić z Alice, ale w innej sprawie. Otóż muszę was opuścić na jakiś miesiąc i wybrać się za ocean. Mój współnik mnie wzywa. Mamy tam sprawy bankowe, które wymagają mojej obecności. Myślałem nawet, aby zabrać chłopców. Spotkaliby się z dziadkami... Jednak ze względu na szkołę muszę ten punkt programu przesunąć w czasie. Zapytam Alice, czy nie zabawiłaby się w mamuszkę przez ten miesiąc. Nancy nie poradzi sobie sama.

- Myślę, że Alice będzie zachwycona - odparła Nicole, porzucając z żalem poprzedni temat rozmowy.

- Widzę, że dobrze sobie radzi z dziećmiakami.

- Dobrze sobie radzi? Gdybyś ją widział z jej własnym dzieckiem, z Melanie... Ja tego nie zapomnę nigdy.

- Nie powiedziałbym jeszcze dziesięć lat temu. Pamiętasz, jaka była? Dziecka nie dotknęłaby nawet niechcący.

- Była mi wtedy zupełnie obca pod względem mentalnym. A teraz, obok Roberta i Sylwii, to najbliższa mi osoba. Czasem zadaję sobie pytanie, co stałoby się ze mną, gdyby Walter nie zwrócił na nią uwagi, gdyby nasze drogi się rozeszły...

W drugiej połowie sierpnia Raul wypłynął do Nowego Jorku, a Ala niemal codziennie przychodziła do jego domu, aby rzucić okiem na to, co tam się dzieje. Dom ten zresztą, dzięki sprawnym rządom Nancy, funkcjonował całkiem poprawnie. Raul nie raz przecież wyjeżdżał w interesach, nigdy jednak do tej pory nie zniknął na aż tak długo. Nawet najbardziej kochająca i kochana piastunka nie mogła chłopcom wystarczyć, bo jednak tęsknili za ojcem. Ala była dla nich prawdziwą pociechą, ale też nie lada wyręką dla Nancy. Wprawdzie Raul zatrudnił trzy dodatkowe osoby do prowadzenia domu, niemniej Nancy od czasu do czasu także potrzebowała gdzieś wyjść lub odpocząć, i tylko Ala wydawała się jej osobą prawdziwie godną zaufania do opieki nad dziećmi.

Dla Ali było to prawdziwe wyzwanie. Nie chodziło bynajmniej o dodatkowe obowiązki. Lubiła tych chłopców i zajmowanie się nimi nie było dopustem Bożym. Chodziło raczej o to, że cała służba w domu Raula traktowała ją jak nieformalną panią tego domu, a ona nie miała pojęcia dlaczego. Czyżby Nancy coś takiego zasugerowała tym ludziom? Opiekunka marzyła wprawdzie o takim układzie od dawna - należała bowiem do silnej koalicji popierającej takie rozwiązanie - nie ośmieliłaby się jednak od marzeń przejść do konkretnego działania. Może więc ci ludzie sami doszli do podobnych wniosków, choć trudno jej było dociec dlaczego.

Wobec tego Ala wolała zabierać chłopców do swojego domu, by tam przypilnować ich na przykład przy odrabianiu lekcji, niż kręcić się zbyt często po mieszkaniu przyjaciela. Gdy chłopcy przebywali na zajęciach w szkole, biegła do Nicole, aby i jej pomóc. Co za szczęście, że nauczona była od dawna i pracy i zarządzania czasem w sytuacji spiętrzonych obowiązków. Po raz kolejny błogosławiła wszystkie pobyty w Zaborowie, dzięki którym nabyła tyle praktycznych, a tak jej teraz potrzebnych umiejętności.

Dzięki temu też mogła myśleć o Zaborowie bez przykrości, jaka ostatnio towarzyszyła wspomnieniom tego miejsca. Nie miała teraz czasu analizować faktu, że listy z Polski przybywały już tylko sporadycznie, z Zaborowa zaś nigdy. Po zerwaniu Roberta z Basią Ala musiała odpowiadać niemal jednocześnie ojcu i Jankowi.

Nie mam wpływu na życie Roberta. Próbowałam już wszystkiego, ale to

na nic. Sugerujecie, abym potraktowała go tak jak Wy, to znaczy, bym przestała go widywać i odzywać się do niego. Sądzicie, że Robert nie wytrzymałby solidarnego potępienia i ignorowania przez całą rodzinę, ale to na nic. Nie zgadzam się na to, co zrobił, ale nadal jest moim bratem. Sami przecież chcieliście dwanaście lat temu, abym wróciła do rodziny. Jesteście więc moją rodziną i nie możecie mi teraz kazać wybierać między Wami a nim.

W tym samym mniej więcej tonie odpowiedziała na jedyny list od Barbary:

Musisz wybrać, moja Siostrzo, po czyjej jesteś stronie, tak jak zrobili to Twój ojciec i Janek. Nie możesz służyć Bogu i mamonie. Nie wolno Ci tolerować zła, bo w ten sposób także grzeszysz. Ja rozumiem, że Cię to boli, ale teraz potrzebuję Twojego wsparcia bardziej niż kiedykolwiek. Najbardziej zaś zależy mi na Twym jednoznacznym poparciu. Uwierz mi, że nie zasłużyłam niczym na to, co mnie spotkało. Bądź przy mnie i daj to odczuć mojemu mężowi i jego kochanicy – tak brzmiał list od bratowej, a Ala, czytając go kilka tygodni temu, zapragnęła znowu sięgnąć po alkohol, jednak w porę się powstrzymała.

Musiała uspokoić emocje, by wreszcie usiąść i odpowiedzieć.

Jestem z Tobą, stoję po Twojej stronie i cierpię razem z Tobą. Jednak nawet jeśli nazwiesz mnie osobą dwulicową, nie potrafię przekreślić mojego brata. Może to rzeczywiście dwulicowość, nie wiem. Nawet nie będę tego analizować. Oboje jesteście mi bliscy i myślę, że mogłoby tak zostać. To sprawy między Wami, ja ich przecież nie rozstrzygnę, chociaż próbowałam. Jesteś i zawsze będziesz obecna w moich myślach. Nie odwracam się od Ciebie, ale nie mogę nie być teraz przy Robercie. Zawinił wobec Ciebie, nie wobec mnie. Postaraj się to zrozumieć.

To nie był udany list, dobrze o tym wiedziała. Może brzmiał zbyt oficjalnie i pompatycznie, ale i tak stanowił najbardziej sensowną wersję pośród stosu kartek porzucanych po całym pokoju, a będących dowodem

na to, jak trudno było jej cokolwiek wyjaśniać Basi. Przekonanie bratowej było zresztą niemożliwe. Nie odpowiedziała już i zapanowało między nimi milczenie.

To była cena, jaką należało teraz zapłacić. Trudno. Zerwanie stosunków z Robertem i Nicole nie wchodziło przecież w rachubę. Poza tym na jej adres przychodziły listy od Karolka do Roberta. Odwrócenie się od brata oznaczałoby automatycznie zerwanie i tej korespondencji. Nigdy by tego nie uczyniła. Mimo wszystko reakcja rodziny zabolęła i była prawdziwym cierniem, tyle że opiekując się teraz Alanem i Ralfem nie miała czasu na analizowanie problemu i życie w zgrzyocie.

Czas zresztą biegł bardzo szybko, jak to zwykle bywa, gdy dni są wypełnione po brzegi, a noce niekiedy zbyt krótkie na odpoczynek. Mniej też czasu mogła poświęcać Walterowi, chociaż potrzebowała mówić do niego. Chciała mu powiedzieć, że nie wierzy w odejście Nicole. Wydawało się przecież, że szwagierka funkcjonuje całkiem normalnie. Wyniki badań nie poprawiały się wprawdzie, ale nie było też gorzej. Ala chętnie zabierałaby małą Sylwię jak najczęściej do siebie, aby Nicole miała więcej czasu na odpoczynek, jednak nie było to możliwe.

- Masz dość własnych zajęć - powiedziała kiedyś wymijająco Nicole.

- Jeszcze jedno dodatkowe dziecko nie zrobi różnicy - zażartowała wtedy Ala.

- Nie, nie trzeba. Czuję, że sama muszę być z nią jak najwięcej. Mam wrażenie, że do tej pory nie zajmowałam się nią wystarczająco. Dużo pracowałam, dlatego sporo czasu spędzała z tobą albo u pani Seiger. To nie było dobre. Teraz nie potrzebuję już pracować i musimy obie nacieszyć się sobą, zanim mała rozpocznie naukę.

- Jak chcesz, Nicole. Pamiętaj jednak, że zawsze możesz mieć moją pomoc.

Ala w końcu ustąpiła, czując, że upór Nicole ma swoje drugie dno, że szwagierka nie mówi wszystkiego.

- Twoja pomoc nieraz się jeszcze przyda - odparła wtedy Nicole i szybko zaczęła mówić o czymś innym.

- Chce się nacieszyć dzieckiem, dopóki to możliwe - podsumował Robert, gdy Ala opowiedziała mu o tym.

- Co ty mówisz? - wystraszyła się siostra i poczuła, że robi jej się zimno.

- Przecież ona nie wie...

- Podświadomie coś jednak czuje. A może nie mówi nam wszystkiego?

Wkrótce potem zdarzyło się jednak coś, co odsunęło na bok dotychczasowe sprawy i zmartwienia, nawet te dotyczące milczenia rodziny w Polsce, nawet te dotyczące Nicole. Coś, co po raz kolejny kazało przewartościować niemal wszystko.

Rozdział 92

Stało się to w drugiej połowie września, gdy po raz pierwszy dało się zauważyć i odczuć nadciągającą jesień, do tej pory panowała bowiem letnia pogoda. Tego dnia powietrze było jakby nasączone chłodem i wilgocią i nie napawało to optymizmem. To nie było dobre powietrze dla Nicole i należało ją namówić, aby bardziej uważała na siebie. Jak to jednak zrobić, by nie wzbudzić w niej podejrzeń? Jesień i zima będą stanowić nie lada wyzwanie dla niej i dla ludzi z nią związanych. Słońce i ciepło było do tej pory bezcennym sojusznikiem w walce z chorobą. Teraz proporcje mogły się odwrócić.

„Musimy jakoś wytrwać do wiosny” - myślała Ala, patrząc na drzewa za oknem. „Zimą być może Robertowi uda się gdzieś z nią wyjechać, ale przecież nie może być nieobecny w pracy całymi tygodniami. Ja również nie mogę sobie pozwolić na kilkutygodniowe wyjazdy na południe. Sama nie zgodzi się opuścić Paryża, zresztą nikt z nas nie pozwoliłby na to. Co robić?”

Rozległo się pukanie do drzwi. Jedno, drugie, trzecie. Ktoś dobijał się, nie zważając na to, że nie miała szans dobiec szybko i otworzyć. Przez moment serce jej zabiło, bo pomyślała o Janku. Gdy jednak gwałtownym ruchem otworzyła drzwi, zobaczyła za nimi roztrzęsioną i zapłakaną Nancy.

„Raul... Coś się stało Raulowi” - to była pierwsza myśl, która poraziła Alę.

W tym momencie wiedziała już, że to byłoby zbyt wiele. A jednak mogło tak się stać. Przerazona, patrzyła na czarnoskórą nianię, która zawsze wydawała się symbolem spokoju i opanowania.

- Proszę pani, musi pani przyjść natychmiast - wołała z płaczem Nancy. - Ja nie wiem, co robić. Ja nie rozumiem dobrze tego lekarza, a inni też nie potrafią mi wytłumaczyć. Właśnie go zabrali do szpitala...

- Boże drogi! Kogo? - zapytała wreszcie przerażona Ala.

Chciała wprowadzić kobietę do środka, ale tamta szybko potrząsnęła głową.

- Nie - zawołała ponownie. - To pani musi biec ze mną, i to natychmiast. O mój Boże! Pan Renet połamie mi za to kości.

Ala już nie pytała o nic, tylko porwała z szafy żakiet i wybiegła z domu

w ślad za Nancy. Nie było sensu pytać, bo opiekunka nie potrafiłaby zebrać myśli i odpowiadać.

- Co się stało? - spytała niemal bez tchu, gdy drzwi otworzyła im kucharka Raula, też zresztą zapłakana.

- Dzięki Bogu, że pani już jest, bo ta Murzynka jest do niczego, gdy dzieje się coś naprawdę ważnego. Prawie nie rozumie naszego języka, a potrafi się szarogęścić jak mało kto. Pod warunkiem jednak, że nie zdarzy się jakiś kryzys. Sama zresztą pani widzi...

- Ale co się stało? - Ala kategorycznie przerwała wyrzucenia kucharki.

- Ralf spadł z tego drzewa na tyłach podwórka. Bawił się z dziećmi, a sama pani widziała, że to takie żywe srebro. Nie usiedzi spokojnie nawet pięciu minut. Wdrapał się prawie na sam czubek. Gdy spadł i dzieciaki z krzykiem do nas przybiegły, myśleliśmy w pierwszej chwili, że nie żyje. Cała głowa we krwi, proszę pani. Krzyk, płacz, tłum ludzi na ulicy. Wezwaliśmy lekarza i zaraz zabrali go do szpitala, ale...

- Do jakiego szpitala? - wyszeptała Ala.

- Do Saint Honoré, Roger tam z nimi pojechał. Dzięki Bogu, że pani już przyszła, bo my tu głowy tracimy. Żadnego pożytku z tej Murzynki nie ma. Nieraz mówiłam, żeby zostawiła prowadzenie domu mnie albo Matyldzie, a sama zajęła się dziećmi. Skoro do tego pan Renet ją wynajął, to tym się powinna zajmować. Ale nie... Rządzenia jej się zachciało w tym domu. Dzieciaki same na podwórku, kto to słyszał! Może w Ameryce taka moda, ale nie u nas. Czasem chciałam powiedzieć panu, żeby zatrudnił jakąś francuską opiekunkę. Inaczej by to wyglądało. Jak tylko pan wróci, zaraz mu to powiem. Dobrze, że chociaż pani...

- Biegnę zaraz do szpitala. Na razie zostawcie Nancy w spokoju. Gdzie Alan? - zapytała, lecz już niemal w tej samej chwili mały rzucił się jej na szyję.

- Ciociu, nie zostawiaj mnie. Zabierz mnie ze sobą!

- Zostań, kochanie. Pójdę teraz do szpitala, do Ralfa, a dzieci tam nie wpuszczają.

- To zostanę pod szpitalem z Nancy. Tylko nie każ mi zostawać w domu. Kucharka wzruszyła ramionami.

- Lepiej niech go pani weźmie, bo dzieciak tak tu rozpacza, że strach, czy sobie czego nie zrobi. Niech ta Murzynka faktycznie przypilnuje go pod

szpitalem, przynajmniej raz się do czegoś przyda.

Ala bez słowa narzuciła chłopcu kurtkę i wzięła go za rękę. Nie chciała kłócić się ani doprowadzać do porządku służącej Raula, bo ostatecznie w jakim charakterze miałyby to czynić? Co najwyżej powstałyby nowe plotki. No i oczywiście nie była to dobra pora na zbędne dyskusje. Teraz liczył się tylko mały syn Raula. We troje, razem z Nancy i Alanem, pobiegli co sił do szpitala. Tam, w poczekalni, znaleźli Rogera, jednego z pracowników Raula. Młody jeszcze chłopak rozglądał się bezradnie i odetchnął z wyraźną ulgą na widok Ali.

- Co się dzieje? Gdzie Ralf? Gdzie lekarz? - pytała Ala, z trudem walcząc z atakującą ją paniką.

- Mówią, że jest źle, ale będzie operacja. - Chłopak aż szczękał zębami ze strachu.

Ala rozejrzała się i zobaczyła nadchodzącą pielęgniarkę.

- Proszę mi powiedzieć... Proszę mi powiedzieć... - zaczęła, ale musiała się opanować. - Mały chłopiec, Ralf Renet, przywieźliście go tutaj. Spadł z drzewa i...

- Kim pani jest? - zapytała kobieta i przyjrzała się jej krytycznie.

- Proszę mi powiedzieć...

- Jest pani z jego rodziny?

Pielęgniarka chyba nie żywiła wobec niej przyjaznych uczuć. Zresztą, może obowiązywały ją jakieś przepisy, procedury. Ala sama zdawała sobie sprawę, że jej wygląd w tym momencie nie wzbudzał zaufania. Nie zabrała kapelusza, włosy miała w nieładzie, żakiet niedbale narzucony na ramiona. W dodatku nie potrafiła się składnie wypowiedzieć. Lecz z drugiej strony, czy nie tacy ludzie jak ona tu przybiegali i szukali pomocy?

- Czy to pani Salanger? - Ala nagle usłyszała znajomy głos.

Podszedł do niej jakiś lekarz, lecz w pierwszej chwili go nie poznała.

- Leclerc - przypomniał się. - Pracowaliśmy razem przy rannych w czasie wojny.

- Ach, to pan... - powiedziała, chcąc mu się rzucić na szyję z radości.

- Co się stało? Jaki ma pani problem?

- Ta kobieta dopytuje o małego chłopca, który zaraz będzie operowany, o tego z wypadku - pielęgniarka nadal była nieufna - niestety, nie chce powiedzieć, jakie ma do tego prawa.

- Spokojnie, Edith - upomniał ją łagodnie doktor, po czym zwrócił się do Ali: - Chyba nie jest pani jego matką?

- Nie - szepnęła Ala. - Nie należę do jego rodziny. On ma tylko ojca, a jego ojciec jest teraz w Nowym Jorku i o niczym nie ma jeszcze pojęcia.

- Ma jeszcze mnie - odezwał się niespodziewanie Alan. - Jestem jego bratem.

- Ach tak? - Doktor uśmiechnął się przyjaźnie do malca, po czym znowu przyjrzał się Ali. - Czy te dzieci są pod formalną opieką pani?

- Nie. Jestem jednak bliską przyjaciółką ich ojca. Z pewnością nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby udzielił mi pan informacji o chłopcu. Gdybym mogła tu przy nim zostać... Bardzo pana proszę...

- Dzieci nie mają innych krewnych? - zapytała siostra Edith, która nadal była nieprzejednana. - Dziadków?

- Tu, we Francji, nie mają - odparła Ala, modląc się w duchu, by nie stracić cierpliwości i nie rzucić się na tę pielęgniarkę.

- Ma wstrząs mózgu - powiedział powoli doktor. - To jeszcze nie takie straszne. Ale sprawdzamy, czy nie ma poważniejszych uszkodzeń głowy, na przykład krwiaka. To byłoby najgorsze. - Ujął Alę pod ramię i odszedł z nią parę kroków od Alana i Nancy. - Ryzyko jest bardzo duże - mówił cicho. - Zapewne zdołamy uratować jego życie. Nie wiadomo jednak, co dalej. Tu przecież chodzi o obrażenia tylnej części głowy. Poza tym uszkodzona jest część szyjna kręgosłupa i złamana lewa ręka. Mówię to pani, ponieważ kiedyś ratowaliśmy razem ludzi z ciężkich ran.

- Tak, pamiętam - szepnęła Ala, bo na nic więcej nie było jej teraz stać. Odniosła wrażenie, że nagle wokół zrobiło się cicho, a w głowie miała kompletną pustkę. Nie było jej obce to uczucie. Doznała go wtedy, gdy dotarło do niej, że dla Melanie nie ma już ratunku. Wtedy też nagle przestały docierać do niej dźwięki, chociaż wokół toczyło się życie. Teraz też tak było. Na szpitalnym korytarzu stało bądź przechodziło wielu innych ludzi, a ona widziała tylko doktora Leclerca.

- Czy mogę tu zaczekać? - poprosiła. - Jego ojciec z pewnością by sobie tego życzył.

- Dobrze. Tylko niech ten mały człowiek wraca do domu. To nie miejsce dla dzieci.

- To jego brat bliźniak - odparła Ala i uśmiechnęła się blado. - Od

początku byli razem. Rozumiem jednak... Dziękuję panu.

- Niech pani usiądzie. Bardzo pani zbladła. - Doktor patrzył na nią bacznie.

- Proszę się nie bać, nie będzie ze mną kłopotów - powiedziała Ala, która nadal starała się uśmiechać, po czym zwróciła się do grupki swoich towarzyszy, a zwłaszcza do Alana:

- Twój brat będzie miał operację głowy. Zostanę tu i poczekam. Zadzwoń do was i powiem, jak się udało. Ty wrócisz do domu razem z Nancy i Rogerem.

- Ja też chcę zostać! - zawołał z płaczem Alan.

- Nie możesz. Zrozum, że jeśli będziesz upierał się i płakał, mnie również nie pozwolą tu zostać. Więc jak będzie?

- Dobrze, ciociu... - Alan wciąż szlochał, ale już znacznie ciszej.

Nancy nie była w lepszej kondycji i najwyraźniej nie pałała chęcią powrotu do domu, gdzie nie mogła liczyć na żadną życzliwość. Nie dyskutowała jednak, tylko wzięła chłopca za rękę i wolnym krokiem zaczęła podążać w kierunku wyjścia.

- Dajcie jej teraz spokój - upomniała Ala Rogera. - Mamy zbyt wielkie zmartwienie, by się kłócić o to, czego już nie cofniemy i nie zmienimy.

- Ja to przecież wiem, proszę pani. - Chłopak gniótł czapkę w rękach.

- To dobrze. A pana Raula zawiadomimy o wszystkim po skończonej operacji. Kilka godzin możemy jeszcze poczekać.

- Dobrze, proszę pani. - Najwyraźniej już się uspokajał, zadowolony, że Ala przejęła stery.

Wreszcie została sama. Poszli już, dzięki Bogu. Poszedł też doktor Leclerc. Pragnęła zostać sama i nie udawać dłużej twardej i sprawnej organizatorki. Tak bardzo się bała.

„Boże - modliła się w myślach - uratuj to dziecko. Nie tylko jego życie, ale także zdrowie. Spraw, aby wróciło do dawnej sprawności, do samego siebie. Błagam, uchron go od kalectwa. Już dość nieszczęść. Nie karz Raula za jego życie w ten sposób. Dość już śmierci, dość cierpień...”

Myślała o chłopcu, tak pełnym życia. Myślała o swojej małej córeczce, o tym, jak razem z Walterem wkładali ją do trumienki. Wytrzymała, bo miała jego. On zajął się wtedy wszystkim. Raul był sam. O ileż łatwiej jest człowiekowi, gdy nie jest sam, gdy ma obok siebie kogoś jeszcze.

Tymczasem Raul o niczym nie wiedział. Nawet gdy się wkrótce dowie, upłynie niemało czasu, zanim pokona Atlantyk i znajdzie się w domu. Co do tego czasu wydarzy się z jego dzieckiem?

„Uratuj to dziecko, Boże” - modliła się znowu. Kiedyś modliła się tak o życie Melanie. Wtedy boskie plany okazały się jednak inne. „Bóg dał, Bóg wziął” - tak jej to wówczas wytłumaczył Janek i w końcu to do niej dotarło. Poza tym miała Waltera i dlatego wróciła jej chęć do życia.

Raul był sam. Nawet jeśli znowu była w jego życiu jakaś kobieta, to nie mogła mu pomóc w tej akurat sprawie, w tym cierpieniu. Dzieci Raula na pewno nie były jej specjalnie bliskie, a w każdym razie nie tak bliskie jak Ali.

„Raul ma teraz tylko mnie” - w końcu dopuściła tę myśl do siebie. „Może mieć jeszcze wiele kobiet, ale gdy dzieje się coś naprawdę ważnego, tylko ja się liczę. Tylko ja mogę mu pomóc” - stwierdziła Ala i wiedziała, że właśnie dlatego będzie przy jego synu, nie da się wyrzucić z tego szpitala. A potem zawsze, niezależnie od tego, co się zdarzy, będzie pomagać swojemu przyjacielowi, tak jak on pomagał jej.

Nie wiedziała, ile czasu minęło, gdy poczuła dotknięcie czyjejś ręki na ramieniu. Ocknęła się, wystraszona, i spojrzała na doktora Leclerca.

- Ten mały miał sporo szczęścia - zaczął, a ona omal nie spadła po tych słowach z krzesła. Doktor przytrzymał ją i zaczął sprawdzać jej puls. - Powinna pani uważać na serce - powiedział powoli. - Pamiętam, że już w czasie wojny panią ostrzegałem.

To była prawda, teraz sobie przypomniła.

- Za dużo nerwów, zmartwień - mówił dalej doktor. - Musi pani inaczej żyć.

- Co z chłopcem? - przerwała mu szybko.

- Nie ma krwiaka ani obrzęku mózgu. Uszkodzenia głowy okazały się mniej niebezpieczne, niż pierwotnie zakładaliśmy. Skończyło się na rozbiciu, zszycialiśmy w wielu miejscach, ale mogło być gorzej. Natomiast kręgi szyjne są, jak mówiłem, poważnie uszkodzone i wymagają nastawienia. Ręka złamana w kilku miejscach. Chłopca czekają trudne tygodnie, ale powinien całkowicie wrócić do zdrowia.

- Dziękuję - szepnęła. - Czy mogę przy nim zostać?

- Powinna pani odpocząć. Mizernie pani wygląda. Trzeba więcej myśleć

o sobie. Mam nawet zamiar zatrzymać tu panią na badania.

- Nie, to wykluczone - odparła niemal ze śmiechem. - Za dużo mam teraz spraw na głowie.

- Nie żartuję. Jeśli chce pani być pomocna bliskim, musi pani trochę pomyśleć o własnej wygodzie i przyjemnościach. Tym bardziej że temu małemu nic już nie grozi.

Ala potrząsnęła głową i podniosła się z krzesła.

- Od śmierci męża nie szukam już przyjemności i rozrywek. Rozumiem, że skoro chodzę jeszcze po tym świecie, to tylko dlatego, że muszę wyrobić przewidziany dla mnie plan. Moja rodzina ma problemy, a ja, choć nie mam mocy ich rozwiązać, to chociaż muszę towarzyszyć bliskim mi ludziom na co dzień. Nie wiem, jak długo to jeszcze potrwa, ale zapewniam pana, że nie boję się własnego końca.

- Nie wolno tak mówić. Powinno pani zależeć na życiu, niejeden z moich umierających pacjentów chętnie by się z panią zamienił.

- Ja zamieniłabym się chętnie z moją szwagierką, którą również miał pan okazję kiedyś poznać. Jest beznadziejnie chora, a ma dziecko i kochającego ją człowieka, który jej potrzebuje. To nie jest sprawiedliwe, doktorze. A teraz... bardzo pana proszę... jeśli to tylko możliwe, a pragnę, aby tak było... Chciałabym zostać przy Ralfie. Będzie mu łatwiej, gdy się obudzi. Może procedury są inne, ale błagam o wyjątek. Jego matka nie żyje, a ojciec jest zbyt daleko, aby szybko się tu pokazać. Mały będzie na pewno przerażony. Pracowałam kiedyś jako pielęgniarka. - Spróbowała rozpaczliwie tego ostatniego argumentu, chociaż dobrze wiedziała, że nie mógł mieć znaczenia. Nie była przecież dyplomowaną pielęgniarką, choć umiała sporo.

Pozwolono jej wtedy zostać i była za to wdzięczna całemu szpitalowi. Ralf obudził się w jej obecności i rzeczywiście okazało się to dla niego prawdziwym błogosławieństwem. Rzadko opuszczała szpital, ale musiała czasem zajrzeć do Alana, do Nicole, pomówić z Robertem. Robert zresztą również odwiedzał małego pacjenta, kiedy tylko mógł, i chociaż pracował w innym szpitalu, obserwował również postępy Ralfa w powrocie do zdrowia. Raul został powiadomiony telegraficznie już następnego dnia po wypadku i operacji. Wiadomo było, że nie będzie odwlekał powrotu. Szczęśliwie Ralf wracał do zdrowia szybko, nie stracił też swego

żywiolowego temperamentu i dziecięcej brawury, tak że stał się ulubieńcem całego szpitala. Jedenastego dnia został wreszcie wypisany i Ala wraz z Robertem odwieźli go do domu. Tam zresztą też został na początku zapakowany do łóżka, ale wokół zgromadzili się jego mali przyjaciele, jego brat, a także ukochana Nancy. Przyszły też Nicole z Sylwią. Radość była tak ogromna, nawet pomiędzy personelem pracującym w domu Raula zapanowało zawieszenie broni.

- Ciociu, ale ty nie odejdziesz. Zostaniesz z nami? - prosili Alę obaj chłopcy, gdy wreszcie wieczorem wszyscy goście żegnali się już i wracali do domów.

- Zostanę z wami, dopóki nie wróci wasz ojciec - zapewniła ich Ala, pewna, że nie zmrużyłaby oka, gdyby na noc wróciła do własnego domu.

- Dałby Bóg, aby została tu znacznie dłużej - mruknęła kucharka do Nicole, a ta tylko nieznacznie kiwnęła głową.

Po wyjściu gości w wielkim mieszkaniu Raula zapanowała cisza. Ala nigdy tu nie zostawała na noc, tym razem jednak sytuacja była wyjątkowa.

- Przygotowałam pani pokój gościnny. Myślę, że powinno być tam pani wygodnie - oznajmiła nieśmiało Nancy.

Piastunka nadal nie była pewna, jaki los czeka ją po powrocie Raula. Ala wprawdzie zapewniała ją, że wszystko będzie dobrze, że chłopiec za cztery, pięć tygodni powinien już prawie zupełnie wrócić do zdrowia, że był to nieszczęśliwy wypadek, o który przecież w życiu nietrudno, jednak służąca nie czuła się zbyt pewnie.

- Ciociu, zostań ze mną, dopóki nie zasnę - poprosił Ralf Alę, gdy tylko usłyszał o pokoju gościnnym.

- Pani Salanger jest zmęczona. Nie chcesz, abym to ja z tobą została? - spytała Nancy zasmuconym głosem.

- Jeszcze tylko dzisiaj. Chcę jej coś ważnego powiedzieć - poprosił chłopiec uroczystym tonem.

- Zostanę. Myślę, że przyzwyczaił się do tego w szpitalu - odezwała się łagodnie Ala, która zresztą sama przez jedenaście dni zdążyła do tego przywyknąć.

- Ja też zostanę, ja też - zaczął wobec tego prosić Alan, a żadna z nich nie miała serca mu odmówić.

Ustaliły też, że skoro chłopcy mają tej nocy spać razem, trzeba położyć

ich do szerokiego łóżka ich ojca. Tak było też bezpieczniejsze ze względu na opatrunki na głowie Ralfa, gips na rękę, sztywny kołnierzyk na szyi. Czasami jeszcze odczuwał ból, chociaż rzadziej i mniej intensywnie niż na początku.

Nancy z uśmiechem na twarzy w końcu opuściła pokój i nawet napotkała pełne aprobaty spojrzenia pozostałych osób ze służby.

- Powiedziała, że chce zostać w tym właśnie pokoju z dziećmi - wyjaśniła swoim nieporadnym francuskim.

- W tym właśnie pokoju jest jej miejsce - odparła z uśmiechem pokojówka Valerie.

Ala domyślała się komentarzy służby, i nie tylko służby, na temat jej zażyłości z dziećmi Raula oraz tego, że została z nimi na noc. Nie miała już jednak siły przekonywać wszystkich dookoła, że tu właśnie jest granica tego, co chce i jest gotowa zrobić dla przyjaciela. Zresztą przyzwyczyła się już do ich oczekiwań i marzeń, dziwiła się tylko, dlaczego tak uparcie się ich trzymają. Dlaczego nie widzą tego, że ani ona, ani Raul nie traktują ich poważnie. A jednak rozmowa z jego dziećmi poruszyła ją do żywego. Chłopcy mówili do niej tak, jakby się od dawna umówili i przemyśleli sobie wszystko.

- Jak długo z nami zostaniesz? - zaczął Alan.

- Mówiłam wam już. Póki nie wróci wasz ojciec... a on wróci lada dzień. Na pewno bardzo za nim tęsknicie, a on za wami też.

Chłopcy wymienili się spojrzeniami, jakby ustalali, który z nich ma mówić dalej.

- A nie mogłabyś zostać dłużej? - spytał w końcu Alan.

- Jak to dłużej? - odparła z uśmiechem Ala.

- Na zawsze.

Nie spodziewała się tego, była całkowicie zaskoczona. Zastanawiając się nad sensowną odpowiedzią i chcąc zyskać na czasie, poprawiła kołdrę na łóżku.

- Nie mogę zostać tu na zawsze - odpowiedziała w końcu. - Mam przecież swój dom. Każdy powinien mieszkać u siebie.

- Gdybyś była naszą mamą, zostałabyś z nami na zawsze - odezwał się nieśmiało Ralf, co było jak na niego niezwykle. Ralf nigdy nie był nieśmiały.

- Nie jestem jednak waszą mamą - odparła po chwili Ala i w jednej chwili opanowała ją fala współczucia wobec tych osieroconych przez matkę

dzieci i wobec tamtej, nieznannej jej kobiety, która na pewno z ciężkim sercem musiała je zostawiać.

- Nasza mama na pewno by chciała, żebyś tu została zamiast niej - powiedział nagle konspiracyjnym szeptem Alan.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - zapytała zaskoczona po raz kolejny Ala i poczuła dreszcze na całym ciele.

- Nancy tak mówiła. Ona знаła naszą mamę.

- Nie przejmujcie się takimi słowami. Ojciec znał waszą mamę dużo lepiej niż Nancy, a nie opowiadał wam takich rzeczy - odparła prędko, postanawiając sobie raz na zawsze rozprawić się wreszcie z plotkami i domysłami na temat siebie i Raula. Zacznie od rozmowy z Nancy, a potem ustawi całą resztę. Sprawy zaszły już za daleko, by dłużej beczynn timer czekać, aż ludzie znajdą sobie inny obiekt zainteresowań. Żal jej było tych dzieci z całego serca.

- Ojciec bardzo cię lubi, najbardziej na świecie - zapewnił ją gorąco Ralf.

- Tak? - Ala uśmiechnęła się z przymusem i starała się mówić beztrudno.

- A moim zdaniem najbardziej kocha was.

- Nas też, ale inaczej - odparł niespodziewanie chłopiec.

Na moment umilkli wszyscy troje, a obaj synowie Raula przygarnęli ją do siebie tak, że musiała położyć się obok nich na poduszkach.

- My ciebie też kochamy najbardziej - mówił znowu Ralf. - Zostań z nami na zawsze. Zobaczysz, będziemy grzeczni. Będziesz naszą mamą.

Romeo, wyrośnie z niego prawdziwy Romeo - tak kiedyś powiedziała o Ralfie Nicole. Miała rację, chłopiec już teraz wiedział, w który punkt serca dotknąć. Ala, mając ich obu przy sobie, znowu wróciła wspomnieniami do Melanie. Też ją tak tuliła, prawie tak samo. Uczucie, którego doświadczała teraz wobec tych chłopców, w których nie płynęła przecież jej krew, było prawie identyczne z tamtym sprzed lat. Dzieci... Wyrzuciła już z siebie tęsknotę za ich posiadaniem, a teraz nagle znowu to wróciło? Dlaczego? Przecież dzieckiem może być tak naprawdę istota, która została poczęta w jej ciele, noszona przez dziewięć miesięcy i wydana przez nią na świat. To jednak miały być dzieci będące wyłącznie dziełem jej i Waltera.

Skąd więc ten przyływ uczuć macierzyńskich wobec tych dwóch dziewięciolatek? Czy nie zagalopowała się w przywiązywaniu ich do siebie i siebie do nich? Czy nie należało stopniowo rozluźnić tych więzów? Jak to

jednak zrobić?

- To nie jest takie proste - rzekła po chwili łagodnie. - Kiedy dorośnięcie, zrozumiecie to lepiej. Zrozumiecie mnie i waszego ojca. Zawsze jednak będziecie dla mnie bardzo, ale to bardzo ważni.

Chłopcy patrzyli na nią z taką powagą, jakby od jej odpowiedzi zależało ich życie.

- Nie mogę zostawić domu, w którym mieszkałam z moim własnym mężem i córeczką - dodała w końcu, mało szczęśliwie, ale zgodnie z prawdą.

Była pewna, że mali chłopcy jej nie rozumieją. Zaskoczyli ją po raz trzeci.

- No to my możemy przeprowadzić się z tatą do ciebie.

Boże drogi, co im powiedzieć? Nie siliła się już na pedagogiczne wynalazki i odpowiedziała tak, jak to czyni ogromna większość dorosłych, gdy już nie potrafi lub nie chce kontynuować trudnej rozmowy z dziećmi.

- Porozmawiamy o tym innym razem. Już jest bardzo późno i wszyscy jesteście zmęczeni. Postarajcie się teraz zasnąć.

Gdy obaj chłopcy wreszcie z trudem zasnęli, Ala nadal leżała na brzegu łóżka, bojąc się ruszyć. Gdyby się rozbudzili, z pewnością marzyliby o kontynuowaniu tematu. Zastanawiała się, jak teraz z tego wszystkiego wybrnąć. Trzeba poczekać na powrót Raula i spokojnie to z nim omówić, delikatnie wytłumaczyć chłopcom, że ich przypuszczenia są błędne. Raul będzie z pewnością ubawiony, gdy opowie mu treść rozmowy z jego synami. Jak to Raul...

Czy jednak na pewno?

Znowu wróciło wspomnienie jej wyjazdu do Polski ponad rok temu i ich pożegnanie na paryskim dworcu. Przymknęła oczy, jakby liczyła na to, że ono wtedy zniknie. Nie było niemiłe, ale całkowicie niezrozumiałe. A może to ona nie chciała go zrozumieć?

Nie wiedziała nawet, kiedy w końcu zasnęła. Spała twardym snem, co już od dawna nie miało miejsca. Nawet nie usłyszała, gdy o szóstej rano drzwi sypialni otworzyły się i do pokoju wszedł Raul w towarzystwie Nancy.

- Nie miałam pojęcia, że pani Salanger jeszcze tu jest - wyszeptwała zmieszana opiekunka i zaraz dodała tonem usprawiedliwienia: - Pewnie nie chcieli jej wypuścić, a była bardzo zmęczona. Miała tyle pracy i ciągle

siedziała w szpitalu u małego. Czy mam ją obudzić i zaprowadzić do pokoju gościnnego?

Raul milczał, zapatrzony na całą trójkę śpiącą w jego łóżku. Nancy chciała powtórzyć pytanie, ale kiedy na niego spojrzała, natychmiast zrezygnowała. Cofnęła się domyślnie do drzwi, ale wtedy się odezwał i odpowiedział.

- Nie trzeba, niech tu zostanie. Ja pójdę odpocząć w pokoju gościnnym.

Podszedł do łóżka, zdjął z krzesła narzutę i przykrył nią Alę. Obaj chłopcy spali, otuleni kołdrą. A potem nachylił się i najdelikatniej, jak mógł, ledwo dotykając, przejechał pieszczotliwie dłonią po jej włosach.

- Wejdziemy do środka, kochanie.

Sylwia spojrzała ze zdumieniem najpierw na matkę, a potem na kościół. Nie tego oczekiwała o poranku, gdy mama nagle oświadczyła, że dziś czuje się wyjątkowo dobrze i mogą wyjść na przedświąteczne zakupy. Zazwyczaj, gdy robiło się zimno, mama nie opuszczała domu i była wtedy słabsza niż zazwyczaj. Jednak dzisiejszy grudniowy dzień był przesycony łagodnym powietrzem i Nicole nagle nabrała ochoty, aby wyjść z domu. Sylwia była szczęśliwa, bo przecież od dawna nigdzie nie wychodziły na spacer. Nawet w rocznicę zakończenia Wielkiej Wojny matka, w ostatniej chwili, ulegając namowom papy, zgodziła się zostać w domu. Sylwia wyszła wtedy tylko z ojcem. Przykrość ta jednak została szybko złagodzona, bo po ulicach kręciły się tłumy ludzi, a niedaleko Łuku Triumfalnego spotkali wuja Raula z chłopcami. Ralf był już prawie zupełnie zdrowy. W końcu Sylwia pogodziła się z tym, że mama nie czuje się dobrze albo obawia się jesiennych zaziębień i nie powinna bez konieczności wychodzić na zewnątrz. Na szczęście wokół byli inni, którzy chętnie zabierali wtedy Sylwię, więc nie odczuwała jakiegś szczególnej przykrości.

- Mama nie może zmarznąć i zachorować - wytłumaczył jej ojciec, a mała Sylwia pojęła to jako rzecz najzupełniej zrozumiałą i przyzwyczyła się do takiego stanu rzeczy.

Aż tu dzisiaj Nicole ni z tego ni z owego ubrała się elegancko, uróżowiła blade policzki, ożywiła wargi perłową szminką i oznajmiła wesoło zdumionej córeczce, że wychodzą na spacer.

- Zbliżają się święta, zobaczymy, co dzieje się w mieście. Dzisiaj nie jest tak zimno, jak ostatnio. Pomyślimy o jakichś niespodziankach świątecznych.

Dla Sylwii było to prawdziwe święto, że udały się razem do urokliwej dzielnicy Saint-Germain z jej krętymi uliczkami i malowniczymi zakątkami. Sylwia była w tym momencie chyba najszczęśliwszym dzieckiem na świecie. Szła obok własnej mamy tak jak inne mijane na ulicy małe dziewczynki. Spacerowały, rozmawiały i oglądały wystawy sklepowe udekorowane świątecznymi dekoracjami.

„Oby tak było zawsze, już zawsze” - myślała, tuląc się do dłoni matki.

I właśnie wtedy padły te zaskakujące słowa:

- Wejdziemy do środka, kochanie.

Do środka? Do kościoła? Przecież nigdy nie chodziła z rodzicami do kościoła.

- Muszę przez chwilę odpocząć - wyjaśniła Nicole, widząc zdumienie dziecka.

To akurat dziewczynka rozumiała. Nauczyła się już, że mama, zwłaszcza ostatnio, dość często bywała zmęczona i musiała kłaść się do łóżka. Wszyscy tłumaczyli Sylwii, że tak trzeba i musi być wtedy grzeczna. Weszły więc do kościoła i usiadły w jednej z ławek niedaleko prezbiterium. Panowała cisza, w dzień powszedni świątynia była prawie pusta.

- Nigdy nie byłam w żadnym kościele - wyszeptała uroczyście Sylwia.

Nicole drgnęła i objęła córkę ramieniem.

- Ależ byłeś, skarbie, tylko tego nie pamiętasz. Byłeś zupełnie malutka, gdy przyniosłyśmy cię z cocią Alice do kościoła i zostałeś ochrzczona.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że należysz do Kościoła - wyjaśniła cicho i z pewnym wahaniem Nicole.

- To dlaczego nigdy tu nie przychodzimy? Ani do żadnego innego kościoła?

Nicole sięgnęła do torebki i wyjęła chusteczkę, aby obetrzeć zroszone potem czoło. Może niepotrzebnie jednak uległa pokusie wyjścia z domu? Robert ją przed tym ostrzegał. Tak bardzo jednak pragnęła sprawić przyjemność Sylwii i sama znaleźć się na ulicy pełnej ludzi. Zdrowych ludzi. Aby było jak dawniej.

- Kiedyś ci to wszystko wytłumaczę - odparła. - Na razie to dla ciebie za trudne.

- A kiedy będzie łatwe? - dopytywała mała.

Nicole chwyciła się ławki, czując, że zaraz może stracić przytomność. Tak źle ostatni raz czuła się przed przyjazdem Roberta i jego rodziny do Paryża, jeszcze przed pójściem do szpitala. Wystraszyła się, co stanie się z dzieckiem, jeśli ona tu zaśnie. Nikt z rodziny, znajomych, a nawet sąsiadów nie wiedział, dokąd obie poszły.

- Kochanie, tam przy ołtarzu stoi siostra zakonna. Przeprowadź ją do mnie - wyszeptała, starając się, aby dziecko nie usłyszało paniki w jej

głosie.

- Kto to jest siostra zakonna? - spytała zdumiona Sylwia. - Co to jest ołtarz?

„Boże drogi, jak mogłam do tego dopuścić?” - wystraszyła się nie na żarty Nicole.

- Tamta pani w czarnym ubraniu i welonie - wyjaśniła wobec tego, rumieniąc się ze wstydu. - Widzisz ją? Stoi tam, na wprost, przed obrazem.

Mała w podskokach podbiegła do zakonnicy i coś jej zapamiętałe tłumaczyła, wskazując rączką za siebie. Zakonnica bezzwłocznie ruszyła w ślad za dzieckiem i zatrzymała się przy Nicole.

- Co się stało, *madame*? - spytała ze współczuciem.

Nicole oparła głowę o ławkę, starając się rozpiąć płaszcz pod szyją.

- Źle się czuję, siostró - szepnęła. - Proszę podać mi wody.

- Zaraz wezwiemy lekarza.

- Nie, nie trzeba. - Nicole wystraszyła się na samą myśl o zamieszaniu.

- Papa jest lekarzem - wtrąciła Sylwia.

- W takim razie zawiadomimy męża - odparła zakonnica. - Proszę się nie sprzeciwiać. Naprawdę źle pani wygląda. Czy może pani wstać i udać się ze mną do zakrystii? Tam mamy wygodniejsze krzesła i dostanie pani wody.

- Spróbuję - szepnęła Nicole.

Ledwo wstała, zakręciło jej się w głowie i byłaby upadła, gdyby nie przechodzący nawet młody kleryk. Jak przez mgłę widziała zaniepokojone spojrzenia całej trójki.

„Boże, przysięgam ci, że odrobę zaniedbania religijne wobec własnej córki, tylko wyciągnij mnie teraz z tarapatów”.

Po chwili odzyskała siłę w nogach. Przy pomocy zakonnicy i kleryka skierowała się do zakrystii. Tam rzeczywiście dostała szklanek wody i usiadła na wygodnym krześle.

- Czasami nie czuję się zbyt dobrze - wyjaśniła zgromadzonym w zakrystii ludziom.

Dołączył do nich jakiś starszy ksiądz i jeszcze jedna zakonnica.

- W żadnym razie nie powinna pani wracać sama do domu - oświadczył ksiądz. - Gdzie pani mieszka?

- Niedaleko, przy Montparnasse.

- To rzeczywiście niedaleko, ale zawiadomimy pani męża.

- Lepiej nie, jest teraz w pracy, w szpitalu.

- To dobrze. Może powinna pani iść do szpitala.

- W żadnym razie. - Nagle Nicole przeraziła się nie na żarty. - To nic takiego.

- Pani... pani...

- Perrier. - Nicole domyśliła się, o co chodzi duchownemu.

- Pani Perrier, a może... - Ksiądz zawahał się, a po chwili jakby się przemógł. - Czy pani jest w stanie błogosławionym?

Nagle Nicole zapragnęła roześmiać się pełnym goryczy śmiechem. Nagle zapragnęła zrzucić z siebie ten ciężar, który nieświadomie musiała czuć od dawna, a w pełni dotarł on do niej właśnie w tym kościele.

„Nie, mój ojcze” - chciała krzyknąć na cały głos. - „Stan, w którym żyję, nie jest błogosławiony. Jestem winna, bardzo winna i nie ma już dla mnie ratunku”.

- Gdzie pracuje doktor Perrier? - zapytała zakonnica.

- Kto? - Nicole w pierwszej chwili nie zrozumiała.

- Pani mąż, doktor Perrier.

Zapragnęła wyjść natychmiast, ale wiedziała, że jeszcze nie da rady. Przewróci się w głównej nawie tego kościoła, a w ostateczności na ulicy. Wtedy usłyszała odpowiedź, której zamiast niej udzieliła jej córka:

- Papa nazywa się Robert Matzer.

Duchowni spojrzeli po sobie, ale nic nie odpowiedzieli. Ksiądz przyniósł jej filiżankę gorącej herbaty z suszoną lawendą. Czuła, że stopniowo wracają jej siły.

- Pani Perrier - odezwał się wtedy cicho i trochę nieśmiało duchowny.

Podniosła na niego oczy i zapragnęła powiedzieć prawdę. Przecież nic już to nie mogło zmienić.

- Panno Perrier - poprawiła. - Nie jestem mężatką, mój ojcze. Żyję z dala od Kościoła.

- Domyślam się - ksiądz niespodziewanie uśmiechnął się, jakby jej szczere wyznanie sprawiło mu ulgę - jednak dzisiaj weszła pani do świątyni naszego Pana.

- Źle się poczułam - sprostowała trochę zuchwale i wtedy zastanowiła się, czy tylko o to chodziło.

- Jakie by nie były powody pani przyjscia, jedno jest pewne. Bóg tak

chciał.

Nicole dopiła doskonałą, dającą jej ciepło i siły herbatę, po czym wstała.

- Dziękuję za pomoc. Teraz spróbuję dotrzeć do domu.

- Odprowadzę panią... - powiedział z westchnieniem starszy ksiądz i sięgnął po płaszcz.

- Nie, nie trzeba. - Nicole nie wyobrażała sobie drogi powrotnej w towarzystwie sługi Kościoła katolickiego.

- Woli pani, abym zawiadomił kogoś z rodziny?

Przez chwilę pomyślała o Ali, lecz przypomniała sobie, że bratowa tego dnia miała zaplanowane prywatne zajęcia z uczniami, a potem miała pomóc jakiemuś chórkowi w przygotowaniu do koncertu bożonarodzeniowego. Sama również miała w tym koncercie brać udział jako solistka i jako akompaniorka. Nie chciała jej w tym przeszkadzać. Z pewnością Ala potwornie by się zdenerwowała, a i bez tego miała ostatnio tyle zmartwień.

Raul z pewnością też był, jak zwykle, po uszy zajęty, zresztą nawet nie wiadomo, gdzie go szukać w środku dnia. Podobnie rzecz się miała z Dominique Guiscard. Reszty znajomych też nie chciała alarmować. Za dużo zamieszania, kłopotów i hałasu.

Sama jednak bała się wracać, więc z rezygnacją przystała na towarzystwo dobrotliwego księdza. Zresztą nie był on uciążliwym towarzyszem drogi powrotnej. Zamówił taksówkę i nie zadreślał jej rozmową. Odmówił także, gdy z grzeczności zaprosiła go do mieszkania.

A jednak, zanim się pożegnali, zagaił krótką rozmowę, wykorzystując moment, gdy Sylwia oddaliła się od nich w kierunku grupki bawiących się na podwórku dzieci.

- Gdybyś chciała, moje dziecko, porozmawiać ze mną, to pamiętaj, że w każdej chwili jestem do usług.

Podał jej swoją wizytówkę. Nicole potrząsnęła jednak głową.

- To na nic, mój ojciec. Rozmowa nic tu nie da. Wiem, czego Kościół będzie oczekiwać ode mnie, a ja tego nie mogę zrobić.

- Nie możesz poślubić tego człowieka?

- Nie, mój ojciec. - Mogła już nic nie dodawać, ale sama nie wiedząc czemu, zrobiła to. - Robert jest żonaty. Nie potrafimy jednak żyć bez siebie. Nie mogę zgodzić się na rozstanie, nie mogę z tym skończyć. On też nie. Byliśmy sobie przeznaczeni, ale zrozumieliśmy to, gdy pozostało już tylko

żyć w grzechu. Znam naukę Kościoła i wiem, co mówił o tym Jezus. Jednak, mój ojciec... nie mogę inaczej.

Uścisnęła jego rękę i chciała mu oddać wizytówkę, ale ją powstrzymał.

- Mimo to, jeśli będziesz potrzebowała rozmowy, daj mi znać. Pamiętaj, dziecko, w każdej chwili...

Skinął głową na pożegnanie i wolnym krokiem oddalił się wzdłuż ulicy.

Rozdział 94

Kochany mój Tato!

Ja wiem, że przysłałeś dla nas prezenty na Boże Narodzenie, i wiem, że mama kazała odesłać je z powrotem, ale nie martw się. Najważniejsze, że wiem i powiedziałem o tym Uli i Pawłowi, aby i oni wiedzieli. Nie obchodzi mnie, czy wydadzą mnie przed mamą, czy nie. Nic mnie to nie obchodzi. Na wszelki wypadek nie powiedziałem im, skąd to wiem, że Ty i ja cały czas piszemy do siebie. Akurat tu wolałbym, żeby nie wydali mnie, bo mama znalazłaby sposób, żebym nie mógł do Ciebie pisać. Ula i Paweł są jeszcze mali i mogliby nam zaszkodzić. Zwłaszcza Ula nie potrafi siedzieć cicho. Wiem nawet, Tato, jakie prezenty nam przysłałeś, bo Zosia mi powiedziała. O tym też wolałem nie mówić bratu i siostrze, aby nie wydali Zosi. Dziękuję, Tato, bo skoro wiem, co mi kupiłeś, to tak jakbym naprawdę to dostał.

Mama nie pozwoliła też, abyśmy dostali prezenty od cioci Ali. O tym też wiem od Zosi. Nie rozumiem, dlaczego mama jest aż taka zła na ciocię. Wiem, że na Ciebie jest zła z powodu tej pani, u której teraz mieszkasz i którą musisz się zająć, bo jest chora. Ale ciocia?

Szkoda, że mnie wtedy ze sobą nie zabrałeś, bo tu jest mi bardzo smutno. Mama ciągle chodzi zagniewana albo płacze. Wszyscy w Zaborowie boją się jej. Tylko babcia czasem na nią krzyczy. Wiem, że była zła na mamę o te prezenty, które kazała odesłać. Święta były smutne i gdyby nie dziadek i wujek Janek, byłoby zupełnie beznadziejnie. Chciałbym już do Ciebie pojechać, ale pewnie tak szybko to się nie uda. Zrobię to jednak kiedyś i zabiorę ze sobą Pawła, a jeśli będziesz tego bardzo chciał, to tylko dla Ciebie zabiorę też Ulę.

Napisz mi, co słyhać u tej naszej drugiej siostry. Czy ona już o nas wie? Powiedz też Ralfowi i Alanowi, że o nich pamiętam i kiedyś do nich napiszę. Na razie muszę się jeszcze lepiej nauczyć francuskiego, a może nawet angielskiego. Po francusku umiem już jakoś mówić, ale z pisaniem idzie mi gorzej. Chciałbym chodzić do tej szkoły we Francji, o której mi opowiadałeś.

Tęsknię za Tobą, Kochany Tato. Napisz do mnie szybko.

Ala i Robert omal nie popłakali się nad tym listem, a do Ali dotarło, że nie współczuje już Barbarze, że bratowa przekroczyła jednak granice.

- Ona oszalała - skwitowała tylko i dodała: - Myślę jednak, że oprzytomnieje. Czas zrobi swoje.

- Nie sądzę - odparł z westchnieniem Robert. - Jednak ostrzegałaś mnie przed jej reakcją tyle razy. Nie powinienem się dziwić.

- Ja mimo wszystko jestem w szoku. Rozumiem jej złość na ciebie, rozżalenie na mnie. Liczyłam się z tym, że będzie ci utrudniała kontakty z dziećmi. Jednak, na litość boską, nie do tego stopnia! Listy i prezenty to już zupełnie inna kategoria. Już jej nie współczuję.

- Dobrze, że mam siostrę. - Robert uśmiechnął się. - Jesteś prawdziwym skarbem.

- Nie zaczynaj...

Zamyślili się oboje nad tym samym. Mieli jeszcze brata, którego kochali całym sercem, i ojca. Nie wątpili, że w odległej Polsce ich brat i ojciec myślą i tęsknią za nimi.

„To ja muszę pogodzić naszą rodzinę” - myślała ponuro Ala. „Do mnie, mimo wszystko, jeszcze piszą. Muszę ich obu tu sprowadzić i pogodzić z Robertem. Ale jak? Jest tyle innych spraw. Czasami mam już dość. Nie mam jednak wyjścia”.

Święta minęły im jednak spokojnie, dobrze i przyjaźnie, choć obawiali się, jak będzie. Wyszło nie najgorzej, pomimo wspomnień, rozterek i tego mimowolnego poczucia, że nie wszystko układa się tak, jak trzeba.

„To dzięki Raulowi” - przemknęło Ali przez głowę. „To dzięki niemu jest nam łatwiej”.

Raul był wesołym, ciepłym człowiekiem i sypał żartami jak z rękawa. Tak, bez jego krzepiącej obecności pozostała trójka nie mogłaby uwolnić się od dręczącej świadomości tego, że w Polsce znajduje się pozostawiona przez Roberta żona, jego dzieci szamoczące się u boku rozpaczającej, porzuconej, pełnej nienawiści i chęci odwetu matki. Dzięki Raulowi przynajmniej na jakiś czas zdołali oddalić tę wizję. Szczęśliwie też Nicole czuła się znowu lepiej, do tego stopnia, że zaproponowała nawet pójście do kościoła na mszę. Wprawilo to wszystkich w niemałą konsternację, żadne z nich bowiem

niczego podobnego nie spodziewało się usłyszeć, zwłaszcza od Nicole.

- To nawet bardziej szokujące, niż gdybym ja wpadł na taki pomysł - żartował Raul. - Chyba nie myślisz poważnie o mojej obecności w kościele? Gdybym tam wszedł, z pewnością natychmiast zgasłyby wszystkie świece.

- Nie, Nicole, to nie jest dobry pomysł - zaproponował Robert. - Jest chłodno i wilgotno, mogłabyś znowu złapać jakąś infekcję. O tej porze roku musisz szczególnie uważać, przecież wiesz.

Nicole bowiem w dalszym ciągu nie była poinformowana o istocie swojej choroby i żyła w związku z tym w przekonaniu, że po przebytych, nieleczonych wcześniej grypach i będącym tego rezultatem zabiegu musi teraz uważać na swoje zdrowie. Powinna przestrzegać wszystkich zaleceń lekarskich, a Robert miał tu koronny argument w postaci jej niedawnego zasłabnięcia podczas spaceru z Sylwią. Dowiedział się o tym od córki, pomimo że Nicole zabroniła małej komukolwiek o tym opowiadać. Oczywiście dowiedzieli się wszyscy pozostali i w efekcie aż do świąt panna Perrier nie opuszczała już domu. Dobrze jej to zresztą zrobiło w sensie zdrowotnym. Dlatego też wyjście nocą do zimnego kościoła mogło, zdaniem Roberta, na nowo pogorszyć jej stan.

Nicole jednak wyjątkowo się uparła.

- Proszę cię, mój kochany, nie zabraniaj mi tego. Opowiadałeś przecież, że zawsze w swoim kraju brałeś udział w tych, jak tam mówicie, pasterkach. Zawsze uważałam, że to takie uroczę. Alice też o tym mówiła. Muszę pójść, choć raz w życiu, proszę.

- Pójdziemy za rok, gdy będziesz już silniejsza - odparł Robert, a jego głos niebezpiecznie drgnął.

Nicole to usłyszała i spojrzała na niego uważnie. W jej oczach było wielkie błaganie.

- Jeśli się sprzeciwisz, zostanę. Jednak bardzo chciałabym pójść, choćby ten jeden raz. Pójdiesz ze mną i weźmiemy dziecko. Obiecuję, że jeśli poczuję się słabo albo robi mi się zimno, powiem ci i wrócimy do domu.

Robert zawahał się. Pomijając troskę o kochaną kobietę, nie miał ochoty na kościoły, msze i wszystko, co przywoływało wspomnienia świąt spędzanych w Polsce z tamtą rodziną i tamtą kobietą. Zastanawiał się jednak, co powiedzieć, jak odmówić prośbie Nicole, czy w ogóle odmawiać. Wtedy niespodziewanie odezwał się Raul.

- Możemy pójść wszyscy. Będziemy na siebie uważać, bo naprawdę nie ręczę, czy z mojego powodu nie zaczną tam fruwać obrazy. W sumie może i dobrze, aby i moje chłopaki wiedziały coś o korzeniach chrześcijańskiej Europy, jak to górnolotnie mawiał mój stryj, który był nawet biskupem. Nie chcę też, aby rodzina Rebeki zaczęła gderać kiedyś tam, że nie wychowałem dzieci po chrześcijańsku.

Poszli więc wszyscy i wbrew obawom Roberta stan Nicole nie pogorszył się. Dla całej trójki dzieci było to zaś pierwsze tego typu doświadczenie i przyjęte zostało przez nie z prawdziwym entuzjazmem. Ralf i Alan siedzieli w ławce obok Ali, każdy z innej strony i znowu tulili się do niej senni, tak jak owej pamiętnej nocy, gdy namawiali ją, by już została z ich ojcem i z nimi na zawsze. Potem już nie wracali do tej rozmowy i nawet nie szukali tej fizycznej bliskości, jakby odmowa Ali i jej zniknięcie z ich domu następnego dnia zabolowało ich w sposób szczególny. Aż do tej mszy, gdy znowu byli blisko, a ona znowu poczuła w sobie uśpione pragnienie macierzyństwa. Pod koniec mszy obaj chłopcy, utrudzeni wrażeniami świątecznego dnia, zasnęli z głowami na jej ramionach, a ona nie śmiała się ruszyć, by ich nie obudzić, i czuła na sobie spojrzenia ludzi siedzących w jej sąsiedztwie, w tym tych najbliższych: Roberta, Nicole i... Raula. Nic później na ten temat nie mówili, niczego nie komentowali przynajmniej w jej obecności. Ona jednak wiedziała.

W przedostatni dzień grudnia poszła jak zwykle na dworzec i patrzyła w dal za odjeżdżającym, przypadkowym o tej porze, pociągami. Robiła tak każdego roku od zakończenia wojny, wcześniej nie dawała rady. Czy ktoś z obecnych dziś na dworcu miał takie wspomnienia? Pewnie tak, ale wątpliwe, czy akurat komukolwiek kojarzyły się z tym właśnie miejscem. Rok w rok po raz czwarty odtwarzała wszystko od nowa. Szli wtedy na dworzec tamtą ulicą, od strony domu. Rozmawiali o Nicole, o tym, że zawsze będą jej pomagać. Mówili o Sylwii, Walter tak się martwił.

- Będzie siostrą cioteczną naszych dzieci - powiedziała wtedy Ala i zatrzymali się tu, u wejścia na peron. Niedaleko stały dwie inne pary, mężczyźni w mundurach wojskowych i zapłakane kobiety. Ciekawe, czy tamci mężczyźni wrócili...

Tu, u wejścia na peron, czuła po raz ostatni dotyk i smak jego warg. Pamiętała ten dotyk i smak jeszcze przez jakiś czas. Stopniowo jednak,

stwierdzała z bólem i przerażeniem, fizyczne wrażenie tego dotyku odchodziło w niebyt, na zawsze. Walter ledwo wtedy zdążył wskoczyć na stopnie pociągu.

- Do zobaczenia, Alice...

Jego twarz stawała się coraz mniej wyraźna, rozmywała się i znikwała, jak wtedy, we mgle i w oparach odjeżdżającego pociągu. Tak, czas robił swoje...

„Nie odchodź” - prosiła. „Nie wiem, co się ze mną dzieje, nie jest już tak, jak było. Nie chcę innego uczucia, innego mężczyzny, innych dzieci”.

„Masz być szczęśliwa” - usłyszała w swojej głowie, zupełnie wyraźnie. „Możesz uszczęśliwić kogoś jeszcze”.

Jego ostatni list, ostanie skierowane do niej słowa. Nie chciała teraz o tym myśleć. Nie mogła jednak także nie myśleć.

- Powiedz, że nie odejdziesz. Chcę cię czuć, jak dawniej - szepnęła.

„Do widzenia, Alice”.

„Do zobaczenia”.

Na peronie zrobiło się już pusto, więc aby nie zwracać na siebie uwagi, zawróciła w kierunku domu. Chciała wprawdzie pójść jeszcze na cmentarz, ale zrobiło się zimno. Pomyślała więc, że weźmie cieplejszy płaszcz, a potem spędzi przy grobie Waltera długi czas. Nie musiała się spieszyć. Zapowiadał się długi, samotny wieczór.

Jutro Paryż będzie się bawił, jutro ostatni dzień roku. Ona również spotka się z przyjaciółmi, przyjdą też Robert i Nicole. Sylwia i chłopcy zostaną pod opieką Nancy. Jutro będzie zabawa. Dzisiaj jest czas dla Waltera. Przed laty bawili się wtedy oboje wraz ze swoim wesołym towarzystwem. Oprócz Waltera zginęło jeszcze kilku przyjaciół, potem odebrał sobie życie René. Zawsze będzie ich brakowało.

- Nareszcie jesteś. - Usłyszała głos wydobywający się z mroku krótkiego grudniowego dnia.

Mając w oczach i w sercu wspomnienia pełne męża, chciała znowu powiedzieć jego imię, jednak z jakiegoś powodu powstrzymała się. Chyba już wtedy dotarło do niej dlaczego.

- Mam nadzieję, że cię nie wystraszyłem.

- Nie jestem strachliwa. - Uśmiechnęła się niepewnie do Raula. - Długo czekałeś?

- Dopiero przyszedłem.

- Przynajmniej nie zastałeś mnie w towarzystwie butelki wina - zażartowała. - Wejdz, proszę.

- Czy nie zaplanowałaś na dziś czego innego? Nie chcę ci przeszkadzać.

- Myślałam, aby odwiedzić Nicole. Robert zostaje dziś w szpitalu na całą noc - odparła swobodnie, celowo przemilczając wspomnienia związane z Walterem. Nie chciała dziś usłyszeć od przyjaciela, że ma je ostatecznie pogrzebać. Znała jego zdanie na ten temat.

- W takim razie pogadamy innym razem. Idź już do Nicole.

- Spokojnie - odparła niemal wesoło - w razie czego mam na to całą noc.

- Nie chcę, abyś chodziła sama po nocy.

- Nie gderaj i siadaj. Napijemy się kawy. Zimno dzisiaj, więc wróciłam do domu po zimowy płaszcz. Inaczej byśmy się nie spotkali. A zatem wykorzystajmy ten zbieg okoliczności. Powiedz, czy coś się stało?

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Rzadko się ostatnio widzimy, sami, bez powodu.

- To prawda. - Raul mrugnął do niej. - Sama jednak wiesz. Unikamy plotek i domysłów.

- Dziś jednak przyszedłeś bez ważnego powodu. Ostatni raz zdarzyło się to kilka miesięcy temu.

- Ależ pamiętam. To właśnie wtedy zastałem cię w towarzystwie podłej jakości wina. No dobrze już, dobrze, Alice. Nie gniewaj się za te wspomnienia.

- Co takiego chciałeś mi powiedzieć, co nie mogło poczekać do jutra? - zagadnęła, stawiając na stole filiżanki z kawą.

- Jutro żegnamy stary rok i w tłumie ludzi nie usłyszymy siebie nawzajem. Pyszna kawa, takiej jeszcze nie robiłaś - dodał, upijając łyk.

- To receptura z Zaborowa - odparła i nagle posmutniała.

Raul zauważył to natychmiast i chciał powiedzieć coś krzepiącego, ale szybko pokręciła głową.

- Nie chodzi o Barbarę, chociaż nie wiem, dlaczego uparła się ignorować mnie tak bezwzględnie. Po prostu przypomniała mi się zaborowska kuchnia, kobiety, które tam pracują, ich życiowe rady, ploteczki, rozmowy. Tylu praktycznych rzeczy mnie nauczyły, bez których potem nie

poradziłabym sobie w życiu. Choćby przyrządzenia takiej kawy. Mówiły, że ma ona moc... - Nagle umilkła, zmieszana, i zarumieniła się.

- Jak afrodyzjak? - odpowiedział wesoło Raul.

- Jak zwykle potem nakrzyczały na Bazylego, że opowiada takie sprośności przy młodych dziewczynach - dodała szybko Ala, próbując dostosować się do jego tonu, a potem zmienić temat.

- Założę się, że twój mąż uwielbiał twoją zaborowską kawę - zauważył tak po prostu Raul, a Ala zaniemówiła.

Przyjaciel nigdy do tej pory nie zaczął rozmów o Walterze.

Czuła wyraźnie, że nie chciał, aby tkwiła we wspomnieniach, że chciał ją wyrwać z jej przeszłości. Tyle razy mówił, że pora żyć i myśleć o przyszłości. Nagle, ni z tego, ni z owego przywołał jednak człowieka, którego kochała nad życie, za którym tak boleśnie tęskniła. Dlaczego to zrobić? Nie mieściło jej się to w głowie.

- Dziękuję ci, Alice - powiedział Raul, obserwując wzruszenie na jej twarzy.

- Za co mi dziękujesz? - zdziwiła się ponownie.

- Za to, co robisz dla moich dzieci. Za to, co zrobiłaś, gdy byłem w Ameryce, a mój syn potrzebował obecności ojca albo matki.

- Dziękowałaś mi już za to - przypomniała mu łagodnie.

- Nie tak jak trzeba.

- Co masz na myśli? - powiedziała, uśmiechając się do niego ciepło i łagodnie.

Raul odstawił ostrożnie filiżankę i ujął w obie dłonie twarz Ali. Przez chwilę siedzieli bez ruchu, jakby dawał jej czas na zastanowienie, na wybór, na wycofanie się. Dlaczego tego nie zrobiła? Była zaskoczona, ale tylko trochę. Nie na tyle, by nie móc zareagować. Chyba zwyczajnie nie chciała wtedy odsunąć się od niego i odjąć jego rąk od swojej twarzy. Chciała być dla niego miła. Wreszcie, chyba tęskniła za takim dotykiem. To już tyle lat...

Przymknęła oczy i poczuła znajomy dotyk na wargach, nie taki sam jednak. Chciała wymówić tamto imię, ale nie zrobiła tego. To nie był ten sam dotyk. W niczym jej to jednak nie przeszkadzało. Potem palce, które tak pieczotliwie muskały jej policzki, zagłębiły się w jej włosach. Otworzyła wtedy oczy i nieśmiało dotknęła jego twarzy.

- Raul - powiedziała cicho.

Patrzył na nią z radością i niedowierzaniem.

- Nie byłem pewien, czyje imię wymówisz - wyszeptał.

Zrozumiała natychmiast, o czym mówił, nadal jednak nie była pewna, jak zareagować.

Wreszcie przemogła się i uśmiechnęła.

- Piękne podziękowanie.

- To pewnie działanie tej kawy - skwitował, jakby nigdy nic.

Widać próbował znowu grać rolę dobrego, starego przyjaciela, ale ona już nie dała się temu zwieść. Już nigdy nie będzie jak dawniej. Zresztą od dawna nie było. Dlaczego jednak właśnie dziś, właśnie tego dnia wspomnień i tęsknoty stało się coś takiego? Jakby ktoś uchylił wieko pudła, w którym była zamknięta, i pozwolił jej wyjść na światło. Poraził ją jego blask. Tak długo było wokół ciemno.

- Dobrze całujesz. - Próbował obrócić wszystko w żart, ale wiedziała, że wynikało to z jego obawy o jej reakcję.

Postanowiła być szczerą. Nie będzie więcej udawała, jak się mają rzeczy, co naprawdę jest dla niej ważne. Żadnych niedomówień.

- To już pięć lat - rzekła drżącym głosem.

Patrzył na nią poważnie, w skupieniu, ale chyba nie do końca jeszcze rozumiejąc, o co chodzi.

- Ostatni raz widziałam Waltera pięć lat temu - uściśliła. - Odprowadziłam go wtedy na dworzec, rozmawialiśmy o przyszłości... A potem...

- A przedtem? - spytał, widząc, że jej oczy napełniają się łzami.

- A przedtem... - łzy popłynęły jej po policzkach, mimo to uśmiech rozjaśnił jej twarz - a przedtem robiliśmy... wszystko...

Zakryła twarz rękoma i zaczęła rozpaczliwie szlochać. Usłyszała, że wstał, przysunął do niej swoje krzesło i po chwili znalazła się w jego ramionach. Były to jednak ramiona przyjaciela, który niczego nie oczekuje, a chce przynieść pomoc i pociechę.

- Ja wiem, że ty nie chcesz, abym go wspominała. Tyle razy mówiłeś... jak to niedobrze tkwić w przeszłości.

- Alice, nie mówiłem o tym, byś nie wspominała. Mówiłem, abyś żyła. Wszyscy i tak zdążymy w końcu umrzeć. I tak nas to czeka. Zmarli już do nas nie wrócą.

- Tak, kiedyś Basia coś podobnego mi mówiła. Lecz to takie trudne. Brakuje mi go. Nie gniewaj się na mnie za to.

- Za co? Właśnie dlatego, że taka jesteś, kochają cię moje dzieci.

- Nie wiem, dlaczego mnie kochają. Ludzie czasem myślą, że zachowuję się, jakbym już nie żyła, jakbym postradała zmysły. Myślałam, że i ty czasem tak mnie postrzegasz.

- Ludzie nie wiedzą, jak potrafisz całować - stwierdził i znowu uśmiechał się zawadiacko, jak wtedy, gdy miał kilkanaście lat mniej. - Martwe kobiety tego nie robią.

Podał jej chusteczkę, ale była już spokojniejsza. Chyba potrzebowała tego płaczu, koił jej napięcie i nerwy. Raul wciąż uśmiechał się niemal łobuzersko.

- Dlaczego myślałaś, że nie lubię słuchać twoich wspomnień? Dziś na przykład bardzo zainteresowały mnie twoje słowa. A zatem powiadasz, że robiliście... wszystko. Możesz uściślić? Może przyda mi się ta wiedza?

- Chyba zwariowałeś! - zawołała. Nie mogła się nie roześmiać. - Nic ci nie powiem. Nie twoja sprawa.

- Czy wiesz, czego pragną moje dzieci? - spytał po chwili już zupełnie innym tonem.

- Tobie też to mówiły?

- Dopiero od kilku dni, od tej nocnej mszy świątecznej. Wcześniej jednak widziałem w nich to pragnienie. Kochają cię, Alice, bo wyczuwają w tobie siłę twojego przywiązania, trwanie przy drugim człowieku. Nie rozumieją i nie wiedzą, do kogo się to odnosi, ale czują twoje ciepło i dobro.

- Dostają to samo od Nancy.

- Tak, ale chłopcy pragną czegoś jeszcze innego.

- Chcą mieć matkę. Ja akurat jestem blisko, więc wymyślili sobie, że to mogłabym być ja.

Raul podniósł się z krzesła i wyciągnął do niej rękę.

- Pójdę już, Alice, a i ty zbieraj się, jeśli chcesz odwiedzić Nicole. Uważaj na dzisiejszą mgłę. Spotkamy się jutro na koncercie.

Skinęła głową. Następnego dnia, ostatniego dnia roku miał się odbyć kameralny koncert z udziałem Ali. Od tego zacznie się ich sylwestrowy wieczór.

- A zatem nie siedź u Nicole całą noc. Musisz odpocząć. Do jutra, Alice.

Odprowadziła go do drzwi i patrzyła, jak zakładał płaszcz. Ile to już lat się znają? Może dlatego nie jest im teraz łatwo. Może dlatego trudno teraz powiedzieć, co leży na sercu każdemu z nich. Czy jednak jego dotyk przy stole w kuchni nie powiedział więcej niż najpiękniejsze nawet słowa? Walter też nie mówił kiedyś wiele. Widocznie akurat ona nie potrzebowała słów.

„Co ja mam robić? Co ja mam robić?” – myślała gorączkowo. „Nie chcę go ranić, jest mi bardzo bliski. Chcę, aby był szczęśliwy, a ze mną nie będzie to możliwe”.

Dotknęła nieśmiało jego ręki, jakby go chciała zatrzymać i to właśnie powiedzieć, ale słowa uwięzły jej w gardle.

- Alice - odezwał się, gdy miał już wyjść - jestem twardy jak stal i potrafię być bezwzględny. Wobec ciebie jednak nie potrafię, wobec ciebie jestem zupełnie bezradny. Nie tylko moim dzieciom ciebie brakuje. Myślisz, że jest im wszystko jedno, kto będzie ich matką? Kochają właśnie ciebie. Dziękuję ci, że tyle im z siebie dałaś.

- Raul... - zaczęła, ale przerwała, bo nie wiedziała, co mówić dalej.

- Myślisz, że widzę w tobie tylko ich ewentualną zastępczą matkę? Że taką wyznaczyłem ci rolę?

- Nie - odparła zaskoczona.

- Powiedz tylko, na co masz ochotę, a dostaniesz wszystko. Nie ma rzeczy, której dla ciebie nie zrobię. Nie potrafię tylko wskrzesić twojego męża. Gdybym potrafił, zrobiłbym to bez wahania... żeby tylko w końcu zniknął ten smutek z twoich oczu. Nie potrafię jednak. Stamtąd nikt nie wraca. Płacz, ile chcesz, mów o nim, ile chcesz. Wszystko, co mówisz, jest dla mnie ważne. Mogę cię słuchać bez końca, ale w sprawie Waltera nic więcej nie potrafię zrobić.

Przejęta wzruszeniem, chciała wykonać jakiś cieplejszy gest, choćby taki, jak wiele lat temu, gdy nie było w tym żadnej dwuznaczności. Nie chciała teraz już płakać i wspominać Waltera. Na to przyjdzie pora później. Teraz zapragnęła coś zrobić dla Raula, dla tego tak bardzo jej bliskiego człowieka.

Dotknęła więc szalika przy jego szyi, by go poprawić, tak jak to czyniła kiedyś, ale ręce jej zadrżały.

Raul otoczył ją ramionami i całował delikatnie jej wargi, twarz, szyję. Delikatność tego dotyku wywoływała w niej znajome drżenie, przyspieszony puls, bicie serca. To już pięć lat. A jednak pewnych rzeczy pragnie się wciąż

od nowa. To było jak budzenie z głębokiego snu.

- Na co masz ochotę, Alice? - zapytał żartobliwie, drażniąc językiem jej ucho.

- Dzisiaj ci nie odpowiem - szepnęła po chwili, gdy była w stanie cokolwiek powiedzieć.

- Przecież niczego od ciebie nie chcę... - usłyszała tuż przy uchu.

- Kłamca... - Próbowwała się uśmiechnąć, ale jego wargi znowu dotykały jej ust.

- No, może trochę. - Raul ujął jej dłoń i przycisnął ją do swoich ust. - Nie wystraszysz się? Nie uciekniesz znowu gdzieś daleko?

- Dokąd? - Alice próbowała żartem pokryć podniecenie i zmieszanie. - Przecież nie do Zaborowa?

- Zobaczymy się jutro? - Znowu całował jej wargi i oczy, ale już zachłanniej i nie tak delikatnie jak przed chwilą.

- Co my wyprawiamy? - Ala miała wrażenie, że wokół wiruje cały świat. - Co teraz będzie?

- To zależy tylko od ciebie. Ja wiem, co czuję. Pójdę już, bo inaczej nigdy nie wyjdę. Do zobaczenia, Alice.

„Do widzenia, Alice”.

„Do zobaczenia”.

- Nie wychodź - zawołała, przejęta jakąś trwogą.

Raul spojrział na nią zaskoczony i cofnął rękę od kłamki. Na powrót zamknął drzwi.

- Co się stało? - spytał.

Nie śmiała mu powiedzieć, że takie właśnie były słowa Waltera pięć lat temu. A potem okazało się, że to były jego ostatnie słowa do niej skierowane. Nie zobaczyli się już więcej.

- Mam zostać? - spytał z niedowierzaniem, a tyle było radości w jego słowach, że tym razem postanowiła się nie wycofywać. - Nie wybierasz się już do Nicole? - zapytał ponownie.

- Spotkam się z nią jutro - odpowiedziała, na próżno starając się zapanować nad zdenerwowaniem i wewnętrznym podnieceniem. - Ostatnio zresztą czuła się lepiej.

- Alice... - Raul uśmiechnął się krzepiąco - nie musisz się bać. Jeśli chcesz, po prostu usiądźmy i porozmawiamy. Nie denerwuj się.

„Chyba nie porozmawiamy jak dawniej” - pomyślała. „Nie po tym, co się dziś wydarzyło”.

Czuła się jak pensjonarka na pierwszej miłosnej schadzce, zmieszana, niepewna, pełna poczucia winy, a jednocześnie ciekawa tego, co będzie.

Masz być szczęśliwa... Pamiętaj, żaloba nie może trwać całe życie... Potrafisz uszczęśliwić... Jesteś stworzona do miłości... Masz ułożyć sobie życie... Jesteś młoda i piękna...

Tak do niej napisał. Nie mogła nie pamiętać.

- Nie denerwuję się - starała się go zapewnić, zła na siebie za swoje niezdecydowanie.

Pragnienie czułości, poddania się czyjejś miłości walczyło w niej z pamięcią o Walterze, z obawą, że on całkowicie odejdzie już z jej życia. Przecież jeszcze parę godzin temu zapewniała go, że nie istnieje dla niej nikt inny. A jednak wystarczył czuły dotyk Raula, by obudzić w niej potrzebę tego, co zawsze było dla niej tak ważne. Na próżno starała się wybić sobie z głowy tęsknotę za...

Jesteś stworzona do miłości...

„Dobrze” - pomyślała. „Ten jeden raz... Teraz już nie będę się wycofywać. Nie zrobię z siebie idiotki. Raul zasłużył na poważne traktowanie”.

- Nie denerwuję się - powtórzyła już pewniejszym głosem i ująwszy go za rękę, poprowadziła w głąb mieszkania. Tam pozwoliła, by wziął ją w ramiona i nie przerywając pieśczoł, wniósł do pokoju gościnnego.

„To dobrze” - zdążyło jej jeszcze przemknąć przez głowę. „Dobrze, że nie do sypialni”. Sypialnia należała do Waltera.

Potem już przez kilka godzin nawet przez chwilę nie wspomniała zmarłego męża.

Obudził ją delikatny pocałunek, nie od razu jednak uzmysłowiła sobie, co się dzieje. Leżała, na wpół przytomna, w ramionach człowieka, który jeszcze wczoraj był jej bliskim, wieloletnim przyjacielem. Lecz kilka godzin temu wszystko się zmieniło i było już jasne, że nie wrócą stare relacje między nimi.

- Powiedz mi, Alice - szepnął Raul - dlaczego nie zrobiliśmy tego

wcześniej?

Zarumieniała się jak młoda dziewczyna, bo wspomnienia nocy wróciły ze wszystkimi szczegółami.

- Wcześniej byłam mężatką - odparła lekko schrypniętym głosem. -

A i ty prawie nigdy nie byłeś samotny.

- A jeszcze wcześniej? - Znowu jego ręce pieściły całe jej ciało, tak że z trudem zbierała myśli, a co dopiero słowa.

- Wcześniej byliśmy dobrymi kolegami - szepnęła.

- Wcześniej za dużo gadałem, a ty wolałaś konkretne czyny. Jesteś prawdziwym gejzerem miłości, Alice.

„Tak” - pomyślała. „Moi dwaj poprzedni mężczyźni mówili mi to samo. Dotyk działał na mnie zawsze, słowa niekoniecznie. Zorientowali się wcześniej niż ty, nawet niż ja. Ale tobie było trudniej, ty przez całe lata byłeś przyjacielem, niemal bratem”.

- Ty byłeś zawsze - zdążyła jeszcze odpowiedzieć, zanim porwała ją, przypominiana w ciągu ostatnich godzin, fala pożądania, gra zmysłów, a na końcu eksplozja rozkoszy.

Potrzebowała dłuższej chwili, by potem uspokoić własne serce, głowę i myśli.

- Spróbujmy zasnąć i odpocząć - zaproponowała cicho. - Dziś ostatni dzień roku. Czeka nas nieprzespana noc.

- Kolejna nieprzespana noc - potwierdził Raul, tuląc ją do siebie. - Nie potrafię przy tobie zasnąć, nie wymagaj ode mnie niemożliwego. Ale ty śpij, Alice. Twój rycerz będzie nad tobą grzecznie czuwał.

- Czy mój rycerz nie powinien zatroszczyć się o swoje dzieci? W domu pewnie wszyscy panikują, nie wiedzą, gdzie jesteś.

- Są przyzwyczajeni, że czasem znikam - powiedział, a ona znowu ujrzała to łobuzerskie spojrzenie, które zawsze ją rozbierało.

- Jak mogłam zapomnieć - mruknęła, zasypiając.

Gdy się obudziła, na dworze był już jasny dzień. Zmęczenie minęło, była sama w pokoju gościnnym i gdyby nie zmięta pościel i poduszka, mogłaby przeżycia ostatniej nocy uznać za sen. Pomyślała, że Raul poszedł już do swojego domu i wmawiała sama sobie, że to dobrze. Teraz spokojnie zastanowi się nad wszystkim, uspokoi i przemyśli jakąś strategię postępowania. Tylko właściwie jaką? I nad czym miała się zastanawiać? Czy

stało się coś aż tak niezwykłego? Przecież ostatnie lata, odkąd spotkała przyjaciela w tak niezwykłych okolicznościach, w grudniu osiemnastego roku, nocą na odludnej ulicy, wiodły ją nieodwołalnie ku temu, co stało się wczoraj i dziś. Nie było czego analizować.

„Tak uczciałam rocznicę dnia, gdy po raz ostatni widziałam Waltera” – pomyślała i ponownie poczuła silny rumieniec na twarzy. Walter jednak na to pozwolił. Mało tego, była przekonana, że to on postawił Raula na jej drodze, gdy próbowała trzy lata temu uwolnić się od towarzystwa żołnierzy w ciemnej ulicy.

Gdy wreszcie opuściła pokój gościnny, wiedziała już, że nie jest sama w domu. Usłyszała odgłosy krzątania z kuchni, a gdy tam weszła, Raul właśnie kończył przygotowywać śniadanie i kawę.

- Umieram z głodu, ty zapewne też. Tyle wrażeń – powiedział i poruszył porozumiewawczo brwiami, a potem objął ją i zaprowadził do stołu.

- Pomogę ci... - Ala próbowała delikatnie uwolnić się z jego ramion, jednak nadaremnie.

- Nie ma potrzeby, wszystko gotowe. - Raul nagle podniósł ją, jak małą dziewczynkę, i zawirował. - Alice, nie mogę uwierzyć, że to dzieje się naprawdę... Gdy siedłem do Ciebie, bałem się jak licealista albo skaut. Nie byłem pewien, jak mnie przyjmiesz, jak zareagujesz.

- Od początku miałaś nieczyste zamiary.

Chciała żartować z niego jak dawniej, sprawiać wrażenie doświadczonej, dojrzałej kobiety, która wie, co robi, i znakomicie panuje nad sytuacją. Tymczasem była onieśmielona wszystkim, co się stało, a nawet trochę zmieszana i zawstydzona jak młodzianka dziewczyna. Zdumiewało ją to bardzo, bo przecież nawet w czasie romansu z Olafem nie odczuwała tego tak silnie, jak teraz.

- No cóż, przyznaję - stwierdził. Postawił na stole dwie kawy, a potem usiadł przy niej blisko i objął ją ramieniem. - Pomyślałem: spróbuję. Najwyżej Alice mnie wyrzuci, najwyżej wypowie nie moje imię. Kiedy ostatni raz tak bałem się reakcji kobiety? Otóż, gdy miałem siedemnaście lat.

- Obrabiłeś dobrą strategię. - Ala próbowała zapanować nad rozmową, ale daremnie.

- Ty zrobiłaś kawę, która...

- Raul...

- Powiedziałaś też, jak namiętnie żegnałaś swojego męża. To pobudziło moją ciekawość, i nie tylko ciekawość... - mówił, ale nagle spoważniał i przyjrzał się jej twarzy. - To źle, że go wspomniałem?

- Nie. Lubię, gdy o nim mówisz - odparła, bo dotarło do niej, że to prawda.

Chciała mówić o Walterze, wspomnianie go już nie bolało. Przeciwnie - wywoływało fale ciepła, wzruszenia i wdzięczności. To było ważne, że Raul nie ignorował tego, co w jej dotychczasowym życiu było najważniejsze.

- Potrzebujemy siebie nawzajem, to oczywiste. Jesteś najważniejszym elementem mojego życia, całej tej skomplikowanej układanki, w której poszczególne elementy muszą być do siebie dopasowane. Bez ciebie nic nie trzyma się razem. Moi synowie kiedyś dorosną i odejdą. Będą mieli swoje dziewczyny, swoje kobiety, swoje życie. Ludzie przychodzą i odchodzą, a ty byłaś zawsze. Powiedziałaś tak o mnie. Ja odbieram to tak samo, od dawna. Wiesz od kiedy?

Pokręciła przecząco głową, ale dręczyło ją coś innego. Czy jest gotowa na takie wyznania? Wspólna noc to jedno. Wspólne życie to już poważniejsza kwestia. A chyba o tym mówił teraz Raul.

- Pojechałaś do Zaborowa na ślub...

- Barbary - dopowiedziała i serce jej się ścisnęło.

- W rezultacie tamta dziewczyna wyszła za twojego brata, a ty wróciłaś. Zupełnie odmieniona. Inna niż przedtem. Fascynująca i smutna, intrygująca.

- Byłam inna. - Ala spochmurniała. - Nie wiesz, co tam się stało. To tajemnica, ale teraz mogę ci ją powiedzieć. Tylko Walter wiedział, ale nie tyle, co ty, bo nie znał tamtego człowieka. Ty go poznałeś. Przypominasz sobie narzeczonego Basi, tego, który pojechał z nami na wycieczkę do Wersalu?

Raul zamyślił się i po chwili powoli skinął głową.

- Tak. Wpadłaś mu w oko.

- Oprócz ciebie nikt tego nie zauważył. Nikt się nie domyślił. A ty powiedziałaś...

- Że go zabiję, jeśli będziesz miała z nim kłopoty. Były kłopoty?

Jego dłoń pieściła jej ramię, a potem szyję. Ala ponownie próbowała delikatnie się uwolnić, lecz i tym razem okazało się to niemożliwe. Trudno było w tych warunkach o wyznania, ale nie mogła już nie udzielić

odpowiedzi na ostatnie pytanie.

- Niewiele brakowało - odparła. - Zostaliśmy kochankami. Bez zbędnych ceregieli, na miesiąc przed jego planowanym ślubem z dziewczyną, która uważała mnie za siostrę. Co na to powiesz? - Onieśmienie ustąpiło. Palił ją jednak wstyd. Raul milczał, więc zdecydowała się mówić dalej. - Miałam poczucie winy, ale tłumaczyłam sobie, że to tylko taka zabawa. Sprawiała mi wiele przyjemności, nie potrafiłam zrezygnować.

- W to akurat wierzę - przerwał Raul i uśmiechnął się jednoznacznie.

Patrzył z rozbawieniem na jej rozplamioną znowu twarz. A zatem nie był oburzony.

- Nikt nie domyślił się prawdy. Nikt nie wie. Powiedziałam Walterowi, ale Walter już nie żyje. Teraz mówię tobie, na wszelki wypadek.

- Na jaki wszelki wypadek?

- Nie wiem - zadrżała - może to, co mnie potem spotkało, śmierć mojego dziecka i męża to kara za tamto?

- Co ty opowiadasz, Alice?! To, co cię potem spotkało, jest splotem okoliczności niezależnych od tamtej sprawy! Pamiętaj, że przez pewien czas byłaś bardzo szczęśliwa i pamięć tego szczęścia wciąż jest w tobie. A tamta sprawa... - machnął niedbale ręką - to stare, zapomniane dzieje. Nie zwracaj już sobie tym głowy. Dość masz kłopotów. W dodatku ja ci się jeszcze trafiłem. Nie martw się, niech to nadal pozostanie twoją słodką tajemnicą. Nie cierpiałem tego faceta od początku, właściwie tylko z jednego powodu. Patrzył na ciebie tak, że trudno było mieć wątpliwości co do jego zamiarów, a ja już chyba wtedy uważałem, że należysz do mnie.

- To podłe! - Ala nie potrafiła się nie roześmiać. - Miałeś inne partnerki.

- Ale jestem widocznie typowym samcem. Nie lubiłem dzielić się tym, co świadomie lub nie uważałem za swoje.

Spoważniał znowu i tulił ją już delikatnie i czule, niemal jak dziecko.

- Tylko jednemu człowiekowi musiałem cię oddać i ustąpić mu pola. Zrobiłem to z trudem, jeśli pamiętasz, ale i ze spokojem. Tak mało go znałem, ale od razu wzbudził moje zaufanie. Wiedziałem, że mogę spokojnie wyjechać do Stanów i zostawić cię z nim, że zadba o ciebie, że będzie ci z nim dobrze. Do głowy mi nie przyszło, że na tak krótko... i że potrafisz tak

kochać.

Nie odpowiedziała, nie było takiej potrzeby. Siedzieli jeszcze przez chwilę w milczeniu i wreszcie Raul, już zupełnie innym, wesołym tonem, oznajmił, że czas na niego.

- Wprawdzie zapowiedziałem w domu, że mogę wrócić rano - spojrzał na nią szelmowsko - miałem trochę takiej nadziei... jednak już prawie dziesiąta. Dzieciaki pewnie już czekają na mnie.

- Mam zepsutą opinię, jak widzę.

- No nie, Alice. Nie znasz mnie jeszcze od tej strony. Nie mówiłem, dokąd idę. Odprowadź mnie do drzwi, ale już nie namawiaj, abym został. Skończyłoby się tym samym, co wczoraj.

- Idź już zatem - powiedziała.

Znowu była onieśmielona jak niewinna nastolatka.

Przy drzwiach uwolniła się w końcu z jego ramion, co nie było sprawą prostą i zajęło trochę czasu, po czym odsunęła zasuwę.

- Powiedz mi jeszcze - spytała, pragnąc pozbyć się jednak zawstydzienia i onieśmielenia - co sprawiło, że tak się wobec mnie ośmieliłeś? Przestałeś udawać bezinteresownego przyjaciela i... no wiesz...

- Nicole mnie ośmieliła - odparł, a ona stanęła oniemiała. Uszczypnął ją w policzek, roześmiał się i dodał: - Kilka miesięcy temu wspomniała, że twoje ciało nie jest, jak się wyraziła, z ołowiu. Skąd ona to wiedziała? Ja mogę to tylko potwierdzić.

Śmiejąc się jak młody chłopak, otworzył drzwi i wyszedł.

Rozdział 95

- Dobrze, że przyszłaś. Wybierałam się do ciebie, ale skoro mnie uprzedziłaś, to nawet lepiej. Nie będę tłumaczyć się przed Robertem, że wyszłam z domu. Jak zwykle uważa, że to zbyt ryzykowne.

- Bo to jest zbyt ryzykowne. Panuje wilgoć i wieje wiatr. Odczucie chłodu jest wyjątkowo intensywne. Nie wychodź z domu bez potrzeby, Nicole. Poczekaj z tym do wiosny.

- Alice, czy ty słyszysz, co mówisz? Mamy początek stycznia, a ty mi każesz czekać do wiosny, abym mogła wyjść z domu?

- Nie narzekaj. Czasem wychodzisz. Bawiłaś się niemal do drugiej w nocy w sylwestrową noc.

Nicole nie odpowiedziała. Nie chciała jeszcze przyznawać się do tego, że odpokutowała sylwestrową zabawę. Przez dwa następne dni leżała niemal bez ducha, ale zabroniła Robertowi komukolwiek o tym mówić. Dziś czuła się już lepiej, choć nadal nie wyglądała dobrze. Była przeraźliwie blada, a kiedy próbowała zaradzić temu przy pomocy różu, efekt był nie najlepszy. Wyglądała jak marnie ucharakteryzowana aktorka na trzeciorzędnej scenie. Martwiło ją to trochę, miała dla kogo starać się o urodę. Dziś jednak zainteresowała ją bratowa. Właściwie od kilku dni wyglądała jakoś inaczej, jakby ktoś pozapalał w niej wszystkie światła. W dodatku była wyraźnie niespokojna, wewnątrz podminowana, a niekiedy rozkojarzona. Czasami już tak bywało, że zapalały się w niej światła i budziła się do życia. Potem jednak znowu zapadała się w swoim bólu i otaczała jakimś niewidocznym, lecz jednak istniejącym, murem. Dlatego i tym razem Nicole podchodziła ostrożnie do kolejnej zmiany nastroju Ali.

- Wytrzymaj w domu, chociaż tak długo, póki nie zaświeci słońce. Nicole, nie bądź dzieckiem. Wiesz, że musisz na siebie uważać.

Odgłosy z dziecinnego pokoju świadczyły o tym, że tym razem to Sylwia gościła u siebie swoje małe koleżanki. Dziewczynki jednak nie przestawiały domu do góry nogami, jak to się zdarzało synom Raula, zwłaszcza gdy odwiedzali ich koledzy. W małym mieszkaniu Nicole panowały spokój i cisza.

- Nie musisz mi tego tłumaczyć ani przekonywać - powiedziała

z westchnieniem Nicole. – Robię, co mi każą lekarze. Nie chcę sprawiać problemów Robertowi. Chcę być zdrowa także dla niego. Odkąd wreszcie jesteśmy razem, stale choruję. Jest skazany na pielęgnację chorej kobiety, nie możemy prowadzić normalnego życia. Wierz mi, Alice, że życie pod dyktando choroby czasami przypomina więzienie. Nie sądziłam, że tak długo będę dochodziła do siebie po tamtym pobycie w szpitalu.

– Poczekaj na wiosnę – odparła Ala, aby powiedzieć cokolwiek.

– Ta myśl trzyma mnie przy nadziei. Bywają jednak takie dni, gdy myślę, że... nie doczekam do wiosny.

– Nicole...

– Wiem, wiem... To ta pogoda i to zamknięcie w domu tak na mnie działa. Wczoraj odwiedziła mnie Dominique i mówiła to samo.

– Potrzebujesz rozmów i towarzystwa ludzi.

– Mam wszystko i wszystkich, których potrzebuję. Pragnę jeszcze odzyskać zdrowie. Mogę zostać w ostatniej sukience, ale chcę być zdrowa. Czasem mam wrażenie, jakbym była już staruszką. Chcę żyć pełnią życia dla Sylwii, dla Roberta. To straszne, gdy pomyślę, że tak niewiele mogę mu ostatnio z siebie dać. Ma coraz więcej obowiązków, także w domu. Mnie czasem wszystko leci z rąk. Pracuję tak dużo na nasze utrzymanie, na utrzymanie rodziny w Polsce. Potem zajmuje się domem. Pomoc domowa jest wydatkiem, na który nie możemy sobie pozwolić. Robert nie ma czasu na działalność naukową, a to przecież jego główne powołanie. Miało być tak pięknie. Mielśmy pracować razem i razem rozwijać nasze pasje. A tymczasem na nic nie mamy czasu, najwięcej pożera go choroba. Biedny Robert! Gdyby został w Warszawie, mógłby robić to, o czym zawsze marzył. Gdyby został z Barbarą, miałby więcej czasu dla siebie. Jego żona nie była tak absorbująca jak ja.

„Nie, bo miała nadzieję, że dzięki temu on spojrzy na nią łaskawiej i do niej wróci” – pomyślała ze smutkiem Ala, lecz nie mogła powiedzieć tego głośno kobiecie, która była jedyną siostrą Waltera, a w dodatku zmagająca się z ciężką chorobą. Zresztą był to temat już dawno przedyskutowany, przerobiony i Ala nie miała siły do niego wracać.

Musiała powiedzieć coś krzepiącego.

– Jednak to ty stałaś się jego największym marzeniem. Zostawił wszystko i nie żałuje. Nie nastawiał się na łatwe życie. Poza tym kocha się

kogoś nie za coś, ale pomimo czegoś. Pamiętaj.

Nicole dotknęła dłonią twarzy i włosów Ali, a delikatność, kruchość tego dotknięcia poruszyła ją do żywego.

- Moja siostra - rzekła powoli Nicole. - Nie jesteś jedynie przyjaciółką i bratową, jesteś moją siostrą. Zawsze marzyłam o siostrze. Wiem, że Barbara też uważała cię za siostrę.

- Tak. - Ala kiwnęła głową i omal nie rozplakała się na wspomnienie Barbary oraz wszystkiego, co było z nią związane.

- Tak mi przykro, że musiałaś wybierać między nami.

- Nie musiałam. Mogłam i chciałam zachować przyjaźń was obu. To było możliwe, bo cały dramat rozgrywał się między wami, ja mogłam pozostać z boku. Niestety Barbara obciążyła mnie częścią odpowiedzialności za to, że Robert od niej odszedł.

Nicole chciała coś odpowiedzieć, ale Ala szybko potrząsnęła głową.

- Nie mówmy już o tym. Nie wracajmy do tych spraw. Mamy teraz inne. Teraz liczy się najbardziej twoje zdrowie. Teraz ty liczysz się najbardziej. Jesteśmy rodziną i nic już tego nie zmieni.

- To dzięki Walterowi mam siostrę. Wiedział wcześniej niż ja, jak bardzo będę cię potrzebować. Gdy zęgnął go po raz ostatni, powiedziałam mu, że ze wszystkich spraw, jakie mu zawdzięczam, ty jesteś najcenniejszym skarbem. Już wtedy wiedziałam, że mam siostrę, pomimo że nie łączyły nas żadne więzy pokrewieństwa. Powiedziałam mu to, a on poprosił, abym o ciebie dbała, gdyby już nie wrócił. Mówił, że nie chce, abyś resztę życia spędziła samotnie.

- Nicole... - Ala próbowała przerwać słowa tamtej, ale głos miała słaby, zduszony.

- Ja wiem, że ty nie chcesz o tym mówić. Wiem, że zaraz zaczniesz się buntować. Ja jednak muszę... Tyle razy chciałam cię prosić, ale twój ból, upór i nieugięta żaloba odbierały mi odwagę. Rozumiałam cię i podziwiałam, ale nie mogłam się z tym pogodzić. Walter mnie prosił... Alice, chcę abyś przeczytała jego ostatni list do mnie.

- Nie trzeba, Nicole - szepnęła Ala, z trudem hamując łzy. - Myślę, że napisał to samo, co do mnie. Pisał o swoim przeczuciu śmierci, bo nie pozwoliłam mu o tym mówić, zanim wyjechał. Pamiętasz ten dzień?

- Przecież mówiłam ci przed chwilą...

- Pamiętasz datę? Przedostatni dzień roku...

- Rok pamiętam. To był rok urodzenia Sylwii.

- Byłam wtedy na dworcu.

- Alice, pamiętam, że poszłaś go odprowadzić na dworzec. Ja nie mogłam z powodu dziecka, bo pogoda była niedobra.

- Zawsze tam przychodziłam trzydziestego grudnia. Każdego roku.

- Co takiego? - Nicole była wstrząśnięta i patrzyła na bratową z niedowierzaniem.

Wreszcie przemogła obawę o reakcję tamtej i zaczęła mówić głosem pełnym trwogi i łez.

- Alice, mam prawo to mówić, bo nasz Walter mnie o to prosił. To za długo trwa. On już nieodwołalnie odszedł, a my jesteśmy tu nadal razem z tobą. Chcemy cię zatrzymać, wyjdź z tego mroku. Czy ty myślisz, że ja go zapomniałam? Wspominam go niemal codziennie i nigdy nie przestanę po nim płakać, ale błogosławię go za to, że mam ciebie. Robert jest najważniejszym człowiekiem w moim życiu, a Sylwia moim jedynym dzieckiem, jednak żadne z nich nie może mi zastąpić ciebie, mojej siostry. Waltera nie ma, ale kocham cię jakby za niego. Co mam robić, abyś naprawdę zaczęła znowu żyć?

Nagle napotkała zagadkowe spojrzenie Ali. Spoza łez przebijało w jej oczach znowu to samo, tajemnicze światło.

- Już to zrobiłaś, Nicole, więc nie dramatyzuj - powiedziała, a widząc konsternację i zaskoczenie szwagierki, dodała: - Udzieliłaś Raulowi informacji na temat mojego ciała. Podobno nie jest z ołowiu.

Twarz Nicole spłonęła rumieńcem, nadal jednak nic nie rozumiała. Czy Alice zamierzała czynić jej teraz wymówki? Czy Raul postradał rozum, donosząc o ich rozmowie? Jednak na twarzy Ali, ukochanej żony Waltera, nie było gniewu. Cokolwiek to było, nie oznaczało oburzenia. Nicole wobec tego ponownie zebrała się na odwagę.

- Mówiłam nie tylko, że ciało nie jest z ołowiu, ale także serce - odparła z lekką przekorą.

- O sercu nie wspominał - skwitowała Ala i oczy jej zalśniły, chociaż nadal się nie uśmiechała.

Nicole siedziała skruszona, bojąc się odezwać, zdumiona w najwyższym stopniu. Zapominając o własnej chorobie, planowała już, jak zmyje głowę

Raulowi za to, że tak z niej zakpił. Wprawdzie nie prosiła go o zachowanie tajemnicy, ale chyba dorosły facet powinien mieć dość rozumu.

- Przepraszam - wyjąkała. - Nie powinnam wtrącać się w twoje życie, zwłaszcza w taki sposób.

- Nie gniewam się, choć przyznaję, że nie przebierasz w środkach, aby dopiąć celu. Potrafisz być znacznie bardziej uparta niż ja.

Nie gniewała się, to pewne. Dlaczego jednak sprawa ta wyplątała dopiero teraz? Przecież Nicole pamiętała doskonale, że słowa te wypowiedziała do Raula jeszcze w sierpniu.

- Kiedy ... powiedział ci o tym? - spytała nieśmiało i z poczuciem winy.

- Ostatniego dnia grudnia - padła całkowicie zaskakująca odpowiedź.

- Podczas zabawy? Po koncercie? Przed koncertem?

- Powiedzmy, że znacznie wcześniej.

- Nie widziałam, że przyszedł do ciebie rano - odparła Nicole zupełnie bez sensu, bo jakie to miało znaczenie, z kim Alice rozmawiała rano i na jaki temat.

- Wyszedł - odparła wtedy Ala niespodziewanie. - Rano ode mnie wyszedł.

Nicole otworzyła szeroko oczy i poderwała się z kanapy. Natychmiast wróciły jej wszystkie siły.

- Nie wierzę - ledwo skleciła te dwa słowa.

- Nie mów nikomu. Nawet mojemu bratu, droga... siostró - powiedziała Ala, niby to ponurym tonem, ale Nicole nie dała się już temu zwiść. Chwyciła bratową w objęcia, chociaż Ala nie patrzyła jej w oczy. - I tak byś coś w końcu zauważyła - mruknęła.

- I co teraz zrobisz? - spytała po chwili ubawiona Nicole, orientując się, że nie pozna więcej szczegółów.

Wtedy Ala zdjęła w końcu maskę pozornego chłodu, opanowania, a nawet ironii. Nicole znowu zobaczyła znaną jej osobę miotającą się pomiędzy wątpliwościami, wspomnieniami, miłością i tęsknotą. Tyle że doszedł jeszcze nowy niepokój, kolejne uczucie, kolejne doświadczenie.

- Nie wiem - szepnęła Ala.

Poprzedniego popołudnia przyszedł do niej Raul i już w drzwiach nie dał jej czasu na zastanowienie się, jak powinna zachować się wobec niego. Znowu całował ją początkowo czule, delikatnie, a potem coraz zachłanniej i namiętniej. Było zatem rzeczą oczywistą, że tamtej nocy sprzed paru dni nie traktował jak miłej, jednorazowej przygody, że zapowiadało się na więcej. Sylwestrową zabawę spędzili razem w dość licznym gronie przyjaciół i znajomych, ale zachowywali się jak para spiskowców, która niczym nie dała poznać innym, jak się sprawy mają i co zaszło. Potem z różnych powodów nie widzieli się przez parę dni i Ala nie miała zielonego pojęcia, co robić i jak dalej traktować ich przyjaźń.

Czego Raul od niej oczekiwał? Kim teraz dla siebie będą? Łamała sobie tym głowę przez dwa dni, trzeciego dnia jednak zaczęła odzyskiwać równowagę. Próbowwała nawet przejść nad tym, co się stało, do porządku dziennego, zająć się zwykłymi sprawami. Czwartego dnia Raul przyszedł i cały misternie odbudowany spokój okazał się w jednej chwili mizerną atropą. Dobrze, że zdążyli zatrzaskać drzwi przed ciekawskimi spojrzeniami sąsiadów.

- Nie mogliśmy się ostatnio widzieć, miałem urwanie głowy w firmie - powiedział, gdy wreszcie uwolniła się na moment z jego objęć, aby zaczerpnąć tchu.

- Rozumiem, nie musisz się tłumaczyć - odparła niepewnie.

- Nie muszę chyba dodawać, że praca nie szła mi rewelacyjnie. Mam coś dla ciebie.

- Co takiego? Wejźdźmy wreszcie do salonu, nie stójmy tu...

- Do jakiego salonu? Alice, nie salon mi w głowie.

- Raul... - Miała zamiar przemówić mu do rozsądku, lecz cóż z tego, kiedy i ona ten rozsądek traciła. Miała wrażenie, że jego ręce dotykają jej już wszędzie.

Jednak, ku jej zdumieniu, Raul wniósł ją do salonu, a potem posadził grzecznie na kanapie. A potem ujął ją za rękę i przybrał bardzo uroczysty wyraz twarzy.

- Co ty wyrabiasz? - spytała, lekko ubawiona.

A potem uśmiech zamarł jej na twarzy, bo zrozumiała, że jej przyjaciel nie żartował. Był poważny, elegancki i naprawdę uroczysty. Na moment zapanowała między nimi cisza. Raul milczał, jakby zastanawiał się, jakich użyć słów. Ona zastanawiała się, co odpowiedzieć. Tu nie chodziło o kontynuację romansu. Raul oczekiwał czegoś znacznie poważniejszego, a to przekraczało jej możliwości. Mogła kochać się fizycznie z żywym człowiekiem, ale serce nadal należało do zmarłego.

Raul wyjął małe pudełeczko i otworzył je przed nią. Dłoń lekko mu przy tym zadrżała i ten gest ją rozczulił. Nadal zastanawiała się, jakich ma użyć słów, gdy będzie mu odpowiadać.

Raul chyba też miał z tym problem, bo milczenie przeciągało się. Wreszcie wrzucił ramionami.

- Jak już mówiłem, Alice, wobec ciebie byłem i jestem bezradny.

- Ostatnio poradziłeś sobie ze mną bardzo dobrze - odparła i nie powstrzymała się od lekkiego uśmiešku.

- Pozwól mi się skupić - żartem przywołał ją do porządku, a potem zamyślił się. - Wiesz, co chcę ci powiedzieć. Słyszałaś już takie słowa od kogoś innego i dlatego to takie cholernie trudne. Cokolwiek zrobię lub powiem, zawsze wypadnę gorzej od niego.

- Nieprawda - zaprzeczyła łagodnie. - Nie o to chodzi.

- Pragnę kochać się z tobą na okrągło, Alice. Powinniśmy byli robić to już dawno temu, a przynajmniej od mojego powrotu do Francji. Na nikim nie zależało mi tak jak na tobie. Moglibyśmy robić to jak wiele innych par, bez zbędnych zobowiązań i ceregieli. Jednak nie chcę, abyś musiała przeze mnie grzeszyć.

- Zaraz cię uderzę, ty hipokryto! - zawołała, śmiejąc się. - Teraz ci się przypomniało? Teraz masz wyrzuty sumienia?

- Poprzednio to ty mnie uwiodłaś niczym prawdziwa szamanka. Mam przypomnieć kawę o działaniu afrodyzjaku? Nie wspominając już prowokacyjnych słów i zachowania.

- Nigdy nie spoważniejesz.

- Nigdy nie dajesz mi dokończyć tego, co chcę ci wyznać.

- Wszystko już powiedziałaś. Nie chcesz dłużej grzeszyć. Skąd to nawrócenie?

- Jesteś niemożliwą wiedźmą. Mnie już się nie da uratować. To raczej

o twoją nieśmiertelną duszę tu chodzi. A przypomniało mi się to nie teraz, ale następnego dnia rano po naszej... wspólnej zabawie.

Nagle spowaźniał i położył pierścionek na jej otwartej dłoni.

- Kocham cię od lat i pragnę jak nikogo do tej pory. Nigdy jednak nie będziemy naprawdę razem, o ile nie pobierzemy się. Żaden inny rodzaj związku nie daje poczucia takiej jedności. Chyba to rozumiesz, Alice. Jesteś osobą, z którą chcę spędzić resztę życia. To pewne.

Znowu przybrał zawadiacki wyraz twarzy, jakby skupiona mina Ali rozbawiła go do łez.

- Nie bój się, Alice. Zmienię swoje zachowanie. Będę wierny, przestanę pić, nie nabałaganię w domu. Nie będę się awanturował i karnie wykonam każde twoje polecenie. Będziesz miała ze mnie pociechę, przysięgam.

- To nie takie proste - odparła Ala bardzo cicho. - Wiesz, co mam na myśli? Kogo mam na myśli?

Nie zdążyła zakryć dłońmi twarzy, bo Raul ujął ją za te dłonie, a potem dotykał wargami jej powiek, szyi, pieścił jej usta.

- To go wspominaj - szepnął. - Mówiłem ci już. Wspominaj go, ale żyj ze mną. Jako moja żona.

- Potrafisz być w ten sposób szczęśliwy? - spytała, a w głowie kręciło się jej jak po wypiciu wina.

- Wiem, że teraz nie potrafię już żyć bez ciebie.

- Daj mi pomyśleć, proszę. To decyzja na całe życie.

Myślenie i podejmowanie decyzji na całe życie było w tych warunkach niemal niemożliwe.

- Znamy się całe życie - odpowiedział, rozpinając guziki jej sukienki.

- Znamy się inaczej - odparła, drżąc na całym ciele. - A więc w taki sposób zamierzasz zadbać o moją nieśmiertelną duszę?

- To tylko mała przysługa, która zachęci cię do podjęcia właściwej decyzji. Potem, jako pani Renet, będziesz to robić z czystym sumieniem.

- Daj mi parę dni - poprosiła szeptem. - Nie odpowiem ci dzisiaj.

- Mówiłem, że dla ciebie wszystko, Alice. Będzie, jak zechcesz, ale od jutra. Teraz jednak...

*

Nicole siedziała jak ogłuszona i nie odrywała oczu od Ali przez cały czas,

gdy tamta mówiła.

- Nad czym się jeszcze zastanawiasz? - spytała wreszcie. - Na co ci te kilka dni?

Ala nie patrzyła szwagierce w oczy. Sprawiała wrażenie zagubionej, onieśmiałej i zmieszanej.

- Nie wiem, co robić - powtórzyła.

- Jak to nie wiesz? Zawsze wiedziałaś. Umiałaś pewnie iść do przodu, wiedziałaś, czego chcesz.

- To niezupełnie tak. W najważniejszych momentach niósł mnie ślepy los.

- Kiedy dawno temu mieszkaliśmy przez pewien czas razem, jako młode dziewczyny, patrzyłam z podziwem i strachem na to, jak podbijałaś męskie serca i zmysły. Czasami bałam się, by nie skończyło się to źle dla ciebie, tak jak to stało się w moim przypadku. Nic sobie z nich wszystkich nie robiłaś, chyba nawet nie zdawałaś sobie sprawy, jak na ciebie patrzyli. A potem dostrzegłam, że los tych wszystkich facetów podzielił także mój brat. Jaka byłam na ciebie wściekła! Mogłabym cię wtedy ugotować żywcem. Byłam pewna, że nawet go nie zauważasz, a co najwyżej bawisz się nim. Jak to się stało, że jednak go dostrzegłaś? Jakiego sposobu użył, że zgodziłaś się za niego wyjść? Prawie go nie znałaś! Co takiego zrobił? Możesz oczywiście mi nie odpowiadać, ale zawsze byłam tego ciekawa.

- Co takiego zrobił Walter? - Twarz Ali rozświetlił ciepły uśmiech. - To, co Raul. Prawie, niewiele brakowało. Przeszkodziła nam niespodziewana wizyta mojego brata i ojca.

Nicole pokręciła głową w osłupieniu i podziwie.

- A więc to tak było! Nie znałam nie tylko własnej bratowej, ale i własnego brata. A jednak szalał wtedy na twoim punkcie. Czy dlatego go w końcu pokochałaś?

- Nie mogłam być obojętna na takie uczucie, na tak bezwarunkową miłość. Podbił mnie tym bez reszty. Żadna by się nie oparła.

- Skoro tak, to dlaczego teraz masz wątpliwości? Sytuacja jest prawie taka sama. Znowu jest ktoś, kto szaleje na twoim punkcie, nie stawia warunków i jest ci oddany od lat. Sama przyznałaś, że zawsze stał przy tobie. Z wyjątkiem tych lat, gdy byłaś żoną Waltera. W dodatku uwielbiają cię jego dzieci.

- Nicole, to nie takie proste - wybuchnęła w końcu Ala.

- Alice, Walter nie żyje już prawie pięć lat. Nie zmienisz tego, nie wróci do ciebie. Nie możesz całe życie tylko go opłakiwać.

- Wiem, przecież wiem. Tu, na ziemi, mogę ponownie wyjść za mąż, ale to tylko chwila w porównaniu z wiecznością. Czyją żoną będę po śmierci? Walter miał tam na mnie czekać.

Była pewna, że Nicole roześmieje się jej w twarz. Sama żyła z dala od Kościoła i wiary. Wprawdzie wprawiła ich wszystkich w zdumienie propozycją wyprawy świątecznej do kościoła, jednak - zdaniem Ali - o nawróceniu nie mogło być mowy.

To raczej Nicole powinna się zdziwić, skąd nagle u Ali takie powoływanie się na wiarę, zwłaszcza po tym, co wyznała dzisiejszego popołudnia.

Siedziała ze spuszczoną głową i czekała na żarciki szwagierki z pełną świadomością, że na nie zasługuje. Usłyszała jednak, że Nicole wstaje i wychodzi z pokoju. Może chciała sprawdzić, co robią dziewczynki? Wróciła jednak po chwili.

- Przeczytam ci coś - zaczęła. - Ty czasem też możesz to zrobić. To świetna lektura.

Ala spojrzała na nią zdziwiona, a Nicole zaczęła czytać:

- Otóż było siedmiu braci. Pierwszy pojął żonę i zmarł bezdzietnie. Pojął ją drugi, a potem trzeci i tak wszyscy pomarli. W końcu umarła i ta kobieta. Przy zmartwychwstaniu czyją więc będzie żoną? Tak pytali saduceusze Jezusa, powołując się na prawo Mojżeszowe. Jezus im odpowiedział: Dzieci tego świata żenią się i za mąż wychodzą. Lecz ci, którzy uznani zostaną za godnych udziału w świecie przyszłym i w powstaniu z martwych, ani się żenić nie będą, ani za mąż wychodzić. I dalej posłuchaj: Bóg nie jest Bogiem umarłych, lecz żywych.

- Co to znaczy? - spytała cicho Ala.

- To znaczy, że jeśli to wszystko prawda, to tam będziemy żyć inaczej niż tu.

- Nie spotkam tam Waltera i Melanie?

Dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej?

Nicole objęła ją z całej siły, jaką dysponowała, i tuliła do siebie z czułością.

- Walter prosił, bym o ciebie zadbała i zmusiła cię do życia, nawet jeśli

ty nie będziesz tego chciała. Masz być szczęśliwa, to było jego życzenie, niemal rozkaz. Mówię w jego i swoim imieniu: wyjdź za człowieka, którego los postawił ci na drodze. We dwoje lepiej żyć niż samemu. Ja nie mam wyjścia, ale ty i Raul możecie żyć w normalnym związku. A wierz mi, Alice, małżeństwo to jednak najwłaściwszy układ dwojga bliskich sobie ludzi. Można silić się na oryginalność, ale tego akurat nie zmieni nic.

Ala wstała. Pora już była wracać do domu. Spodziewała się dziś wieczorem dwóch uczennic.

- Od kiedy stałaś się takim ekspertem od Biblii? - zagadnęła przy wyjściu.

Twarz Nicole nagle jakby się zamknęła i pociemniała.

- Czasami do niej zaglądam - odparła wymijająco.

Rozdział 97

...A zatem zdecydowałaś się nareszcie poślubić tego człowieka? To dobrze, od dawna byłam zdania, że powinnaś to zrobić. Wierz mi lub nie, lecz szczerze życzę Ci szczęścia. Sądzę zresztą, że nie potrzebujesz tych życzeń. Masz w tych sprawach godny podziwu i zazdrości instynkt. Twój pierwszy mąż był właściwym wyborem, spokojnie na niego czekałaś. Dlaczego teraz miałoby być inaczej? Jednak, Droga Alicjo, nie wybieram się na Twój ślub i myślę, że potrafisz to zrozumieć. Myślę nawet, że na to liczysz. Sytuacja tam, w Paryżu, byłaby wysoce niezręczna, gdybym zjawiła się z trójką dzieci. Na wszelki zaś wypadek, gdybyś ponownie chciała mnie namawiać i zapraszać, odpowiem od razu: próżny twój wysiłek.

List, który do mnie napisałaś z zaproszeniem na ślub, jest ostatnim listem z Paryża, który otworzyłam. Więcej już tego nie zrobię. Wyjaśnię Ci dlaczego, choć Bóg mi świadkiem, nie wiem, po co te tłumaczenia. Otóż nie pojedę do Paryża, bo nie wyobrażam sobie spotkania na tej samej ceremonii mojego męża i jego kochanicy, a także ich bękart. To chyba jakoś rozumiesz i nie ma sensu kwestii tej uzasadniać. Gdybym znalazła się w tym samym miejscu, co oni, w tej samej przestrzeni, oznaczałoby to, że akceptuję i sankcjonuję ich haniebnny związek. Tymczasem brzydzę się nimi i potępiam ich, nie mam zamiaru być nowoczesna i fałszywie tolerancyjna. Jeśli teraz panuje moda na taką tolerancję, to wolę pozostać ciemną zaściankową fanatyczką. Tak pewnie o mnie myślicie, ale to bez znaczenia. Potrzebujecie mojego przyzwolenia na ten brud i hańbę, bo wtedy sumienia wasze byłyby czyste. Otóż nie! Będę zawsze waszym cierniem i przypomnieniem zła i krzywdy, jakiej dokonano na mnie i moich dzieciach.

Powiesz, Alicjo, że to przecież nie Twoja wina, że nie brałaś w tym udziału, a nawet próbowałaś przemówić im do rozumu. Tak zapewniałaś mnie w tym i poprzednich swoich listach. Oczywiście, wierzę Ci. Nie wątpię, że chciałaś ratować naszą rodzinę. Kochałam Cię jak siostrę i myślę, że byliśmy sobie bliskie. Byłaś przy mnie, gdy wierzyłam w moje szczęśliwe narzeczeństwo z Olafem, i wtedy, gdy ono się

rozpadło. Słuchałaś mojego płaczu i moich żalonych lamentów, chociaż z pewnością w pewnym momencie miałaś tego powyżej uszu. A potem stałaś blisko mnie, gdy w naszym małym, kameralnym gronie brałam ślub z Robertem. Do Ciebie pierwszej napisałam o narodzinach Karolka. Trzymałaś mnie za rękę, gdy niemal umierałam, wydając na świat bliźnięta. Pielęgnowałaś je jak rodzona matka, gdy ja nie miałam na to sił. O Tobie często myślałam, gdy rozdzieliła nas wojna. Nigdy Ci tego nie mówiłam, ale usłyszałam Cię, gdy płakałaś po śmierci Waltera. Dzieliły nas tysiące kilometrów, a ja czułam Twoje cierpienie. To był najważniejszy dowód naszego siostrzanego przywiązania. Tak myślałam wtedy i długo potem.

Jednak w pewnym momencie dotarło do mnie, że miałaś przede mną tajemnice. Oczywiście miałaś do nich prawo. Nawet najbardziej kochające się siostry nie muszą mówić sobie wszystkiego. Tymczasem Twe tajemnice dotyczyły mojego życia, moich spraw, mojego męża, moich dzieci, mojej rodziny. Tego nie mogę i nie chcę zrozumieć. Całymi latami milczałaś na temat wojennego romansu Roberta, na temat jego dziecka. Podobno nawet jemu tego nie powiedziałaś. Podobno tamta prosiła Cię o to. Podobno obie działałyście w dobrej wierze. Podobno myślałyście, że moja niewiedza i Wasza tajemnica uchroni moje małżeństwo przed kryzysem.

Jak mogłaś być tak głupia, by sądzić, że taką sprawę da się zachować w tajemnicy? Robert nie miał romansu z przypadkową kobietą, która potem miała prawo zniknąć z jego życia. To osoba związana z naszą rodziną, siostra Twojego męża. Jak w takim razie chciałaś zataić fakt ich romansu, zwłaszcza że urodził się z niego bękart? Zamierzałaś całe życie ukrywać to przede mną? Nawet ten jeden raz nie potrafiłaś postąpić należycie, gdy przyjechałam do ciebie z wizytą razem z moimi dziećmi. Co czułaś, gdy natknęłam się na tego dzieciaka wtedy, w parku? Czy wiesz, co ja czułam, gdy potem, w Warszawie, to do mnie dotarło?

Pozwoliłaś na to, aby w czasie wojny mój mąż spał z inną kobietą pod dachem Twojego domu. Nie tłumacz mi, Alicjo, że o niczym nie wiedziałaś. Obrażasz w ten sposób moją inteligencję, nawet jeśli nie jest tak wielka jak Twoja. Zresztą może i Ty nie jesteś wcale taka bystra, jak

wszyscy sądzą, skoro nie zorientowałaś się, jak twierdzisz, co działa się w innym pokoju twojego niedużego przecież domu.

Wybaczyłabym Ci to jednak, bo to był trudny dla Ciebie czas. Miałaś prawo cierpieć i myśleć o kim innym niż twój brat, szwagierka czy nawet ja. To były czasy wielkiej próby i nie każdy wyszedł z nich zwycięsko. Okrucieństwo wojny, jej ofiary, bezwzględność były powodem upadku wielu wartości, dotąd uważanych powszechnie za niewzruszone i trwałe. Rozumiem jednak tych, co nie dali rady. Sama, jak wiesz, byłam o krok od tego. Jednak wytrzymałam. Ty też. Myślałam, że my obie jesteśmy mimo wszystko z jednej gliny – jak prawdziwe siostry. Wybaczyłabym nawet Robertowi, zrozumiałabym i wybaczyła, bo kochałam go jak nikogo na świecie. Ty jednak uznałaś, że lepiej milczeć przede mną. Uznałaś tak, bo nakłoniła Cię do tego tamta kobieta, która prawie mnie nie знаła. Wobec tego doszłaś zapewne do wniosku, że takiej ciemnej parafiance jak ja lepiej nic nie mówić.

Wybaczyłam Ci, bo wyobrażam sobie, jak musiało być Ci źle, jak byłaś zagubiona. Skąd mogłaś wiedzieć, jak zareaguję? A poza tym przeżywałaś tragedię żałoby. To jednak, co stało się później, przechodzi moje wyobrażenie. Wiedziałaś o tym, że oni wznowili po wojnie romans. Trwało to przez niemal trzy lata, zanim ja się dowiedziałam. Ty – wiedziałaś. Na to nie ma wytłumaczenia. Pisałyśmy do siebie, dwukrotnie w tym czasie byłaś w Zaborowie, ja odwiedziłam Cię w Paryżu, a ty milczałaś, chociaż musiałaś przypuszczać, dokąd to wszystko zmierza.

Wiedziałaś, że zakochał się w tej kobiecie i zamierza mnie opuścić. To była tylko kwestia czasu. Uznałaś jednak, że spróbujesz sama ratować nasze małżeństwo, zamiast po prostu o wszystkim mi powiedzieć. Wtedy ja osobiście podjęłabym walkę i może bym wygrała. W każdym razie byłabym do niej przygotowana. A tak spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba i przeprowadziłam tę rozmowę najgorzej, jak można było – spontanicznie, bez planu, bez przygotowania. Na poważną walkę nawet nie miałam czasu i możliwości. To nie znaczy, że złożyłam broń. Walkę prowadzę nadal i mam do tego święte prawo. Człowiek ma prawo walczyć o swoje dobro i o swoje szczęście. Ja o swoje zaczęłam walczyć zbyt późno, może za późno, ale się nie poddam. Wiem, że mam rację.

Zarzucać mi, że chwytam się niegodnych sposobów. Moja Droga, prowadzę wojnę, a na wojnie każdy sposób jest dopuszczalny. Ostatnio przeżyłam dwa militarne konflikty, więc wiem, co mówię. Nie, Alicjo, zbyt długo byłam pokornym, dobrym cielęciem. Starłam się rozumieć innych, nawet ich głupotę.

Rozumiem, że Robert po powrocie z wojny nie chciał opowiadać o swoim romansie z tamtą, tym bardziej że nic nie wiedział o konsekwencjach. Rozumiem, bo może na jego miejscu też bym się tym nie chwaliła. Najważniejsze, że wtedy do nas wrócił, że zaczęliśmy nowe życie. Naprawdę w to wierzyłam. Tego jednak, że wrócił potem do tej dziwki, że go przyjęła, że żył z nami dwiema, że na koniec zostawił mnie i troje dzieci, wybaczyć nie mogę i z tym będę walczyć do końca moich dni.

Tobie mogę wybaczyć, że milczałaś o tym, co stało się w Twoim domu w czasie wojny. Może i ja, będąc na Twoim miejscu, też wolałabym nikomu o tym nie mówić. Mogę Ci nawet wybaczyć, że milczałaś na temat bękarta, choć było to mało przewidujące rozwiązanie. Jednak Twojego milczenia na temat ich późniejszego skandalicznego romansu wybaczyć nie mogę. Twoje milczenie, jak pisałam, zostawiło mnie kompletnie bezbronną w obliczu katastrofy, jaka nawiedziła mój dom.

Nie to było jednak najgorsze. Nie okazałaś skruchy, ale stanęłaś potem po niewłaściwej stronie. Pamiętasz, jak Cię błagałam w moim ostatnim liście o solidarność siostrzaną? Gdybyś wtedy stanęła jednoznacznie po mojej stronie, jak Twój ojciec i Janek, wszystko bym Ci wybaczyła. Twoje poparcie było mi wtedy najbardziej potrzebne. Nadal bardzo Cię kochałam i uważałam za siostrę. Wiem, że wiele by Cię to kosztowało, bo chodziło o Twojego brata i szwagierkę. Prosiłam o wiele, ale nie miałam wyjścia. Myślisz, że Twój ojciec i Jaś wtedy nie cierpieli? Umieli jednak wybrać właściwie. Ty jednak zdecydowałaś inaczej. Dzięki Tobie mój mąż i ta przeklęta kobieta nie stanęli poza nawiasem rodziny i przyjaciół. Jesteś z nimi i wspierasz ich. Twoja odpowiedź pozbawiła mnie złudzeń co do Ciebie i naszej przyjaźni.

Twój list sprzed miesiący zabolął mnie tak bardzo jak odejście Roberta. Nie mam już siostry. Moje dzieci nie mają już ciotki. Nie mają też ojca. A teraz zapraszasz mnie na swój ślub. Pisziesz, że tęsknisz za

naszą przyjaźnią, że pragniesz być blisko mnie i tamtej, że twoim zdaniem jest to możliwe. Nie umiem sobie wytłumaczyć, co musiało upaść na Twoją głowę, byś pisała takie bzdury. A może to nowa miłość tak Cię odurzyła, że nie wiedziałaś nawet, jakie słowa do mnie kierujesz. To, co proponujesz, nie wchodzi w grę. Nie możesz być siostrą nas obydwu. Zgodziłaś się na zło i siedzisz w tym grzechu po uszy razem z nimi. Pozwoliłaś na to, aby twój brat w przyszłości, po śmierci, poszedł do piekła. Pamiętaj o tym, gdy będziesz odwiedzać ich miłosne gniazdko.

Nie pisz już do mnie i nie wysyłaj prezentów do moich dzieci. Zabraniam Ci też do nich pisać. Chyba że zmienisz zdanie i sposób postępowania - wtedy droga do mnie zostanie dla Ciebie otwarta. Na Twój ślub oczywiście moje dzieci też nie przyjadą. Nie mam zamiaru, aby przy tej okazji spotkały ojca, który zresztą nigdy nie miał dla nich czasu, aby poznały jego dziewczkę i bękartą w roli małej siostrzyczki.

To wojna, moja była ukochana Siostró, ale nie ja ją zaczęłam. I to mnie jest najtrudniej. Przyjadą do Ciebie Twój ojciec i brat, bo nie miałam sumienia żądać od nich, aby tego nie robili. Zresztą chyba nie miałam też takiego prawa i nie chciałam stać się przyczyną ich dodatkowej udręki.

Ja ze swej strony życzę Ci, jak już pisałam, szczęścia. Mimo wszystko nie potrafię życzyć Ci zła, jak tamtym dwojgu żyjącym w haniebnym związku. Oby nigdy nie spotkał Cię mój los.

Barbara

Moja Droga Córko!

Piszę tak do Ciebie, gdyż od dawna jesteś dla mnie jak druga Córka, z którą zresztą nieraz potrafiłam lepiej się zrozumieć niż z moim rodzonym dzieckiem. Raduje mnie myśl, że pozwoliłaś sobie wreszcie na bycie szczęśliwą. Już w to wątpiałam i byłam przekonana, że uparłaś się trwać w swej żałobie do końca życia. Dzięki Bogu jednak, stało się inaczej. Gdy będę odchodzić z tego świata, to ze świadomością, że przynajmniej jedno z dzieci ułożyło sobie życie. Obyś naprawdę była szczęśliwa, tym razem przez długie lata.

Ogromnie lubiłam Waltera, ale Jaś zapewnia mnie, że twój drugi

wybranek to dzielny, zaradny i wartościowy człowiek, który w dodatku kocha Cię od wielu lat. Skąd Twój brat ma takie wiadomości? Nie wiem, lecz wolę zaufać jemu niż Twojemu ojcu. Joachim zawsze był uprzedzony do Raula Reneta, ale nigdy nie potrafił podać sensownych ku temu powodów. Myślę więc, że wbił sobie coś w głowę, jak to on, i trwa przy tym, nie mogąc zdecydować się na zmianę zdania. Nie przejmuj się tym jednak, moje Dziecko. Twój ojciec jest dobrym człowiekiem, choć upartym jak osioł, z pewnością jednak polubi Twojego męża. Podobnie jak ja i my wszyscy, cieszy się, że nie będziesz dłużej samotna. Wiem, że chciałaś żyć tak, jak żyłaś, ale wierz mi, Dziecko, że jeśli trafia się możliwość złapania szczęścia, to trzeba je łapać. Inaczej po latach pozostanie gorycz i żal, że się z tego czy owego nie skorzystało.

Ja na przykład nie zaznałam zbyt wiele dobra w związku z ojcem Barbary. Na pewno o tym słyszałaś, bo w Zaborowie i jego okolicach trudno o zachowanie tajemnicy, a poza tym – co tu ukrywać? A jednak nie żałowałam, że go poślubiłam, bo był moją szaloną miłością – mimo wszystko. Pytanie tylko, czy wytrzymałabym to dłużej, gdyby w końcu jego szaleństwa go nie zabiły. No cóż, ono zostanie bez odpowiedzi, bo sama tego nie wiem. Nie żałowałam też, że poślubiłam potem twojego ojca, choć czasem było trudno, zwłaszcza na początku. Chłopcy dali mi do wiwatu, ty w ogóle nie chciałaś mnie znać. Ja też nie należałam do słodkich i nieskomplikowanych kobiet. A jednak daliśmy sobie radę i możesz mi wierzyć (wbrew temu, co gadał ten czy tamten), nigdy nie czułam się samotna w tym związku. Chociaż Barbara, a zapewne także ty i wiele innych kobiet, nie umiałaby żyć tak jak ja. Ja nie miałam czasu na rozpamiętywanie takich spraw. Powiedziałam sobie, że tak jest dobrze i już.

Zapewne dziwisz się, moja Córko, skąd te wynurzenia u takiej drętwej kobiety jak ja. Otóż, potrzebuję się czasem wygadać, jak to mówią. Ostatnio zaś nawet bardziej niż kiedyś. Chyba się starzeję, mam mniej sił do pracy i więcej czasu do myślenia. Nie są to wesołe rozważania, jak zapewne się domyślasz. Całe życie poświęciłam budowaniu i chronieniu majątku i rodziny. Majątek ocaliłam, rodzina się posypała. Nie mogę jednak rozmawiać o tym ani z Joachimem, ani z Jankiem, bo zaraz zaczynają się emocje, a tego już nie mogę ścierpieć. Naturalnie

rozmowy z Bašką też nie wchodzą w grę. Ja już nie mam na to siły i nerwów.

Ty mi pozostałaś, bo umiesz zachować umiar i rozsądek, ale Ciebie tu nie ma. Wiem, że nieprędko Cię zobaczę. Wiem, jak się sprawy mają. Może tak się zdarzyć, że nie zobaczymy się już nigdy. Bardzo mi Ciebie brakuje, ale nie mogę przyjechać na Twój ślub. Czuję, że muszę zostać z Barbarą i wnukami. Staralam się ją przekonać, aby wysłała chociaż dzieci pod opieką ich dziadka i wuja. Niestety, jest nieprzejednana. Wobec tego wolę tu zostać. Poza tym nie wyobrażam sobie spotkania z Robertem i tamtą kobietą. Pomijając żal, jaki do nich czuję (chyba to rozumiesz), jest jeszcze coś...

Zawsze dziwne dla mnie było traktowanie Roberta jak zięcia. Zawsze widziałam wtedy małego chłopca, którego starałam się wychować i traktowałam jak syna. Potem ten chłopiec dorastał na moich oczach i bawił się z moją córką jak brat z siostrą, a potem dwoje moich dzieci wzięło ślub i poszło spać do jednego łóżka. Czasem tak myślałam, Alu, i walczyłam z tymi myślami, a potem czułam, że to nie może się udać. Decyzja o ich ślubie była zbyt szybka, zbyt spontaniczna, a moja i Joachima zgoda - wymuszona sytuacją i zaskoczeniem. To nie znaczy jednak, że mogę teraz obojętnie patrzeć na rozpacz mojej córki i na nową kobietę u boku Roberta. Barbara jednak nie przebiera w środkach, jej postępowanie w sprawie dzieci oburza mnie, i nie tylko mnie. Wiem, że cała służba i sąsiedzi patrzą na to krzywo. Krzywdzi te dzieci dodatkowo, ale nie daje sobie nic powiedzieć. Wszyscy jesteśmy bezradni.

Tak więc, Droga Córko, będę przy Tobie myślami. Pozdrawia Cię cały Zaborów, wszyscy życzą Ci szczęścia. Specjalne pozdrowienia masz od Zosi i Jana Lubowiczów, którym parę dni temu nareszcie urodził się syn. To na razie jedyna dobra nowina stąd. Pozdrawiają Cię też Twoi bratankowie i bratanica. Mam nadzieję, że przynajmniej z nimi kiedyś się zobaczysz. Oby wszystkie dzieci mogły kiedyś zgromadzić się pod tym dachem, w tym domu, który przecież po to tylko ratowałam, aby był rodzinnym gniazdem. Oby chociaż te dzieci, obecne i przyszłe, odbudowały naszą rodzinę.

Twoja macocha, która pragnęła być dla ciebie matką

Raul wyjął listy z rąk Ali i objął ją krzepiąco ramieniem.

- Teraz będziesz miała już swoją własną rodzinę. To ci pomoże.
Zobaczysz, kochanie.

Pobrali się w lutym 1922 roku, gdy pierwsze mocniejsze promienie słońca i napływ cieplejszego powietrza znad Atlantyku okazały się pierwszą zapowiedzią nadchodzącej wiosny. Przyszli znajomi i przyjaciele, przyjechali z Polski Janek i doktor Joachim. Ala obawiała się trochę pierwszego spotkania z ojcem i bratem w takich, a nie innych, okolicznościach, okazało się jednak, że obawy były płonne. Obaj byli wobec niej serdeczni, obaj jej gratulowali i widać było, że niechęć Barbary nie była w tym wypadku zaraźliwa. Obaj panowie Matzer przyjechali kilka dni przed ceremonią i zamieszkali w domu córki i siostry. O innym rozwiązaniu nie chciała słyszeć. Codziennie siedzieli do późnej nocy i rozmawiali i było rzeczą oczywistą, że pragną nacieszyć się swoją obecnością i nie myśleć o wielomiesięcznej tęsknocie.

- Raulowi nie przeszkadza nasza obecność w tym gniazdku? - zażartował w swym zwykłym stylu Jaś.

Zanim trochę zmieszana i rozbawiona Ala zdążyła odpowiedzieć, zrobił to za nią jej ojciec, który bynajmniej żartem syna nie był rozbawiony.

- A niby dlaczego mielibyśmy przeszkadzać panu Renet? - spytał surowo, gromiąc syna spojrzeniem. - To, jak na razie, jest dom Ali.

- No jasne, oczywiście! - Janek podniósł obie ręce na znak, że się poddaje. - To tylko taki okazjonalny żarcik. Wszyscy przecież wiemy, że moja siostra może każdej kobiecie służyć za wzór narzeczeńskiej cnoty.

To mówiąc, mrugnął do niej porozumiewawczo, aż lekki rumieniec pojawił się na jej twarzy.

- Poza tym pan Renet jest poważnym człowiekiem interesu, ojcem dwóch synów - dodał jeszcze doktor Joachim takim tonem, jakby sam siebie próbował przekonać.

Podczas pierwszego spotkania z narzeczonym córki początkowo był jeszcze spięty i podejrzliwy. Raul jednak wystąpił w roli poważnego, statecznego i budzącego zaufanie biznesmena, który zadziwił doktora znajomością spraw ekonomii, giełdy, finansów i polityki, a w dodatku wobec Ali zachowywał się tak zacnie i powściągliwie, że aż Joachim zaczął obawiać się, czy przypadkiem jego młoda jeszcze córka zagna zadowolenia w tym

małżeństwie - jako kobieta i jako żona. Ala z trudem zachowała powagę podczas spotkania, a Janek nawet nie udawał, jak dobrze się bawi podczas „tego kabaretu”, jak powiedział siostrze, gdy wymknął się za nią do kuchni.

- Bój się Boga, droga Alicjo, czy przypadkiem nie zanudzisz się w tym związku? - spytał, modulując głos, by upodobnić go do głosu ojca. - Rozumiem, że zachowałeś prawo do osobnej sypialni, jako stateczna kobieta?

Następnego dnia Raul przyprowadził i przedstawił przyszłemu teściowi swoich synów. To ociepliło klimat całego spotkania, ociepliło też obraz samego Raula w oczach doktora Matzera, trochę zaniepokojonego wczorajszą wizytą przyszłego zięcia, która przypominała niemal zebranie udziałowców spółki akcyjnej. Doktora rozczuliło też widoczne przywiązanie obu dziesięciolatków do jego córki. Objęli ją i niemal przykleili się do przyszłej macochy, którą zgodnie postanowili nazywać mamą, a Ala wyraziła na to zgodę.

- Jestem bardzo szczęśliwy, naprawdę - powiedział w końcu Joachim do Raula, gdy mieli okazję porozmawiać sami. - Ala będzie miała rodzinę, co po pięciu latach rozpaczy i żałoby ma znaczenie niemal zmartwychwstania. Ma pan wspaniałych synów.

- Dziękuję, doktorze. Ma pan wspaniałą córkę - odparł z uśmiechem Raul.

- Czasem miałem wrażenie, że znał pan ją lepiej niż ja. Zawsze tu pana widziałem gdzieś w jej pobliżu. Ja byłem daleko, w innym kraju, nie miałem żadnego wpływu na jej wychowanie, a pan zawsze był tu, na miejscu. Czasem bałem się, jakiego typu jest ta wasza znajomość. To wyglądało dziwnie, przyzna pan.

- Wcale się nie dziwię. Powiedziałem kiedyś Ali, że na pana miejscu sam nie ufałbym takiemu gościowi jak ja i jako ojciec bym go zastrzelił.

Doktor popatrzył przenikliwie na Raula, jakby chciał ocenić stopień powagi jego słów.

- Nie cierpiałem wtedy pana i czasem modliłem się, aby pan zniknął.

- Modlitwy pana zostały wysłuchane. Zniknąłem na odpowiednio długi czas, aby Ala mogła poślubić Waltera Salangera.

Doktor zmieszał się trochę na te słowa i zastanawiał się przez chwilę, jak złagodzić znaczenie tego, co przed chwilą wyznał Raulowi, oraz tego, co zamierzał jeszcze dodać. W końcu podjął decyzję.

- Proszę się nie gniewać, ale Walter był mi bardzo bliski. Kochałem go jak syna. Podobnie jak córka, nie mogłem pogodzić się z jego śmiercią... To pewnie dla pana trudne, ale...

- Nie - zaprzeczył spokojnie Raul. - To, że Alice miała przy sobie fantastycznego człowieka w tym czasie, gdy nie mogłem nad nią czuwać, to prawdziwa ulga dla mnie. To dzięki niemu stała się prawdziwym skarbem.

Joachim zdjął okulary, pozornie po to, aby przetrzeć je chusteczką, a tak naprawdę, by ukryć nagłe wzruszenie.

- Źle pana oceniałem - rzekł wreszcie. - Moja żona nigdy pana nie poznała, a zawsze twierdziła, że przesadzam. Ja słabo znam się na ludziach.

- Ja słabo dbałem o pańską dobrą opinię na mój temat. - Raul uśmiechnął się wesoło i dodał poważnie: - Niech pan się o nią nie martwi. Kocham ją od lat, już sam nie wiem ilu. Ona tego nie dostrzegала i w końcu rozdzielił nas ktoś inny. Teraz zamierzam z nią być do końca życia. Jej albo mojego.

Doktor popatrzył na niego w zamyśleniu i podał mu rękę.

- Czy pan wie, że Walter mówił do mnie prawie to samo? Moja córka ma jednak wiele szczęścia w życiu do miłości. Ma to po matce, ale w przeciwieństwie do niej mądrze z tego korzysta. Oby wasze wspólne życie trwało dużo dłużej niż jej poprzedni związek. Witam w rodzinie.

- Dobrze, że się zdecydowałaś - mówił w tym czasie Janek do siostry, gdy towarzyszył jej w kuchni podczas przygotowywania kolacji. - Dawno temu chciałem cię do tego namówić, ale brakowało mi odwagi. Jak to się jednak stało, że w końcu opór twój został przełamany?

Ala nie odpowiedziała, zajęta nakładaniem sałatki z kurczaka na półmisek. Zdradził ją jednak rumieniec, który, ku jej niezadowoleniu, pojawił się na jej twarzy.

- Tak myślałem! - zatriumfował Jaś, bez litości przypatrując się siostrze. - W dodatku nie stanąłem wtedy niespodziewanie w drzwiach.

- Przewornie zamknęłam je na zasuwę - odparła wreszcie ze śmiechem i zamierzyła się na niego łyżką.

- Powiniennem cię jednak przestrzec i udzielić braterskiej nagany za niemoralne prowadzenie się. Jemu też zaraz obiję za to tę bezczelną głowę.

- Ciszej, bo usłyszą... - Ala nadstawiła uszu, ale nie dotarła do niej rozmowa Raula i ojca. - Poza tym od momentu zaręczyn nic z tych rzeczy.

Jako narzeczona wyznają staroświeckie zasady. Zobowiązał nas też do tego spowiednik, bo bierzemy ślub w kościele i chcemy to potraktować poważnie. Raul bywał na bakier z niektórymi przykazaniami i nauką Kościoła...

- Oględnie mówiąc - dodał z komicznym wyrazem twarzy Jaś.

- Ze mną też bywało różnie - Ala starała się mimo wszystko kontynuować - jednak z Panem Bogiem wolimy mieć dobre układy. A poza tym... mamy już dwoje dzieci.

Tak żartowali i pogodnie rozprawiali przez resztę wieczoru. Mówili i wspominali wszystko i wszystkich. Nie uciekali nawet od rozmów o Walterze. Tylko imiona Roberta, Nicole i Sylwii nie padły ani razu. Ten temat nie został poruszony, ta sprawa nie została dotknięta.

Na dzień przed ślubem Ala zaprowadziła ojca i Janka na cmentarz. Doktor Joachim był tam po raz pierwszy i długo stał w zamyśleniu nad mogiłami zięcia i wnuczki. Milczeli wszyscy, bo wydawało się, że słowa są tu zbędne, że wszystko już zostało w tej sprawie powiedziane. Wreszcie zrobiło się późno i Ala dała znak, aby wracali.

Wtedy Janek wypowiedział te słowa, sam nie wiedział dlaczego. Zawsze później żałował, że odezwał się wtedy, bo odpowiedź Ali wstrząsnęła nim do głębi i nigdy nie umiał już sobie odpowiedzieć, co miała ona oznaczać.

- Ten rozdział już jest dla ciebie zamknięty - powiedział i w tej samej sekundzie pożałował swoich słów.

- Nigdy nie zostanie zamknięty - odparła wtedy siostra, a potem zmieniła temat rozmowy.

Bała się trochę ceremonii mającej się odbyć następnego dnia. Bała się, czy nagle nie zaatakują jej wspomnienia, tak się jednak nie stało. Czują uścisk dłoni Raula, siłę wspierającego ją ramienia i znowu, jak przed laty, miała pewność, że zrobiła dobrze. Tuż za nią stali chłopcy nazywający ją matką, a dalej wszyscy pozostali, którzy od dawna lub niedawna życzyli jej tego małżeństwa. Obeszło się też bez scysji rodzinnych, bo doktor Joachim i Janek przywitali się z Robertem i oficjalnie ukłonili Nicole. Do pojednania jednak nie doszło, skończyło się jedynie na krótkiej wymianie gestów, bez zbędnych słów. Podczas weselnego obiadu rodzina trzymała się raczej daleko od siebie, a parę godzin później państwo Renet wyjechali w krótką podróż poślubną.

- Myślałem, że może nas zabiorą - powiedział z rozczarowaniem Alan,

patrząc za odjeżdżającym samochodem.

- Nie przejmuj się - Janek krzepiąco przejechał ręką po czuprynie chłopca - będą tam bardzo zajęci. Nie miałiby dla was czasu.

- Skąd wiesz? - spytał Ralf, otwierając szeroko oczy.

- Mówili mi o tym - odparł z powagą Jaś, a cała reszta gości, z wyjątkiem oburzonego doktora Joachima, wybuchnęła głośnym śmiechem.

Rozdział 99

- Mamusiu, jakiś pan przyszedł.

Sylwia wbiegła w podskokach do pokoju matki, a zaraz za nią wszedł tam Joachim. Zatrzymał się, zmieszany, na widok półleżącej w łóżku kobiety, a i Nicole wpadła w popłoch. Poderwała się na nogi i szybko poprawiła włosy i suknię. Doktor na ten widok cofnął się dyskretnie do saloniku, a Nicole pospiesznie doprowadzała się do porządku. Nie spodziewała się tej wizyty. Ani żadnej innej. Słyszając pukanie do drzwi, była pewna, że to starsza sąsiadka z naprzeciwka odnosi pożyczone rano zapałki. Tylko dlatego pozwoliła, aby mała Sylwia sama otworzyła drzwi. Z trudem teraz panowała na sobą. W dodatku przed godziną miała zawroty głowy i niewielki krwotok z nosa, dlatego położyła się. Zerknęła w lustro, nie wyglądała najlepiej. Przejechała szminką po wargach i cienką warstewką różu musnęła policzki. „Trochę lepiej - pomyślała - przynajmniej nie jestem tak przeraźliwie bezbarwna”.

- Przepraszam za najście. - Doktor ukłonił się, gdy wreszcie weszła do saloniku.

- Cieszę się, że pan przyszedł - odparła z nieśmiałym uśmiechem, wskazując mu krzesło. - Czym mogę pana poczęstować?

- Proszę się nie trudzić. Przyszedłem tylko na chwilkę.

- Kawy, wina, może koniaku? - dopytywała, starając się powstrzymać drżenie rąk.

- Może trochę wody - odparł, patrząc na nią uważnie, a potem przyjrzał się dziewczynce. - Jest taka podobna do pani brata... - Musiał to powiedzieć, ale głos mu drgnął. - I do pani rzecz jasna.

- Tak, od początku tak było. Dlatego Ala jest w niej tak zakochana.

Nicole podała mu szklankę wody, a drugą sama wypita małymi łydkami.

- Wyobrażam sobie - odparł doktor i zamilkł.

Nicole pomyślała, że musiał czuć się niezręcznie, nie wiedział, o czym ma z nią mówić. Ona także nie wiedziała, ale zapragnęła, by został dłużej.

- Pan pewnie chciał spotkać Roberta. Wróci za niecałą godzinę, proszę poczekać. Będzie mi bardzo miło. Robert się ucieszy.

Wystraszyła się, czy jednak nie przesadziła, czy doktor Joachim, zrażony jej bezpośredniością, nie wyjdzie.

- Mamo, kim jest ten pan? - spytała nagle Sylwia, co było dość niezwykle, bo zwykle, nie pytana, nie odzywała się przy obcych. Widocznie jednak zaintrygowało ją, że jest tematem rozmowy pomiędzy matką a tym nieznanym jej mężczyzną. Nie pamiętała go ze ślubu ciotki.

- Ten pan jest ojcem twojego papy - odparła łagodnie nadal onieśmielona Nicole, po czym nagle odważyła się i dodała: - To twój dziadek.

Doktor drgnął, ale nic nie odpowiedział, a dziewczynka wpatrzyła się w niego jak w tęczę. Była śliczna jak jego wnuczka w Polsce, ale w przeciwieństwie do tamtej miała w sobie słodcz, łagodny wdzięk i była taka spokojna.

- Może jednak napijemy się kawy? - zaproponowała znowu nieśmiałym głosem Nicole.

Oboje byli stremowani, propozycja kawy była desperacką próbą zatrzymania doktora.

- Dobrze, poproszę. - Joachim wreszcie leciutko się uśmiechnął. - Wina napiję się z moim synem. Poczekam na niego, jeśli pani pozwoli.

- Będzie mi bardzo miło. - Nicole odetchnęła z ulgą i poderwała się, aby pójść do kuchni.

Za szybko się poderwała, znowu zakręciło jej się w głowie i byłaby upadła, gdyby doktor jej nie podtrzymał.

- Potrzebuje pani pomocy, panno Perrier. Nie powinna pani być sama z małym dzieckiem w domu.

Potrząsnęła głową, jakby czemuś zaprzeczała, i usiadła ciężko na krześle.

- Rzadko jestem sama. Przychodzi do mnie Alice, a także inne przyjaciółki.

- Potrzebuje pani lekarza. Mogę pani pomóc.

- Nie trzeba, panie doktorze. Choruję od kilku miesięcy, mam kłopoty z płucami i czasem z sercem. Podobno to efekt starych, nieleczonych wojennych przeziębień i grypy. Niestety wlecze się to w nieskończoność.

Doktor ujął przegub jej ręki i przez chwilę sprawdzał puls, potem dotknął jej głowy, przyjrzał się żrenicom i palcami zbadał węzły chłonne przy szyi.

- Nie mam słuchawek, aby panią zbadać, ale powinna pani poddać się badaniu szpitalnemu.

- Byłam już w szpitalu, przeprowadzili jakiś zabieg. Wszystko się powiodło, jednak pomału wracam do zdrowia. Podobno jestem osłabiona po wojnie.

- Wojna skończyła się ponad trzy lata temu.

Nie mógł powstrzymać się od tych słów. Zobaczył, jak nagle zbladła.

- Nie pójdę już więcej do szpitala, panie doktorze. Robert namawiał mnie na to, ale nie ma mowy. Nie mogę stracić nawet jednego dnia spędzonego z nim i z córką.

Próbował coś powiedzieć, ale zaprzeczyła gestem dłoni, jakby odpowiadała na słowa, które przecież nie padły. Ona jednak wiedziała swoje.

- Boję się, że jeśli pójdę do szpitala, to już stamtąd nie wrócę. Nie tym razem. Tym razem już się nie uda.

Joachim przez chwilę milczał, ale wreszcie z rezygnacją machnął ręką.

- Dobrze więc... Chodźmy przygotować tę kawę. Pomogę pani.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem i wyglądała tak, jakby z trudem panowała nad sobą, by nie rzucić mu się w objęcia z radością. Opanowała się jednak, a potem czując, że odzyskuje siły, podniosła się z krzesła i poszła pomału do kuchni. Doktor szedł tuż za nią, jakby ją asekurował, a za nimi jak cień podążała Sylwia.

- Najlepiej będzie, jeśli pani usiądzie - zdecydował na miejscu Joachim. - Proszę mi tylko pokazać, gdzie co jest, a przy pomocy tej młodej damy przygotuję kawę.

- Nawet nie wyobrażałam sobie pana doktora w kuchni, zwłaszcza w mojej kuchni - odparła z uśmiechem, chociaż z trudem hamowała łyzy.

- Teraz czasy się zmieniły, panno Perrier. Wojna zmieniła nie tylko granice państw, ale i obyczaje. - Doktor mówił już swobodnie, początkowe nieznośne skrępowanie minęło. Co więcej, nie czuł niechęci do tej dziewczyny, która była przecież przyczyną tajfunu niszczącego jego rodzinę. Nie czuł niechęci, a jedynie smutek i współczucie.

- Papa też często coś robi w kuchni - odezwała się znowu Sylwia i przy jej nieśmiałości takie odezwanie się było niespodzianką.

- Jak mówiłem, takie czasy. Kobiety nauczyły się bezwzględnie rządzić

mężczyznami.

Doktor uśmiechnął się do dziewczynki, wsypując ziarna kawy do młynka.

- Alice i Raul z pewnością zażywają już słońca w Barcelonie - zauważyła Nicole, pragnąc kontynuować rozmowę. Temat Ali nadawał się do tego wyśmienicie.

- Wątpię, czy akurat słońce jest tym, czego najwięcej zażywają - odparł doktor i zerknął kątem oka na zaskoczoną Nicole. - To słowa mojego młodszego syna, nie moje. Ten nigdy się nie zmieni...

Nicole roześmiała się, a jej blada twarz zaczęła nabierać koloru.

- Pragnęłam tego małżeństwa jak własnego zdrowia. Nie mogłam patrzeć, jak taka kobieta o wyglądzie dziewczyny, jak nasza Alice pograża się w samotności i w ustawicznej żałobie, gdy obok jest ktoś, kto kocha ją tak namiętnie. To niemal cud.

- To jedyne dobro, jakie przytrafiło się ostatnio w naszej rodzinie - odparł cicho doktor, a uśmiech na twarzy Nicole zgasł jak za zdmuchnięciem świecy. - Panno Perrier, to, że tu jestem, nie oznacza, że pogodziłem się z sytuacją, że akceptuję ten stan rzeczy. Wyjaśniam to, aby być wobec pani uczciwy.

- Rozumiem - odparła po chwili.

- Robert jest jednak moim synem i nie potrafię stąd odjechać, nie zamieniwszy z nim chociaż paru słów.

- Chciałby pan, aby Robert wrócił do żony - stwierdziła niemal szeptem i poczuła lży zbierające się w jej gardle.

- Chciałbym cofnąć czas i sprawić, aby nigdy się z nią nie żenił - odparł nieoczekiwanie doktor i dotknął czoła wierzchem dłoni. - Dawno temu powinien być poślubić panią, taka jest prawda.

Jej serce tłukło jak oszalałe, ale Nicole zrozumiała, że nawet gdyby miała zaraz dostać ataku i umrzeć, to warto było usłyszeć takie słowa, w dodatku z ust tego człowieka. Oboje nie zwracali już uwagi na obecność małej dziewczynki, która cichutko jak myszka przycupnęła na rogu małego stołeczka. Joachim nalał kawy do filiżanek i bez słowa skierował się do saloniku. Nicole i Sylwia podążyły za nim.

- Jednak to, co powiedziałem przed chwilą, nie ma żadnego znaczenia - kontynuował Matzer. - Oboje wiemy, że czasu nie da się już cofnąć. Dorosły człowiek powinien być konsekwentny. Nikt nie kazał Robertowi żenić się

z córką własnej macochy. Postawili nas niemal przed faktem dokonanym, a my się zgodziliśmy. Żył z nią potem jak z żoną i urodziły się dzieci. Pani zapewne wie, jak stoją sprawy z najstarszym chłopcem, Karolem? – zagadnął, ona bez słowa przytaknęła. – Właśnie to dziecko było powodem iście rycerskiej i nie do końca, jak się okazało, szczęśliwie podjętej decyzji mojego syna o małżeństwie. Nie zmienia to jednak faktu, że Robert uznał to dziecko, a mały tęskni za nim ogromnie i wręcz go ubóstwia. Nie odchodzi się od żony i trójki małych dzieci, panno Perrier. Porządny człowiek musi być wierny podjętemu zobowiązaniu. Na tym opiera się nasza cywilizacja i porządek rzeczy. A pani nie powinna była przyjmować jego miłości.

– Wiem – wyszeptła, gdy już niemal zwątpił, że doczeka się od niej odpowiedzi. – Może pan jednak pocieszyć swoją synową, że los się na nas zemścił. Od kiedy zamieszkaliśmy razem, stale choruję. Choroba stała się naszym najważniejszym codziennym towarzyszem. Robert nie ma dla siebie chwili spokoju. Albo pracuje, albo zajmuje się domem, albo pielęgnuje chorą kochankę. Może pan to powiedzieć swojej synowej. Z pewnością sprawi jej to wielką satysfakcję.

Zobaczył z przerażeniem, jak rozpaczliwie się rozszlochła. Jej mała córeczka podbiegła do niej i nieporadnie ją obejmowała. Przeraziła go chudość rąk płaczącej. Dopiero teraz, gdy rękawy jej sukienki podwinęły się, zobaczył te ręce powyżej łokci i serce mu się ścisnęło. Także pod wpływem słów, które usłyszał.

– Niech pani już nie płacze – poprosił łagodnie. – Jak już mówiłem, i oboje to wiemy, nie można cofnąć przeszłości, także pani i jego decyzji. Nie mogłem jednak tego z siebie nie wyrzucić. Rozpadła się moja rodzina. W dodatku Barbara jest córką mojej żony, a Robert moim synem. Przerasta nas to, proszę mi wierzyć. Codziennosc w Zaborowie jest teraz straszna. Staram się bywać tam jak najrzadziej.

– Musi mnie pan bardzo nienawidzić – łkała Nicole.

– To niemożliwe, panno Perrier. Kiedyś bardzo panią lubiłem i zanim Robert poślubił moją pasierbicę, miałem nadzieję, że to pani będzie moją synową. Poza tym pani brat był mi bardzo bliski. Wciąż wspominam go ze wzruszeniem i tak będzie już do końca moich dni. Drugie, i mam nadzieję tak samo udane, małżeństwo Ali niczego w tej sprawie nie zmieni. Nadal panią lubię i tylko mi żal, że tak źle pokierowaliście swoim życiem.

Dotknął dłonią jej włosów i delikatnie pogładził po głowie. Nagle chwycił jego rękę i przytuliła do ust. Trzęsła się na całym ciele, jakby miała gorączkę. Przytulił do siebie jej głowę i dotarło wtedy do niego, że nie tulił tak nigdy ani własnej córki, ani synowej. Nigdy nie było okazji, nastroju, sytuacji, która mogłaby do takiej bliskości doprowadzić. Dopiero ta młoda kobieta, przyczyna tylu zgryzot i nieszczęścia... dopiero ona... Może gdyby był przy Ali, gdy dostała wiadomość o śmierci Waltera, miałby okazję tulić ją jak ojciec tuli dziecko. Jednak nie było go wtedy przy córce. Była z nią ta ciężko chora wybranka jego syna, matka jego najmłodszej wnuczki.

- Co się tu dzieje?

Spojrzeni przestraszeni i zupełnie zdezorientowani, że nie usłyszeli nawet odgłosu otwieranych drzwi. Robert stał przy nich i patrzył zdumiony na całą trójkę, a potem z coraz większą podejrzliwością na ojca. Wtedy Sylwia, która pierwsza się otrząsnęła z zaskoczenia, skoczyła mu na szyję i zawołała z przejęciem:

- Dziadek do nas przyszedł!

Rozdział 100

Kiedy Robert odprowadzał ojca do domu siostry, panowała już noc. Nie było zimno, więc paryskie ulice nadal iskrzyły życiem, światłami i muzyką dochodzącą z nocnych lokali.

- Jest w marnym stanie. Powinniście zasięgnąć porady specjalisty - odezwał się w końcu Joachim.

- Byliśmy u wielu specjalistów. Nie można już nic zrobić. Można tylko walczyć o każdy kolejny miesiąc, tydzień, dzień - odparł Robert głuchym głosem. - Myślałem, że mówiłem ci o tym jeszcze w Warszawie...

Ojciec milczał, więc po chwili Robert westchnął z rezygnacją.

- A może tobie akurat nie mówiłem. Jej też nie mówiłem. Nicole ma cały czas nadzieję na wyzdrowienie. Mam wrażenie, że ta nadzieja przedłuża jej jeszcze życie. W przeciwnym wypadku... - Głos mu się załamał.

Joachim z pewnym wahaniem położył dłoń na ramieniu syna.

- Może mogę w czymś pomóc? Wiesz, ilu znam znakomitych lekarzy, profesorów, w całej Europie.

- Byliśmy już chyba wszędzie... - Robert pokręcił głową z rezygnacją. - Ale dobrze, chętnie skorzystamy z twojej pomocy. Tylko nie wiem, czy ona ma jeszcze siły gdziekolwiek jeździć. Zrezygnowaliśmy nawet z zimowego wyjazdu w jakieś cieplejsze miejsce. W domu, wśród przyjaciół jest jej najlepiej. Zresztą to kosztuje.

- Potrzebujesz pieniędzy, synu? - Joachim zatrzymał się i sięgnął ręką pod płaszcz, jakby szukał tam portfela.

- Nie, daj spokój. - Robert chwycił go za tę rękę i powstrzymał. - Przecież pracuję prawie na okrągło. Dajemy sobie radę. Nie jesteśmy tu też osamotnieni.

Joachim początkowo odebrał to jak niewielki przytyk do jego własnego kilkumiesięcznego wrogiego milczenia. Potem jednak doszedł do wniosku, że synowi nie o to chodziło. Zresztą, teraz nie było to już ważne. Patrzył na Roberta, z którym wiązał kiedyś tak wielkie nadzieje, a który teraz nosił na sobie ślady nieludzkiego wręcz zmęczenia, poczucia winy i wielkiego zmartwienia. Patrzył na swoje najstarsze dziecko i serce pękało mu z żalu. Cała złość, gorycz i rozczarowanie wobec Roberta minęły bez śladu.

Pozostała tylko i aż miłość.

- Mówiła, że jej choroba towarzyszy wam od początku... Od początku waszego... związku - zagaił trudny temat, ale cicho i jakby z obawą o reakcję Roberta.

- Była już chora, gdy zdecydowałem się z nią zostać. Dlatego właśnie podjąłem w końcu tę decyzję. Inaczej nie zebrałbym się na to i w dalszym ciągu oszukiwałbym Barbarę, a ona nadal dawałaby się uparcie oszukiwać i zamykać oczy na oczywiste sygnały. Nie mogłem zostawić Nicole samej. Byłem pewien, że wyjaśniłem ci to przed opuszczeniem Warszawy.

- Może i tak... - Joachim wzruszył ramionami. - Niewiele pamiętam z tamtej rozmowy. Byłem na ciebie wściekły i chyba nie chciałem cię słuchać. Pamiętam tylko tę moją wściekłość.

Starszy doktor sięgnął ponownie za pazuchę płaszcza, ale nie wyjął stamtąd portfela, jak Robert z przestraczem pomyślał. Wyjął paczkę papierosów i zapalki.

- Ty palisz? - Robert nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- Nie będę się przed tobą tłumaczył - odparł z sarkazmem ojciec i podsunął mu paczkę.

Robert zawahał się na moment, ale skorzystał z zaproszenia. Zatrzymali się na ulicy, byli już niedaleko domu Ali, a nie zakończyli jeszcze rozmowy.

- Zaprosiłbym cię do środka... - zaczął Joachim, ale przerwał, zakłopotany.

- Rozumiem. W domu jest mój brat. On nie chce mieć ze mną nic wspólnego.

Powiedział to bez ironii i gniewu, jedynie ze smutkiem.

- On potrzebuje więcej czasu - sprostował Joachim. - Zawsze miałem wrażenie, że darzył Barbarę czymś więcej niż tylko braterskim afektem. Nie może patrzeć na to, co się z nią teraz dzieje.

- Wiem - odparł spokojnie Robert i chciał coś dodać w tej sprawie, ale dał spokój.

- Jednak brakuje mu ciebie, i to bardziej, niż się domyślasz. Nie ułożył sobie życia, jest w gruncie rzeczy samotny. W dodatku to kalectwo...

- Ja nie mam do niego żalu. Zawsze będę na niego czekał, nie chcę się tylko narzucać.

- Myślę, że się pogodzicie - dodał ojciec ze smutkiem - i jakimś cudem

nasza rodzina zmartwychwstanie. Tylko czy ja tego dożyję?

Zapatrzyli się w światła pokoju, w którym Ala urządziła bibliotekę. Najprawdopodobniej Jaś siedział tam teraz i próbował przeglądać książki.

- Poczekamy jeszcze tydzień na powrót młodej pary i wracamy do Polski. Obiecaliśmy Ali, że dopilnujemy jej domu przez czas jej, ich nieobecności - odezwał się znowu doktor. - Nie mam tylko pojęcia, jak oni się tu wszyscy pomieszczą. Domek jest dobry dla góra trzech osób, a Ala najczęściej mieszkała tu sama. Teraz za jednym zamachem ma męża i dwóch małych urwisów, a w dodatku jest jeszcze służba. Raul nie chce, aby zajmowała się sama tak dużym gospodarstwem, i nie zrezygnuje z pomocy służących. Pamiętam, jaki był tu ścisk, gdy przyjechaliśmy wszyscy na ślub Ali i Waltera.

- Ala zgodziła się zamieszkać w jego domu - odparł Robert. - Zresztą Raul zamierza również nabyć coś większego i wygodniejszego niż mieszkanie w centrum.

- Dla Ali musi być to trudne. Spędziła w tym domu tyle lat. Ma tyle wspomnień związanych z tym miejscem - zauważył cicho Joachim.

- Dlatego będzie lepiej, gdy z nowym mężem zamieszka gdzie indziej. Wspomnienia i tak zabierze ze sobą, a ten domek to więcej niż wspomnienia.

- Co zatem stanie się z tym miejscem? Przyznam, że i ja je w końcu polubiłem - zagaił doktor Matzer, gdy już opanował wzruszenie.

- Ala nie chce się go pozbywać. Proponowała, abym zamieszkał tu z Nicole i Sylwią. Przyznam, że propozycja jest nęcąca. Okolica ładniejsza, zdrowsza niż u nas, do tego mały ogródek za domem. Problem w tym, że Ala nie chce pieniędzy. Nie stać mnie co prawda na taki wydatek, ale to jednak żenujące.

- Dlaczego? Przecież to twoja siostra, musicie sobie wzajemnie pomagać. Dla niej te pieniądze nie mają znaczenia, biedy i tak nie zazna. Dla niej liczy się, aby ten dom, który tak ukochała, nie przeszedł w obce ręce. Zrób to dla niej i zamieszkał tu... ze swoimi.

- Oby tym razem była szczęśliwa całe życie - powiedział Robert, a w jego głosie pojawiło się coś tkliwego i ciepłego. Po chwili, niby żartem, dodał: - Powiedz, po kim ona jest taka wrażliwa, otwarta na ludzi, taka pełna zrozumienia dla innych, taka kochająca? Nikt z nas taki nie jest.

- Zgadza się. Nikt z nas. Na pewno nie do tego stopnia. - Joachim nagle się zasepił, a Robert natychmiast zrozumiał. - Nie myśl już o tym - rzekł krzepiąco. - To stare dzieje, nikomu już teraz niepotrzebne i nieważne.

Wypalili papierosy i podali sobie ręce.

- Dzięki, że przyszedłeś do nas - rzekł Robert. - Trzymaj się, ojcze.

- Marta walczy jak lew, abyś mógł kontaktować się z dziećmi - odezwał się jeszcze na odchodnym doktor Joachim. - Nie wyobrażaj sobie tylko nie wiadomo czego. Ma do ciebie słuszny żal, ale robi to dla dzieci. Wie też o twojej korespondencji z Karolem. Przyłapała raz Lubowiczów z tymi listami, ale solidarnie milczy przed własną córką. Nie chciała o tym pisać nawet w ostatnim liście do Ali, ale zapewne domyślasz się, ile ją to kosztuje.

Robert na moment znieruchomiał i słowa uwięzły mu w gardle. Po chwili jednak, widząc, że ojciec odwrócił się i wolnym krokiem zmierza w kierunku domu, zdołał jakoś wydobyć z siebie głos.

- Pozdrów ją ode mnie. Powiedz, że ją zawsze kocham, nawet jeśli w końcu znienawidzi mnie jak jej córka.

Joachim w odpowiedzi podniósł tylko rękę w geście pożegnania.

Rozdział 101

Marzec, a potem kwiecień był już prawdziwie wiosenny, ciepły i słoneczny, a Ala po raz pierwszy od śmierci Melanie nie popadała w przygnębienie, które na ogół do tej pory ogarniało ją wczesną wiosną. Nie miała zresztą na to czasu. Z miejsca niemal musiała zająć się dużym domem, trzyosobowym personelem, dwoma małymi chłopcami i dorosłym, zakochanym w niej mężczyzną.

Pierwsze, co udało jej się zrobić, to zakończyć spór między francuskimi służącymi a Nancy o zakres władzy i obowiązków. Teraz cały personel uznał, że skoro pojawiła się wreszcie w domu pani Renet, to jest oczywiste, że cała władza należy do niej i nareszcie zapanuje porządek. Zresztą wszyscy byli radzi, że to właśnie Ala, i za każdym razem dawali wyraz tej radości. Chłopców trzeba było dopilnować w domu i przy odrabianiu lekcji, a poza tym chcieli towarzyszyć jej wszędzie.

- To nasza mama - przedstawiali ją z dumą kolegom i było to naprawdę miłe.

Najchętniej chcieliby, aby siedziała przy nich długo w nocy, rozmawiała z nimi i czytała im książki, ale w tej sprawie Raul był stanowczy.

- W nocy wasza mama będzie towarzyszyć mnie - oświadczył tonem niedopuszczającym sprzeciwu, zresztą ku ucieście służącego Rogera, obecnego przypadkowo przy tej rozmowie.

To też oczywiście było miłe, bo miłość z Raulem dawała jej ogromną satysfakcję i miała wrażenie, że było to po niej widać.

W każdym razie przyjaciele lubili niemiłosiernie z niej żartować, pytając, co udało jej się właściwie zobaczyć w Hiszpanii podczas podróży poślubnej. Wymigiwała się od odpowiedzi, póki mogła, aż wreszcie, gdy wymieniali w pytaniach nazwy różnych miejscowości, atrakcji turystycznych i zabytków, nie wytrzymała.

- Niewiele widziałam poza pokojem hotelowym - odgryzła się ku ogólnej ucieście.

Powiedziała jednak prawdę. Wprawdzie czasem wspominała Raulowi, że skoro już przyjechali do Hiszpanii, to warto by coś zobaczyć, ale odpowiadał jej ze śmiechem, że wszystko jej opowie, bo już widział to czy tamto.

- Ja nie widziałam - odpowiadała pozornie ponuro.

- To twoja wina, że tyle lat nie ośmieliłem się ciebie nawet dotknąć. Teraz muszę się tobą nacieszyć. W domu nie będziemy już mieli takiej swobody. Nie marudź, kochanie. Przyjedziemy jeszcze do Hiszpanii, jak już będziemy kiedyś sobą znudzeni. Wtedy, z braku innych podniet, będziemy zwiedzać zabytki, sami już nimi będąc.

Brakowało jej tylko czasem sił, męczyła się łatwiej niż dawniej. Przypomniała sobie przestrożę doktora Leclerca, że musi uważać na serce, osłabione stresem i chorobami w czasie wojny, i postanowiła w najbliższej wolnej chwili udać się do niego po poradę. Musiała być teraz silna i zdrowa, ale co z tego, skoro nie potrafiła sobie tej wolnej chwili wygospodarować.

- Nie rozumiem - powiedziała kiedyś do Nicole. - Przybyło mi obowiązków, ale przecież mam kilkoro ludzi do pomocy. Pracy mam znacznie mniej niż kiedyś w Zaborowie, gdy obie z Martą podczas choroby Basi musiałyśmy podołać wszystkiemu. Biegałam jak fryga od rana do nocy. Jeszcze niedawno, gdy byłam ostatni raz w Zaborowie, pracowałam do upadłego z Basią i innymi ludźmi. To wielki majątek, a mimo to nawet w jednej dziesiątej nie odczuwałam takiego zmęczenia jak obecnie. A pamiętasz, jak wyglądało nasze życie podczas wojny? Szpital i ranni od rana do nocy, a bywało, że i przez całą noc. Do tego dochodził ten ustawiczny strach i nerwy.

- Odwykłaś jednak od takiego wysiłku - uspokajała ją Nicole. - Przez kilka lat nie prowadziłaś na bieżąco domu, w którym są dzieci i służba. Poza tym - dodała z chytrym uśmieszkiem - pewnie za wiele nie sypiasz.

Ala coś odmruknęła, ale zarumieniała się jak dziewczyna. Nicole zawsze bawiły takie reakcje przyjaciółki na podobne żarty.

- Zасыpiam za to czasem przy stole, na siedząco.

- Alice... - Nicole ujęła jej dłonie i spojrzała przyjaźnie w oczy. - Jesteś rozkojarzona, bo znowu jesteś zakochana. Tyle tylko, że nie masz czasu na miodowe miesiące, bo od razu spadły na ciebie obowiązki, których na co dzień nie miałaś. Z Walterem wyglądało to inaczej, bo tak się ułożyło, że prawie zawsze byliście sami. Czasem ja zwałałam się wam na głowę, ale chyba też nie za często. Potem on musiał iść na front, a ty zachowałaś same romantyczne wspomnienia. Gdyby wrócił i mielibyście kilkoro urwisów, też padałabyś czasem ze zmęczenia i nie zawsze byłoby tak romantycznie. Tak

to już jest, odkąd świat istnieje.

- Wiem o tym - odparła Ala, chociaż słowa Nicole, jak wyglądało małżeństwo z Walterem i jak mogłoby faktycznie wyglądać, gdyby on nie zginął, zastanowiły ją. - Chcę tylko odzyskać siły, poza tym jestem bardzo szczęśliwa - dodała szybko i zgodnie z prawdą.

- Idź do tego lekarza, Alice. Wystarczy już kłopotów ze mną. Obie skandalicznie zaniedbałyśmy się w czasie wojny. Chodziłyśmy nieraz chore i ślaniałyśmy się na nogach, nie lecząc naszych dolegliwości. Potem ja byłam w ciąży a ty robiłaś wszystko za nas obie.

- A potem ja pogrążyłam się w niebycie po śmierci Waltera, a ty z kolei robiłaś wszystko, mając na głowie jeszcze małe dziecko. Piękna była nasza przyjaźń, Nicole - szepnęła Ala, patrząc daleko przed siebie, jakby chciała zatrzymać w kadrze te wspomnienia.

- Dlatego teraz idź do lekarza. - Nicole pocałowała ją w oba policzki. - Jeśli to serce, to musisz się leczyć. Przynajmniej jedna z nas musi być zdrowa. Będziesz nam jeszcze potrzebna.

- Och, Nicole, ciebie też ostatnio zaniedbałam - Alę dziwnie poruszyły słowa szwagierki - ale to się zmieni, obiecuję. Zorganizuję się jakoś i poświęcę ci więcej czasu.

Nicole wraz z nadejściem wiosny bardziej niż kiedykolwiek tęskniła do zdrowia i spacerów, bała się jednak sama wychodzić na dalsze wędrówki. Na Roberta nie zawsze mogła liczyć, pracował niemal bez przerwy, bo wydatki, także na jej lekarstwa, stale rosły. Szczęśliwie były jeszcze Dominique, Solange, Paola i inne znajome. Ala miała wyrzuty sumienia, że akurat jej było przy Nicole coraz mniej.

- Podarowałaś nam swój dom z ogródkiem - przypomniała jej Nicole. - To prawdziwy raj w porównaniu z tą kamienicą i ciasnym mieszkankiem, gdzie wcześniej żyliśmy. Poza tym czuję tu na każdym kroku obecność mojego brata. To wielki dar, Alice.

- Ten dom powinien zostać w naszej rodzinie. Nie zrobiłam nic szczególnie niezwykłego! - wykrzyknęła w odpowiedzi Ala.

Na przełomie kwietnia i maja postanowiła w końcu udać się do lekarza. Musiała odzyskać siły, tym bardziej że Nicole dosłownie nikła w oczach, więc należało zająć się także i nią. Szczęśliwie do swojego dawnego domu mogła przychodzić razem z chłopcami, którzy jak dawniej chętnie bawili się

z Sylwią. Przychodziły tam także inne dzieci, w tym synek Dominique, a zatem można było pogodzić przyjemne z pożytecznym. Postanowiła zatem, że umówi się na wizytę u doktora Leclerca w połowie maja i nie odłoży tego nawet o jeden dzień. Oczywiście mogła poprosić o poradę własnego brata, wolała go jednak nie martwić, tak na wszelki wypadek. Robert, zajęty na okrągło pracą, nie był zresztą świadom jej samopoczucia i szczęśliwie niczego nie zauważył.

Pewnego wyjątkowo pięknego i gorącego dnia, na samym początku maja była właśnie w swoim starym domu z wizytą u szwagierki. Dom tętnił życiem z powodu dzieci, Nicole odpoczywała w małym ogródku, a Ala i Dominique przygotowywały w kuchni podwieczorek. Rozmawiały o wszystkim i o niczym i w pewnym momencie Dominique zwierzyła się jej, że kogoś poznała.

- To wspaniale, Dominique. Powinnaś być jeszcze szczęśliwa - powiedziała z radością Ala i nagle poczuła, że serce gwałtownie jej zabiło. Wystraszyła się i chwyciła stołu, ale przyjaciółka niczego nie zauważyła i dalej opowiadała o nowym mężczyźnie w swoim życiu i o tym, jak dobrze dogadują się z jej małym synem. Ala dotknęła dłonią czoła, bo pojawiły się tam małe kropelki potu. Potem wokół zrobiło się ciemno, bardzo cicho i nagle przed oczami zatańczyły jej gwiazdy. W tym momencie straciła przytomność i upadła na podłogę prosto pod nogi rozprawiającej wesoło Dominique.

- Boże drogi! - krzyknęła tamta, gdy wreszcie dotarło do niej, co się stało.

Musiła krzyknąć bardzo głośno, bo do kuchni natychmiast zajrzała Nancy, która właśnie w tym momencie nadeszła z koszem pełnym zakupów. Wszystkie produkty w okamgnieniu znalazły się na podłodze, a Nancy przyklęknęła przy Alice, usiłując na próżno różnymi doraźnymi sposobami przywrócić jej przytomność.

W kuchni pojawiła się już czwórka zaciekawionych dzieci, nadeszła też Nicole.

- Trzeba natychmiast zawiadomić Raula i wezwać lekarza - zawołała drżącym głosem. - Nancy, czy pan Raul jest w domu?

- Nie było go, gdy wychodziłam - odpowiedziała przerażona Nancy. - Pewnie jest w jakimś banku albo w tej swojej firmie.

- Mam telefon do jego firmy. Zaraz zadzwonię, niech go znajdą.

- Może zawiadom Roberta. - Dominique odzyskiwała już panowanie nad sobą i wraz z Nancy rozpinały chorej sukienkę w pasie i pod szyją, wachlowały i skraplały wodą.

- Robert pracuje dziś na drugim końcu miasta. Ona miała umówioną wizytę u doktora Leclerca za tydzień. Trzeba go zawiadomić, podejrzewał u niej wadę serca. Mieszka niedaleko stąd. Zresztą chyba mamy telefon do niego. Robert poznał go na jakimś zebraniu czy sympozjum.

Doktor Leclerc zdołał przyjść po około czterdziestu minutach, gdy Ala już odzyskała przytomność i z pomocą pozostałych kobiet przeszła niemal samodzielnie do swojej dawnej sypialni.

- Niepotrzebna panika, panie doktorze - zauważyła zmieszana, gdy doktor kazał jej się położyć na łóżku i rozłożył cały swój lekarski rynsztunek.

- Nie chciał Mahomet przyjść do góry, to góra przyszła do Mahometa. - Doktor Leclerc nie potrafił powstrzymać się od uwag. - Ostrzegalem panią jeszcze w czasie wojny, ponowiłem ostrzeżenie kilka miesięcy temu. Miała pani osłabione serce i zwlekała pani z podjęciem leczenia.

- Umówiłam się na wizytę za tydzień - próbowała bronić się nieporadnie.

- Należało to zrobić dawno temu. Co by było, gdyby zasłabła pani, dajmy na to, na środku Pól Elizejskich? Dobrze, teraz poproszę, aby wszyscy tu zgromadzeni wyszli, a ja zbadać panią dokładniej.

Zebrana gromadka posłusznie zaczęła wycofywać się do drzwi, z wyjątkiem zapłakanego Alana, który wyrwał się Nancy i podbiegł do doktora.

- Moja mamusia umrze? - spytał przerażony.

Doktor spojrział na niego zaskoczony i po chwili spytał, zwracając się do Ali:

- Poznają tego dżentelmena. Był z panią w szpitalu, gdy ratowaliśmy jego brata. Przecież to nie jest pani dziecko.

- To dzieci mojego męża - odparła Ala słabym głosem, nie mając już siły dodać, że od dnia ślubu jest również ich matką.

- Ach tak, rzeczywiście. Teraz sobie przypominam, że słyszałem o pani powtórnym zamążpójściu - powiedział i tajemniczy uśmiech rozjaśnił jego twarz. - Mamusia nie umrze, ale musisz teraz wyjść i pozwolić mi ją zbadać

- powiedział do Alana. - A jeśli twój ojciec pojawi się zaraz w tym domu, to powiedz mu, aby tu zajrzał.

Raul zjawił się w dawnym domu Ali i zastał kobiety i dzieci trwające w najwyższym niepokoju w salonie.

- Znowu drzwi były otwarte - zauważył. - Tym razem na oścież. To już, widzę, tradycja w tym domu. Co się stało?

- Nie powiedzieli ci w firmie? Przecież dzwoniłam - odparła zdumiona Nicole.

- Nie byłem teraz w firmie, tylko załatwiałem sprawy w kilku bankach. Przejeżdżałem właśnie obok i pomyślałem, że wstąpię. Co tu się dzieje? Stało się coś?

- Mamusia zachorowała - rozplakał się Alan. - Pan doktor kazał ci przyjść.

Raul skamieniał i patrzył na nich wszystkich, jakby nie rozumiał.

- Alice zasłabła - Nicole starała się mówić uspokajającym tonem - ale lekarz już jest przy niej. Nie denerwuj się. Wiedziałeś, że miała kłopoty z sercem?

- Z sercem? - powtórzył oślepiały Raul. - Z sercem?

- Nic ci nie mówiła?

Nicole nie zdążyła nic więcej dodać, a Raul odpowiedzieć, bo na schodach prowadzących do pokoju Ali ukazał się doktor Leclerc. Patrzył na nich wszystkich niby poważnie, ale jego oczy rzucały wesołe błyski.

- Na ogół zaczyna się od serca - zaczął powoli - a potem atakuje inne organy.

Patrzyli na niego, jeszcze przestraszeni, jeszcze nic nie rozumiejąc. Doktor jednak poszukał wzrokiem Raula i wreszcie, uśmiechając się szeroko, zapytał takim tonem, jakby prosił o udzielenie praktycznej informacji:

- A więc, panie Renet, co to będzie? Trzeci syn czy wreszcie córka?

W salonie na kilka sekund zapadła cisza jak makiem zasiał, a potem wszyscy naraz zaczęli śmiać się i obejmować, a także poklepywać Raula po plecach.

- Proszę na chwilę ze mną - powiedział doktor, po czym wyciągnął rękę i gestem powstrzymał pozostałych. - Państwo później.

Ala poprawiała już przy lustrze garderobę, gdy obaj weszli do jej dawnej sypialni. Była jeszcze biała i najwyraźniej oszołomiona, tak że nie bardzo to

wszystko do niej docierało, nawet gdy Raul trzymał ją w ramionach i całował w obecności lekarza.

- Kochanie - powtarzał - kochanie, nie wierzę...

- Ja też nie wierzę - odezwała się w końcu i spojrzała zdezorientowana na lekarza. - Przecież to niemożliwe - dodała.

- Dlaczego niemożliwe? - Doktor najwyraźniej miał znakomity humor. Bawiła go ta sytuacja. - Panie Renet, dlaczego pańska żona uważa, że to niemożliwe? Ma jakieś powody, aby tak mówić?

- Nie ma żadnych powodów - odparł najbezczelniej w świecie Raul tym swoim dawnym łobuzerskim tonem. - Kochaliśmy się chyba codziennie i wyglądała na zadowoloną.

- Raul! - krzyknęła oburzona, czując płomienie na twarzy.

Obaj mężczyźni śmiali się w najlepsze. Już sobie układała w myślach słowa, jakimi potraktuje potem męża. Wygadywać takie rzeczy lekarzowi! Komukolwiek! Na razie jednak sama nie mogła uwierzyć.

- Panie doktorze, mnie nigdy dzieci nie spadały z nieba jak innym kobietom - postanowiła to wyjaśnić, przełamując skrępowanie. - W moim pierwszym małżeństwie musieliśmy czekać na poczęcie dziecka prawie rok, chociaż bardzo go pragnęliśmy. Potem już nie mieliśmy dzieci, chociaż nie unikaliśmy ich, wręcz przeciwnie. Ja miałam nadzieję, póki mąż żył... A przecież byłam wtedy dużo młodsza.

- No i? - zapytał, nadal ubawiony, doktor.

- A teraz tak od razu... - zająknęła się, bo dotarło do niej w końcu, że jej słowa nie mają większego sensu.

- Ile ma pani lat?

- Trzydzieści dwa.

- To cudowny wiek dla kobiety. Powiadają, że najlepszy...

- Poprzednie dziecko urodziłam ponad osiem lat temu.

- A zatem najwyższa już była pora na następne. Organizm sam upomniał się o swoje prawa, a państwo mu tylko dopomogli.

- Dopomogliśmy, i to jak! - Raul ponownie ją objął i nie zważając na jej, znikomy zresztą, opór, zaczął całować. Znowu przy lekarzu! Wobec pomysłów Raula była już jednak bezradna. Wobec tego, co z nią robił i jakie reakcje w niej wywoływał, również.

- Zostawię was teraz samych. - Doktor, uśmiechając się, wstał. -

Powiedzieć tamtym, aby na razie państwu nie przeszkadzali w... rozmowie?

- Może pan to zrobić? - Raul mrugnął do niego porozumiewawczo.

- Raul...

- Jasne, proszę pana. To da się zrobić - odparł zadowolony doktor.

- Zachowujecie się obaj jak dwaj niepoprawni chłopcy - prychnęła Ala.

Nie potrafiła jednak uwolnić się z silnych ramion męża. - Poza tym podobno mam słabe serce.

- Jak jest z tym sercem, doktorze? - spytał zawadiacko Raul.

- Na razie wszystko w porządku, chociaż musi pani trochę zwolnić i uważać na siebie.

- A te sprawy nie zaszkodzą? - spytał jeszcze Raul, podkreślając znacząco „te sprawy”.

- W żadnym wypadku - odparł doktor, zamykając drzwi. - Jeśli tylko to państwu służy...

Siedzieli przytuleni do siebie, a wokół gęstniał zmierzch majowego wieczoru. Z tyłu, na komodzie stało zdjęcie Waltera, jak zawsze zresztą. Przecież to był kiedyś ich pokój. Najwidoczniej Nicole również nie chciała tych zdjęć nigdzie chować.

Czy Raul zauważył tę fotografię umieszczoną blisko łóżka? Tę fotografię, którą całymi latami tuliła do siebie, do której mówiła, oblewała łzami? Czy ją widział? A może postanowił ignorować?

Może jednak obecność Waltera w niczym już Raulowi nie przeszkadzała? Zwłaszcza teraz, gdy jego związek z nią został przypiecztowany? Jedno nie ulegało wątpliwości - w tym pokoju, w tej sypialni przekroczyli kolejną granicę.

- O czym myślisz, kochanie? - spytał szeptem Raul.

- A nie będziesz się gniewał? - odpowiedziała, również szeptem.

- Gniewać? Ja na ciebie? Ustaliliśmy przecież, że będziesz mówić o tym, o czym zechcesz. Wszystko jest dla mnie ważne.

Nie mogła się więc oprzeć i oparła głowę na jego piersi. Nie potrafiła jeszcze nazwać tego, co do niego czuła. Nie potrafiła jeszcze odpowiedzieć słowami na taką miłość, która ją onieśmielała, obezwładniała niemal - ale tak samo było z nią przecież na początku jej poprzedniego małżeństwa.

- W tym pokoju - zaczęła mówić, mimo wszystko obawiając się trochę jego reakcji - ja i Walter daliśmy życie naszej Melanie. Tu się urodziła.

A dzisiaj w tym samym miejscu dowiedzieliśmy się, ty i ja, że będziemy mieli nasze własne dziecko. Nie dociera to do mnie jeszcze.

- A do mnie już tak.

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Widziała go wyraźnie, pomimo mroku.

- Naprawdę się cieszysz? - spytała. - To będzie rewolucja w naszym życiu. Poza tym masz już dwoje dzieci.

- Ale nie z tobą. - Mąż czule głaskał ją po twarzy. - Pragnę tego dziecka, Alice.

- Na początku maja zginął Walter - mówiła znowu. - Teraz, po kilku latach na początku maja dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Pięć lat temu prawie umierałam tu z rozpacz. Teraz jest we mnie nowe życie. Czy myślisz, że to jakiś znak?

- Nie, Alice... - Raul znowu zaczął całować jej usta - żaden znak. Walter nie ma tu nic do rzeczy. To sprawa między nami. To dziecko to mój dar dla ciebie, a twój dla mnie.

- Naprawdę cię kocham - powiedziała. Wtedy po raz pierwszy skierowała do niego te słowa i widziała, że nic nie mogło sprawić mu większej radości.

Po raz pierwszy od lat maj mógł znowu być piękny i radosny, jak kiedyś, dawno temu, gdy nie kojarzył się ze śmiercią najbliższego człowieka, ale z nowym życiem. Po raz pierwszy od lat można było znowu bez bólu patrzeć na kwitnące kasztany, zieleń i kolory w Ogrodzie Luksemburskim, i na uśmiechniętych ludzi w kawiarnianych paryskich ogródkach. Cięża szczęśliwie przestała objawiać się męczącymi symptomami, tym bardziej że Ala została zwolniona z niemal wszystkich domowych obowiązków, a raczej zostałaby z nich całkowicie wyeliminowana, gdyby w pewnym momencie nie zaprotestowała.

- Nie jestem chora - oświadczyła służącym tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Nie mam zamiaru wylegiwać się ani spacerować całymi dniami.

Kobiety jednak nie przestraszyły się jej zdecydowanej miny.

- Jeszcze się pani namęczy i namartwi przy dziecku. Mowy nie ma, aby stała pani teraz nad gorącymi garami w kuchni albo biegła za sprawunkami po mieście. Ma pani na siebie uważać, i tyle. Tak powiedział doktor i pan Renet.

- Inne kobiety w tym stanie wykonują wszystkie obowiązki i...

- Inne kobiety to inne kobiety. Są takie, co nie mają wyjścia, są takie, co mają więcej sił. Ja widziałam panią leżącą bez ducha na podłodze w kuchni i do śmierci tego nie zapomnę. Ani widoku pani, ani płaczu chłopców. Jeszcze nam tylko nieszczęścia tu trzeba. Pan Renet nie przeżyłby chyba, gdyby pani coś się stało - odpowiedziała gniewnie Nancy, a Walerie, Roger i kucharka skwapliwie ją poparli.

Wobec takiej koalicji Ala musiała ustąpić, a ponieważ nawet jej pasierbowie ją teraz oszczędzali, mogła więcej czasu poświęcać sobie. To znaczy mogłaby, gdyby nie Nicole. Przynajmniej miała teraz czas dla Nicole, a czas ten biegł coraz szybciej.

- Nie powinnaś męczyć się teraz przy mnie. - Nicole też chciała ją ochraniać.

- Nie męczę się przy tobie, na litość boską, nie jestem chora. Czuję się lepiej niż jeszcze kilka tygodni temu.

- Przynajmniej wiadomo już, z czego się brało to twoje zmęczenie.

- Teraz już go nie czuję. Nie zostało mi nic do roboty. A wizyty u ciebie, moja kochana, wcale mnie nie męczą. Przynajmniej mamy czas na rozmowę, bo z tym ostatnio bywało krucho.

- Piękną mamy wiosnę. Przejdźmy się do dzielnicy Saint-Germain - zaproponowała pewnego dnia, zupełnie niespodziewanie, Nicole.

Ala zdumiała się i wpadła w lekki popłoch. Nicole w ostatnim czasie tylko raz wybrała się na spacer. Było to trzy tygodnie temu, gdy zapragnęła zobaczyć Ogród Luksemburski. Nawet tam zresztą nie doszła. Trzeba było wezwać taksówkę, bo piesza wędrownica okazała się ponad jej siły. W ogrodzie była potem bardzo zmęczona, co widział każdy, i tylko ona wszystkich zapewniała, że czuje się wspaniale. Potem przeleżała w łóżku cały tydzień i przez dwa następne tygodnie nie wspominała o żadnych spacerach. Do dzisiaj.

- To dość daleko - zaczęła Ala niepewnie.

- Daleko - zgodziła się Nicole. - Ty i ja musimy oszczędzać teraz siły. Dlatego pojedziemy tam dorożką.

- Skąd weźmiemy dorożkę? - Ala uśmiechnęła się mimo woli.

- Jeden z sąsiadów ma dorożkę i dorabia, wożąc turystów. Podwiezie nas tak daleko, jak to będzie możliwe.

- Co chcesz robić w dzielnicy Saint-Germain w taką pogodę?

- Przekonasz się na miejscu. Teraz ci nie powiem.

Ala miała wątpliwości, lecz przyjaciółka tak nalegała, że nie było wyjścia. Było zresztą coś zastanawiającego w tej jej determinacji i uporze, coś, czemu Ala nie potrafiła się oprzeć. W każdym razie nie miała na to siły. Poza tym rzeczywiście spacer konną dorożką był przyjemny, niemal romantyczny i przywodził na myśl wspomnienia dawnego, przedwojennego Paryża, tak drogiego wspomnieniom Ali. Dojechali faktycznie na tyle daleko, na ile się dało, a dalej ruszyły pieszo.

- Gdzie właściwie podziałas dziś Sylwii? - spytała Ala, rozglądając się ciekawie po okolicy.

Nadal nie rozumiała powodu tej wyprawy, ale wołała pytać o sprawy związane z czym innym. Podświadomie zaczęła się bać.

- Została zaproszona na urodziny do jednej z dziewczynek z domu Seiger - odparła Nicole, ale widać było, że jest podekscytowana, że myślami jest

już gdzie indziej.

Tak doszły do kościoła Saint-Germain-des-Prés i przystanąły.

- O co chodzi? - spytała Ala podejrzliwie.

- Wejdziemy tu na chwilę - oznajmiła Nicole i nie czekając na jej reakcję, przestąpiła próg świątyni.

Ala, nie mając innego wyjścia, poszła jej śladem. Zawsze zresztą lubiła ten najstarszy paryski kościół, bo ożywiał jej historyczne pasje, jej miłość do przeszłości, do wszystkiego, co dawne, fakty już odkryte i nieodkryte, ale oczekujące na moment swego objawienia światu. Poza tym panował tu przyjemny chłód i można było swobodnie oderwać się od rzeczywistości, dać pole wyobraźni i marzeniom. Albo też przeciwnie - uporządkować w myślach swoje sprawy. Przyklekły obie i skierowały się do ławki tuż przed prezbiterium. Chwilę siedziały w milczeniu i nagle Nicole odezwała się szeptem:

- Pamiętasz, jak rozmawiałyśmy kiedyś o Bogu? Prowokowałam cię i pytałam, co będą warte wszystkie twoje zasady i wiara, że po śmierci spotkasz Waltera, jeśli okaże się, że tam nic nie ma. Nic, pustka, próżnia. Boga pewnie też nie ma. Pamiętasz?

Ala zdrząła. Nie myślała już od dawna o tamtej rozmowie, lecz teraz dokładnie ją sobie przypomniała.

- Ty wtedy odpowiedziałaś mi: „A jeśli jednak istnieje?”. Jakoś tak powiedziałaś.

- Nicole - szepnęła Ala cicho - nie potrafię prowadzić teologicznych rozmów. Nie mam takiej wiedzy. Widzę, że masz jakiś problem, ale...

- Tak, Alice. Mam problem i potrzebowałam kogoś, kto pomoże mi tu przyjechać. Sama już nie dałabym rady, a mogę liczyć w tej sprawie głównie na ciebie. Robert zaraz zacząłby wymyślać różne przeszkody. A ja już nie mam czasu. Muszę te sprawy uporządkować jak najszybciej. Dla mnie, dla niego, dla Sylwii.

- Co chcesz uporządkować, Nicole? - spytała Ala i w tym momencie już zrozumiała, że zna odpowiedź.

- Nie chciałam, Alice, trudzić cię i denerwować, zwłaszcza teraz, gdy oczekujesz dziecka. Sądzę jednak, że ty i tak znasz prawdę, a poza tym tu, w kościele nic złego nie stanie się ani tobie, ani twojemu maleństwu. Tu chyba możemy rozmawiać bezpiecznie. Powiedz jednak, jak się czujesz? Czy

dasz radę mnie wysłuchać?

- Daj spokój, Nicole, już mnie przestraszyłaś. Nie jestem jednak z cukru ani z porcelany. Wiele już zniosłam, więc nie baw się ze mną, tylko mów. Co robimy w tym kościele? Równie dobrze mogłybyśmy o ważnych sprawach porozmawiać w domu.

- Mam tu umówione spotkanie - odparła Nicole, a Ala doszła do wniosku, że myliła się bardzo, sądząc, że nic nie mogłoby jej już zadziwić. Tak myślała jeszcze rano. Teraz nie rozumiała już nic.

- Z kim umówiłaś się w tym miejscu? Masz na myśli Boga? - spytała, przejęta nagłą myślą, ale Nicole w odpowiedzi cichutko się zaśmiała.

- Nie, Alice, nie tak prędko. Mam na myśli miłego księdza, którego poznałam w tym kościele kilka miesięcy temu. I uprzedzam, że nie chodzi o miłosną schadzkę.

- Przynajmniej masz poczucie humoru - odparła nieco kąśliwie Ala.

- Ależ to prawda. Za kilka minut zobaczysz tego księdza na własne oczy.

- Po co ci ksiądz? Chcesz się wypowiedzieć? - Ala chciała żartem rozładować atmosferę jakiegoś nieokreślonego zagrożenia i napięcia, ale nie udało jej się.

Może dlatego, że na twarzy swojej szwagierki ujrzała wyraz powagi i skupienia.

- Nie zobaczę już twojego maleństwa, Alice - powiedziała cicho Nicole. - Już nie zdążę. Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć. Nie potrzebujesz teraz takich rozmów, ale nie mamy na to rady.

Ala siedziała jak rażona piorunem. A więc Nicole dowiedziała się prawdy. Kto jej powiedział?

Kto odebrał jej nadzieję i być może chęć do dalszej walki?

- Nikt mi tego nie powiedział - mówiła dalej Nicole, jakby usłyszała zadane przecież w myśli pytania Ali. - Po prostu dzisiaj w nocy to do mnie dotarło. Otworzyłam oczy, gdy budził się brzask, a na drzewach w ogrodzie zaczęły śpiewać pierwsze ptaki. I wtedy zrozumiałam, że odchodzę. To nie ustawiczne przeziębienia, nie słabe płuca ani ślady po zaniedbaniach wojennych. To coś znacznie poważniejszego. Wiedzieliście to od dawna i chyba ja też to wiedziałam, ale nie potrafiłam spojrzeć prawdzie w oczy. Walka skończona, moja sestro.

Ala chciała coś odpowiedzieć, gwałtownie zaprzeczyć, chciała krzyknąć

na cały kościół, że nie wolno się poddać. Że trzeba walczyć dalej. Nie krzyknęła. Chyba jednak musiała coś powiedzieć, bo Nicole potrząsnęła głową, jakby w odpowiedzi.

- Nie mam już siły - szepnęła. - Czekałam na wiosnę i doczekałam się jej. To jednak wszystko, dalej już nie dam rady. Obiecuj, że nie będziecie mnie już męczyć tymi kuracjami. Pragnę spokoju i chcę rozmawiać z tym księdzem. Obiecujesz, Alice?

Ala opuściła głowę, ale nie zdążyła ukryć łez.

- Obiecuję za siebie i Raula. Za Roberta obiecać nie mogę.

Nicole delikatnie uniosła jej twarz i zmusiła, by spojrzały sobie w oczy.

- Z księdzem porozmawiam o Panu Bogu. Chyba dobrze odrobiłam lekcje i przygotowałam się do tej rozmowy. Nie płacz, Alice. Zajmę się twoją Melanie. Jakoś ją tam znajdę, ją i Waltera. Matki szukać nie będę, chyba że ksiądz mi to zada w pokucie. Mam za co pokutować, więc mogę dostać surowy nakaz. Ty w zamian zajmij się moją córką. Ja pomogę Walterowi, ty pomóż Robertowi. Nie tak miało być, ale trudno.

- Nie, Nicole, nie, nie mów tak! - Łzy płynęły po twarzy Ali całym strumieniem. - Masz walczyć. Co ja zrobię? Kawał mojego życia to ty. Zawsze byliśmy razem, bez ciebie nie przetrwałabym wojny, nie przeżyłabym śmierci Waltera. Jego siostra to moja siostra.

- Nie płacz Alice, nie zostajesz sama. Dzięki Bogu za Raula, chłopców i za to dziecko, którego chociaż w takiej postaci doczekałam. Bóg chyba naprawdę istnieje, skoro dał mi Sylwię, a tobie to drugie dziecko. Alice, to raczej o Roberta się martwię. Co z nim? Trzeba i jego ratować.

- Ratować? - Ala nie zrozumiała.

W tym jednak momencie stanął przy nich starszy już duchowny.

- Szczęść Boże - powiedział i popatrzył na nie. - Panno Perrier, cieszę się, że w końcu panią widzę.

- Przedstawiam księdzu kogoś bardzo mi bliskiego - rzekła Nicole. - To moja najbliższa przyjaciółka, moja bratowa, moja ukochana siostra, Alice Renet. Bez niej nie dałabym rady tu przyjechać.

- Miło mi panią poznać. Jestem Pierre Drunon - uklonił się duchowny, a potem ponownie zwrócił się do Nicole. - Ucieszyłem się, gdy dostałem wiadomość od pani. Czy mogę również spodziewać się pani przyjaciela?

- To nie takie proste, ojcze. - Nicole potrząsnęła głową. - Myślę, że

Roberta pozna ksiądz dopiero w naszym domu.

- W takim razie zapraszam panią na plebanie, tuż obok. Czy i pani będzie nam towarzyszyć? - zwrócił się do Ali.

- Nie - odparła. - Ja wracam do domu. Nie wiem tylko, czy Nicole poradzi sobie potem sama.

- Ja odwiozę pannę Perrier, tak jak ostatnio.

„Jak ostatnio? Już rozmawiałaś z tym księdzem? Kiedy?”

Kiedy Robert wrócił wieczorem do domu, powitała go cisza. Z kuchni wyszła na jego spotkanie Sylwia i znacząco położyła palec na ustach. Znaczyło to, że Nicole spała. Wziął dziewczynkę za rękę i tuląc ją do siebie, wszedł po schodach na górę, do sypialni. Nicole rzeczywiście zasnęła, a w rękach trzymała jakąś książkę. Nie chciał jej budzić, toteż postanowił na razie nie wyjmować książki z rąk śpiącej kobiety. Nie gasił także światła. Gdy Nicole spała sama, a ostatnio tak właśnie najczęściej bywało, wolała mieć zapaloną lampę w nocy. Bała się ciemności i nie miał serca z tym strachem walczyć. Razem z Sylwią zeszli zatem na dół, do kuchni, a on popatrzył z troską na dziewczynkę.

- Długo mama już śpi? - zapytał.

- Nie tak długo. Może godzinę. Przedtem leżała i czytała.

- A jak spędziłaś dzień, skarbie?

- Byłam na urodzinach u Adele.

- No tak, zapomniałem. A teraz siedzisz tu sama i pewnie jesteś głodna?

- Nie, papa. Przedtem przyszła ciocia Alice razem z chłopcami i Nancy i przygotowały kolację. Nawet mama trochę zjadła - oznajmiło dziecko z zadowoleniem. - Jest i dla ciebie. Zaraz ci odgrzeję.

- Ty, skarbie? - Nie mógł się nie uśmiechnąć, pomimo przygnębienia. - Jesteś na to za mała.

- Muszę się nauczyć. Czasem trzeba - odparła dziewczynka z powagą, a Robert omal nie rozplakał się jak dziecko.

- Nie bierz się jeszcze za to - poprosił. - Naprawdę jesteś za mała.

- Nancy mi mówiła, że ona była w moim wieku, gdy zaczęła pomagać swojej mamie w kuchni. Miała sześć lat, jak ja. Czasem tak trzeba.

- Moja dzielna dziewczynka. - Chwycił ją w objęcia. - Dobrze, odgrzejemy więc razem tę kolację. Umieram z głodu.

Usiedli potem razem przy nakrytym przez Sylwią stole, jedli,

rozmawiali, a Robert z trudem uzmysławiał sobie, że za jakiś czas już tak właśnie będzie to wyglądało stale. Zostaną tylko we dwoje. Nie mógł sobie tego wyobrazić, więc zaczął szybko zadawać córce kolejne pytania.

- Nie było dziś smutno - mówiła dziewczynka. - Była ciocia, Nancy, chłopcy... i ten ksiądz z nami też trochę był.

- Jaki ksiądz? - Robert nagle gwałtownie podniósł głowę. W jednej chwili opuściło go zmęczenie i przygnębienie.

Sylwia jednak nie zauważyła zmiany jego nastroju, bo sennym głosem odpowiedziała:

- No, ten sam ksiądz, który przed Bożym Narodzeniem pomógł mamie, gdy zachorowała w kościele i przywiózł nas wtedy do domu. Dziś też tu był, znowu przywiózł mamę z kościoła.

Robert z trudem opanował drżenie rąk. O niczym nie wiedział. Nicole chodziła do kościoła? Kontaktowała się z księżmi? Kto podsunął jej taki pomysł?

Wstał gwałtownie i trochę zbyt energicznie wrzucił brudne naczynia do miednicy. Hałas, jaki przy tym uczynił, wyraźnie przestraszył Sylwię.

- Przepraszam, kochanie - powiedział skruszony, patrząc na jej zaleknioną twarzyczkę. - Chyba musimy już oboje odpocząć. Chodź, odprowadzę cię do pokoju.

Począł, aż dziewczynka będzie gotowa do snu, i dopiero wtedy wszedł do jej pokoiku. To niegdyś miał być pokoik Melanie, Robert dobrze to pamiętał. W pokoju obok jego mała siostrzenica zakończyła swoje krótkie życie. Też to pamiętał, ze wszystkimi szczegółami. A jeszcze dalej w korytarzu znajdował się pokój, gdzie spała jego kobieta, ciężko i nieuleczalnie chora. Tak chora, że zaczęli już do niej przychodzić księża. Jak hieny do padliny. Wstrząsnął się na takie słowa, wiedział, że był niesprawiedliwy, ale zżerała go rozpacz i poczucie beznadziei. Na co komu księża w takiej sytuacji? W niczym nie pomogą, a poza tym Kościół już osądził takich ludzi jak on i Nicole. Teraz więc niech Kościół zostawi ich w spokoju, niech zostawi w spokoju ją. Począł, aż Sylwia zasnęła, po czym zgasił lampę w jej pokoju i wyszedł.

Wtedy dziewczynka otworzyła oczy i ostrożnie rozejrzała się wokół. A potem podniosła się i uklękła.

Przeżegnała się, tak jak nauczyła ją niedawno matka, i nieporadnie,

zapominając jeszcze słowa, odmówiła Ojciec Nasz.

- Pomóż, Panie Boże, mojej mamie i papie - wyszeptwała wreszcie, nie kończąc tamtej modlitwy i ucałowała obrazek Madonny z Lourdes, który trzymała ukryty pod poduszką.

Robert w tym czasie stał już nad łóżkiem Nicole i patrzył na nią, niemal skamieniały z bólu.

„Położę się przy niej” - postanowił i bał się sam przed sobą dodać, że przecież już tak niewiele wspólnych nocy przed nimi zostało. Zobaczył znowu książkę w jej zaciśniętych dłoniach i najdelikatniej jak potrafił rozprostował palce Nicole. Książką tą była Biblia. Jakże mogło być inaczej?! Księża musieli przypuścić zmasowany atak i trafili na łatwy cel. Wtedy przypomniał sobie, że czasami już wcześniej widywał Biblię w rękach Nicole, ale wtedy dziewczyna się śmiała i tłumaczyła mu, że poszerza swą wiedzę historyczną i literacką. Teraz nie mogło być już o tym mowy. Teraz musiało chodzić o coś więcej. Rozejrzał się na wszelki wypadek, czy czasem nie znajdzie gdzieś jakiegoś różańca albo innych dewocjonaliów, ale niczego takiego nie zauważył. Położył się obok Nicole i objął ją prawie tak jak kiedyś. Przy okazji rzucił okiem na tekst z Biblii, który zapewne musiała przeczytać przed zaśnięciem.

Był to psalm. Robert nawet w tych nie tak dawnych przecież czasach, gdy praktykował wiarę, rzadko kiedy zwracał uwagę na Biblię i czytania kościelne. Teraz jednak przeczytał, mimo wszystko porwała go ciekawość, choć pełna jeszcze dystansu.

Dusza moja odpoczywa tylko w Bogu, od Niego przychodzi moje zbawienie. On jedynie opoką i zbawieniem moim, i twierdzą moją, więc się nie zachwieję.^[1]

I dalej:

Odpocznij jedynie w Bogu, duszo moja. Bo od niego pochodzi moja nadzieja.

W Bogu jest zbawienie i moja chwała, opoka mojej mocy.^[2]

Tulił się do pleców Nicole i wciąż widział te wersy:

W każdym czasie Jemu ufaj, narodzie! Przed Nim serca wasze wylejcie.

Bóg jest naszą ucieczką.^[3]

Ty, Panie, jesteś łaskawy. Bo Ty każdemu oddasz według jego czynów.^[4]

[1] Ps 62, 2-3.

[2] Ps 62, 6-7.

[3] Ps 62, 9.

[4] Ps 62, 13.

Już nie opuszczała domu, choć tęskniła za światłem, słońcem i wiosną. Wobec tego otwierali okna w jej sypialni, aby czuła to majowe ciepło, zapach bujnej, świeżej zieleni, szum drzew poruszanych łagodnym powiewem wiatru i śpiew ptaków, które uwiły gniazda na tych drzewach. Pod koniec maja przestała także opuszczać tę sypialnię, ale przychodzili do niej jej przyjaciele, więc nawet gdy spała, nie była sama. Nie chciała samotności.

- To coś nowego, mój ojciec - powiedziała kiedyś do księdza Drunona, który odwiedzał ją niemal codziennie. - Kiedyś, dawno temu uważałam, że mogę obyć się bez ludzi. Pragnęłam żyć samotnie, bo ludzie bardzo mnie skrzywdzili.

- Wiem - odparł ksiądz. - Opowiedziała mi pani o tym kilka dni temu.

- Tak? To dobrze, bo to długa opowieść, a mam wrażenie, że z każdym dniem zapominam coraz więcej słów. Zapomniałam też, że opowiadałam o tym ojcu. Wiedzą o tym jeszcze tylko Robert i jego siostra. Nawet mój brat nie znał prawdy. Bałam się, że jeśli ją pozna, zrobi coś strasznego i w efekcie zmarnuje sobie własne życie.

- To też mi pani mówiła.

- A o czym zaczęłam mówić przed chwilą?

- O tym, że dawno temu pragnęła pani żyć samotnie.

- Ach tak. - Uspokoila się, bo luki w pamięci były tym, czego bała się najbardziej. - Kochałam naukę. Pamiętałam dziesiątki wzorów matematycznych, pasjonowały mnie odkrycia przyrodnicze, medyczne, fizyka. Pragnęłam studiować i udało mi się to, choć życie studentek na wydziałach przyrodniczych nie było proste. Nie lubiłam ludzi, bo to, co najciekawsze, było w mojej głowie. Nigdy nie nudziłam się w swoim towarzystwie. Poza tym czytałam, dosłownie pożerałam książki. Nikt tego nie rozumiał, to było przedmiotem drwin i zaczepek. Może gdybym miała inną powierzchowność, jakoś by to uszło. Na moje nieszczęście uchodziłam za osobę urodziwą, a to nie ułatwiało mi życia.

- Na ogół kobiety pragną być piękne - wtrącił z uśmiechem duchowny, chcąc, aby przez moment odpoczęła od mówienia.

Podał jej kubek wody i patrzył z troską, jak z trudem trzyma go

w wychudzonych dłoniach. Chwilę leżała, chyba rzeczywiście zbierała siły do dalszego mówienia. Myślała też, jak to wszystko powiedzieć. Nie przeszkadzał jej w tym. Odkąd zaczął ją odwiedzać po ich spotkaniu w kościele, odbyli już wiele rozmów. Czasem powtarzała już to, co słyszała, ale częściej mówiła rzeczy nowe, ważne. Była interesującą osobą, podobnie jak wszyscy, których spotykał w tym domu. To nie byli przeciętni ludzie i rozmowy z nimi nigdy nie były nijakie. Ta młoda kobieta, która podobno spodziewała się dziecka, żona zmarłego brata, którą chora nazywała siostrą, i ta druga jej przyjaciółka, która przychodziła tu z synem, a męża straciła po wojnie z powodu samobójstwa – obie go wzruszały ze swym bezwarunkowym przywiązaniem, poświęceniem, starannością, mądrością, wiedzą i czytaniem. Czarnoskóra służąca, z ciepłym, praktycznym podejściem do życia, sympatyczny człowiek, mąż jednej z tych kobiet, który nie unikał rozmów z nikim, także z duchownym, a przy tym wprowadzał atmosferę odprężenia, czasem nawet humoru do tego domu nawiedzonego przez śmiertelną chorobę. Potrafił nawet rozweselić biedną pannę Perrier. Widać było, jak bardzo go lubiła. Przychodziły też inne kobiety, modnie ubrane i umalowane, co do których ksiądz nie miał wątpliwości, że z nauką Kościoła nie miały nic wspólnego. Były jednak tak dobre, tak miłe, i oddane chorej, że nawet nie wiedział kiedy, a prowadził z nimi rozmowy o książkach, o muzyce, o życiu, o zagadnieniach teologii. Wcześniej nigdy by nie przypuszczał, że byłoby to możliwe. Nie przeszkadzała mu, a wręcz przeciwnie, rozczulała gromada biegających dzieci, chociaż dawniej uważał, że to niedopuszczalne w domu, gdzie ktoś umierał.

Ojciec Drunon polubił i niemal zaprzyjaźnił się z tymi wszystkimi ludźmi, z jednym tylko wyjątkiem. Przyjaciela, czy też mówiąc bez ogródek, kochanek chorej, wyraźnie go nie akceptował, a jedynie z musu tolerował w tym domu. Ksiądz za każdym razem, gdy go widział, napotykał niechętnie spojrzenie i wyraz irytacji w jego oczach. Oczywiście domyślał się częściowo, z czego to wynikało. W tym kraju nie było to czymś szczególnie zaskakującym. Tu jednak ta niechęć miała dodatkowe podłoże, a Robert Matzer nawet nie odpowiadał na powitalne pozdrowienia duchownego. Gdy otwierał mu czasem drzwi, widać było, że specjalnie stwarza sytuację, aby ksiądz poczuł się niemile widzianym natrętem. Nigdy nie zabronił duchownemu wejść do domu i do chorej, ale też często zostawiał go przy

otwartych drzwiach, a sam bez słowa wycofywał się do środka domu. Znaczyło to, że ojciec Drunon ma dalej radzić sobie sam, choć najbardziej wskazane by było, aby sobie poszedł. Nie była to, delikatnie mówiąc, komfortowa sytuacja i ksiądz świadomie wybierał pory dnia, gdy tamten człowiek był w pracy, a w domu chorą zajmował się w tym czasie kto inny, choć nie zawsze było to możliwe.

A jednak musiało coś być w tym smutnym, rozgoryczonym i – sądząc po pierwszym wrażeniu – niesympatycznym człowieku, skoro umierająca kobieta tak go kochała. Nie była to z punktu widzenia Kościoła dobra miłość, ale pozostawała faktem, a fakty trudno ignorować.

Teraz też, gdy ksiądz słuchał Nicole Perrier i potem patrzył, jak odpoczywała, zadawał sobie nieodmienne pytanie: „Jak pomóc tym ludziom? Boże, jak im pomóc? Przecież Ty nie chcesz śmierci grzesznika. Przecież Ty sam powiedziałaś, że nie przyszedłeś do zdrowych, ale do tych, którzy źle się mają. Przecież w niebie jest większa radość z jednego nawróconego grzesznika niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych. Ta kobieta już to rozumiała i szukała Boga. Jednak mężczyzna...”

- Robert od początku mnie rozumiał – zaczęła znowu Nicole. - Był taki sam jak ja. Byliśmy, mój ojciec, tacy sami. A jednak nie odważyłam się wtedy za niego wyjść. Po wcześniejszych moich przeżyciach bałam się związku z mężczyzną. Czy ojciec zna naszą historię? Czy mówiłam już o niej?

- Tak, moje dziecko, myślę że wszystko, albo większość z waszego życia, już mi opowiedziałaś.

- To dobrze, mój ojciec, bo teraz nie wiem, czy czegoś bym nie poplątała. Robert to dobry człowiek, ale z mojej winy jest bardzo nieszczęśliwy. Kocha mnie, lecz nigdy nie mógł poradzić sobie z tym, co zrobił żonie. Jego ojciec powiedział mi, że nigdy nie powinnam była przyjmować od niego tej miłości, skoro był już żonaty. Jego siostra ostrzegała mnie dawno temu, że to się nie może udać. Kiedy mi to mówiła, mogłam się jeszcze wycofać. Nie zrobiłam tego.

Zaniósła się suchym kaszlem, a on ponownie podał jej kubek wody. Tym razem musiał jej jednak pomóc go utrzymać. Drugą ręką podtrzymywał jej kruche ciało, gdy wspierała się o poduszkę podczas picia. Nie przerywał jej mówienia. Nie mógł zaprzeczyć jej słowom, a jednak po ludzku czuł litość i głęboki żal.

- Ala miała wtedy rację - kontynuowała Nicole - a ja myślałam, że będziemy z Robertem żyć wiecznie.

- Będziecie żyć wiecznie - odparł ksiądz.

- Oby tak było, mój ojciec - szepnęła Nicole i zbierając myśli, w ogromnym wysiłku zaczęła szeptać przypominane sobie słowa: - *Boże, Ty Boże mój, Ciebie szukam, Ciebie pragnie moja dusza, za Tobą tęskni moje ciało...*

Ksiądz łagodnie ujął jej lodowate dłonie, a ponieważ umilkła z wysiłku, recytował dalej:

- *...w świątyni tak się wpatruję w Ciebie, bym ujrzał Twoją potęgę i chwałę. Skoro łaska Twoja lepsza jest od życia, moje wargi będą Cię sławić.*^[1]

Przymknęła oczy i spokojnie oddychała. Ścisnęła jego rękę z siłą niemowlęcia, ale dawała w ten sposób znak, że pragnie, aby mówił dalej. Mówił więc, pilnując, aby w jego głosie nie było słyhać łez.

- *Gdy wspomynam Cię na mym postaniu, myślę o Tobie podczas moich czuwań. Bo stałeś się dla mnie pomocą i w cieniu Twych skrzydeł wołam radośnie, Do Ciebie lgnie moja dusza, prawica Twoja mnie wspiera...*^[2]

- Ojciec, pomóż Robertowi - szepnęła - Moja córka już potrafi się modlić, ale on... Z mojej winy odszedł od Kościoła i wiary. Kiedyś był inny.

- Zrobię, co tylko zdołam - odparł w miarę różnym głosem, choć w tej akurat sprawie nie było w nim optymizmu. Czuł, że dotarcie do tamtego człowieka może go przerosnąć.

- Błagam. Przecież... - i cień dawnego chytrego uśmiešku pojawił się na jej woskowo bladej twarzy - ...przecież, gdy Bóg jest z nami, któż przeciwko nam?

„Nie widziałem takiej wiary, jak tu. Chryste, mówiłeś przecież, że celnicy i jawnogrzesznice wejdą do twojego Królestwa przed synami Światłości. Nikt nie potrafi tak wierzyć i kochać, jak ludzie, którzy żyli z dala od ciebie i wrócili”.

- Śpij dobrze, moje dziecko. Przyjdę jutro - szepnęła ksiądz.

Tym razem nie poszedł prosto do wyjścia, aby broń Boże nie napotkać wrogiego spojrzenia Roberta Matzera. Tym razem przeszedł się po domu, aby go znaleźć i porozmawiać twarzą w twarz. „Wola Twoja, Panie” - pomyślał.

Przyjaciela panny Perrier zastał w jego małym gabinecie. Zapukał, a kiedy usłyszał krótkie „proszę”, wszedł do środka. Robert siedział przy biurku, ale na widok duchownego natychmiast zerwał się na nogi.

- Co się stało? Gorzej się poczuła? Dusi się?

- Odpoczywa, jest bardzo spokojna - odpowiedział uspokajającym tonem ksiądz.

Robert cofnął się i spojrzał po dawnemu niechętnie, ale z pewnym zaskoczeniem.

- W takim razie czego ksiądz sobie życzy? Dzisiaj do wieczora już nikt więcej nie przyjdzie do nas. Moja córka jest u mojej siostry.

- Chciałem porozmawiać z panem.

Robert przez chwilę milczał, a potem nagle roześmiał się śmiechem strasznym, pozbawionym wszelkiej wesołości, za to pełnym goryczy, gniewu i ironii.

- No tak, mogłem się tego spodziewać! Właściwie już tylko czekałem, kiedy wreszcie klechy zaborą się za mnie. Już ona wam nie wystarczała! Jeszcze ja wam jestem potrzebny? Ledwo mogę znieść księdza w tym domu...

- W takim razie dlaczego pan mnie tu znosi? Dlaczego pan mnie tu wpuszcza? To przecież pana dom.

Spokojny ton przedstawiciela Kościoła, z którą to instytucją Robert nie chciał mieć już nic wspólnego, rozwścieczył go do żywego. Opanował się jednak. Zawsze gardził pieniaczami i nie chciał być jednym z nich. Wolał wyjaśnić tę sprawę zdecydowanie, ale bez zbędnych emocji.

- Dlaczego? - powtórzył i odpowiedział: - Bo ona mnie o to prosiła. Tylko dlatego. Czy myśli ksiądz, że mógłbym jej czegokolwiek odmówić? Kiedykolwiek, a zwłaszcza teraz?

I wtedy głos go zawiódł. Odwrócił się szybko do okna, aby nieproszony gość nie zobaczył jego łez.

- Niech pan zaufa miłosiernemu Bogu - powiedział wtedy ojciec Drunon, modląc się w duchu o właściwe słowa.

- Miłosierny Bóg! - Ironiczny uśmiech wykrzywił wargi Roberta. - Nikt taki nie istnieje, mój księżu. Wasz Bóg jest zły i okrutny. Bez obawy, wierzę w jego istnienie, ale nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Już w czasie wojny miałem pierwsze wątpliwości, gdy widziałem piekło na ziemi, a Bóg milczał. Mówili: wojna to kara Boża za grzechy świata. A więc to tak?

Pomyślałem wtedy: świetnie. Szkoda tylko, że najbardziej oberwali nie najwięksi grzesznicy, tylko mnóstwo przywoitych, dobrych, nawet, mój księżę, religijnych ludzi. A przedtem byłem w sumie miłym chłopcem biegającym co niedziela do kościółka. Potem wróciła jedyna miłość, jaką miałem w życiu. Ta kobieta, która tam na górze walczy niekiedy o każdy oddech. To, że jeszcze może czasem rozmawiać, to tylko zasługa zastrzyków, które jednak mają inne skutki uboczne. Zauważył je pewnie ksiądz. Wiem, co ma do powiedzenia katolicki Kościół na temat takich jak ja i Nicole. Nie potrzebuję teraz słuchać napomnień. Jesteśmy paskudnymi grzesznikami, których pochłonie ogień piekielny. Moja żona powiedziała mi to jeszcze rok temu. Nazywała mnie łajdakiem, a Nicole – dziwką. Jak nazywała nasze dziecko, tego chyba nie potrzebuję księdzu cytować.

- Została zdradzona i boleśnie zraniona, dlatego nie panowała nad gniewem – odezwał się znowu łagodnie, ale zdecydowanie, ksiądz.

„A teraz wyrzuci mnie za drzwi, o ile tylko na tym się skończy” – pomyślał jednocześnie.

Robert jednak wzruszył tylko ramionami.

- Wiem, co jej zrobiłem, nie potrzebuje mi ksiądz tego przypominać. Może jestem najgorszą kanalią, ale Nicole nie jest dziwką. Rozmawia ksiądz z nią codziennie. Czy tak wygląda i zachowuje się dziwka?

- Nie – odparł ciepło i przyjaźnie Drunon. - To wyjątkowa kobieta, pełna zewnętrznego i wewnętrznego piękna. Nie dziwię się, że pan ją tak pokochał.

Odetchnął przy tym z ulgą. Już wiedział, jak rozmawiać z Robertem Matzerem.

Tamten patrzył na niego przez dłuższą chwilę, wreszcie gestem zaprosił księdza, aby usiadł.

- Nicole opowiedziała księdzu wszystko?

- Nie wiem, czy wszystko. Nie wiem, ile zachowała dla siebie. To jednak, co powiedziała, w zupełności wystarczy.

- Aby skończyć w otchłani piekielnej – odpowiedział z ironią Robert.

- Tego nie wiem.

- Dlaczego więc oszukujecie ludzi, skoro nie wiecie? Dlaczego odbieracie ludziom prawo do szczęścia, narzucacie drakońskie rygory, a potem wykluczacie z waszego Kościoła, okładacie klątwami, straszycie wiecznym

potępieniem i piekłem?

- O jakim szczęściu pan mówi? Zostawił pan żonę i troje dzieci. Czy trzeba Kościoła, aby uznać to za zło i krzywdę? Czy nie wystarczą zwykłe, ludzkie zasady? Normy moralne, niekoniecznie kościelne? Pańskie sumienie?

Robert podniósł się i podszedł do drzwi.

- Nie potrzebuję tego słuchać. Nasłuchałem się od całej rodziny, i nie tylko. Zupełnie zresztą niepotrzebnie, bo sam to wiem. Jestem łajdakiem, jak rzekłem, i skończę w piekle, jak twierdzi Kościół. Wszystko jasne. Koniec. Kropka. Do widzenia.

Ksiądz jednak nie poruszył się. Robert ponownie wzruszył ramionami i usiadł.

- Reprezentuje ksiądz wyjątkowo uciążliwą i obmierzłą instytucję - powiedział. - Do tego jesteście jak pijawki. Jak już się do kogoś przystawicie, to koniec. Teraz, jak widzę, padło na mnie. Nikt sobie z wami przez wieki nie poradził, choć wielu was przeklinało.

- I nikt sobie nie poradzi. Wcale nie dlatego, że jesteśmy uparci i uciążliwi, czy nawet obmierzli, jak pan twierdzi. Bronimy Ewangelii i nauki Jezusa. Musimy to robić, bo nakazał nam to sam Bóg. Przecież powiedział, że będą mieć nas w nienawiści z powodu Jego imienia. Zawsze tak było, w każdej niemal epoce. Czy myśli pan, że nie miałbym ochoty nabrać czasem wody w usta i dla świętego spokoju nic nie mówić? Pozwalać na grzech, aby ludzie nie obrażali mnie i nie nienawidzili? Nie wolno mi. Sprzeniewierzyłbym się wtedy nauce Jezusa i mojemu powołaniu. Kościół nie może milczeć. Kościół nie może przyklaskiwać ludziom, którzy skazują się na wieczność bez Boga, na wieczność pozbawioną wszelkiej nadziei.

- Nie macie sobie nic do zarzucenia?

- Oczywiście. To wielka instytucja i zdarzało się w niej zło. Obaj to wiemy. A jednak Kościół trwa. Nie przetrwałby pod ciężarem zawinionej i niezawinionej krytyki, gdyby nie taka była wola Boga.

Robert usiadł za biurkiem i popatrzył na duchownego niczym lekarz na pacjenta.

- Dziękuję za interesujący wykład. Rozumiem, że podjął ksiądz próbę nawrócenia mojej grzesznej duszy. Niestety, muszę księdza zawieść. Odbył ksiądz przykry nakaz nałożony mu przez Wszechmogącego, odbębnił ksiądz

swoje, a teraz proszę się już zbierać i zdać raport swojemu szefowi. Niestety, misja nieudana.

- Ona mnie o to prosiła - powiedział cicho ksiądz.

Robert, który już podnosił się zza biurka, aby spróbować ponownie wyprowadzić Drunona, znieruchomiał.

- Ta piękna, młoda kobieta, która kocha pana całym sercem, prosiła mnie o to. Błagała niemal, abym z panem porozmawiał o Bogu. Sam nie zdobyłbym się na odwagę. Nie jestem takim dzielnym rycerzem Chrystusa, jak pan myśli. Niestety.

Robert zakrył dłońmi twarz i siedział tak bez ruchu. Po chwili jego ciałem zaczęły wstrząsać dreszcze, opanował się jednak po raz kolejny. Ojciec Drunon z pewnym wahaniem położył mu rękę na ramieniu.

- Proszę się nie obawiać. Nie będę więcej pana niepokoił. Powiedziałem, co miałem do powiedzenia, i to wszystko. Myślę, że wieczność bez Boga musi być piekłem sama w sobie, bez dodatkowych opowieści o mękach, płomieniach ognia i kotłach. Nadzieja, że po śmierci ujrzymy oblicze Boga i, co ważne, naszych kochanych bliskich, warta jest różnych wyrzeczeń i przestrzegania paru przykazań. Ale to ja tak myślę. Pan ma wolną wolę. Bóg nam jej nie odebrał. To my decydujemy, co chcemy zrobić z naszym życiem tutaj i z naszą wiecznością. Proszę mi wybaczyć, że może wydałem się panu zbyt nachalny. Sam Jezus nie był nigdy nachalny wobec nikogo.

Teraz i ksiądz podniósł się z krzesła z zamiarem wyjścia. Czuł ogromne znużenie. Sam fakt stykania się z wrogością, może niekiedy nawet uzasadnioną, z czymś bólem, z beznadziejną sytuacją życiową, taką jak ludzi mieszkających w tym domu, odbierał mu niekiedy radość z powołania.

- To niezwykły dom, proszę księdza... - Usłyszał głos tamtego człowieka i serce mocniej w nim zabiło.

„Boże, jednak jesteś” - pomyślał. Sam fakt, że tamten odezwał się, już wydał mu się łaską.

- Mówi się, że budynek staje się prawdziwym domem, gdy nawiedza go miłość, narodziny i śmierć. To wszystko tu było, ojcze. Przez ten dom przelało się morze miłości, choć może niekiedy nazbyt z punktu widzenia religii, zmysłowej. Tu mieszkali ludzie, którzy kochali się tak bardzo, że nawet śmierć nie mogła tego zmienić. Tu urodziło się dwoje dzieci, jedno

z nich zmarło, tu teraz umiera kobieta, która jest moim życiem. Nie umrę z nią tylko dlatego, że mam z nią córkę i troje innych dzieci w dalekim kraju. Poświęciłem dla niej wszystko, nawet własną nieśmiertelną duszę. Od miesięcy jednak nie żyjemy już ze sobą. Może być ksiądz spokojny. Odprowadzi ksiądz do wieczności osobę, która już nie grzeszy i cierpieniem oraz wyrzutami sumienia odpokutowała swoje cudzołóstwo.

Lekka ironia kryła się w ostatnich słowach, ale ksiądz Drunon podniósł rękę i w powietrzu nakreślił znak krzyża.

- Niech pan ma ufność w miłosierdziu Boga - powiedział na koniec rozmowy. - Kościół mówi to, co nakazał nam Jezus. Na końcu jednak to On osądzi każdego z nas.

- Ja mam jeszcze czas... - Robert uśmiechnął się lekko, patrząc na znak nakreślony przez duchownego.

- To niedobre słowa. Z tym czasem może być różnie.



[1] Ps 63, 2-4.

[2] Ps 63, 7-9.

Rozdział 104

Następnego dnia przyjechał Janek. Robert, który otworzył drzwi, sądząc, że to kolejna wizyta duchownego, stanął jak wryty. Nie był pewien, czy wciąż nie śni, tym bardziej że miał marną noc i prawie nie zmrużył oka. W związku z tym był dziś otepiały i trochę nieprzytomny.

Szczęśliwie nie musiał z samego rana stawać nad łózkami pacjentów w szpitalu. Miał mieć dyżur w nocy, a następny dzień zupełnie wolny. Tylko ze względu na perspektywę wolnego dnia, który mógł w całości poświęcić Nicole, zgodził się zastąpić kolegę dziś w nocy. Na ogół bowiem bał się opuszczać w nocy dom, pomimo że z Nicole i Sylwią zawsze ktoś wtedy był.

Teraz patrzył nieprzytomnie na młodszego brata, przekonany, że to senna mara, która zaraz zniknie.

- Mogę wejść? - zapytał po chwili Jaś i mijając zdezorientowanego brata, wszedł do środka.

- Stało się coś złego? - wydusił wreszcie Robert, wchodząc za Jankiem.

Nadal nic nie rozumiał, nie mieściło mu się to w głowie. Jedynym wytłumaczeniem mogło być tylko jakieś wydarzenie, które dotyczyło rodziny w Polsce.

- Stało się, ale rok temu, i wiesz, o co chodzi - odparł Janek.

„Nie, tylko nie to. Nie teraz, nie w takiej sytuacji, nie kolejna awantura i może nawet wymiana ciosów. Zresztą, teraz niech mnie nawet zabije” - pomyślał z rezygnacją Robert.

- Powiedz, w czym ci pomóc - odezwał się Janek.

„Co on powiedział? W czym pomóc? Powiedz, w czym ci pomóc? Tak po prostu? Tak zwyczajnie?”

- W jakim ona jest stanie? - zadał ponowne pytanie Janek i po raz pierwszy dotknął ramienia brata. Widok brata prawie go poraził. Właściwie odpowiedź była niepotrzebna.

- Przyjechałeś - wyszeptał Robert. - Przyjechałeś...

- Pomyślałem, że ci pomogę. Jesteście tu tylko z Alą i Raulem. Raul pracuje całymi dniami, a Ala w tym stanie powinna bardziej uważać na siebie. Już i tak przeżywa to bardzo. Była bardzo związana z Nicole.

Powiedział „z Nicole”. Wymówił jej imię, a nie jak poprzednio...

Nieważne już, co było poprzednio. Tamta awantura, uderzenie, to już nieważne. Liczyło się, że tu przyjechał, że wymawiał jej imię, że chciał pomóc.

Robert nagle stracił równowagę i dosłownie wpadł w ramiona brata.

- Umiera, to jej ostatnie dni. Przyjechałeś w samą porę... - mówił z płaczem.

Wstydział się swych łez, ale nie potrafił ich opanować. Potrafił wziąć się w garść, gdy siedział przy Nicole, gdy rozmawiał z tym księdzem, gdy przychodzili inni. Przyjazd Janka jednak go pokonał. Ale to nic. Zawsze byli sobie bliscy. Zawsze wiedzieli o sobie nawzajem najwięcej, kiedyś tak właśnie było.

- Chodź, siadaj. - Janek zdecydowanym ruchem zaprowadził go na kanapę. - Może wypijesz jednego? Czy ty w ogóle coś jadłeś?

Robert nie bardzo mógł sobie przypomnieć, czy coś jadł. Owszem, zszedł rano do kuchni, ale co tam robił? Możliwe, że tylko siedział przy stole i patrzył. Czasem już tak bywało.

- Przygotuję coś do jedzenia - mówił dalej Janek, starając się o swój zwykły, wesoły ton. - Nie ręcę tylko, czy coś z tego wyjdzie. Rozumiem, że w tym domu po dawnemu nie ma pomocy kuchennej? Na litość boską, jak ty sobie radzisz?

Ostatnie zdanie było już pozbawione wszelkiej wesołości. Jaś patrzył z przerażeniem na brata, który sam wyglądał jak śmierć.

- To nie tak, że oprócz Ali i Raula nikogo nie mamy. - Robert odchrząknął i zaczął mówić. - Mamy tu kilkoro przyjaciół. Dom często jest pełen ludzi. Nie jesteśmy samotni.

- Ta zgraja ludzi nie przeszkadza Nicole?

- Nie. Lubi, gdy w domu tętni życie. Chyba mniej się wtedy boi. Zresztą, gdy zasypia, wszyscy zachowują się cicho. Nawet dzieciaki to rozumieją. Dziękuję jednak, że przyjechałeś. To dla mnie ważne, cholernie ważne.

- Ala pisała, że jest źle. - Janek jakby próbował obiektywnie rzecz całą wytłumaczyć, ale po chwili dał sobie z tym spokój. - Jesteś moim bratem, byle jak mi bez ciebie. Mamy wiele wspólnych lat za sobą. Nic i nikt tego nie zmieni. Przepraszam, że tak późno przyjechałem, ale sam rozumiesz.

- Rozumiem. - Robert ponownie objął Janka. - Wiem, że nie było ci łatwo tu przyjechać. Wiem, jak jest i co myślisz. Rozumiem i dziękuję.

Janek nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie miał pomysłu na żadne słowa, co gorsza, głos odmówił mu posłuszeństwa.

W tym momencie na schodach rozległ się odgłos szybkich, drobnych kroków i na dół zbiegła Sylwia.

- Papa, ja zrobię śniadanie - zawołała i stanęła nieruchomo na widok, jaki ukazał jej się w kuchni.

- Witaj, moja mała bratanico! - Jaś z ulgą stwierdził, że głos mu wrócił.

- Spotkaliśmy się już na ślubie twojej ciotki, ale pewnie mnie nie pamiętasz. Jestem bratem twojego ojca.

Dziewczynka patrzyła na niego wielkimi, czarnymi oczami Nicole i Waltera. Janek pamiętał, że poznał ją, gdy była jeszcze malutka, a on nie miał pojęcia, że to córka Roberta. Wtedy ujęły go te oczy i to podobieństwo do brata Nicole. Nie chciał jednak przywoływać tych wspomnień i mówić o nich na głos. To już nie miało znaczenia.

- Dziadek też nas odwiedził - odpowiedziała niespodziewanie dziewczynka, ale jeszcze się nie uśmiechała.

- Wiem, opowiadał mi o tym w Warszawie. - Jaś poczuł, że wilgotnieją mu oczy, więc szybko dodał: - Wiesz, że mieszkamy w Warszawie?

Robert skrzywił się nieznacznie, bo wiedział, że Sylwia nie ma pojęcia o rodzinie, która nie chciała jej kiedyś znać. Ku jego zdumieniu skinęła jednak głową.

- Ciocia Alice mi mówiła - wyjaśniła i dodała: - Mam też braci i siostrę.

Janek i Robert wymienili spojrzenia i wtedy Jaś, biorąc ją za rękę, rzekł:

- W takim razie zrobimy razem śniadanie, skoro zamierzałaś się za to brać. Na pewno jesteś głodna, tak samo jak i twój tata.

- I mama - podpowiedziało dziecko. - Może i mama coś zje.

- Jasne, że tak - odparł i przyklękawszy, szybko przytulił do siebie bratanicę, aby ukryć łzy.

Poszli potem razem do pokoju Nicole i zobaczyli, że już nie spała. Wróciła właśnie z łazienki, choć na ogół i tam towarzyszyła jej któraś z kobiet. Gdy jednak żadnej przy niej nie było, starała się chodzić tam sama. Był to jednak dla niej ogromny wysiłek. Siedziała na brzegu łóżka i próbowała uspokoić przyspieszony, krótki oddech.

- Nicole, kochanie, poczekaj, pomogę ci. - Robert szybko do niej podszedł i ostrożnie ułożył ją na łóżku, poprawiając przedtem poduszki.

Okrył ją kołdrą i odgarnął nadal gęste, czarne włosy z jej spoconego od wysiłku czoła.

- Mamy dla ciebie śniadanie, mamusiu. - Sylwia podeszła z tacą. - I wuj do nas przyjechał.

Nicole skinęła głową i wyciągnęła rękę, jakby chciała przytulić do siebie dziecko, ale nie dała rady i ręka opadła bezwładnie na łóżko.

- Zgadnij, kochanie, kto przyjechał - rzekł Robert, ujmując tę rękę i przyciskając ją do ust. - Mój brat.

- Walter? - spytała szeptem.

- Nie, Nicole. Przyjechał mój brat, nie twój.

Nicole zamyśliła się i patrzyła na niego w skupieniu, jakby starała się coś sobie przypomnieć.

Janek pomału zbliżył się do łóżka i ujął delikatnie jej drugą rękę.

- Witaj, Nicole - powiedział w miarę swobodnym tonem i już wiedział, że cała niechęć, czy wręcz nienawiść wobec tej kobiety i pogarda, które zbudował w sobie przez ostatni rok, należą już do przeszłości i nigdy nie wrócą.

- Jean - szepnęła i słaby uśmiech pojawił się na jej twarzy.

- Pobędę tu teraz trochę i przypilnuję cię, gdy Robert będzie pracował. - Odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech. - Uprzedzam tylko, że surowy ze mnie strażnik.

Uniosła się trochę na łokciu i popatrzyła na niego przenikliwie. Od tego spojrzenia prawie zakreśliło mu się w głowie.

- Czy Alice i Walter już przyjechali? - spytała, a Janek nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.

- Nicole, mówiłem ci już, że mężem Alice jest teraz Raul - przypomniał jej łagodnie Robert.

- Tak, oczywiście - powiedziała i westchnęła.

- Zjedz coś teraz. Janek i Sylwia specjalnie przygotowali dla ciebie coś, co lubisz. Żebyś tylko widziała, jak wygląda teraz kuchnia! Już nigdy nie doprowadzimy jej do ładu...

- Czy ktoś jest na dole? - przerwała mu niespokojnie.

- Nie, kochanie, nikogo nie ma.

- Trzeba zejść na dół. Walter może przyjechać z frontu. A ja muszę zająć się małą Melanie. Gdzie Alice? Może ona jest na dole?

- Spokojnie, Nicole, skup się. - Robert uniósł ją trochę na poduszkach i przygarznął do siebie. - Walter nie żyje już kilka lat. Melanie też nie żyje. A wojna skończyła się prawie cztery lata temu. Rozumiesz?

- Przecież wiem - odparła po chwili i objęła go ramionami.

Janek odwrócił głowę, udając, że poprawia opaskę na oku, i spojrzał prosto w oczy stojącej za nim Sylwii. Poglądził delikatnie jej włosy, a dziewczynka nagle, bez żadnej zachęty, przywarła do niego całym ciałem. Nie płakała, ale jej drobne ciało trzęsło się jak w gorączce.

- Już dobrze - szepnął do niej, jak mógł najspokojniej, i rzeczywiście, stopniowo uspokajała się.

- Zostaniecie tu ze mną? - zapytała Nicole.

- Oczywiście. Po to przyjechałem, aby posiedzieć trochę z tobą - odpowiedział zamiast Roberta Janek.

- Długo cię nie było, Jean. Podobno byłeś ranny... - powiedziała, już całkiem przytomnie.

- Byłem ranny w czasie wojny, ale staram się żyć w miarę normalnie.

- Robert też był ranny. Szukałyśmy go z Alice w transporcie rannych. Tak się bałyśmy, że go nie znajdziemy. Było tylu rannych. Gdyby go zawieźli do innego szpitala, nigdy byśmy go nie znalazły...

„I może nie stałoby się to wszystko” - przemknęło Jankowi przez głowę, ale zaraz odsunął od siebie tę myśl. Po oczach Nicole rozpoznał, że znowu znajduje się w innej rzeczywistości.

- Boję się o Alice - szeptała do niego gorączkowo. - Dostała wiadomość, że Walter nie żyje. Zrób coś, Jean, bo i ona umrze. Od dwóch dni nic nie jadła. Tylko chodzi albo leży i płacze. Chyba traci rozum, bo rozmawia z Walterem i mówi, że go słyszy.

- To było dawno, kochanie - odpowiedział jej łagodnie i cierpliwie Robert. - Alice wyszła już za mąż za Raula, tak jak chciałaś. Tak jak wszyscy chcieliśmy. Jest zdrowa i szczęśliwa. I spodziewa się dziecka.

- No tak. - Nicole kiwnęła głową, jakby coś sobie przypomniwała. - Ja przecież też mam dziecko. A tamto moje pierwsze dziecko czeka już na mnie, aż do niego przyjdę. Już mu nie zrobię krzywdy, nie tym razem.

Janek spojrzał na Roberta, ale na tamtym słowa ukochanej nie zrobiły widać najmniejszego wrażenia. Tulił ją do siebie i coś szeptał, coś, czego Janek jednak nie słyszał. Znowu majaczyła.

- Wiem - szepnęła Nicole, jakby odpowiadała Robertowi. - Już wiem. Zaraz będzie już wszystko dobrze, tylko nie dawaj mi już tych zastrzyków. Od nich miesza mi się w głowie.

Robert spojrział na Janka i wskazał ręką na tacę, którą tamten trzymał. Powoli nakarmił Nicole kilkoma łyżkami lekkiej zupy, a potem podał jej trochę wody do popicia.

Zakąsała i przez chwilę z trudem łapała oddech, ale trzymał ją, aż się uspokoiła, i sięgnął po strzykawkę.

- Nie, nie trzeba - poprosiła. - Już mi lepiej. Po tych zastrzykach wszystko mi się miesza.

Gdy ponownie ułożył ją na poduszce, spojrziała na Janka.

- Dobrze, że przyjechałeś, Jean. Zawsze cię lubiłam. Szczęściara ze mnie, wiesz o tym? Kochałam Roberta, urodziłam dziecko i poznałam takich ludzi jak ty i Alice. Bóg był dla mnie dobry. Tyłu dobrych ludzi wokoło. Przepraszam... Przepraszam...

Naraz zaniósła się łkaniem i kaszlem. Ledwo ją uspokoiłi, nadal jednak broniła się przed zastrzykiem.

- Nie musisz przeproszać - powiedział do niej czule Janek i dotknął jej mokrego policzka. Miał wrażenie, że dotyka kości obleczonej bardzo cienką skórą.

- Barbarę... przepraszam - wychrypiała. - Powiedz jej... Ja wiem, to głupie z mojej strony... ale... Powiesz jej?

- Tak - szepnął Janek i zacisnął zęby, aby opanować skowyt, który prawie rozrywał mu czaszkę. Nie śmiał spojrzeć na Roberta, a z tyłu, do jego pleców przytulała się mała Sylwia.

- Teraz już będzie dobrze - powiedziała cicho Nicole i przymknęła powieki.

- Rano jest zawsze najgorzej - odezwał się Robert, gdy upewnił się, że zasnęła. - Dlatego zawsze boję się, gdy zostawiam ją wtedy z Alą. Dla Ali to podwójnie trudne, zwłaszcza teraz, jednak nikt nie zabrania jej tu przychodzić. Dobrze, że dzisiaj będziecie tu oboje. Dobrze, że możemy tu być wszyscy troje. Chodź, chyba już przyszła.

Ponieważ Nicole spała, zeszli na dół razem z milczącą i cichutką jak myszka Sylwią, która natychmiast ożywiła się, gdy ujrzała ciotkę.

Później przyszedł ksiądz Drunon i spędził u chorej godzinę, co, jak

zauważył Janek, dobrze na nią podziałało.

- Przeraziłem się w pierwszej chwili, ujrawszy tego ojczulka. Zaraz pomyślałem, że... no wiesz... A tymczasem Nicole jakby się uspokoiła i całkiem rozsądnie ze mną potem rozmawiała - zagadnął brata.

- Tak jest zawsze - powiedział z rezygnacją Robert. - Wyszukała gdzieś tego księdza i uparła się, że chce, aby ją odwiedzał. Zawsze widziałem, że potem była w dobrym nastroju, więc w końcu machnąłem na to ręką. Jest zresztą dość miły, rozmawiałem z nim wczoraj. Czytają jakieś psalmy, rozmawiają. Potem do samej nocy jest spokojna. Najgorzej jest zawsze rano.

Potem przysłała czarnoskóra opiekunka synów Raula razem z chłopcami, których odebrała ze szkoły, i wokół zatętniło życie. Ożywiła się też mała Sylwia i biegała z kolegami po całym domu, a potem przyszedł jeszcze jeden mały chłopiec z matką. Właściwie do końca dnia ktoś zaglądał, włącznie z Raulem. Przyszedł też jakiś mężczyzna, narzeczony Dominique, i nawet spędzili potem czas na wspólnej kolacji, przygotowanej przez kilka kobiet, które akurat były już wtedy w domu. Tylko Alice zabroniono wchodzić do kuchni.

- Traktują mnie jak chorą - powiedziała tonem skargi do brata - a przecież nawet nic jeszcze po mnie nie widać. Mogę normalnie się poruszać i...

- To, że wyglądasz ponętnie i pięknie i że możesz nadal kochać się ze swoim mężem, nie oznacza, że nie powinnaś na siebie uważać - odparł bezlitośnie i wesoło Janek, a ona oddała mu kuksańca w bok. Potem jednak oboje zmarkotnieli. Nie był to dobry czas na żarty.

Wieczorem wszyscy się rozeszli, Robert poszedł na dyżur do szpitala. W domu pozostali tylko Ala, Janek i Sylwia. Raul nie oponował, zdobył się tylko na komentarz, że ciężko mu będzie samemu zasnąć.

- W takim razie zabierz ze sobą swoją kobietę! - Jaś mrugnął porozumiewawczo.

- Zaraz, co to ma być?! Jestem podarunkiem wodza czy co? - oburzyła się Ala ku uciesze obydwu.

- Zostań, kochanie, porozmawiaj z bratem. - Raul przygarnął ją do siebie niemal władczy ruchem i pocałował namiętnie w usta. - Jakoś to przeżyję. W końcu tyle lat zadowalałem się tylko marzeniami o tobie.

- Jesteś z nim chyba bardzo szczęśliwa? - zagadnął Janek, gdy zostali już

sami i siedzieli w pokoju obok sypialni Nicole.

- Tak, choć nadal czasem nie wierzę, że to wszystko prawda.

- Co takiego na przykład?

- To wszystko stało się tak nagle... i zaraz potem to dziecko... Jest mi bardzo bliski i niczego nie żałuję, ale czasem mam wrażenie, że to sen.

- To najlepsza rzecz, jaka mogła cię spotkać. I nie tylko ciebie, także nas wszystkich. Ja zauważyłem, ile dla niego znaczysz, gdy przyjechał tu niespodziewanie przed twoim ślubem z Walterem. Żał mi go wtedy było, a ty niczego nie dostrzegałaś.

- Zawsze taka byłam. Nie zauważałam ludzi, którzy mnie kochali. Dostrzegałam ich dopiero później, gdy siła ich miłości dosłownie zwałała mnie już z nóg. Nicole kilka razy mi mówiła, jaka jestem niedomyślna pod tym względem. Jak ja będę bez niej żyć? - spytała nagle i zaczęła płakać jak dziecko.

Tulił ją do siebie i starał się pocieszyć najbardziej ciepłymi słowami, jakie znalazł.

- Wiem - potwierdzała, nie mogąc się uspokoić - mam Raula i nową rodzinę. Kocham ich, kocham Raula. Jak mogłabym go nie kochać? Ale nie zapomniałam przeszłości. To Walter i Nicole byli moją rodziną przez lata. Tak dobrze mi z nimi było! Moja codzienność była tu, w tym domu. Gdy zabrakło Waltera, miałam Nicole. Mogło przecież tak pozostać. Nie mogłam zapomnieć, że Robert porzucił rodzinę, ale z drugiej strony to była dla mnie radość, że mój brat i Nicole są tak blisko. Spędzaliśmy razem czas, święta, sylwestra. Wiem, jak to musi brzmieć w twoich uszach, ale było mi z nimi dobrze. To Nicole wyrwała mnie niemal z trumny i to ona w końcu ośmieliła mnie i Raula. Dlaczego to wszystko nie mogło ułożyć się inaczej? Dlaczego nie było dla nich wyjścia?

- Nie wiem. Nie odpowiem ci. Dlaczego tak ułożyło się im, dlaczego tak ułożyło się naszym rodzicom, Basi, Marcie, tobie i Walterowi, Raulowi i Rebecce.

- Przecież podobno sami decydujemy o naszym życiu, sami kształtujemy nasz los?

- Nieprawda. Czasami rzeczywiście tak jest, ale częściej jednak nie.

Wtedy przestała płakać i popatrzyła w jego oczy. Nigdy go o to nie pytała, uważała, że nie ma prawa. Teraz jednak postanowiła przełamać

onieśmienie i obawę. Jeśli nie zapyta go teraz, nie zrobi tego już nigdy.

- A jak było z tobą? - spytała. - Dlaczego właściwie jesteś sam? Nigdy nie było nikogo?

Zapatrzył się w okno i przez dłuższą chwilę nie odpowiadał. Już miała go przeprosić za tę niewczesną ciekawość, gdy wreszcie się odezwał.

- Owszem, był kiedyś ktoś. Mogło coś z tego być, naprawdę, ale... Rozdzieliły nas sprawy niezależne od nas. Dlatego mówię, że najczęściej nie mamy wpływu na nasze życie. Jesteśmy pionkami w grze. Rozgrywa kto inny.

- Czy to była Basia? - spytała, bo nie mogła tego nie zrobić.

- Nie! - Janek roześmiał się. - Wszyscy podejrzewali mnie o tajemny afekt do niej, ale Basia była zawsze moją bliską przyjaciółką, była jak druga moja siostra. Nic ponadto.

- Jak kiedyś ja i Raul - podpowiedziała, dając mu do zrozumienia, czym się to skończyło.

- No nie, siostrzyczko, to nie było to samo. W twojej przyjaźni z Raulem zawsze coś iskrzyło i tylko ty tego nie widziałaś. Jak ci to wytłumaczyć? Widzisz, uważałem Basię za piękną dziewczynę, a potem kobietę, ale nigdy w jej obecności nie zapalały się we mnie światła, nigdy nic nie czułem. Nie działała tak na mnie, i to nie tylko dlatego, że była moją przybraną siostrą. Dziwiło mnie, że Robert zamierza z nią się żenić, bo sądziłem, że on ją odbierał podobnie jak ja.

„Wszyscy byli zdumieni, każdy miał wątpliwości i nikt nie zareagował, nikt nie protestował. Ja też nie” - pomyślała Ala ponuro.

Pragnęła jednak wiedzieć więcej.

- Możesz mi zatem powiedzieć, kto zapalał w tobie światła? - spytała z uśmiechem. - Czy ją znałam? I co się stało?

Jaś założył jej niesforny kosmyk włosów za ucho i odpowiedział uśmiechem na uśmiech.

- To chyba nie byłam ja? - Ala nagle wystraszyła się, a on roześmiał się na całe gardło.

- Ależ nie, spokojnie. Kolejnego straszliwego skandalu rodzinnego już nie będzie. Wiedziałem, że mam łajdacką opinię w twoich oczach, ale chyba nie do tego stopnia? Boże drogi, nie!

Uspokoił się wreszcie, przypomniawszy sobie, że w pokoju obok śpi

Nicole. Myśl ta spowodowała, że natychmiast spoważniał.

- To stara sprawa i nie chcę już o tym mówić. Wtedy bolało i myślałem, że teraz już mogę wspominać to bez emocji. Naprawdę tak myślałem, ale jednak jeszcze nie potrafię. Aż się dziwię, bo to już trzynaście lat, odkąd tamto się skończyło.

- Widocznie się nie skończyło - odparła Ala ciepłym i pełnym współczucia tonem. - Jesteś taki jak ja i Robert. Nie umiemy zapomnieć, choćby życie potoczyło się dalej.

Następny dzień zaczął się jak poprzedni, ale skończył się już inaczej. Nicole po porannej toalecie i mikroskopijnym śniadaniu nie zapadła w drzemkę i długo była niespokojna. Błagała jednak, by nie dawać jej żadnych uspokajających i otępiających ją, jej zdaniem, lekarstw ani zastrzyków.

- Dajcie mi spokój - błagała i wreszcie zrezygnowany Robert, za namową całej reszty, odłożył strzykawkę i medykamenty.

Potem rzeczywiście uspokoiła się i poprosiła, aby wszyscy przyszli do jej pokoju.

- Rozmawiajcie - poprosiła - a ja będę na was patrzeć.

Przygarnęła też do siebie Sylwię i pozwoliła, by dziewczynka niemal położyła się na niej w łóżku.

- Dawno cię nie tuliłam, mój słodki skarbie - mówiła do córki. - Wyrośnie z ciebie prawdziwa piękność.

- Jak jej mama - odpowiedział zaraz Jaś. - Mnie zaczarowałaś od pierwszego wejrzenia.

„To była Nicole? Ta kobieta, o której mówił mi wczoraj, to Nicole?” - przemknęło przez myśl Ali, ale nie wiedzieć czemu pomysł ten wydał jej się niedorzeczny. Przecież w tamtych czasach Nicole unikała wszystkich z wyjątkiem Roberta. Rozmawiała praktycznie tylko z Robertem. Wszyscy żartowali z nich niemiłosiernie. Janek też, może on najbardziej. A jeśli właśnie tym przejawiał się jego tajemny afekt? I teraz przyjechał tak niespodziewanie...

- Nie zauważyłam, abym akurat na tobie wywarła wrażenie - odparła z uśmiechem Nicole i w tym momencie zaniósła się ciężkim kaszlem. Odsunięto od niej dziecko, a Robert uniósł ją za ramiona i czekał, aż wyrówna się jej oddech.

- Pozwól, że zrobię ci zastrzyk - poprosił, ale potrząsnęła głową.

- Nie, później. Teraz chcę być świadoma.

- Spróbuj zasnąć. Damy ci odpocząć.

- Później - powtórzyła i spojrzała na niego zupełnie przytomnie, dokładnie tak samo jak wtedy, gdy w czasie wojny zostali sami w domu Ali i uzmysłowili sobie, że pragną kochać się po raz pierwszy. Tak, dokładnie

tak samo na niego wtedy patrzyła. Ala miała wtedy dyżur w szpitalu, a oni nie mogli do rana nacieszyć się sobą. A potem były kolejne noce, nawet wtedy, gdy nieświadoma niczego Ala spała kilka pokoiów od nich.

- To raczej ty powinieneś odpocząć - powiedziała. - Całą noc harowałeś w szpitalu, a w domu masz następny szpital. Takie miałeś ze mną życie, mój kochany. Zmarnowałam ci tyle czasu.

Nagle obecni w pokoju, bliscy przecież ludzie, jakby przestali istnieć. Zostali tylko oni dwoje.

Robert pochylił się nad Nicole i gwałtownie, namiętnie całował jej wargi. Może za gwałtownie, bo znowu zaczęła tracić oddech, więc ponownie uniósł ją.

- Nawet jednej chwili, nawet jednej sekundy spędzonej z tobą nie żałuję - szeptał. - Gdybym znowu miał podjąć tamtą decyzję, byłaby taka sama. To były najpiękniejsze chwile w moim życiu, czas, gdy miałem cię przy sobie. Zdrowa czy chora, dawałaś mi pełnię szczęścia. Kocham tylko ciebie i nic nie może tego zmienić.

Teraz naprawdę zrobiło się cicho w pokoju, bo Nancy wstała i wycierając oczy fartuchem, wyprowadziła chłopców z pokoju chorej. Zaraz za nią wyszła Dominique, która tylko na moment odwróciła się i przesłała Nicole pocałunek dłonią. Raula jeszcze nie było, jeszcze nie zdążył przyjechać.

Ala i Jaś zostali i zbliżyli się do łóżka.

- Moja siostra... - szepnęła Nicole, patrząc na Alę. - Pamiętasz... wtedy, w kościele?

- Pamiętam - odparła głuchym głosem Ala. - Rozmawialiśmy o Sylwii i Melanie, o naszych córkach.

- Walter był szczęściarzem. - Nicole mówiła powoli, ale dość pewnie. - Ja byłam szczęściarą.

- Ja też - dodała Ala, dziwiąc się, że nie dławia jej łzy.

To pewnie dlatego, że tyle razy myślała o tej chwili, tyle łez już wypłakała... Była przygotowana. Czy można jednak do końca?

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł ksiądz Drunon. Podeszedł do Nicole, po czym położył rękę na jej czole.

- Nie wiem, czy sobie poradzę, ojciec - szepnęła. - Proszę mi pomóc. Trochę się boję.

- To rozumiałe, moje dziecko - odpowiedział. - Wszyscy grzeszymy

i wszyscy się boimy.

Usiadł przy niej i zaczął czytać, a Nicole, nie odrywając od niego wzroku, poruszała ustami, jakby powtarzała:

- *Panie, Ty byłeś naszą ucieczką z pokolenia na pokolenie. Zanim góry narodziły się w bólach, nim ziemia i świat powstały, od wieków na wieki Ty jesteś Bogiem.*^[1] (...) *Bo tysiąc lat w Twoich oczach jest jak wczorajszy dzień, który minął...*^[2]

- Proszę czytać dalej - kapłan zwrócił się do Ali, a sam przystąpił do swoich czynności.

- *Cóż oddam Panu za wszystko, co mi wyświadczył? Podniosę kielich zbawienia i wezwę imienia Pańskiego... Drogocenna jest w oczach pana śmierć Jego czcicieli...*^[3] *Pan jest dobry dla wszystkich i Jego miłosierdzie ogarnia wszystkie Jego dzieła... Pan podtrzymuje wszystkich, którzy padają, i podnosi wszystkich zgęźbionych... Pan jest blisko wszystkich, którzy Go wzywają, wszystkich wzywających Go szczerze...*^[4] *Kimże jest człowiek, że o nim pamiętasz?*^[5]

Przerwała czytanie i patrzyła. Na białym obrusie kapłan postawił krzyż, wodę święconą i kropidło, a następnie położył na piersiach chorej białą chustę. Potem ostrożnie udzielił jej komunii, spowiedź bowiem odbyła się już wcześniej. Potem namaszczał po kolei przymknięte powieki Nicole, uszy, usta, nozdrza, ręce i nogi.

- *Per istam sanctam unctioem et suam piissimam misericordiam indulgeat tibi Dominus quiquid per visum ...*^[6]

- Co mogę jeszcze zrobić dla ciebie, kochanie? - szepnął Robert, nachylając się nad nią najbliżej, jak to było możliwe.

Otworzyła oczy i spojrzała na Sylwię klęczącą przy jej łóżku, potem na niego - z całą bezgraniczną miłością. Z przyjaźnią i ze zrozumieniem, które nosiła w sobie od kilkunastu lat. Zatrzymała łzy i jeszcze raz słabo, ledwo dostrzegalnie uśmiechnęła się.

- Już nic - mówiła cicho, a Robert więcej się domyślił z ruchu jej warg, niż usłyszał. - Dalej muszę... już sama...

Odeszła kilka godzin później, o świcie, gdy przyroda przygotowywała się na pierwsze promienie i blask wschodzącego słońca.



[1] Ps 90, 1-2.

[2] Ps 90, 4.

[3] Ps 116, 12-13, 15.

[4] Ps 145, 8-9, 14, 18.

[5] Ps 8, 5.

[6] Łacińska formuła namaszczenia chorych wypowiedziana przez kapłana podczas udzielania tego sakramentu. Mszał rzymski (Imprimatur Brugis 16 Dec 1931).

A więc umarła. Zatem Robert mówił mi wtedy prawdę, a ja mu nie wierzyłam. Nienawidziłam jej tak bardzo, że przez cały rok życzyłam jej źle, jak najgorzej. A jednak, Bóg mi świadkiem, nie życzyłam jej śmierci. Nawet jeśli tak powiedziałam (choć nie pamiętam, abym to uczyniła), w głębi serca tego jej nie życzyłam. Chciałam tylko, aby Robert do mnie wrócił, aby przestał ją kochać, abym znowu stała się dla niego kimś ważnym. Kiedy wczoraj przyszedł list od Jasia z wiadomością o jej śmierci, wszystko zrozumiałam. Nie ma już we mnie nienawiści, umarła razem z nią.

Załuję tych wszystkich ordynarnych słów, jakich użyłam, gdy mówiłam wcześniej o niej, gdy myślałam o niej, gdy pisałam o niej. Gdybym wierzyła w jej chorobę, być może umiałabym się jakoś opanować. Uczyniła mi krzywdę, ale powstrzymałabym się od przekleństw, od złorzeczenia. Niestety, słów już nie cofnę.

Znowu pomyślałam o Robertcie i czuję smutek, ale nie nienawiść. Dzięki temu, że uwolniłam się od nienawiści, mogę teraz nareszcie myśleć. Joachim starał się już w lutym porozmawiać ze mną o niej, o jej chorobie, ale nie chciałam słuchać. Nadal nie wierzyłam i byłam oburzona, że zdołała nawet mojego teścia do siebie przekonać i go omamić. Co w tym zresztą dziwnego? Pamiętam ją trochę i wiem, jaka była piękna. Miała w sobie coś magnetycznego. Coś, czego ja nigdy nie miałam.

Teraz wiem, że gdybym posłuchała wtedy Joachima, gdybym się wtedy, w lutym, przemogła i uczyniła jakikolwiek pojednawczy gest, to teraz można by było wszystko naprawić. Mogłabym nawet pojechać teraz do Paryża i pocieszyć Roberta. Mogłabym okazać mu swoje współczucie i może... krok po kroku... może bym go odzyskała. Chociażby jako przyjaciela, jako brata, choć to dla mnie za mało. Skrzywdził mnie, ale życie bez niego jest nieznośne. Możliwe, ale nieznośne.

Niestety, nie dałam się przekonać wtedy ani Joachimowi, ani matce, ani Ali, nikomu. A teraz na wszystko jest już za późno. Mogłam coś zrobić, gdy ona jeszcze żyła, teraz nie mogę już nic. Joachim zdążył pojednać się z Robertem, Janek uczynił to w ostatnim prawie momencie i dlatego obaj mogą teraz tam być i uczestniczyć w jej pogrzebie. Ja spaliłam za sobą

wszystkie mosty. Nie otwierałam od niego listów, gdy jeszcze próbował do mnie pisać. Nie pozwalałam, aby kontaktował się z dziećmi, nie pozwalałam na listy, życzenia i prezenty.

Jaś napisał o jej słowach skierowanych do mnie. Przepraszała, bardzo cierpiała, pracowała nad sobą duchowo. Bóg to osądzi. Wojna, którą prowadziłam, jest skończona, ale nie mam z kim podpisać pokoju. Już jest za późno, za późno, za późno.

- Możesz jeszcze coś zrobić - powiedziała Marta kilka tygodni później. - Pozwól, aby dzieci do niego pojechały.

Basia skuliła się na te słowa i zapragnęła, aby matka wreszcie zajęła się własnymi sprawami. Było lato, mnóstwo pracy, jak zwykle. Niech zajmie się Zaborowem, skoro od zawsze był niemal jedyną treścią jej życia. Potem jednak zastanowiła się. Może był to jakiś pomysł, jakiś zrozumiały dla Roberta pojednawczy gest?

- Przecież same nie odbędą takiej drogi - zachnęła się, sądząc, że może matka zacznie i ją namawiać do wyjazdu do Paryża.

- Teraz oczywiście, że nie - odparła Marta. - Trudno też wymagać, aby Joachim i Janek jeździli tam co miesiąc. Mają swoje zajęcia.

- Sama więc widzisz, droga mamo.

- W grudniu Ala urodzi dziecko. Chyba ktoś ci o tym powiedział? - dodała nagle Marta, a oniemiała Basia skinęła głową.

Oczywiście słyszała o tym od Joachima i Jasia, choć nigdy nie chciała kontynuować tematu. Zresztą cały Zaborów o tym wiedział i żywo komentował. Ona nigdy nie brała w tym udziału.

- Tak więc widzisz, jest rozwiązanie - podsumowała bez ceregieli Marta. - W grudniu Joachim i Janek zamierzają pojechać do Ali i zostaną tam na święta. Dzieci mają wtedy wolne od szkoły i mogą wyjechać w towarzystwie dziadka i stryja.

- Mam zostać tu sama w Boże Narodzenie? - spytała zszokowana Basia, a potem pomyślała, że jeśli ktokolwiek teraz zacznie ją namawiać na towarzyszenie rodzinie w Paryżu, to tym razem nie odmówi.

Jednak w odpowiedzi na jej pytanie matka tylko wzruszyła ramionami.

- Zostaniesz ze mną, nie sama. Czy nie uważasz, że twoim dzieciom należy się ten wyjazd?

To był pierwszy promyk światła w obecnym życiu Roberta, oczywiście nie licząc Sylwii. Pierwszy, ale jak silny! Zaraz jakby zrobiło się trochę jaśniej, cieplej. Kiedy Janek napisał mu o tym, początkowo nie uwierzył. Barbara zgodziła się na przyjazd dzieci do niego! To stało się właśnie teraz! W tych dniach bólu, rozpacz i żałoby! Bał się do tej pory tych świąt i nie wyobrażał ich sobie. Oczywiście była Sylwia, którą kochał nad życie. Oczywiście była Ala, która miała mniej więcej w tym czasie urodzić dziecko. Był Raul, który stał się jego bliskim przyjacielem. Byli też inni, jako że paryscy znajomi ani myśleli zostawić go samemu sobie. Przyjazd zapowiadali ojciec i brat.

Nie zmieniało to jednak faktu, że zżerał go ból i tęsknota, czasami trudne do wytrzymania. Jak to dobrze, że mógł przeżywać je w tym właśnie domu, gdzie kiedyś mieszkała jego siostra, gdzie urodziła się i umarła jego siostrzenica, gdzie urodziła się w czasie wojny jego córka, gdzie na zawsze pożegnał Nicole. To był dom, w którym przeżywano miłość i żałobę, żadne inne miejsce na świecie nie nadawało się do tego bardziej.

Ala go rozumiała, bo też to przeżyła, i po śmierci Nicole wiele czasu spędzali razem. Nie było płaskich słów pocieszenia, były łzy i wspomnienia. Nie udawali przed sobą dzielnych, twardych i odpornych. Byli sobie nawzajem bardzo potrzebni.

- Kiedyś kupię od ciebie ten dom - powiedział jej, gdy siedzieli przy kominku, wpatrzeni w migoczący ogień. - W ten sposób na zawsze pozostanie przy nas i naszych dzieciach. Dla mnie i Sylwii w zupełności wystarczy.

- Nie ma mowy o pieniądzach - zaproponowała - Przecież ja też dostałam go w prezencie od naszej matki. Ona przekazała pieniądze, a Raul dokonał transakcji.

- Tak jakby przewidziała, że takie miejsce będzie nam potrzebne... - Robert uśmiechnął się lekko, zapatrzony w płomienie. - Widzę ją tu wszędzie - dodał już innym tonem, a Ala od razu wiedziała, że nie mówił już o ich matce, lecz o Nicole.

- Ja też - przyznała. - Widzę ją w kuchni, gdy wreszcie przyznała mi się, że będzie miała dziecko. Widzę ją przy drzwiach, jak wręcza drobną zapłatę listonoszowi, który przyniósł telegram o śmierci Waltera. Widzę, jak mnie błaga, abym zaczęła w końcu jeść, wychodzić z domu, ubierać się w inne

sukienki niż tylko w żałobne. Widzę ją, jak mnie przekonuje, abym zaczęła wreszcie żyć, abym dostrzegła Raula. Widzę ją z dzieckiem moim i z jej własnym.

- Żebyś ty wiedziała, w jaki sposób ja ją widzę... - rozmarzył się Robert i oboje znowu na chwilę uśmiechnęli się. - Teraz rozumiem, siostrzo, twoją żałobę. Zawsze zresztą rozumiałem, ale nie tak wyraziście jak dziś.

Te rozmowy pomagały, oczyszczały, przynosiły ulgę. A potem przyszedł list od Janka, że na święta przyjadą dzieci, i Robert niemal od razu poczuł, jak wraca do niego życie. Musiał zresztą już wcześniej stawić czoła rzeczywistości, bo przecież była mała Sylwia, pracował, a praktyczna strona życia egzekwowała swoje prawa. Ala nie mogła mu już tak pomagać jak do tej pory, trudno też było bez końca angażować inne znajome, czy nawet pomoce domowe tych znajomych. Należało rozejrzeć się za kimś, kto na stałe zająłby się jego domem. Planowany przyjazd ojca, brata i trójki dzieci był tu dodatkowym impulsem. Robert chciał ich ugościć w swoim domu, o hotelach nie mogło być mowy. Do pracy zgłosiła się prawie zaraz po ogłoszeniu dawna służąca Ali, Josephine, która pomagała w tym domu tuż przed wojną.

Ala rozpoznała ją natychmiast i aż zaklaskała w dłonie na jej widok.

- Oczywiście, proszę pani, że chętnie podejmę się tej pracy - zapewniała młoda kobieta. - Znam ten dom i dobrze go wspominam, tak jak zawsze dobrze wspominałam panią i pana Waltera. Niech mu świeci Światłość Wiekuista. Sama widzę, że pani brat potrzebuje pomocy. Samotny mężczyzna z dzieckiem nawet w jednej dziesiątej nie poradzi sobie jak samotna kobieta nawet z gromadą dzieci. Taka jest prawda i nie ma co się na nią obrażać.

- Jak się miewa pani mąż? - spytała z pewną obawą Ala, bo był to jednak pewien organizacyjny problem.

- Mąż stracił nogę na froncie, proszę pani, i kiedy w końcu wrócił, znaleźliśmy się na garnuszku u jego rodziców. Uchowaj Boże od takiego losu. Teściowie, jak pani może pamiętać, mieszkają na wsi i prowadzą gospodarstwo. Całą wojnę tam z nimi przetrwałam i służyłam za parobka. Teściowa nigdy nie była ze mnie zadowolona. Potem wrócił mąż i okazało się, że nie może harować w gospodarstwie. Pomagał przy drobnych pracach, głównie było to jakieś majsterkowanie. Miałam po uszy zrzędzenia teściów i ich biadolenia, że los ich tak pokarał. Niewiele brakowało, a teściowa

oskarżyłaby mnie w końcu o wybuch wojny i kalectwo jej syna. Winną bowiem byłam wszystkiemu. Nie wytrzymałam w końcu i powiedziałam Pierre'owi, że wracam do Paryża i albo jedzie ze mną, albo zostaje z rodzicami. Bał się, czy znajdzie pracę, ale pojechał ze mną. Dorabia to tu, to tam, bo to prawdziwa złota rączka. Nawet u zegarmistrza trochę pomaga. A teraz, jak się dowiedziałam o pani ogłoszeniu, to aż podskoczyłam. Zawsze to dodatkowy zarobek. Mamy gdzie mieszkać, dlatego będę tu na dochodząco.

- Czy aby dysponuje pani czasem? - spytała z pewnym wahaniem Ala. - Brat ma dziecko, które niekiedy będzie potrzebowało opieki, a on sam, jako lekarz, często wraca późno. Ja, jak pani widzi...

- Mam czas, proszę pani. Wiem, o co pani chce zapytać. Nie mamy dzieci. Urodziłam synka od razu w pierwszym roku wojny, ale Pierre był wtedy już na froncie i nigdy go nie widział. Malutki umarł po kilku tygodniach i, zdaniem teściowej, to też była moja wina. Potem, gdy Pierre wrócił, już nie mogliśmy... To znaczy... - zająknęła się. - No, już nie mieliśmy dzieci. To już niemożliwe, proszę pani. Zresztą, co ja tam będę mówiła! - Pospiesznie wytarła oczy chusteczką i znowu zaczęła rozprawiać: - Trudno, proszę pani. Sama pani wie, jak to jest. Sama pani to przeżyła. Mój Pierre przynajmniej z wojny wrócił, i za to Bogu dziękuję. Nawet gdyby zastał zupełnym kaleką albo rozum stracił, to i tak dziękowałabym Bogu za to, że przeżył.

- Rozumiem - szepnęła Ala, a dawna służąca spojrzała na nią przyjaźnie i uściśnęła jej dłoń.

- Tak się cieszę, że przynajmniej pani ma drugą szansę... na miłość i na dziecko. Tak się o panią martwiłam. Kiedyś widziałam panią w Paryżu. To było wtedy, jak się ta paskudna wojna skończyła. Widziałam panią wtedy na ulicy. Wszyscy tak się cieszyli i tańczyli, a pani wyglądała jak już nie z tego świata. Nawet mnie pani wtedy nie poznała.

- Wtedy rzadko kogokolwiek rozpoznawałam - odparła Ala i chociaż bardzo się starała być w tym momencie spokojna i pogodna, w jej oczach pojawiły się łzy.

Josephine szybko zmieniła temat rozmowy i zajęła się oglądaniem domu, gdzie, jak stwierdziła z zadowoleniem, prawie nic się nie zmieniło. Wiedziała już o Nicole i o tym, jak się miały sprawy między siostrą Waltera

a bratem Alice, ale nie roztrząsała tej sprawy. Z miejsca też pokochała małą Sylwię, zresztą z wzajemnością.

- To słodkie dziecko - powiedziała. - Prawdziwa pociecha dla jej biednego ojca.

W sprawnych rękach zaradnej gospodyni dom zaczął funkcjonować normalnie, co było wielką ulgą dla Roberta i pewną pociechą w smutku dla Sylwii. Początkowo po śmierci matki dziewczynka przestała się nawet odzywać i trzeba było wielkich starań wszystkich, aby otrząsnęła się z szoku. Ala, bardzo już wtedy słaba, niewiele mogła poradzić, lecz opieka i obecność Josephine okazały się i tu wielce pomocne. Perspektywa przyjazdu rodziny i dzieci „pana doktora” tylko dodatkowo ją ucieszyły. Nie bała się pracy, miała w sobie dużo energii, a perspektywa dodatkowego zarobku była dla niej bardzo nęcąca.

- Dobrze, jak tu będzie więcej ludzi, choćby tylko przez jakiś czas - mawiała. - Ludzi więcej, to i życia więcej.

Córka Ali i Raula urodziła się w połowie grudnia 1922 roku. Poród nie był łatwy, ale ostatecznie po dwunastu godzinach wysiłku, bólu i nerwów dziecko ujrzało światło dzienne.

- Piękna dziewczyna - oznajmił doktor Leclerc, podając dziecko Raulowi.

- Będzie jak jej mama.

- Taka kruszynka - szepnął wzruszony Raul, który nie mógł się zdobyć na żaden dowcipny koncept. Wyglądał tak, jakby poród utrudził go bardziej niż żonę, przez te wszystkie godziny krążył jak duch pokutujący i ani służba, ani Robert nie byli w stanie nakłonić go, aby usiadł na dłuższą chwilę i próbował coś przekąsić.

- To chociaż niech pan wypije jednego - zawołał Roger, który w końcu nie wytrzymał, ale kucharka zaraz wyprowadziła go z salonu i udzieliła porządnej bury.

Teraz szczęśliwie należało to już do przeszłości i Raul, błądy ze wzruszenia, strachu i zmęczenia, trzymał w drżących rękach swoją córkę.

- Boję się, czy czegoś jej nie uszkodzę. Jest taka maleńka i krucha - szepnął do krzątającej się przy Ali Nancy.

- Co też pan mówi, panie Renet! - Kobieta uśmiechnęła się szeroko. - Zapomniał pan już, jak wyglądali bliźniacy po urodzeniu?

Raul pamiętał tylko, co spotkało Reбекę wydającą na świat jego synów, i nadal nie potrafił uwierzyć, że tym razem to naprawdę koniec bólu i nerwów i nie ma już żadnego niebezpieczeństwa.

- Chłopcy byli chyba więksi i silniejsi - odparł jednak na pytanie Nancy.

- Co też pan mówi, panie Raulu! Było ich dwóch i byli bardzo mali. Wszyscy się o nich bali. Ta dziewczuszka jest taka, jak trzeba.

- Panie Renet, proszę podejść z córką do żony, bo już zaczęła podejrzewać pana o romansowanie z panną Nancy - zawołał wesoło doktor Leclerc i nawet obecny już w pokoju Robert uśmiechnął się wesoło.

- Wybacz, kochanie, chyba tracę głowę - powiedział Raul, podchodząc trochę chwiejnym krokiem do Ali i podając jej dziecko. Zaraz jednak zauważył, że nie tylko o nic go nie podejrzewała, ale oczy miała pełne wspomnień i przez moment była daleka od rzeczywistości. Dotknął więc jej

zmęczonej twarzy i delikatnie, lecz i stanowczo zmusił, aby na niego spojrzała.

- Kochanie moje - szepnął. - Mój skarbie. To nasza córka.

Wtedy zobaczył w jej oczach jakiś błysk, jakieś światło.

- Mała Nicole... - szepnęła, bo naprawdę jej się zdawało, że obok Raula stoi Nicole i że to ona podaje jej owinięte w pieluszki dziecko.

Wszystko zatem wróciło - i tamten dom, i tamten pokój, i dziecko, i nawet Robert tu był. Była więc i Nicole. Już miała spytać o Waltera i niewiele brakowało, aby wypowiedziała to imię, gdy nagle usłyszała wesoły głos. Nie był to jednak głos Waltera.

- Nicole? Tak ma mieć na imię? Podoba mi się, to wspaniały pomysł, skarbie.

Zobaczyła wtedy Raula i wróciła do rzeczywistości. Nicole już nigdzie nie było, podszedł jednak Robert i patrzył na siostrę przenikliwie i uważnie.

- Coś jest nie tak... - usłyszała jego słowa i nagle wszyscy jakby zaczęli się oddalać.

*

- Nicole?

- Wracaj, Alice!

- Walter?

- Jeszcze nie, kochanie. Wracaj do niego, wracaj do nich.

- Gdzie Melanie?

- Wszystko z nią dobrze. Wracaj do nich. Potrzebują cię.

Potem chyba zobaczyła swoją matkę, która uczyniła taki gest, jakby kręciła przecząco głową.

„Gdzie jesteście? Gdzie jesteście? Walterze...”

*

Znowu zrobiło się ciemno. Zrozumiała, że leży w łóżku, a w fotelu obok śpi drugi człowiek. Co się stało? Nie mogła sobie niczego przypomnieć.

- Alice - usłyszała i ktoś wziął ją za rękę.

Oczywiście wiedziała już, kto z nią był. To był od dawna zawsze ten sam człowiek, przyjaciel, kochanek, mąż.

- Słyszysz mnie, Alice? Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Ach! Po co te pytania?! Miała zamęt w głowie i nie była w stanie mówić. Była taka słaba, obolała. Dlaczego? Ból jednak przypomniał jej o czymś.

- Dziecko... Gdzie jest dziecko? - wyszeptła zduszonym głosem. - O Boże...

- Z dzieckiem wszystko w porządku.

Raul podniósł się z fotela i usiadł przy niej, na łóżku. Czują jego kojący, ciepły dotyk na twarzy, ramionach, we włosach.

- Mamy córkę, Alice. Przypominasz sobie? Jest piękna i zdrowa. Nic jej nie grozi.

- Gdzie ona jest? - spytała podejrzliwie.

- Gdzie ma być? Śpi. Jest druga na ranem. Ależ nam stracha napędziłaś! Nie sposób się przy tobie nudzić.

Jej mąż chyba znowu zaczął żartować, ale ona nie miała na to ochoty. Była przerażona faktem, że nie pamięta, co się działo przez ostatnie... Właściwie co? Dni, godziny?

- Raul... - szepnęła błagalnie.

Wtedy zorientowała się, że on płacze. Nie widziała go dobrze po ciemku, ale nie mogła się mylić. Była wstrząśnięta. Raul i płacz? Raul był symbolem siły, zaradności, witalności i humoru.

- Miałaś jakiś wstrząs, Alice, ale nie potrafię powtórzyć tej kretyńskiej nazwy. Bali się, czy nie wpadniesz w delirium. Miałaś też krwotok, ale nieduży i nie był tak niebezpieczny jak tamto. Nie wzięli cię do szpitala tylko dlatego, że ruszanie cię było zbyt ryzykowne. Robert sprowadził tu jakiegoś profesora z kliniki. To był trudny poród dla twojego serca.

- Nic nie pamiętam. Kiedy to się stało?

- Dwa dni temu. Alice, myślałem już... Z Rebeką zaczęło się podobnie...

Łkała prawie jak dziecko, ale Ala poczuła przyływ sił. Przynajmniej na tyle, by wyciągnąć rękę i przygarnąć do siebie jego głowę.

- Przecież wróciłam. Kazał mi wrócić do ciebie - szepnęła, zanim zdołała się powstrzymać.

- Kto? - spytał, początkowo zdumiony, ale niemal w tym samym momencie zamilkł.

Chciał chyba unieść głowę i spojrzeć jej w oczy, chciał coś dodać, ale przygarnęła go mocniej do siebie.

- Dziecko na pewno żyje? - spytała, ale nie dlatego, że w to wątpiła.

Chciała rozmawiać już o czym innym, niż tłumaczyć mu swoje wcześniejsze słowa.

Zrozumiał to, jak zawsze zresztą.

- Tak, Alice. Zobaczysz ją rano, jest pod dobrą opieką. Czasami odyskiwałaś przytomność, pamiętasz to?

Nie pamiętała. Co innego ją teraz zaniepokoiło.

- Czy coś mówiłam? - spytała.

- Tym razem nic godnego uwagi. - Raul próbował odzyskać dawny animusz. - W każdym razie nie pytałaś o nikogo ani o nic. Teraz już mówisz sensownie. Teraz już będzie dobrze.

Chciała wiedzieć, czy nie wymieniała wtedy imienia Waltera, ale wolała już nie drążyć sprawy i nie narażać Raula na dodatkowe rozterki.

- W dodatku ciężko zniosłaś śmierć Nicole, od końca maja żyłaś w żałobie po niej, Było ci trudno, Alice... - Przez moment bawił się jej włosami, tak jak dawniej. - Pamiętasz, że nadałaś naszej córce imię Nicole?

Wtedy nie wytrzymała siły wspomnienia, przekonana, że nie było to przywidzenie, że to zdarzyło się naprawdę.

- Widziałam Nicole przy moim łóżku - powiedziała cicho, niemal bez tchu.

Dotknął jej czoła, jakby w obawie, czy nie wraca gorączka, czy jej stan się pogarsza.

- Naprawdę - zapewniła go skwapliwie. - Podszedłeś do mnie z dzieckiem i wtedy ją zobaczyłam... obok ciebie.

- To niemożliwe, kochanie - odparł wreszcie po dłuższej chwili, gdy już przetrwał jej słowa. - To był początek twojej choroby. Albo sen.

Nie podjęła już dyskusji na ten temat.

Rozdział 108

Obaj panowie Matzer przybyli wraz z młodym pokoleniem Matzerów w przeddzień Wigilii, przy czym Joachim miał taką minę, jakby objechał kulę ziemską w towarzystwie stada dzikich zwierząt. Był absolutnie przekonany, że bez pomocy syna nie dowiozłby dzieci na miejsce żywych i zdrowych, a przynajmniej sam przypląciłby to ciężkim załamaniem nerwowym.

- Odwykłem jednak od dzieci. Za stary już jestem - gderał na paryskim dworcu, kątem oka obserwując jednak z zadowoleniem powitanie Roberta z dziećmi.

Nie zauważył żadnego skrępowania. Dzieciaki dosłownie wisały na ojcu tak, że przez dłuższą chwilę nie mógł się nawet wyprostować. Nie widzieli się prawie półtora roku i kiedy wreszcie mógł przyjrzeć się całej gromadce, zobaczył ze wzruszeniem, że bardzo wyrosli, że się zmienili. Karol za cztery miesiące miał skończyć trzynaście lat i był już naprawdę dużym chłopakiem, wysokim jak na swój wiek, wysportowanym i bardzo bystrym. Podobieństwo do Olafa było już widoczne, ale nie jakieś dramatycznie uderzające. Nie miało to zresztą dla Roberta znaczenia. „Dla Barbary pewnie tak” - pomyślał.

Bliznięta miały skończyć w lutym jedenaście lat, przy czym Ula wyglądała już jak panienka, znacznie dojrzalej od brata. Była śliczna i po dawnemu pewna siebie. Widać było, że jej rywalizacja, a właściwie wojna ze starszym bratem nie należy do przeszłości. Nadal skakali sobie do oczu. Już na dworcu pokłócili się dwa razy.

- Nie zliczę, ile było kłótni po drodze - skomentował kwaśno doktor Joachim.

Paweł bardzo z kolei wyrósł, był za to chudy niczym szczapa, ale miał w sobie coś niesłychanie ujmującego i zapowiadał się na przystojniaka z tymi swoimi łagodnymi, uwodzicielsko wręcz pięknymi, brązowymi oczami ojca i burzą kędzierzawych loków na głowie. Czasy, gdy należało się obawiać o jego rozwój fizyczny i intelektualny, należały już szczęśliwie do przeszłości. Od września uczęszczał do tej samej szkoły co Karol i z pomocą starszego brata jakoś dawał sobie radę z innymi chłopakami.

- Gdzie jest nasza siostra? - zapytał Karol, gdy tylko zdobyli się na

jakąkolwiek wymianę słów.

Robert przyjął to pytanie z radością i kolejnym wzruszeniem. Popatrzył z wdzięcznością na najstarszego chłopca.

- Czeka na nas w domu - odparł. - Pomyślałem, że tu, na dworcu, chcę powitać was sam.

Ruszyli wreszcie w kierunku taksówek, chociaż Joachim od razu zaznaczył, że lepiej wynająć furmankę, aby zmieścić wszystko i wszystkich.

- Powiedz, co słyhać u mojej najmłodszej wnuczki? - spytał Roberta po drodze. - Jak się czuje Ala?

Wiedział o narodzinach małej Nicole Emilii, natomiast ani on, ani nikt w Zaborowie nie został do tej pory poinformowany o kryzysie, jaki miał miejsce po porodzie. Ala zabroniła o tym pisać i chciała, aby poczekać z tym, aż ojciec i Janek przyjadą do Paryża. Robert uznał słuszność jej racji. Poza tym pomiędzy narodzinami Nicole Emilii a przyjazdem Matzerów do Paryża istniała różnica zaledwie dziesięciu dni, zatem nie było potrzeby, a po prawdzie także czasu, informować o chorobie Ali. Wystarczył telegram o tym, że dziecko jest już na świecie.

- Pojedziemy do nich jutro, sam zobaczysz - odparł Robert.

Wigilia bowiem z oczywistych względów miała mieć miejsce w domu państwa Renet.

- Wiem, kiedy tam pojedziemy. Pytam, czy wszystko w porządku.

- Ala jeszcze większość czasu spędza w łóżku, ale niewykluczone, że jutro wstanie.

- Nie powinna tyle leżeć. To niewskazane. Przypominam, że proste, pracujące kobiety zaczynają chodzić już parę godzin po porodzie i szybciej dzięki temu wracają do zdrowia, wcześniej niż jaśnie panie.

- Moja siostra nie jest i nigdy nie była jaśnie panią. Miała komplikacje po porodzie, wstrząs, zapaść i krwotok. Zachodziła nawet obawa, że...

- Na litość boską! Dopiero teraz się o tym dowiaduję? - krzyknął starszy doktor Matzer.

- A co niby byś zrobił dwa tysiące kilometrów stąd? - Jaś przyszedł bratu z pomocą. - Już tu jesteś, więc nie narzekaj, szanowny ojcze.

Mówił tak, jednak też był przerażony wiadomościami. Ciarki mu przeszły po plecach na myśl o tym, co musiało się dzieć z siostrą i co jej groziło. W dodatku pół roku po śmierci Nicole.

- Powinna była rodzić to dziecko w szpitalu, nie w domu. To wielkie miasto - zżymał się doktor Joachim. - Jest delikatnej budowy, ma słabsze serce. Jeszcze jako młoda dziewczyna cierpiała na bóle głowy i nigdy nie udało mi się nakłonić jej do pójścia do dobrego lekarza. Ten jej tutejszy doktor to jakiś dureń.

- Nikt nie mógł przypuszczać, że coś takiego się zdarzy! Ciąża przebiegała prawidłowo. Doktor Leclerc jest dobrym specjalistą. Sam dobrze wiesz po tylu latach pracy, że każdy poród to ryzyko. W domu miała zresztą doskonałe warunki i dobrą opiekę. No i na koniec jeszcze jedno: nie chciała nawet słyszeć o szpitalu. Zresztą wszystko dobrze się skończyło - klarował Robert, gdy już wypakowywali się pod domem.

- Ojcu nawet nie próbuj tłumaczyć - skomentował Janek. - On od razu pozamykałby nas wszystkich w szpitalach, tak na wszelki wypadek, prewencyjnie.

Tak dogadując sobie, jak za dawnych lat, weszli do domu. Na spotkanie wyszła im Josephine i Sylwia. Z tyłu, o kulach, stał mąż Josephine, Pierre, który akurat dziś skończył wykonywać jakiś mebel do pokoju dziewczynki.

Na moment wszyscy zamilkli, onieśmieleni, przejęci powagą chwili. Robert, który od dawna planował, jak będzie wyglądać spotkanie jego dzieci i co ma powiedzieć, miał w tym momencie pustkę w głowie. A jednak to do jego obowiązków należało przedstawienie sobie nawzajem potomstwa. Ileż to razy marzył o tym spotkaniu! Na ile sposobów wyobrażał je sobie! Niestety zabrakło teraz Nicole i Ali, a one były ważnym elementem tego układanego od dwóch lat scenariusza.

- Sylwio - powiedział trochę oficjalnie i sztywno - to właśnie twoje rodzeństwo: Urszula, Paweł i Karol. A to wasza młodsza siostrzyczka Sylwia.

- Nie bądź taki poważny jak siedem sakramentów - roześmiał się Janek. - Tylko wystraszyłeś dzieciaki. Zaraz pouciekają.

- Nieprawda - oburzył się Karol. - A poza tym nie jestem dzieciakiem.

Wystąpił śmiało naprzód i podał rękę dziewczynce.

- Jestem twoim bratem. Nigdy mnie nie widziałas, ale ja o tobie od dawna wiedziałem.

- Ja też - dodała uprzejmie Ula, lecz spojrzenie miała dziwne.

- Ciocia mi o was dużo opowiadała - odparła Sylwia i po raz pierwszy się uśmiechnęła.

- Przecież my cię już widzieliśmy - odezwał się nagle Paweł. - Biegałaś z nami przez chwilę w takim dużym parku, gdy przyjechaliśmy tu poprzednio. To było dawno temu, ale ja cię pamiętam. Ty byłaś wtedy bardzo mała.

„Rzeczywiście” - olśniło Roberta, bo przypomniał sobie teraz awanturę, jaką miał wtedy z Alą z powodu tamtego niespodziewanego spotkania w Ogrodzie Luksemburskim. Potem tyle się działo, że ta sprawa, ten epizod całkowicie wyleciał mu z głowy. Aż do teraz. W dodatku przypomniało je sobie to dziecko, które uważał za najmniej bystre z całej czwórki. Zapragnął uściskać syna i zrobił to, a całkiem ośmielony Paweł potrząsał już małą rączką Sylwii.

Karol, zawstydzony, że całe wydarzenie przypomniał młodszy brat, przejął inicjatywę rozmowy z dziewczynką i wydawało się, że wszystko jest na najlepszej drodze. Po obiedzie dzieciaki zajęły się sobą, podekscytowane perspektywą spędzenia jutrzejszego wigilijnego wieczoru w domu wujostwa Renet, a Sylwia dźwięcznym głosem opowiadała im o najmłodszej siostrzyczce, ich kuzyneczce, i o tym, że Ralf i Alan też na nich czekają. Oczywiście cała trójka pamiętała tamtych dwóch chłopców, dlatego teraz, zwłaszcza Karol i Paweł, zadawała pytania na ich temat. Sylwia, przygotowywana do tego przez Roberta, na ile tylko starczyło mu czasu, próbowała mówić po polsku, choć z nie najlepszym jeszcze skutkiem. Znacznie lepiej wyglądał francuski w wykonaniu obu chłopców. Nie była to płynna rozmowa, umożliwiała jednak porozumienie. Widocznie, jak pomyślał Robert, ta katolicka szkoła, do której obaj uczęszczali w Krakowie, miała nie najgorszy poziom. Najmniej mówiła Ula i Robert, obserwując dziewczynkę, zastanawiał się, czy wynikało to jedynie ze słabej znajomości języka. Z tego, co już wcześniej słyszał od Janka, dziewczynka nie zagrzała miejsca w żadnej szkole, bo ani zakonnice, ani świecka szkoła nie potrafiły jej okiełznać i zmusić do nauki. Miała zatem prywatną nauczycielkę, słono zresztą opłacaną z pieniędzy wysyłanych przez Roberta.

- Będzie dobrze - skomentował Janek, obserwując dzieci z salonu, gdzie siedzieli we trzech i rozmawiali.

- O tym marzyłem - odparł Robert, ale wolał nie dodawać, że pragnął, aby dzieci, które przyjechały z Polski, poznały także Nicole.

- Radzisz sobie, jak widzę, całkiem nieźle - zauważył doktor Joachim. -

Dobrze, że domem zajęła się ta młoda kobieta, która już tu kiedyś pracowała. Od razu wszystko ma ręce i nogi.

- Nie bardzo - odparł Robert i znowu usłyszeli smutek w jego głosie. - Bez Nicole to nigdy nie będzie prawdziwy dom. Josephine jest prawdziwym skarbem, ale nie zastąpi...

Popatrzył na nieruchome twarze ojca i brata, po czym, starając się stłumić emocje, dodał:

- Jeszcze poprzednie święta spędziliśmy razem. Była tu, śmiała się z dowcipów Raula, iskrzyła jak brylant. Miała w sobie tyle kolorów, co tęcza. Nawet w tych ostatnich jej dniach, nawet gdy nie opuszczała już pokoju, i tak wypełniała każdy kąt tego domu. Nadal tu jest, czuję czasem jej obecność. Ala także dostrzegała obecność Waltera, ale nikt jej nie wierzył. Każdy myślał, że coś było nie tak z jej głową. A tymczasem to prawda. Jednak to żadne pocieszenie, skoro i tak wiem, że odeszła na wieczność.

- Wieczność może być różna, mój synu - odezwał się łagodnie doktor Joachim.

- Mówisz jak ten ksiądz, który tu do niej przychodził. - Robert uśmiechnął się z wysiłkiem.

- *À propos* księdza - Joachim postanowił od razu podjąć kolejny trudny temat - dobrze by było, aby dzieci poszły na mszę w Boże Narodzenie. Barbara zawsze o to dbała.

- Nie ma problemu - odparł Robert obojętnie, zajęty swoimi myślami. - W zeszłym roku byliśmy tu zresztą wszyscy na nocnej mszy, takiej jak pasterka w Polsce. I to był pomysł Nicole.

Joachim i Janek spojrzeli na siebie zaskoczeni, co widząc, Robert uśmiechnął się w duchu.

- Taka właśnie była kobieta, którą kochałem - mówił dalej. - Namiętna, wykształcona, mądra, piękna. Czy chodząc co niedziela do kościoła, pamiętacie czytania mszalne? Czytacie Biblię? A ona znała na pamięć wiele psalmów. Nawet ja muszę przyznać, że niektóre są bardzo piękne. Zwłaszcza w jej ustach. Nie dziwcie się więc, że odczuwam wciąż tak silnie pustkę, jaką po sobie pozostawiła.

Joachim przemógł się wtedy, by powiedzieć to, co całą drogę leżało mu na sercu. Nie miał zbyt wielkiej nadziei, a teraz, po słowach syna, stracił ją niemal zupełnie, ale chciał być pewien, że chociaż spróbował - choćby dla

spokoju sumienia.

- W Zaborowie też wieje smutkiem i pustką, mój synu. Może gdybyś...

- Nie, ojciec - odparł spokojnie, cicho, ale zdecydowanie. - Nie mówmy o tym więcej. Nigdy nie wrócę do Barbary.

Ani ojciec, ani Janek nie podejmowali więcej tej kwestii.

Późnym wieczorem postanowiono zagonić wreszcie dzieci do łóżek, tym bardziej że troje z nich miało za sobą długą podróż.

- Ja sam ledwo żyję, a te dzieciaki są gotowe szaleć całą noc - lamentował doktor Matzer.

- Niech się pan nie przejmuje, zaraz wszystkie będą w łóżkach - zawołała ze śmiechem Josephine.

- Chyba anieli panią tu zesłali. Mamy kilka kobiet w rodzinie, ale tak się złożyło, że żadna nie może tu teraz być i zająć się tymi urwisami.

- Zaraz wszystkiemu zaradzę.

- Bardzo długo musi tu pani codziennie pracować, jak widzę.

- Nie tak długo. Dzisiaj jest wyjątkowa sprawa, bo panowie przyjechali, ale to żaden problem dla mnie. Mieszkamy tu niedaleko z mężem, na sąsiedniej ulicy. W każdej chwili mogę tu przyjść i wrócić potem do domu.

Josephine rozlokowała sprawnie całe towarzystwo po pokojach. Pomogła też dzieciom tego pierwszego wieczora zagospodarować się i położyć do łóżek, chociaż chłopcy dumnie odrzucali wszelką ofertę pomocy.

- Umyjemy się sami, nie jesteśmy już dziećmi. Ja przynajmniej nie będę się przed panią rozbierał - oświadczył Karol, czym ubawił ją do łez.

- Nie będę nalegać, młody człowieku - odparła.

Dziewczynki dostały wspólny pokój i nie stwarzały żadnych problemów, dlatego Josephine spędziła u nich mało czasu.

Gdy zostały same, Sylwia podniosła się ze swojego łóżeczka i podbiegła do łóżka siostry. Marzyła o tej chwili, od kiedy zobaczyła Urszulkę w drzwiach domu. Polubiła obu braci, bo byli bardzo mili i przyjaźni, ale to perspektywa kontaktów, zabaw i rozmów z siostrą najbardziej ją cieszyła. Teraz była okazja, aby to wyrazić, gdy zostały same. Objęła bez słowa Ulę i już układała w główce jakieś polskie słowa, gdy nagle poczuła silny ból. Ula szarpnęła ją za włosy, a potem z całej siły uszczypnęła w przedramię. Wystraszona Sylwia nawet nie ośmieliła się krzyknąć. Była kompletnie oszołomiona, bo nikt nigdy nie potraktował jej surowo ani tym bardziej

brutalnie. Patrzyła, przerażona, na pełną zaciętej złości twarz przyrodniej siostry.

- Zabraniam ci mówić do mnie, gdy zostaniemy same - mówiła Ula całkiem poprawną francuszczyzną. - Jeśli jeszcze raz mnie dotkniesz, dostaniesz ode mnie straszne lanie. Jeśli powiesz o tym ojcu albo komu innemu, uduszę cię w nocy poduszką. Pamiętaj, że cię nienawidzę. Rozumiesz mnie? Zapamiętałaś, głupi bękarcie?

Oniemiała ze strachu i bólu Sylwia kiwnęła tylko główką. Zapamiętała... na wiele długich lat.

Rozdział 109

- Co ty tu robisz?! Natychmiast do łóżka! - takie były pierwsze powitalne słowa doktora Joachima do córki, gdy zobaczył ją następnego dnia w jadalni jej domu.

Zgodnie z umową przyszedli na wieczorną kolację wigilijną i zastali Alę ustawiającą wraz z Valerie i Nancy potrawy na stole.

- Mówiłam, proszę pana, mówiłam, ale nasza pani nikogo nie chce słuchać. - Valerie natychmiast skwapliwie poparła słowa doktora.

- Dajcie już spokój. Leżę codziennie całymi godzinami. - Ala tylko machnęła ręką i podeszła do ojca, czule go witając.

- Dlaczego nie dbasz o siebie? Dlaczego nie słuchasz dobrych rad? - poskarżył się doktor, obejmując córkę.

- Zawsze byłam krnąbrna i zuchwała. Zawsze mieliście ze mną kłopoty. Dlaczego teraz miałoby być inaczej? Za późno na zmiany, kochany ojczu.

- Pięknie wyglądasz, tylko wyszczuplałaś, odkąd widziałem cię ostatnio - odezwał się Jaś, całując siostrę na powitanie. - Obawiam się, że tym razem muszę wyjątkowo poprzeć ojczulka. Powinnaś jeszcze leżeć w łóżku.

Ala chciała zaprzeczyć, ale w tym momencie do rozmowy wtrącił się Raul, który, obejmując żonę w pasie gestem pełnym zmysłowej miłości, mrugnął do pozostałych i rzekł:

- Na mnie nie patrzcie z taką pretensją! Ja najchętniej widziałbym ją w łóżku od rana do nocy i od nocy do rana.

- Raul - syknęła Ala ostrzegawczo i zaczerwieńnięła się po uszy.

Obecni w salonie, nie wyłączając służby, roześmiali się głośno, z wyjątkiem Ali i Joachima, który zawsze przy podobnych rozmowach czuł się zażenowany.

- No to widzę, wszystko u was po staremu - rzekł wesoło Jaś.

- Nie do końca, proszę pana. Pojawiło się coś nowego - odezwała się Nancy, wnosząc w objęciach małe zawiniątko.

- To mnie akurat nie dziwi po tym, co przed chwilą usłyszałem - odparł Jaś, ale nie rozwijał już tej myśli, bo do jadalni wślizgnęła się cała gromadka dzieci, a poza tym sam wziął z rąk oddanej piastunki swoją małą siostrzenicę.

Miała zamknięte oczka, bo spała, a była tak przy tym rozkoszna i słodka, że wszyscy naraz zaczęli rozplływać się w zachwycie.

- To kochane dziecko. - Nancy nie mogła się nachwalić, a mówiła już dobrze po francusku. - Śpi, je i prawie nigdy nie płacze.

- Tak jak Melanie i Sylwia - dodała Ala, a pozostali przez chwilę w napięciu na nią patrzyli, ale ona z uśmiechem przejęła dziecko od brata i podała je ojcu.

- Nie wiem, jaka była w tym czasie Sylwia - odparł dość swobodnie Robert - ale mogę potwierdzić słowa mojej siostry co do Melanie.

Przez moment znowu wszyscy popatrzyli uważnie na Alę, lecz nie zauważyli żadnej niepokojącej zmiany na jej twarzy. A zatem można już było rozmawiać swobodnie. Jednak w tym momencie niespodziewanie przemówiła Urszulka:

- A ja, jaka byłam w tym wieku? - spytała przymilnie, obejmując swojego ojca. - Mnie pamiętasz?

- Oczywiście. - Robert z miłością pogładził włosy starszej córki. - Byłem przy tobie, gdy się urodziłaś, i byłem przy narodzinach twoich braci. Muszę przyznać, moja mała, że ty jednak dałaś nam do wiwatu. Nie byłaś takim aniołkiem.

- Podobnie jak Ralf i Alan - rzekła Nancy. - Pamięta pan, panie Raulu, co to była za kanonada wrzasków?

Tak od wspomnień przeszli do rzeczywistości i wkrótce wszyscy zasiedli do uroczystej kolacji. Nancy razem z nimi, a reszta służby dostała wolne aż do następnego dnia, więc mogła udać się do swoich rodzin. Doktorowi Joachimowi nie do końca się to podobało, obawiał się bowiem, czy Ala nie zechce pomagać czarnoskórej opiekunce w gospodarstwie, jednak nie śmiał głośno wtrącać się do spraw córki i zięcia.

- Proszę się nie obawiać, panie doktorze - zapewniła go poza tym Nancy, tak jakby czytała w jego myślach. - Nie pozwolę, aby pani Alice stanęła teraz przy gorących garach. Wprawdzie czuje się znacznie lepiej niż jeszcze tydzień temu, ale musi wydobrzeć do końca.

- Powiedźcie, co słyhać w Polsce? - spytała Ala, która od czasu pobytu w kraju podczas wojny z bolszewikami starała się być na bieżąco ze sprawami drugiej swojej ojczyzny. Zaniedbała to wprawdzie w ciągu ostatnich miesięcy, szczęśliwie nic złego się w tym czasie nie zdarzyło.

W ostatnich dniach w ogóle nie miała do tego głowy.

Chciała w ten sposób jako pani domu zagaic rozmowę, która nie dotykałaby już wspomnień. Nie oczekiwała jednak żadnej niezwykłej odpowiedzi, toteż zdumiała ją i zaniepokoiła wymiana spojrzeń między mężczyznami.

- Co się stało? - spytała, blednac. - Znowu wojna?

- Niewiele brakowało, jak twierdzą niektórzy - odparł z westchnieniem jej ojciec. - Mieliśmy w tych dniach poważny kryzys. Prezydent został zabity w zamachu.

- Jaki prezydent? - Ala nie zrozumiała i patrzyła zdumiona na ojca. - To Polska ma prezydenta?

- Oczywiście, przecież to republika - odparł pobłaźliwie doktor i znowu zakłuła go dawna myśl, że jego córka wychowała się w obcym kraju, z dala od ojczyzny swoich przodków.

- To był pierwszy prezydent w naszym kraju, dlatego miałaś prawo nie wiedzieć - pospieszył z wyjaśnieniem Jaś. - Wybrano go dziewiątego grudnia, a tydzień potem już nie żył. Został zastrzelony w Zachęcie. Pamiętasz gmach Zachęty?

Ala nie pamiętała i słuchała, wystraszona, relacji brata i ojca o tym, co się stało. Co stało się w kraju, w którym wierzone w cud nad Wisłą.

- Po prawdzie Narutowicz nie powinien był zostać prezydentem - dodał z westchnieniem doktor Joachim. - Wybrano go w sposób urągający wszelkim zasadom, w wyniku zakulisowych przetargów i intryg. Nie powinien był przyjmować urzędu. Mimo to nic nie usprawiedliwia zabójstwa. A gdybyś, moje dziecko, widziała, co się działo w Warszawie w dniu zaprzysiężenia!

- Jest już nowy prezydent. Ponieważ dotychczasowy główny faworyt zrezygnował w takiej sytuacji z objęcia funkcji, głową państwa został Wojciechowski. Moim zdaniem Zamoyski nadawał się do tego dużo lepiej i naprawdę zasłużył na ów urząd. Tak zresztą myślało, i nadal myśli, wielu ludzi. Niestety polityka to śmierdząca rzecz.

- Jak wszędzie - dodał Raul.

- Dlaczego nie wybrano po prostu dotychczasowego Naczelnika Państwa? - spytała Ala, sięgając pamięcią do ostatniego swego pobytu w Polsce.

- Piłsudskiego?

- No, chyba tak, tak. Chyba zasłużył za tamto zwycięstwo.

- Spytaj swojego brata. To jego bożyszcze.

- Nie chciał - odparł Janek, ignorując prowokacyjne słowa ojca. - To człowiek czynu. Co miałby do roboty jako prezydent? Przyjmować gości? Wręczać ordery? Grzecznie wykonywać polecenia kłóćącego się zjadle sejmu? Nasza obecna konstytucja pozwala głowie państwa na niewiele więcej.

- Piłsudski ma swoje zasługi, ale jest przeciwnikiem demokracji parlamentarnej, która winna być wytyczną naszej polityki wewnętrznej. Fakt, że nie funkcjonuje to jeszcze najlepiej w naszym świeżo odbudowanym kraju, nie daje jeszcze prawa, aby przeciwko takiemu ustrojowi występować. Nie można krępować władzy ustawodawczej, trzeba dać jej więcej czasu, aby zaczęła lepiej funkcjonować.

- Nie mamy tego czasu. Straciliśmy sto dwadzieścia trzy lata, lata, gdy świat poszedł zdecydowanie do przodu. Potrzebujemy silnej władzy wykonawczej i faktycznej władzy prezydenta. Nie możemy sobie pozwolić na malowanego króla i uczącego się dopiero rządzenia parlamentu.

- I tak, jak widzicie, wyglądają rozmowy w naszym kraju, nawet w gronie rodzinnym - podsumował doktor, zwracając się do pozostałych.

- Jak niemal wszędzie - oznajmił Raul i zwrócił uwagę na onieśmieloną gromadę dzieci, która rada była innym rozmowom i zabawie.

Zrozumieli to też pozostali, zmieniono więc temat, a wkrótce przystąpiono do wymiany prezentów.

Około jedenastej Joachim nieśmiało zasugerował wyprawę na mszę. Rozmowę z Robertem w tej sprawie miał już za sobą, nie był jednak pewien, jak zareaguje reszta. Obyło się jednak bez zbędnych komentarzy, Zauważył za to, że oczy Ali i Raula zasnuły się jakby mgłą wspomnienia, wiedział jednak, w czym rzecz.

- Wiem, że w zeszłym roku byliście w kościele razem - podpowiedział im cicho i spokojnie, aby zaoszczędzić dalszych trudnych wspomnień. Trudnych, choćby ze względu na obecną przy stole Sylwię. Dziewczynka i bez tego była od rana dziwnie zgaszona i smutna. Wszyscy to zauważyli i wszyscy kładli to na karb wspomnień z zeszłorocznych świąt z matką. W każdym razie z oczu Sylwii zniknął wyraz ożywienia i widocznej jeszcze wczoraj radości z powodu przyjazdu przyrodniego rodzeństwa.

Ala, widząc to, posadziła przy sobie dziewczynkę i tuliła ją do siebie przez całą kolację, czasami mając niemiłe wrażenie, że jej starsza bratanica obserwuje to z ledwo dostrzegalnym, jednak złośliwym wyrazem twarzy.

- Ty oczywiście nigdzie nie wyjdiesz - zaznaczył doktor, patrząc na córkę surowo i znowu zapominając, że obok siedzi jej mąż, który też ma w tej sprawie coś do powiedzenia.

- Oczywiście, drogi ojcze. Twoja mała dziewczynka będzie ci tym razem posłuszna - odparła Ala, wymieniając z pozostałymi rozbawione spojrzenia.

- Nasze dzieciaki są przyzwyczajone do chodzenia na pasterkę. Nie wiem, jak to jest jednak z chłopcami i Sylwią - dodał zafrasowany doktor.

Odpowiedź zięcia wprawiła go w konsternację.

- Nasze dzieciaki również były w zeszłym roku na nocnej mszy. Z pewnością dadzą radę i w tym roku. Do której Bożej świątyni się udamy? - spytał wesoło.

- Idźcie do Saint-Germain-des-Prés - odpowiedziała szybko Ala i od razu serce mocno jej zabiło.

- Dlaczego akurat tam?

- Bo to piękny kościół, w dodatku niedaleko od nas.

Chciała jeszcze z lekką złośliwością dodać, że nawet Robertowi świątynia ta powinna się spodobać, zaniechała jednak wygłoszenia tego otwarcie. Wiedziała, że Robert będzie towarzyszył pozostałym jedynie z obowiązku. Skoro do kościoła szły jego dzieci, szedł i on. Nic poza tym. Raul może również nie był specjalnie religijny, jednak ze względu na synów, żonę i córeczkę był gotów na kompromis w tej, i nie tylko w tej, sprawie. Chociaż przy różnych okazjach nadal żartował ze spraw *sacrum*, nie robił jednak żadnych problemów, jeśli chodziło o praktyki kościelne. Aczkolwiek bez przesady - jak mawiał.

Kościół Saint-Germain-des-Prés nie zrobił na Robercie większego wrażenia estetycznego.

Uznał, że jest zbyt przeładowany różnymi elementami zdobiącymi go, a dodatku upiększenia te dodano stosunkowo niedawno. We mszy udziału nie brał, był tylko biernym widzem z konieczności. Niewiele też docierało do niego, jeśli chodzi o liturgię. Myślami był znowu w przeszłości, w tej sprzed roku, gdy obok niego w ławce siedziała Nicole, a on cały czas umierał ze strachu, czy ukochana kobieta da radę przetrzymać mszę. To już rok, a on

czasami miał wrażenie, że było to przed chwilą, innym zaś razem, że dwadzieścia lat temu.

„Czy to możliwe, że będę żył, dajmy na to, jeszcze dwadzieścia, a może i trzydzieści lat bez niej? A potem? Co będzie potem? Czy jest coś potem? Nawet jeśli jest, to przecież nikt nie pozwoli nam być tam razem. Wolni mogliśmy być tylko tu. Tu przynajmniej wolno nam było wybrać: potępienie i szczęście lub rezygnacja z siebie i marne szanse na zbawienie. Kochanie moje, czy jeszcze się zobaczymy? Choćby na moment, na ułamek sekundy?”

Straszna była ta chwila, gdy zamykano wieko trumny, gdy widział ją ostatni raz. Jeszcze i teraz na wspomnienie tamtego momentu przymknął ze zgrozą oczy.

- Papa - szepnęła Sylwia i dotknęła jego ramienia.

Do tej pory bała się odezwać do ojca przez całą drogę. Czowała bowiem na sobie uparty wzrok starszej siostry. Tylko ona widziała we wzroku Urszuli nienawiść i okrucieństwo. Reszta rodziny nie była tego świadoma, Ula bowiem, jeśli chciała, potrafiła kamuflować przed otoczeniem swoje prawdziwe uczucia i intencje.

- Tak, aniołku? - szepnął i przygarnął dziewczynkę ramieniem, sądząc, że jest już zmęczona i senna.

- Byłam tu już - szepnęła Sylwia.

- Byłaś już w tym kościele? Kiedy, mój skarbie?

- Byłam tu kiedyś z mamą - odparła dziewczynka i targnął nią krótki, urywany szloch.

- Byłaś tu z mamą? - Robert objął dziecko, ale nadal nie do końca rozumiał.

- Wtedy jeszcze mama mogła chodzić. Przyjechałyśmy tu na spacer i weszłyśmy do tego kościoła. A potem ten ksiądz pomógł nam wrócić do domu. Mama nie miała siły i ten ksiądz nam pomógł.

- Ksiądz? - powtórzył machinalnie.

Nadal był zaskoczony słowami córeczki.

- Tak. Ten sam, który później przychodził do mamy do domu.

Chciała jeszcze dodać, że ów ksiądz modlił się wtedy nad matką w ostatni wieczór jej życia, ale przerosło to siły małej dziewczynki. Zacisnęła usta małą piąstką, aby się nie rozplakać.

- Nie płacz, Sylwio. Teraz masz nas - szepnął do niej Karol, który

siedział u drugiego boku ojca i słyszał całą rozmowę. Jednocześnie Paweł, zajmujący miejsce z drugiej strony dziewczynki, objął ją mocno za szyję.

Robert nie wiedział już, co poruszyło go w tym momencie bardziej – słowa córeczki czy gest obu chłopców. Z trudem powtrzymał łzy napływające mu do oczu, bo nie miałyby nawet jak ich obetrzeć, skoro jedną ręką tulił do siebie Sylwię, a drugą ścisnął dłoń Karolka.

„Dziękuję” – pomyślał i równocześnie nie był pewien, komu dziękuje. Czy Nicole? Za to, że kiedyś przyszła z córką do tego kościoła, co wywołało w dziewczynce falę wspomnienia i dzięki temu jej bracia okazali jej zrozumienie, przyjaźń i współczucie? Miał wrażenie, że słowa Sylwii dodatkowo zbliżyły jego dzieci. To, że druga córka nie wzięła w tym udziału, kładł na karb faktu, że zajmowała miejsce trochę dalej od nich. A może podziękował Barbarze? Za to, że w końcu zgodziła się na jego spotkanie z dziećmi.

A może bezwiednie dziękował Komuś, kogo odrzucił – za łaskę, jakiej doświadczył przed momentem? Nie chciał tego teraz analizować. Kątem oka spostrzegł jednak, że jego ojciec i brat zauważyli wszystko.

Gdy wyszli z kościoła, ktoś niespodziewanie do nich podszedł.

– Jak miło pana widzieć, panie doktorze... – usłyszał Robert.

W pierwszej chwili pomyślał, że te słowa odnoszą się do jego ojca. Dopiero po chwili rozpoznał księdza Drunona.

– Witam – odparł półgłosem, nie wiedząc, jak właściwie pozdrowić duchownego. Ostatni raz widzieli się na pogrzebie Nicole.

– Widzę, że pan dzisiaj w większym gronie. – Ksiądz z uśmiechem wskazał na czworo stojących obok niego dzieci.

– Tak – odparł Robert i uśmiechnął się lekko. – Moje starsze dzieci nareszcie mogły do mnie przyjechać.

– Mówiłem przecież, aby miał pan ufność w miłosierdzie Boga.

„O, zaczyna się” – pomyślał Robert, ale ponieważ ksiądz przemówił do niego bez patosu w głosie, a raczej tonem lekkim i przyjaznym, nie najeżył się, tylko odparł spokojnie, bez cienia wrogości:

– Nie nabierze mnie ksiądz na to. Proszę nie mieć złudzeń. To, że jestem w tym miejscu, to mój obowiązek wobec dzieci. Poza tym ich matki życzyły sobie, aby dzieci uczęszczały na msze.

– Jest w panu wiele dobra – powiedział wtedy niespodziewanie

duchowny, a Robert w tym momencie przestał się uprzejmie uśmiechać.

Drunon, widząc to, podniósł żatrobliwie ręce.

- Spokojnie, panie Robercie, nie zamierzam pana na siłę nawracać. Już kiedyś zapewniłem pana o tym. Gdy pana zobaczyłem, pomyślałem sobie, że podejść. Zapadliście mi wszyscy mocno w pamięć i dobrze was wspominam. Chętnie kiedyś z panem porozmawiam, jeśli będzie miał pan na to ochotę.

„Zawsze zaczynacie od rozmów” - pomyślał z ironią Robert, nie powiedział jednak tego na głos. Podziękował zdawkowo, a w tym momencie podeszli pozostali towarzysze jego wyprawy do kościoła. Ksiądz oczywiście pamiętał Raula i jego synów, więc z zadowoleniem przyjął wiadomość, że pani Renet urodziła już córeczkę, i zaproponował, że chętnie ochrzczi dziecko. Przypomniał też sobie Janka, po raz pierwszy przywitał się ze starszym doktorem Matzerem.

- Ach, a więc panowie przyjechali z Polski - podsumował po krótkiej rozmowie. - Nie wiedziałem o tym wcześniej, że jest pan z Polski, panie Robercie. Nigdy nie było o tym mowy. To znaczy, zauważyłem po akcencie, że jest pan cudzoziemcem, ale nie potrafiłem skojarzyć, z jakiego kraju. Zatem dotyczy to także pana siostry? Ona jednak mówi jak rodowita Francuzka.

- Córka od małości wychowała się we Francji - odparł z dawną melancholią w głosie Joachim.

- No tak, z Polski - mówił dalej ksiądz, nie komentując słów doktora. - Tam wiara nadal silna...

Rozdział 110

- Cieszę się, drogie dziecko, że chociaż ty ułożyłaś sobie życie - rzekł doktor do Ali, gdy odwiedził ją w przeddzień odjazdu do Polski. - Od razu lżej mi na sercu, chociaż kiedyś marzyłem, aby moje wszystkie dzieci i wnuki mieszkały niedaleko mnie, a przynajmniej w Polsce. Tymczasem już dwoje z tych dzieci i dwie wnuczki są tak daleko. Zbyt rzadko się widzujemy, ale cóż poradzić!

- Zawsze możesz do mnie przyjechać - powiedziała Ala, kładąc głowę na jego ramieniu.

- To nie jest już takie proste - odparł ojciec. - Nigdy zresztą nie było, ale teraz jest już coraz trudniej. Starzeję się w zastraszającym tempie.

- Ty? Chyba żartujesz. Nadal jesteś bardzo przystojnym panem - zawołała żartobliwym tonem.

- Co najwyżej przystojnym, starszym panem - sprostował dobrotliwie doktor. - Całe szczęście mam co robić w Warszawie i nie usycham z nudy przy piecu. Mam jednak coraz mniej sił na podróże. Obiecuj, że następnym razem to wy przyjedziecie do mnie. Weź ze sobą Raula, córeczkę... - Zamyślił się i dodał: - Może nawet Robert i jego dziecko przyjadą do mnie. Bardzo bym tego chciał.

- My też - odparła, patrząc na niego z troską. - Wiesz jednak, że i dla nas nie jest to już takie proste. Nie możemy pojechać do Zaborowa, nie namawiaj nas nawet na to.

- Nie mówię przecież o Zaborowie, tylko o mnie - rzekł z lekkim zniecierpliwieniem. - Przyjedźcie do mnie, do Warszawy. Warszawa jest teraz taka piękna... Zobaczysz, będzie kiedyś piękniejsza od Paryża.

- Przyjedziemy, tatusiu, obiecuję - powiedziała i pogłaskała go czule po rękawie marynarki, a on ucałował ją w odpowiedzi w czoło.

- Powiedz, kiedy zleciały te lata, gdy byłaś młodą, niefrasobliwą dziewczyną, a ja umierałem ze strachu, że stanie ci się coś złego?

- I że Raul Renet uwiedzie mnie niecnie - podpowiedziała ze śmiechem.

- No cóż, tu akurat miałem rację. W końcu przecież tak się stało.

Zobaczył ciemny rumieniec na jej twarzy i wreszcie też się roześmiał.

- No dobrze, sama widzisz, jaki się robię na starość. Zaczynam gadać

jak mój młodszy syn. Nie przejmuj się moimi głupimi żartami. Wiem przecież, że twój mąż był zawsze przyzwoitym człowiekiem i wobec ciebie nigdy nie uchybił dobrem obyczajom. Nie potrafiłem tego jednak długo zrozumieć.

Ala milczała, szukając jakiejś sensownej odpowiedzi na te słowa. Na szczęście ojciec tej odpowiedzi od niej nie oczekiwał.

- W dodatku oszalał na punkcie tej malutkiej - kontynuował, mając na myśli Raula. - Widziałem wielu zakochanych ojców, ale tego, co wyrabia twój mąż, nie zdarzyło mi się nigdzie oglądać.

- Nie pamiętasz Waltera. - Nie mogła tego nie powiedzieć. - W stosunku do Melanie był dokładnie taki sam.

Joachim skinął głową i nie odpowiedział. Nie musiał, wiedziała, o czym myślał. Ona też wróciła do tamtych dni sprzed ponad ośmiu lat - już bez dawnej dławiącej rozpacz, ale z rozrzewnieniem i tkliwością. I nie wiadomo, ile by tak siedzieli w milczeniu, niezdolni już do wypowiadania słów wielokrotnie wcześniej powtarzanych, gdyby dziecko w kołysce nie obudziło się. Nicole Emily była zbyt malutka, aby gaworzyć, nie miała jeszcze miesiąca życia. Wydawała jednak typowe dla noworodka odgłosy świadczące o tym, że tęskni do czyichś ciepłych, czułych ramion. Ala wyjęła dziecko z kołyski i utuliła.

Doktor popatrzył na obydwie ze wzruszeniem i uśmiechem.

- Rozumiem, że nadaliście jej imię Nicole - odezwał się. - Skąd jednak jej drugie imię? Czy w rodzinie Raula była jakaś Emilia? W naszej nikogo takiego nie było.

Ala przez chwilę zastanowiła się, w jaki sposób odpowiedzieć ojcu. Wreszcie postanowiła przedstawić rzecz bez żadnych niedomówień.

- Myślałam, że wiesz o tym - zaczęła. - To stare dzieje, sięgające czasów, gdy matka przekazała mi pieniądze na mój mały domek i zaczęłam samodzielnie żyć. Wtedy jeden z moich starszych kolegów, Raul Renet, bardzo mi pomógł wszystko zorganizować. Bez niego nie dałabym sobie na początku rady. Gdyby nie on, zostałabym pewnie dłużej w domu Gracji.

- Wiem - odparł ojciec. - Nie znosiłem go wtedy za to, bo byłem pewien, że gdyby nie jego pomoc w nabyciu tego domu, miałbym większe szanse, aby sprowadzić cię do Polski. W dodatku poważnie go podejrzewałem, że nie robi tego bezinteresownie.

- Wtedy naprawdę byliśmy dla siebie tylko dobrymi kolegami. Raul miał przyjaciółkę, młodszą, zdolną malarzkę o imieniu Emily, którą bardzo kochał. Byli ze sobą związani grzesznym pozamałżeńskim związkiem. Nie słyszałeś o tym? To była dość głośna sprawa. Ja i Emilka zostałyśmy przyjaciółkami, chociaż była ode mnie kilka lat starsza. Wkrótce potem zmarła na gruźlicę i po jej śmierci zaprzyjaźniłam się na dobre z Raulem. Była dla nas obojga ważną osobą. Od niej wszystko powoli się zaczęło. A Nicole... - Ali nagle głos się załamał.

- Powiedziałem już, że rozumiem, dlaczego twoje dziecko otrzymało to właśnie imię jako pierwsze - uspokoił ją łagodnie ojciec, po czym wziął z jej rąk maleństwo.

Dziewczynka otworzyła właśnie oczy i przez chwilę na niego patrzyła. Uśmiechnął się.

- Wygląda na to, że będzie do ciebie podobna - powiedział. - Moja najmłodsza wnuczka... Mam piękne wnuki, dobrze, że chociaż to się udało. Czy chłopcy Raula dobrze przyjęli wiadomość o powiększeniu rodziny? Widzę, że kochają siostrę, czy nie byli jednak zazdrośni?

- Mieli pewne obawy, zwłaszcza Alan, który w sposób szczególny zawsze mnie potrzebował. Bali się, czy nie znajdą się na drugim planie. - Ala uśmiechała się do wspomnień. - Wyjaśniliśmy im jednak, że jako synowie są nie do zastąpienia, a młodsza siostra zawsze będzie ich potrzebowała. Sama przecież wiem, jakim skarbem są starsi bracia.

Na pożegnanie, gdy już wychodził, a ona swoim zwyczajem sprawdzała, czy dobrze owinął sobie szalik, poprosiła, aby pozdrowił od niej Martę.

- Pozdrowiłabym także Basię - rzekła, całując go w policzek - ale ona nie życzy sobie tego.

- Oby Bóg sprawił, że obie jeszcze za sobą porozmawiacie - odparł ze smutkiem doktor Joachim. - Wierz mi, Zaborów nie jest już miejscem, za którym się tęskni. Twój dom, nawet w dniach smutku i żałoby, miał w sobie więcej życia i ciepła niż ta pustka, która tam teraz zagościła.

Następnego dnia, już na dworcu, Robert ujął brata pod ramię i na moment odeszli parę kroków od reszty rodziny. Pociąg już był podstawiony i bagaże zostały wniesione. To były ostatnie minuty na pożegnanie.

- Dziękuję za ugoszczenie nas - zaczął Jaś - za fantastyczne dwa tygodnie.

- To ja dziękuję, że byliście tu z nami w tych dniach. Naprawdę bałem się pierwszych świąt bez...

Janek położył mu dłoń na ramieniu, ale Robert mógł już mówić dalej.

- Oczywiście, jest tu nasza siostra. Jednak ona ma już swoją rodzinę, a teraz nie mogę jej tak absorbować. Te rozmowy z tobą do białego rana były jak najlepsza terapia. Poza tym był ojciec, no i dzieciaki... - Na moment zawahał się i dodał: - Podziękuj ode mnie Barbarze za to, że zgodziła się przysłać tu dzieci.

- To także twoje dzieci. Miałaś prawo je widzieć - odparł Jaś z wymuszonym spokojem.

- Tak, i pewnie miałem prawo wcześniej o to walczyć i zmusić ją do tego. Nie chciałem jednak prowadzić takiej wojny. Nie dlatego, że wystarczała mi do szczęścia Nicole, a reszta nie liczyła się. Po prostu nie chciałem walczyć z Bašką... Nie miałem też potem do tego sił.

- Robert... - Jaś odezwał się z wahaniem. - Ona też już nie chce walczyć i nie ma sił. Może gdybyś... Nie, poczekaj, nie przerywaj... Chodzi tylko o to, że mógłbyś sam jej to powiedzieć, choćby napisać. Sam mogłem jej dostarczyć list, gdybyś to zrobił jeszcze w domu.

- Nie - odparł Robert. - Żadnych listów, to jej własne słowa. Nie chciała czytać moich listów. Zatem niech tak zostanie. Dorośli ludzie powinni być konsekwentni.

- Konsekwencja nie zawsze jest dobrym doradcą - powiedział z westchnieniem Janek.

- Przekaż jej, że dziękuję i doceniam to, że dzieci mogły tu przyjechać. - Robert podał dłoń bratu, pozostawiając bez komentarza jego słowa. - Wiem, że nie było to dla niej łatwe. Powiedz jej, że zawsze to wiedziałem.

Rozdział 111

Karol miał osiemnaście lat, gdy rozpoczął studia w Paryżu. A zatem jego dziecięce, a potem chłopięce, marzenia, a zarazem obietnica Roberta, zostały spełnione. Od czasu, gdy jego matka pozwoliła jemu i reszcie rodzeństwa przyjechać wreszcie do ojca, minęło prawie sześć lat i odwiedzał Paryż kilkakrotnie. Barbara nie sprzeciwiała się już kolejnym wyjazdom dzieci, milcząco przystała też na ich korespondencję z Robertem. Wydawać by się mogło, że dni mrozącego krew w żyłach chłodu mają już wszyscy za sobą. Gdy najstarszy syn przygotowywał się do matury, Barbara po raz pierwszy od lat odezwała się do męża, rzecz jasna w formie listownej. Uznała, że czas to uczynić w związku z planami Karola na temat rozpoczęcia studiów za granicą. List był oficjalny w tonie, przebijała się jednak z niego tajona obawa.

On chce studiować w Zurychu, jak Ty. Chyba nie muszę tłumaczyć, dlaczego uważam ten pomysł za chybiony, za niedorzeczny, za niemożliwy. Niestety, nie zawsze ten chłopak ma ochotę mnie słuchać. Wydaje mu się niekiedy, że zjadł wszystkie rozumy. Nie mogę rzecz jasna podać mu prawdziwych argumentów na poparcie mojego sprzeciwu, zatem proszę Cię, abyś Ty to zrobił. Jeśli koniecznie chce studiować za granicą, a Ty jesteś gotów ponieść tego koszty, to niech to będzie przynajmniej jakaś uczelnia we Francji. Najlepiej Paryż. Wówczas mógłby zamieszkać w Twoim domu, a Ty miałbyś na niego oko.

Serce mi pęka na myśl, że moje dziecko wyrывa się w świat, ale potrafię go zrozumieć. Sama przecież o tym marzyłam, gdy byłam w jego wieku, a obiecałam sobie potem, że nie zabronię tego moim dzieciom, jeśli takie będzie ich pragnienie i będą ku temu możliwości. Jednak, na miłość boską, to nie może być Szwajcaria. Wy tłumacz mu, przekonaj. Ciebie posłucha.

Na Robertcie słowa żony zrobiły duże wrażenie, i to nie tylko dlatego, że po latach milczenia wreszcie napisała. Doskonale rozumiał, czego się teraz bała, i czytając list, wiedział, że podziela jej obawy. To, o czym oboje

z Barbarą myśleli, było irracjonalne i prawie niemożliwe, jednakże słowo „prawie” było tu zagadnieniem kluczowym.

Ponadto radowała go myśl, że najstarszy chłopiec, którego zawsze uważał za syna, mógłby z nim zamieszkać. Mogliby codziennie ze sobą rozmawiać, co chociaż w niewielkim stopniu wynagrodziłoby im lata rozłąki. Odpowiedział zatem żonie, że doskonale ją rozumie i uczyni, co w jego mocy, aby przekonać upartego młodego człowieka do podjęcia nauki w Paryżu, a w ostateczności w jakimś innym mieście we Francji. Nie musiał zresztą długo przekonywać. Dla Karola perspektywa zamieszkania w domu ojca była bardzo nęcąca, i to z wielu powodów.

Jesienią 1928 roku rozpoczął zatem naukę w Paryżu, a zarazem zainaugurował życie we Francji, w domu, gdzie mieszkał jego ukochany ojciec i siostra. Dwunastoletnia wtedy Sylwia była uszczęśliwiona, kochała bowiem obydwu swoich przyrodnych braci, a Karol dodatkowo dawał jej poczucie bezpieczeństwa. Sama od kilku lat uczęszczała już do szkoły i chociaż dobrze tam sobie radziła, to cieszyła ją myśl, że będzie mogła pochwalić się przed koleżankami starszym, silnym bratem. W dodatku rysowała się perspektywa, że najpóźniej za dwa lata także Paweł przyjedzie na naukę do Francji i dom będzie już na dobre zaludniony.

Plany takie nie dotyczyły Urszuli, która starym zwyczajem nie zagrzała na dłużej miejsca w żadnej szkole ani pensji dla panien. Uczyla się przeważnie w domu, dlatego nie mogło być mowy o żadnych studiach. W grę wchodziły co najwyżej okazjonalne wyjazdy do rodziny, też jednak nie za często.

W tym czasie mała Nicole Renet skończyła sześć lat i byłaby zapewne najbardziej rozpuszczonym dzieckiem w Paryżu, gdyby nie jej matka, która trzymała w domu dyscyplinę. Ala kochała córkę, bo było to urocze, dobre i pełne życia dziecko, wiedziała jednak, że nie może pozwalać jej na wszystko. W dodatku musiała jeszcze w tej sprawie upominać męża, który najchętniej nie stawiałby dziewczynce żadnych granic ani zakazów, a gdyby ta zażyczyła sobie gwiazdki z nieba, z pewnością nie zaznałby spokoju, dopóki nie spełniłby tego życzenia. Nicole Emilia była najmłodszym dzieckiem w całej rodzinie i dlatego wszyscy najchętniej psuliby ją i pozwalali na wszystko, każdy jednak liczył się z Alą.

Rodzina Renet była bez wątplenia stadłem bardzo szczęśliwym. Ala

i Raul w zgodnej opinii uchodzili za parę zakochanych w sobie ludzi, a dwaj starsi synowie Raula traktowali jego żonę jak rodzoną matkę. Obaj mieli po szesnaście lat, gdy Karol rozpoczął swoje życie w Paryżu, i obaj uczęszczali wówczas do elitarnego liceum. Znali już jednak dobrze Karola Matzera i właściwie przyjaźnili się z nim od lat. Tego lata wraz z ojcem, przybraną matką i małą siostrzyczką odbyli swoją pierwszą od lat podróż za ocean, do kraju, gdzie przyszli na świat, do ojczyzny ich biologicznej matki, do ojczyzny swoich dziadków. Wcześniej taka podróż z różnych względów była niemożliwa i stale odkładana. Wprawdzie mogli ją już odbyć kilka lat temu, była wówczas ku temu okazją. Problem w tym, że ich mała siostrzyczka miała wtedy zaledwie kilka miesięcy, a ojciec nie zamierzał zostawiać swojej ukochanej żony i córeczki samych i ruszać w daleką wyprawę tylko z chłopcami. Oni zresztą też nie chcieli. Ala była dla nich matką, małą Nicole kochali nad życie, a Ameryka wcale ich wówczas nie nęciła. Jako szesnastolatki inaczej jednak zapatrywali się już na tę sprawę, dorosli do niej i do tego, aby spojrzeć na grób ich rodzonej matki, aby stanąć oko w oko z dziadkami i rodziną tej matki. Nicole była już w takim wieku, że podróż statkiem wydawała się przedsięwzięciem do przeprowadzenia. Ala obawiała się jednak oceanu, Ameryki, nie była też żadną przygód. Nie chciała mimo to stawać w poprzek rodzinnych planów, chociaż nie raz dawała wyraz swojemu niepokoju. Raul i Robert drwili z niej niemiłosiernie, a Janek tylko im wtórował.

- Nie ma się z czego śmiać. Zapomnieliście, co się stało z Titanikiem? - pytała wystraszona i niemal nieszczęśliwa.

- Od tego czasu odbyto setki, o ile nie więcej, podróży oceanicznych - tłumaczył jej Robert, z trudem tłumiąc śmiech. - Nie mówiąc już o transportach setek tysięcy amerykańskich żołnierzy, którzy przybyli do Europy w 1918 roku. W dodatku wtedy było realne zagrożenie ze strony niemieckich u-bootów. Z tego, co wiem, niebezpieczeństwo z ich strony już ci nie grozi.

- Może jednak zdarzyć się wypadek. Jestem pewna, że na okręcie nie zaznam ani jednej chwili spokoju z obawy, że Nicole może wypaść za burtę. Dobrze wiecie, jaka jest pełna życia i jak jej wszędzie pełno. W dodatku może się nam przytrafić choroba morska albo sztorm.

- Czyż nie jest słodka i urocza? - zwrócił się Raul do Roberta i sadzając

Alę na swoich kolanach, tłumaczył jej z udaną powagą: - Gdy trafi się nam w nocy sztorm, przynajmniej będziesz mocno się mnie trzymać. Zobaczysz, ile będzie doznań przy takim bujaniu. Tak jeszcze tego nie robiłaś.

- Czy ty nie potrafisz być poważny nawet przez jedną chwilę? Twoi synowie mogli cię usłyszeć! - Ala załamała ręce, chociaż obaj mężczyźni wręcz pokładali się ze śmiechu

Nie było jednak rady. Popłynęła do Ameryki razem z Raulem, dziećmi i Nancy i z pewnością była to podróż jej życia. Środek lokomocji jej nie zachwycał. Ani przez moment nie mogła przestać myśleć o głębinach pod pokładem okrętu, jednak obojętne było się bez przykrych niespodzianek. W Ameryce spędzili całe lato. Była okazja do zwiedzenia Nowego Jorku, Waszyngtonu. Ala poznała też prezbiteriańskich pierwszych teściów Raula, którzy okazali się przyzwoitymi, miłymi ludźmi, pomimo rzeczywiście dość surowych poglądów religijnych. Chłopcy poznali dziadków i kuzynów i obiecali, że w przyszłości będą odwiedzać częściej swoją amerykańską rodzinę.

- Nie wykluczam, że jako dorośli ludzie zechcą nawet osiedlić się w Ameryce - powiedział potem Raul do Ali.

- To straszne. Nie będziesz za nimi tęsknił? - Jej samej serce ścisnęło się na taką myśl.

- Tak samo jak twój ojciec za tobą, jak twoja bratowa z Zaborowa za swoim pierwszym, a może wkrótce i drugim synem. Takie jest życie, kochanie.

- Ja nie pozwolę im na przeprowadzkę do Ameryki - oświadczyła z pełnym przekonaniem.

- Nie twierdzą z całą pewnością, że to zrobią. Muszę jednak brać to pod uwagę. Ameryka to kraj wielkich możliwości i wielu ludzi widzi tu swoją przyszłość. Sama widzisz, ile tu wygodnych, nowoczesnych rozwiązań!

- Powiedziałam tylko, że podobają mi się ich nowoczesne urządzenia sanitarne w łazienkach - droczyła się z nim, bo tak naprawdę miasta wschodniego wybrzeża, które miała okazję oglądać, naprawdę zrobiły na niej wrażenie.

Nie mogłaby jednak osiedlić się tu na stałe.

- Dzieci dorastają i wyfruwają z gniazda. Zawsze brałem to pod uwagę i dlatego wreszcie uwiodłem ciebie, aby mieć z kim spędzić stare lata - starał się jej tłumaczyć po swojemu, na w pół żartobliwie.

- Ciekawe, czy pozwolisz tak kiedyś odejść małej Nicole? - zapytała podstępnie i od razu widziała, że ten strzał był celny. Na myśl o rozstaniu z córką, która przez całe życie miała dla niego pozostać małą dziewczynką, Raul aż zmienił się na twarzy. Nie oznaczało to, że synów kochał mniej. Jednak kochał ich trochę inaczej.

Wrócili potem do Francji, do domu, i Ala z radością po raz kolejny w życiu uznała, że to jednak jej miejsce na ziemi. Zaraz potem zaczęła się nauka w szkole, przyjechał Karol i cała młodzież rozpoczęła zwykłe zajęcia. Kolejne miesiące potoczyły się szybko i intensywnie, a na wiosnę pojawił się kolejny przykry problem do rozwiązania.

Josephine poprosiła pewnego dnia Alę o pół godziny rozmowy.

- Jest problem, proszę pani - oznajmiła.

Ala od razu zrobiła się czujna i nie nastawiała się na prostą sprawę. Od jakiegoś czasu zastanawiała się nawet, czy Roberta nie łączą z całkiem jeszcze ponętną pomocą domową stosunki bardziej intymnej natury, zwłaszcza że Josephine przed rokiem owdowiała. Nie pytała jednak o nic i nie wnikała, nie miała na to dowodów i ich nie szukała. Tak tylko czasem myślała. Gdy Josephine poprosiła ją o rozmowę, Ala była pełna nie najlepszych przeczuć.

Problem, który zasygnalizowała jednak tamta, był znacznie poważniejszy.

- Mam prawie pewność, proszę pani, że nasza Sylwia ma kłopoty ze swoją starszą siostrą.

- Z Ulą? - Ala westchnęła z rezygnacją. - Z nią każdy ma jakieś problemy.

- Powiem uczciwie, proszę pani. Nie lubię, gdy panna Urszula przyjeżdża tu z wizytą. Jej obaj bracia są bardzo miłymi chłopcami, ale dziewczyna ma coś nie w porządku z głową. Przepraszam za takie słowa, ale musiałam to komuś powiedzieć, a panu doktorowi przecież nie mogę. To jego córka i zawsze tak się cieszy, biedak, gdy ją widzi.

- Jakie problemy ma pani zdaniem Sylwia ze swoją starszą siostrą? - spytała niemile dotknięta Ala, lecz w tym momencie odezwał się jej w głowie dzwonek alarmowy. Wróciło niemile, krótkie wspomnienie sprzed sześciu lat, gdy dzieci przyjechały do Roberta po raz pierwszy od momentu jego rozstania z Barbarą. Siedzieli wtedy przy wigilijnym stole i Ala tuliła

do siebie Sylwię, dziwnie smutną i osowiałą, a zarazem towarzyszyło temu złośliwe spojrzenie Urszulki. Przez moment było w tym wspomnieniu coś takiego, że ciarki przechodziły jej po plecach.

Wobec tego Ala powstrzymała się od komentarzy, tylko ze ściśniętym sercem słuchała relacji Josephine.

- Zauważyłam to już wtedy, gdy te dzieciaki przyjechały do nas po raz pierwszy. Od razu tamta, wtedy jeszcze przecież niedorośła dziewczynka wydała mi się dziwna... Taka fałszywa. Proszę nie gniewać się na mnie, przez kilka lat o tym milczałam... Coś mi jednak mówi, że dłużej nie mogę.

- Co było nie tak? - Ala zapragnęła wrócić już do swojego domu, gdzie wszystko było normalne, poukładane, gdzie wszystkim było ze sobą dobrze. Słuchanie Josephine oznaczało ponowne rozgrzebywanie tamtych spraw, które wydawały się zakończone wraz ze śmiercią Nicole. Teraz już wiedziała, że nic się nie skończyło. Wiedziała to, zanim Josephine ponownie zaczęła mówić. Musiała tego wysłuchać, chociaż czuła, że rozwiązanie tego problemu może ją przerosnąć.

- Panna Urszula była wtedy taka grzeczna, taka słodka, taka przymilna. A ja od razu pomyślałam, że jest w tym coś fałszywego. Te jej oczy... Kilka razy, gdy sądziła, że nikt na nią nie patrzy, zauważyłam jej spojrzenia rzucane na naszą Sylwunię. Proszę pani, te spojrzenia mogły zabić. O Boże.

- Przeżegnała się i po chwili mówiła dalej: - Lecz pomyślałam sobie też, że co ja tam, głupia, mogę wiedzieć. Spojrzenia nie mogą być dowodem. Po kilku dniach jednak zauważyłam coś jeszcze. Pomagałam Sylwuni zdjąć z niej w umywalni tę koronkową sukieneczkę. Zawsze pomagałam naszej małej w tej czynności, bo sukienka była tak delikatnej materii, że przy nieumiejętnym szarpnięciu mogła się porwać. I wtedy to zobaczyłam. To był duży siniak, o tu, na przedramieniu, w dodatku taki paskudny, sinoczerwony. Kto mógł jej to zrobić?

Ala poblądła i zacisnęła pięści. Gdzie ona wtedy była? Przecież Nicole powierzyła jej to dziecko.

- Spytałam wtedy Sylwunię, co to takiego. Wystraszyła się i zaczęła coś kręcić. A to, że się przewróciła, a to, że uderzyła nieumyślnie ręką w otwarte okno.

- Dlaczego nie powiedziała pani tego wtedy?

- Bo mnie błagała na wszystkie świętości. Przekonywała, że to przecież

zwykły siniak i po co robić z tego wielką sprawę. Cały czas zapewniała, że to jej nieuwaga. W końcu dałam spokój. Sama wychowałam się z dużym rodzeństwem, to wiem, że z dziećmiaki o wypadek nietrudno. Nie naliczyłaby pani siniaków i guzów na moich braciach. Niech mi jednak Bóg wybaczy! Potem już byłam czujna. Widziałam, że Sylwia nie czuła się dobrze w czasie tamtych świąt. Prawie zawsze była smutna. Gdy próbowałam ją pytać, o co chodzi, zaraz zaczynała się śmiać. Nie był to jednak prawdziwy śmiech. Udawała. Nie mogłam się w tym połapać i nawet chciałam to komuś powiedzieć. Powiedziałam mężowi, a on poradził, abym pomówiła z panem Robertem albo z panią. Jak jednak miałam to zrobić? Pani wtedy urodziła dziecko i sama omal nie umarła. A pan Robert tak się cieszył z przyjazdu tych dzieciaków! Myślałam nawet, czy nie powiedzieć czegoś jego bratu, temu wesołemu panu Jeanowi, ale nie było kiedy. Bracia dużo ze sobą wtedy rozmawiali, nie chciałam im tego psuć.

Ala przez chwilę siedziała w skupieniu, jakby mocując się ze wspomnieniami i poczuciem winy.

- Obaj synowie pana Roberta byli bardzo mili. Starszy, taki śmiały, zuchowaty, trochę czasem pyskаты, i ten młodszy, uroczy i nieśmiały... Oni byli tacy prawdziwi, pełni ciepła i widziałam, że Sylwia czuła się wyśmienicie w ich towarzystwie. Gdy tylko zbliżała się panna Urszula, to nasza mała dosłownie sztywniała. Pomyślałam wtedy o starszej córce pana doktora: Nie wierzę ci, panienko. Jesteś za słodka, za grzeczna, za uprzejma. Jesteś śliska jak jadowity wąż. Jesteś fałszywa. No, ale potem goście odjechali i wszystko wróciło do normy. Nasza Sylwunia też jakby odetchnęła z ulgą. Jakby przestała się bać. Jakby zniknęło jakieś niebezpieczeństwo.

„Wybacz mi, Nicole, wybacz mi, kochana siostró. Niczego nie zauważyłam ani wtedy, ani później” - myślała z rozpaczą Ala i wtedy znowu do niej dotarło, że przecież zauważyła: wtedy, przez ułamek sekundy, to przerażające spojrzenie starszej bratanicy rzucone na młodszą siostrę. „W moim własnym domu, przy wigilijnym stole. A ja odsunęłam to wtedy od siebie, bałam się temu przyjrzeć. Potem - zapomniałam”.

- Myślałam jednak, że to może więcej się nie powtórzy - kontynuowała Josephine głosem pełnym łez. - Wiadomo, dzieciaki... a to było pierwsze ich spotkanie. Same widzimy, proszę pani, jaką sytuację w rodzinie ma pan doktor. Dorosłym trudno uporać się z tym, a co dopiero dzieciakom. Może ta

starsza dziewczynka była zazdrosna o ojca? Może jak trochę podrośnie, to będzie już inaczej? Tak myślałam, ale nic się nie zmieniło. Panna Urszula przyjechała tu od tego czasu trzy razy i za każdym razem widziałam to samo. Nie wiem tylko, czy są następne siniaki, bo Sylwia nie pozwala mi już na pomoc w ubieraniu i myciu. Wizyty siostry to dla niej koszmar. Trzeba coś z tym zrobić, proszę pani, bo przecież panna Urszula może znowu niedługo odwiedzić ojca.

„Co jednak mam zrobić?” – myślała bezradnie Ala. „Nie mamy dowodów, a poza tym jak powiedzieć o tym Robertowi? Jak?”

- A to taki aniołek ta nasza Sylwunia - rozplakała się nagle Josephine. - Sama słodycz ten dzieciak! A jaka podobna do matki! Gdy na nią patrzę, to tak jakbym widziała pannę Nicole. Przecież ją pamiętam. Mieszkałyśmy tu razem przez parę miesięcy po narodzinach panienki Melanie. I do pana Waltera nasza Sylwunia też jest bardzo podobna. Gdy na mnie czasem spojrzy, to tak jakby on patrzył... Z charakteru też jest do niego podobna. Też był takim uroczym, grzecznym człowiekiem. Kocham to dziecko jak własne. Muszę go bronić, proszę pani.

Teraz już i Ala nie hamowała łez. Żal i wyrzuty sumienia dosłownie ją dławily.

- Gdzie ja byłam? Gdzie ja wtedy byłam, gdy to dziecko tak samotnie cierpiało? - szepnęła z bezsilną rozpaczą.

- Pani urodziła wtedy swoje własne dziecko. - Josephine ją objęła w geście pocieszenia. - Była pani osłabiona po chorobie.

- A potem? A potem?

- Ma pani męża, który świata poza panią nie widzi, i troje dzieci. Ma pani wielki dom. Nie wszystko możemy dostrzec.

- Josephine, gdyby nie pani, może nadal o niczym bym nie wiedziała.

- Pan doktor był tu na miejscu i też niczego nie dostrzegł.

- Pani jednak zauważyła.

- Mnie może było najłatwiej, proszę pani. Czasem łatwiej zobaczy coś człowiek, który jest wprawdzie blisko, ale nie należy do rodziny. To już nieważne, kto zauważył, a kto nie. Teraz trzeba temu zaradzić. Panna Urszula może ma jaki żal, że przez tyle czasu była jakby pozbawiona ojca, zdana tylko na swoją matkę.

„Barbara” - pomyślała wtedy Ala. „Oczywiście. To przecież jej robota.

Nie darowała swojej krzywdy i kto wie, co opowiadała tym dzieciom na temat ojca, Nicole i tej małej dziewczynki. Kto wie, jakie słowa wtedy padały. Jednak na chłopców to nie podziało”.

Co jednak teraz robić? Pisanie do Barbary nie wchodziło w grę. Wyraźnie przecież zaznaczyła, że nie otworzy żadnego listu z Paryża. W przypadku Roberta trochę jakby odtajała. Od czasu do czasu pisała do niego w kwestiach formalnych dotyczących pieniędzy lub dzieci, zwłaszcza odkąd Ula, Paweł i Karol zaczęli kontaktować się z ojcem, a najstarszy syn rozpoczął naukę w Paryżu. Jednak Ali ta odwilż we wzajemnych stosunkach nie dotyczyła. Nawet gdyby Barbara otworzyła list od dawnej przyjaciółki, łatwo można było sobie wyobrazić jej reakcję na zawarte w tym liście insynuacje pod adresem Urszuli. Wojna rozpętałaby się na nowo. A Robert? Rozmowa z nim też będzie trudna. Robert miał poczucie winy wobec starszych dzieci i chociaż kochał Sylwię ponad życie, to jednak nie będzie potrafił zbesztać starszej córki. A nawet gdyby mimo to zdobył się na rozmowę z Urszulą i próbę wyjaśnienia sprawy, ta przypuszczalnie zmanipulowałaby go i wyparła się wszystkiego. Sylwia zaś poniosłaby tego konsekwencje. Może Marta coś by zaradziła?

Nie, Marcie wreszcie należał się spokój. Ala sama na starszą bratanicę nie miała wpływu, zresztą nigdy nie były sobie specjalnie bliskie.

- Zastanawiam się, co robić - powiedziała w końcu na głos.

- A może Karol mógłby jakoś pomóc? To śmiały i rozsądny chłopak, a w dodatku bardzo zżyty z Sylwią - odpowiedziała sprytnie Josephine.

- Za to niekoniecznie zżyty z Urszulą! - Ala odpowiedziała uśmiechem na uśmiech. - Josephine, jest pani nieoceniona.

Następnego dnia obydwie odbyły rozmowę z Karolem. Wprowadziły go bez niedomówień w całe zagadnienie. Przedstawiły swoje przypuszczenia i obawy. Uwierzył od razu w każde ich słowo. Słuchał w skupieniu, na pozór spokojnie, chociaż widziały, jak był poruszony.

- Urszula jest wyjątkowo wredna i w Zaborowie każdy to wie. - To były jego pierwsze słowa, gdy skończyły mówić, jego pierwszy komentarz.

- A zatem byłaby zdolna do wyrządzenia krzywdy siostrze? - Ala zapragnęła jeszcze potwierdzenia z ust tego młodego chłopaka.

- Oczywiście. Jest zdolna do wszystkiego. Prowadzę z nią wojnę, odkąd pamiętam, dlatego ta smarkata liczy się ze mną i omija mnie łukiem. Tym

razem mnie nie ominie, zapewniam was.

- Sylwia chyba bardzo się jej boi - odezwała się trwożliwie Josephine. - Oby później za to nie odcierpiała.

- Bez obawy. Dopóki będę mieszkał w tym domu, włos z głowy nie spadnie mojej młodszej siostrze. Nie dam jej też skrzywdzić w żaden inny sposób. Tak to załatwię, że ta wredna małpa, czyli moja młodsza siostra, nie dotknie więcej Sylwii. Obiecuję.

Spojrzał na nie z taką pewnością siebie, zuchwałością i zniewalającym wręcz uśmiechem, że Ala na moment spuściła oczy. W tym momencie wyglądał tak jak Olaf, wręcz nim był. W tym momencie czas cofnął się do tamtego dnia, gdy w jednej z kawiarni w Zurychu Basia przedstawiła jej swojego narzeczonego. Ala z najwyższym trudem wróciła do teraźniejszości i zastanowiła się, czy w Basi też czasem nie zamierało serce, gdy napotykała podobne spojrzenia swojego najstarszego dziecka.

Ze spełnieniem swojej obietnicy w sprawie Sylwii Karol musiał poczekać jeszcze kilka miesięcy. Dopiero bowiem w czerwcu jego młodsze rodzeństwo miało przyjechać do ojca na około dwa tygodnie. Do tego czasu nic zakłócało spokoju rodzinnego w Paryżu. Jesień, zima, następne święta Bożego Narodzenia, nadejście wiosny i kolejna Wielkanoc mijały szybko, dzień za dniem, jak paciorki różańca. Karol w tym czasie uczył się intensywnie, a w przerwach od nauki spędzał czas z ojcem, siostrą, przyjaciółmi i rodziną Ali. Nie było to jednak wszystko, co robił. Dopiero Ralf kiedyś przez przypadek odkrył, że w życiu przyjaciela z Polski pojawiła się dziewczyna, i podzielił się tym odkryciem z bratem bliźniakiem.

W maju Karol przedstawił im swoją sympatię. Była to koleżanka z jego wydziału, wysoka, postawna, jasnowłosa.

- Aleksandra - zakomunikował kolegom jej imię. - Mniejsza na razie o nazwisko. Jest moją rodaczką. Na razie jednak ani mru-mru reszcie rodziny, bo zaraz zaczęłoby się gadanie. Poza tym za miesiąc ma przyjechać moja siostra i brat, a nie chcę, aby Urszula dowiedziała się teraz o Aleksandrze. Mogłaby zacząć się wyzłośliwiać, a muszę rozmówić się z nią w innej zupełnie sprawie. Pawłowi rzecz jasna wszystko powiem, ale jeśli chodzi o Urszulę, to wolę poczekać. Reszta osób też poczeka.

Ralf i Alan, dumni z wyróżnienia, że przed nimi starszy przyjaciel nie robił tajemnic, obiecali milczeć, a nazwisko jego sympatii nie było im na

razie do niczego potrzebne.

W tej chwili inna sprawa wydawała się pilniejsza. W miarę jak zbliżała się wizyta rodzeństwa, Sylwia traciła humor, stawała się coraz bardziej niespokojna i przygnębiona. Tym razem nie uszło to uwadze Ali i Karola. Czujna była też Josephine. Zauważył to również Robert, ale oczywiście nie odgadł przyczyny pogorszenia nastroju córki. Był raczej gotów złożyć to na karb problemów z okresem dojrzewania i zastanawiał się, w jaki sposób pomówić o tym z dziewczynką. To nie było zadanie dla ojca. Rozważał poproszenie Ali o pomoc. Mogła też zająć się tym Josephine, czy nawet inna bliska znajoma, tak daleko nie chciał jednak sięgać. W o ileż lepszej sytuacji była Urszula, mająca przecież matkę!

- Oczywiście zajmę się tym, jeśli zajdzie taka potrzeba - zapewniła go Ala, gdy zafrasowany przedstawił jej całą rzecz. - Pamiętaj, braciszku, zwracaj się do mnie z każdym problemem, zwłaszcza dotyczącym tego dziecka. Obiecałam Nicole, że będę ci pomagać.

- Dziękuję - odparł Robert z tym charakterystycznym odcieniem w głosie, który pojawiał się zawsze, gdy była mowa o Nicole. - Na razie nie mamy innych problemów niż ten.

„Masz ogromny problem, z którym być może będziesz musiał się zmierzyć” - pomyślała wtedy ze smutkiem. „Ostrzegałam cię dawno temu, że tak może być”.

Zachowała jednak te refleksje tylko dla siebie.

Rozdział 112

W pierwszy wieczór po przyjeździe młodszych dzieci z Polski Robert zabrał całą czwórkę na kolację na Montmartre.

- Czy aby nie jesteście za bardzo zmęczeni po podróży? - zafrasował się.

- My, zmęczeni?- roześmiała się w nieco afektowany sposób Ula. - Zapominasz, drogi tato, że nie jesteśmy już mali. Masz troje dorosłych dzieci.

Ostatnie zdanie zaznaczyła w sposób prawie niezauważalny. Karol dostrzegł jednak tę charakterystyczną nutę w jej głosie, gdy mówiła o „trojgu dzieciach”. Dostrzegł to także Paweł i przyjrzał się badawczo swojej bliźniaczce. Robert naturalnie też usłyszał słowa córki, nie dopatrywał się w nich jednak niczego niezwykłego. To było oczywiste, że trzynastoletniej wtedy Sylwii nie można było jeszcze zaliczyć do osób dorosłych. Dla niego jednak również siedemnastoletnie bliźnięta nadal były dziećmi. Musiał jednak przyznać, że starsza córka wyglądała już jak młoda kobieta, zwłaszcza że na wieczorne wyjście wystroiła się tak, jak nie odważyłaby tego zrobić w Zaborowie. W Zaborowie nikt nie zaakceptowałby szminki na ustach i tuszu na rzęsach, a także wydekoltowanej sukienki. Tam mimo wszystko w tych sprawach musiała się liczyć, jeśli nie ze zdaniem matki, to przynajmniej babki. W obecności ojca uznała, że może sobie pozwolić na więcej. Robertowi też nie przypadł do gustu strój i makijaż córki, nie chciał jednak psuć atmosfery spotkania, przynajmniej tego pierwszego wieczoru. Zresztą, czy miał prawo zwracać jej kiedykolwiek uwagę - on, wiecznie nieobecny ojciec?

- Czy wysłaliście telegram do waszej matki z wiadomością, że szczęśliwie dotarliście na miejsce? - spytał wobec tego. - Z pewnością umiera z niepokoju, to wasza pierwsza samodzielna podróż.

Urszula wzruszyła ramionami z lekką pogardą. Zapaliłaby chętnie papierosa, tak jak uczyniła to podczas pobytu w swojej ostatniej szkole. Została przyłapaną przez głupie zakonnice i musiała wracać do domu. I bardzo dobrze. Szkoły ją drażniły, nauczycielki na ogół były głupie, a koleżanki nudne. Więcej nauczyła się w domu. Tylko matka potem lamentowała, jak zwykle. To jej wychodziło najlepiej.

- Ja wysłałem ten telegram zaraz po naszym przyjeździe, zanim się rozpakowałem - powiedział Paweł, a ojciec przyjaźnie poklepał go po ramieniu.

No tak, mogła się tego spodziewać. Jej grzeczny, układowy braciszek jak zwykle należycie odrobił lekcje. Jednak kochała go. Może dlatego, że zostali zrobieni jednocześnie, w dodatku przez ludzi, którzy musieli, przynajmniej wtedy, czuć do siebie coś dobrego.

Nigdy tak tego nie odbierała w stosunku do starszego brata. Zawsze było w nim jakby coś obcego, wrogiego. Teraz też nie spuszczał z niej oka, a nie było to przyjazne spojrzenie. Zupełnie inaczej patrzył na tę małą gówniarę, której w ogóle nie powinno tu z nimi być, w ogóle nie powinno jej nigdzie być.

Złożyli zamówienie, a potem długo rozmawiali.

- Mam nadzieję, że w przyszłym roku także ty dołączysz do brata i przybędziesz, by tu studiować - zwrócił się Robert do młodszego syna. - Chyba nie zmieniłeś zamiaru?

- Nie tato, chciałbym przyjechać do ciebie. - Paweł uśmiechnął się nieśmiało.

- W dalszym ciągu ma to być architektura?

- I muzyka. Dużo opery, koncertów i muzyki. - Chłopak ożywił się, bo jako jedyny ze wszystkich dzieci miał zdolności muzyczne, pobierał lekcje gry na fortepianie i na skrzypcach.

- Ciocia Alicja jest z ciebie dumna. Ty jeden poszedłeś w jej ślady.

- W jakie ślady? - prychnęła Ula. - Ciocia porzuciła możliwość zrobienia kariery. Znalazła sobie bogatego męża i bardzo dobrze zrobiła. W dodatku ten mąż dałby się za nią pokroić.

Te słowa na nikim z obecnych nie zrobiły dobrego wrażenia. Robert patrzył na córkę ze zgrozą i niesłabnącym smutkiem. To, że tak mówiła, że tak się zachowywała, było być może sposobem odreagowania na nim tych wszystkich lat jego nieobecności, tego, że ostatecznie odszedł od jej matki. Lecz przecież nigdy nie odszedł od dzieci. Przecież... synowie to rozumieli.

Popatrzyła na niego, jakby czytała mu w myślach, bo uśmiechnęła się słodko i położyła głowę na jego ramieniu. Była trochę podobna do Barbary, trochę do Marty, trochę do niego. Jej miły i pełen słodczy gest świadczył jednak o tym, że go kochała. W takim razie o co jej chodziło? O kogo? Do

kogo miała tyle żalu? Do Nicole? Przecież Nicole już nie żyła.

Mimo tych niewesołych refleksji Robert był zadowolony z pierwszego wieczoru spędzonego w knajpce, gdy wokół srebrzyła się wszystkimi swoimi urokami ciepła, czerwcową noc.

Potem wrócili do domu i wszyscy udali się do swoich pokoi. Gdy oprócz dzieci nie było innych gości, każdy mógł się cieszyć własną, oddzielną sypialnią.

Ula nie zasnęła, tylko odczekawszy, aż w całym domu umilkną odgłosy krzątania i zapadnie cisza, wymknęła się do małego ogródka za domem. Usiadła na schodkach prowadzących z przeszklonych drzwi balkonowych i zapaliła papierosa. Zapatrzyła się w gwiazdy na niebie, świadczące o tym, że jutro wstanie kolejny piękny dzień. Pomyślała, że być może gwiazdy świecą też nad Zaborowem i patrzy na nie jej matka. Natychmiast poczuła przyływ irytacji, jak za każdym razem, gdy stała jej przed oczami Barbara, czy to na jawie, czy w wyobraźni.

Naraz usłyszała za sobą kroki i w przypiływie paniki chciała zgasić lub ukryć papierosa. Była pewna, że to ojciec ją nakrył i zaraz zaczął się pretensje. Matka w podobnych okolicznościach od razu rozpętała piekło, ojciec tak się nie zachowywał. Jednak Urszula nie chciała widzieć tego przygnębiającego smutku w jego oczach.

- Nie przeszkadzaj sobie - usłyszała, ale nie był to głos ojca, tylko starszego brata.

Przed nim nie miała zamiaru upokarzać się chowaniem papierosa pod spódnice lub do kieszeni.

- Poskarżysz ojcu czy zapalisz ze mną? - spytała z ironią.

Usiadł obok niej na schodkach i przez chwilę nie odpowiadał.

- O co ci chodzi? - spytała w końcu zaczepnie.

- Jest mi obojętne czy palisz, pijesz i jak się ubierasz - zaczął. - Jeśli o mnie chodzi, możesz wyglądać jak dziewczyna lekkiego prowadzenia albo tancerka z Moulin Rouge, chociaż naszemu ojcu nie jest wszystko jedno. Możesz też nie kończyć żadnej szkoły i wyjść bogato za mąż, skoro ciebie to bawi. To twoje życie.

- Świetnie - odparła z pozorną ironią, chociaż jego słowa ją ubodły, i to mocno.

- Jednego jednak nie pozwolę ci robić - ton jego głosu zmienił się

niebezpiecznie - masz zostawić w spokoju naszą najmłodszą siostrę. To nie jest prośba.

- Chyba oszalałeś - burknęła, choć natychmiast poczuła napływ wściekłości. - Kogo masz na myśli?

- Ja nie prowadzę z tobą dyskusji i nie negocjuję. Twoje zdanie nie ma tu nic do rzeczy. Traktuj ją jak siostrę, to wszystko. Aha, jeszcze jedno... Jeśli zechcesz teraz odgrywać się na niej i mścić za moje słowa, to obiecuję ci taką apokalipsę, że wszystkiego ci się odechce. Ojciec także dowie się o wszystkim i więcej tu nie przyjedziesz. To jak na razie jedyna pewna rzecz w twoim życiu.

- Chyba żartujesz! - krzyknęła i zerwała się na równe nogi. - Mówisz o tej tępej gówniarze, która nawet słowa nie potrafi wydusić przy ludziach?

- Ty za to mówisz dużo i przeważnie głupio. Mniejsza z tym jednak, bo to, co mówisz, nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia. Liczy się tylko to, jak traktujesz naszą siostrę, która jest jeszcze dzieckiem. Odbiło ci, do jasnej cholery? Sylwia nie potrzebuje się skarżyć na ciebie, jednak coraz więcej ludzi widzi, że dzieje się z nią coś złego, gdy tylko ty pojawiaasz się na horyzoncie. Wystarczy sama zapowiedź twojego przyjazdu.

- To z nami stało się coś złego, gdy tylko na horyzoncie pokazała się jej matka.

- To sprawa między ojcem, matką a tamtą kobietą, która zresztą od kilku lat już nie żyje.

- Mylisz się. To sprawa nas wszystkich.

- Zamierzasz wskrzesić Nicole Perrier, by jej to powiedzieć?!

- Wykopałabym ją z grobu, gdybym mogła powiedzieć jej w oczy, jaką była dziwką i czym dla mnie jest jej bękart.

Karol na moment znieruchomiał. Mimo wszystko Urszula wciąż potrafiła go zaskoczyć. Nie spodziewał się takich słów w ustach swojej siedemnastoletniej siostry. Czuł, że nie powiedziała jeszcze wszystkiego, że dopiero zaczynała się rozkręcać, dlatego chciał ją sprowokować do awantury, co zresztą nie było trudne. Przerabiali to przez lata ich trudnego dzieciństwa i okresu dorastania. Tego się jednak nie spodziewał. Nie chciał stracić panowania nad sobą, więc wyszarpnął paczkę z papierosami z jej ręki i nerwowym ruchem zapalił jednego.

- Nawet nasza matka nie mówiła tak o nich - odezwał się po chwili

głosem pełnym ledwo tłumionych emocji.

- Teraz tak nie mówi. Odkąd tamtą dziwkę szlag trafił! - sprostowała siostra i patrzyła triumfalnie, jak brat walczy ze sobą, by jej nie uderzyć.

Bawiło ją to, więc postanowiła kontynuować, a zarazem wyrzucić z siebie to, czym karmiła się przez te lata.

- Nie pamiętasz, kochany braciszku, co nasza matka wyrabiała wtedy? Jakich używała słów? Dzięki temu zresztą moje słownictwo bardzo się wzbogaciło. Tymczasem ty i Paweł macie bardzo wybiórczą pamięć.

- Jednak potem nasza matka...

- Potem nasza matka zaczęła mieć nadzieję, że może po śmierci tamtej ojciec do niej wróci i znowu weźmie ją do łóżka.

Ponownie oniemiał, a ona znowu triumfowała, patrząc na jego zaskoczenie, konsternację i niedowierzanie w oczach. Nie mógł uwierzyć jej mądry-głupi brat, że ona tak dobrze poznała życie. Nauczyła się tego, siedząc w Zaborowie, słuchając ludzkiego gadania, patrząc na rozpacz i nienawiść matki, a potem na jej nadzieję. Słyszeć, gdy inni myślą, że nie słyszy się nic. Rozumieć, gdy inni myślą, że nic się nie rozumie. Widzieć, gdy inni myślą, że się nie widzi. Udawać głupią, aby i inni w to uwierzyli. A na koniec sprawiać wrażenie, że się może więcej niż w rzeczywistości. Podobały jej się te słowa z „Wesela Figara”, choć cała reszta sądziła, że ona nie przeczytała w życiu żadnej sensownej książki. I jak przyjemnie było chodzić po zaminowanym polu i czekać, która z min wreszcie wybuchnie. Choćby pod jej nogami! Taka wesoła przenośnia.

- Tobie naprawdę odbiło - odezwał się w końcu Karol.

A jednak nie uderzy jej. Szkoda, miała ochotę wreszcie się pobić się z nim jak za dawnych lat. Dotarło też do niej, że jest zmęczona. Miała za sobą długą podróż, długi wieczór, a teraz jeszcze ta rozmowa. Nie miała już na nią ochoty. Nie miała ochoty na wyjaśnienia, wspomnienia, zwierzenia czy nawet kłótnie. Czasami i ona traciła już siły. W dodatku od czasu do czasu wciąż odzywał się dawny ból... I ten świeży.

- Nie obawiaj się o tę szczeniarkę, którą uparcie nazywasz siostrą - odezwała się z ironią, choć w jej głosie pobrzmiwało znużenie. - Już jej to wszystko dawno dałam do zrozumienia i nie zamierzam się powtarzać. Nienawidziłam jej z całego serca, ale teraz nic już do niej nie czuję. Jest jak niepotrzebny śmieć pod nogami, którego jednak nie chce się podnosić.

Trudno wszak nienawidzić śmiecia. Nie chcę mieć z nią nic wspólnego i traktuję ją jedynie jako zło konieczne. Nie mam siostry. Jeśli jest ktoś w moim życiu bardziej żałosny niż nasza matka, to jest nią właśnie córka Nicole Perrier.

Rozgniotła papierosa o schody, podniosła się leniwie ze stopni i weszła do domu. Karol siedział niemal nieruchomo aż do rana. Potem wstał, wrócił do swego pokoju i napisał list do matki. A ponieważ obawiał się, że może jeszcze zmienić zdanie w sprawie wysłania go do Polski, udał się na pobliską pocztę, gdy tylko została otwarta. Po kilku godzinach jednak nie był już pewien, czy dobrze uczynił, czy może należało się jednak wstrzymać... I ta wątpliwość pozostała w nim na zawsze.

*

Basia długo w nocy siedziała nad listem od syna. Słowa w nim zawarte bolały, ale do bólu była przyzwyczajona. Nadzieja na odmianę losu też stopniała w niej niemal zupełnie. To, co jej rodzona córka myślała na jej temat, też nie było dla niej zaskoczeniem. Wróciła za to myślami do tego dnia, gdy Robert oświadczył jej, że odchodzi do chorej kobiety, która stała się treścią jego życia, która zapewne tą treścią była od lat. Nie to jednak zaprzętało teraz głowę Barbary. Pamiętała tę rozmowę, tę karczemną awanturę co do słowa, co do przecinka w każdym zdaniu. Pamiętała epitety, jakimi obrzuciła wtedy tamtą kobietę i jej dziecko. Potem mówiła tak i krzyczała jeszcze wielokrotnie. Żałowała tego później, ale nie mogła zmienić faktów, słów już wypowiedzianych. Zdobyła się jednak na pojednawcze gesty i wiedziała, że jej mąż to docenił. Janek jej o tym powiedział i było to dla niej jak balsam na ranę. List od syna przypomniał jej jednak scenę, o której Karol nic nie wiedział. Tylko ona to wtedy zauważyła kątem oka, lecz wyparła potem z pamięci. Widziała znowu siebie klęczącą przy drzwiach, które zatrzasnął wtedy za sobą Robert. Zanosila się płaczem i niemal konała z rozpacz. W drzwiach pokoju dziecinnego stała wtedy mała dziewczynka, jej jedyna córka, i zaciskała z nienawiścią małe piąstki. Ta mała dziewczynka musiała wtedy słyszeć każde jej słowo, każde przekleństwo.

Barbara schowała twarz w dłoniach. Nie miała dobrych przeczuć. Nie wiedziała jednak, że czekało ją jeszcze coś znacznie gorszego.

W październiku 1929 roku krach na Wall Street stał się początkiem największego kryzysu finansowego, jaki pamiętano. Raul już kilka miesięcy wcześniej, gdy giełda przeżyła pierwsze tąpnięcie, postanowił sprzedać część akcji, a jego amerykański wspólnik zrobił to samo. Latem pozbyli się następnego pakietu. Jesienią okazało się to już prawie niemożliwe.

- To nie mogło trwać bez końca - mówił podczas jednego z towarzyskich spotkań w ich domu.

Byli też wtedy obecni Robert i Janek. Części zebranych gości nie trzeba było tłumaczyć zawichości liberalizmu w odniesieniu do gospodarki wolnorynkowej. Nawet Ala, która od pewnego już czasu musiała wysłuchiwać długich wykładów męża i czyniła to z iście wzorową postawą żony, orientowała się, w czym rzecz. Większość jednak podchodziła do prognoz Raula sceptycznie lub z pewnym siebie uśmiechem. Część zaś, nie bawiąc się w żadne akcje czy inne papiery wartościowe, słuchała, bo słuchała, niespecjalnie interesując się tym tematem.

- Nierównomierny rozwój gospodarczy po wojnie musiał w końcu zaowocować brakiem równowagi pomiędzy zdolnościami produkcyjnymi a możliwościami zbytu - mówił Raul i dalej wymieniał przyczyny tego stanu rzeczy. Trudności w światowym rolnictwie, polityka monopoli, które dążyły do utrzymania wysokich cen na własne produkty, a niskich na surowce, miały należeć do tych przyczyn.

Frederik, drugi mąż Dominique, w pełni popierał zdanie Raula. Obaj wskazywali jednak na sprawę bodaj najistotniejszą - operacje giełdowe oparte na spekulacyjnej zwyczajnie kursów papierów wartościowych. Miało to sztucznie podtrzymywać popyt, i rzeczywiście przez pewien czas podtrzymywało.

- Jeśli ma to pomóc w nakręcaniu popytu, to chyba dobrze - zauważył ktoś z grupy sceptycznie nastawionych do sprawy gości.

- To tylko maskuje problem, a w dodatku nie da się tak funkcjonować bez końca - odparł Frederik, a Raul natychmiast go poparł.

- Produkcja dóbr konsumpcyjnych znacznie przewyższa faktyczny popyt - dodał, a dwóch obecnych tam przedsiębiorców związanych z tą branżą

niechętnie go poparło.

29 października było już za późno na spekulacje, analizy i uniknięcie strat. Wystawione na nowojorskiej giełdzie siedemdziesiąt milionów akcji spowodowało dramatyczny spadek ich wartości. Załamanie giełdy na Wall Street pociągnęło za sobą spadek wartości akcji po obu stronach Atlantyku i Pacyfiku i stało się największym – jak dotąd – krachem koniunktury.

- Dzięki Bogu uratowaliśmy wcześniej tyle, ile się dało – powiedział Raul do Ali, lecz przecież wiedziała, że i oni ponieśli znaczne straty. Firma jednak pomimo tego, że zachwiała się nieco w pierwszych tygodniach, ocalała. Zbyt silne miała podstawy, a w dodatku przewidującego szefa, który niemal bezbłędnie poruszał się po dżungli rynków finansowych.

Niemniej nie było łatwo. Kryzys objął swoim zasięgiem wszystkie dziedziny gospodarki i wszystkie kraje, aczkolwiek nie w jednakowym stopniu. Silny spadek produkcji przemysłowej, a w związku z tym drastyczny wzrost bezrobocia i oczywiście poważne zmniejszenie dochodów ludności – to były zjawiska, z którymi nie można sobie było poradzić przez kilka lat. Na podstawie listów od ojca i Janka Ala wiedziała, że jakoś sobie radzili, pomimo poważnych trudności. Dzielnie starał się walczyć również Zaborów, chociaż ceny na produkty rolne poważnie spadły.

To powoduje zubożenie wsi, a w konsekwencji uderza rykoszetem w miasta z powodu spadku popytu na towary przemysłowe – pisał ojciec.

- Nie bój się Alice, wszyscy z tego wyjdziemy – pocieszał ją Raul. - Dla przykładu potem trzeba będzie tylko ukrzyżować paru spekulantów giełdowych. Muszą się tym zająć niektóre państwa.

Nie bała się, bo miała do niego pełne zaufanie i czuła się bezpiecznie. Marzyła jedynie o powrocie stabilizacji gospodarczej dla wielu innych pogrążonych w ubóstwie rodzin.

- Czy tak co parę lat będziemy przeżywać jakieś kryzysy polityczne i gospodarcze? – spytała przygnębiona. - Czy wszystko, co było dobre, bezpieczne i stabilne, skończyło się w 1914 roku?

Raul uśmiechnął się i przygarnął ją do siebie tak, jak robił to nieodmiennie od kilku już lat – ruchem pełnym miłości i pożądania.

- To zależy, jak na to patrzeć, moje ty kochanie – powiedział. - Dla mnie dobre czasy zaczęły się dopiero kilka lat po wojnie. Wcześniej mogłem sobie tylko na ciebie popatrzeć, a i to nie zawsze. Przed rokiem czternastym

myślałem, że wymknęłaś się całkowicie z mojego życia.

Jak zatem mogła go nie kochać i nie odpowiadać na tę miłość pomimo upływających lat? Wielki Kryzys nie mógł tego zakłócić.

Tymczasem, równoległe z gospodarczym krachem, przyszło im się zmierzyć z kryzysem zupełnie innej natury, ale takim, który musiał wstrząsnąć i tak już osłabioną i niemal pogruchotaną rodziną Matzerów.

Było to w marcu 1930 roku. Po zajęciach Aleksandra ni z tego, ni z owego zakomunikowała Karolowi, że przyjechał do niej w odwiedzin ojciec razem z ciotką. Karol wiedział oczywiście, że rodzina jego sympatii mieszka w Szwajcarii. Aleksandra stamtąd przyjechała na studia do Paryża. Ojciec jej był lekarzem, a ona zapragnęła pójść w jego ślady. Na święta i wakacje zawsze wracała do rodziny, a ojciec czasami, choć bardzo rzadko, odwiedzał ją w Paryżu. Jednak Karol dotychczas nie miał okazji go poznać. Aleksandra nigdy mu tego nie proponowała. Rozumiał to, bo przypuszczał, że jej ojciec obawiałby się może zostawiać jedynaczkę samą na stacji, wiedząc, że przyjaźni się ona z młodym chłopakiem. Wielu ojców było pod tym względem śmiesznych i zachowywało się tak, jakby w ich czasach ludzie nie kochali się wcale, a dzieci przynosił bocian. Być może ona nie powiedziała nawet ojcu, że kogoś poznała. Kto wie, może wówczas byłby gotów zabrać ją nawet z powrotem do Szwajcarii?

Znali się od ponad roku i zbliżyło ich najpierw pochodzenie. Dziewczyna była córką polskich emigrantów, od lat mieszkających w Zurychu. Wiedział, że jej matka już nie żyła, a ojcu w jej wychowaniu pomagała jego młodsza, niezamężna siostra. Dzięki niej Aleksandra nie odczuwała swojego sieroctwa, zresztą matkę pamiętała stale chorą i przykutą do inwalidzkiego wózka. Z ciotką i z ojcem była bardzo zżyta i każda ich wizyta w Paryżu była dla niej świętem.

- Rozumiem, że w takim razie schodzimy na kilka dni do konspiracji - zażartował, komentując wiadomość dziewczyny o odwiedzinach krewnych.

- Nie - odparła zdecydowanie. - Tym razem zamierzam cię im przedstawić. Konspiracja zakończona, ujawniamy się.

Z zaskoczenia aż przystanął na środku ulicy.

- To zaś oznacza, że za jakiś niedługi czas ty zaprezentujesz mnie swojej paryskiej rodzinie - dodała i roześmiała się, widząc jego reakcję. - No co? Strach cię obleciał?

Nie, to oczywiście nie był strach. Był w niej zadurzony po uszy, nie przypuszczał jednak, że ich wzajemne relacje osiągnęły już taki etap. Prezentowanie siebie nawzajem rodzinom to była już, jego zdaniem, bardzo

poważna sprawa.

- Uspokój się, nie musisz zaraz żenić się ze mną. - Trąciła go w ramię i zmusiła, aby ruszył z miejsca. - Uważam, że po prostu już czas przestać robić tajemnicę z tego, że się znamy. O co chodzi? Nie chcesz poznać mojego ojca?

- Twój ojciec może zacząć podejrzewać mnie wiesz o co - wydusił w końcu z siebie, mocno zmieszany.

Był śmiałym i pewnym siebie, wesołym chłopakiem, ale przy Aleksandrze ta pewność siebie często go zawodziła. Ola była niekiedy bardziej śmiała i odważna od niego, a to wprawiało go czasem w onieśmienie i zakłopotanie. Mogłaby pod tym względem uchodzić za podobną do jego siostry, gdyby nie fakt, że w przeciwieństwie do Urszuli lubiła się dużo uczyć, była zorganizowana i zdyscyplinowana, a w dodatku pełna uroku i ciepła.

- Daj spokój, mój ojciec nie jest taki - odpowiedziała, gdy przestała się w końcu śmiać. - To cudowny, nowoczesny człowiek, który nie traktuje mnie jak małe dziecko i ma do mnie pełne zaufanie. Powiedział mi nawet, że znał kiedyś dziewczynę, która była niezależna i samodzielna, a przy tym wprost fantastyczna i nie miałby nic przeciwko temu, abym była do niej podobna.

- W takim razie zgoda. Przyjdę z pewnością. Mów tylko, gdzie i kiedy.

Umówili się zatem na następną wieczór w jednym z lokali, a on już od południa biedził się nad garderobą i toaletą. Nie uszło to uwagi ani ojca, ani Sylwii, ani Josephine, którzy wymieniali między sobą ubawione, ukradkowe spojrzenia.

- Nie zakładaj, chłopaku, czarnego garnituru, chyba że wybierasz się na pogrzeb. - Josephine w końcu nie wytrzymała, widząc, z jaką rozpaczą w oczach próbował skompletować uroczysty strój.

- Josephine ma rację. Włóż jaśniejszą marynarkę. Czarny garnitur pasuje do bardzo poważnych uroczystości - wtrącił swoje trzy grosze ojciec.

Postanowili zatem nie dać mu spokoju. Z drugiej strony nie chciał też wyjść na nieobytego prowincjusza, który nie potrafi ubrać się stosownie do okoliczności.

- Mam umówione spotkanie w restauracji na kolacji. Muszę chyba założyć coś oficjalnego - bąknął ledwo zrozumiale.

- Jakiego typu jest to spotkanie? - zapytał niemiłosiernie ojciec. - Chodzi

o biznes czy o zaręczyny? Jakiego typu to restauracja? Wszystko ma w tym momencie znaczenie.

- To takie zwykłe spotkanie. Ani biznes, ani zaręczyny - odparł niechętnie, ale zdradził go lekki rumieniec na twarzy.

- Weź ten garnitur - odpowiedział ojciec i wyjął z szafy nabytek stosunkowo nowy, elegancki, lecz nie tak oficjalny jak tamten, w kolorze najciemniejszej czerni, jaką można sobie wyobrazić.

- I kwiaty - odpowiedziała chytrze Sylwia. - Pamiętaj, aby przynieść kwiaty.

- Patrzcie, jak to się wymądrza! - zawołał zmieszany Karol. - A skąd ty wiesz takie rzeczy?! Czyżbyś i ty dostała już od kogoś kwiaty?

Czternastoletnia już wtedy Sylwia spurpurowiała na twarzy, co mogło sugerować, że jest coś na rzeczy. Żał mu się jej zrobiło, a poza tym mogła mieć rację w sprawie tych kwiatów. Pojęcia nie miał, co robić.

- Obydwie mają dostać kwiaty? - spytał w końcu na głos.

- Obydwie? - Robert ledwo powstrzymywał wybuch śmiechu. - Chodzi o dwie dziewczyny? To teraz taka moda, że umawiacie się z dwiema naraz?

- Przyjdzie z nią jej ciotka - odparł, zanim zastanowił się, jaki przyniesie to efekt.

Salwy śmiechu dobiegające z ich domu były zapewne słyszane na całej ulicy.

- Bardzo dobrze, widzę, że to poważna sprawa - odezwał się Robert, gdy jako tako się uspokoił. - Mam nadzieję, że zaprosisz tę pannę do naszego domu. Powiedz chociaż, jak ma na imię.

- Ola - odparł niewyraźnie Karol i zaraz się poprawił: - Aleksandra.

- W takim razie życzę miłego spotkania. Widzę, że Ola jest krótko trzymana, skoro towarzyszyć jej będzie krewna.

- Nie żartuj już. Dajcie mi wreszcie spokój. Będzie tam również jej ojciec.

- Ojciec? W takim razie i ja czuję się zobowiązany zaprosić twoją sympatię.

- Później. Powiem wam kiedy. A teraz dajcie mi się w końcu ubrać. Co robisz w moim pokoju dwie kobiety?

Ostatnie zdanie było skierowane do Josephine i Sylwii, które, chichocząc niemiłosiernie, wyszły w końcu z jego sypialni, a w ślad za nimi zrobił to również Robert.

Bał się straszliwie, że spóźni się na spotkanie, tym bardziej że miał kawałek drogi do pokonania. Wreszcie, cały stremowany, stanął przed obliczem ojca Aleksandry i jej ciotki.

Sama Aleksandra wyglądała wprost zjawiskowo. Miała na sobie modną popielatą suknię, a jasne, złociste wręcz włosy upięła wysoko. Podobno jej ojciec lubił eleganckie kobiety, więc starała się temu sprostać.

- Miło mi pana nareszcie poznać - powiedział i uśmiechnął się na powitanie. - Aleksandra nieraz o panu opowiadała. Nazywam się Olaf Lityński.

Karol zaczerwienił się, bo pomyślał, że to on raczej powinien był przedstawić się jako pierwszy. Wściekły na swoją niezgrabność i nieobycie uściśnął podaną mu dłoń.

- Karol Matzer - wyjąkał zmieszany i jeszcze bardziej na siebie wściekły, gdyż pomyślał, że zachowuje się w tym momencie prawie jak cielak.

- Weronika Lityńska - przedstawiła się ciotka Aleksandry i spojrzała na niego z jakimś błyskiem w oku.

Właśnie ta kobieta najbardziej go w pierwszej chwili ujęła. Było w niej coś niesłychanie ciepłego, miłego i bezpośredniego, coś matczynego. Od razu można było zauważyć, że to młodsza siostra doktora Lityńskiego, bo i wyglądała młodziej, i była do niego trochę podobna. Niewysoka, raczej pulchna, o rudych, kręcących się niesfornie lokach stanowiła przeciwieństwo brata i bratanicy. Natomiast szare oczy, takie jak u doktora Lityńskiego, nadawały obojgu niemal identyczny wyraz twarzy i spojrzenia.

Ojciec Aleksandry był wysokim i postawnym mężczyzną, a szpakowate włosy i broda nadawały mu wyraz powagi. Oczy miał jednak przyjazne i wesołe, jak jego siostra. Patrzył z wyrozumiałością na zmieszanie młodego człowieka. Dopiero gdy usiedli i złożyli zamówienie, zapytał:

- Proszę mi wybaczyć, ale czy zechciałby pan powtórzyć swoje nazwisko? Nie dosłyszałem dobrze, a zabrzmiało jakoś znajomo.

- Nie nudź, tato - burknęła żartobliwie Ola.

- Karol Matzer, proszę pana - odparł śmieiej Karol, nawet zadowolony, że może nawiązać rozmowę.

- Pamiętam to nazwisko... - Doktor Lityński uśmiechnął się lekko i coś osobliwego pojawiło się w jego oczach, a potem zwrócił się do siostry: - Pamiętasz, Weroniko?

- Jak mogłabym zapomnieć - odparła i znowu zapatrzyła się w Karola.

- Czy mówią coś panu imiona Jana i Roberta Matzerów? Jesteście jakoś spokrewnieni? A może to tylko zbieżność nazwisk?

- Ależ oczywiście, że jesteśmy spokrewnieni - zawołał radośnie Karol. - Jan Matzer jest moim stryjem, a Robert moim ojcem. Co za niesłychany zbieg okoliczności! Co za niesamowite wydarzenie!

Odniosł raptem wrażenie, jakby doktor Lityński i jego siostra na moment zeszytnieli. Olaf pierwszy powrócił do poprzedniego uśmiechu i lekko skinął chłopakowi głową.

- Skąd pan zna mojego ojca i stryja? - pytał nadal rozentuzjasmowany Karol.

- Spokojnie, młody człowieku. To nadal może być tylko nadzwyczajna zbieżność nie tylko nazwisk, ale także imion.

- Ojciec mieszkał w Warszawie. Obaj ze stryjem są synami znanego chirurga, profesora Joachima Matzera. To również może być zbieżność?

- Raczej nie - zgodził się z pewnym wysiłkiem Olaf Lityński, a jego siostra nadal milczała, najwyraźniej wciąż poruszona tym, co usłyszała.

- A zatem skąd pan zna mojego stryja i ojca? - ponowił pytanie Karol.

Po jego onieśmieleniu nie było już śladu.

- Studiowałem razem z pana ojcem w Zurychu - odparł z widocznym wahaniem Olaf. - Pana stryj studiował na innym wydziale.

- Zgadza się! No jasne, przecież nadal mieszka pan z Olą w Zurychu! - Cieszył się Karol. - Powiem ojcu o naszym spotkaniu, dopiero się zdziwi. I ucieszy. Moglibyście się przecież spotkać. Ojciec mieszka teraz i pracuje w Paryżu.

- Lepiej nie - doktor Lityński niemal wszedł mu w słowo, a to, co powiedział, podziąło na Karola, i nie tylko na niego, jak kubeł zimnej wody.

- Dlaczego nie? - spytała Aleksandra, niemal wyjmując to pytanie Karolowi z ust.

- Ejże, panienko, czy nie mam prawa do swoich tajemnic? - Jej ojciec próbował obrócić całą sprawę w żart. Bezskutecznie.

- Teraz mnie naprawdę zaintrygowałaś. A nawet zaniepokoiłaś.

Karol spokojnie mógł się podpisać pod jej słowami. Weronika Lityńska chyba chciała coś powiedzieć, ale Olaf położył dłoń na jej dłoni, jakby nakazywał milczenie.

Przy stole zapadła cisza. Na szczęście właśnie nadszedł kelner, który przyniósł zamówione potrawy, ale atmosfera jakby się trochę zwarzyła. To pewnie spowodowało, że Lityński przerwał milczenie:

- Nie rozstaliśmy się w zgodzie. Właściwie poróżnił nas poważny konflikt. Dajmy już temu spokój. Nie chcę do tego wracać i jestem pewien, że pana ojciec i stryj powiedzieliby teraz to samo. Nie pytajcie mnie, o co poszło. Po prostu trzeba to zostawić i żyć dalej.

- Jak? - spytała Ola drżącym głosem. - Przecież tu chodzi o ojca Karola. Nie chcemy nienawiści między wami.

- Nie ma już mowy o nienawiści. - Doktor uśmiechnął się ponownie i objął córkę ramieniem. - To już stare dzieje. W międzyczasie wybuchła wojna światowa, grypa hiszpanka i światowy kryzys ekonomiczny. Poza tym to były sprawy między mną a Matzerami. Wy nie macie z tym nic wspólnego. Ojciec pana Karola zapewne pomyślałby o tym tak samo.

- W takim razie dlaczego nie chcecie się spotkać i porozmawiać? - ośmielił się odezwać Karol. - Przecież pewnie będę musiał o panu coś powiedzieć.

- A niby dlaczego? Pobieracie się już?

Tak, chciał wszystko obrócić w żart. Zarazem robił wszystko, co mógł, aby zmienić temat. Zaniepokojenie doktora było wyczuwalne niemal na kilometr. Karol dał więc spokój dalszym pytaniom dotyczącym wspólnej przeszłości jego ojca i ojca Aleksandry. Na szczęście było tyle innych tematów, przede wszystkim medycyna. Siedzieli i rozprawiali na temat studiów medycznych, wykładów, laboratoriów i profesorów.

- Nie nudzisz się, ciociu? - spytała w pewnym momencie Aleksandra, dotykając dłoni Weroniki Lityńskiej.

- A niby dlaczego? - spytała tamta, odrywając wreszcie wzrok od Karola.

- Rozmawiamy wyłącznie o medycynie, a ty przecież nie jesteś lekarzem.

- Co z tego, skarbie, że nie jestem lekarzem, skoro znam się na chorobach lepiej niż niejeden doktor. Kto leczył cię z przeziębieni i opatrywał twoje skaleczenia? Poza tym w domu tylko o tym rozmawiacie. Przywykłam.

- Dwoje lekarzy w jednej rodzinie i być może w jednym domowym gabinecie! To dopiero będzie wyzwanie za parę lat - dodał Olaf, patrząc z czułością na córkę.

- To jest do przeżycia. Wiem coś o tym, bo mój ojciec i dziadek pracowali przecież kiedyś razem. Dobrze to pamiętam, ten ich wspólny gabinet w Warszawie. A ten gabinet był podobno w naszej rodzinie od pokoleń.

- Czy teraz pana dziadek pracuje w nim sam, skoro pana ojciec mieszka we Francji? A może dziadek czeka, aż jego wnuk skończy studia i odziedziczy po nim schedę? - zainteresował się mimo woli doktor Lityński.

- Nic z tych rzeczy. Gabinet został sprzedany - odparł Karol i nagle posmutniał.

- Tak tylko spytałem - rzekł Olaf, dostrzegłszy zmianę na twarzy i w zachowaniu przyjaciela córki. - Zresztą pan zapewne zechce wzorem ojca osiąść we Francji. To całkiem logiczne, zważywszy, że mieszka tu część pana rodziny.

- Mieszka tu mój ojciec i jego siostra - powiedział Karol i westchnął.

- Alicja? - Olaf zadał to krótkie pytanie i zaraz zamilkł, jakby pożałował, że tak się wyrwał.

Karola to trochę zaintrygowało i zdumiało.

- Pan ją znał? - zapytał i na ułamek sekundy dostrzegł zastanawiającą zmianę na twarzy tamtego.

- Trochę - odparł Lityński, jakby od niechcenia.

„Rzeczywiście - pomyślał Karol - co w tym dziwnego? Doktor Lityński, ojciec i stryj studiowali w Zurychu. Ciocia Alicja mieszkała na stałe w Paryżu. Mogło się zdarzyć, że przy jakiejś okazji poznali się”.

- Wszystko u niej w porządku? - zapytał wtedy Olaf i to spowodowało, że Karol przestał podchodzić obojętnie do znajomości doktora z jego ciotką. O nikogo z rodziny w ten sposób nie zapytał - ani o ojca, ani o stryja. Była w tym pytaniu ledwo tłumiona ciekawość, ale także autentyczna troska.

- Tak, wszystko z nią dobrze - odparł i zapragnął dodać coś więcej. - Wyszła za mąż i ma córkę. Myślę, że poznałby ją pan bez trudu. Wszyscy mówią, że jej wygląd prawie nie zmienia się od lat.

- Miło mi to słyszeć - odparł w zamyśleniu Lityński, a w jego oczach była teraz przeszłość i młodość.

- Pozdrowię ciocię od pana - dodał wobec tego przyjaznym tonem Karol, bo ujęło go pełne sentymentu spojrzenie tamtego.

Dlatego natychmiast poczuł zimny dreszcz, gdy usłyszał słowa doktora pozbawione cienia uczucia:

- Proszę tego nie robić... przynajmniej na razie.

- Zgoda - odparł chłopak, siłąc się na udawaną obojętność.

Ponieważ marcowy wieczór był ciepły i w powietrzu czuło się już wiosnę, postanowili przejść się trochę po Paryżu.

- Pójdźmy w kierunku dawnej wyspy Cité - zaproponował doktor. - Wiem, że mało to oryginalne, ale lubię to miejsce. Przypomina mi dawne czasy.

- Przypomina panu młodość - odpowiedział domyślnie Karol. - Mój ojciec też tak czasem mówi. Również lubi to miejsce.

- Dla cudzoziemców jest bardzo atrakcyjne.

- Nie tylko dla cudzoziemców. Moją ciocię trudno nazwać cudzoziemką, bo wychowała się tutaj. A jednak i ona zawsze lubiła przychodzić w okolice katedry Notre Dame.

- To akurat jest związane z jej pasją do historii. Zdziwiła mnie jej wiedza - odpowiedział doktor i zapatrzył się na katedrę.

Karol nie odpowiedział, zresztą Aleksandra i panna Weronika zaczęły rozmawiać z nim o czymś zupełnie innym. Mówił do nich, ale kątem oka obserwował Lityńskiego zapatrzonego w Notre Dame, potem na Sekwanę, a następnie na Saint-Chapelle. Był niemal pewny, że Olaf nie kontempluje wyłącznie uroku tego miejsca, że jego myśli nie kierują się wyłącznie ku średniowieczu francuskiemu.

Było w tym coś ujmującego i wzruszającego, zwłaszcza gdy Karol uświadomił sobie, że podobnie zapatrzeni w przeszłość, choć tę przedwojenną, byli jego rodzice, stryj i ciotka.

- To była piękna epoka - mawiali nieraz. - Życie toczyło się spokojniej i leniwiej. Było więcej czasu na refleksje i afirmację życia.

Tylko wuj Raul twierdził, że dla niego piękna epoka zaczęła się dopiero po wojnie, i to nie tylko ze względu na związek z Alicją, choć była to sprawa kluczowa - jak podkreślał z błyskiem w oku.

- Wcześniej, bywało, że się trochę dusiłem w tamtej atmosferze - tak kiedyś powiedział.

Wyglądało jednak na to, że ojciec Aleksandry był człowiekiem pokroju rodziców Karola i pozostałych jego krewnych.

„Nie byliście jedynie przypadkowymi kolegami ze studiów” - myślał teraz Karol, rzucając ukradkowe spojrzenia na Lityńskiego. „To musiało być

coś więcej, skoro miałeś okazję poznać pasje historyczne mojej ciotki”.

Nie chciał jednak zadawać pytań, by nie zniechęcić i nie splotzyć Olafa. Prawdopodobnie rzeczywiście stało się coś, co zakończyło przyjaźń między Matzera a tym miłym i interesującym człowiekiem. Ani ojciec, ani matka, ani nikt inny nie wspominał o nim. Pożegnali się w niezgodzie, jak on przecież sam powiedział.

Karol, zamyślony, nie dostyszał pytania, które zadała mu panna Weronika. Otrzeźwiło go dopiero lekkie, żartobliwe klepięcie w plecy przez Olę, a zarazem czujny i niespokojny wzrok doktora. Tak jakby Olaf chciał tym wzrokiem powstrzymać siostrę przed powtórzeniem pytania.

- Ciocia zapytała cię o coś. Co z tobą? - zawołała ze śmiechem Ola.

- Bardzo panią przepraszam. - Karol zmieszał się. - Zamyśliłem się.

- Pytałam pana o Janka Matzera - powtórzyła Weronika tym swoim ciepłym, niskim głosem i jednocześnie lekko zarumieniła się. - Jak mu się ułożyło życie? Ożenił się? Ma dzieci?

„A więc to tak!” - Karola olśniło, bo jego uwadze nie uszedł ani rumieniec na twarzy tej kobiety, ani wyraz jej oczu, gdy zadawała te pytania. Pewnie chciała je zadać przez cały wieczór, dlatego tak na niego patrzyła. Tyle że coś, albo ktoś, nie życzył sobie, aby te pytania wypowiedzieć na głos.

„Nie byliście zwykłymi kolegami ze studiów. Coś, co potem wydarzyło się między wami, musiało być sprawą poważną” - to już uważał za pewne.

Cholera, cholera. Cholera! Dlaczego musiało tak się stać w przypadku jego pierwszej naprawdę poważnej znajomości z dziewczyną? Wypadało jednak odpowiedzieć Weronice Lityńskiej.

- Stryj nie ożenił się i nie ma dzieci. Walczył na wojnie, został ciężko ranny. Potem brał udział w walce z bolszewikami. Dla mnie i mojego rodzeństwa był zawsze bohaterem. W dodatku to fantastyczny, wesoły i dobry człowiek.

- Tak - szepnęła w odpowiedzi tamta i zacisnęła dłoń.

- Wracajmy. Zrobiło się późno - zaproponował trochę zmienionym głosem Olaf.

I wtedy jego siostra zadała następne pytanie. Wyraźnie stłumiła w sobie jakąś obawę i zignorowała ostrzegawcze spojrzenie brata.

- A jak ułożyło się życie pańskiej drugiej ciotki?

- Drugiej ciotki? - Karol nie zrozumiał.

- Tak. Myślę o pana drugiej ciotce, o Basi Majewicz.

- Ach - roześmiał się - mówi pani o mojej matce.

Nagle śmiech uwiązał mu dosłownie w krtani. Jak ułożyło się jego matce? Co miał odpowiedzieć? Na litość boską! To ta kobieta знаła także jego matkę? Jego matkę, która prawie nigdy nie opuszczała Zaborowa?

Chciał zadać jej te pytania i wtedy zastanowiła go cisza, jaka zapadła po jego słowach. Tak jakby wokół ich czwórki nie było innych ludzi. Jakby nie stali w tym zjawiskowo pięknym miejsku Paryża. Co się stało?

- Basia Majewicz jest pana matką? - spytał cicho Olaf, jakby chciał się upewnić, czy dobrze usłyszał.

- Właściwie to Barbara Matzer. Moi rodzice są małżeństwem.

Starał się przywrócić nastrój wesołości i swobodnej atmosfery, czuł jednak narastający lęk. Gdzieś czaiło się coś groźnego, nie wiedział tylko co. Nie miał już zamiaru udawać, że tamte sprawy sprzed lat go nie interesują.

- Znaliście się wszyscy dobrze, prawda? - spytał cicho.

- Przez pewien czas rzeczywiście byliśmy dobrymi przyjaciółmi - odpowiedział po chwili z westchnieniem Olaf, gdy wreszcie rozważył, co ma powiedzieć i ile. - Potem poróżniliśmy się, jak to czasami bywa między młodymi ludźmi. Sam pan przecież wie, jak czasem blisko od przyjaźni do nienawiści. Dla pana i dla Oli nie powinno mieć to żadnego znaczenia. Pana rodzice i krewni ma pewno zapomnieli już o mnie i o całej sprawie. Ja sam zapomniałem. Życie ma swoje prawa. Nie ma sensu wracać do przeszłości. Trzeba żyć terażniejszością i przyszłością.

- Tak mawia wuj Raul. - Karol powiedział to bezwiednie.

- Wuj Raul? - Olaf zdziwił się na te słowa.

- Mąż ciotki Alicji, Raul Renet - wyjaśnił Karol i spytał ciekawie: - Jego też pan znał?

Lityński zamyślił się, jakby szukał czegoś w przeszłości, i po chwili zagadkowy uśmiech pojawił się na jego twarzy. Coś musiało go lekko rozbawić. Lekkim przytaknięciem głowy odpowiedział na pytanie Karola. Widać wspomnienie Raula nie było mu niemiłe.

Karol już miał zapytać, czy przynajmniej wujowi Raulowi można przekazać pozdrowienia od doktora Lityńskiego, ale w porę się powstrzymał. To pytanie mogło być odebrane jako prowokacja lub

złośliwość. Poza tym chyba ojciec Aleksandry miał rację. Przeszłość trzeba zakopać w grobie, z przeszłością nic się już nie da zrobić. On i Aleksandra mają prawo układać swoje życie bez oglądania się na to, co kiedyś wydarzyło się między ich rodzicami i krewnymi. To starsze pokolenie narozrabiało, niechże więc ono się teraz martwi, jak dostosować się do nowej rzeczywistości. Może zresztą pogodzą się wszyscy ze sobą? Może związek jego i Oli jest tu pewnym znakiem, że czas zawrzeć pokój, a nawet odnowić przyjaźń?

Zrobiło się naprawdę późno, więc postanowili wracać. Doktor zauważył nawet, że na całe szczęście jutro niedziela, gdyż w przeciwnym razie młodzi ludzie zaspaliby na wykłady.

Wtedy Weronika Lityńska zadała następne pytanie, które musiało ją nurtować:

- A pana matka nie przyjechała razem z mężem do Paryża? Odniosłam wrażenie, że mówił pan tylko o ojcu, że mieszka pan tu tylko z ojcem.

Karolowi pociemniało w oczach. Nie miał zamiaru opowiadać tym ludziom o wszystkim. Doktor Lityński też przecież nie mówił wszystkiego. Kiedyś być może Lityńscy dowiedzą się, jak się sprawy mają w rodzinie Matzerów. Jednak nie dziś, dziś Karol nie był na to gotowy.

- Matka została w swoim majątku - odparł po prostu.

- W Zaborowie?

Jakie miała dziwne spojrzenie ta na pozór tak sympatyczna ciotka Aleksandry.

- Co cię to obchodzi? - Słowa Lityńskiego skierowane do siostry były wyjątkowo ostro artykułowane. - Dajmy już temu spokój.

- Poznała pani Zaborów? - zapytał wtedy Karol, bo zrobiło mu się żal tej kobiety, która najwyraźniej wiązała kiedyś jakieś nadzieje ze stryjem Jankiem, a teraz, pod wpływem słów brata, poczerwieniała i zamilkła.

- Nie zdążyłam - odparła cicho i odwróciła wzrok.

Doktor Lityński i jego siostra wyjechali z Paryża trzy dni później.

Rozdział 115

- Wygląda na to, że to poważna znajomość - mówił Robert do Ali, gdy przyszła wraz z Raulem na proszoną kolację do brata.

Karol miał tego wieczoru przedstawić im swoją dziewczynę i właśnie oczekiwali ich przybycia. Wszyscy żartowali, ale nie ulegało wątpliwości, że byli też nieco podminowani głównym punktem wieczoru.

- Naprawdę jesteście już tacy starzy? - powiedziała z westchnieniem Ala, zerkając spod oka na odświętnie ubraną Josephine, która dyrygowała przygotowaniami niczym pani domu. Potwierdzało to, zdaniem Ali, jej przypuszczenia co do dodatkowej roli, jaką tamta odgrywała w domu i w życiu jej brata. Mniejsza z tym jednak. Robert już dawno przekroczył granice.

- Ani się obejrzymy, moja staruszeko, jak Alan i Ralf przyprowadzą swoje dziewczyny do naszego domu - odparł ze śmiechem Raul, całując ją długo i namiętnie w usta.

Raul nigdy nie przejmował się w takich sytuacjach obecnością innych ludzi. Co więcej - wszyscy przyzwyczaili się już do tego i uważali, że okazywanie takiej miłości i zainteresowania żonie jest czymś fascynującym.

- Ciekawe, co powiesz, gdy Nicole przestawi ci obiekt swoich uczuć - rzekła podstępnie Ala, gdy już mogła przemówić.

Zmienił się zaraz na twarzy i poruszył brwiami, co bardzo ubawiło resztę. Nicole zajmowała w jego sercu miejsce szczególne. Zamiast niego odpowiedział wesoło Robert:

- Ja nie pozwolę pierwszemu lepszemu ruszyć którejkolwiek z moich córek bez mojego specjalnego pozwolenia. To będzie bardzo specjalne pozwolenie.

- Obawiam się, że tylko wystraszymy tę biedną dziewczynę - powiedziała Ala. - Zobaczysz nas wszystkich i ucieknie. Nadal uważam, że na pierwszym spotkaniu powinienes być tylko ty, Sylwia i... - urwała.

Miała na myśli Basię. Wiedziała jednak, że to akurat było niemożliwe do wykonania. Barbara dawno temu dała jasno do zrozumienia, że nie życzy sobie żadnych kontaktów. Nikt z nich nie miał teraz ani odwagi, ani ochoty, by proponować jej spotkanie. Zwłaszcza że w tym domu mieszkała Sylwia,

a o tej dziewczynce Barbara również przed laty wyraziła się dosadnie. O kręcącej się w uroczystym stroju atrakcyjnej pomocy domowej nawet nie warto było w tym kontekście wspominać.

Na odgłos kołatki stukającej do drzwi wszyscy poderwali się z miejsc, a Josephine czym prędzej pobiegła otworzyć.

- Jak wyglądam? Wszystkie guziki prawidłowo pozapinane? - Robert mrugnął do siostry, a Raul parsknął wtedy śmiechem.

- Bardzo przystojny z ciebie świekr - odparła czule Ala, maskując własny niepokój.

Miała tu niemal zastąpić matkę chłopaka. Na szczęście ona, a nie Josephine.

Do salonu weszło czworo młodych ludzi, bo wraz z Karolem i Aleksandrą przyszedł także obaj synowie Raula - dokładnie tak, jak to było zaplanowane.

- Piękna bestia - szepnął do ucha Ali Raul, a ona, choć zmieszana, musiała się zgodzić.

Dziewczyna może nie miała klasycznie pięknych rysów twarzy, ale cały szereg innych przymiotów skutecznie maskował te braki. Była wysoka, wyprostowana.

„Ma postawę królowej” - pomyślała wtedy Ala. „Dokładnie tak, jakby urodziła się i wychowała w arystokratycznej rodzinie przedrewolucyjnej Francji”.

Poruszała się w sposób dystyngowany, a zarazem bardzo kobiecy. Miała piękne szare oczy, jasną karnację, a bujne włosy w kolorze szczerzego złota związane były w gruby węzeł. Nie była widać niewolnicą mody, która protegowała raczej krócej obcięte fryzury.

Ala pomyślała, że dziewczyna w pewnym sensie przypominała jej młodą Basię, wtedy jeszcze Majewicz, chociaż tamta nie poruszała się nigdy w sposób tak dystyngowany. Nie miała też biedna Basia żadnego obycia towarzyskiego i umiejętności interesującej konwersacji. Ta dziewczyna podobne umiejętności posiadała, ale o tym mieli się wszyscy przekonać dopiero za parę minut. Nie była też w ogóle stremowana widokiem kilku osób z rodziny, zatem nie mogło być mowy o ucieczce ze strachu. Młoda dama doskonale panowała nad sytuacją. Aż trudno było uwierzyć, że była niemal rok młodsza od Karola. Zachowywała się bowiem jak dojrzała kobieta.

„Właściwie ja też taka byłam w jej wieku” - przyszło naraz do głowy Ali. „Tyle że moje zachowanie było bardziej spontaniczne. Ona wydaje się taka chłodna. Lecz może i ja wydawałam się taka, zwłaszcza kobietom, które mnie bliżej nie znały. Mój Boże, jaka musiałam się wydać matce Oliwera, biednej pani Harthwith, gdy wymądrzałam się przed nią podczas naszego jedyne go spotkania. Też byłam chłodna i oficjalna. Wręcz lodowata jak dwudziestostopniowy mróz!”

Uśmiechnęła się ciepło do Aleksandry, gdy Karol podprowadził ją do niej. Potem, kiedy wszyscy zasiedli do kolacji, tknęło ją, że przy prezentacji nie padło nazwisko gościa. Może teraz taka moda?

„Nie nadaję się do tych czasów, nie nadążam za zmianami” - pomyślała Ala, ale postanowiła nadążać przynajmniej za konwersacją, dziewczyna była bowiem błyskotliwym rozmówcą i z każdym przy stole prowadziła ożywiony dialog. Ponieważ była córką polskiej rodziny od dwóch pokoleń mieszkającej w Szwajcarii, potrafiła rozmawiać biegle i po francusku, i po niemiecku, a także po polsku. Starali się więc rozmawiać po polsku, choć Raul i jego synowie nie wszystko rozumieli.

- Alice, to jest moja żona, robiła, co mogła, aby nauczyć nas języka swoich przodków. Niestety nie wszystkie jej nauczycielskie wysiłki zostały uwiecznione sukcesem - usprawiedliwiał się Raul.

Wobec tego czasami przechodzili na francuski, zwłaszcza że usługująca przy stole Josephine żadnego innego języka nie znała.

Potem Ala na prośbę pozostałych zasiadła do swojego starego fortepianu, a Aleksandra zachwyciła się jej grą.

- Ja wolałam skrzypce, chociaż ojciec długo upierał się przy klasie fortepianowej - powiedziała, gdy skończyła komplementować grę ciotki Karola.

- Uczęszczała pani do szkoły muzycznej? - zainteresowała się Ala.

- Tak. Ojcu na tym zależało, bo ja wtedy nie bardzo wiedziałam, czego chcę. Nie mogłam sobie znaleźć miejsca po śmierci mamy. Tata bardzo martwił się o mnie i wtedy ktoś podpowiedział mu takie rozwiązanie. Posłać mnie do szkoły muzycznej, znaleźć dla mnie pasję, która wypełni mi czas i oddali chociaż trochę od smutku. Oczywiście nie było już mowy, aby wykreować mnie na artystkę. Nie miałam też wielkiego talentu. Muzyka jednak podziała na mnie jak najlepsza terapia. Przez kilka lat uczęszczałam

do klasy skrzypiec, a potem i tak wybrałam inną drogę i inne studia.

- W jaki sposób przekonała pani ojca, który przecież namawiał panią na fortepian?

Dziewczyna machnęła ręką w geście żartobliwego pobłażania.

- Zawsze umiałam w końcu przekonać ojca do moich racji. Dla niego zresztą nauczyłam się też grać na fortepianie. Ale to głównie jeden z profesorów, który brał udział we wstępnej kwalifikacji, przekonał tatę. „Panie Lityński - powiedział - to dziecko jest urodzone do skrzypiec”.

Nagle Aleksandra przerwała przestraszona, ale było już za późno. Twarz Ali zrobiła się biała jak płótno, a w salonie zapadła cisza.

- Czy wymieniła pani nazwisko „Lityński”? - spytał cicho, z pozornym spokojem Robert.

Aleksandra i Karol wymienili między sobą szybkie spojrzenia i niemal jednocześnie skinęli głowami. Tak jakby podjęli solidarnie ważną decyzję.

- Tak - powiedziała dziewczyna. - Przepraszam, że od razu na początku spotkania nie powiedziałam mojego nazwiska.

- Nawet nie zwróciłem na to uwagi... - Robert pokręcił głową i zawahał się.

- Nie męcz się, tato. Wiemy, o co chcesz zapytać - odezwał się Karol. - Już to przerobiliśmy podczas spotkania z ojcem i ciotką Aleksandry. To nie zbieżność nazwisk. Ola jest córką doktora Olafa Lityńskiego, twojego dawnego kolegi, czy też przyjaciela, ze studiów.

Rzuciwszy wreszcie tę bombę, odetchnął z ulgą i rozejrzał się, jak poważne wywołało to zniszczenia. Wszyscy przeżyli, tylko Alicja była nadal bardzo biała.

- Nie chcieliśmy mówić wam tego od razu podczas pierwszego spotkania - dodał, upewniwszy się, że pierwsze wrażenie minęło. - Pan Lityński prosił, aby was na razie nie informować, nie niepokoić. Wspomniął, że nie rozstaliście w zgodzie, więc na pewno nie będziecie, przynajmniej początkowo, zadowoleni.

- To ja się wygadałam, to moja wina - rzekła bliska płaczu Aleksandra, czym rozczuliła Alę.

Ta dziewczyna przestała zachowywać się jak dojrzała kobieta z dużym zapasem doświadczeń życiowych. Była teraz dziewiętnastolatką, pełną uroku młodości, niedoświadczoną dziewczyną, którą niekiedy życie przerasta,

która potrzebuje pomocy. Bała się i była w tym taka urocza.

- Dobrze, że pani to powiedziała - rzekł łagodnie Robert. - Przynajmniej wiemy, na czym stoimy.

Karol miał ochotę go uściskać i byłby to zrobił, gdyby wyraz twarzy ojca nie zatrzymał go na miejscu. Coś jednak było nie tak. Rozmowa nie toczyła się tak rażno jak wcześniej, chociaż wszyscy bardzo się starali. Wreszcie zrozumieli, że najlepiej będzie zakończyć już spotkanie.

- Już późno. - Pierwszy odważył się Raul. - Powinniśmy wracać. Mała Nicole pada ze zmęczenia.

Oszkalowana w ten sposób ośmioletnia już prawie Nicole zaczęła wtedy protestować i wyrażać swoje niezadowolenie, ale Raul tym razem był wobec niej nieugięty.

- Idziemy z wami. - Alan wskazał na brata i obaj również podnieśli się z krzeseł.

Nicole to trochę uspokoiło. Od dawna bowiem oburzało ją, że jej bracia mieli więcej swobody i mogli czasami później wracać do domu.

- Ja także już pójdę - wymamrotała Aleksandra, która straciła już ochotę na elokwentną rozmowę.

- Odprowadzę cię. - Karol skierował się do drzwi, a Robert skinął mu głową.

- Miło mi było panią poznać. - Robert uściśnął dłoń dziewczyny i popatrzył jej uważnie w oczy.

- Niech pan mówi do mnie po imieniu - poprosiła go impulsywnie, a on uśmiechnął się i skinął niezobowiązująco głową.

- Masz miłą rodzinę - skomentowała w drodze powrotnej Aleksandra.

- Też ich lubię - odparł Karol i zorientowawszy się, że na ulicy jest niewielu ludzi i nikt im się nie przygląda, przygarnął ją do siebie i pocałował.

- Dobrze, że mamy to już za sobą - powiedziała, śmiejąc się. - Byli zaskoczeni i wyraźnie zbici z tropu, ale w sumie przyjęli to z klasą.

- Pozbierają się - odparł, całując ją coraz zachłanniej.

Przestał jednak, gdyż zza rogu wyłoniła się jakaś starsza wiekowo para, która popatrzyła na niego i Aleksandrę z oburzeniem.

Śmiejąc się, ruszyli dalej.

- Twój ojciec jest zniewalającym mężczyzną - mówiła Ola. - Od razu

zakochałam się w nim, więc uważaj.

- Fakt, nigdy nie miał kłopotów z zainteresowaniem ze strony kobiet - mruknął.

- Ejże! Jesteś zazdrosny? - Tym razem to ona go pocałowała.

- Grunt, że spodobałaś się im. Nawet wtedy, gdy wygadałaś się z waszym nazwiskiem. Rozbroiłaś ich zaraz tym swoim zażawionym głosikiem.

Zatrzymał się i parodiując cienki dziewczęcy głosik, przemówił:

- To ja się wygadałam, to moja wina.

Chwyciła go za rękę i śmiejąc się do rozpuku, zawołała:

- Wariat! Kompletny wariat! Jestem po prostu utalentowana i potrafię zagrać wystraszoną dziewczynkę. Jeżeli nie skończę medycyny, to zostanę aktorką.

Ruszyli przed siebie, nie spiesząc się jednak.

- Podobała mi się też twoja ciocia - zaczęła Aleksandra, ale już spokojnym głosem. - Tak sobie pomyślałam, czy ta dziewczyna, którą ojciec stawiał mi za wzór... No wiesz, opowiadałam ci... Taka samodzielna, niekonwencjonalna, utalentowana... Może to chodzi o twoją ciocię? Pamiętasz, jak o niej mówił mój ojciec podczas naszego spotkania? Ty też wtedy doszedłeś do wniosku, że mógł do niej coś czuć, gdy byli młodszy. A ona dzisiaj tak bardzo zbladła, gdy powiedziałam swoje nazwisko. Jestem pewna, że zapytałaby o ojca, gdyby nie obecność męża.

- Nie zapędzaj się. Ona i wuj Raul świata poza sobą nie widzą.

- To przecież widać. On zresztą też mi się spodobał. Aż dziwne, że mają tylko jedno dziecko.

- Ciocia miała jakieś komplikacje po porodzie. Omal nie umarła. Podobno nie mogła mieć już więcej dzieci, ale o tym sza... Zabiłaby mnie, gdyby się dowiedziała, że o tym mówię.

- Mówisz o tym mnie. - Objęła go czule na moment, zanim kto inny na ulicy spojrział na nich krytycznie.

- Teraz będą to przez jakiś czas przeżywać, tak jak twój ojciec i ciotka. My już nie mamy nic do tego, to ich sprawa - odpowiedział.

Wrócił do domu dobrze po północy i zachowywał się jak mógł najciszej, przekonany, że ojciec i Sylwia już dawno śpią. Okazało się jednak, że ojciec nie spał jeszcze, lecz siedział w swoim gabinecie i wszystko wskazywało na

to, że na niego czekał.

- O rany, tato - zawołał, zaglądając do pokoju. - Nie zaczynaj od nowa z tym czekaniem na mnie, aż wrócę do domu. Skończyłem dwadzieścia lat. Co zrobisz, gdy Sylwia zacznie wychodzić wieczorami? Umrzesz wtedy na zawał z nerwów.

- Wejdz do środka i zamknij za sobą drzwi - odpowiedział Robert.

- Teraz, o tej porze chcesz ze mną rozmawiać? - Karol domyślał się, o co chodzi. Nie miał na razie ochoty ani na pytania, ani na zwierzenia. Nie wszystko naraz.

Kochał jednak ojca i nauczony był posłuszeństwa wobec niego, toteż, wzdychając ciężko i nieco teatralnie, spełnił jego polecenie.

- Poznałeś zatem ojca twojej dziewczyny... Poznałeś doktora Olafa Lityńskiego... - To nie było pytanie, tylko stwierdzenie faktu.

- Tak, dwa tygodnie temu. Przecież wiesz.

Karol zauważył, że ojciec nie jest wściekły, ale dziwnie zaniepokojony i chyba trochę przygnębiony, bardziej jednak niż Lityński. Zaprzagnął mu jakoś pomóc, dodać otuchy.

- Też się początkowo zdenerwowałem - wyjaśnił, wspominając Lityńskiego.

- Niewiele powiedział, ale coś tam zebrałem do kupy. Byliście przyjaciółmi: ty, stryj, ciocia. Znał też mamę. Jego siostra was znała. Pytała o stryja i o mamę. Potem mieliście jakiś problem. Nie wiem jaki, ale przestaliście się przyjaźnić. Przestaliście się widywać. Nigdy o nim od was nie słyszałem. Ola nie słyszała nic o nas. Wzajemnie o sobie zapomnieliście. Przykre, ale nie warto robić z tego dramatu... po tylu latach.

- Nigdy o nim nie zapominałem - odpowiedział natychmiast Robert. - Jestem pewien, że nikt z nas nie zapomniał. A Alicja nigdy nie przyjaźniła się z nim. Ona jedyna z nas nie chciała z nim bliższej znajomości.

Karol znieruchomiał i na moment zaniemówił. Patrzył na ojca szeroko otwartymi oczami. Nic z tego nie rozumiał. Nic się nie zgadzało. W wersji doktora Lityńskiego wszystko wyglądało inaczej. Cała beztroska, jaka towarzyszyła jego rozmowie z Aleksandrą, zniknęła bez śladu. Coś mu podpowiadało, że może nie być dobrze, że zaczynają się prawdziwe kłopoty.

- Jak długo znasz tę dziewczynę? - spytał po chwili Robert.

- Jak długo ją znam czy jak długo spotykam się z nią? - spytał zaczepnie Karol, chociaż nigdy nie używał tego tonu w rozmowach z ojcem. Odczuwał

jednak coraz większy strach, chociaż nie potrafił określić przyczyny tego stanu rzeczy. Dlatego tak właśnie reagował.

- Nie możesz mi odpowiedzieć? - zapytał, mimo wszystko spokojnie, Robert.

- Poznaliśmy się rok temu. Potem już szybko poszło...

- Co to znaczy: szybko poszło? - Robert zmierzył go przenikliwym wzrokiem. A Karolowi ponownie wyrosły kolce.

- Sam się domyśl - burknął Karol, który nie poznawał samego siebie.

Dlaczego pytania ojca aż tak go irytowały?

- Jak daleko posunąłeś się w stosunku do niej? - zapytał Robert, i tym razem w jego głosie pojawiło się coś niebezpiecznego.

Karol wiedział już, co go tak zdenerwowało. Nie wytrzymał i krzyknął:

- Co cię to obchodzi?! Ja ciebie nie pytałem, co robiłeś z panną Perrier!
Co robisz z Josephine!

Myślał, że tym razem ojciec go uderzy. Robert bowiem zmienił się na twarzy, a w jego oczach pojawiła się groźba. Karolowi przeszła cała złość i najchętniej sam siebie by uderzył. Robert jednak założył obie ręce za głowę i odwrócił się do okna.

- Przepraszam, tato - wymamrotał niewyraźnie syn.

Robert kiwnął niedbale głową i nie patrzył na niego.

- O co chodzi, tato? Myślałem, że ją polubiłeś.

- Tak - odparł Robert - jest bardzo miła i niegłupia, naprawdę.

- Więc?

Robert wstał i podszedł do tego chłopaka, którego od początku uważał za syna. Już nie miał w oczach gniewu, tylko strach i żal. Karol widział to teraz z całą wyrazistością.

- Porozmawiaj o tym z mamą. Powiedz jej wszystko - poprosił cicho Robert.

Nie podnosił głosu. Nie miał pretensji. Prosił. Karol nie potrafił sobie jednak wyobrazić podobnej rozmowy z matką. Zresztą w jakim celu miałyby to robić i jak? Nie zamierzał w najbliższym czasie odbywać podróży do Zaborowa, a nie miał zamiaru opisywać wszystkiego w liście.

- Tato, po co ten cały melodramat? Powiem jej, ale za jakiś czas... Pojadę w lipcu na dwa tygodnie do Zaborowa, to z nią porozmawiam. Naprawdę wcześniej nie mam na to ochoty. Skoro ty robisz z tego taki problem, to co

dopiero ona...

- Nie czekaj z tym do lipca. Jedź do niej na przerwę wielkanocną. Powiedz jej jak najszybciej.

Karol poczuł, że włosy unoszą mu się na głowie ze strachu. Może gdyby prowadzili tę rozmowę w dzień, byłoby mniej groźnie.

- Co ma do tego mama? - spytał trochę ochrypłym głosem. - Nie będę z nią rozmawiał, jeśli nie usłyszę tego najpierw od ciebie. Odebrałeś mi resztkę spokoju...

Robert milczał i ponownie odwrócił wzrok od chłopaka. Wreszcie Karol wzruszył ramionami. Nie będzie się tym przejmował. To ich sprawy, nie jego. To nie dziewiętnasty wiek, aby musiał prowadzić długotrwałe negocjacje z rodzicami na temat tego, czy w wieku dwudziestu lat może spotykać się z tą lub inną dziewczyną.

- Jak chcesz, tato - powiedział w końcu, po czym wstał i skierował się do wyjścia.

- Matka była narzeczoną doktora Olafa Lityńskiego - usłyszał wtedy i stanął nieruchomo przy samych drzwiach.

- Mama? - zapytał bezwiednie.

- Mieli się pobrać, ale doszło do awantury i zaręczyny zostały zerwane.

- Robert cały czas był odwrócony do okna, nie patrzył na syna.

Karol ponownie zamknął drzwi i zbliżył się do ojca.

- A potem? - spytał. - Co się stało potem?

- Potem twoja matka wyszła za mnie - odparł Robert i Karol wyraźnie już widział wyraz rezygnacji i żalu na jego twarzy.

- Myślałem, że to... że to raczej ciocia Alicja... - Nie mógł dokończyć.

- Ala? - Robert prawie się roześmiał gorzko. - Przecież ci już mówiłem, że ona go nie zносиła.

Karol zastanowił się na chwilę. Emocje ponownie opadły.

- Właściwie, to jakie to ma znaczenie? - rzekł już spokojnym, opanowanym głosem. - Byli narzeczonymi, ale pokłócili się i zerwali. Jak wielu ludzi na świecie. To tylko jedna taka historia więcej, w dodatku sprzed wojny światowej. A wy tak bardzo przejęliście się tym. Strasznie jesteście sentymentalni, jeśli chodzi o tamte czasy.

Robert przejechał dłonią po włosach syna, co Karol kiedyś tak lubił. Tak tęsknił za tym ojcowskim gestem. Tak tęsknił za ojcem. Całe życie.

- Porozmawiaj z mamą.
- Porozmawiam. Później.

Postanowił za jednym zamachem wyłożyć ojcu wszystkie karty na stół. I tak noc miał już z głowy.

- Na Wielkanoc rodzina Oli zaprosiła mnie do Szwajcarii. Nigdy tam nie byłem, a teraz przynajmniej wiem, dlaczego nie chcieliście, abym tam studiował. Chociaż Olę poznałem tutaj, w Paryżu, a tam nie wiadomo, czy natknęlibyśmy się na siebie. Widzisz, tato, to jest przeznaczenie. Mam nadzieję, że nie gniewasz się o tę Wielkanoc. Dla ciebie te wszystkie chrześcijańskie święta nie mają znaczenia. Skoro nie wierzysz w Boga, nie wierzysz też w jego Zmartwychwstanie.

Ucałował milczącego Roberta w czoło i wyszedł.

- Ależ ja wierzę w Boga - powiedział cicho Robert, patrząc na zamknięte drzwi, za którymi zniknął Karol. - Tyle że nie chcę mieć z nim nic wspólnego, podobnie jak on ze mną.

A potem napisał list do Barbary. Wiedział, że przekłębą go po raz kolejny, gdyby tego nie zrobił. I miałyby rację.

Rozdział 116

...Powiedziałaś mi wtedy, że są takie tajemnice, które zaczynają w końcu szeptać. Wymogłam na Tobie przysięgę, z której teraz Cię zwalniam. Nie mam jak porozmawiać z moim synem, bo w tej chwili jest daleko ode mnie, ale to zrobię. To moja rzecz i muszę sobie z tym poradzić. Ty już nie musisz zaprzeczać, jeśli mój syn będzie chciał zapytać również Ciebie. Proszę Cię o co innego, bo tego nie zdołam uczynić. Porozmawiaj z Lityńskim. Powiedz mu prawdę, jeśli zajdzie taka potrzeba. Zrób to jednak dopiero wtedy, gdy nie będzie innego wyjścia. O to samo poprosiłam Janka i Roberta. Nie chcę, aby on albo jego córka szukali kontaktu z moim synem...

- To pierwszy od dziewięciu lat list, jaki od niej dostałam - szepnęła Ala, gdy razem z Robertem i Raulem siedzieli przy kominku nad pismem od Barbary.

- Pisała pod wpływem skrajnych emocji - zawyrokował Robert. - Nie przejmuj się. Ty przynajmniej nie umoczyłaś się w tym.

„Nie umoczyłaś się? Co to za wyrażenie? Ależ byłam w to umoczona, i to w dosłownym tego słowa rozumieniu” - pomyślała Ala w nagłym przebieżeniu świadomości.

- Tak jest. Trzymaj się od tego z daleka. Wystarczy już stresów w twoim życiu. Musisz uważać na serce - poparł szwagra Raul, którego już wtajemniczono w całą historię.

- Napisała jednak do mnie. Może jest to jakaś droga do porozumienia - próbowała słabo oponować. Sama jednak nie miała ochoty na to, o co prosiła ją Barbara.

- Jakiego porozumienia? Nie pamiętasz, co ci napisała, gdy zapraszałaś ją na ślub?

- Tak. - Skinęła głową. - Ale wtedy żyła jeszcze...

Zadrzał jej głos i nie mogła dokończyć, bo znowu wszystko wróciło. Robert delikatnie położył dłoń na jej czole i ten gest ją uspokoił.

- Raul ma rację. Musisz uważać na siebie. Jak niby miałybyś rozmawiać z Olafem? Nie ty nawarzyłaś tego piwa.

„Nawarzyłam” - pomyślała z goryczą, ale tego powiedzieć nie mogła. Tego Robert nie wiedział.

- Kiedy Karol wraca ze Szwajcarii? - spytała.

- Za dwa dni. Nie mogłem zapobiec jego wyjazdowi. Pierwszy raz mnie nie posłuchał... - Robert rozłożył bezradnie ręce.

- Chyba musisz przyzwyczać się do tego - odparł z uśmiechem Raul. - Wszystkich nas do czeka, jeśli chodzi o nasze dorastające lub dorosłe dzieci. Alice na ten przykład, gdy była w wieku naszych synów, nigdy nie słuchała rodziny. Zaczęła to robić później. I wtedy zaczęły się jej kłopoty ze zdrowiem.

- Daj już spokój - odparła niecierpliwie Ala.

Nie czuła się jednak dobrze, odkąd usłyszała nazwisko Aleksandry. A najgorsze, że znowu nic nie mogła zrobić, choć kolejny raz tego od niej oczekiwano. Barbara prosiła ją o pomoc, tak jak dziesięć lat temu, gdy sypało się jej małżeństwo. A ona, Alicja, była dziś tak samo bezradna jak wówczas.

- Mówiłam jej, że ukrywanie prawdy może się nie udać. Ostrzegałam.

- Jak wszyscy - przytaknęła Robert. - Nic by się nie stało, gdyby Karol o wszystkim wiedział wcześniej. Niedobrze też, że o niczym nie wiedział Olaf. Uparła się jednak i nie mieliśmy sumienia z tym walczyć. Pamiętasz, w jakim wtedy była stanie, w jakiej rozsypce.

- Wtedy była już zakochana w tobie - sprostowała Ala w możliwie najłagodniejszy sposób, na jaki mogła się zdobyć.

- Uparła się i ustąpiliśmy właściwie bez walki - kontynuował Robert, jakby nie słysząc słów siostry. - Nigdy jednak nie przypuszczałem, że po latach stanie się coś takiego.

- Nie ma sensu cały czas lamentować w kółko nad tym samym - zawyrokował trzeźwo Raul. - Mleko już się rozlało. Jedno nie ulega wątpliwości. Te dzieciaki muszą z tym skończyć. A jedyny sposób to powiedzieć tamtemu facetowi prawdę. I to jak najszybciej.

- Młodzi nadal będą razem chodzić na wykłady.

- Tym zajmiecie się już razem z jej ojcem, ale później.

Robert podszedł do stołu i nalał każdemu po kieliszku porto. Nie było ku temu specjalnie radosnej okazji, ale chciał zająć się czymkolwiek choć na chwilę. Od dwóch tygodni, od tamtej kolacji nie potrafił znaleźć sobie

miejsca.

- Wypijmy za kolejną rodzinną katastrofę - powiedział, podając kieliszki siostrze i szwagrowi. - Właściwie powinniśmy już do nich przywyknąć. - Po chwili zaś, patrząc to na jedno, to na drugie, dodał: - Napiszę do niego i zaproponuję spotkanie.

*

Drzwi otworzyła Weronika Lityńska i stanęła w nich jak zaczarowana. Poznała go natychmiast i nie była zdolna wykonać żadnego ruchu, przemówić ani jednego słowa.

- Tak na pewno wyglądała żona Lota, gdy zapragnęła raz jeszcze spojrzeć na swoje miasto. Nigdy nie wierzyłem w tę opowieść, ale teraz widzę, że takie ludzkie reakcje są jednak możliwe - zażartował po staremu, aby ukryć nagłe wzruszenie na jej widok.

- To musi być sen - szepnęła z niedowierzaniem.

- Jeśli to jednak nie sen, to wpuść mnie do środka, bo jestem pewien, że sąsiedzi za tamtymi drzwiami usiłują nas podsłuchać.

Pospiesznie wprowadziła go do środka i zamknęła drzwi. Stali naprzeciw siebie i patrzyli bez słowa. Ona pierwsza przerwała milczenie.

- Karol mówił, że byłeś ciężko ranny - wyszeptala i, najdelikatniej jak mogła, dotknęła opaski na jego oku.

Chwycił pospiesznie jej dłoń i przyłożył ją do swojego policzka, a Weronika rozszlochała się już na dobre,

- Tyle lat... O Boże... Dlaczego nie uprzedziłeś, że przyjedziesz? Ryzykowałeś, że nikogo nie zastaniesz.

- Ryzykowałem, ale uznałem, że lepiej nie uprzedzać.

- Skąd wiedziałeś, że nadal tu mieszkamy?

- Karol opowiedział o swojej wielkanocnej wizycie u was.

Spojrzeli na siebie uważnie i jak dawniej w lot się zrozumieli.

- Przyjechałeś z powodu tego chłopca - stwierdziła i oczy jej przygasły.

- Robert chciał to zrobić - odparł i dotknął dłonią jej twarzy. - Powiedziałem mu jednak, że i tak wybieram się w podróż służbową do Genewy, więc mogę zahaczyć o Zurych. Zgodził się w końcu, bo jego córka złapała paskudny bronchit i musiał zostać w domu.

- Rozumiem.

- Nie rozumiesz jeszcze, dlaczego musiałem, a jednocześnie pragnąłem, tu przyjechać?

- Wejźmy do bawialni - odparła, walcząc jeszcze ze łzami. - Pamiętasz jeszcze, gdzie była nasza bawialnia?

- Poczekaj - odparł i otoczywszy ją ramionami, całował jej usta, twarz i oczy. - Żaden już ze mnie mężczyzna - powiedział - ale przy tobie wszystko jest jak dawniej.

- Boże... Janek, tyle lat! Ani jednego słowa, ani jednego spotkania!

- Wiesz dlaczego...

- Wiem... ale i tak bolało.

- Pytałaś o mnie Karola...

- Czy mogłam nie zapytać?!

Za drzwi prowadzących do pomieszczeń gospodarczych wychyliła się ciekawie kucharka.

- Chodźmy już do bawialni - powiedziała Weronika i uśmiechnęła się wreszcie.

- Czy Olaf jest w domu?

- Wróci za dwie godziny. Chcesz się z nim spotkać, prawda?

- Tak, chcę. Ty wiesz, o co chodzi.

- Poczekaj, zjesz coś - odpowiedziała, nie komentując jego słów.

- Nie trzeba. Napiję się herbaty. Pamiętam, że to był jedyny dom w tej części Europy, gdzie można się było napić sensownej herbaty.

Poderwała się z miejsca i chciała, jak dawniej, pobiec do kuchni, ale ponownie chwycił ją za ręce i przygarnął do siebie. Siedział już na krześle, a ona stała, a ponieważ była niewysoka, tulił się do jej ramion i piersi.

- Jest jak dawniej. To nieprawda, że przeszłość nie wraca - szeptał.

- Wtedy byliśmy jednak tacy młodzi. - Myślała, że powie to ze smutkiem i melancholią, ale ku swemu zdumieniu we własnym głosie usłyszała entuzjazm.

- Wtedy byliśmy wszyscy tacy głupi, to pewnie chciałaś powiedzieć. A młodzi jesteśmy teraz.

Siedzieli potem przy stole, przy herbacie i cięście, i trzymali się za ręce.

- Kiedy twój bratanek powiedział mi o tobie, wstąpiło we mnie nowe życie.

- Mnie mówił o tobie, patrząc mi przenikliwie w oczy, tym głupowato-domyślnym spojrzeniem dwudziestoletniego smarkacza.

- Spryciarz! Jestem pewna, że to ja pozwoliłam mu wszystkiego się domyślić.

Jaś przestał się śmiać i popatrzył na nią z powagą. Nie było sensu odkładać rozmowy na temat drugiego celu jego przybycia. Pierwszym celem była Weronika. Jednak bez tego drugiego powodu nadal by tu nie przyjechał.

- Tak naprawdę to jest twój bratanek, nie mój.

- Domyślam się - odpowiedziała cicho i ścisnęła mocniej jego dłoń.

- Olaf niczego się nie domyśla?

- Widocznie kobiety są bardziej domyślne od mężczyzn. - Nagle przemogła się i zapytała już silniejszym głosem: - Dlaczego nie powiedziała o tym mojemu bratu? Dlaczego wszystko zerwała? Pamiętasz? Mieliśmy podczas ich wesela ogłosić nasze zaręczyny. Mieliśmy ich wszystkich zaskoczyć. Mieliśmy się śmiać z ich głupich min! Nikt nic o nas nie wiedział!

- Widocznie byliśmy sprytniejsi od twojego brata. On dał się przyłapać jak dzieciak. Boże, Weroniko, to było piekło!

Odsunął ją trochę od siebie i patrząc w okno, opowiadał. Słuchała ze ściśniętym sercem, nie przerywając. Nigdy nie przerywała, gdy do niej mówił.

- Twój brat nie kochał Basi. Potrzebował jej pieniędzy. Teraz nie podobają ci się moje słowa, ale potem na spokojnie i bez emocji rozważ je. Przyznasz mi rację. Co gorsza, zdradzał ją z kim popadło. W grę wchodziła też jakaś kobieta, w której musiał być naprawdę zakochany. Zamierzał z nią żyć na koszt Barbary. Basia podobno miała na to dowody, a Olaf do wszystkiego się przyznał. W tych warunkach ślub musiał być odwołany. Rozumiem, że nie powiedział ci o tym. Nic dziwnego, nie miał się czym chwalić.

- Rodzice domyślali się chyba, o co poszło - odparła z westchnieniem. - Ojciec zrobił mu straszną awanturę. Razem z matką bardzo to przeżyli, bo polubili Barbarę, gdy przyjechała tu ze swoim ojczymem. Ja też ją polubiłam i myślałam, że będziemy przyjaciółkami. Moje siostry były znacznie starsze ode mnie i już zamężne. Potem nikt nie chciał ze mną rozmawiać o tym, co się stało. Nie miałam jeszcze ukończonych siedemnastu lat i każdy uważał mnie za dziecko. Nie wiedzieli nawet, że już wiedziałam, z kim chcę spędzić

resztę życia. Nie wiedzieli nawet, że nie tylko plany małżeńskie Olafa rozpadły się wówczas.

- To było piekło - powtórzył Janek.

- Dlaczego jednak zerwała, skoro była w ciąży? Mimo wszystko... przecież... - Zaplątał jej się język.

- Wtedy jeszcze nie wiedziała o dziecku.

- A potem? Kiedy już wiedziała? Dlaczego nie powiadomiła Olafa? Na pewno by do niej wrócił i ożeniłby się z nią. Popełniał błędy, ale nie był takim nikczemnikiem.

- Potem przyjechał do Zaborowa mój brat i zaproponował jej małżeństwo. Od razu się zgodziła.

Jaś zamilkł, gdyż znowu dotarła do niego myśl, która nawiedzała go od lat. Gdyby Robert nie przyjechał wtedy do Zaborowa? Gdyby nie uniósł się współczuciem i honorem i zaproponował wtedy Basi inne rozwiązanie? Może w końcu napisałaby do Olafa? Czy jednak byłoby to dla niej dobre? Sama nie chciała już znać człowieka, który ją oszukiwał.

Wtedy wszystko się zapętlilo i rzuciło cię na dalsze losy rodziny.

- Została zraniona przez twojego brata i nie chciała mu wybaczyć - powiedział na głos.

- A twój brat okazał się wtedy skutecznym balsamem.

- Tak - odparł ze smutkiem. - Wtedy tak.

Trzymał ją w objęciach blisko siebie i nie obchodziło ich już, że ktoś może wejść i ich zobaczyć. Pomyśleli, że właśnie z powodu tych wszystkich innych ludzi sami stracili ponad dwadzieścia lat życia, które mogło być ich wspólnym życiem. Nic innego nie miało już znaczenia. Nic, oprócz jednej bardzo ważnej sprawy.

- Jak się domyśliłaś prawdy o Karolu? - spytał.

- Zobaczyłam jego podobieństwo do brata z czasów, gdy sam był młodym chłopakiem. Oczywiście nie jest to podobieństwo uderzające. W takim wypadku Olaf sam by je zauważył. A jednak w ich spojrzeniu, w wyrazie oczu, w ruchach ciała, w gestykulacji jest coś identycznego. Oczu nie mogłam od niego oderwać podczas naszego pierwszego spotkania w Paryżu. A potem przyjechał do nas na Wielkanoc. Wypytałam go, mam nadzieję, że w miarę dyskretnie, o różne fakty. Powiedział mi, kiedy się urodził. A ja przecież pamiętam, kiedy miał się odbyć ich ślub. To miało być

we wrześniu. Zawsze byłam słaba z matematyki, ale przecież liczyć umiem. Olaf nie brał wtedy udziału w naszej rozmowie. Zresztą, jak prawie każdy mężczyzna, i tak niczego by nie skojarzył, bo nie pamięta już, kiedy miał być ten ślub i kiedy wszystko się posypało. Potem przecież ożenił się i byli z Matyldą naprawdę szczęśliwi przez kilka lat. Potem jego żona przez następne kilka lat chorowała i to zajęło jego całą uwagę. A później liczyła się już tylko Aleksandra.

Przerwała i oboje spojrzeli na siebie ze zgrozą. Nie mieli jednak ochoty poruszać wątku dziewczyny. Nie mieli też na to siły.

- Basia podejrzewała później, że Olaf znał już wcześniej kobietę, która później została jego żoną... że to z nią planował wspólne życie poza formalnym związkiem małżeńskim zawierany tylko dla pieniędzy.

- Nie, to wykluczone. - Weronika pokręciła głową z pełnym przekonaniem. - Matyldę poznał dopiero pół roku po powrocie z Zaborowa. Jednak prawie od razu ożenił się z nią. Nie miał wątpliwości, że dobrze zrobił.

Drgnęli, gdy w drzwiach bawialni stanął Olaf i patrzył na nich, kompletnie zaskoczony.

- Witaj, kolego - odezwał się Janek, a Weronika dyskretnie usunęła się na bok.

- Co tu robisz? - wyszeptał po chwili Olaf. Nie był w stanie mówić głośno. Miał wrażenie, że większego paraliżu mózgowego nie wywołałby w nim nawet grom spadający z nieba.

- Czas pogadać - odparł Janek.

- Niby o czym?

- Jest o czym.

- Pamiętam, że nie chciałeś ze mną gadać, gdy wróciłem dwadzieścia jeden lat temu z Zaborowa. Widywałem cię czasem na ulicach Zurychu, bo jeszcze tu studiowałeś. Nie chciałeś do mnie nawet podejść, o zamienieniu paru słów nie wspominając. Chciałem wtedy pogadać, a nie było z kim.

- Byłem na ciebie wściekły jak cholera.

- A ja nie byłem?

- Wiesz, jakie były fakty. Nie przekręcaj ich teraz. Nie ma to już sensu.

Olaf dopiero teraz zorientował się, że głos mu całkowicie wrócił. Zorientował się też, że jego nieproszony gość mówi spokojnie, nawet

z pewną sympatią. Uśmiechnął się ironicznie, dokonawszy tego spostrzeżenia.

- Nie przyjechałbyś, gdyby nie moja córka i syn Roberta, prawda? Matzerowie przystali pośła z Lechistanu.

- Może masz rację.

- Nic z tego, kolego, nic z tego. Nie wtrącam się do życia mojej córki w taki sposób. Ma prawo spotykać się z kim zechce i robić z nim co zechce. Jak widzisz, nie jestem męskim szowinistą.

- Kochasz swoją córkę? - spytał nagle Jaś i zobaczył, jak w tamtym narasta z trudem hamowana furia.

Weronika podniosła wtedy dłonie do ust, aby nie zacząć krzyżeć. A Jaś jednym pchnięciem zmusił Olafa, aby usiadł.

- W takim razie zamknij się, do cholery, i słuchaj, co ci powiem. Nie przerywaj, do cholery, aż skończę.

Siedzieli przy stole i pili alkohol, jak za dawnych, studenckich lat. Obaj to sobie przypomnieli: te libacje i wesołe towarzystwo, śpiewy i szaleństwa do białego rana. Może przy innej okazji by to powspominali. Może znowu zakpiliby z Roberta, który wiecznie tylko siedział nad książkami i w uciechach młodości nie brał udziału. Pamiętali wszystko, ale nie po to się dziś spotkali, by wspominać z nostalgią tamte czasy.

- Nie mogę już pić jak dawniej - westchnął Jaś. - Dajmy już temu spokój, bo zaraz kompletnie się urżniemy.

- O niczym innym nie marzę - odparł wtedy Olaf i przechylił butelkę nad kieliszkiem. W ostatniej jednak chwili zmienił zdanie i odstawił ją z powrotem. - Powiedziałeś, że Karol lada dzień będzie w Zaborowie...

Jaś skinął z rezygnacją głową.

- Miał jechać dopiero w lipcu, ale Barbara nalegała, aby zrobił to wcześniej. Uporał się już z egzaminami, więc może jechać kilka tygodni wcześniej. To i tak za późno.

- Ona mu powie o wszystkim? - spytał Olaf, a jego głos zadrżał.

- Być może...

Olaf patrzył mu teraz prosto w oczy, a Janek był pewien, że do końca życia nie zapomni tego spojrzenia.

- Oczy - wymruczał Olaf.

- Słucham?

- Mówię, do diabła, oczy. Zauważyłem pewnego dnia te jego szare oczy. Jak moje, jak Weroniki i naszego ojca i... jak...

Nagłym ruchem strącił oba kieliszki i butelkę na podłogę.

- I jak mojej córki!!! - wrzasnął, a potem ukrył twarz w dłoniach i płakał jak dziecko.

Zaborów drażnił go od momentu przyjazdu. Całym sercem wrywał się do Paryża, chociaż wiedział, że Aleksandry też tam teraz nie ma. Pojechała do domu, do ojca. Miał ją zobaczyć dopiero za trzy tygodnie. Zaplanowali wtedy wspólny wyjazd w szwajcarskie Alpy, oczywiście nie sami, ale razem z Ralfem, Alanem i Pawłem. Sylwia też koniecznie chciała jechać, ale Robert jeszcze się wahał.

- Jesteś za młoda - tłumaczył - nie masz takiej kondycji jak chłopaki. Będziesz chciała wracać już pierwszego dnia.

- Nieprawda - upierała się. - Mam już czternaście lat. Poza tym Aleksandra też jest dziewczyną, a przecież jedzie.

Dopiero w taki sposób ich ojciec dowiedział się o wyjeździe razem Aleksandrą. Do tej pory Karol skrzętnie ukrywał przed nim tę informację. Wyczuwał tę zagadkową niechęć ze strony ojca do jego kontaktów z Olą. Sylwia potem długo go przeproszała, że się tak wygadała przed ojcem. Ojciec patrzył zaś na niego, jakby uosabiał Sodomę i Gomorę. Bardzo dziwne, bo przecież sam żył według własnego kodeksu moralnego i bynajmniej nie był pruderyjny. Przynajmniej nic nie mówił. Z matką nie poszłoby tak gładko i dlatego Karol nie wspominał jej o szczegółach wyjazdu w Alpy. Gadaniom nie byłoby końca. Całe szczęście, że ojciec Aleksandry nie robił takich historii. Był nowoczesnym, otwartym na świat i obyczajem człowiekiem. Nigdy by mu nie przyszło do głowy zabraniać córce wspólnego z chłopcami wyjazdu w góry czy gdziekolwiek indziej.

- Jesteś mądra - powiedział jej kiedyś - Wiem, że nie narobisz głupstw.

Doprawdy, inni ojcowie mogliby brać z niego przykład. Tymczasem, jak wieść rodzinna głosi, dziadek zawsze trząsł się nad ciotką i nad matką, przekonany, że każdy kręcący się w ich okolicy młody człowiek nic, tylko dybie na ich cnotę. Ojciec zachowywał się podobnie wobec Urszuli i nawet wobec młodziutkiej Sylwii. Nawet pyskowanie Uli nie mogło tu nic zmienić. Wuj Raul, który przecież niejedno w tych sprawach miał na sumieniu, gdyby tylko miał czas i możliwości, biegłby za małą Nicole jak kwoka za kurczakami. Nic dziwnego, że większość znanych Karolowi dziewczyn była tak ograniczona. Śmiała i odważna Aleksandra stanowiła chlubny wyjątek

i zachwycała go od samego początku. Nie proponowałby wyjazdu Ralfowi, Alanowi i Pawłowi, gdyby nie prosty fakt: że rodzina nie uwierzyłaby w jego samotny wypad w góry. I tak, dzięki Sylwii, ojciec poznał prawdę, jednak zniósł ją lepiej, wiedząc, że jadą jeszcze inni. Nie przewidział, że chłopcy obiecali dyskretnie trzymać się z boku. Matka nie dowie się o niczym.

Karol pożegnał się z Aleksandrą w połowie maja, gdyż wtedy właśnie wyjechała do Zurychu. On sam wyruszył do Zaborowa tydzień później. W tym czasie Ola napisała do niego tylko raz, zaraz po swoim przyjeździe do domu. Potem zapanowała cisza korespondencyjna, co trochę go dziwiło, a potem niepokoiło. Sam w tym czasie wysłał już ze trzy listy, ale nie otrzymał odpowiedzi. Czyżby była aż tak zajęta? A może ojciec zabrał ją w jakąś podróż?

Dlatego pobyt w Zaborowie dodatkowo go irytował. W dodatku denerwowała go matka. Przebywał tu już prawie dwa tygodnie, a ona ani razu nie zdobyła się na poważną rozmowę. A podobno takie były jej zamiary. Patrzyła czasem na niego wzrokiem jagnięcia prowadzonego na rzeź, tak że czasem zastanawiał się, czy Urszula nie miała trochę racji, mówiąc, że matka jest osobą żalostną. Sam nie zamierzał zaczynać żadnej rozmowy. Nie było już o czym mówić, skoro ojciec i tak o wszystkim matce napisał.

Karol nawet był zadowolony, że matka nie ma odwagi rozmawiać z nim o jego dziewczynie. Nie miał ochoty na wysłuchiwanie jej biadolenia, zwierzeń i lamentów. Dość się na to napatrzył, gdy odszedł od niej mąż i nie pozwalała im nawet na pisanie listów do ojca.

Jak niby miałyby wyglądać ich rozmowa?

„Synku, nie możesz spotykać się z córką tego nikczemnika, który był kiedyś moim narzeczonym”. Mógł sobie wyobrazić słowa matki. Tak, jakby to miało teraz jakieś znaczenie, kto był jej narzeczonym przed wojną światową!

Jedyną pociechą w Zaborowie był czas spędzany z Pawłem, bo obaj po dawnemu przyjaźnili się. Jak to dobrze, że od jesieni również Paweł będzie studiować w Paryżu! Siostra zaś po dawnemu go irytowała. Wiedziała już o Aleksandrze i kpiała z niego niemiłosiernie i niewybrednie. Nigdy jednak nie powiedziała nic niewłaściwego o jego dziewczynie, co go trochę dziwiło. Był bowiem dawniej przekonany, że na jego wybrance nie zostawiłaby suchej nitki. Nie zrobiła tego.

- Kiedy w końcu przedstawiśz mnie mojej przyszłej bratowej? - spytała kiedyś przy stole i zabrzmiało to nawet przyjaźnie.

Tylko matka zbladła tak, jak niegdyś ciotka podczas pierwszego spotkania z Aleksandrą.

Przełom w raczej nudnym pobycie w Zaborowie nastąpił w sposób dość niespodziewany. Było to na tydzień przed planowanym powrotem do Francji. Liczył dni do wyjazdu i już planował całą podróż, bowiem towarzyszyć mu mieli brat i siostra. W przyływie braterskiej dobroci zaproponował nawet Urszuli przyłączenie się do wspólnej wyprawy w góry, ale odrzuciła to niemal ze wzgardą.

- Chyba oszalałeś - powiedziała. - Czy ja wyglądam na umartwiająca się męczennicę? Nie po to jadę do Francji, by biegać spocona po górach.

- Aleksandra... - zaczął, ale przerwała mu ze śmiechem.

- Aleksandra liczy tam na przyjemności innego rodzaju - dodała, ale tak dobrodusznym tonem, że sam nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

Postanowił zatem udać się do zaborowskiej kuchni, aby uszczknąć kawałek pysznego ciasta, którego zapach rozchodził się po całej oficynie, i przy okazji zapytać Bazylego o możliwość wyprowadzenia dwóch koni ze stajni na planowaną szaleńczą jazdę w towarzystwie brata.

Jazda konna była bowiem niemal jedynym sportem, jaki uprawiał wiecznie zagrzebany w książkach Paweł.

- Nie ma Bazylego - oświadczyła ponuro Perlicka, skrobiąc kurczaka.

- To gdzie go mogę spotkać? - spytał, patrząc ubawiony na jej wiecznie niezadowoloną twarz. Lubił Perlicką za jej cięty język i opowieści, którymi skandalizowała w kuchni, wywołując tym protesty innych służących.

- A co to ja jestem? Ślubna jego czy jak? - odparła gderliwie.

- To ja pójdę, poszukam go - odparł, wiedząc, co zaraz nastąpi.

Perlicka nigdy tak po prostu nie wypuszczała go z kuchni. Zawsze ogromnie go lubiła, choć pilnowała się, aby tego zanadto nie okazywać.

- A gdzie to się tak spieszy? Usiadłby na chwilę i zagadał... Nie widzi, że sama tu jestem jak kołek.

Ona jedyna wśród zaborowskiej służby, nie licząc Lubowiczów, nie tytułowała go paniczem.

Za to też ją lubił. Zauważył jednak ze smutkiem, że podczas jego nieobecności Perlicka postarzała się, a zwłaszcza miewała od czasu do czasu

kłopoty z pamięcią. Dotyczyło to jednak spraw bieżących i takich, które wydarzyły się stosunkowo niedawno. Sprawy sprzed lat pamiętała bardzo dobrze i uwielbiała wręcz do nich wracać. Była jeszcze jedną sentymentalną osobą w gronie jego bliskich.

- Podobno Felicja upiekła ciasto? - spytał przymilnie.

- Podobno - burknęła Perlicka. - Ja tam jej ciast nie jadam, bo mi potem na wątrobie leżą, ale jeśli Karol sobie życzy...

- Nawet bardzo sobie życzy.

Pomruczała chwilę, niby z niezadowolenia, że ją od roboty odciągają, ale ukroiła mu solidny kawał pulchnego drożdżowego ciasta.

- To i arbaty Karolowi zrobię. Posiedzi tu trochę ze mną wtedy.

I nie pytając go o zgodę, wzięła się za przygotowywanie herbaty. Patrząc na nią z czułością, bo przypomniał sobie, jaka była dzielna w czasie wojny, gdy poparła jego babkę i sprzeciwiła się ucieczce przed zbliżającym się frontem.

- Najwyżej spalą nam dom nad głowami - oświadczyła wtedy, stając po stronie Marty. - I tak na coś trzeba w końcu umrzeć. A najgorzej to tułać się po drogach, jak te dziady wędrownie.

A potem, gdy przyszło wojsko, najpierw rosyjskie, a po nim austriackie, Perlicka była jedyną osobą w domu, która nie obawiała się pokrzykiwać na żołnierzy, nie dotyczyło to rzecz jasna oficerów, i przypominać im, gdzie ich miejsce i jak się mają w pańskim dworze zachowywać.

- Rozstrzelają was kiedyś albo powieszą - ostrzegł ją kiedyś Antoni.

A ona prychnęła pogardliwie i jak zwykle odparła, że na coś przecież i tak trzeba umrzeć. A potem, gdy zachorowała babka, Perlicka nie wahała się przez sekundę i towarzyszyła Bazylemu w sprowadzeniu lekarza z pobliskiego miasteczka. W środku nocy! Gdy po drogach włóczyli się maruderzy!

Teraz trzęsły jej się już ręce i czasami zapominała rozpalić ogień pod kuchnią, ale miała zapewnione miejsce we dworze aż do śmierci. Przygotowanie herbaty zajęło jej trochę czasu, jednak Karol nie chciał jej poganiać ani proponować pomocy. Śmiertelnie by się obraziła.

- Jak tak na Karola patrzę, to mi się zaraz panna Ala przypomina - zagaiła niespodziewanie.

- Jak to? - roześmiał się. - W niczym nie jestem do niej podobny.

- A i owszem. Ona też tak lubiła tu do nas przyjść do kuchni i zagadać z nami. Tak ją wyraźnie widzę jak wtedy, gdy przyjechała tu pierwszy raz. Była wtedy w wieku Karola, a może i trochę młodsza. Dużo tu wtedy było młodych, a i następni mieli przyjechać, bo się szykowało wesele mamusi Karola.

Naraz przerwała, jakby wystraszona, i spojrzała niepewnie na młodego człowieka.

- Karol wie, że jego mamusia miała mieć najpierw wesele z kim innym niż panicz Robert? - spytała podejrzliwie.

- Oczywiście. To żadna tajemnica - odparł szybko i nadstawił uszu.

- A słyszał Karol, za kogo to miała najpierw wyjść panna Basia, mamusia Karola?

- No pewnie, że słyszałem - odparł z pewną siebie miną i ku swemu zdumieniu zorientował się, że serce łomocze mu jak oszalałe.

Dlaczego? Przecież naprawdę wszystko już wiedział.

- Przystojny był, nie powiem. Ale straszny pies na baby. Ja go od razu przejrzałam, bom się wcześniej na takich napatrzyła. Oj, wiedziałam, że nic dobrego z tego nie będzie. Co z tego jednak, skoro inne baby powariowały. Mówię Karolowi, że to obraza boska, co tu się wyrabiało. Młode, stare, chude, grube, wszystkie prawie gotowe były na grzech z nim pójść. No i niektóre poszły. Już nie będę teraz mówić które. Już są po spowiedzi, więc nie będę tak po imieniu im tego wyciągać. Tylko ja mu nie uwierzyłam, a oprócz mnie jeszcze pana babcia i panna Ala. Nic jednak nie mogłyśmy we trzy zrobić. Pannę Basię to jakiś amok ogarnął. Jakby kto urok na nią rzucił. Modliłam się o cud jaki albo ratunek dla niej. Gdybym to ja była jej matką, przepędziłabym tego Olafa na cztery wiatry. Karol wie, że tamtemu było Olaf?

- Tak, wiem - potwierdził Karol, czując, że w kuchni zrobiło się niemiłosiernie gorąco.

- Mało to razy mówiłam, że będzie nieszczęście? Nawet pani Marcie raz to powiedziałam, ale ona mi tylko rzekła, że nic nie można zrobić. Ja na to: „Jak to nic? Taka pani, taka energiczna, a takiego fagasa pogonić nie mogła?”. - Perlicka wróciła do skrobania kurczaka, ale widać wspomnienia nie dawały jej spokoju. - No i stało się - podjęła na nowo. - Pewnego razu ponoć panna Basia odkryła jego zdrady. Tak wtedy wszyscy myśleliśmy.

Odkryła jego zdrady i zerwała zrękowiny. Przed samym weselem! Wszystko już było gotowe! Goście zaproszeni! Skandal na całą okolicę! Mnie to się od razu wydało dziwne, że panna Basia wcześniej niczego nie dostrzegła. A potem okazało się, jaka była prawda. Panna Basia wypędziła tamtego, bo odmieniło się jej serce. Zakochała się w panu Robercie. Zaraz ślub z nim wzięła, a po paru miesiącach Karol się urodził.

Znowu przerwała, spłoszona. Zorientowała się, że się zagalopowała niebezpiecznie i w dodatku nie ma już drogi odwrotu.

- Przepraszam Karola - wymruczała niechętnie i nie ośmieliła się podnieść oczu znad patroszonego kurczaka.

- Spokojnie - odparł. - Wiem, kiedy rodzice brali ślub, i wiem, kiedy się urodziłem.

Perlicka odetchnęła wtedy z ulgą, a on podziękował za herbatę i wyszedł do ogrodu. Ot i cała straszliwa historia! Tęgo bał się powiedzieć mu ojciec i najwyraźniej wstydziła się matka. To był powód niechęci Olafa Lityńskiego do wspomnień. Matka szykowała się do ślubu i zaszła w ciążę z innym mężczyzną. Doprawdy wstrząsające. Fakt, nie jest to powód do chluby, trudno jednak zakwalifikować to do miana tragedii. Śmiech go ogarnął i miał niemal ochotę opowiedzieć o tym siostrze. Oboje uśmialiby się do łez. Opowieść ta mogłaby też okazać się pożyteczną dla poszukującej bogatego męża Urszuli. Niestety, wypada zachować te rewelacje w tajemnicy. Uspokoi jednak rodzinę i powie, aby wszyscy już spokojnie zajęli się swoimi sprawami. Co najwyżej ojcu i matce będzie trudno i niezręcznie spojrzeć w oczy ojcu Aleksandry. Chociaż może ułatwi to fakt, że, jak wynika z opowieści Perlickiej, doktor Lityński też nie był aniołem w aureoli. Swoją drogą, ile namiętności było w tych ludziach. Niech się teraz któreś skrzywi na jego wyjazd w towarzystwie dziewczyny!

Przypomniał sobie, że chciał porozmawiać z Bazylim na temat koni, i ruszył w kierunku stajni.

- Znalazł pana doręczyciel? Mówiliśmy, że jest pan gdzieś w zabudowaniach - wtrącił Bazyl, gdy obejrzelni już konie.

- Jaki doręczyciel? - zdumiał się Karol.

- No ten, który przywiózł dla pana depeszę z Paryża.

- Depeszę? Nic nie wiem.

- No to ja też nie wiem. Pismo pewnikiem musi być gdzieś we dworze.

Jak przyszło to wcześniejsze pismo, to też pana nigdzie znaleźć nie mogli.

- Jakie pismo? - wymamrotał Karol i ogarnęło go złe przecucie.

- A, tamten list. Będzie już tydzień, jak przyszedł. Sam przywoziłem z poczty. Co, nie dostał pan? - Bazyli spojrział przerażony na pobladłą twarz chłopaka.

- Nie - odparł mechanicznie Karol.

- To musi pan zapytać Antoniego. Może on będzie wiedział. A jak będzie w końcu z tymi końmi? Ja bym doradzał gniadego i...

Karol nie odpowiedział, tylko wybiegł ze stajni i skierował się w stronę dworu. W ogrodzie, przed samym tarasem zobaczył swoją babkę, która wydawała jakieś dyspozycje Antoniemu i wskazywała na krzaki róż.

- Antoni, dzięki Bogu, że was widzę - zawołał Karol. - Gdzie te listy do mnie?

- Jakie listy? - spytała Marta i spojrziała zaintrygowana na starego lokaja.

Antoni przez moment miał taką minę, jakby chciał zaprzeczyć, ale dał temu spokój.

- List był już jakiś czas temu - rzekł niepewnie.

- A dzisiaj jakaś depesza? - upewnił się zdyszany Karol.

- Wczoraj - odparł ledwo słyszalnym głosem Antoni.

- Wczoraj? - Karol chwycił się poręczy od schodów, bo zakręciło mu się w głowie.

- Wczoraj przyszła jakaś depesza? - spytała zdumiona w najwyższym stopniu Marta.

- Z Paryża - wyszeptał Antoni.

- Jezus Maria! Coś się stało, a ja nic nie wiem! Co to ma znaczyć?!

Antoni był niemal bliski płaczu, gdy patrzył na rozwścieczoną panią domu i jej wnuka.

- Mówiłem, żeby zaraz oddać panu Karolowi. Mówiłem, ale pani Barbara powiedziała, że sama się tym zajmie. Co miałem robić?

- Powiedzieć mi o wszystkim - warknął Karol.

- Pani Basia mówiła...

- Nieważne, co mówiła, skoro depesza była do mnie. Gdzie ta depesza?

- Wzięła ją pana matka.

- Na litość boską, znowu się wszystko zaczyna...

Wbiegając do domu, Karol usłyszał jeszcze słowa swojej babki.

- Mamo! - krzyknął, przebiegając amfiladę kolejnych pokoi.

Matkę znalazł w garderobie, gdzie pokazywała coś znudzonej córce.

- Mamo, gdzie depesza do mnie? - spytał i zobaczył, jak drgnęła i zmieniła się na twarzy.

Odchyliła się niemal jak przed uderzeniem.

- Gdzie depesza? - powtórzył już łagodniejszym tonem. - Gdzie poprzedni list do mnie?

- Kto ci powiedział? - spytała słabym głosem.

- Mamo, nieważne kto. Dowiedziałem się przez głupi przypadek. Co się stało? Coś z ojcem? Ciocią Alicją? Z Sylwią? Na litość boską, odpowiedz! O Boże, gdzie ta depesza?!

Nadbiegła Marta razem z Antonim i Pawłem. Pojawiła się też Zosia Lubowiczowa. Dwie inne służące zajrzały ciekawie przez drzwi.

- Gdzie te listy? - spytała Marta tym swoim spokojnym, nieznoszącym sprzeciwu tonem, który rezerwowała na specjalne okazje i od którego nogi słuchających uginały się ze strachu.

- Nieważne.

- Co było napisane w depeszy? Umarł ktoś? Zachorował?

Barbara, zalana łzami, podeszła do Karola i delikatnie pogłaskała go po twarzy.

- Nie pytaj, kochany. Czasami lepiej nie pytać i nie wiedzieć.

- Mamo... błagam... - Objął ją i aż się zdziwił, że jest taka krucha. Bardzo ostatnio wyszczupiała.

- Mamo - odezwał się również Paweł.

Wtedy po raz drugi przypomniała sobie tamten straszny dzień, gdy Robert odszedł, a ona zanosila się płaczem przed zamkniętymi drzwiami. Poprzednio, gdy o tym myślała, stanęła przed jej oczami mała Urszulka zaciskająca piąstki. Teraz zobaczyła również małego Pawełka, który wówczas obejmował ją i próbował podnieść. „Mamo, mamusiu” - tak do niej wtedy mówił.

- Twoja siostra próbowała się zabić. Leży w szpitalu w Paryżu - wydusiła z siebie ze szlochem.

Karol patrzył na nią, nie rozumiejąc. Paweł i Urszula niemal wstrzymali oddech.

- Nasza siostra Sylwia? - wydusił z siebie Paweł.

- Nie.

Basia odsunęła się trochę od Karola, ale nadal obejmowała go gestem pełnym miłości i współczucia. Patrzyła teraz tylko na niego.

- Twoja siostra Aleksandra - powiedziała cicho i nagle wyrwał się z jej gardła głuchy jęk: - To twoja siostra...

Pamiętał potem, że chciał natychmiast spakować rzeczy i pędzić na stację. Pamiętał też, że Paweł i Urszula próbowali mu to wyperswadować, nie mógł sobie tylko przypomnieć ich słów i argumentów. Pamiętał krzyk matki i dyspozycje babki, aby wezwać lekarza. Potem już nic nie pamiętał. Zapadł się w jakąś ciemną przepaść bez dna. Długo wirował w dół, aż wreszcie dotknął podłoża. Wtedy dopiero otworzył oczy.

- Dzięki Bogu - usłyszał i zobaczył starego doktora Tomasza.

Próbował się podnieść, ale zabrakło mu sił.

- Spokojnie, młody człowieku - rzekł doktor Tomasz. - Nie tak od razu.

Poczuł na czole dotyk chłodnej dłoni i nie musiał otwierać oczu, aby wiedzieć, kto stał z drugiej strony łóżka.

- Zosia - szepnął - czy to prawda?

- Musisz porozmawiać ze swoją matką.

- Nie chcę. Powiedz, czy to prawda?

Przyklękła z westchnieniem przy jego łóżku i nadal dotykała jego czoła, jak wtedy, w dzieciństwie, gdy miał gorączkę albo bał się zasnąć w nocy. Czasem się bał, że umrze w trakcie snu. Śmieszne, że akurat teraz sobie to przypomniał.

- Tak mi się wydaje - szepnęła, odpowiadając na jego pytanie.

- Dlaczego?

- Czasem jesteś taki do niego podobny... - Zerwała się z kolan i przycisnęła chusteczkę do ust.

- Zosiu... - szepnął, dotykając jej ręki.

- Porozmawiaj ze swoją rodziną - odparła, potrząsając głową.

- Nie chcę.

- Musisz teraz odpocząć, chłopcze - powiedział spokojnie doktor.

- Zosiu, zawołaj mojego brata i siostrę, moją siostrę Urszulę. Czy aby na pewno to moje rodzeństwo? - Skrzywił się nagle, jakby chwycił go mocny ból.

Zosia, trzymając chusteczkę przy oczach, wyszła szybko z jego pokoju, a prawie natychmiast wbiegła do niego Barbara.

- Mówiłam, synku, że czasem lepiej nie wiedzieć - zaczęła nieporadnie i znowu wybuchnęła płaczem.

Dotknął jej twarzy i zmusił, by na niego spojrzała.

- Coś ty zrobiła? - spytał cicho z udręką w głosie.

- Porozmawiamy. Wszystko ci opowiem... Wiem, że to trudne. Wiem, jak ci teraz ciężko. Zawsze cię kochałam, od kiedy wzięłam cię po raz pierwszy w ramiona. Moje pierwsze dziecko... - Tyle razy przygotowywała sobie te słowa, a teraz wszystko jej się plątało. Tak beładnie mówiła, sama to przecież słyszała.

- Coś ty zrobiła, mamó? - powtórzył, jakby w ogóle jej nie słuchał.

Do pokoju weszli Paweł i Urszula, oboje bladzi, przerażeni.

- Jutro wyjeżdżam do Paryża - powiedział do nich, nie patrząc już na matkę. - Jeśli nadal chcecie ze mną jechać, to załatwcie bilety.

- Na jutro to może być niemożliwe - odparł niepewnie Paweł.

- Jak chcecie. Ja wyjeżdżam stąd jutro. Choćbym miał potem w psiej budzie czekać na pociąg z Warszawy, to poczekam. Byle nie tu...

- Proszę tyle nie mówić - upomniał go doktor. - Jesteś jeszcze osłabiony, młody człowieku.

- To najwyżej zdechnę, co za różnica. - Karol niemal wyszarpnął swoją rękę z dłoni doktora.

- Porozmawiaj ze mną - błagała Barbara. - Postaraj się zrozumieć...

- Za późno, mamó, o całe dwadzieścia lat.

- Wyjdźcie, zostawcie nas samych - zwróciła się z rozpaczą do całej reszty.

- Po co? Mogłaś mi to powiedzieć każdego dnia. Sprowadziłaś mnie tutaj po to, aby porozmawiać. Uznałaś jednak, że może jakoś się uda. Może się upieczesz. Może Ola umrze i w ten sposób nigdy się nie dowiem. Nawet nie pokazałaś mi listu od niej ani telegramu o jej chorobie. Cały czas kłamałaś. Jak wszyscy. Chyba że ich wszystkich też okłamałaś.

- Zrozum... Spostrzegłam, że już jesteś, gdy rozstałam się z Olafem. Co miałam robić? Wtedy Robert zaproponował mi małżeństwo.

- A ty po latach nazwałaś go skończonym łajdakiem, przy nas, przy dzieciach...

- To już osobna historia. Teraz mówimy o czymś zupełnie innym.

- Nie, to cały czas ta sama, jak mówisz, historia. Jedno bez drugiego by nie zaistniało. Kiedyś to może zrozumiesz. Jak rozumiem, doktor Lityński nie wiedział o tym, że spodziewasz się dziecka?

Pokręciła przecząco głową, ale ogarnął ją teraz gniew. Jakim prawem to dziecko jest przeciwko niej? Jakim prawem ją oskarża? On i wszyscy pozostali? Kto w tej sprawie jest ofiarą? Kto?

- Nie zasługiwał na ciebie - powiedziała z zawziętością w głosie, która go przeraziła, lecz nie zaskoczyła. Tak samo mówiła o człowieku, którego przez całe lata kochała i uważał za ojca.

- Nie kochał mnie - mówiła dalej. - Chodziło mu tylko o moje pieniądze. Był złym człowiekiem. Zdradzał mnie z innymi kobietami. Byłby złym mężem i złym ojcem.

- Dlaczego więc żyłaś z nim przed ślubem? - spytał z ironią, ale i pewną ciekawością.

- Bo wtedy jeszcze nie wiedziałam o innych kobietach, bo byłam naiwna i niedoświadczona. Wreszcie dlatego, że on tego chciał, bo tacy są mężczyźni.

Twarz jej mieniła się różnymi kolorami czerwieni. Nadal była piękna i nadal nie wiedziała, jak żyć. Nie zastanawiała się nad tym, że mówi teraz do syna. Wzburzona do najwyższych granic, nie analizowała wypowiedzanych słów.

- Wszystko bym ci wybaczył - powiedział Karol po chwili - ale nie to, że próbowałaś ukrywać prawdę nawet teraz...

- Przecież powiedziałam ci teraz całą prawdę.

- Listy, telegram... - przypomniał jej. - Powiedziałaś, bo nie było już wyjścia.

- Chciałam oszczędzić ci cierpienia. - Znowu zaczęła płakać. - Przecież wiem, jak bardzo zakochałeś się w tej dziewczynie. Byliście sobie tacy bliscy...

Zacisnął zęby, aby nie zawyc jak zarzynane zwierzę. Chciał się modlić, aby matka nareszcie wyszła z jego pokoju. Nie modlił się jednak. Już nie potrafił.

- Mamo, jestem zmęczony. Chcę zostać sam - szepnął, a ponieważ ciągle szlochała, zamknął oczy i odwrócił się do ściany.

Nawet nie wiedział, kiedy zasnął. Obudziło go lekkie trącenie w ramię i zobaczył nad sobą Pawła.

- Mam te bilety - powiedział Paweł. - Nawet nie pytaj, czego musiałem dokonać, aby je zdobyć. Jedziemy dzisiaj po południu do Warszawy. Z Warszawy mamy pociąg do Paryża jeszcze przed północą.

- Dzięki.

Uścisnęli sobie prawice, zginając ręce w łokciach, tak jak robili to w dzieciństwie.

- Urszula jedźcie z nami. Ma coś dla ciebie.

- Co to takiego?

- Zobaczysz później. Jak się czujesz? Możesz wstać.

- No pewnie. Nie jestem jakąś panienką z okienka.

- Wczoraj wyglądałaś gorzej niż taka panienka.

- Zamknij się.

Wymienili żartobliwe ciosy, jak to wielokrotnie czynili, a potem rozpoczęli przygotowania do wyjazdu. Karol nie zszedł do jadalni ani na śniadanie, ani na obiad. Po południu udał się do małego domku Jana i Zosi Lubiczów. Domek leżał za parkiem zaborowskim i mieszkał w nim kiedyś stary ogrodnik. Potem, po jego śmierci, Marta podarowała dom Lubiczom, zwłaszcza że wreszcie, po latach urodził im się upragniony syn, a prawie zaraz potem córka. Zosia po staremu pracowała od czasu do czasu w pałacu. Jan zajął się wyłącznie parkiem i ogrodem. Karol uwielbiał ich odwiedzać, a podczas tego ostatniego pobytu w Zaborowie czuł się znacznie lepiej u Lubiczów niż w pałacu. Dwoje małych dzieci zawsze wybiegało na jego spotkanie i potem dzieciaki siedziały przy nim przez całą wizytę.

- Przyszedłem się pożegnać - oznajmił.

- Niech cię Bóg prowadzi - odparła cicho Zosia.

Pocałował obie jej dłonie, które tyle dobrego zrobiły dla niego i dla jego rodzeństwa, a potem przygarnął oboje małżonków do siebie.

- Dziękuję wam za wszystko. Zawsze będę za wami tęsknić. Wspominajcie mnie dobrze.

- Pamiętaj, że twoi rodzice zawsze cię kochali, zawsze chcieli jak najlepiej. - Zosia rozplakała się. - Mam na myśli pana Roberta. Uznał cię za syna, tak traktował. To ważniejsze niż przypadkowe splodzenie. Przepraszam za to słowo.

- Wiem - odparł Karol, dotykając jej łez. - Niestety w moim przypadku to przypadkowe splodzenie ma jednak wielkie znaczenie.

- Co teraz zrobisz? - zapytał Jan, gdy wszyscy przetrawili już ostatnie słowa Karola.

- Wracam do Paryża, a potem... potem... Oby dalej...

- Z Bogiem...

Odwrócił się pomału i odszedł, a oni stali, wpatrzeni w niego, dopóki nie zniknął za ostatnimi drzewami.

Na stację odwoził ich Bazyli. Przed nimi była długa podróż, ale wcześniej czekało ich pożegnanie.

Marta objęła swojego najstarszego wnuka i przygarnęła do siebie tak blisko, że musiał pochylić się nisko. Był bowiem od niej dużo wyższy, a babka ostatnio jakby zmalała.

- Mój kochany chłopiec... - szepnęła, kreśląc mu na czole znak krzyża. - Pożegnaj dziadka. Będzie na was czekał na dworcu w Warszawie.

- Dobrze, babciu - powiedział i głos mu zadrżał. - Pożegnajm swojego dziadka.

Wiedział, że babka, wspominając o dziadku, nie przejęzyczyła się. On sam nie potrafił myśleć o nim inaczej. Pożegnał się też ze służbą. Towarzyszyło temu to dziwne przeczucie, że nie zobaczy już tych ludzi, że ostatecznie zamyka za sobą ten etap swojego życia.

Na końcu podszedł do matki i z ulgą spostrzegł, że już nie płakała, że była spokojna i opanowana. Właśnie taką ją zawsze podziwiał i kochał, gdy była twarda, gdy była silna, gdy z determinacją broniła w czasie wojny Zaborowa i udzielała pomocy wszystkim bezdomnym cywilom, jacy tylko zapukali do drzwi. Dla każdego zawsze znalazła kąt do spania i strawę do zjedzenia. Był z niej wtedy taki dumny, a epizod z rosyjskim oficerem nie mógł tego zmienić. Właśnie taką chciał ją zapamiętać.

- Kiedy znowu cię zobaczę? - spytała i widział, jak walczyła, aby panować nad sobą.

- Nie wiem. Kiedyś... - odpowiedział i pocałował ją w policzek.

Opanowała się z trudem, by go nie przygarnąć do siebie i nie błagać, aby został. Na szczęście zaraz podeszli do niej Ula i Paweł, który na jesieni miał rozpocząć studia w Paryżu. Przynajmniej córka miała do niej wrócić.

„Trudno” - myślała. „Taka jest cena, którą płaci się w życiu za wszystko.

Obiecałam kiedyś moim dzieciom, że nie będę ich zatrzymywać, jeśli zechcą odejść. Nie skończą tak jak ja. Zawsze będą wolne”.

Rozdział 118

W pociągu Urszula przekazała bratu otwartą kopertę z listem od Aleksandry.

- Nie gap się tak na mnie, ja tego nie otwierałam - powiedziała, wzruszając ramionami. - Nie czytałam też, bez obawy.

- Skąd to masz? - zapytał zaintrygowany.

- Znalazłam i niech ci to wystarczy. Nie pytaj jak. Wychowałam się w tym domu i poznałam jego sekrety. Niestety, telegramu nie znalazłam.

Wydusiłam tylko z Antoniego, że depeszę wysłał ojciec.

- Ojciec?

- No, nasz ojciec - mruknęła.

Dławiło go w gardle, więc szybko uściśnął jej rękę, zanim zdążyła ją wyrwać.

- Dzięki, Ulka.

Wzruszyła ramionami i wyjęła papierosa z torebki. Oczywiście nie wolno tu było palić, ale w przedziale siedzieli na razie tylko we troje, więc w razie czego mogła się jakoś wymigać.

- Nie ma za co - odpowiedziała hardo na jego podziękowania. - Jakby mnie spotkało to, co ciebie, tobym chyba zabiła pół rodziny. Zaraz po przyjeździe do Paryża zapytam starego, czy przypadkiem nie wystrugał jeszcze gdzieś na boku jakiegoś dodatkowego brata. Nie chciałabym przeżyć tego, co ty.

Roześmiałyby się pewnie, gdyby nie ten parszywy ból, którego nie mógł się pozbyć. To parszywe poczucie, że coś mu ukradziono i nawet odzyskanie tego już nic nie naprawi.

Przeczytał potem ten list i zapragnął spać się do nieprzytomności. Gdyby nie Paweł i Urszula, pewnie by to zrobił.

„Dowiedziałas się wcześniej ode mnie. Pojechałaś wcześniej ode mnie do domu i po kilku dniach ojciec wszystko ci powiedział. A ja marnowałam wtedy czas w Zaborowie na jakichś bzdurach. Kpiłem z matki, śmiałem się z sentymentalizmu naszych starych, nawet opowieść starej Perlickiej nie dała mi nic do myślenia. A przecież powiedziała takie rzeczy, które powinny były mnie zaalarmować. A ty już wiedziałas w tym czasie wszystko... Nie mogłaś sobie z tym poradzić... Ja też nie mogę...”

W Paryżu jak zwykle czekał na nich Robert razem z Sylwią. Widok obojga prawie poraził Karola, ale wziął się w garść. Nie rozsypie się przy nich i przy innych ludziach na dworcu. Co to, to nie.

- W którym ona jest szpitalu? - zapytał Roberta, unikając w ten sposób klasycznego, rytualnego powitania.

- Tam, gdzie pracuję - odparł jak gdyby nigdy nic Robert, dając tym samym do zrozumienia, że na razie niczego nie oczekuje, że daje mu wolną rękę.

Od razu go to ujęło, a Robert natychmiast, bez zbędnych ceregieli dodał:

- Czuje się już lepiej. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

- Jadę do niej - odparł Karol, a po chwili dodał: - Dziękuję za depeszę.

- Nie ma za co, synu - odparł Robert i przez parę sekund patrzyli sobie w oczy.

Sylwia przyłgnęła wtedy do tego, którego zawsze uważała za swojego starszego, silnego brata, i próbowała coś mówić, coś tłumaczyć, ale nie rozumiała. Miał wrażenie, jakby przestał rozumieć francuski, jakby przestał rozumieć cokolwiek.

- Później porozmawiamy - powiedział, pogładził ją po włosach, po czym z trudem wyrwał się z jej ramion i pobiegł w kierunku wyjścia. Nie wziął ze sobą pieniędzy na przejazd, więc biegł całą drogę i dopiero w szpitalu uświadomił sobie, że cały swój bagaż zostawił na dworcu, na głowie rodziny. Trudno, jeszcze ten raz będą musieli zająć się wszystkim sami.

Nie bez trudu dostał się do sali, gdzie leżała Aleksandra. Pielęgniarki zapewniały go, że wstęp do chorej ma tylko jej ojciec i lekarze.

- Nie może tu wchodzić każdy, kto ma ochotę - mówiły. - Kim pan w ogóle jest? Być może przez takiego jak pan podcięła sobie żyły.

- Jestem jej bratem - odparł wtedy i minął je, zanim zdążyły zareagować.

Jeszcze chwila, a zaczęłyby tam wrzeszczeć na całe gardło. Matko Przenajświętsza! Podcięła sobie żyły!

Znalazł jej salę. Oprócz Oli znajdowała się tam jeszcze jedna pacjentka, całkowicie jednak pogrążona w swoich najwidoczniej niewesołych myślach.

Aleksandra zauważyła go, gdy tylko stanął w drzwiach. W pierwszej chwili był pewien, że nie da rady podejść do jej łóżka, że przewróci się po drodze i zostanie w tym szpitalu jako pacjent. Dopiero odgłosy zbliżających

się pielęgniarek sprawiły, że wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

- Cześć - powiedział i omal się nie rozpląkał.

- Cześć - odpowiedziała.

Podszedł jeszcze bliżej i zapatrzył się w jej bladą, mizerną twarz i w przewiązane opatrunkami nadgarstki. Podążyła za jego wzrokiem i próbowała uśmiechnąć się lekko.

- Ale kicha, co? - użyła ich ulubionego zwrotu.

- Jak cholera - odparł.

- Mówią, że będę żyła...

- Wiem, ojciec mi powiedział. - W tym momencie zreflektował się i sprostował: - To znaczy... mój ojciec.

Znów się zająknął. Wtedy i ona nie wytrzymała. Wyciągnęła do niego te obwiązane bandażami ręce i zawołała:

- Dlaczego nas to spotkało? Dlaczego my? Tyłu jest przecież innych ludzi na świecie.

- Innych też to spotyka - odparł, siadając przy niej.

- Co teraz zrobimy? - Po raz pierwszy widział, że naprawdę płacze, nie wygłupia się już, nie udaje.

- Nie wiem...

Zamilkli i zaczął bezwiednie głaskać ją po twarzy i włosach, tym ruchem, który na pewno nie mógł być uznany za braterski.

- Ola - szepnął, całując ją u nasady włosów.

- No...?

- Cały czas cię kocham. Szkoda, że nam nie wolno... Szkoda, że nie możemy...

- Niby dlaczego nie możemy? - Chwyliła go za rękę, która tak czule pieściła jej włosy. - To nasza sprawa, nasze życie, nasz wybór. Kto nam zabroni? Co komu do tego? Przecież nie potrzebujemy mieć dzieci - rozpląkała się - przecież mówiliśmy kiedyś, że nie lubimy dzieci.

Karol zerknął na tę drugą pacjentkę, ale ona nadal nie przywiązywała żadnej wagi do tego, co się działo w pokoju. Miała widać własne problemy, które uwierały ją niczym korona cierniowa. W pewnym momencie odwróciła się do ściany i chyba zasnęła.

- Uciekniemy stąd, wyjedziemy, nigdy nas nie znajdą - mówiła dalej Aleksandra, dygocząc na całym ciele. - Zmienimy tożsamość, dokumenty...

Ralf i Alan pomogą nam wyjechać do Ameryki...

- Wiem. Napisałaś o tym w liście.

- Prawie dwa tygodnie temu. Uciekłam od ojca, przyjechałam do Paryża, czekałam na twój przyjazd. Myślałam, że się wystraszyłeś.

- Matka dostała ten list w swoje ręce i dopiero po ponad tygodniu przez przypadek dowiedziałem się o nim. Cud, że go nie spaliła, pewnie zapomniała.

- Myślałam, że nie chcesz mieć już ze mną nic wspólnego, gdy dowiedziałeś się o wszystkim.

- Chyba zwariowałaś! Jak mogłaś tak pomyśleć!

- Nie przyjeżdżałeś, nie wysłałeś nawet depeszy. Czekałam kilka dni w takim lichym, tanim hotelu, aż w końcu to zrobiłam. - Pokazała ręce. - Niestety, kogoś w tym hotelu coś tknęło i znaleźli mnie. Że też ludzie nie potrafią pilnować własnych zasranych interesów.

- Ola, co ty mówisz?! Gdyby ci się udało to zrobić, poszedłbym za tobą, tam, gdzieś... zrobiłbym to samo...

Przyciągnęła go do siebie na tyle, na ile miała sił, i całowała zapamiętane jego wargi, a on odpowiadał jej z tym samym zapałem. Nic więcej już ich nie obchodziło. Cały świat, wszystkie jego zwyczaje, normy i przykazania - to wszystko przestało istnieć.

Wtedy otworzyły się drzwi szpitalnego pokoju i stanęli w nich lekarz, pielęgniarka, a także Olaf Lityński.

- Co tu się dzieje! Co pan wyrabia, młody człowieku! Kim pan jest?! - krzyknął oburzony i zszokowany lekarz.

- Ten pan powiedział, że jest bratem pacjentki - próbowała tłumaczyć przerażona pielęgniarka.

Karol, zmieszany, odsunął się od dziewczyny z miną winowajcy, ale ona nadal trzymała go kurczowo za rękę i patrzyła wyzywająco na przybyłych.

- Wszystko się zgadza, doktorze - powiedział wtedy Olaf i nie zwracając uwagi na zdumienie personelu medycznego, dodał: - Wszystko w porządku. A teraz proszę zostawić nas samych.

Doktor i siostra nadal stali jak osłupiali, jednak Olaf, nie próbując już ich przekonywać, wszedł do sali i po prostu zamknął im drzwi przed nosem. Zrobiło się cicho jak w grobie.

- Jak się czujesz, Oleńka? - spytał Lityński, całując córkę w czoło.

- Wszystko w porządku, tato. Przecież nie o to chciałeś teraz zapytać - wymamrotała dziewczyna.

- Tak? A o co?

- Tato, zawsze traktowałeś mnie poważnie, więc niech tak zostanie.

Porozmawiajmy poważnie.

- Jesteś jeszcze bardzo osłabiona, dziecinko.

- Znowu zaczynasz z tą dziecinką?

- Jak mam traktować cię poważnie i rozmawiać z tobą poważnie? -

Lityński nagle podniósł głos, choć nadal nie był to krzyk ani groźne pomrukiwanie niedźwiedzia. Usiadł na łóżku przy córce i patrzył na nią ze zgrozą. - Jak mam rozmawiać z tobą poważnie, skoro zachowałeś się jak egzaltowana panienka? Wtedy rozmawiałem z tobą poważnie, z moją mądrą, rozsądną córką. I co zrobiła moja mądra, opanowana dziewczynka? Uciekła z domu, wsiadła w pociąg do Paryża, wynajęła jakiś obskurny pokój i podcięła sobie żyły. Jak w tanim romansidło! Jak bezmyślna pensjonarka!

W jego głosie było tyle cierpienia, że Karol, stojący na uboczu pod oknem, aż się wzdrygnął.

- Masz rację, tato, z tym tanim romansidłem. Pomyślałam to samo, gdy opowiedziałeś mi o wszystkim w naszym domu - odparła Ola drżącym głosem. - Pomyślałam wtedy: ale głupia historia! Najgłupszy pisarz nie wymyśliłby czegoś takiego. A potem dotarło do mnie, że to przecież wydarzyło się naprawdę i w dodatku dotyczy mojego życia. Wiesz, co wtedy poczułam?

- Myślę, że wiem - odrzekł prawie natychmiast.

- Myślę, że nie wiesz. Oszczędziłbyś mi gadania o mojej bezmyślności.

Wszyscy teraz umiecie tylko gadać. Więcej pokory, tato!

Karol nie mógł uwierzyć własnym uszom. Nigdy w ten sposób nie mówił do rodziców. Owszem, odszczeknął się ojcu kilka miesięcy temu, gdy ten zapytał go, jak daleko posunęli się z Aleksandrą. Zaraz go jednak przeprosił. Teraz nie wyglądało na to, aby Ola zamierzała przeproszać ojca. Aż tyle było jej wolno?

A potem dotarło do niego, że nadal myśli o Robercie jak o ojcu, nadal tak go nazywa w myślach i pewnie dalej będzie. Olaf nie patrzył na niego. Zachowywał się tak, jakby Karola wcale tam nie było, i chłopak pewnie opuściłby salę, gdyby nie zatrzymywał go błagalny wzrok dziewczyny. Poza

tym bał się, że jeśli teraz wyjdzie, to prawdopodobnie nie będzie mógł już tu wrócić.

- Tak, dziecinko, masz rację - odezwał się już zupełnie innym tonem Lityński. - To nasza wina, nie wasza.

I wtedy spojrział na chłopaka.

- Chcę teraz porozmawiać z twoim bratem - powiedział cicho i tkliwie do córki, pragnąc złagodzić brzmienie i znaczenie ostatniego słowa.

Karol wzdrygnął się wtedy na całym ciele i zapragnął wybiec z tego pokoju, z tego szpitala i uciekać najdalej, gdzie tylko można. Nie, nie chciał tej rozmowy. Za skarby świata nie chciał. Wiedział już wszystko, a zwierzenia tego człowieka nie interesowały go, tak jak zwierzenia matki i... tego, którego zawsze uważał za ojca.

- Nie zgadzam się - odparła Ola. - Będziesz próbował go nastraszyć.

- Nastraszyć? - powtórzył Olaf ze zdumieniem i domieszką goryczy. - Czy kiedykolwiek straszylem czymś ciebie? Dlaczego miałbym straszyć moje drugie dziecko?

Karol poczuł, że zbiera mu się na wymioty i jeszcze chwila, a zrobi to na środku tego pokoju. Ola zaś zaczęła krzyczeć przeraźliwym głosem:

- Przestań tak mówić! Przestań! Przestań!

- Dlaczego? - spytał spokojnie jej ojciec, chociaż oczy miał pełne łez. - Przecież chciałaś, aby rozmawiać z tobą poważnie, jak z dorosłą osobą. Dorosłe osoby nie mogą same siebie oszukiwać.

Dziewczyna nie przestawała jednak krzyczeć i zaraz w pokoju zjawił się personel szpitalny.

- Muszą panowie wyjść - zadysponował energicznie przybyły lekarz. - Córka nie czuje się dzisiaj dobrze, jak widać. Damy jej coś na uspokojenie i...

- Nie potraficie niczego innego wymyślić? - odparł zdecydowanie Olaf. - Proszę nam nie przeszkadzać. Ja i mój syn zaraz opanujemy sytuację. Jestem lekarzem.

- Nie jest pan lekarzem w tym szpitalu.

- A pan nie jest jej lekarzem prowadzącym. Jej lekarzem jest doktor Robert Matzer, który rozpoczyna pracę dziś wieczorem. On nie ma obiekcji do mojej obecności tutaj. Może pan do niego zadzwonić i spytać.

Głaskał przy tym córkę po włosach i tulił ją do siebie, tak że stopniowo się uspokajała. Obecny w sali doktor przez chwilę sapał z oburzenia, ale dał

w końcu znak towarzyszącym mu ludziom, aby wychodzić. Karol postanowił wyjść razem z nimi, tym bardziej że Olaf już go nie zatrzymywał.

Dziewczyna ponownie zaprotestowała.

- Nie odchodź, nie, proszę - błagała, kwiląc niemal jak niemowlę.

- Cicho, kochanie - uspokajała ją czule ojciec, tuląc w ramionach, jakby istotnie była niemowlęciem. - Przysięgam, że on tu jeszcze przyjdzie. Przecież nigdy cię nie oszukałem, prawda? Rozumiesz, co mówię?

Kiwnęła z rezygnacją głową, a twarz miała nadal ukrytą w jego ramionach. Olaf skinął porozumiewawczo w stronę Karola, co ten zrozumiał jako zachętę do opuszczenia pokoju. Ta druga pacjentka już nie spała i patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, tak jakby zapomniała o swoich smutkach i mu współczuła. Wyszedł na chwiejnych nogach, a potem pobiegł co tchu do szpitalnej toalety, mając wrażenie, że wyrzuci z siebie nie tylko posiłek zjedzony jeszcze w pociągu, ale i całe wnętrze.

Pod szpitalem czekał na niego ojciec. Nie potrafił, wciąż nie umiał nazywać go inaczej.

- Boże, jak ty wyglądasz, chłopaku - powiedział z westchnieniem i ująwszy go pod ramię, skierował do stojącego na poboczu samochodu.

- Wiesz, zawsze chciałem, żebyś w końcu nauczył mnie tym jeździć - odezwał się Karol, gdy jechali w kierunku domu.

- To przecież jeszcze nic straconego - odparł spokojnie Robert, ale młody człowiek przecząco pokręcił głową.

- Nie, już na to za późno.

Robert nie odpowiedział i w milczeniu dojechali do celu. Dopiero tam, przed domem, gdy Karol ociężale zaczął wydobywać się z auta, ojciec - bo wciąż nie potrafił nazywać go inaczej - położył mu nagle dłoń na ramieniu.

„Boże, nie” - jęknął w myślach młodzieniec. „Błagam, żadnych tłumaczeń, rozmów, przekonywania. Jak najmniej słów... jak zawsze, jak do tej pory”.

- Wybacz mi, proszę - szepnął Robert.

Karol nie tego się spodziewał i przez chwilę nie potrafił znaleźć odpowiednich słów.

- Nie mam ci czego wybaczać - odparł, wzruszywszy ramionami.

- Powiniennem być przekonąć twoją matkę, aby wcześniej powiedziała ci prawdę.

- Jak niby miałbyś tego dokonać? Ukryła przede mną depeszę od ciebie, list od Aleksandry. Nie pozwalała nam na żadne kontakty z tobą. Nikt nie mógł jej przekonać, że nie możemy normalnie żyć bez listów od ciebie. Jak mogłeś wobec tego przekonać ją, aby powiedziała mi prawdę?

- Nie mogłem sam tego zrobić bez jej zgody - mówił coraz ciszej Robert - a może po prostu tak mi było wygodniej?

- Nic nie mogłeś zrobić - odparł Karol, aby wreszcie zakończyć tę rozmowę i wysiąść z samochodu. - Nie mam do ciebie pretensji. Zawsze byłeś w porządku.

- Idealizujesz mnie - powiedział Robert i spojrzał na niego ze smutkiem. - Pamiętaj, że na ogół nie było mnie przy was. Nieobecnego, świętecznego ojca łatwo idealizować... i niebezpiecznie.

- Tak się złożyło - odparł syn z wysiłkiem, przez zaciśnięte zęby. - Nie ma sensu do tego wracać. Potem już byłeś, razem tu zamieszkaliśmy i to jest najważniejsze. Tylko to się liczy. Zawsze chciałeś pomóc, nawet teraz.

- Nie oskarżaj matki. Była wtedy w twoim wieku. Była przerażoną dziewczyną, która nie wiedziała, co robić. I pamiętaj, że potem to ona cały czas z wami była: w czasie pierwszej wojny, potem drugiej, i wtedy, gdy wyjeżdżałem, by pracować, i wtedy gdy... od was odszedłem.

- Wszystko to wiem - odparł Karol z goryczą w głosie. - Jakie ma to jednak znaczenie teraz? W czym mi teraz pomogą te twoje peany na cześć matki?

- Całe lata miałem żal do mojej matki - mówił w zamyśleniu Robert, patrząc przez okno samochodu gdzieś w dal ulicy. - Wiesz, co nam zrobiła... Nienawidziłem jej do tego stopnia, że nie chciałem nawet pojechać na jej pogrzeb. Przekonała mnie rodzina, w tym twoja mama. A potem, gdy już związałem się z matką Sylwii... Zrozumiałem wtedy własną matkę i do dziś żałuję, że nie zdążyłem jej tego powiedzieć. Nie zwlekaj z tym, synu. Teraz czujesz się nieszczęśliwy i zraniony, dlatego nie jesteś w stanie spojrzeć na wszystko... może bardziej obiektywnie. To, co cię spotkało, jest wyjątkowo paskudne. Jednak nie zapominaj o matce... i o innych. Nie zwlekaj w nieskończoność z rozmową. Potem, wierz mi, może się okazać, że jest już za późno. I na zawsze pozostanie w tobie żal... jak we mnie. Ilu nieszczęść można by uniknąć, gdyby ludzie potrafili sobie powyjaśniać różne sprawy, normalnie porozmawiać.

- Dobrze... tato - odparł z tym samym wysiłkiem i zaciskał dłonie, aby zachować przytomność. Przemógł się w końcu i zapytał: - Jesteś jej lekarzem prowadzącym? Nie wiedziałem. Jak to się stało?

- Przypadek. - Robert wzruszył ramionami, nie patrząc na Karola. - Przywieźli ją do naszego szpitala i postanowiłem zająć się nią.

- W takim razie to ty zawiadomiłeś jej ojca?

- Tak. Pamiętałem jego adres, a na wszelki wypadek ustaliłem, w którym szpitalu w Zurychu pracuje.

- Zadałeś sobie wiele trudu.

- Chociaż raz.

Nagle do Karola dotarło, że Robert także źle znosi tę rozmowę. Prowadzi ją dlatego, że zwyczajnie boi się, że może już nie być później ku temu okazji, a powiedzieć pewne rzeczy jednak trzeba.

- Co zamierzasz zrobić? - spytał ojciec po chwili.

- Gdy będę wiedział, dowiesz się pierwszy - odparł chłopak i teraz już wysiadł z samochodu, tym bardziej że przed domem pojawiło się jego rodzeństwo i dwaj synowie Raula.

To byli jedyni ludzie, z którymi miał prawdziwą ochotę rozmawiać i bardzo tego potrzebował. Zaplanowali wspólne wieczorne wyjście do miasta i nawet Sylwia wyjątkowo miała im towarzyszyć. Robert pozwolił jej na to, bo żal mu było dziewczynki, dla której nowa sytuacja stała się szczególnie trudna. Sam Robert nie miał zamiaru towarzyszyć młodzieży, doskonale zdając sobie sprawę, że chcą pobyć sami i pomówić od serca. Poza tym na noc wychodził do szpitala. Nawet wyjątkowo nie upominał ich, aby nie wracali zbyt późno... choćby ze względu na najmłodszą uczestniczkę wyprawy. Ten jeden raz machnął na to ręką i miał dziwne wrażenie, że Nicole pochwalałaby go za to. Zobaczył też, że starsza córka nie ubrała się tym razem prowokacyjnie i wyzywająco, czym wprawiała go na ogół w zakłopotanie. Nie rozmawiała wprawdzie z Sylwią, to już dawno zauważył, ale też nie była przykra w stosunku do niej, a w dodatku nie prowokowała kłótni ze starszym bratem. Westchnął, gdy pomyślał, jak niewiele mógł zrobić w sprawie tych dzieci i ich wzajemnych relacji. Jednak mógł się tego spodziewać, dawno temu własna siostra ostrzegła go w tej kwestii.

Tymczasem młodzi ludzie udali się najpierw na niewyszukaną

i stosunkowo niedrogą kolację, a potem poszli posiedzieć nad Sekwaną, i to w miejscu, które ich rodzicom na pewno nie przypadłoby do gustu.

- Co nas obchodzi ich gust - sarknął wtedy Karol. - Tak jakby oni byli święci...

- Nie byli - potwierdził ponuro Ralf. - Odkąd dowiedziałem się o tobie i Oli, nie mogę opędzić się od myśli, czy i mnie to nie spotka. No bo sami powiedzcie... Czy mogę ręczyć za swojego starego? Wiadomo, jaki był... Z naszą matką też mogło być różnie.

- Z jaką matką? - Niebezpiecznie najeżył się Alan jak zawsze bardzo związany z drugą żoną ojca. Ralf zrozumiał to od razu.

- Mówię o naszej biologicznej matce - uściślił i dodał: - Cholera, jak sobie człowiek pomyśli, że czasem nie wie, czym jest się dzieckiem i kim naprawdę jest twoja dziewczyna...

- Nie gadaj bzdur! - przerwał mu Alan, bo miał już tego dość. - Popadacie w paranoję. Mówimy o naszych rodzicach, a tu chyba obowiązują jakieś zasady.

- Jakie zasady, do cholery! - warknął Karol i ze złością zapalił papierosa. - Oni mieli jakieś zasady? Od matki słyszałem wiecznie głędzenie, jak mamy się prowadzić, co mówić księdzu na spowiedzi, jaki paciorek odmówić wieczorem i wreszcie jakim łajdakiem jest człowiek, którego od początku uważałem za ojca. Tak jakbyśmy nie wiedzieli, że ją zostawił! Nasi rodzice i ich zasady! Wszyscy, jak tu jesteście, możecie powiedzieć to samo. Nasi rodzice potrafią głędzić, jak należy przyzwoicie się prowadzić, a sami nie potrafili własnych majątek na sobie utrzymać!

Zerwał się z wściekłością z murka, na którym siedział, i rzucił niedopalonego papierosa w stronę rzeki. Pozostali siedzieli jak porażeni i patrzyli na niego z przestachem. Chcieli go zapytać, co zamierza zrobić, nie mieli jednak odwagi. Najbardziej przerażona była najmłodsza Sylwia, która nie słyszała jeszcze takiej rozmowy i nie poznawała własnego brata. Zresztą jak go miała poznać, skoro jednak nie był tym bratem? Wciąż nie potrafiła uwierzyć, że nie płynęła w nich ani jedna kropla tej samej krwi. Nawet nie miał czasu, aby z nią porozmawiać. Teraz, gdy na niego patrzyła i słuchała jego słów, była niemal pewna, że jej starszy, uwielbiany brat nie miał też najmniejszej ochoty na rozmowy z nią. Była dla niego kimś obcym. Zatęskniła za ojcem i za Josephine, zapragnęła wrócić do domu, ale nie

śmiała tego proponować. Na pewno zaczęliby żałować, że wzięli ją ze sobą. A Urszula gotowa jeszcze z niej drwić i dokuczać. Może zresztą te drwiny i dokuczanie byłyby czymś lepszym od obojętności, chłodu i ignorowania przez starszą siostrę...

- Pójdiesz jutro do Oli? - spytał nieśmiało Paweł.

- Poszedłbym i teraz, ale przecież mnie nie wpuszczą po tej aferze porannej. Pójdę jutro i w razie czego urządzę tam piekło, jeśli ta armia białych kitli zacznie wydziwiać.

- Ojciec ci pomoże...

- Jasne, że pomoże, ale sam jest w kropce. Nie wie, co dalej z nami robić. No i jeszcze... tamten... ojciec Aleksandry. Będzie na mnie czyhać, bo postanowił sobie ze mną pomówić.

- Nie masz na to ochoty? Przecież to twój... - Paweł przerwał zmieszany.

- No wyobraź sobie, że nie mam na to ochoty.

- Chodźcie, już pierwsza po północy - odezwała się w końcu Urszula, a zmęczona już do cna Sylwia miała ochotę rzucić się jej na szyję z wdzięczności.

Oczywiście nie zrobiła tego. Oczywiście pamiętała...

Ruszyli zatem w powrotną drogę, a gdy mieli już nieopodal opery pożegnać się z Renetami, Karol na chwilę odciągnął na bok Ralfa.

- Musimy o czymś pogadać - powiedział. - Ten twój wyjazd do Nowego Jorku we wrześniu jest nadal aktualny?

- Tak jak mówiłem. Jadę do dziadków. Może rozpocznę tam studia.

- Kiedy możemy się spotkać i pomówić?

- Choćby jutro, nawet i teraz.

- Teraz nie. Nie przy wszystkich. Poza tym musimy już wracać. Jutro.

- Okay, jutro. Cześć.

Rozdział 119

Potem nastroje jakby się wyciszyły i atmosfera uspokoiła. Po dziesięciu dniach Olaf zabrał córkę ze szpitala i postanowił wracać z nią wkrótce do domu. Karol w tym czasie mógł ich odwiedzać, bo Lityński pozwalał na to, a Robert czuł, że nie ma prawa się wtrącać. Doszło nawet do tego, że na jedną z wizyt w hotelu, gdzie mieszkał doktor Olaf z Aleksandrą, Karol zabrał swoje rodzeństwo. I Lityński wyraził na to zgodę. Sam w spotkaniu nie brał udziału, przywitał się jednak z gośćmi i przez chwilę miło z nimi pogawędził.

- Posiedźcie sobie razem w pokoju i porozmawiajcie - powiedział. - Niestety, Oleńka nie może jeszcze opuszczać hotelu i wychodzić gdziekolwiek. Jest na razie za słaba. Zamówcie sobie jednak do apartamentu wszystko, na co wam przyjdzie ochota, na mój koszt oczywiście.

W obecności samego tylko rodzeństwa Karol nie krępował się i trzymał Aleksandrę za rękę lub wręcz ją obejmował, bynajmniej nie jak brat, co Pawła trochę deprymowało, na Urszuli jednak nie robiło negatywnego wrażenia.

- Co teraz zrobicie? - spytała Olę, gdy obaj bracia wyszli na chwilę z pokoju, aby sprostować zamówienie przekazane wcześniej boyowi hotelowemu.

- Nie mogę na razie o tym mówić - odparła Aleksandra, zastanowiwszy się najpierw nad odpowiedzią.

- Od razu pomyślałam, że coś kombinujecie. Za gładko poszło to wasze pogodzenie się z prawdą. Mam jedną radę dla was. Przynajmniej udawajcie trochę bardziej przygnębionych albo wściekłych. Zachowujcie się trochę tak, jak na początku. To będzie mniej podejrzane.

- Mam jeszcze raz przeciąć sobie nadgarstki? - Aleksandra roześmiała się, a Ula jej zawtórowała.

- Jesteś świetną dziewczyną i naprawdę żałuję, że nie udało się wam... - Ula popatrzyła przyjaźnie na tamtą. - Oprócz ciebie nie znam żadnej innej, z którą można sensownie pogadać.

- Ja też cię lubię. Myślę, że możemy się zaprzyjaźnić.

- Pragnę tego samego, ale może być trudno.

- Niby dlaczego?

- Nie dacie rady dłużej tak żyć i nikt wam na to nie pozwoli. Ojciec zabiera cię niedługo do Szwajcarii. Karola zobaczysz dopiero na jesieni. Wytrzymacie tak długo z tym udawaniem, że wszystko już w porządku, że bardzo wam przykro, ale w sumie rozumiecie sytuację? Tym bardziej że słabo udajecie. Na razie zamydliście im oczy, ale przecież twoja i nasza rodzina nie składa się z bandy głupców. Na jesieni znowu wróćcie na wspólne wykłady i co wtedy? Znowu udawanie przed jednymi, a gdzieś na boku potajemne macanki, kiedy tylko nadarzy się okoliczność temu sprzyjająca?

- Myślisz, że to były tylko macanki? - Oczy Aleksandry zaświeciły się pod wpływem emocjonujących wspomnień.

- Matko droga - szepnęła Ula i tajemniczy uśmieszek pojawił się na jej twarzy.

- Zgorszyłam cię?

- Pomyślałam sobie tylko... No wiesz, że i ja mogłabym to robić z Karolem.

- Co ty gadasz?! - Aleksandra zgięła się jak po silnym uderzeniu i zaczerwieniła się na twarzy.

- Dlaczego nie? - Urszula już się nie uśmiechała i patrzyła na tamtą z niezwykłą u niej powagą, ale i pewną dozą współczucia.

- Jesteś przecież jego... - Ola poczuła, że robi jej się słabo.

- Siostrą - odpowiedziała Ula. - Taką samą jak ty...

Usłyszały odgłos zbliżających się do pokoju kroków.

- Zaczynjcie trochę lepiej udawać - zdążyła szepnąć Urszula, zanim obaj bracia weszli.

Reszta rodziny wydawała się jednak przyjmować za dobrą monetę spokój, jaki zapanował po początkowej burzy.

- Są jeszcze tacy młodzi, czas jest łaskawy dla takich dziewcząt i chłopców - powiedziała nawet kiedyś Ala do Roberta. - Nie chcą nam tego pokazać, bo są wściekli na nas wszystkich, ale w duszy na pewno cierpią. Potem jednak poznają innych ludzi i inne miłości. Przecież człowiek jest tak pomyślany, że w końcu podnosi się po największym ciosie i jakoś żyje dalej. Wiem to po sobie.

- Oby tak było - odparł wtedy Robert, jakby z całego serca pragnął

przekonać sam siebie.

Ala pragnęła tego samego, ale nadal podświadomie czegoś się bała.

Wiedziała, że Robert zdążył już ze trzy razy porozmawiać z Olafem i chociaż o powrocie do starej przyjaźni i nawet o nawiązaniu teraz kontaktów towarzyskich nie mogło być mowy, obaj jednak wyjaśnili sobie pewne kwestie z przeszłości. Ona sama nie brała w tym udziału, nie odwiedziła nawet Aleksandry w szpitalu, w obawie, aby nie spotkać jej ojca. Podobnie Basia, trzymała się od tego z daleka, a jedynie Robert wysłał jej uspokajający list, że sytuacja zdaje się normować.

Olaf sam rozumie, że najlepiej będzie mimo wszystko odseparować młodych od siebie. Zabierze córkę do Zurychu, a potem pojedzie z nią do jakiegoś szwajcarskiego uzdrowiska. Na razie siedzą jeszcze w Paryżu, bo dziewczyna jest za słaba na podróż. Być może jednak odległość i długa rozłąka będą tu dodatkowym zbawiennym atutem dla nas wszystkich...

Pisząc te słowa, Robert zastanowił się, co jeszcze dodać. Doskonale wiedział, co chciała jeszcze wiedzieć Barbara, chociaż za skarby świata nie przyznałaby się głośno do tego. Może nawet nie życzyła sobie, aby i on o tym myślał i pisał o tym czymś do niej. Potem jednak przemógł się. Może jednak pragnęła dowiedzieć się o tym choćby z jego listu? Kto inny miałby jej o tym donieść? Może Janek, ale on ostatnio też często służbowo podróżował. Trochę dziwiły Roberta te intensywne podróże służbowe brata, ale nie wnikał w to i nie wypytywał. I tak był wdzięczny Jasiowi za tamtą podróż do Zurychu i wzięcie na siebie misji powiedzenia prawdy Olafowi Lityńskiemu. Potem zaś Janek przyjechał jeszcze do Paryża i był gotów nadal służyć pomocą, chociaż w kraju miał tyle obowiązków.

Mniejsza jednak na razie o Janka. Pilniejszą sprawą wydawał mu się list do Barbary. Kontynuował zatem czytanie:

Karol rozmawiał też z Olafem Lityńskim, choć nie było łatwo go do tego namówić. Sama wiesz, jaki potrafi być uparty. Olafowi jednak zależało na tym i nawet prosił mnie o pomoc w tej sprawie. Początkowo nie miałem ochoty angażować się w tę kwestię, ale potem pomyślałem, że

i tak siedzę w tym po uszy. Aleksandra Lityńska wskutek różnych przypadkowych okoliczności była w szpitalu moją osobistą pacjentką. Poza tym uznałem, że rozmowa Karola z Olafem wyjaśnitaby już wszystkie niedomówienia i nawet jeśli byłaby bolesna i trudna, to przynajmniej towarzyszyłoby temu poczucie, że zrobiło się już wszystko, co można. Okazało się w rezultacie, że wszystko poszło dobrze, że obaj stanęli na wysokości zadania i pożegnali się w zgodzie. Szczegółów rozmowy rzecz jasna nie poznałem.

„Namówiłem twojego syna na tę rozmowę przede wszystkim dlatego, że zawsze uważałem, że Olaf miał prawo znać prawdę, i to od samego początku. Miał prawo wiedzieć o istnieniu Karola” - myślał potem Robert, zaklejając kopertę. Tę ostatnią myśl zachował jednak dla siebie. Nie podzielił się nią z żoną.

Oczywiście w zmienionej dramatycznie sytuacji młodzi Matzerowie i Renetowie zrezygnowali z planowanej wycieczki w góry. Aleksandra przecież nie wyjechałaby z nimi. Zamiast tego wybierała się z ojcem do uzdrowiska w Tyrolu. Nikogo z pozostałych osób w rodzinie jakoś specjalnie nie zastanowiło to, z jaką obojętnością Karol podszedł do zmiany wakacyjnych planów. Tylko Ala twierdziła, że chłopak jest zbyt dumny i jeszcze rozżalony na najbliższych, aby uzewnętrznić swój ból. Reszta uczestników niespełnionej wyprawy także podeszła do zmiany planów bez większego żalu. Ponownie jednak Ala, Robert, a nawet Raul, położyli to na karb młodzieńczej solidarności z Karolem.

Jednak pod koniec lipca, tuż przed odjazdem Olafa i jego córki do Szwajcarii, wybuchła inna sensacja, która na pewien czas zepchnęła na dalszy plan ostatnie dramatyczne wydarzenia.

Janek ożenił się i zawiadomił o tym listownie całą rodzinę. Zmienił swój stan cywilny podczas jednej ze „służbowych” podróży, tym razem do Szwajcarii. Jego wybranką okazała się Weronika Lityńska, rodzona siostra Olafa. Ona ze swej strony zawiadomiła brata.

Ala siedziała kompletnie oniemiała nad listem od Janka i co chwila czytała go od nowa, próbując zrozumieć.

- Czy zostały jeszcze jakieś normalne osoby w naszej rodzinie? - To był pierwszy komentarz, jaki skierowała do męża.

Raul, jak to Raul, był szczerze ubawiony, i chociaż Ala przyzwyczała się do takich, a nie innych, jego reakcji, nie mogła teraz przejść nad tym do porządku dziennego.

- Jestem pewna, że mniej więcej w tym samym momencie reszta mojej rodziny, rozmieszczonej w różnych miejscach w Europie, jest wyjątkowo solidarna w zgodnym osłupieniu - rzekła. - W dodatku z listu Janka wynika, że Olaf Lityński i jego córka także nie mieli o niczym pojęcia. Janek i Weronka Lityńska wręcz wykorzystali moment, że w Zurychu nie było w tym czasie nikogo z ich rodzin. Gdy tylko dowiedzieli się, że Aleksandra dochodzi do zdrowia i nie ma już niebezpieczeństwa, wzięli ślub. Obecni byli tylko oni i dwoje przypadkowych świadków.

- Bardzo romantycznie - zauważył przekornie Raul.

- *W takiej, a nie innej, sytuacji rodzinnej, gdy w dodatku nieubłaganie, jak cień, kroczy za nami wszystkimi nieciekawa przeszłość, uznaliśmy z Weroniką, że wolimy być w tym dniu sami. Sądzymy, że reszta osób tak nam bliskich byłaby skrępowana swoją wzajemną obecnością i widokiem, a niektórzy pewnie wcale by nie przyjechali* - czytała Ala.

- Ma rację - skomentował Raul. - Wyobrażasz sobie na tym ślubie i ewentualnym weselu swoją bratową, jej matkę, twojego ojca i... Olafa Lityńskiego? Nie mówiąc już o całej reszcie? Jak to się jednak stało, że twój brat i siostra Lityńskiego...

- Okazuje się, że mieli się ku sobie już ponad dwadzieścia lat temu - powiedziała z westchnieniem Ala, patrząc w list. - Nikt nie miał o tym zielonego pojęcia. Wszyscy koncentrowali uwagę na Basi i Olafie. A potem wybuchł ten skandal, zerwanie zaręczyn i w konsekwencji także zerwanie Janka z tamtą dziewczyną. Oboje nie potrafili sobie poradzić z tym, co się stało z Basią i Olafem, pogubili się zupełnie i czuwali się do solidarności rodzinnej - każde wobec własnej rodziny. Przypominam sobie teraz, że Janek wspomniał mi kiedyś, tuż przed śmiercią Nicole, o jakiejś dziewczynie czy kobiecie, z którą chciał się związać, ale nie wyszło. Musieli podporządkować się losowi, nie mogli nic zrobić. Tak jakoś powiedział. Nie chciał tego rozwijać. Dopiero teraz...

- Mam nadzieję, że potrafisz go zrozumieć i nie będziesz się bocyć.

Ala siedziała właśnie przed lustrem w ich sypialni i rozczesywała włosy przed snem. Raul siedział tuż przy niej i śledził ruchy jej rąk. Mówił, że

działa to na niego podniecająco od ich pierwszej nocy po ślubie. Mówił tak od dnia ich ślubu i nie przypominała sobie, by kiedykolwiek poza wyjątkami, gdy wyjeżdżał samotnie w interesach i gdy ona chorowała po urodzeniu Nicole, nie odbywał się ten rytuał wspólnego czesania jej włosów przed położeniem się do łóżka. Najpierw grzebień w rękę trzymała ona, a potem przejmował go on. I cesał tak, że dreszcze przechodziły przez jej ciało już na krześle przed lustrem. Tak było od niemal dziewięciu lat i nic nie zapowiadało zmian. Tylko te dwie noce przed ślubem odbyły się bez owego rytuału. Wtedy nie zdążyła nawet pomyśleć o własnych włosach ani niczym innym oprócz...

- Dlaczego mam się boczyć? - odpowiedziała, przymykając oczy i delektując się dotykiem grzebienia sunącego w jego rękę po jej włosach. - Wiedziałam zawsze, że Jaś jest szalony, ale nie sądziłam, że aż do tego stopnia... taki spontaniczny.

- Co w tym dziwnego? Jest w końcu twoim bratem i bratem Roberta. A ty w jakich okolicznościach podejmowałaś decyzje o dwóch swoich małżeństwach? Nie były to decyzje spontanicznie szalone? A Robert?

- Ja i Robert byliśmy wtedy znacznie młodszy, niż Janek jest dziś - zauważyła, ale już dość leniwie, bo Raul przestał ją czesać.

Zamiast tego delikatnym ruchem palców przejechał po jej dekolcie a potem głębiej, pod peniurem. Już nie analizowała słów z listu brata, ale nadal mając przymknięte powieki, słuchała Raula.

- Podobno mam już prawie czterdzieści osiem lat na karku - mówił, nie przerywając pieszczot, które niezmiennie, od lat przyprawiały ją o obłęd - ale przy tobie, Alice, czuję, jakbym wciąż miał dwadzieścia. Kochanie, nasze szalone, spontaniczne wyczyny nie zależą od naszego wieku.

Nie mogła temu już zaprzeczyć.

*

Do Barbary Janek wysłał bardziej osobisty list, który zawierał więcej wyjaśnień i obaw.

Mam nadzieję, że potrafisz mnie zrozumieć, Basiu Kochana. Zależy mi na Twojej przyjaźni, bo zawsze byłaś mi tak bliska. Weronika także martwi się, czy aby dobrze przyjmiesz wiadomość o naszym ślubie. Czy

ze względu na jej brata będziesz chciała w ogóle się z nią widzieć. Napisałaby do Ciebie osobiście, ale chciała najpierw dać Ci trochę czasu.

Powiesz być może, Basiu, że przecież nie znikły przyczyny, dla których wtedy ja i Weronika zerwaliśmy ze sobą wszelkie kontakty. To prawda, Basiu, ale znika czas. Tyle życia już poza nami! Może trzeba wreszcie zająć się teraźniejszością i przyszłością? Ile nam jeszcze czasu zostało? Co nas jeszcze czeka? Wtedy, gdy wydarzył się nasz rodzinny dramat związany z Tobą i bratem Weroniki, myśleliśmy, że poza nami życie toczy się tak spokojnie i ospale, że nic już gorszego nie może się przytrafić. A potem wybuchła wojna i od tego czasu nic już nie było pewne. Nie wiemy, co jeszcze się wydarzy. Dlatego, trzeba chwycić dzień, łapać każdą okazję do szczęścia. Tak, Basiu. Memento mori, ale również carpe diem. Bez tego nie ma sensu żyć.

Dlatego, nawet jeśli teraz, pod wpływem zaskoczenia i emocji, czujesz się ponownie zraniona przez kolejną osobę z rodziny Matzerów, postaraj się wyciszyć i posłuchać serca. Zawsze będziesz dla mnie moją bratową, moją siostrą, moją przyjaciółką. Przecież nie gniewałaś się na mnie, gdy pogodziłem się z Twoim mężem, gdy żyła jeszcze Nicole. Przecież wtedy rozumiałaś. Zrób to i teraz, a zarazem proszę, wyciągnij rękę do Ali. Skoro rozumiałaś mnie, gdy pogodziłem się z Robertem, wybacz i jej. Chyba rzeczywiście nie miała wtedy wyjścia. Jeśli zaś chodzi o mnie i o moją żonę, to zamierzamy zamieszkać w Warszawie. Nie wyobrażam sobie życia poza moim krajem, a i Weronika jest ciekawa kraju swoich przodków. To może zresztą ułagodzi Ojczulka, który (mam nadzieję) przeżywa zapewne wiadomość ode mnie w tym samym czasie, co Wy w Zaborowie. Dowiedz się, proszę, czy Ojciec przeżył list ode mnie. Kocham Cię, moja Siostrzyczko, a moja żona zawsze pragnęła przyjaźni z Tobą. Nie gniewaj się, zrozum, chyba naprawdę zwariowałem. Wariactwo jest jednak tak emocjonujące...

List z Zaborowa czekał już na niego w Warszawie. Doktor Joachim przeżył jakimś cudem wiadomość o ślubie syna, choć, jak zaznaczył, jest już za stary na takie sensacje.

- Niestety musisz przyzwyczaić się, moja kochana, że nasza rodzina nie

jest typową rodziną dobrodusznym, przewidywalnym przeciętniaków – oznajmił doktor nowej synowej. – Ja sam zawsze tęskniłem za taką właśnie przeciętną, nudną rodziną i takim właśnie życiem. Niestety, nie było mi to dane, a naprawdę nie pragnąłem przygód. Od kiedy ożeniłem się z matką twojego męża, zawsze musiałem się liczyć z nową sensacją. Obawiam się, że los nie będzie mnie oszczędzał aż do śmierci. Być może nawet moja śmierć odbędzie się w sensacyjnych okolicznościach.

Pomimo że wygłaszał tę mowę raczej zrzedliwym tonem, cieszył się ogromnie, że jego młodszy syn ułożył sobie wreszcie życie, i to pomimo kalectwa. W dodatku Janek aż promieniował witalnością i szczęściem. Synowa również zyskała uznanie w oczach doktora i nie zawracał sobie głowy, czyją była siostrą. Zrozumiał też sens potajemnego ślubu syna.

- No tak, w tych okolicznościach to było rzeczywiście najmądrzejsze rozwiązanie – skomentował, po swojemu nieco mrukliwie.

Mój Drogi Przyjacielu i Bracie – pisała Basia – jakże bym mogła gniewać się na Ciebie?! Zawsze byłeś dla mnie dobry i nigdy się na Tobie nie zawiodłam. Byłeś przy mnie wtedy, gdy bardzo potrzebowałam pomocy i poparcia. Nie mógł tego zmienić fakt, że zapragnąłeś w końcu pogodzić się z bratem. Masz jednak rację co do Ali. Konsekwencja nakazuje wyciągnąć do niej rękę i do mnie należy wykonanie tego gestu. Nie czuję już do niej dawnego żalu, tym bardziej że przyczyna tego żalu już jest poza nami, w innym świecie i osądził ją sam Bóg. Obiecuję, że napiszę do Ali, muszę jednak przygotować się do tego i zebrać myśli. Nie wszystko naraz, mój Przyjacielu. Zbyt wiele wydarzyło się ostatnio, choć, jak słyszę, pomału wychodzimy już z tego bagna. Najgorsze chyba mamy za sobą. Bałam się bardzo, bo moje pożegnanie z najstarszym dzieckiem nastroiło mnie bardzo pesymistycznie.

A co do twojego, Kochany mój, małżeństwa, to cieszę się ogromnie. Oczywiście na początku byłam zaskoczona. Do tego stopnia, że całymi godzinami dochodziłam do siebie. Nie wspomnę już o mamie i służbie. Potem wszyscy tańczyli z radości, chociaż Antoni narzekał, że kolejne już wesele nie odbyło się w naszym starym domu.

To, czyją siostrą jest twoja żona, nie ma dla mnie aż takiego znaczenia, jak myślisz. Powiem więcej. To, że Karol poznał wreszcie prawdę,

przyjmuję teraz z pewną ulgą, jako coś w rodzaju wyzwolenia. Może rzeczywiście rację mieli wszyscy, którzy twierdzili, że dziecko od początku powinno było to wiedzieć i dorastać z tą świadomością. Karol uniknąłby wtedy historii, jaka spotkała go z tamtą dziewczyną. Wygląda jednak na to, że i z tym sobie jakoś poradzi mój kochany, mądry syn. Zresztą, nie ma przecież wyjścia. Ja też musiałam sobie poradzić z ciosami, jakie na mnie spadały, odkąd skończyłam dwudziesty rok życia.

Wiem, że Karol pewnie długo będzie się gniewał na mnie i na innych, a ja będę musiała poczekać cierpliwie na jakieś słowo od niego, ale trudno. Poczekaam. Obym tylko nie popełniała w życiu więcej błędów. Dlatego cieszę się, że ożeniłeś się z Weroniką. Oczywiście, że ją pamiętam. Poznałam ją, gdy pojechałam z twoim ojcem, a moim ojczymem, do Zurychu. Od razu ją polubiłam, tę młodziutką, nieśmiałą dziewczynę. Nie miałam tylko pojęcia, że byłeś w niej wtedy z wzajemnością zakochany. O to jedno mam do Ciebie pretensję, że nic mi wtedy o tym nie powiedziałeś. Przecież zawsze byliśmy przyjaciółmi. No, ale zgoda, ja też nie wszystko mówiłam. Czekamy wszyscy w Zaborowie na Wasze odwiedziny. Dzięki Bogu, że osiedliście w kraju. Czuję, że w końcu wszystko będzie dobrze.

Barbara

Pisząc te słowa, naprawdę w nie wierzyła. Naprawdę.

Rozdział 120

Pod koniec sierpnia Karol oznajmił Robertowi, że we wrześniu wypływa do Nowego Jorku. Robert początkowo nie zrozumiał ani słowa i patrzył na syna kompletnie zdezorientowany. Wobec tego chłopak, z trudem wytrzymując spojrzenie ojca, powtórzył wszystko słowo w słowo.

- Wyjeżdżam do Nowego Jorku. Płynę tam razem z Ralfem. Nie rób z tego historii, tato. Mogłem ci nic nie powiedzieć, a tylko zostawić pożegnalny list. Obiecałem ci jednak, że ty pierwszy dowiesz się o moich planach, więc dotrzymuję słowa. Wypływamy za tydzień.

- Dlaczego? - wyszeptał Robert, który wyglądał i czuł się jak człowiek wybudzony ze śpiączki.

- Nie każ mi tego wyjaśniać. Na ogół rozumiałeś mnie bez zbędnych słów.

- Niedługo zaczynasz zajęcia na uczelni. Czy zdążysz wrócić do tego czasu?

- Nie zdążę.

Zrobiło się przeraźliwie cicho, a obecna wtedy w gabinecie ojca Sylwia skuliła się na kanapie jak mały psiak. Robert dopiero wtedy zrozumiał, o czym mówił do niego Karol, i właściwie nie potrzebował już dalszych wyjaśnień.

- Ja już nie wrócę, tato.

- A matka? Co z matką? - zapytał wtedy niespodziewanie dla siebie Robert, bo akurat to przyszło mu wówczas do głowy.

- Napiszę do niej jutro. Musi zrozumieć.

- Napiszesz do niej dopiero jutro? I myślisz, że ona to zrozumie?

- Przecież wiesz, jaka jest. Gdyby dowiedziała się wcześniej, gotowa by przyjechać do Paryża, albo nawet i do Marsylii, i urządzić scenę. A ja nie zmienię zdania. Zresztą, może i tak się domyśliła. Dałem jej poznać przy pożegnaniu, że możemy się długo nie zobaczyć...

- A może wcale...

- Ty też zamierzasz urządzić scenę?

Robert wstał energicznie od stołu i zaczął nerwowymi krokami przemierzać pokój. Sylwia, objawszy ramionami kolana, płakała bezgłośnie.

- Jak ty to sobie wyobrażasz?! Chyba oszalałeś! Do Ameryki? Na zawsze?
- Nie powiedziałem, że na zawsze. Na pewno jednak na długo - sprostował Karol.

- Nie mam nic przeciwko temu, ale najpierw skończ studia. Jak tam będziesz żyć? Za co? Za co w ogóle odbędziesz tak kosztowną podróż?

- Jadę razem z Ralfem, mówiłem ci przecież. On ma pieniądze na podróż i zamierza zostać tam dłużej. Tam mieszkają jego dziadkowie, jak wiesz, i oni wiedzą także o moim przybyciu.

- Dziadkowie Ralfa, obcy ludzie, wiedzą, i to zapewne od dawna. A my dowiadujemy się dopiero teraz? Czy wuj i ciotka wiedzieli, że zamierzasz towarzyszyć Ralfowi?

- Prawdopodobnie właśnie teraz się dowiadują... Ale jakie to ma znaczenie?! To moje życie, moje, nie wasze! I nie jestem już dzieckiem! - krzyknął, bo w końcu poniosły go nerwy.

- Jesteś naszym dzieckiem, nie rozumiesz tego?

- Nie jestem. Po co się oszukujesz! Nie jestem twoim dzieckiem i dlatego to wszystko! Teraz, jak będzie trzeba, pójdę do samego diabła! - Za długo się pilnował, za długo udawał, że wszystko w porządku, aby teraz panować nad krzykiem, nad nerwami. Też się bał tej podróży, tej nieznannej przyszłości, a do tego czuł wściekły ból, cholerny żal... Patrzył na poszarzałe, przerażone twarze Sylwii i ojca - bo wciąż inaczej nie potrafił go nazywać - i chciało mu się wyć. - Nie mogę tu zostać! Nie rozumiecie?! Mam ją spotykać na wykładach i udawać, że jest wszystko cacy? Nie jest! Jak może być?! Nasi koledzy uważali nas za parę i co mielibyśmy im teraz mówić?! - Ochłonął po paru minutach i kiedy ponownie spojrzął na ojca, serce mu się ścisnęło. Miał wrażenie, jakby w przeciągu tych minut na włosach Roberta pojawiły się srebrne nitki. Czy to w ogóle możliwe? To chyba jakieś koszmarnie przywidzenie. Ojciec w jego oczach był młodym, pełnym życia facetem. - Nie martw się, tato - mówił już łagodnie, znacznie łagodniej. - Przemyślałem to sobie. Przygotowywałem się od tygodni. Powinienem sobie poradzić. W ciągu lat, by nie powiedzieć stuleci, młodszy ode mnie ludzie płynęli do Ameryki i rozpoczynali tam nowe życie. I przeważnie udawało im się to. Zawsze wszystko zawdzięczałem rodzinie, niczego jak dotąd nie zdobyłem sam. Mam ochotę wreszcie spróbować. I naprawdę muszę stąd uciec, naprawdę... - Zaciśnął zęby, gdyż inaczej zaczęłby wrzeszczeć jak

wystraszony mały dzieciak, a Robert, widząc to, przytulił nagle jego głowę do swojej piersi. Stali tak, spleceni silnym uściskiem, i obaj dygotali od tłumionego szlochu. Dygotała też Sylwia, która nie była w stanie nawet wybiec z gabinetu ojca. - Przecież wiesz, jak to jest, przecież w pewnym momencie też już nie mogłeś zostać w Polsce... z nami... z matką. Przecież wiesz, jak to jest, gdy czasami ktoś staje się dla ciebie tak ważny, że zostawiasz wszystko, bo inaczej żałowałbyś do końca życia. Zrobiłeś to i nie żałowałeś...

Karol wyrzucał z siebie te słowa, wtulony cały czas w ojca, i jednocześnie już tęsknił za nim na myśl o rychłym rozstaniu.

- Przecież ja ciebie rozumiem, mój synu - odpowiedział stłumionym głosem Robert. - Nie mogę cię pocieszyć. Niestety, twoje i moje położenie nie jest identyczne... - Zawahał się i dodał, nie wypuszczając chłopaka z ramion: - Nicole nie była jednak moją siostrą.

- Dlatego muszę odjechać. Nie mogę tu zostać.

- Dobrze.

Do Roberta nagle dotarło, co przed chwilą powiedział. Aż mu się ciemno zrobiło przed oczami, gdy to sobie uświadomił. Nie cofnął jednak tego słowa. Nie cofnie go nigdy.

- Naprawdę? - spytał chłopak, patrząc na niego z niedowierzaniem.

- Dostaniesz ode mnie pieniądze - odparł zamiast odpowiedzi Robert. - Nie pozwolę, aby mój syn pojechał gdziekolwiek za pożyczone pieniądze i poniewierał się bez grosza przy duszy.

- Nie trzeba, tato - szepnął, pełen jeszcze niedowierzania, Karol, ale Robert nie dał mu dokończyć.

- Pożyczam. Kiedyś może oddasz, jeśli powiesz ci się w tej ziemi obiecanej. Tylko pamiętaj, masz się tam uczyć. Obiecałeś mi kiedyś, że zostaniesz lekarzem...

- Jak mój ojciec - dokończył Karol i w tym momencie się zreflektował.

- Tak. Jak twój ojciec - odparł spokojnie Robert, patrząc mu w oczy. - Obiecałeś to jako dziecko.

- Wtedy nie miałeś ze mną jeszcze takich kłopotów. - Karol uśmiechnął się trochę łobuzersko.

- Wtedy rzadko cię widywałem. Tak niewiele o tobie wiedziałem.

- A ja o tobie wszystko.

Patrzyli sobie w oczy, ojciec i syn... Mimo wszystko...

- Skończę te studia, ojczu. Nie martw się. Nie wiem, ile czasu mi to zajmie, ale zrobię to. Będę też pracował.

- Musisz jeszcze porozmawiać ze swoim rodzeństwem.

- Oni już wiedzą. Prawie od początku wiedzieli. Nie gniewaj się na nich, kazałem im siedzieć cicho.

- No tak, to dokładnie jak ja i mój brat - Robert nie mógł się nie uśmiechnąć - a potem jeszcze do komitywy doszła Ala. Nasz ojciec do tej pory połowy rzeczy o nas nie wie. Dzięki Bogu, że ty, twój brat i siostra potraficie chociaż teraz porozumieć się ze sobą. Faktycznie, spostrzegłem jakiś czas temu, że zaprzyjaźniłeś się z Urszulą. Już to powinno było wzbudzić moje podejrzenia, że coś się kroi. Teraz tylko ona... - Wskazał na kanapę, gdzie do tej pory siedziała skulona Sylwia, ale miejsce było już puste.

Nawet nie zauważyli, kiedy wyszła.

Karol znalazł ją bez trudu w jej pokoiku i usiadł w bujanym fotelu naprzeciwko dziewczynki.

Dziewczynki?! Sylwia miała czternaście lat i osiągała ten fascynujący i niebezpieczny wiek, gdy z dziecka przeobrażała się w młodą dziewczynę. Pięknie się przeobrażała. Była tak podobna do swojej matki, że patrząc na nią, Karol miał wrażenie, że tak naprawdę dobrze znał Nicole Perrier. Oczywiście nigdy jej nie poznał, choć podobno widział ją kiedyś jako małe dziecko podczas pierwszego wesela ciotki Alicji. Nie pamiętał tego jednak wcale.

Nicole Perrier znał z fotografii umieszczonej na ścianie pokoju jej córki, znał ją też z różnych opowieści. Matka nie szczędziła kiedyś obraźliwych epitetów pod jej adresem, ale tu, w Paryżu, wszyscy mieli o tej kobiecie inne wspomnienia. Sylwia miała jej urodę, jej oczy, owal twarzy, czerń włosów i jej czar. Już żałował, że nie będzie mógł czuwać nad tą dorastającą dziewczynką, gdy na dobre zaczną interesować się nią chłopcy i dorośli mężczyźni. Podobno jej matką też się interesowali, podobno bardzo tego nie lubiła, a wręcz się bała. Dopiero przy jego ojcu czuła się bezpiecznie. Czy Sylwia też kiedyś będzie z tym miała problemy? Kto jej wtedy pomoże? Jedynie ojciec? A jeśli ojca, nie daj Boże, zabraknie?

Uśmiechnął się z goryczą, gdy przypomniał sobie, jak kiedyś krytykował

postawy znanych mu mężczyzn, którzy trzęśli się nad swoimi córkami. Kpił w duchu z dziadka, ojca i wuja Raula. I nie były to bynajmniej jedyne przykłady. Przypomniawszy sobie, z jaką pogardą patrzył na kolegów w szkole i na uczelni, którzy bali się, że jakiś facet skrzywdzi ich siostry. Tylko doktor Lityński zachowywał się inaczej wobec swojej córki. Teraz pomyślał o sobie z politowaniem, że uważał niegdyś tamtego za tak chwalebny przykład do naśladowania. Dziś, gdy patrzył na fotografię panny Perrier, a potem na Sylwię, nie miał już ochoty do kpin z kolegów, z dziadka, z ojca i wuja. Teraz ich rozumiał. Sam się bał o Sylwię. Była taka delikatna i bezbronna. Urszula sobie jakoś poradzi, ale Sylwia?

Urszula... To następny problem. Wobec niego zachowywała się już w porządku, ale młodszej siostry nadal nie znosiła i ignorowała ją na każdym kroku. Nie trzeba niebezpieczeństwa ze strony innych chłopaków i facetów. Wystarczy Urszula, aby obrzydzić tej małej życie. A jego tu wtedy nie będzie.

- Miałam sześć lat, gdy umarła - odezwała się dziewczynka, obserwując go, jak patrzył na fotografię jej matki. - Coraz słabiej ją pamiętam. Wiem, że przyjdzie w końcu taki dzień, że bez tego zdjęcia nie będę potrafiła jej sobie przypomnieć. Z tobą też tak będzie...

Ostatnie słowa wydusiła z oczami pełnymi łez. Na próżno szukał jakichkolwiek słów, aby ją pocieszyć. Sam się wystraszył. Czy to możliwe, że bez zdjęć każde z nich zapomni, jak wyglądało drugie?

- Tak dobrze było nam tu razem... - mówiła tonem pełnym smutku i skargi. - Odkąd zamieszkałaś z nami, nigdy nie było smutno. Nigdy... to było coś mieć takiego brata jak ty. To było...

Nie mogła już dokończyć, ale wtedy już wiedział, co ma jej odpowiedzieć.

- Nadal jestem twoim bratem. Może łatwiej ci będzie tak myśleć, gdy będę daleko.

- Ale przecież twój tata... twój ojciec... - Sylwia zarumieniła się.

- Ma to znaczenie tylko dla mnie i dla Oli... Dla ciebie i dla mnie... żadnego. Rozumiesz? Spójrz na mnie! Rozumiesz, co powiedziałem? Żadnego znaczenia...

- Rozumiem. - Kiwnęła głową i jedna łza spłynęła po jej policzku.

- Nie rozstajemy się na zawsze. Kiedyś się spotkamy.

- Nie wiadomo.

- Oczywiście, że nie wiadomo... Człowiek wychodzi z domu i nie może mieć całkowitej pewności, czy do niego wróci i zobaczy jeszcze swoich bliskich. Czyż nie?

- Co za rozważania! - zawołała i uśmiechnęła się niewyraźnie. Wstąpiła w nią maleńka otucha.

Na krótko.

- Pamiętaj też, że zamieszka tu teraz Paweł. Zostanie z tobą twój drugi brat. Nie będziesz sama.

„Twój prawdziwy brat” - dodał w myślach, zanim zdążył zatrzymać to spostrzeżenie.

- Nie zapominaj też o siostrze...

- Nie mogłabym zapomnieć - odparła i znowu zobaczył w jej oczach strach.

- Nie bój się jej. Załatwię to z nią - zapewnił ją stłumionym z emocji głosem.

- Nie trzeba. Nie boję się - odparła pospiesznie i hardo.

Pogłaskałby ją po głowie, jak kiedyś, ale kto wie? Może teraz by się obraziła? Nie wyglądała już jak dziecko. Tym bardziej się o nią lękał.

- To dobrze - odparł, uspokajając ją.

Rozmawiali jeszcze długo, tak jak dawno tego nie robili. Opowiedziała mu o nowych przyjaciółkach, o szkole, o nauczycielkach. Były wakacje, ale nie miało to znaczenia, bo widać było, że ta rozmowa sprawiała jej przyjemność. Jemu też, gdyż właściwie Sylwia od początku dawała mu wiele radości. Nawet wtedy, gdy po raz pierwszy usłyszał o niej od ojca podczas ich pamiętnego pożegnania w Warszawie, nie czuł w sobie żadnych złych emocji. Sylwia zawsze wywoływała w nim dobre uczucia.

Potem odprowadził ją do domu jej przyjaciółki, chociaż już od dawna chadzała tam sama. Nie protestowała jednak przeciwko jego opiekuńczości, a nawet zgodziła się z radością na jego propozycję, że przyjdzie po nią wieczorem. Potem udał się na długi spacer z Pawłem. Miał z nim wiele do obgadania.

Rozdział 121

Ala czekała na brata w swoim dawnym domu. Sądziła, że skończył już dyżur w szpitalu, dlatego przyszła wcześniej, niż należało.

- To nic, niech pani poczeka - zaprosiła ją Josephine. - Pan Robert niedługo powinien wrócić. Niestety młodzież też gdzieś wyszła, chociaż wydawało mi się, że widziałam niedawno pannę Urszulę. Przepraszam tylko, bo sama muszę teraz wyjść i odwiedzić ciotkę.

Ala trochę zdziwiła się tą ciotką, nigdy bowiem o niej wcześniej nie słyszała, ale nie dopytywała o nic. Josephine miała prawo wychodzić, kiedy chciała, takie były jej ustalenia z Robertem. Zawsze przy tym pamiętała, aby przy ludziach tytułować go „panem Robertem”.

- Niech pani się mną nie krępuje, Josephine. Poczekam na brata i myślę, że nikt mnie nie porwie, gdy posiedzę tu sama. Tyle razy byłam tu sama... Znam szepty wszystkich tutejszych duchów.

Josephine uśmiechnęła się niewyraźnie. Czasem sama miała wrażenie, że po tym domu krążą jakieś zjawy, które wprawdzie nie dokuczały i nie czyniły nikomu krzywdy, po cóż jednak o nich jeszcze dodatkowo mówić? A przy tym pani Renet, gdy mówiła o tych duchach, miała taki nieokreślony wyraz oczu, że człowiekowi aż dreszcze chodziły po kościach. W każdym razie Josephine z ulgą ubrała się i wyszła, obiecując sobie, że nie będzie spieszyć się z powrotem.

Ala została sama i postanowiła przygotować sobie kawę jak za dawnych lat, gdy tu mieszkała. Kiedy ostatni raz miała okazję pobyc w tym domu tak zupełnie sama? Od swojego drugiego zamążpójścia chyba ani razu. Zaraz nie będzie zresztą sama. Zaraz tu przyjdą i bynajmniej nie miała na myśli żywych. Z bijącym sercem weszła do swojej starej, kochanej kuchni. Jak to dobrze, że nic się w niej nie zmieniło.

Ani Nicole, póki jeszcze mogła jako tako zajmować się domem, ani Josephine niczego tu nie zmieniły. Te meble, szafki, komoda, stół i krzesła były tu od samego początku, od kiedy Raul dał jej klucze, a ona przestąpiła progi tego domu po raz pierwszy. Jeszcze teraz zdawało jej się, że zobaczy tu panią Maurion, która tak uparcie starała się nią opiekować pomimo jej dąsów i młodocianych protestów. Dopiero ona zaprowadziła w tym domu

porządek i tak dzielnie walczyła z Alą o jego utrzymanie. Biedna pani Maurion nie żyje już od lat, ale może teraz tu gdzieś jest. Może widzi, że dawna właścicielka wchodzi do kuchni z zamiarem zrobienia bałaganu, jak zwykle. Zaraz tu przybiegnie i powie: „Nie, panno Alice, proszę to zostawić, bo znowu pani potłucze albo postawi gdzieś, gdzie nikt potem nie znajdzie”.

Może przy stole usiądzie zaraz Nicole, uśmiechnie się i zacznie ją przekonywać, by zaczęła w końcu cieszyć się życiem. Usiądą razem i będą rozmawiać bez końca. Opowiedzą sobie wszystko jak dawniej. „Wiesz, Nicole, tyle się wydarzyło, odkąd odeszłaś...” Może zaraz zbiegną się dawni przyjaciele, których zawsze było tu pełno... René, Ricardo... I inni... Będą pić, śpiewać, czytać Byrona, Boudelaire’a, Ibsena. Będą się kłócić o realizm i modernizm w sztuce. Będą dyskutować o tym, czy idea warta jest wojny. Może zaraz usłyszy płacz albo gaworzenie małej Melanie... A może... Przymknęła oczy i odwróciła się do komody z naczyniami w nadziei, że zaraz obejmą ją z tyłu czyjeś silne ramiona, jak wtedy...

„Chodź, kochanie... Jestem tu dzisiaj sama. Raul ze mną nie przyszedł. Pozwoliłeś, a nawet chciałeś, abym związała z nim swoje życie, ale dzisiaj możesz przyjść... Jego tu nie ma... Chodź, kochanie...” Uśmiechnęła się jak spiskowiec do tej myśli. „Ciekawe, czy Raula też by to ubawiło? Chyba lepiej mu nie mówić”.

Wydawało jej się, że rzeczywiście słyszy ciche, jakby ukradkiem stawiane, kroki na schodach.

„Chodźcie, czekam na was. Nie męczcie biednej Josephine. To ja z wami zawsze rozmawiałam”.

Otworzyła oczy i była już niemal pewna, że ktoś tu oprócz niej jest. Wyrzała na korytarz, nikogo nie zobaczyła. A przecież wyraźnie słyszała i czuła, że nie jest sama. Tak jak wtedy, po wojnie, gdy Nicole postanowiła wyprowadzić się razem z dzieckiem, a wszyscy znajomi oburzali się, jak mogła zostawić Alę samą. Tylko ona wiedziała, że to nieprawda. Nie została sama.

„Jesteś, kochanie... Tak dawno cię nie było. Jestem szczęśliwa, tak jak chciałeś... Czasem jednak znowu zaczynam tęsknić. Kocham go, ale czasem... potrzebuję usłyszeć ciebie...”

Usłyszała stukanie do drzwi i dopiero po chwili do niej dotarło, że odgłos ten pochodzi ze świata żywych, nie zmarłych. A po drugiej stronie

stał człowiek z krwi i kości, a jednak zarazem zjawia z odległej przeszłości. Stała w otwartych drzwiach jak zaczarowana i wpatrywała się w przybysza jakby istotnie miała przed sobą ducha. Nagle przypomniała sobie tamten grudzień 1916 roku, gdy niespodziewanie do drzwi zastukał Walter. Wtedy zapewne wyglądała tak samo, patrzyła tak samo i tak samo miała początkowo pustkę w głowie.

- Alicja... - usłyszała, a po chwili: - Nie poznajesz mnie?

- Olaf - odpowiedział jej głos, jakoś tak niezależnie od niej.

Nie była w stanie odwrócić od niego wzroku. Wiedziała, że tak będzie, i dlatego przez cały czas choroby Aleksandry i jego pobytu w Paryżu czyniła, co tylko mogła, aby uniknąć tego spotkania. Wyjechał przecież potem ze swoją córką, a ona odetchnęła z ulgą... I żyła z poczuciem tej ulgi - aż do tej pory.

- Przeszedłem porozmawiać z Karolem - powiedział, nie spuszczać z niej wzroku, a był to wciąż tamten wzrok, ten sam.

- Nie ma go w domu - odpowiedziała trochę ochryłym ze zdenerwowania i emocji głosem.

- Zależy mi na rozmowie z nim. A czy jest Robert?

- Nie ma. - Pokręciła głową i nagle, niespodziewanie dla samej siebie, dodała: - Powinien niedługo wrócić. Też na niego czekam. Możemy poczekać razem, jeśli chcesz.

- Jeśli chcę? - Uśmiechnął się w ten charakterystyczny sposób, który to uśmiech wyparła ze świadomości dopiero w czasie małżeństwa z Walterem.

A teraz w jednej chwili wszystko wróciło. Miała wrażenie, że znowu jest w swoim pokoju w Zaborowie, a on wchodzi do środka i zamyka za sobą drzwi. Musiała przywołać całą siłą woli własną świadomość i wytłumaczyć sobie, że od tamtych czasów minęło dwadzieścia jeden lat. Na pewno widział, co się z nią działo, a działo się niemal to samo, co wtedy.

Coś do niej mówił... Ale co? Wytężyła uwagę, jak tylko mogła, jak tylko potrafiła.

- Twój bratanek miał rację. Wciąż jesteś taka, jaka byłaś.

Rzeczywiście, wszyscy to powtarzali. Niewiele się zmieniała, może dlatego, że wciąż była tak szczuplutka jak wtedy i miała taką drobną twarz oraz wyraziste, ciemne oczy.

On natomiast się zmienił, ale czas zadziałał na jego korzyść. Broda

dodawala powagi, a oczy, które niegdyś zdawały się rozbiierać każdą kobietę, patrzyły teraz przenikliwie, ale dobroduszenie. Pomału otrząsnęła się z pierwszego wrażenia.

- Przygotowywałam sobie kawę. Mogę zaparzyć również dla ciebie.

- Bardzo chętnie. Dziękuję.

Weszła do kuchni i zajęła się parzeniem kawy, ale Olaf wszedł tam za nią. Nic dziwnego, z wrażenia zapomniała mu pokazać drogę do salonu.

- Nigdy nie byłem w twoim domu. - Rozejrzał się. - A to taki piękny, ciepły, rzekłbym, staroświecki zakątek.

„To miało być miejsce naszej *liaison*” - pomyślała wtedy z goryczą. „Czyżbyś zapomniał, że tylko narkotyk od René uratował mnie przed tym?”

Wróciło na moment to, co tak skutecznie przez lata wyparła ze swojej świadomości. Chciała zapamiętać tylko chwile fascynacji, namiętności, rozkoszy, a zapomnieć, co jej proponował, co wydarzyło się tej ostatniej nocy, jakie słowa wtedy padły. Nadal nie chciała do tego wracać. Pamiętała przecież, że przeproszał, ratował jej zdrowie, może życie, i uwolnił w końcu od siebie.

Patrzył wciąż na nią, a kiedy nalała aromatycznego płynu do filiżanek i wokół rozszedł się zapach świeżej kawy, uśmiechnął się szeroko.

- Słynna zaborowska kawa - zauważył - i jej niezwykle właściwości...

Oblała się rumieńcem, ale miłosiernie tego nie skomentował. I tak widział, z jakim trudem ratowała swój spokój.

- Pójdziemy do salonu - oznajmiła tylko.

- Kuchnia jest bardzo przytulna i w rzeczy samej wygląda jak salonik. Może zostaniemy tutaj?

- Nie - odparła zdecydowanie i szybko, tak że wprawiło go to w konsternację, ją samą zresztą też.

Chyba kto inny przemówił jej głosem. Nie mogła jednak gościć go w kuchni, bo to staroświeckie, stylowe pomieszczenie było miejscem szczególnym, niemal świętym. Tu Walter przekonał ją wreszcie, aby związała z nim swoje życie, i tu przyłapał ich wtedy jej brat. Tu wspólnie zjadali śniadania podczas ich krótkiego małżeńskiego życia, z którego większość czasu zabrała wojna. Tu spędziły niezliczoną ilość wieczorów, poranków i popołudni z Nicole. Tu wielokrotnie rozmawiała albo milczała w towarzystwie Raula, gdy byli jeszcze wyłącznie przyjaciółmi, i tu wreszcie

Raul odważył się wykonać krok naprzód i przekonać ją, że przyjaźń to za mało dla nich dwojga. Tu plotkowała z przyjaciółkami, tu najchętniej przebywały wszystkie dzieci, które przewinęły się przez ten dom. Tu wreszcie dawno temu królowała w sposób absolutny niedoceniona za życia i oceniona dopiero po śmierci poczciwa pani Maurion. Tak wiele innych wspomnień można było przywołać w tym miejscu, które nie było tylko kuchnią w zwykłym tego słowa rozumieniu.

Jedno było pewne. Nie było to miejsce do popijania kawy z człowiekiem, z którym niegdyś grzeszyła dla zabawy, dla przyjemności, a który potem planował urządzić sobie w tym domu miejsce ich miłosnych spotkań. *Liaison*.

Usiedli naprzeciw siebie w bawialni i dopiero wtedy Ala stopniowo zaczynała uspokajać się i łagodnieć. Co było, to było. Nie może teraz mieć pretensji do Olafa, bo sama brała w tym wszystkim udział bez większych oporów. Niemrawa próba tego oporu, która miała miejsce tamtej ostatniej nocy, była właściwie bez znaczenia.

- Słyszałem, że twoje życie ułożyło się dobrze - podjął rozmowę Olaf.

- Tak, mam męża i dziecko - odparła, pomyślawszy, że na wszelki wypadek lepiej uzmysłowić ten fakt i jemu, i sobie.

- Słyszałem o tym. Twoim mężem został nie kto inny, tylko człowiek, którego upierałaś się nazywać jedynie przyjacielem.

- O czym chcesz rozmawiać z Karolem i Robertem? - spytała, starając się zmienić temat.

Ale on w tym momencie jakby stracił zainteresowanie i Karolem, i Robertem, i pierwotnym celem swojej wizyty.

- Cieszę się, że jesteś szczęśliwa. Zresztą już wtedy zakładałem, że powinno ci się udać. Mówiłem o tym, pamiętasz?

- Chcesz powspominać, jak widzę - odparła nieco ironicznie, upijając łyk kawy. Jednak ręka jej drgnęła i część kawy wylała się na spodeczek. Miała ochotę zakląć najbardziej ordynarnym przekleństwem, jakie w życiu słyszała. Dlaczego los był tak wredny, aby sprowadzić ją dzisiaj do tego domu? Właśnie dzisiaj!

- Pamiętasz? - spytał i zanim zareagowała jakimikolwiek słowami, które przywróciłyby go do porządku, zaczął mówić dalej:

- *Idzie w piękności, jak noc, która kroczy*

W cichem gwiazd gronie przez bezchmurne kraje;

Co cień i światło w sobie kras jednoczy,

To w jej obliczu i w jej oczach taje...^[1]

- Przestań - przerwała, a po chwili spokojniej już, a nawet z lekkim uśmiechem dodała: - Próbujesz uwodzić mnie jak wtedy?

- To tylko miłe wspomnienia, nie musisz się denerwować - odpowiedział przyjaznym uśmiechem na jej zdawkowy grymas twarzy. - Nie lubisz wspomnień?

- Wiesz, co pamiętam? - spytała, a po uśmiechu nie było już śladu. - Pamiętam, że widziałam cię wychodzącego z pokoju Basi. Czułam się potem jak dziwka. Tym miałam się stać, taką przeznaczyłeś mi rolę. *Liaison*.

- Spokojnie, Alicjo... - Olaf już nie żartował. Patrzył na nią z powagą i niespodziewanie położył dłoń na jej dłoni.

Początkowo chciała wyrwać gwałtownie swoją rękę, ale po sekundzie zrezygnowała. Ten dotyk nie palił, tak jak kiedyś. Człowiek, który do niej mówił, nie miał złych zamiarów. Rozstali się przecież w zgodzie, ona nieraz wracała wspomnieniami do tamtych dni.

- Przecież powiedziałem ci wtedy, że nigdy w taki sposób o tobie nie myślałem. Zwariowałem wtedy na twoim punkcie, nigdy wcześniej nic podobnego mi się nie przytrafiło. Naprawdę byłem wtedy gotów rzucić wszystko i wszystkich i uciekać z tobą, nawet ożenić się z tobą. Mówiłem o tym, pamiętasz? Wybaczyłaś mi przecież propozycję *liaison*, skutecznie wybijając mi ten pomysł z głowy.

Przytaknęła głową, ale miała ochotę dodać jeszcze coś od siebie.

- Łatwo wariowałeś na punkcie kobiet. Dość szybko pozbierałeś się po zerwaniu z Barbarą...

- To nie było akurat takie trudne - mruknął.

- To może nie.

- Szybko się pocieszyła, i to w taki sposób... - Twarz ściągnęła mu się bólem, bynajmniej nie z powodu Barbary.

Ala odgadła szybko, że myślał o Karolu, nie chciała jednak o tym teraz mówić. Tej sprawy wołała już nie wałkować, zwłaszcza z nim.

- Oboje szybko się pozbieraliście. Ona wyszła za Roberta nie tylko dlatego, że była w dramatycznej sytuacji. Zakochała się w nim bez pamięci i przez jakiś czas jej to wystarczało. Ty też szybko ułożyłeś sobie życie z inną kobietą i było ci z nią dobrze. Nie potrafiłam was zrozumieć. Ja przez trzy

następne lata gubiłam się i nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Nie mogłam i nie chciałam przestać myśleć o tobie... ani o tym, co razem robiliśmy. Nie potrafiłam do nikogo się przywiązać, długo nie istnieli dla mnie inni mężczyźni. Nie umiałam prawidłowo odczytać intencji tych, którzy się mną interesowali. Bałam się, że znowu ktoś zaproponuje mi *liaison*, a ja przecież nie byłam aż tak niemoralna.

- Nie uważałam cię za niemoralną. Aż tyle dla ciebie znaczyłem? Przepraszam, Alu, jeszcze raz... Wybacz mi.

- Przecież wybaczyłam ci jeszcze w Zaborowie, gdy uratowałeś mi życie i pozwoliłeś odejść. Mówię tylko, że nie potrafiłam zapomnieć. Uważałam to za dno mojego upadku. Dopiero mój pierwszy mąż, Walter, wyleczył mnie z tego. Niestety, potem zginął na froncie.

- Wiem, Alu... - Olaf łagodnie gładził jej rękę. - Karol opowiedział o nim, gdy przyjechał do nas na Wielkanoc. Bardzo mi przykro.

- Nie zawsze mi się układało, jak widzisz. Straciłam męża, straciłam pierwsze dziecko. Nie zapomniałam jednak o tobie, chociaż nie towarzyszyły już temu żadne emocje. One odżyły dopiero teraz, zupełnie niepotrzebnie.

- Nie wiedziałem. Inaczej nie deklamowałbym tu wierszy jak jakiś durny gimnazjalista na akademii szkolnej. Nie chciałem cię zdenerwować, myślałem, że miło pogawędzimy o dawnych czasach i tak doczekamy powrotu twojego brata albo bratanka.

- Nie umiem tak po prostu pogawędzić z tobą o tamtych czasach. Zaraz przypominam sobie...

Chciała być z nim szczerą, ale pewne słowa nadal nie mogły przejść jej przez gardło. Bała się, że znowu zarumieni się jak głupia pensjonarka, bo znowu przed oczami stanął jej pokój w Zaborowie i wszystko, co tam robili. Fakt, że sporo się wtedy nauczyła. Przydała jej się ta wiedza w dwóch następnych związkach.

„Mężczyźni będą mieli z ciebie pociechę” - tak jej wtedy powiedział.

Nie mylił się. Mieli. Na samą myśl o tym teraz prawie się roześmiała w jego obecności. Jednak zawsze była niemoralna.

- A ja nie muszę sobie tego przypominać - powiedział wtedy powoli Olaf. - Pamiętałem zawsze... dużo... zbyt wiele.

Patrzył gdzieś ponad jej głową, a na jego twarzy było wypisane ciepło, pewna tkliwość i rozmarzenie. Ala milczała, nie miała już nic do dodania.

Była przekonana, że tak siedzących razem i milcząco zatopionych we wspólnych wspomnieniach zastanie ich ktoś z domowników... i tak właśnie się stało.

*

Po drugiej stronie uchylonych drzwi na taras, przytuleni do ściany, siedzieli Urszula i Paweł. Ula trzymała w rękach niedopalony papieros, a brat towarzyszył jej niczym tajny wspólnik zakazanych czynności. Oboje milczeli jak zamurowani, wsłuchani w rozmowę, która tak wyraźnie dobiegała do nich z salonu.

Wieczorem Ala zdecydowała się opowiedzieć mężowi o niespodziewanym spotkaniu z Olafem Lityńskim. Przemilczała za to swoje spotkanie ze zmarłymi. Tego Raul nigdy nie akceptował i znowu zaczęłyby się niepokoić jak kiedyś, dawno temu. Nie najlepiej też przyjął jej opowieść o wizycie Olafa, chociaż przezornie nie zacytowała tych najbardziej osobistych słów, jakie wtedy padły. Nawet jednak ta mocno okrojona wersja wydarzeń sprawiła, że Raul zmarkotniał. Ubawiło ją to..

- Przysięgam, że nie miałam z nim kłopotów. Nie musisz go zabijać - powiedziała ze śmiechem, nawiązując do ich dawnej rozmowy na temat Olafa.

- Naprawdę groziłem mu wtedy śmiercią? - zainteresował się Raul.

- Aż tak odważny nie byłeś. Jemu tego nie powiedziałaś, tylko mnie.

- Denerwował mnie ten facet. Nadal mnie denerwuje.

- Jesteś obrzydliwie zazdrosny. To było dwadzieścia jeden lat temu.

- A jednak nadal interesuje się tobą.

- Daj spokój - przerwała, bo przestała nagle bawić ją ta rozmowa. - Naprawdę nie wiem, dlaczego tak bardzo bierzesz to do siebie. Doprowadzisz do tego, że nic ci więcej nie powiem.

Nie przejmował się jej dąsami i gniewami. Lubił ją czasem prowokować, a potem żartował sobie z tego. Twierdził, że to dodaje wesołej pikanterii ich związkowi, który przecież i bez tego urozmaicenia był taki zmysłowy.

- Był twoim pierwszym mężczyzną - przypomniawszy jej, a ona miała ochotę rzucić w niego poduszką. Rzeczywiście, od razu zrobiło jej się weselej. Bardzo zabawne.

- Co z tego? - odparła. - Ty przecież jesteś ostatnim...

[1] Fragment wiersza *Idzie w piękności* G.G. Byrona w przekładzie Stanisława Koźmiana. S. Koźmian: *Pisma wierszem i prozą. Tom I*. Poznań 1870. E-book bezpłatny, digitalizacja dokonana przez Google: <https://books.google.pl/books?id=1MZUAAAaAAJ&pg=PA275&dq=Idzie+w+pi%C4%99kno%C5%9Bci&hl=> [dostęp: 2015-08-06].

To Robert był tym człowiekiem, który zastał Alicję i Olafa siedzących w milczeniu nad filiżankami z kawą i dwoma kieliszkami czerwonego bourbona. Zdawał sobie sprawę, że powinien się zdziwić ich widokiem, i to nawet bardzo. Przez tyle dni siostra unikała jakiegokolwiek sposobności do rozmowy i spotkania z dawnym narzeczonym Barbary.

- To wasze sprawy, nie potrzebuję się w to mieszać - powiedziała kiedyś, a Roberta wcale to nie zaskoczyło.

Pamiętał, że zawsze, od samego początku żywiła do Lityńskiego antypatię, którą starała się wtedy, ponad dwadzieścia lat temu, powściągać ze względu na planowany ślub Barbary z tym człowiekiem. A teraz siedzieli oboje, raczej zadumani niż markotni, w dodatku w dawnym domu Ali.

Robert powinien był się zatem mocno zdziwić, ale podszedł do niespodziewanego widoku tych dwojga w salonie dość obojętnie. Co jeszcze mogło go zdziwić? Jego brat ożenił się niespodziewanie z siostrą Lityńskiego i zamieszkał z nią w Warszawie. Podobno takie było jego marzenie już ponad dwadzieścia lat temu, a nikt nie miał o tym zielonego pojęcia. Chłopak, którego uznał za syna i zaakceptował, jeszcze zanim reszta rodziny dowiedziała się o ciąży Barbary, ten właśnie chłopak lada dzień opuszczał kontynent i udawał się na drugą półkulę, bo tylko w ten sposób wyobrażał sobie uporanie się z miłością do dziewczyny, która okazała się jego siostrą. Czy w obliczu takich zdarzeń Roberta mogło jeszcze cokolwiek zaskoczyć? Obojętnie wysłuchał relacji siostry, jak to się stało, że ona i Olaf znaleźli się w tym domu. Wzruszył tylko ramionami i odparł, że czekanie na Karola nie ma sensu, gdyż udał się z wizytą do swoich paryskich kolegów z uczelni i zamierza wrócić dopiero rano, nie wiadomo jednak, o której godzinie. Na wiadomość o całonocnym wyjściu Karola Olaf na moment zmienił się na twarzy, ale nawet to nie zastanowiło Roberta.

Ala pożegnała się wtedy i wyszła, a Robert zaproponował dawnemu przyjacielowi wspólne wyjście do jakiejś knajpki.

- W domu nie porozmawiamy spokojnie. Lada moment mogą wrócić moje pozostałe dzieci i gospodyni. Lepiej wyjdźmy gdziekolwiek na jednego lub dwa.

Najchętniej upiłby się do nieprzytomności. Nie miał ochoty na rozmowę z Lityńskim i nie rozumiał, o co jeszcze mogło tamtemu chodzić. Przecież powiedzieli już sobie wszystko. Co tu jeszcze można dodać? Odnowienia przyjaźni nie planował żaden z nich, co najwyżej kurtuazyjne i rzadkie spotkania ze względu na Janka i Weronikę – choć też niekoniecznie.

Dlaczego chciał rozmawiać jeszcze raz z Karolem, skoro chłopak nawet wtedy zrobił to niemal pod przymusem? A właściwie dlaczego Lityński w ogóle tu przyjechał? Czy nie powinien być teraz ze swoją córką w Szwajcarii?

- Muszę z nim pomówić - powiedział Olaf, gdy już usiedli w bistro i złożyli zamówienie.

- Dobrze ci radzę. Daj sobie spokój.

- Muszę spróbować... - Olaf przerwał, bo właśnie podszedł do nich kelner.

- Nie odczarujesz tych lat. Jeśli Karol nie chce, to nic nie zrobisz. Zresztą, przecież rozmawialiście.

- Rozmawialiśmy - potwierdził Olaf, a na jego twarzy pojawił się pełen goryczy wyraz. - Bardzo uprzejmy był ten twój i mój syn. Grzecznie mnie wysłuchał i wyraził pełne zrozumienie. Powiedział nawet, że nie ma do mnie pretensji, skoro nie wiedziałem o jego istnieniu. To miły i dobrze wychowany chłopak, skoro nie wyraził na głos tego, o czym naprawdę myślał przez całe nasze spotkanie: abym dał mu wreszcie spokój i poszedł w końcu do diabła.

- Wszystkich trzyma teraz na dystans. Musisz go zrozumieć.

- Z tobą jednak porozumiał się jakoś.

„Skąd to wiesz?” - zainteresował się Robert, ale nie zadał głośno tego pytania. Na głos powiedział za to co innego:

- Gdybyś wiedział, czego musiałem wysłuchać najpierw... Jakich słów mi nie szczędził...

- Wolałbym już to - powiedział z goryczą Olaf.

Robert z niezadowoleniem spostrzegł, że już po dwóch kieliszkach zaczyna mu się lekko kręcić w głowie. Fakt faktem, że nigdy nie pił dużo. Czy jednak aż tak się zestarzał? W wieku czterdziestu sześciu lat?

- Mówiłem, nie odczarujesz tych dwudziestu lat - powtórzył. - Może za jakiś czas on sam zacznie nas lepiej rozumieć: ciebie, mnie, swoją matkę.

Może ta podróż, czas i odległość od nas zrobią więcej w tej sprawie niż obecne rozmowy.

- Robert - Olaf spojrzał na niego błagalnie - zrozum. Ja muszę się z nim spotkać, zanim on wyjedzie.

„Nie zniosę tego dłużej. Po jaką cholere ja zgodziłem się na tę gównianą rozmowę?” - pomyślał ze złością Robert. Opanował się jednak. Chyba znowu Nicole interweniowała z zaświatów, jak za każdym razem, gdy chciał zwzywać kogoś na całe gardło.

Nicole... Gdyby tu teraz była, wszystko byłoby łatwiejsze.

- Dlaczego nie zajmiesz się swoją córką? - zapytał, gdy uspokoił własne nerwy i emocje.

- Właśnie o nią mi teraz chodzi! - W głosie Olafa był teraz szloch.

Roberta to natychmiast rozbroiło. Zrobił wtedy coś, czego nie robił od ponad dwudziestu lat, co jeszcze pięć minut temu, sekundę temu nie przyszłoby mu do głowy. Położył przyjaźnie dłoń na ramieniu tamtego i spojrzał mu prosto w oczy.

- Poradzą sobie z tym - przekonywał łagodnie. - Nie mają innego wyjścia. Nie oni pierwsi na świecie musieli zrozumieć, że nie mogą być razem. Odległość im w tym pomoże. Czas im pomoże. To mądre, rozsądne dzieciaki.

- Jesteś tego pewny? - spytał wtedy jakimś dziwnym głosem przyjaciel z dawnych lat i Robertowi natychmiast zrobiło się gorąco. W spojrzeniu tamtego był ból, strach, współczucie. Jednym słowem było tam bardzo wiele, ale na pewno nie otucha i wiara w to, że wszystko będzie dobrze. A potem Olaf zaczął mówić i każde kolejne jego słowo uzmysławiało tylko przerażonemu Robertowi, jak bardzo był naiwny.

*

Ostatnie rozmowy, wyjaśnienia, listy... Ostatni rozpaczliwy list od matki. Ostatni wieczór spędzony z ojcem i rodzeństwem... Spakowane walizy, przygotowane dokumenty i bilety.

- Wrócisz, jeśli ci się tam nie spodoba? - spytała nieśmiało Sylwia.

- Natychmiast. Od razu pierwszego dnia! - Karol roześmiał się, ale coś ścisnęło go za gardło.

Pogodzony był już z tym, że opuszcza ojca, o matce nie wspominając.

Miał już za sobą wizytę u wujostwa Renet, którzy zapewne właśnie teraz odbywali podobną kolację pożegnalną z Ralfem.

Chyba uporządkował już wszystkie swoje sprawy. Odbył już nawet rozmowę z Urszulą. Jutro nie będzie na to czasu.

- Nie przejmuj się mamą - powiedziała mu dziś przed południem. - Niedługo wracam do Zaborowa i popracuję nad nią. Narobię tam tylu głupstw, że od razu przestanie zwracać sobie tobą głowę i zapomni o twoim istnieniu. Według mamy zawsze najskuteczniejszym lekarstwem na jedne zmartwienia były inne zmartwienia. Zapewnię jej to.

- Wyjątkowo podłe i przebiegłe z ciebie stworzenie. - Brat uśmiechnął się, wyciągając do niej rękę.

- Nigdy nie byłam inna - odparła, obejmując go za szyję.

- Fakt. Nigdy.

Pomyślał, ile to czasu stracili na bezsensownych kłótniach, wzajemnych intrygach i dokuczaniu jedno drugiemu. A przecież tyle wspólnych przeżyć ich łączyło! Mieli wspólne dzieciństwo, razem patrzyli na wojnę, jedną i drugą, a potem na rozsypujące się latami w drobny mak małżeństwo rodziców.

- Wiesz co, Ulka? Fajna z ciebie babka - powiedział.

- Dopiero teraz to odkryłeś? Po osiemnastu latach? - odparła nadąsana, z trudem hamując łzy. Nie, nie rozbeczy się przy nim. Nigdy nie płakała, chyba że jako niemowlak.

Chociaż nawet wtedy, według najróżniejszych relacji, nie tyle płakała, ile darła się wniebogłoso.

- Dopiero teraz zrobiłaś się fajna.

- Nie róbcie tego. To się nie uda. Takie rzeczy nigdy się nie udają - szepnęła wtedy niemal błagalnie.

- W starożytnym Egipcie to się udawało - odparł wesoło, chociaż nie było mu do śmiechu. - Na tym opierała się polityka dynastii królewskich w tamtej cywilizacji.

- A ty oczywiście musisz wierzyć w każdą bzdurę, jakiej nauczyli cię w szkole - odparła ponuro i znowu omal się nie roześmiał.

- Nie piśniece ani słowa, aż sami napiszemy?

- Przecież wszyscy wam to obiecaliśmy - odparła niechętnie w imieniu swoim, Pawła i obu braci Renet.

Popatrzył na nią i zastanowił się, czy aby jej siła i przebojowość nie były tylko pozorną grą. Teraz wydała mu się równie delikatna, krucha i wrażliwa jak Sylwia. Paweł będzie musiał samotnie zatroszczyć się o obie siostry. Siostry. Sylwia...

- Zrób jeszcze coś dla mnie. Potraktuj łaskawiej małą - poprosił.

- Znowu zaczynasz? To nie twoje zmartwienie. Nie jesteście przecież rodzeństwem. - Znowu niemal widział, jak wyrastają jej kolce, kły i pazury.

- Nie gadaj bzdur - odparł dobronudszym tonem. - Nie chcę tego więcej słyszeć. No więc jak będzie z małą? Opuścisz... chociaż trochę? Teraz będziesz miała ją zamiast mnie.

- Też mi zamiana...

- Ulka!

Pomału chowała kolce i kły, trochę gorzej było z pazurami. Trąciła go wreszcie w ramię i mruknęła:

- Nie martw się już o to... Mnie też to już nie bawi.

Musiał się tym na razie zadowolić.

W każdym razie teraz, przy pożegnalnej kolacji nie wyczuwało się przy stole żadnego napięcia i atmosfera naprawdę była nie najgorsza.

Pierwotnie cała rodzina mieszkająca w Paryżu, wszyscy, co do sztuki, zamierzali odprowadzić Karola i Ralfa aż do portu w Marsylii. Obaj chłopcy musieli stoczyć prawdziwą batalię, aby do tego nie dopuścić.

- Okręt odplywa już trzy godziny po planowanym przyjeździe pociągu z Paryża. Po co macie się wszyscy wlec taki kawał? Nie będzie już czasu na rozmowy, bo będziemy musieli załatwiać wszystkie formalności i zaraz wchodzić na pokład. Myśleliśmy nawet, aby na wszelki wypadek pojechać do Marsylii dzień wcześniej, ale ze względu na was odłożyliśmy to na ostatni moment. Nie utrudniajcie teraz wszystkiego - przekonywali obaj całą rodzinę.

- Wystarczy już, że odprowadzicie nas do pociągu i zrobicie tłum na dworcu. Wystarczy nam płacz, jaki tam nastąpi - dodał jeszcze Ralf.

Wreszcie, dwa dni przed wyjazdem rodzina częściowo ustąpiła, przyjmując do wiadomości argumenty podróżników. Ale tylko częściowo, gdyż zamiast całej armii ludzi odwieźć miał ich wuj Raul swoim samochodem. W dodatku towarzyszyć im miała mała Nicole, której ojciec nie miał serca odmówić tej przyjemności. Oczywiście Karol i Ralf zgodnie

zaprotestowali, tłumacząc to między innymi już poniesionymi kosztami na bilety kolejowe. Rodzina była jednak nieubłagana.

- I tak mam tam interes do załatwienia - rzekł Raul. - Małej też należy się jakaś wycieczka. Poza tym nie ma stuprocentowej pewności, że pociąg nie będzie miał opóźnień. Chcę mieć pewność, że obaj wesłicie na pokład i wasze rzeczy razem z wami. Tyle możecie dla nas zrobić: nie stawiać oporu w takiej kwestii.

Cóż było więc robić? Nie takie były plany i utrudniało to przeprowadzenie ich do końca. Nie było jednak wyjścia. Należało wobec tego zmienić pewne pierwotne ustalenia i mieć nadzieję, że wuj Raul nie sprawi im problemów w ostatniej chwili.

- Jak ojciec uprze się przy czymś, to nie ma na niego siły - mruczał Ralf. - To jednak jest dobre w całym tym bałaganie, że zabiera ze sobą Nicole. Będzie zajęty głównie nią i wtedy staje się mniej spostrzegawczy w innych sprawach.

- I to ma być dobre w tym przypadku? - mruknął wtedy Alan, a Paweł, Urszula i Ralf umilkli zmieszani.

Karol wiedział, że nie pochwalali tego, co zamierzał zrobić z Aleksandrą. Wiedział jednak również, że będą milczeć, że mu to obiecali. Sylwii na wszelki wypadek nie dopuszczono do tajemnicy.

To było jednak wczoraj, a dziś Karol, patrząc na ojca i rodzeństwo i myśląc o matce, dziadkach i wszystkich mieszkańcach Zaborowa, odczuwał jedynie nostalgię i pogrążył się we wspomnieniach. A tak zawsze kpił z sentymentalizmu starszego pokolenia.

Następnego dnia już bladym świtem wyruszyli w podróż do Marsylii. Mała Nicole spała, otulona kocem w samochodzie, bagaże zostały upakowane - samochód wuja był z rodzaju tych obszerniejszych, jakie poruszały się po drogach - i oczywiście prawie wszyscy mieli łzy w oczach.

- Mówiłem. Nie wyjeżdżam na całe życie - tłumaczył Ralf, tuląc do siebie Alę. - Postudiuję, pokręcę się tam, zrobię jakąś awanturę i wrócę. Nie zaczynaj znowu, mamó.

Jak miała jednak nie zaczynać, skoro ten chłopiec tak samo jak jego brat stał się przez te lata jej częścią. Jakże chętnie porozmawiałyby o tym z Barbarą! Była pewna, że obie czuły to samo, choć rozdzielone dwoma tysiącami kilometrów. Ralf też miał łzy w oczach i był wdzięczny bratu, że ten

zdecydował się zostać z rodzicami. Byli jednak bliźniakami i to chyba dodatkowo utrudniało rozstanie. A Ala? Jak mógł nie pamiętać tego, że pokochał ją niemal od pierwszego wejrzenia, że od początku niczego nie pragnął bardziej, niż aby ojciec związał się wreszcie z tą kobietą na stałe. Był prawie szczęśliwy z powodu własnego upadku z drzewa i otarcia się o śmierć, bo dzięki temu Ala codziennie i prawie każdej nocy czuwała nad nim w szpitalu, a potem zajęła się nim i bratem w domu. Zawsze był potem pewien, że jego wypadek był kamieniem milowym przyspieszającym powtórne małżeństwo ojca.

- Pisz do nas, pisz do swojej mamy. Nie zapomnij - szeptała z kolei Ala, głaszcząc głowę Karola.

Pomyślała, że dla Basi może to i lepiej, że nie mogło jej być tutaj. Emocje przy takim pożegnaniu sięgały jednak zenitu.

- Ciociu, sto razy już o tym zapewniałem - odparł, przypominając sobie, nie wiadomo dlaczego, wszystkie jej pobyty w Zaborowie. Także ten, o którym opowiadała mu stara Perlicka, sprzed dwudziestu jeden lat, gdy matka szykowała się do ślubu z...

Wreszcie ruszyli, gdyż czekała ich długa podróż. Na miejsce przybyli z dość dużym zapasem czasu.

- Zdążymy jeszcze zjeść razem obiad - zauważył wesoło Karol, bo w ciągu długiej podróży z Paryża humor znacznie mu się poprawił. Teraz był już niemal pewien, że cały plan się powiedzie, a w razie czego wuj Raul z pewnością nie narobi rabanu. Z całej rodziny miał chyba największy dystans do całej sytuacji. W dodatku faktycznie najbardziej go absorbowała ruchliwa i urocza córeczka. Nicole miała skończyć za trzy miesiące osiem lat, a w oczach Raula była wciąż malutkim, bezbronnyim dzieckiem.

Karol spojrział na zegarek. Pociąg z Paryża, którym według pierwotnych planów mieli przyjechać razem z Ralfem, miał przybyć za około dwie godziny. Czekał teraz na niego, ale było jeszcze dużo czasu, dlatego zaproponował wspólny obiad.

Raul spojrział wtedy na niego uważnie, tak że zaraz zapaliła mu się w głowie jakby lampka alarmowa.

- Najpierw musisz z kimś porozmawiać - powiedział wuj ze smutkiem, ale i stanowczością w głosie. Czasami potrafił być stanowczy, choć nigdy wobec żony i córeczki.

Karol mimo to spojrzął na niego zdumiony, nie bardzo bowiem rozumiał. Z kim miałby tu jeszcze rozmawiać? Jedynymi takimi osobami byli na razie wuj Raul, Ralf i ewentualnie ten mały, ruchliwy skrzat, czyli kuzyneczka Nicole. Na razie...

Odwrócił się jednak machinalnie, podążając za spojrzeniem Raula, i wtedy dostrzegł... Olafa.

Stał kilka kroków za nimi, na ulicy pełnej ludzi, a nieopodal był widoczny port i okręty.

Ralf też był zaskoczony, wręcz oszołomiony, ale pierwszy odzyskał głos.

- Coś ty zrobił? - wydukał powoli i przeniósł wzrok z Lityńskiego na ojca.

- Co wyście wszyscy zrobili? - odezwał się wreszcie w ślad za przyjacielem Karol.

Wszystko stało się jasne. Sądził, że udało mu się zamydląć oczy rodzinie i nawet odczuwał z tego powodu niejasny dyskomfort i wyrzuty sumienia. A tymczasem tamci byli o krok przed nim. Poznali jego plany, może zaaranżowali całą tę szopkę. Mina wuja Raula nie świadczyła o tym, że był zaskoczony. Musiał o wszystkim wiedzieć. To dlatego tak się wszyscy uparli, aby obaj z Ralfem zostali odwiezieni samochodem Reneta. Gdyby on, Karol, przyjechał wraz z Ralfem pociągiem, jak pierwotnie planował, doktorowi Lityńskiemu byłoby znacznie trudniej odnaleźć go w Marsylii. Może nawet nigdy by go nie odnalazł. Jeśli tu był, to wszystko mogło wziąć w łeb.

„Aleś się uparł na to spotkanie ze mną!” - pomyślał z niechęcią, patrząc na biologicznego ojca. Właśnie tak - biologicznego, nic więcej.

A potem dotarło do niego, że to nie był zwykły upór dawnego narzeczonego matki. Ten facet nie jechałby aż do Marsylii tylko po to, aby błagać o rozmowę i składać dalsze wyjaśnienia. Lityński przyjechał tu, bo wiedział. Rodzina Karola zgodziła się ułatwić Olafowi to spotkanie z synem, bo też wiedziała.

Karol, patrząc na tamtego, chciał w pierwszej chwili uciekać przed siebie i ukryć się przed Lityńskim gdziekolwiek, choćby na okręcie. To był pierwszy odruch, którego jednak nie mógł zrealizować. Przecież czekał na nią. Jej pociąg miał przyjechać za dwie godziny.

Spostrzegł, że wuj Raul odciągnął Ralfa na bok i zaprowadził go wraz z małą Nicole gdzieś w dół ulicy. Karol został wobec tego sam naprzeciw

doktora Lityńskiego. Opanował już panikę i strach, tym bardziej że Olaf nie wyglądał groźnie i patrzył na niego z sympatią, nie z gniewem. Z drugiej strony nie było w jego oczach prośby o miłość, przyjaźń czy choćby o litość.

„O nią ci chodzi. Już wiesz. I co teraz?” – pomyślał Karol i podszedł powoli do doktora.

- Usiądźmy gdzieś i porozmawiajmy – zaproponował Lityński.

- Nie mam na to czasu – odparł Karol.

- W Paryżu także nie miałeś czasu.

- Mój czas dla pana się wyczerpał. Nie mamy sobie już nic do powiedzenia. Teraz się spieszę.

- Do czego? Masz jeszcze dwie godziny do przyjazdu pociągu z Paryża.

Wiedział. Teraz już nie ulegało wątpliwości. Nie było już sensu zaprzeczać. Trzeba było zagrać w otwarte karty, iść *va banque*. Ostatecznie to jej ojciec. Choć jego – także.

- Wiem, o co panu chodzi – starał się powstrzymać drżenie głosu, ale bezskutecznie – ale proszę dać nam spokój. Nie mogę spełnić pana żądania. Niech mnie pan o nic nie prosi. Dajcie nam wreszcie spokój.

- Niczego od ciebie nie żądam – odpowiedział łagodnie doktor. – Prosić jednak muszę.

- To jej życie. Ola nie jest pana własnością. Każdy ma prawo tak żyć, jak uważa za dobre dla siebie. Dlatego chcemy zamieszkać w kraju, w którym sto pięćdziesiąt lat temu napisano, że każdy człowiek ma prawo do wolności i do poszukiwania tego, co sam rozumie jako szczęście.

- Nie napisano tam jednak, że brat i siostra mają prawo żyć ze sobą jak para kochanków – odparł spokojnie Olaf, choć wzdrygnął się przy własnych słowach.

Karol też poczuł gorąco, zarówno na twarzy, jak i na całym ciele. Zdawał sobie oczywiście sprawę z tego, że jego powoływanie się na dokument historyczny jest słabym argumentem, nie wspominając już, że mocno naciągnął tekst Deklaracji Niepodległości. Nie o takiej wolności i szczęściu ona mówiła.

- Jak pan się dowiedział? Ola panu o wszystkim powiedziała? – spytał wobec tego.

- Ola ma twój charakter i o niczym by mi nie powiedziała. Nie przyznałaby się, gdyby nawet zaczęła w końcu żałować. Musiałem

przedstawić jej w końcu niezaprzeczone dowody mojej wiedzy. Musiałem powiedzieć wprost, tak jak tobie w tej chwili. Wtedy, podobnie jak ty w tej chwili, po prostu przestała zaprzeczać.

- O jakich dowodach pan mówi? - spytał z gorzką ironią Karol.

- Aż tacy sprytni nie byliście, chociaż i tak chyłę czoła wobec waszej przebiegłości. Wystawiliście do wiatru niemal wszystkich. A ja? Cóż, znalazłem bilety, dokumenty i inne szpargały. Znalazłem też korespondencję.

- Grzebał pan w jej rzeczach? - Karol zacisnął pięści.

Wiedział jednak, że wygląda raczej żałośnie niż groźnie, i to potęgowało jego uczucie bezradności i rozpacz. Cokolwiek by teraz nie zrobił, ten facet i tak będzie górą.

- Nie mam wyjścia. Pamiętaj, że ona próbowała odebrać sobie życie. Gdyby nie Robert, co najwyżej odwiedzałybyś teraz jej grób.

- Wiem, że ojciec był jej lekarzem prowadzącym, ale przecież nie o to...

- Nie mówię, że był jej lekarzem prowadzącym, ale że uratował jej życie. Słuchaj, do cholery, tego, co mówię, zarozumiała głupku. - Lityński podniósł wtedy głos, co Karol usłyszał po raz pierwszy. Nigdy dotąd nie słyszał, aby ten człowiek mówił takim tonem, toteż sam natychmiast ucichł i słuchał przerażony.

- To Robert Matzer odnalazł ją w tym hotelu, i to w samą porę. Nie wiedziałaś o tym i ona też długo sądziła, że to był właściciel albo jakiś pracownik, ewentualnie jeden z gości. Robert przypadkowo zauważył ją na ulicy w czasie, gdy ty byłaś w Zaborowie. Zaintrygowało go, co dziewczyna robi w Paryżu, skoro powinna być w domu w Zurychu. To było wtedy, gdy dowiedziała się ode mnie prawdy i uciekła. Robert poszedł za nią i tak trafił na ten hotel, ale początkowo nie zamierzał z nią rozmawiać. Nie wiedział, o co w tym wszystkim chodzi. Następnego dnia jednak postanowił ją odwiedzić, bo cała sprawa nie dawała mu spokoju. Przyszedł w samą porę, bo inaczej wykrwawiłaby się na śmierć. Myślałaś, że tak zupełnie przez przypadek znalazła się w szpitalu, w którym pracował?

Karol aż przysiadł na pobliskiej ławce. Był blady i drżał na całym ciele. Z „zarozumiałego głupka” nie zostało w nim już nic. Przypomniał sobie, że faktycznie kiedyś zapytał ojca, jak to się stało, że Aleksandra była jego pacjentką. Ale ojciec dał jakąś wymijającą odpowiedź, a on już nie wnikał

w to głębiej. Teraz wszystko już układało się w logiczną całość.

- Od tego czasu musiałem zdwoić czujność. Chciała się zabić, a nie tylko nas nastraszyć. Była w bardzo złej formie, także psychicznej. Odwiedzałeś ją w szpitalu, więc pamiętasz. Jaką mogę mieć pewność, że znowu tego nie zrobi? Jaką ty możesz mieć pewność, że nie zrobi tego w Ameryce, gdy przestanie być romantycznie, gdy kłopoty zajrzą w oczy i nie będzie kogo poprosić o pomoc, kiedy przestanie wam się układać? Wreszcie, gdy do obojga z was dotrze, że to, co robicie, jest po prostu złe, nie może wam przynieść szczęścia i jest zwykłym proszeniem się o nieszczęście. Pomyśl, co ona może zrobić, gdy ponownie dojdzie do wniosku, że znalazła się w sytuacji bez wyjścia.

- Nie musi się tak stać - wyszeptał Karol, czując przeraźliwą suchość w ustach.

- Nie musi, ale może. Ja muszę brać to pod uwagę. I nie wściekaj się z łaski swojej na mnie, Roberta, Alicję i jej męża, czy nawet na swoją matkę. Gdy będziesz miał swoje dzieci, trochę dłużej pożyjesz, choć trochę zmądrzejesz, to nas zrozumiesz.

- Jest pan taki jak inni ojcowie. A ja myślałem...

Głos mu się łamał i jeszcze do tego ta przeklęta suchość w ustach. Oddałby chyba duszę w zamian za łyk wody.

- Przed chwilą ci to wyjaśniłem. Słuchasz czy nie?

Karol, zupełnie już pokonany, schował twarz w dłoniach. Czy rzeczywiście był takim zarozumiałym dupkiem, jak twierdził tamten? Co musiała myśleć o nim matka, gdy żegnał się z nią w Zaborowie, gdy nie chciał słuchać jej wyjaśnień, gdy drażniły go jej łzy? Co musiał myśleć ojciec, zanim w końcu przeprowadzili jakąś sensowną rozmowę? Ostrzegał go też Paweł, Urszula, Alan, a on tylko śmiał się z ich obaw, wszystko obracając w żart.

- Pan wie, że czekam teraz na przyjazd Oli. Tak się umówiliśmy. Jak rozumiem, ona nie przyjedzie? Przekonał ją pan albo zabronił?

Doktor patrzył na niego przez chwilę, po czym uśmiechnął się z rezygnacją.

- Nigdy niczego jej nie zabraniałem. Od śmierci jej matki ona i moja siostra były jedynymi bliskimi mi osobami. Ola jest dla mnie wszystkim, ale to nie znaczy, że nie pozwolę jej żyć tam, gdzie zapragnie, choćby po drugiej

stronie Atlantyku. Jest moim skarbem, a nie moją niewolnicą. Nie chcę jednak, aby dwoje moich dzieci sypiało ze sobą, choć nawet tego nie mam jak wam zabronić. Nie naślę na was policji i nie zgłoszę tego w Watykanie. Nie zamknę mojej córki na klucz i nie przywiążę jej do pieca. To tylko zresztą wzmogłoby jej opór, twój zresztą też. Mogę zabraniać, ale to nic nie da. Pozostaje mi tylko apelować do waszego rozsądku. - Rozłożył ręce w akcie bezradności. - Macie wybór. Proszę, abyście wybrali mądrze, bo całe życie przed wami. Ono naprawdę nie kończy się na jednej nieudanej miłości.

„Była udana, było dobrze” - myślał z rozpaczą Karol i patrzył tamtemu prosto w oczy.

Czyżby jednak mieli wybór?

- A zatem ona tu przyjedzie? - spytał z niedowierzaniem.

- Jest tu ze mną od wczorajszego wieczora - odparł z westchnieniem Olaf i ująwszy go pod ramię, postawił na nogi. Poprowadził go wzdłuż ulicy i tam, pod jedną z kawiarenek, zupełnie oszołomiony Karol zobaczył Aleksandrę. Nie widzieli się od trzech dni, kiedy to spędził z nią nie tylko popołudnie, ale i noc. Teraz był pewien, że i o tym wiedział ich wspólny ojciec. Tylko jego rodzina kupiła bez zastrzeżeń historyjkę o pożegnalnej zabawie spędzonej w gronie studenckich przyjaciół.

Ola ich jeszcze nie zauważyła, choć najwyraźniej wiedziała, że przyjdą. Ojciec tak to zorganizował, że czekała tu na nich. Na chwilę zatrzymali się i obaj na nią popatrzyli, gdy odwrócona bokiem obserwowała port.

- Zawsze ubolewałem nad tym, że nie miała rodzeństwa - odezwał się tkliwie Lityński. - Niestety, moja żona po urodzeniu Oli zaczęła chorować i nie mogło być o tym mowy. Gdybym wiedział, że...

Przerwał i z taką sama tkliwością, z jaką przed chwilą patrzył na córkę, spozjrzał na chłopaka. Od tego spojrzenia pod Karolem dosłownie ugięły się kolana i już wiedział, że on i Ola mają tylko jeden wybór. Nie taki, o jakim marzył jeszcze pół godziny temu.

- Zawsze możesz być jej bratem, nie zmarnuj tego. A ona nie będzie jedynaczką. Sam wiesz, jak dobrze mieć rodzeństwo - mówił dalej Lityński i nagle, zupełnie niespodziewanie przygarnął do siebie kompletnie oszołomionego Karola.

- Wiesz co? Zawsze pragnąłem mieć syna - dodał jeszcze.

I wtedy spjrzała na nich Ola.

Rozdział 123

Znowu te przekłete mgły... Znowu jesień. Zresztą, czy ja wiem, co jest lepsze: jesień czy wiosna? Zima czy lato? Wszystko potrafi być przygnębiające. Może zresztą powinnam się cieszyć? Jakoś sobie radzimy, pomimo kryzysu. Zaborów miał zbyt silne podstawy gospodarcze i własne rezerwy, by zniszczyła go wojna albo teraz kryzys. Jakoś sobie radzimy, ale uważać trzeba. Dzięki Bogu, Janek i jego żona mieszkają w Warszawie, tak że w razie czego mają oko na Joachima. Ja muszę być z matką, która stara się, jak może, ale widzę, że jest coraz słabsza. Nasi rodzice nie są nieśmiertelni i coraz częściej to do mnie dociera. Dzięki Jankowi i Weronice nie jestem też taka samotna. Przyjeżdżają, kiedy tylko mogą, a Weronika niejednokrotnie przybywa tu sama, nie oglądając się na męża.

Chyba nareszcie po latach mam prawdziwą przyjaciółkę i siostrę. Jest taka bezpośrednia, a przy tym nie odczuwam przy niej tego poczucia niższości, jakie miałam często wobec Ali. Weronika nie ma ani specjalnego wykształcenia, ani niezwykłych zdolności, ani nie oglądają się za nią mężczyźni (z wyjątkiem jej własnego męża). Dobrze jest przyjaźnić się z kimś tak zwyczajnym i przewidywalnym, zwłaszcza gdy samemu jest się właśnie takim. Tak niewiele brakowało, a mogłyśmy stać się rodziną ponad dwadzieścia lat temu. Nasza przyjaźń rozwijałaby się wraz z wiekiem, z przemijaniem młodości.

Przemijanie... Skończyłam czterdzieści jeden lat, ale nadal wyglądam dobrze. Nie będę silić się na fałszywą skromność. Wiem, że miałam i mam urodę, ale co z tego? Na duszy czuję się taka stara. Od ponad dziesięciu lat żyję samotnie, bez mężczyzny. Nie będę się oszukiwać. Brakuje mi tego, nie jestem z przekonania ascetką. Stałam się nią z konieczności. Spotkałam któregoś dnia koło kościoła Waldka Jackiewicza, z którym niegdyś chciała wyswatać mnie jego matka.

- Trzeba było wyjść za mnie, Barbaro - powiedział żartobliwie i życzliwie. - Nie jestem kimś nadzwyczajnym, ale przynajmniej nie byłabyś teraz sama. Takiej kobiecie jak ty zapewniałbym towarzystwo na okrągło.

Żartował, więc roześmiałam się uprzejmie. Pomyślałam jednak, że może miał rację.

Z Alą i Robertem utrzymuję sporadyczne kontakty korespondencyjne. Chyba nie potrafimy już przełamać tej zapory, jaka między nami wyrosła przed laty. Także, niestety, z mojej winy. O tym już jednak pisałam wcześniej i nie mam ochoty do tego wracać.

Napisał do mnie Karol, więc odetchnęłam z ulgą. Wygląda na to, że jest zadowolony. Dobrze, że ma tam na miejscu przyjaciela, tego syna Raula Reneta. Tak czasem żałuję, że nie potrafię już pisać do Ali takich listów, jak dawniej. Mogłybyśmy teraz wymieniać się spostrzeżeniami na temat tych chłopaków, z których jeden jest moim ukochanym synem, a drugiego ona uważa za syna. A tak, wymieniamy czasem tylko suche fakty na ich temat. I to nie za często.

Co za ulga, że udało się w porę zapobiec wyjazdowi także tej dziewczyny, córki Lityńskiego. Do dziś robi mi się słabo, gdy pomyślę, do czego mogło dojść. Bogu niech będą dzięki za zapobieżenie temu nieszczęściu. Dobrze, że zadziałali tu wspólnie Robert, Ala, Raul i... Olaf. To on szczęśliwie nalał im rozumu do głowy. W ostatniej chwili! Na kilka godzin przed wypłynięciem okrętu z portu! Nie wiem, jak tego dokonał, i nie chcę wiedzieć. Mogę to sobie tylko wyobrazić, bo zdaję sobie sprawę, jak czasem ciężko rozmawiać z Karolem. Jedno jest pewne: jestem mu wdzięczna. Nie znaczy to oczywiście, że do niego napiszę. Nie chcę też żadnych spotkań i rozmów. To, że Weronka jest jego siostrą, niczego tu nie zmienia. To nie ona mnie skrzywdziła, nie ona pisała do innej kobiety te okropne rzeczy na mój temat. Na szczęście Weronika nie zamierza nakłaniać mnie do kontaktów z jej bratem. Jest rozsądną kobietą.

Fakt pozostaje faktem, że Aleksandra została z ojcem. Co do Karola... Nadal czuję smutek, ale już nie rozpaczam. Nawet trochę mi wstyd za tamten rozpaczliwy list do niego. Byłabym może i pognąta do tego Paryża, choćby na ostatni moment, ale matka i ojczym przekonali mnie, abym dała spokój. A potem napisał Robert i wytłumaczył mi, że tak będzie lepiej, że odległość i czas pomogą chłopcu, że będzie tam musiał skoncentrować uwagę na innych, bieżących i bardziej przyziemnych sprawach. Czasem nic nie pomaga lepiej na smutki i melancholię niż konieczność znalezienia sposobu na przetrwanie i codzienna praca. Może...

Czasem też myślę, że on wróci stamtąd wcześniej, niż sądzimy i niż sam zakładał. Za rok, za dwa lata, a może, gdy zakończy tam studia? Podobno

zamierza się uczyć. To oczywiście kosztuje, ale wspólnymi siłami mu pomożemy, a i on zamierza zarabiać. Może rzeczywiście dobrze mu to zrobi.

Paweł jest u ojca i też studiuje. Podobno dobrze mu idzie, ma też przyjaciół i rozwija się w tym mieście, o którym ja w jego wieku mogłam tylko pomarzyć. Gdy przypomnę sobie, że matka nie pozwalała mi tam nigdy przyjeżdżać na koncerty Ali, to nie żałuję, że moje dziecko może tam bez przeszkód kształcić się i mieszkać. Bóg jest jednak dobry, że tak się stało.

Ula jest ze mną. To znaczy, podobno mieszka w Zaborowie, bo rzadko ją widuję w domu. Gospodarzenie jej nie interesuje i czasem tylko mojej matce udaje się ją nakłonić do jakiegokolwiek pracy. Nic, tylko by się bawiła i używała życia. No i koniecznie, przynajmniej raz do roku, planuje odwiedzać ojca. Niech i tak będzie. Tęgo ja nie zamierzam jej zabraniać, tyle tylko że to już dorosła dziewczyna, a w ogóle nie myśli o przyszłości. Nie wiem doprawdy, co z nią robić. Nie jestem taka, jaką moja matka była wobec mnie, gdy ja miałam osiemnaście lat. Ona wiedziała, jak powinnam ułożyć sobie życie, najlepiej oczywiście w Zaborowie.

Mój pamiętnik jest nadal moim najbliższym powiernikiem. Tak jak nigdyś, od razu czuję się lepiej, gdy siadam i piszę. Mogłabym też patrzeć z większym optymizmem w życie i godzić się z nim, gdyby... nie te mgły... Te upiorne mgły. One nigdy nie zapowiadały niczego dobrego.

To akurat zdarzyło się tuż przed Wielkanocą następnego roku po wyjeździe Karola. Zaczynała się wiosna i sezon prac polowych. Zaborów jak zwykle tętnił życiem, a do tego dochodziły jeszcze przygotowania do świąt.

- Zawsze wolałam Wielkanoc od Bożego Narodzenia - zauważyła pogodnie postarzała już mocno Antoniowa. - Bo to od razu jakby człowiekowi ze dwadzieścia lat ubyło. Wiosna, długie dni i nadzieja, że będzie lepiej.

- Nadzieja na dobre żniwa - mruknęła z przekąsem Ula, zła jak sto piorunów, bo zmuszono ją do uczestniczenia w rytuale pieczenia ciast na święta.

Miała ochotę wyjechać do Paryża, do ojca. Tymczasem niestety wypadało zostać z matką i babcią w Zaborowie. Na pociechę z Warszawy miał przyjechać dziadek. Marna to jednak była pociecha, bo dziadek jako jedyny z rodziny nie złożył broni w kwestii walki o to, aby się dalej kształciła. Reszta sobie już dawno odpuściła ten bój, ale dziadek był uparty jak osioł. Za każdym razem przekonywał ją, że jest zdolna, ma błyskotliwy umysł i mogłaby tak jak jej bracia studiować i odnosić sukcesy w nauce. Mogłaby poskładać odpowiednie egzaminy i nawet przystąpić do matury. Takiego gładzenia musiała wysłuchać za każdym razem, gdy znalazła się w polu widzenia dziadka. Już jej się nawet nie chciało go przekonywać, toteż słuchała niby to uprzejmie, a tak naprawdę bujała w tym czasie w obłokach i dumiała o niebieskich migdałach.

Wiedziała przecież swoje, i to od lat. Nigdzie tak się nie nudziła jak w szkołach. Skala głupoty, jaką tam poznała, była - w jej przekonaniu - niewyobrażalna. Tego wszystkiego, co tam wykładano i włączano do głów, mogła nauczyć się sama i z lepszym rezultatem. I nauczyła się sama. Biblioteka w Zaborowie stwarzała tu niemal nieograniczone możliwości, a o księgozbiór zadbał jeszcze pradziadek Majewicz, a potem wiarołomny dziadek Majewicz, pierwszy mąż babki i ojciec matki. Ciekawe, czy one obie wiedziały, jakie perełki można było znaleźć w ich własnej bibliotece... I niekoniecznie były to bogobojne książki. Za niektóre z nich trzeba by się było pewnie gęsto tłumaczyć przed Świętą Inkwizycją i to niekoniecznie z dobrym rezultatem.

Ula spędzała w tej bibliotece całe godziny, a nikt tego nawet nie zauważył. I bardzo dobrze, o to jej chodziło. Zaraz wszyscy nabraliby nadziei, że nawróciła się ku dyscyplinie i zamierza wrócić do szkoły. Do szkoły?! Za skarby świata! Nie wróci do tej kretyńskiej instytucji, choćby ją mieli pokroić w paski. Do tych bzdurnych rozporządzeń, dyscypliny i kar za każde śmielsze odezwanie się, za każde przekroczenie niemal więziennego regulaminu. Nie wróci do tych idiotów i idiotek po dwóch stronach szkolnej barykady, do tego równania w szeregu, do tego bezmyślnego kucia. I to wyłącznie w imię zdobycia jakiegoś papierka. Oczywiście rozumiała, że większość ludzi była do tego zmuszona przez tak zwaną konieczność życiową. Bez świadectwa, papierów i dokumentów – ani rusz. Ona mogła sobie pozwolić na wolność jako jedna z dziedziców Zaborowa.

Skoro więc mogła, to sobie pozwalała. Z dziewczynami w szkole też nie było o czym pogadać. Większość z nich nawet nie rozumiała tematu lekcji i przeczytanej lektury, o zadaniach matematycznych nie wspominając. Kuły, biedule, i nic z tego nie zostawało im w głowach, więc zajmowały się głupotami i płytkimi rozmowami o niczym, na przykład o chłopakach i miłości. Na wymioty się zbierało, gdy człowiek tego słuchał. Co te głupie myszki wiedziały o uczuciach i miłości? Co wiedziały o nienawiści, której powodem była właśnie miłość? Żałosne pensjonarki! Gdyby wiedziały to, co ona! Gdyby słyszały taką rozmowę rodziców, jaką ona słyszała ponad dziesięć lat temu! Rozmowę pełną namiętności i nienawiści, aż iskrzyło się w całym ich warszawskim mieszkaniu! Gdyby widziały matkę zanoszącą się jakimś dzikim, rozpaczliwym łkaniem i leżącą niemal na podłodze przed drzwiami, za którymi zniknął ojciec! Gdyby widziały ciotkę Alicję i jej męża, który nawet przy ludziach nie potrafi oderwać od niej rąk. Gdyby słyszały rozmowę jakiej ona, Urszula, w towarzystwie brata wysłuchiwała, ukryta za drzwiami balkonowymi w domu jej ojca w Paryżu! Rozmowę między ciotką Alicją a jej dawnym kochankiem.

Ula do tej pory nie mogła otrząsnąć się z wrażenia. Nawet teraz, wałkując to przekłętą ciasto na Wielkanoc, nie mogła zapobiec dreszczom przebiegającym przez jej ciało. Inna rzecz, że nie chciała tym dreszczom zapobiegać. I to nie było jeszcze wszystko! Co by powiedziały jej pozał się Boże koleżanki z kolejnych szkół, gdyby dowiedziały się o uczuciu brata do własnej siostry, nawet gdy już wiedział, że to jego siostra. A nie było to

uczucie platoniczne. Albo o związku jej ojca z tamtą... dla której wszystko zostawił i był z nią do jej śmierci, a właściwie dalej jest. Albo o związku Alicji i Waltera, o którym Urszula miała sposobność usłyszeć przy różnych okazjach. Albo o małżeństwie stryja Jasia zawartym po dwudziestu latach niewidzenia dawnej dziewczyny!

Ula uśmiechnęła się z ironią, wspominając swoje szkolne koleżanki, ich żalonych rodziców i zasuszone w staropanieństwie sfrustrowane nauczycielki. Musiały, biedule, czytać tanie romansidła, aby się zadowolić. Ona, Ula, nie musiała tracić czasu na takie lektury. Ona widziała i słyszała to na własne oczy i na własne uszy. A czego nie mogła zobaczyć i usłyszeć, to pozostawiała swojej wyobraźni. Mogła więc poświęcić czas na czytanie ambitnych dzieł, zarówno w dziedzinie prozy, jak i poezji, w dziedzinie filozofii i nauk ścisłych. Lubiła się uczyć i rzeczywiście miała błyskotliwy umysł, jednak nauka sprawiała jej radość tylko pod warunkiem, że była samodzielną i dobrowolną, bez tej irytującej szkolnej otoczki.

Miała też głowę do języków obcych, chociaż kolejne prywatne nauczycielki załamywały ręce nad jej niesubordynacją, niedyscyplinowaniem i niechęcią do odrabiania ćwiczeń domowych. To znaczy nigdy ich nie odrabiała, bo wiedziała swoje, że poznanie innego języka nie polega na wstawianiu wyrazów w puste miejsca. Ona wolała próbować czytać w oryginale Szekspira, Milтона, Byrona, siostry Brontë, Dumasa czy Balzaca. I chociaż na początku marnie jej to szło, stopniowo, walcząc ze słownikami, przyswajała sobie tę wiedzę, a kiedy odwiedzała ojca, nie miała żadnych problemów z porozumiewaniem się za granicą.

Westchnęła i ze złością wrzuciła rozwałkowaną masę do brytfanny. Zawracanie głowy z tymi świętami! Nawet stryj Janek i jego żona, których tak lubiła, wyjeżdżali na ten czas do Zurychu, do brata i bratanicy ciotki Weroniki. Do Aleksandry! Dopiero teraz, znudzona kuchennymi robotami Ula, uśmiechnęła się. Aleksandra była bowiem jej serdeczną przyjaciółką. Po wyjeździe ich wspólnego brata do Ameryki bardzo zbliżyły się do siebie. Naturalnie dzieliła je ta przekłeta odległość. Na szczęście jednak już przed wiekami ludzkość wynalazła pismo, a potem możliwość korespondencji. Dzięki temu Urszula i Aleksandra mogły utrzymywać ze sobą tak żywy kontakt, wymieniać się myślami i spostrzeżeniami na każdy temat oraz liczyć na możliwość spotkania podczas wakacji, gdy obie mogły na pewien

czas znaleźć się razem we Francji. Ula bardzo pomogła Aleksandrze w pierwszych miesiącach po wyjeździe Karola, podobnie jak Paweł i Alan. Tak, to byli prawdziwi przyjaciele. Jediną dobrą rzeczą, jaka wyniknęła z odejścia ojca i jego wyprowadzki do Francji, było to, że Urszula poznała tam swoich przyjaciół.

Chętnie by do nich teraz pojechała, ale nie mogła drażnić matki. Znowu byłby płacz, że zostaje sama na święta. Urszula westchnęła, chyba po raz setny podczas dzisiejszego pobytu w kuchni. Jeszcze cztery miesiące i znowu pojedzie do ojca.

- Co tak wzdycha, co tak wzdycha, lepiej by ciasto porządnie zagniotła - odezwała się z dezaprobatą Perlicka.

Przeklęta starucha! Ona jedna nie tytułowała jej panienką, zresztą pal sześć tę panienkę. Jakiś szacunek jednak należał się córce i wnuczce właścicielki majątku. Perlicka była starą babą, z którą niepotrzebnie wszyscy się tu cackali.

- Nie mam zamiaru dusić się w tej kuchni - sarknęła Urszula ze złością.
- Nie umiem piec, gotować i nie zamierzam się tego uczyć.

- A co Urszulka zamierza robić w życiu? - spytała z ironią Perlicka, wcale nie zmieszana tonem jaśnie panny.

Nie zwracała też uwagi na ostrzegawcze spojrzenia innych kobiet w kuchni, które zawsze uważały, że za wiele sobie pozwalała. W dodatku czuły respekt przed Ulą z obawy przed jej ciętym językiem. Obawa ta nie dotyczyła jednak starej Perlickiej.

- Zamierzam wyjść dobrze za męża, a wtedy nawet nie zajrzę do rondli. Nie jestem jakimś durnym garkotłukiem - odparła wyzywająco Ula, ciesząc się w duchu z możliwości przynajmniej słownej szermierki.

Nuda w tym Zaborowie wychodziła bowiem z każdego kąta. Kiedyś, przed laty, mogła się tu chociaż kłócić i pobić z Karolem.

Perlicka, usłyszawszy jej odpowiedź, wzruszyła tylko ramionami w akcie najwyższej pogardy, a i pozostałe kobiety uśmiechnęły się drwiąco pod nosami. Bynajmniej nie podziślało to łagodząco na nastrój dziewczyny.

- Niejedna tak mówiła - mruzczała pod nosem Perlicka. - A potem trzeba było schylić karku nad garami i pieluchami. Nigdy nie wiadomo, co może czekać w życiu, nawet wielką jaśnie panią. Tu, w okolicy, niejedna dziedziczka stanęła w czasie wojny i zaraz po niej do roboty jak zwykła

podkuchenna. A takie to były wcześniej księżniczki. Tylko nasza pani i obie panienki znały się już wcześniej na robocie i jak przyszły biedy wojenne i nieszczęścia, to umiały sobie poradzić.

- O jakich to niby dwóch panienkach mówicie? - spytała drwiąco Ula, chcąc publicznie wykazać Perlickiej jej sklerozę.

Ku jej zdumieniu jednak reszta kobiet najwyraźniej nie potrzebowała wyjaśnień.

- Mówię o panie Basi, to jest o mamusi Urszuli, i o panie Alicji - odparła z godnością Perlicka.

- Tak, to prawda - odezwała się solidarnie kucharka Felicja. - Obie panienki bez gadania uczyły się od nas pracy kobiecej w kuchni. Pamiętam, że nawet byłyśmy zdumione, że panna Ala zaraz przy pierwszej wizycie w Zaborowie tak chętnie tu do nas przychodziła, piła herbatę i rozmawiała, a potem zaraz chciała się uczyć gotowania. No bo z panną Basią to była jednak inna historia. Ona się tu od małości chowała i matka nauczyła ją pracy. Ale panna Ala z Paryża? Nawet jedna z nas zapytała się jej, po co jej ta nauka gotowania...

- Ja zapytałam - przerwała Perlicka i uśmiechnęła się, co Ula zobaczyła bodaj pierwszy raz w życiu. - Ja ją zapytałam - podjęła na nowo Perlicka. - A ona mi wtedy powiedziała, że to się może przydać. Tak jakby jakie przecucie miała. Mój Boże, dobre to były czasy...

- A kiedy to było? - spytała Ula, tknięta jakimś przecuciem.

- No, przecie mówiłam, że wtedy, jak panna Ala tu po raz pierwszy przyjechała...

- Nie tyle po raz pierwszy, co na wesele panny Basi. Wcześniej też tu raz była, ale jako dziecko - uściśliła Antoniowa.

- Tamto się nie liczyło. Dla mnie to ona pierwszy raz przyjechała właśnie na wesele panny Basi z tym bezbożnikiem - odparła wojowniczo Perlicka.

- Dajcie już spokój, Perlicka - mruknęła Felicja.

„Nareszcie robi się ciekawie” - pomyślała z ironią Urszula i nagle zapragnęła dodać coś od siebie.

- To ciocia Alicja miała wtedy czas na siedzenie z wami w kuchni? - prychnęła ironicznie.

- Miała czas, ale przecie robiła też i inne rzeczy.

- No, myślę... i nawet wiem co nie co. Słyszałam, jak tu wtedy było wesoło przed planowanym pierwszym ślubem mamy. Jak tu wtedy młodzi używali życia...

- Nie wiem, co panienka słyszała, ale panny Ali to na pewno nie dotyczyło - odezwała się nagle groźnym tonem milcząca do tej pory Zosia Lubowiczowa.

- Nie flirtowała, jak inne, z narzeczoną mamy? - Urszula roześmiała się na głos, patrząc z rozbawieniem na oburzone twarze służących i kucharek, tych bogobojnych, naiwnych kobiet.

- Chodź ze mną na górę. Natychmiast. - Usłyszała nagle głos matki i śmiech zamarł jej na ustach.

Cholera, nawet nie zauważyła, kiedy matka znalazła się w kuchni. Jednak Zaborów źle działa na spostrzegawczość, nie tylko u zaborowskiej służby.

Ze smętną miną wyszła za matką z kuchni żegnana triumfalnymi i raczej nieprzyjaznymi spojrzeniami tamtych bab. Nigdy zresztą za nią nie przepadały.

- Co się z tobą dzieje? Nie potrafisz już opanować się i rozmawiać z ludźmi? - spytała surowo Barbara, gdy wprowadziła córkę do swojego kantorka.

- Przepraszam, mamó - mruknęła niechętnie dziewczyna.

Sama przecież zrozumiała, że się zagalopowała. Dla matki wspomnienia sprzed dwudziestu już dwóch lat nie były przyjemne.

- Masz dziewiętnaście lat i żadnego pożytku z ciebie nie ma. - Barbara była jednak nadal wzburzona i nieprzejednana. - Wyklócasz się tylko z ludźmi, nic więcej cię nie interesuje, po całych dniach nic sensownego nie robisz. Nic z ciebie nie będzie!

Naraz Ula drgnęła, bo w nudnej jak zdarta płyta mowie matki coś ją uderzyło.

- Kiedy szykowałaś się do ślubu - jednego, a potem drugiego - miałaś dwadzieścia lat? - spytała nagle. - Ciocia Alicja jest od ciebie o rok młodsza. Była więc wtedy w moim wieku?

Barbara była tak zaskoczona pytaniem córki, że mimowolnie potwierdziła i dodała z przekąsem:

- Tak, i porównaj się z nami. W porównaniu z tobą byliśmy dojrzałymi,

rozsądnymi dziewczynami, które nie tracily czasu na głupoty.

- Chcesz mi wmówić, że bylaś wtedy rozsądna, mamó? - spytała Ula z ironią, ale i zdumieniem.

Nie wierzyła własnym uszom. Barbara natychmiast zrozumiała aluzję zawartą w słowach córki i jej twarz zapłonęła jak piwonia. Postanowiła jednak podnieść te rękawicę.

- Zgrzeszyłam ciężko, ale go kochałam i wierzyłam, że będziemy małżeństwem. Oczywiście nie przynosi mi to chluby i w tym akurat mnie nie naśladow. Potem wrócił mi rozum.

- Wrócił ci rozum... potem - powtórzyła jak echo dziewczyna.

Barbara wpadła ponownie w gniew. Jakim prawem jest ciągle osądzana i oskarżana! Wszyscy mają do niej pretensje! Do niej! Jakby nikt więcej nie zawinił! A teraz jeszcze ta niewydarzona smarkuła ośmiela się...

- W takim razie naśladow swoją ciotkę Alicję - rzekła zagniewana. - Miałam do niej później żal o inne sprawy, wiesz jakie... Jednak w kwestii oceny mojego pierwszego narzeczonego była bardzo przenikliwa i bardzo rozsądna.

- Zawsze podziwiałam cię, mamó, za to, że tak dowolnie żonglowałaś faktami - odparła po chwili Ula, przetrawiwszy słowa matki. - Ty rozsądna? Ciotka przenikliwa i rozsądna? Ja mam brać przykład z którejś z was? Bardzo bym chciała, ale chyba nie potrafię. I żeby było jasne: naprawdę was nie potępiam, bo nie jestem księdzem. Nawet nie przypuszczałam do niedawna, że takie z was były gorące dziewczyny. Podziwiam was. Szkoda mi tylko jednego... - Popatrzyła na kompletnie zdezorientowaną matkę i po raz kolejny przyszło jej do głowy, jak atrakcyjna jest wciąż ta kobieta. Ciotka Alicja zresztą także, choć w inny sposób. - Żałuję tylko jednego - kontynuowała - że przez wasz temperament Karol musiał wyjechać aż na drugą półkulę, aby uporać się z własnym życiem.

- Twoja ciotka nic do tego nie ma - odparła po chwili cicho Barbara. - Nie mogła Karolowi powiedzieć wcześniej prawdy, bo kazałam jej przysiąc...

- O czym ty mówisz, mamó? Co przysiąc? Żyłyście obie z jednym mężczyzną, chociaż mam nadzieję, że nie we troje naraz. Aż tak liberalna nie jestem. Tyle tylko, że to ty zaszłaś w ciążę. Zresztą sama wiesz, że znajdowałyście się tu w liczniejszym gronie kochających się z panem Olafem kobiet, To były czasy! Aż wam zazdrozczę... Szkoda mi tylko mojego brata...

Nagle umilkła, bo matka z całej siły uderzyła ją w policzek.

- Dość tego - wyduśła z siebie Barbara.

Ula poczerwieniała, nie tylko z powodu niespodziewanego uderzenia, choć nigdy przedtem nie myślała, że to tak boli. Znacznie gorsze było uczucie straszliwego wręcz upokorzenia i wstydu. Żałowała, że nie powściągnęła wcześniej języka i milcząco uznała, że matka miała prawo zareagować tak, jak zareagowała. Już nawet zamierzała ponownie przeprosić, ale nie zdążyła. Matka odezwała się pierwsza i była jak odurzona jakimś narkotykiem.

- Jak śmiesz opowiadać takie bzdury?! Co ci przyszło do głowy?! Kto ci nagadał takich bredni?! Sama byś tego nie wymyśliła!

- Przepraszam, mamó... - wydukała po raz drugi podczas tej rozmowy Ula.

Barbara była jednak zbyt wzburzona, aby zadowolić się skrucą córki. Porwał ją nagły strach, ta niepewność, która od czasu do czasu powracała, chociaż znalazła kiedyś na nią wytłumaczenie. Ono było już jednak nieaktualne.

Dlaczego wciąż o tym myślała? Dlaczego to wciąż bolało? Przecież potem spotkały ją znacznie gorsze rzeczy.

- Ala od razu poznała się na nim, od początku mnie przed nim ostrzegała - powiedziała do córki z jakimś upartym przekonaniem w głosie.

- Sądzę, że istotnie mogła mu się podobać, ale sama nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Nic, nigdy...

- O Boże... Ty też o niczym nie wiedziałaś - wyszeptała z przerażeniem i niedowierzaniem w głosie Urszula, ale zaraz pożałowała tych słów.

Chciała się z nich wycofać, natychmiast przyznać słuszność matce, uznać głośno przed nią własną głupotę, ale było już za późno. Barbara zmieniła się na twarzy w jednej chwili, jakby przybyło jej od razu dziesięć lat.

- Skąd to wiesz? - spytała zduszonym głosem.

- Nie przejmuj się, mamó, tak tylko gadałam, żeby cię zdenerwować. Przecież ja nic o tym nie wiem - zapewniała rozpaczliwie Urszula, ale to już było na nic.

- Kto ci to powiedział? - Barbara chwyciła córkę mocno za ramię.

Zabolało jak cholera. Ula postanowiła skapitulować. Jeśli matka zaczynała tracić kontrolę nad sobą, trzeba było jej ustąpić. Znała tę zasadę

z dzieciństwa, gdy wszyscy ustępowali matce, na przykład w sprawie listów i prezentów od ojca dla nich. Jak chce cierpieć, jej wola.

- Słyszałam rozmowę cioci z panem Lityńskim... w domu, w Paryżu. Oni nie wiedzieli, że ich słucham.

Barbara odepchnęła od siebie córkę i szybkim krokiem ruszyła w kierunku drzwi.

- No i co z tego? Przecież to już było wieki temu. Cały świat się zmienił od tamtych czasów! - krzyknęła jeszcze zdesperowana za matką, ale nie mogła jej już zatrzymać.

Barbara pobiegła prosto do swojego pokoju i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Dopadła do najniższej szuflady komody i wyrzuciła z niej wszystkie listy, jakie przechowywała. Podobnie jak Ala, niczego nie wyrzucała, trzymała na pamiętkę. Tego listu też nie wyrzuciła, choć zapewniła tych nielicznych, którzy cokolwiek o nim wiedzieli, że tak właśnie uczyniła. Nie zrobiła tego jednak. Nie mogła. Był jak cierń, który zadawał ból, ale nie potrafiła i nie chciała pozbyć się tego bólu. Pozostał nierozwiązaną zagadką, chociaż do niedawna myślała, że takie rozwiązanie znalazła... Jednak to już było nieaktualne, Weronika zapewniła ją, że tą najważniejszą kobietą, z którą zdradzał ją Lityński, nie była jego późniejsza żona. Jeszcze wtedy jej nie znał. Musiał to być zatem kto inny. Machnęła jednak na to wtedy, przy rozmowie z Weroniką, ręką. Pomyślała, tak jak przed chwilą powiedziała jej córka, jak mówili wszyscy inni, że to już nieważne. To były sprawy tak dawne i tak nieaktualne, że niemal zarosły pajęczynami i mchem ze starości.

Teraz, gdy na nowo czytała ten list, inaczej już na wszystko patrzyła. To były sprawy dawne, ale w pewnym sensie wciąż aktualne. Córka zupełnie niechcący otworzyła jej na to oczy.

Karol nie musiałby teraz leczyć ran w Ameryce, gdyby wtedy, dwadzieścia dwa lata temu, one z Alą zachowały rozsądek. Obie. Ala także. Przybrana siostra i dawna przyjaciółka siedziała w tym także, i to po same uszy. Wszystko potoczyłoby się potem inaczej, gdyby nie tylko ona, Barbara, ale także Alicja, przede wszystkim Alicja, zachowała się jak siostra i przyjaciółka, a nie jak...

Kochanie moje! Mam tak mało czasu dla Ciebie, lecz stale o Tobie

myślę...

I dalej:

Nie kocham jej przecież, ale to dla Ciebie żadna niespodzianka. Jak mogą kochać dziewczynę bez polotu, inteligencji, wyobraźni?

I jeszcze:

Nie mogę sobie przypomnieć ani jednej sensownej z nią rozmowy! Ty jesteś jej przeciwieństwem i zawsze było mi mało czasu z Tobą i rozmów z Tobą.

A potem pełno słów na jej temat. Jaka jest nudna, jaka prosta, że wystarczy ją dobrze wykochać i dać jej gromadę dzieci... i że będzie wtedy zadowolona z życia. No cóż, może i taka w sumie była, ale to już nieważne. To już nawet nie boli. W końcu jej mąż też ją ostatecznie porzucił i pewnie podobnie o niej pisał do swojej kochanki. Może ona, to jest Barbara, rzeczywiście była beznadziejna w tych sprawach? Choć tak się starała. Nicole Perrier nigdy się nie starała, a mężczyźni bezskutecznie zabiegali o jej uwagę. Dopiero Robert zyskał łaskę w jej oczach, i nie tylko w oczach. Lecz mniejsza o Nicole, mniejsza o zmarłą. Ale także nie musiała starać się o uwagę mężczyzn. Tracili dla niej głowy jeden za drugim.

Co powiedział kiedyś o niej przed laty lokaj Jan Lubowicz? Że jest najbardziej gorącą kobietą, jaką widział, że jest jak wulkan. Wystarczy spojrzeć, jak się porusza, jak patrzy, jak słucha. Tak jakoś powiedział. Dwaj mężowie stracili dla niej głowy. A ona wcale o to nie zabiegała. O Olafa też nie zabiegała. A jednak... Co on dalej pisał?

Ja przynajmniej będę dyskretny. Tymczasem Ty i ja możemy faktycznie być dalej razem bez tych kościelnych przysięg, możemy być razem, jak długo zechcemy...

Jako przyszły katolicki mąż przyzwyczajam się nawet do Kościoła. Odkąd jestem w Zaborowie, grzecznie chadżam na mszę. Ty zresztą też.

Basia zakryła dłonią usta, aby nie krzyknąć na cały głos. Dlaczego nigdy wcześniej nie zwróciła uwagi na ten niepozorny fragment listu? Pewnie dlatego, że kiedy czytała to wtedy, przed laty, bardziej przeżywała słowa na swój temat, na temat tego, co on myślał o niej, o dziewczynie, którą miał poślubić. A przecież to zdanie, które przed chwilą zobaczyła, było jak podpis adresatki. Jednoznaczny. A dalej?

Pragnę Cię od pierwszego momentu, gdy zostaliśmy sobie przedstawieni.

Zostali sobie przedstawieni w Zurychu, gdzie Ala miała poznać przyszłego męża swej przybranej siostry, Barbary.

Tak wyglądała prawda. A wszystko, co wydarzyło się potem w życiu rodziny, było konsekwencją tego, że dwadzieścia dwa lata temu ona, Olaf i Ala nie potrafili być mądrzy i rozsądni. A potem wszedł w to bagno jeszcze Robert.

Ona pokutuje za to całe życie, Olaf też za to zapłacił, podobnie stało się z Robertem. Nawet Karol oberwał rykoszetem. Tylko nie Ala...

Barbara podeszła do biurka, na którym leżał jej niedokończony list do Alicji. Od czasu do czasu próbowały do siebie pisać i mozolnie odbudować przynajmniej część tego, co było między nimi dawniej. Ale to już koniec! Nic z tego nie będzie!

Barbara z wściekłością rwała zapisaną kartkę na najbardziej drobne i poszarpane kawałki, jak tylko było to możliwe.

Rozdział 125

W lipcu 1934 roku Urszula poślubiła młodego francuskiego lotnika Jeana Paula Gastona, którego poznała zaledwie pół roku wcześniej na jednej z potańcówek w paryskim klubie. O planowanym zamążpójściu powiadomiła rodzinę trzy tygodnie wcześniej, gdy już było wiadomo, że ceremonia odbędzie się niedaleko Dijon, w rodzinnej posiadłości jej narzeczonego.

Wszystkich wprawiło to w zrozumiąłą konsternację, a jedynie Joachim oznajmił, że on akurat nie czuje się zaskoczony. Jeśli zaś cokolwiek go jeszcze zdumiewa, to jedynie fakt, że od kilku lat nic zaskakującego się w rodzinie nie wydarzyło.

- Od ślubu Janka i nagłego wyjazdu Karola w trzydziestym roku panowała w rodzinie niepokojąca cisza. Od pewnego czasu oczekiwałem już katastrofy - oznajmił Marcie.

- Ślub to nie katastrofa, mój drogi - oznajmiła pogodnie Marta, choć także czuła niepokój.

- Owszem, mogło być gorzej. Oby tylko następna wiadomość nie dotyczyła rozwodu.

- A ty jak zwykle kraczesz i zrzedzisz. Fakt, że wiadomość nas wszystkich zaskoczyła, choć właściwie nie wiem dlaczego. Powinniśmy być przyzwyczajeni do takich niespodzianek. Pamiętasz, jak zaskoczyli nas z planami małżeńskimi Basia i Robert? To była chwila. Wyszli na spacer do parku niczym brat i siostra, a wrócili w uściskach jako narzeczeni na śmierć i życie. A to przecież rodzice Urszuli. Więc czemu się dziwisz?

- Owszem... i jak to się skończyło? - mruknął.

- Fakt, może to nie jest najbardziej budujący przykład. Co więc powiesz o własnej córce? Zaskoczyły cię oba jej planowane małżeństwa, a tym akurat związkom niczego zarzucić nie można. Albo Janek i Weronika? Oni w ogóle się nie patyczkowali i pokonali wszystkich swoją pomysłowością, bo oznajmili nam, że już są po ślubie. Więcej dystansu i poczucia humoru, mój drogi, bo inaczej własne dzieci i wnuki cię wykończą.

- A wiesz, że idąc tropem twojego rozumowania, powinienem dojść do wniosku, że skoro element zaskoczenia towarzyszy mi od lat, to mógłbym się w końcu z nim zakolegować. Moja pierwsza żona była też pierwszą

w rodzinie, która zaskoczyła mnie tym, że odchodzi i że moja nowo narodzona córka raczej nie jest moją córką. Nikt potem nie zszokował mnie bardziej.

- A co ja mam powiedzieć? Ja nawet nie byłam specjalnie zdumiona, gdy mi doniesiono czterdzieści lat temu, że mój pierwszy mąż, wracając przed świtem do domu, wpadł w sidła zastawione nielegalnie przez chłopów. Pomyślałam wtedy: No cóż, kochany, jakie życie, taka śmierć. Zwłaszcza że dobrze wiedziałam, skąd naprawdę wracał.

- W takim razie nie byłbym zaskoczony, gdyby po czterdziestu latach okazało się, że to ty zastawiłaś te sidła.

- Czasami potem żałowałam, że to nie byłam ja. A najbardziej wtedy, gdy zobaczyłam, w jakim stanie zostawił majątek.

Roześmiali się jak dwoje nastolatków.

- Nie jesteście jednak normalni - powiedziała z westchnieniem Marta.

- A jakim cudem mielibyśmy być i w jakim celu? Nie mielibyśmy do kogo ust otworzyć w tej rodzinie.

Znowu się roześmiali, a stary Antoni, widząc ich w tak dobrym humorze, bez pytania wyciągnął z kredensu i postawił przed nimi butelkę zaborowskiej wiśniówki i dwa kieliszki.

- Niech Antoni postawi i dla siebie kieliszek, to wypijemy razem za wesele naszej wnuczki - zaproponował pogodnie Joachim.

- Po prawdzie to jest się chyba z czego cieszyć - zauważył po chwili stary lokaj. - Panienska Urszulka ma dwadzieścia dwa lata i miejsca sobie nigdzie znaleźć nie mogła. Ani do szkoły, ani do gospodarowania... Trochę u ojca, trochę u matki... A tak, znajdzie sobie może i zajęcie, i zadowolenie.

- W kuchni tak mówią? - Joachim mrugnął do niego przyjaźnie.

- Ba... Toż tam cały sejmik urzęduje. Szkoda może tylko, że kolejne wesele poza Zaborowem się odbędzie.

- Zaborów widać nie miał w swoim przeznaczeniu wesela - odparła zamyślona Marta.

- Narzeczony wnuczki ma wielką rodzinę we Francji. Nas jest dużo mniej i łatwiej nas tam przetransportować - wyjaśnił Matzer.

Zamyślili się wszyscy troje i niezależnie od siebie wrócili wspomnieniami do tego dnia, gdy Basia rodziła Urszulę i jej brata. Pomyśleli też z nostalgią, ile to już lat minęło od tamtej nocy i jak bardzo

posunęli się wszyscy troje w latach.

- Nie pojedę na ten ślub, nie mam już na to siły - oświadczyła nieoczekiwanie Marta.

- Ja pomyślałem o tym samym, ale z myślą o sobie - odparł Joachim. - Kocham moją wnuczkę, bo to czupurna, lecz w gruncie rzeczy miła dziewczyna, ale też nie mam siły na podróż. Serce też nie to, co dawniej. Myślisz, że się pogniewają?

- Myślę, że niekoniecznie. Wytłumaczymy im, że jeśli chcą nas jeszcze jakiś czas widzieć na tym świecie, to muszą nas oszczędzać.

Oprócz obojga dziadków na ślub Uli nie dotarł także Karol. Wysłał jej życzenia i długi list, ale podróż nie wchodziła jeszcze w grę. Studiował, pracował i... nadal jeszcze wolał nie kusić losu spotkaniem z Aleksandrą, chociaż czas i nowe życie rzeczywiście robiły swoje w tej sprawie. Ola na ślub rzecz jasna miała przybyć, bo były z Ulą zaprzyjaźnione całą duszą i wraz z Sylwią a także dwiema siostrami Jeana Paula pełnić miały role druhen panny młodej.

- Zadowolilibym się tylko jedną druhną, czyli tobą, ale obie rodziny żyć by mi potem nie dały, gdybym pominęła trzy pozostałe - zapewniła Urszula przyjaciółkę.

Renetowie i Matzerowie przybyli do posiadłości rodziny Gaston dzień przed planowanym ślubem. Zostali tam niemal po królewsku zakwaterowani w eleganckich, staroświeckich apartamentach, co wprawiło ich wszystkich w konsternację.

Posiadłość imponowała, i to bardziej niż Zaborów w jego najlepszych czasach przed wojną. Rezydencja była w istocie odrestaurowanym zamkiem, który od pokoleń należał do rodziny Gaston.

- Cholera, to pewnie kiedyś byli średniowieczni rycerze albo baronowie - skomentował Raul, rozglądając się z niepewną miną po pokoju, istotnie przypominającym rozmiarami średniowieczną komnatę.

- Jakim cudem Ula dopadła tego Jeana Paula? - spytała Ala, do której nadal to wszystko z trudem docierało.

- Skąd mam wiedzieć? - Robert bezradnie wzruszył ramionami. - Zwyczajnie. Poszła potańczyć z niejakim Maximem, a wyszła z Jeanem Paulem.

- Zawsze chciała znaleźć bogatego męża - skomentował Paweł, a Alan

i Ralf, który odwiedzał czasem rodzinny dom i przybył na ślub przyjaciółki, zanosili się wprost ze śmiechu.

- Czarno to widzę, ona nie wytrzyma długo w takiej fortecy. - Robert miał dość markotną minę.

- Ja odniosłam wrażenie, że rodzice narzeczonego i reszta ich rodziny są zachwyceni naszą Urszulką - oznajmiła Ala. - Pan Gaston powiedział mi nawet, że Ula wniesie trochę świeżej krwi do ich rodu.

- Nie tylko świeżej, ale i wzburzonej. O tym pewnie nie pomyślał. Oby tylko jego żyły to wytrzymały.

- Są jeszcze jednak masochiści na tym świecie - dodał Paweł i zebrana młodzież ponownie pokładała się ze śmiechu.

Kilka godzin później przyjechał Janek, razem z żoną i Barbarą.

Po raz pierwszy od kilkunastu lat Basia zobaczyła swojego męża i Alę. Wszyscy przygotowawali się na to spotkanie i wszyscy byli zdenerwowani. Obie dawne przyjaciółki powitały się zdawkowo i bez zbędnych słów, chociaż Ala nie miała zielonego pojęcia, dlaczego trzy lata temu ich wzajemne kontakty uległy ponownemu zerwaniu. Dokładnie trzy lata temu Barbara napisała oficjalny list, nie do Alicji jednak, lecz do Raula, i oświadczyła, że tym razem kończy wszelkie kontakty z jego żoną, i to w sposób nieodwołalny. Nie życzy sobie następnych listów ani prób doprowadzenia do spotkania. Koniec. Kropka. Żadnych dodatkowych wyjaśnień, nic.

- Co jej się stało? - spytała wtedy kompletnie ogłupiała Ala. - Nie miałam okazji niczym jej ostatnio obrazić, nawet w jej mniemaniu. Przeciwnie, od jakiegoś czasu wszystko już było na dobrej drodze. Bez rewelacji, ale i bez wrogości.

Chciała nawet w pierwszej chwili napisać wtedy do Barbary, ale Raul jej to odradził.

- Nie upokarzaj się przed nią - powiedział. - Ona ma źle w głowie. Nie bez powodu jej mąż i dzieci trzymają się od niej z daleka. Ta kobieta jest jak podstępny pies. Nigdy nie wiadomo, kiedy ugryzie. Masz swoją rodzinę i przyjaciół tu, na miejscu. A z tamtą daj sobie spokój. Szkoda twojego życia i zdrowia.

Posłuchała więc i nikomu już nie opowiadała, co się stało. Nadal jednak tkwiło w niej to nieokreślone uczucie niepokoju, dezorientacji i smutku.

Nie powinna więc była czuć specjalnego zaskoczenia i przygnębienia

z powodu sposobu, w jaki Barbara potraktowała ją podczas powitania w domu Gastonów. Nie spodziewała się niczego innego. Jednak – zabołało.

Reszta rodziny chyba nie zwróciła na to uwagi, bo wszystkich bardziej interesowało spotkanie małżonków. Przebiegło kurtuazyjnie i bez zakłóceń. Oboje pilnie przygotowywali się do tego, od kiedy przyjęli wreszcie do wiadomości, że ślub ich córki jest czymś już postanowionym, nieodwołalnym i niepodlegającym dyskusji. Powiedzieli sobie nawet kilka zdawkowych komplementów na temat tego, jak dobrze wyglądają. Bo też rzeczywiście oboje wyglądali jak para atrakcyjnych, nieszablonowych i młodych jeszcze ludzi, a nie jak typowi rodzice panny młodej. Nie przypominali rodziców dorosłych już dzieci.

- Czy myślisz, że mogą jeszcze być razem? - spytał Paweł siostrę, pokazując na rozmawiających ze sobą uprzejmie rodziców.

- A co z nią? - Ula wskazała na Sylwię otoczoną już wianuszkiem młodych ludzi, bo zwracała na siebie uwagę swą zjawiskową wręcz urodą.

- Ona nie jest przeszkodą. Mama pogodziła się już z jej istnieniem.

- W takim razie idź i pomóż małej, bo nie ma zielonego pojęcia, jak sobie poradzić z tą bandą. Po prostu umiera ze strachu. Aż dziw bierze, że wychowała się w domu, gdzie jest ojciec i Josephine.

- Właśnie. To raczej Josephine może być tu problemem - zauważył Paweł, ruszając z odsieczą młodszej siostrze.

- To już nie będą moje problemy - powiedziała do siebie Ula, patrząc ze zdawkowym uśmiechem, jak jej brat, uprzejmie przepaszając zgromadzonych wokół onieśmiałej Sylwii młodych ludzi, wyciąga młodszą siostrę z ich grona.

Ślub odbył się w przyzamkowym kościele, gdzie ponoć miały miejsce wszystkie takie uroczystości rodziny Gaston od co najmniej dwóch stuleci.

- Myślisz, że to się uda? - szepnął Robert do żony podczas ceremonii.

- Bardzo wątpię - odparła Barbara z taką goryczą w głosie, że aż ścisnęło mu się serce.

Chciał nawet ująć ją za rękę i w ten sposób dodać jej jakoś otuchy, ale zacisnęła kurczowo dłonie, uniemożliwiając mu wykonanie jakiegokolwiek bardziej serdecznego gestu.

- Ja też się o nią boję - szepnął. - Jest jednak taka pewna tego, co robi...

- Nic się już nigdy nie uda - odparła z przyprawiającą go o zawrót głowy

goryczą.

Mylili się. Małżeństwo ich córki okazać się miało w przyszłości jednym z najbardziej udanych związków w całej rodzinie.

Natknęły się na siebie podczas tego wesela. Można było tego uniknąć. W sali balowej zamku Gaston zgromadziło się tak dużo zaproszonych gości, że można było uniknąć spotkania dwóch osób, które niekoniecznie pragnęły ze sobą kontaktów i rozmów. Ala w każdym razie tego już nie pragnęła. Za radą Raula postanowiła trzymać się od Barbary z daleka, chociaż z przyjemnością obserwowała, jak Robert rozmawia z żoną, siedzi obok niej przy stole, a nawet ze dwa razy z nią zatańczył. Ładnie razem wyglądali. Chyba dużo lepiej i bardziej godnie niż dwadzieścia czy jeszcze kilkanaście lat temu. Ucieszył ją też widok Barbary rozmawiającej z młodziutką Sylwią. To mógł być dobry znak.

Gniewało ją jednak, że bratowa nie wykazała żadnego zainteresowania małą Nicole, która miała już dwanaście lat i wiedziała doskonale, kim jest Barbara. Alana, Ralfa i Raula też ignorowała, ale ich to akurat w ogóle nie obchodziło.

- Mamo! Mamo! W ogrodzie będzie pokaz sztucznych ogni! Czy mogę pójść? - spytała już po północy córeczka, która podbiegła do Ali, jak zwykle w podskokach.

- Nie jesteś zmęczona, kochanie? - spytała Ala, przyglądając rozwichrzone nieco włosy dziewczynki.

Nicole miała już dwanaście lat, ale dla wszystkich była nadal „małą Nicole”, co ogromnie ją oburzało. Alicję to dziecko niezmiennie bawiło i wzruszało od lat.

- Ja? Zmęczona? - Nicole otworzyła szeroko swoje piwno-brązowe oczy, które odziedziczyła po matce. - W ogóle nie pójde dzisiaj spać. Taka zabawa...

- Kto z tobą pójdzie do ogrodu? Gdzie tata?

- Pójde z chłopcami i Sylwią. Nie mów tacie, bo znowu będzie chciał mnie pilnować, jakbym miała pięć lat.

Ala chciała się roześmiać i może by to uczyniła, gdyby nie zauważyła kątem oka zbliżającej się Barbary. Myśląc, że Barbara również zamierza udać się do ogrodu, odsunęła się trochę na bok, by nie zastawiać tamtej wyjścia przez drzwi od tarasu. W tym czasie córeczka na widok obu braci

wyrwała się jej i pobiegła na dwór. A Barbara została. Stała obok i zapatrzyła się w ogród. Milczała i ignorowała Alę. Paskudne to było milczenie, ciężkie i bardzo, bardzo wrogie.

- Musisz być szczęśliwa z powodu ślubu Uli - odezwała się w pewnym momencie Ala, nie mogąc dłużej już tego znieść.

Nie były to najbardziej trafne słowa. Przeczuwała przecież, że Basia, podobnie jak reszta rodziny, niepokoi się trochę tym pospieszonym małżeństwem i nie wróży mu dobrze. Jako matka niepokoiła się pewnie jeszcze bardziej. Ala pragnęła powiedzieć teraz coś naprawdę od serca, coś bardziej osobistego i adekwatnego do rzeczywistych odczuć ich wszystkich, ale nie mogła tego zrobić. Wyraz twarzy bratowej skutecznie ją do tego zniechęcał.

- Twoja córka jest bardzo do ciebie podobna - zauważyła chłodnym i uprzejmym głosem Barbara. - Raul powinien jednak jej pilnować lepiej niż twój ojciec ciebie. Inaczej może wyrosnąć na taką samą dziwkę jak ty. Byłoby trochę szkoda...

Ala przez moment stała jak sparaliżowana, jakby ktoś skrępował jej ręce, spoliczkował, a na koniec napluł w twarz. Nie wierzyła własnym uszom, nie wierzyła własnym oczom. Poczowała, że znowu zbliża się ten niepokojący szum w głowie, który był zwiastunem tępego bólu rozsadzającego czaszkę. Postanowiła jednak podjąć próbę rozmowy, zapytania, wyjaśnienia jakiegoś straszego nieporozumienia.

- Basiu - zaczęła słabym, nieporadnym znowu tonem. - To nie tak. Ja w sprawie twojej i Roberta naprawdę byłam po twojej stronie, ale Nicole...

- Byłaś po mojej stronie, gdy spałaś z moim narzeczonym? - spytała Barbara tym samym zdawkowym, uprzejmym tonem, jakby faktycznie prosiła o udzielenie praktycznej informacji.

Teraz naprawdę Ala poczuła się jak człowiek, któremu wytrącono ostatnią broń i osaczono bez możliwości żadnego ratunku. Barbara była jednak mistrzynią w zadawaniu takich ciosów. Tak właśnie musiała kiedyś rozmawiać z Olafem, a po latach z Robertem. Ala nie była świadkiem tamtych rozmów, ale nie miała teraz żadnych wątpliwości, jak musiały przebiegać.

- Zaprzeczysz? - spytała teraz, tak jakoś miękko, Barbara, a po chwili podała kompletnie zdruzgotanej Ali pogiętą kartkę, którą widocznie cały

czas miała przy sobie i tylko czekała... czekała...

Ala wzięła kartkę do ręki, ale litery tańczyły jej przed oczami.

- Nie przeczytam bez okularów - szepnęła drżącym głosem.

- W takim razie służę - odparła drwiąco Basia. - Ja mam dobry wzrok.

Podobno im mniej miłości w łóżku, tym lepiej dla wzroku. Chociaż taka pociecha. Weź sobie to do serca, moja była siostró, bo niedługo zupełnie przestaniesz widzieć. Żałuję tylko, że goście wyszli do ogrodu, bo mieliby czego posłuchać. Już początek przyprawia o dreszcze. Posłuchaj tylko. *Kochanie moje...* - zaczęła czytać.

Ala oparła się o ścianę przy wyjściu na taras, bo inaczej chyba by upadła. Ten list... ten durny pomysł Olafa... Jak to się stało, że skrawek papieru przetrwał tyle lat? Ala nie potrafiła sobie przypomnieć, jak to się stało, że ten list kiedyś przepadł z jej pola widzenia, z jej pamięci. Pamiętała zawsze, co w nim było napisane, ale nie miała pojęcia, co się stało z istniejącą przecież fizycznie kartką. Chyba była przekonana, że ktoś ją zniszczył, że zrobił to Olaf. Pamiętała, że rzuciła tym skrawkiem w niego ostatniej nocy, a potem list zniknął z jej pola widzenia, z jej świadomości.

- Poznajesz te słowa? - spytała Barbara, gdy przestała czytać.

- Jak długo to masz? - odpowiedziała pytaniem Ala.

- Jak długo? Od początku. Służba to znalazła w twoim pokoju, gdy zemdlałaś i zrobił się ten cały cyrk. Pamiętasz, jak zastałaś? Chyba trochę za ostro zabawialiście się w nocy, czyż nie?

- Jak ty mówisz? - szepnęła z niedowierzaniem Ala.

Nie знаła jeszcze Barbary w takim wydaniu. Co to za język?

- Jak ja mówię? - Głos Barbary nagle zaczął się niebezpiecznie podnosić.

- Nie podoba ci się moje słownictwo? A ty - kim jesteś? Kim byłaś?! Spałaś z moim narzeczonym, w domu mojej matki, tuż przed moim ślubem! Serce mi pękło. Ty się bawiłaś, a to było moje życie! Rozumiesz? Moje życie! Już nic potem nie mogło mi się udać! Bo ty i on zapragnęliście dobrze się bawić! W dodatku to na mnie później wszyscy patrzyli jak na puszczalską. A ty chodziłaś w aureoli najrozsądniejszej, najmądrzejszej i najbardziej przenikliwej dziewczyny na świecie!!!

- Basiu - szepnęła całkiem już pokonana Ala - zrobiłam źle, byłam młoda i... tak, byłam głupia. Czasem, potem... chciałam ci to wszystko wyznać, bo dawało mi to od środka, ale nie miałam odwagi... Bałam się

twojej reakcji. To jednak było tak dawno temu. Wiesz o tym od tak dawna i dopiero teraz... Dlaczego dopiero teraz pokazujesz mi ten list?

- Wiem o tym od trzech lat - odparła Basia twardym, ostrym głosem. - Z tego listu nie wynikało jasno, że chodzi o ciebie. Mniejsza o wyjaśnienia. Zresztą, nie jesteśmy w sądzie. Moja córka słyszała twoją rozmowę z dawnym twoim kochankiem. Pewnego razu w Paryżu wzięło się wam na romantyczne wspominki. Ot i wszystko.

Na chwilę umilkła i patrzyła na pobladłą Alę z nienawiścią, która mogłaby zabić. Ala w każdym razie miała wrażenie, że śmierć zagląda jej w oczy. Było jej duszno, ból rozsadał czaszkę. Lekarz mówił: mniej stresu. Lecz jak tego dokonać w takiej chwili?

- Pamiętasz, siostrze, jak mnie pouczalaś, że są takie tajemnice, które w końcu zaczynają szeptać? - mówiła znowu Barbara. - Brałaś wtedy także i siebie pod uwagę?

„Nie chcę się z nią kłócić. Ona musi tylko się wykrzyknąć. Zaraz jej to wytłumaczę” - myślała z rozpaczą Ala, czekając, aż tamta umilknie.

I wreszcie Barbara umilkła.

- To było tak dawno - ośmieliła się odezwać Ala. - Potem w twoim i moim życiu były już inne sprawy. To, co spotkało cię później... To, co stało się z twoim małżeństwem, nie ma już związku ani z Olafem, ani ze mną...

- Naprawdę jesteś aż taka głupia? - spytała z pozornym niedowierzaniem w głosie Barbara. - Ty? Taka bystra? Przecież to wszystko jest ze sobą powiązane. Rusz mózgiem i pomyśl! Początek i koniec. Przyczyna i skutek. Moje życie. Nie słuchałaś, co przed chwilą mówiłam?! To było zawsze moje życie! O Jezus!

Traciła już widać panowanie nad sobą. Nie była już w tej chwili atrakcyjną i młodo wyglądającą matką panny młodej. Teraz wyglądała jak stara, sfrustrowana kobieta, pełna goryczy i nienawiści, z poczuciem przegranego życia.

Ala wiedziała, że nie ma prawa gniewać się na nią. Podjęła jeszcze jedną próbę. Wyciągnęła rękę, aby dotknąć ramienia Barbary, aby ją zapewnić o swojej skrzesze, o pragnieniu zgody, ale bratowa jednym ruchem odrzuciła wyciągniętą do zgody rękę i odepchnęła Alę tak gwałtownie, że ta prawie się przewróciła na podłogę. Niewiele brakowało.

- Nie dotykaj mnie, suko - syknęła ze złością Barbara. - Zakłamana

szmata! Trzy lata czekałam, aby ci to powiedzieć. Czy twoi mężowie wiedzieli, jaką dziwkę poślubili?! Wiedzieli, co z ciebie za jedna i co zrobiłaś?! No, nie gap się jak głupia! Odpowiadaj! Wiedzieli?! Czy mam powiedzieć temu, który jeszcze jest z tobą?

Nie, dość już! Raul miał rację! Ta kobieta ma źle w głowie! Tylko współczuć Olafowi, Robertowi i jej dzieciom. I wszystkim, którzy musieli mieć z nią do czynienia na co dzień!

Dość już!!!

- Wiedzieli - odparła Ala hardym, silnym głosem, mimo tego, że tak słabo się czuła. - Lecz jeśli chcesz, to sama powiedz Raulowi. Jeśli chcesz, to jedź na grób Waltera i też mu powiedz!

- Tak? - Basia wybuchnęła okropnym śmiechem. - Mnie się bałaś, a im wszystko opowiedziałas? Ze szczegółami? To dlaczego było im z tobą tak dobrze? Z taką dziwką?!

- No może właśnie dlatego - nie wytrzymała Ala. - Widocznie dlatego, że potrafiłam być w sypialni dziwką, a nie workiem kartofli. A tak właśnie określili twoje sypialniane wyczyny Olaf.

Natychmiast zawstydziła się tych słów, ale one już padły. Twarz Barbary była teraz trupio biała i niemal niewidoczne jeszcze parę minut temu zmarszczki pod oczami teraz już były nie do ukrycia.

„Trzeba było dać jej spokój. Jakie to ma znaczenie, co ona o mnie myśli? Trzeba było ją po prostu zignorować” - pomyślała wtedy Ala, lecz ku swemu zdumieniu czuła jednak ulgę.

Nie mogła dać się tak po prostu opluwać.

- Nie chcę cię widzieć - rzekła pomału Barbara. - Nie istniejesz... A jeśli umrzesz przede mną, nie przyjadę na twój pogrzeb.

- Co ty mówisz? - usłyszały obie i dopiero wtedy zauważyły zbliżającego się Raula.

Barbara wzruszyła wzgardliwie ramionami i odeszła, ale widzieli, że drżała na całym ciele.

Raul podszedł do żony i podtrzymał jej ramiona, bo słaniała się już na nogach.

- Mówiłem, że tak będzie, jeśli spróbujesz z nią rozmawiać - powiedział, sadzając ją na kanapie. - Chcesz się wykończyć, Alice? Przyniosę ci wody.

- Wracajmy już do domu - poprosiła.

- Spokojnie, Alice. Wypiłem za dużo. Jak mam jechać z Dijon do Paryża?
- Czy wiedziałeś, że ożeniłeś się z dziwką? - spytała wobec tego.
- Aż tak? - Raul uśmiechnął się wesoło.
- Zaprowadź mnie chociaż do jakiegoś hotelu - poprosiła znowu.
- No, to rozumiem. Trzeba było tak od razu - powiedział i roześmiał się, wodząc dłonią po jej nogach.

- Nie wygłupiaj się. Po prostu nie chcę już dłużej zostawać pod tym dachem.

- Nie podoba ci się nasz królewski apartament?

- Nic mi się tu nie podoba.

- Kochanie, ja mogę i do podrzędnego hotelu, ale co zrobimy z dziećmiakami? Im się tu podoba, nie ruszymy ich stąd.

- Zabieramy Nicole i idziemy do hotelu - powiedziała spokojnie i stanowczo, patrząc mu w oczy. - Chłopcy zrobią, jak będą chcieli. Nie mogę tu zostać. Potem wszystko ci opowiem.

Kilka dni temu, 12 maja 1935 roku umarł Marszałek Piłsudski. Teraz już, z perspektywy kilku dni, mogę o tym pisać... Teraz to już do mnie dotarło. Lecz wtedy, gdy 13 maja rano doniosły o tym gazety, wpadłam w kompletne odrętwienie. Nie rozumiałam ani słowa. Nie tylko zresztą ja. Byłam wtedy z wizytą w Warszawie u mojego ojczyma, Janka i Weroniki. Patrzyliśmy na siebie jak odurzeni, jak ludzie, którym z trudem wraca świadomość po mocno zakrapianej libacji.

- To... to niemożliwe - wyszeptał mój ojczym, który zresztą nie był specjalnym zwolennikiem Marszałka, zwłaszcza od czasów zamachu majowego, a potem afery brzeskiej i wyborów z 1932 roku. A jednak był kompletnie zdruzgotany.

- Jezus Maria, co teraz z nami będzie? - dodał Janek, a on z kolei był zawsze, jeszcze od czasów legionów, zawołanym czcicielem Piłsudskiego, całkowicie i absolutnie bezkrytycznym.

- Kochanie, Polska ma silne podstawy i będzie istnieć nawet bez Marszałka. - Weronika starała się uspokoić atmosferę, bo przecież była skutecznie indoktrynowana politycznie przez męża w ciągu tych pięciu lat ich pożycia.

- Nie rozumiesz? - przerwał jej Janek. - Marszałek odszedł za wcześnie. Nie przygotował godnego siebie następcy.

- Jakiego następcy? Ten człowiek nie był monarchą, na litość boską! - zdenerwował się wreszcie mój teść, któremu wróciła już przytomność umysłu i dawne zapatrywania polityczne.

- Nasze położenie geopolityczne nie zmieniło się na korzystniejsze. Pamiętaj o tym, mój ojczym.

- Mamy podpisane akty o nieagresji z naszymi dwoma najniebezpieczniejszymi sąsiadami. Ty też o tym nie zapominaj.

- Nasi sąsiedzi liczyli się z nami między innymi dlatego, że najważniejszą rolę w naszym państwie odgrywał Piłsudski.

- Na litość boską! Tracisz wszelki umiar! Pierwszą osobą w państwie nie był Generalny Inspektor Sił Zbrojnych, lecz głowa państwa, czyli Prezydent.

- Wybrany z polecenia Piłsudskiego.

- To właśnie było chore w naszym państwie. Zresztą za Mościckim też nie przepadam.

- Znasz to powiedzenie: „Więcej znaczy niż Ignacy, a Ignacy g... znaczy”!

- Tak to niestety wyglądało w autorytarnym państwie.

- Nigdy nie przestaniesz z tym autorytarnym państwem?

- Musicie się kłócić w takiej chwili? – przerwałam. – Niezależnie od jego oceny umarł wielki polityk i wielki patriota. Ja sama boję się, co będzie dalej. Myślę, że w pewnym sensie był gwarantem naszego bezpieczeństwa. Liczyli się z nim nasi sąsiedzi, w tym ci najgroźniejsi.

- Nareszcie ktoś tu mówi sensownie – poparł mnie Janek, a Joachim już nie zaprzeczał. – Rosjanie nie zapomnieli, jaka spotkała ich apokalipsa pod Warszawą w 1920 roku i że tę apokalipsę zgotował im Marszałek, choć niektórzy dodają, że do spółki z Matką Boską. Szanował go też Hitler. Osobiście przecież mówił, że warto trzymać ze starym Piłsudskim i Polakami, bo to jedyni jak dotąd ludzie w dziejach, którzy pokonali Rosjan. Nawet Napoleon tego nie dokonał.

- Spróbuj pokonać Rosjan na terenie Rosji! – mruknął Joachim.

- Naszym się to udało. W 1610 roku rozwalili Rosjan pod Kłuszynem. A potem Żółkiewski na Kremlu dyktował Rosjanom warunki rozejmu. Niewiele brakowało, a nasz królewicz Władysław byłby ich carem. Czy ktoś tu oprócz mnie uczył się historii?

Tęgo dnia na mieście mówiono tylko o Piłsudskim.

- Czy to aby prawda? – zapytał mnie z przestachem dozorca na dole kamienicy.

- Czy ekipa obozu rządzącego, którą Dziadek trzymał za mordę i mówił, co mają robić, będzie potrafiła poradzić sobie bez niego? – zapytał mnie krawiec, u którego miałam tego dnia zamówioną wizytę.

Doprawdy niewiele w życiu widziałam innych miejsc poza Polską, a nawet tam, gdzie byłam, nie poznałam bliżej nikogo, ale sądzę, że nie ma na całym świecie ludzi bardziej rozpolitykowanych niż Polacy. W tych dniach w naszym kraju każdy był politykiem.

A potem rozpętała się ta awantura o pogrzeb Marszałka na Wawelu, bo metropolita krakowski miał podobno wątpliwości, czy jest to miejsce odpowiednie dla Piłsudskiego, a zdanie Sapiehy nie było bynajmniej odosobnione. Janek nie chce tego słuchać, ale Marszałek nie zawsze był taki

krystaliczny.

- Znajdź mi kogoś krystalicznego w tym gronie, które ma swoje grobowce na Wawelu - odparł tylko. - Czy każdy z nich popełniał tylko czyny chwalebne?

Ostatecznie oficerowie przekonali metropolitę, chociaż różne rzeczy o tym mówiono. A my zastanawiamy się, co będzie dalej. Jakoś trudno przyzwyczaić się do myśli, że Polska jest bez Piłsudskiego. Nawet jego przeciwnicy przyznają to półgębkiem.

Śmierć Marszałka dokonała jeszcze jednej rzeczy, która jeszcze jakiś czas temu wydawała mi się niemożliwa. Na pewien czas przestałam myśleć o moich nierozwiązanych, wciąż istniejących i uwierających mnie do szpiku kości problemach osobistych.

Ala, Raul i Robert siedzieli przy kawiarnianym stoliku i napawali się piękną, majową pogodą, a raczej napawali by się, gdyby nie ostatnie wiadomości z Polski.

- Pamiętam pobyt w naszym kraju w dwudziestym roku - rzekła cicho Ala. - Pamiętam wojnę, przygotowanie Warszawy do obrony, determinację, strach i wolę walki. Od tego czasu zawsze miałam wrażenie, że została tam część mojego serca, mojej duszy... Pamiętam, co wtedy znaczył Piłsudski...

- I cud nad Wisłą! - Robert zaśmiał się krótko, lecz napotkawszy spojrzenie siostry, darował sobie dalsze komentarze.

- Gdybym teraz była w Polsce, uczestniczyłabym z pewnością w jego pogrzebie - dodała Ala.

Do Polski pojechała rok później, także po to, aby uczestniczyć w pogrzebie... Tym razem chodziło jednak o jej ojca - Joachima Matzera. Był to jej ostatni pobyt w rodzinnym kraju.

Rozdział 128

Joachim zmarł na atak serca 20 maja 1936 roku. Od tego czasu minął miesiąc, a ja dopiero teraz jestem w stanie o tym pisać. Matka potem mówiła, że to było do przewidzenia, bo mój ojczym, a zarazem teść, nigdy się nie oszczędzał, pracował niemal do samego końca, a od co najmniej kilku lat miał problemy z sercem. Matka jest załamana. Pozornie stara się żyć normalnie, ale mam wrażenie, że wszystko jest już jakby poza nią. Nawet Zaborów przestał ją interesować, choć zawsze o tej porze roku, zdrowa czy chora, funkcjonowała jak nakręcona. Joachim już na kilka dni przed śmiercią czuł się fatalnie i w końcu, wbrew jego woli, Janek napisał do Zaborowa, abyśmy przyjechali. Napisał też do Roberta i... do niej, do ich siostry, ale oni już nie zdążyli przybyć z Paryża na czas.

Zainstalowaliśmy Joachima niemal na siłę w szpitalu, ale wyprawiał tam takie brewerie i tak wszystkich przekonywał, że już czuje się lepiej, że uwierzyliśmy mu. Tym bardziej że rzeczywiście sprawiał wrażenie, jakby poczuł się lepiej. Nawet śmiał się i żartował z moją matką podczas pobytu w szpitalu tego ostatniego dnia. Tak jakby odzyskał siły. Postanowiliśmy więc zabrać go do domu następnego dnia rano, a lekarze zasadniczo nie sprzeciwiali się temu, choć mieli pewne wątpliwości. Nie zdążyliśmy.

Zmarł w noc poprzedzającą wyjście do domu. Moja matka na wiadomość o tym zasłabła i baliśmy się, czy nie podzieli przypadkiem losu męża. My byliśmy w kompletnej rozsypce i w takim stanie odebraliśmy z dworca rodzinę z Paryża. Przyjechał Robert, Paweł, córka Roberta – Sylwia. No i oczywiście Renetowie.

Karola nie zdążyliśmy zawiadomić na czas. Zresztą i tak nie zdążyłby przybyć na pogrzeb dziadka. Za daleka jest taka podróż i za kosztowna, by pływać sobie ot tak... dziesięć tysięcy kilometrów przez Atlantyk w tę i z powrotem. Dzień później przybyła za to moja córka Urszula razem z Jeanem Paulem. Byliśmy więc niemal wszyscy, zgromadziliśmy się tak, jak pragnął tego Joachim od wielu lat.

Moja matka także tego pragnęła, ale tym razem nie mogła odczuwać żadnej radości z takiego spotkania i zgromadzenia rodzinnego. Była załamana, zrozpaczona i niemal obojętna na ludzi, którzy ją zewsząd

otaczali. Nigdy jej jeszcze takiej nie widziałam. Nie sądziłam, że jest zdolna do takich uczuć, że tak go kochała. W ogóle przedtem nie wierzyłam w ich miłość. W przyjaźń, owszem, tak. Widziałam, jak się lubili i wzajemnie rozumieli. Nie pamiętam ani jednej ich kłótni, ani jednej poważnej szermierki słownej. Myślałam jednak, że to dlatego, że na co dzień na ogół nie byli razem. Sądziłam kiedyś, że takie pary żyjące na odległość nie kłócą się, bo zwyczajnie nie mają na to czasu. Gdy wreszcie są razem, traktują to wydarzenie jak wielkie święto, na które czekali z utęsknieniem i nie chcą tego marnować...

Tak kiedyś myślałam, ale przestałam, bo nie sprawdziły się te zasady w moim własnym małżeństwie na odległość. Zrozumiałam, że powodzenie takiego związku nie tkwi w odległości, tęsknocie i fetowaniu świąt. Musi być w nim coś więcej. Coś, czego zabrakło w moim. Coś, co zawsze istniało w małżeństwie mojej matki i ojczyma.

Matka nie jest już tą samą osobą, co dawniej... Przypomina mi teraz... moją dawną siostrę po śmierci jej pierwszego męża.

Dlaczego w ogóle wspominam Alicję Renet? Bo przyjechała na pogrzeb ojca do Warszawy i musiałam czasem zatrzymać na niej oko, choć obiecałam sobie, że nie chcę jej więcej widzieć. To jednak był pogrzeb jej ojca, a więc sytuacja szczególna. Ona jednak chyba wcale na mnie nie patrzyła, przynajmniej ja tego nie uchwyciłam. Nie rozmawiałyśmy ze sobą, nie przywitałyśmy się nawet. Było zresztą tak dużo ludzi przez cały ten czas, że pewnie nikt nie zwrócił uwagi na zachowanie nas obu względem siebie. Jej mąż też nie przywitał się ze mną i cały czas był przy niej jak wierny wasal przy swym seniorze.

Nie wyglądała dobrze. To znaczy jest nadal taka młoda, świeża i na swój sposób dziewczęca. Ma przecież czterdzieści sześć lat, a niewiele się zmienia. Nawet czas jest dla niej łaskawy. Nie prezentowała się jednak dobrze w tym sensie, że nie wyglądała zdrowo. Od śmierci Waltera nie przytyła i jej cera nie jest taka śniada jak niegdyś... Coś jej chyba dolega, nie tylko smutek po śmierci ojca. Był nawet taki moment na cmentarzu, gdy chciałam podejść do niej pod wpływem jakiegoś impulsu. Podchodzili do niej liczni znajomi Joachima i składali jej kondolencje. Nam, pozostałym członkom rodziny, też składali. Zatrzymało mnie jednak spojrzenie jej męża. Nie daj Boże, jak na mnie spojrział.

Wiem, o co mu chodzi. Już następnego dnia po tamtej awanturze na weselu mojej córki żałowałam tych wulgarnych słów, jakimi obrzuciłam Alicję Renet. Diabeł mnie chyba wtedy opętał, czasem miewam takie napady. Żałowałam potem, ale słowa te już padły. Lepiej bym zrobiła, gdybym ją wtedy zignorowała, a tak znowu czuję się winna. Chociaż nie powinnam, bo racja leżała po mojej stronie, jednak powinnam była obyć się bez takich słów.

Alicji, Raula i ich dzieci już zresztą następnego dnia po weselu nie było w rezydencji Gaston. Może i dobrze, bo miałabym następny dylemat – czy przeproszać ją za wyzwiska, czy nie? Przecież naprawdę mi to wszystko zrobiła. Podczas pogrzebu Joachima nie czułam jednak do niej tamtej nienawiści sprzed dwóch lat, z wesela Uli. Dlaczego wciąż tyle o tym piszę?

Na pogrzebie, jak już wspomniałam, był tłum ludzi, bo Joachim był znaną postacią w życiu medycznym, naukowym i publicznym. Ksiądz pięknie i długo o tym mówił podczas nabożeństwa w kościele Świętego Karola Boromeusza. Joachima bowiem pochowano na Powązkach, w Warszawie, w grobowcu jego rodziców. Taka była jego wola, wyrażona ponoć wiele lat temu. Wiedziały w każdym razie o tym jego dzieci, wiedziała też moja matka. Potem, gdy goście już wyszli z domu po stypie, zebrała nas razem.

- Mówię do wszystkich dzieci i obecnych tu wnuków mojego zmarłego męża - powiedziała. - Nie wiem, w jakiej kolejności odejdziemy z tego świata, więc chcę, abyście na wszelki wypadek znali wszyscy moją wolę. Pragnę być pochowana obok Joachima. Nie zostawiajcie mnie w Zaborowie.

Wszyscy patrzyliśmy na siebie zszokowani. Życiem mojej matki był Zaborów, odkąd pamiętam. Jemu podporządkowała i swoje, i moje istnienie. Nie chciałam jednak podnosić tej sprawy przy wszystkich. Sądziłam też, że matka jest ciągle zbyt przygnębiona i zrozpaczona, stąd takie spontaniczne, nie do końca przemyślane słowa.

Janek jednak się odezwał i powiedział głośno to, co ja, i pewnie większość pozostałych, pomyślała. Poza Raulem, Gastonem, Sylwią i tą... Nicole. Ale coż oni mogli wiedzieć o mojej mamie?

- Zaborów nie jest wieczny - odpowiedziała na słowa Jasia. - Istnieją takie rzeczy jak wojny, pożary i inne kataklizmy. Nie należy niewolniczo przywiązywać się do jednego miejsca.

- Powązki też nie są wieczne - zauważył z uśmiechem Janek, a ja

pomyślałam dokładnie to samo.

- Bardziej trwałe niż Zaborów. Poza tym nie dyskutuję o tym z wami. Proszę o uszanowanie mojej woli. Chcę po śmierci spocząć obok mojego drugiego męża.

Jeśli będzie denerwowała mnie gadaniem o swojej śmierci, to najprawdopodobniej nie ja wykonam jej wolę.

Następnego dnia po pogrzebie matka uparła się, aby jechać na cmentarz i sprawdzić, czy wszystko tam aby w porządku.

- Co ma nie być w porządku - tłumaczyłam jej bezskutecznie. - Od wczoraj na jego grobie nic się nie zmieniło.

Marnie wyglądała i było niemal pewne, że nie da rady dotrzeć na ten cmentarz. Pogrzeb niemal ją wykończył, jest czasem taka słaba. W końcu skapitulowałam i powiedziałam, że sama pojedę na cmentarz i wszystko sprawdzę. Nie miało to sensu, ale niech jej będzie.

- Ty, mamo, pojedziesz tam za kilka dni, jak trochę wypoczniesz i nabierzesz sił.

Zgodziła się wreszcie i pojechałam sama. Nie namawiałam na to ani synów, ani wnuków Joachima. Było zimno, wietrznie, deszczowo. Typowa pogoda pod psem, pomimo pełni wiosny. Nie przewidziałam jednak, że ona tam była, córka Joachima ze swoim nieodstępnym rycerzem. Swoją drogą, jak taka niezależna kiedyś dziewczyna może znosić nieustanną opiekę mężczyzny? Ukryłam się przed nimi w ostatniej chwili i patrzyłam, jak stali na grobem jej ojca i dziadków. Coś mówiła do męża, a on stał zasłuchany i wpatrzony w nią jak sztubak w młodą i atrakcyjną nauczycielkę, a potem przytulił ją do siebie i odeszli.

Gdy straciłam ich już z oczu, podeszłam do grobowca, ale zgodnie z przewidywaniami nie ujrzałam tam niczego niezwykłego. Tknęła mnie tylko myśl, że prędzej czy później znajdzie się tu również ciało mojej matki. A co ze mną? Co z moim ciałem... Za życia i po śmierci. Co mnie jeszcze czeka? Dopadło mnie straszliwe przygnębienie, a ta pogoda jeszcze to pogłębiała. Dotarło też do mnie z przeraźliwą jasnością, że Joachim już nigdy nie przyjedzie do Zaborowa, nigdy do mnie nie zagada. A tak zawsze mnie bronił...

Znowu przypominałam sobie ten list Olafa... do niej. Tylko Joachim, stary Antoni i Jan Lubowicz znali jego treść. Oprócz nich jeszcze ja, Olaf i...

ona. Pozostało to między nami.

Dobrze, że Joachim nie dowiedział się, kim była adresatka i co robiła z nadawcą. Dobrze, że powstrzymałam się i nie powiedziałam mu o tym. Choć wtedy Bóg mnie powstrzymał. Wraciałam od grobu zamysłona i nagle znowu ich zobaczyłam. Renetowie stali przy innym grobie, parę metrów od głównej alejki. Co tam robili? W ostatniej chwili ponownie się ukryłam, bo byliby mnie spostrzegli. Nie byli sami, obok nich stał jakiś ksiądz i chyba jeszcze dozorca cmentarny. Rozmawiali cicho i trwało to jakiś czas. Mogłam zawrócić i wyjść z cmentarza inną drogą, ale powstrzymała mnie ciekawość. Co oni tam robili? Czyj to grobowiec?

W końcu odeszli i został tylko ten dozorca. Zbliżyłam się do grobu, a wtedy... dosłownie pociemniało mi w oczach. Zobaczyłam fotografię zmarłej dziewczyny i miałam wrażenie, że patrzę na... Alę. Tak jakby ona leżała pod tą płytą. Jakbym stała nad jej grobem. To było jak przeczucie, jak memento. Zrobiło mi się słabo i dosłownie zabrakło mi tchu. Ten dozorca złapał mnie wpół, inaczej bym upadła.

- Niech pani na chwilę przysiądzie na tej ławeczce - zaofiarował się z pomocą, więc usiadłam.

Dopiero wtedy przeczytałam nazwiska na grobowcu i znowu zakręciło mi się w głowie. Nie pamiętam imion jednej kobiety i jednego mężczyzny. Oprócz nich była tam pochowana jeszcze młoda dziewczyna o imieniu Adela. To ona była na fotografii... na tej fotografii.

Drugi mężczyzna miał na imię Andrzej. Wszyscy nosili jedno nazwisko. Krzyccy. Andrzej Krzycki.

- Pani też znała pana majora? - zagadnął dozorca, podążając za moim wzrokiem.

- To on nie żyje? - wydusiłam z siebie, bo to właśnie przyszło mi do głowy.

- Zmarł pół roku temu. Tamci państwo, co tu byli przed panią, dowiedzieli się o tym wczoraj, jak wracali z pogrzebu profesora Matzera. Od razu tamta pani poszła porozmawiać z księdzem proboszczem i umówili się znowu na dzisiaj. Całe szczęście, że się jeszcze ktoś z rodziny znalazł i zajmie się tym grobem, bo ja zawsze myślałam, że pan major Krzycki był ostatni w rodzinie. Sam tu zawsze przychodził na grób rodziców i siostry. Jego siostra tak młodo umarła, sama pani widzi. Już się martwiliśmy, kto teraz

zaopiekuje się grobowcem. Zmarniałoby wszystko. Ale szczęśliwie znalazła się jeszcze jakaś rodzina. A pani to też znajoma pana majora?

Spojrzał na mnie ciekawie, ale ja co innego miałam w głowie.

- Skąd pan wie, że ci ludzie, co tu przed chwilą rozmawiali z panem i z księdzem, to rodzina zmarłych? Powiedzieli, że są rodziną? - spytałam, choć bałam się odpowiedzi. Chciałam jednak w końcu to wiedzieć.

- Tak jasno to nie powiedzieli. Może tylko, że są jakimiś dalekimi krewnymi czy powinowatymi. Ale wystarczy tylko spojrzeć. Ta dziewczyna z nagrobnej fotografii i tamta pani, co tu była przed chwilą... to mówię, proszę łaski pani... jak dwie rodzone siostry... tak podobne.

- I powiedzieli, że zadbają o ten grobowiec? - zagadnęłam go, gdy tylko to sobie jakoś ułożyłam w głowie.

- Ten pan to bardzo mało po naszymu mówił. Oboje mieszkają we Francji, ale ona musi być też nasza. Załatwiła z księdzem proboszczem wszystkie opłaty za to miejsce i opłaciła opiekę nad grobem. Powiedziała, że pieniądze będą tu przychodziły od nich z Francji dopóki żyje ona, jej mąż i córka, a może potem i dalej, jak będą wnuki. A pani to też jakaś krewna albo znajoma? - ponownie zadał to pytanie.

Pomyślałam, że może moja ciekawość wydała mu się podejrzana.

- Gdyby pieniądze z Francji przestały z jakiegoś powodu napływać, to proszę dać mi znać. Zostawię proboszczowi kontakt do mnie.

To ja powiedziałam te słowa i do dziś nie wiem, jak to się stało. Co mi przyszło do głowy? Było jednak pewne, że już nie mogę się wycofać. Czasem na usta cisną mi się ordynarne wyzwiska, a i innym razem coś, czego sama nie rozumiem. Jedno było pewne. Nie żałowałam, że to powiedziałam. I dzisiaj też nie żałuję.

Rozdział 129

Josephine kręciła się po jadalni z tak smętną miną, aż do Roberta w końcu dotarło, że coś musiało się stać. Była rozkojarzona, bez większego sensu przestawiała talerze na stole lub ścierała niemal niewidoczne pyłki z komody. Dotarło do niego w końcu, że ta kobieta zachowywała się tak, odkąd wrócił z Sylwią z pogrzebu ojca. Należało się tym zająć. Czyżby nowe kłopoty?

Począł, aż córka po zjedzeniu obiadu wyjdzie z domu na jakieś spotkanie, i poprosił Josephine o rozmowę. Najgorsza pewność jest lepsza od niepewności.

- Josephine, co się dzieje? - zapytał.

Zawahała się na moment, a jej okrągła, miła, trochę piegowata twarz pokryła się rumieńcem. Odgarnęła z czoła kosmyk rudawych włosów i westchnęła.

- Nie wiem, jak to powiedzieć - rzekła zmieszana.

- Mów od razu. Zawsze jesteś taka bezpośrednia. Co się stało?

- Nie możemy już dłużej robić tego, co robimy - odparła i natychmiast opuściła głowę.

Robert nie tego się spodziewał, więc niewielki kamień spadł mu z serca. Obawiał się innej rewelacji, na przykład informacji o ciąży.

- Josephine, to twój wybór. Masz prawo robić to, co uważasz, i nie musisz się tłumaczyć z takich spraw. Nie jesteś moją własnością.

- Nie chcę, abys pomyślał, że mam coś do ciebie. Było mi z tobą zawsze bardzo dobrze...

- Miło mi to słyszeć. To wielki komplement - wtrącił z uśmiechem, a ona ponownie się zarumieniła.

- Bardzo mi pomogłeś, bo wiesz, jakie miałam życie wcześniej, gdy jeszcze żył mój mąż. Najpierw był na froncie, a potem, gdy wrócił... Przy tobie znowu byłam kobietą...

Drżała z zakłopotania i czerwieniała na twarzy coraz mocniej, więc uściśnął krzepiąco jej dłoń i nakłonił, aby usiadła obok niego.

- Ty też mi pomogłaś. Mnie również było z tobą dobrze - zapewnił ją łagodnie.

- Ale to nie może dłużej trwać.

- Rozumiem, że byłeś u spowiedzi - zażartował bez żadnej złej intencji, ale Josephine zaraz jakby zeszywniała.

- Byłam u spowiedzi - potwierdziła cicho i nagle, zebrawszy się na odwagę, wyrzuciła z siebie jednym tchem: - Byłam u spowiedzi, bo wychodzę za mąż.

Spojrzał na nią zaskoczony i czekał. Domyślał się bowiem, że chciała coś jeszcze wyjaśnić, chociaż nie wymagał tego od niej. Nie potrzebował jej tłumaczenia się.

- To, co było między nami, nie miało przyszłości - rzekła.

- Sama wiesz, że formalnie nadal jestem żonaty. Uzyskanie rozwodu w moim przypadku jest niemal niemożliwe, a toczenie z nią następnej wojny...

- Nie myślałam o małżeństwie z tobą. Nie zawstydzaj mnie. Jakżebyś mogła... Gdzie ja, gdzie ty...

- Josephine, ja nie myślę takimi kategoriami. Myślałem, że o tym wiesz.

- Rozumiem - odparła i uśmiechnęła się do niego przyjaźnie. - Wiem, o co chodzi... O kogo chodzi... O pannę Perrier, mamę Sylwii...

Nie odpowiedział, ale Josephine nie oczekiwała odpowiedzi. Już nie czuła przed nim obawy. Spojrzała na niego ciepło i serdecznie, jak czyniła to wiele razy, odkąd zaczęła pracować w tym domu.

- Michel jest krawcem i dużo pracuje. Jest też zupełnie samotny. Znamy się od paru lat... Pamiętasz, jak się dziwiłeś tą moją ciotką, którą niby czasami odwiedzałam?

- Nazywałaś tego mężczyznę swoją ciotką? - Robert nie mógł się nie roześmiać. - Josephine, nie jesteś moją córką. Miałaś prawo spotykać się, z kim chciałaś. Zresztą, nawet one miały takie prawo. Tak cię to gnębiło? Trzeba mi było już dawno powiedzieć, że z nami koniec.

- Długo nie mogłam się zdecydować. Nie kocham go, raczej bardzo lubię. Nie myśl też, że z nim żyję. To przyjaciel i nie robię z nim takich rzeczy jak z tobą. Jest bardzo religijnym katolikiem i zapytał mnie parę tygodni temu, czy nie wyszłabym za niego. Pomyślałam, że czemu nie? To dla mnie jakaś przyszłość.

- To twoje życie. Ze mną rzeczywiście nie możesz liczyć na to, co dla większości kobiet jest takie ważne.

Mimo wszystko zmarkotniał, a Josephine, zauważywszy to, odczuła pewną ulgę... Ta jego melancholia oznaczała przecież, że nie było mu tak zupełnie wszystko jedno, co z nią dalej będzie, że w jakiś sposób musiało mu na niej zależeć.

- Chciałabym tu nadal pracować, jeśli się zgodzisz - odezwała się i to zaskoczyło go całkowicie.

- Chcesz tu nadal pracować? - powtórzył, zupełnie oszołomiony.

- Tylko pracować, nic więcej - uściśliła, tłumiąc uśmiech na widok jego konsternacji. - Lubię to miejsce i jestem tu potrzebna. No i Sylwuni mi szkoda, bo potrzebuje czasem kobiecej pogawędki w domu i kobiecego wsparcia. Kocham twoją córkę, jakby była moja. Pani Alicja stara się, jak może, ale sama ma dorastającą córkę i musi się nią zająć. Nie zawsze ma czas dla bratanicy, a ja miałam.

- Sylwia też cię kocha, ale czy mój widok nie będzie ci teraz przeszkadzał?

- A mój widok tobie będzie przeszkadzał? - Josephine zaniepokoiła się.

- Nie, w żadnym razie - odparł i uświadomił sobie, że to prawda.

- Sam więc widzisz. Poradzę sobie i ja z twoim widokiem, bez obawy.

- A twój przyszły mąż? Co on na to? Jemu może się to nie spodobać.

- Zostaw to mnie. Michel wszystko rozumie i ufa mi, więc go nie zawiodę. Nie kocham go, ale to nie znaczy, że nie będę mu wierna. Poza tym - zawahała się i znowu spojrzała na niego niepewnie - on nic nie wie o tobie i o mnie... I nie dowie się. Nie powiesz mu, prawda?

- Naprawdę myślałaś, że mógłbym wam coś takiego zrobić?

- Nie - rozplakała się nagle - wolałam tylko się upewnić... tak na wszelki wypadek. Nie gniewaj się na mnie o to, proszę.

- Nie gniewam się na ciebie. Nigdy nie zrobiłaś mi nic złego... ani moim dzieciakom. Było wręcz przeciwnie - zapewnił i poklepał ją krzepiąco po dłoni.

- Nie mogłabym znieść myśli, że musiałbyś przyjąć tu inną gospodynię... i wcale nie chodzi mi o te rzeczy. Ten dom prowadzić mogą tylko takie kobiety, które go rozumieją. Takie, które tu żyły lub pracowały jeszcze przed wojną. I takie kobiety zawsze tu były. Ja jestem jedną z nich. Żadna obca baba nie poradzi sobie ani z tymi starymi szafami, ani ze skrzypiącą komodą, ani ze starymi rondlami, ani nawet z duchami, które tu czasem

bywają. Obca, nowa baba to zniszczy.

- Możesz tu zostać tak długo, jak długo sama to wszystko wytrzymasz - zapewnił ją wzruszony i ucałował obie jej dłonie.

Spojrzała na niego z czułością i dotknęła delikatnie jego skroni. Kiedyś od takiego jej gestu zaczął się ich romans. I takim gestem miał się zakończyć.

- Jesteś nie tylko wspaniałym mężczyzną, ale i dobrym człowiekiem. Gdybym miała dzieci, pragnęłabym takiego dla nich ojca, jakim ty byłeś i jesteś dla swoich. I nie zmienia tego fakt, że odszedłeś kiedyś od żony. Jednak... i ty mógłbyś w końcu spróbować... - zaczęła, ale po chwili umilkła.

- Chcesz i mnie wysłać do spowiedzi?

Robert nie wiedział, jak to się stało, ale natychmiast ją zrozumiał. Roześmiał się.

- Może w końcu... - zaczęła z wahaniem.

- Daj spokój, Josephine. Czyżby twój spowiednik zadał ci w pokucie próbę nawrócenia kochanka? To możliwe, oni mają takie pomysły... No, nie gniewaj się... spróbowałaś. Jesteś już w porządku. Zresztą słyszałaś o cesarzu rzymskim Konstantynie Wielkim, który nawrócił swą duszyczkę dopiero na łożu śmierci? Mam czas, ochota jeszcze nie nadeszła.

- Nie wiadomo, jak to będzie z tym czasem - odparła powoli kobieta. - Twój ojciec umarł przecież tak nagle...

„Mam czas, księżo. To niedobre słowa. Tego nigdy nie wiadomo”.

Patrzył na Josephine, ale przez moment jakby zobaczył w rogu pokoju kogoś jeszcze...

Zdecydował się na to po dwóch tygodniach. Sam właściwie nie wiedział dlaczego. Rozmowa z Josephine nie miała tu większego znaczenia, na pewno nie była decydująca. Próbowала tego kiedyś Nicole, jednak też bez powodzenia. Próbowала od czasu do czasu jego ukochana córka Sylwia, gorliwa katoliczka i tak słodka, dobra dziewczyna. Bardzo się o nią bał, bo była taka piękna i tak oddana Kościołowi. Próbowала też rozmawiać z nim o jego postawie antyreligijnej Ala, choć z mniejszym zapałem, zwłaszcza od pewnego czasu. Wreszcie wszystkie po kolei kapitulowały. A teraz...

Myślał o ojcu, tak często o nim myślał... Wciąż łapał się na tym, że czasem zapominał, że jego już nie ma. Przecież był zawsze. Był opoką, punktem odniesienia, dawał poczucie bezpieczeństwa nawet wtedy, gdy

przez pewien czas nie utrzymywał z nim kontaktu. Nawet wtedy Robert podświadomie czuł, że ojciec zjawi się, gdy naprawdę będzie już źle. I zjawił się. Przyszedł do niego, Nicole i Sylwii i wyciągnął rękę. Jak będzie teraz wyglądał świat bez ojca? Czy znowu dał mu jakiś znak?

Wolał nie roztrząsać tej kwestii z siostrą, a Janek był daleko.

Zamyślony i nadal pełen wątpliwości oraz niechęci, dotarł do kościoła Saint-Germain-des-Prés i główną nawą poszedł do zakrystii. Była zamknięta. No i dobrze. To znaczy, że może wracać do domu. Spróbował, skoro własne myśli nie dawały mu spokoju. Spróbował, ale nic z tego. Odwrócił się na pięcie od zamkniętych drzwi i stanął oko w oko z jakimś młodym księdzem.

- Słucham pana? - spytał tamten. - Czy ma pan jakąś sprawę?

- Nie jestem pewien - odparł Robert. - To zależy od tego, czy ksiądz Pierre Drunon jeszcze przebywa w tej parafii. Czy wciąż żyje.

Dotarło wtedy do niego, że ostatni raz widział Drunona po pasterce w grudniu 1922 roku. Czternaście lat temu!

- Proszę ze mną - odpowiedział po chwili młody ksiądz, najwyraźniej bardzo czymś nagle poruszony.

- Interesuje mnie rozmowa tylko z księdzem Drunonem - zaznaczył z naciskiem Robert. - Z całym szacunkiem, ale żaden inny duchowny...

- Rozumiem, proszę pana - przerwał ten młody chłopak w sutannie, może zresztą jeszcze kleryk. Wyglądał na rówieśnika Pawła. Był nadal wyraźnie poruszony.

- Mam rozumieć, że zaprowadzi mnie ksiądz do ojca Drunona?

- Właśnie do niego idziemy.

Właśnie idziemy? Tak po prostu? Bez żadnych formalności, zapisów i ceregieli?

Wolał się raz jeszcze upewnić. Ten chłopak w sutannie zachowywał się, jakby spotkało go jakieś niesamowite zdarzenie. Był wzruszony, wzburzony, rozpromieniony. Czy można komuś takiemu zaufać?

- Nie umawiałem się wcześniej na rozmowę z księdzem Drunonem. Może być zajęty i zaskoczony. Może nie mieć teraz czasu. Proszę go najpierw uprzedzić, że przyszedł Robert Matzer.

- Domyślam się, kim pan jest - odparł duchowny, a Robertowi niemal odebrało mowę ze zdumienia.

Nic nie rozumiał. Był pewien, że nie zna tego chłopaka. A może to jakiś

dawny kolega Pawła? Już miał o to zapytać, ale wtedy ten, swoją drogą sympatyczny, młody człowiek dodał z uśmiechem:

- Ksiądz Drunon kazał pana zaprowadzić do siebie, jak tylko pan przyjdzie. Mówił to od wielu lat wszystkim pracującym tu księżom.

„Nie umawiałem się z nim” - miał niemal krzyknąć Robert, ale już dotarli do małego domku na tyłach kościoła. Niesamowita sytuacja! I pomyśleć, że kilkanaście lat temu Nicole też tu przyszła... jak on teraz.

„Ale ja nie przyszedłem do spowiedzi, jak ona. Ja tylko zadam mu parę pytań” - zdążył jeszcze pomyśleć, bo drzwi domku uchyliły się i zobaczył w nich starego, wymizerowanego człowieka. Poznał go jednak bez trudu.

- Proszę wybaczyć, że tak długo nie podchodziłem do drzwi w odpowiedzi na pukanie. Coraz gorzej chodzę, a starzy ludzie potrzebują cierpliwości młodych - odezwał się Drunon głosem, który, w przeciwieństwie do jego marnej kondycji fizycznej, był wciąż stosunkowo silny.

- Przecież wiem, księżo Drunon - odparł młody duchowny. - Przyszedł do księdza w odwiedziny pan Robert Matzer.

- Nie wiem, czy ksiądz mnie jeszcze pamięta. W dodatku przyszedłem bez uprzedzenia - rzekł Robert i ku własnemu zdumieniu poczuł, że jest tak samo poruszony, jak ten drugi ksiądz.

Drunon patrzył mu przez dłuższą chwilę prosto w oczy, milczał. Był chudy jak szkielet, ale w pomarszczonej twarzy jego oczy jawiły się tak przenikliwymi, tak promiennymi.

- Czy ksiądz mnie poznaje? - powtórzył Robert, czując, że jego serce zaczyna tłuc jak szalone.

- Codziennie na pana czekałem - odpowiedział stary ksiądz i gestem zaprosił go do środka.

Maj 1939 roku

- Czy ktoś w tym domu potrafi uruchomić głupie radio? - spytała podirytowana Barbara, a zebrane wokół niej kobiety, od matki poczynając, na kucharce kończąc, pokiwały głowami z poparciem.

- Gdyby stara Perlicka jeszcze żyła, toby dopiero dogadywała tym chłopom - dodała stara Katarzyna Antoniowa, patrząc, jak Janek, Antoni, Bazyli i Jan Lubowicz próbują uruchomić odbiornik radiowy.

- Trochę techniki i człowiek się gubi - powiedziała ze śmiechem Weronika.

- Raczej chłop się gubi - sarknęła z gniewem kucharka Felicja. - Dajcie to, my, kobity, się tym zajmiemy.

- Cicho... jest... - Janek gestem dłoni nakazał milczenie.

- Straszny charkot...

- Mówiłam, żeby kupić porządne radio. Jak już wydawać pieniądze, to przynajmniej na coś porządnego, nawet jeśli jest drożej - oburzyła się Marta i zastukała gniewnie laską.

- Już teraz słysząc - odezwał się Lubowicz, poprawiając coś przy kablu.

Ucichli wszyscy i wytężyli słuch. Z odbiornika popłynęły do nich całkiem wyraźnie słowa ministra Becka z sali sejmowej. Niemal cała Polska słuchała ich przy odbiornikach, tak jak oni w Zaborowie.

...z chwilą, kiedy po tylokrotnych wypowiedzeniach się niemieckich mężów stanu, którzy respektowali nasze stanowisko i wyrażali opinię, że to „prowincjonalne miasto nie będzie przedmiotem sporu między Polską a Niemcami” - słyszę żądania aneksji Gdańska do Rzeszy...

Słuchali jak zakłęci, w nabożnym niemal skupieniu, a Felicja i Antoniowa nawet przeżegnały się.

...to muszę postawić sobie pytanie, o co właściwie chodzi? Czy o swobodę ludności niemieckiej w Gdańsku, która nie jest zagrożona, czy o sprawy prestiżowe, czy też o odepchnięcie Polski od Bałtyku, od którego Polska odepchnąć się nie da!

Usłyszeli odgłos, jakby trzask.

- Co to było? Coś znowu z tym radiem - zagderzała Marta, a kobiety ją poparły.

- Z radiem jest w porządku. To raczej Beck uderzył pięścią w mównicę i stąd ten odgłos - odparł Jan Lubowicz.

- Zamknijcie się wreszcie i słuchajcie! - wrzasnął Janek i przestraszeni zamilkli posłusznie.

Daliśmy Rzeszy Niemieckiej wszelkie ułatwienia w komunikacji kolejowej, pozwoliliśmy obywatelom tego państwa przejeżdżać bez trudności celnych czy paszportowych z Rzeszy do Prus Wschodnich. Zaproponowaliśmy rozważenie analogicznych ułatwień w komunikacji samochodowej...

Siedzieli nieruchomo, tylko Janek stał odwrócony do okna z czołem opartym o szybę. Felicja bezgłośnie odmawiała różaniec.

Nie mamy żadnego interesu szkodzić obywatelom Rzeszy w komunikacji z ich wschodnią prowincją. Nie mamy natomiast żadnego powodu umniejszać naszej suwerenności na naszym własnym terytorium...

Wciąż panowała wśród nich pełna napięcia cisza.

Pokój jest rzeczą cenną i pożądaną. Nasza generacja, skrwawiona w wojnach, na pewno na pokój zasługuje. Ale pokój, jak prawie wszystkie sprawy tego świata, ma swoją cenę, wysoką, ale wymierną. My w Polsce nie znamy pokoju za wszelką cenę. Jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna. Tą rzeczą jest honor.

Usłyszeli oklaski dobiegające z sali sejmowej, albo też znowu radio zaczęło się buntować. To już jednak nie miało znaczenia. Zerwali się z miejsc i zaczęli bić brawo.

- Tak się rozmawia z Hitlerem! - zawołał z entuzjazmem Lubowicz, a inni go poparli, choć niektóre kobiety z pewną trwogą.

- Tak się czuję, jakbym miał znów dwadzieścia lat - powiedział nawet Bazyli.

- No to pięknie. Jasna cholera!

Słowa Janka podziały na nich jak kubeł lodowatej wody. Kiedy na niego spojrzeli, natychmiast zrozumieli, że on nie podziela entuzjazmu całej reszty.

- O co ci chodzi? Co ci się nie spodobało? To piękne, niemal rycerskie przemówienie - odezwała się Basia, a zrobiła to ostrzej, niż zamierzała.

Janek parsknął krótkim śmiechem i rozejrzał się wokół z ironią.

- Rycerskie przemówienie? - rzekł. - Nie rozumiecie? Będziemy zaatakowani jako pierwsi! Wystawili nas jako pierwszych. Sami, jako państwo, dobrowolnie idziemy teraz pod nóż.

Zrobiło im się bardzo, ale to bardzo nieswojo. Uśmiechy zamarły na twarzach, uniesienie zgasło jak płomień zdmuchniętej świecy. Barbara jednak nie zamierzała się poddawać. Była oburzona na przyjaciela.

- Rozum ci odebrało? - krzyknęła, niechcący powtarzając ulubione powiedzenie Joachima. - Uważasz, że powinniśmy byli zgodzić się na żądania Hitlera? Zrezygnować z Gdańska...

- To Wolne Miasto, nie nasze - przypomniał jej.

- A zatem miałyby się stać miastem niemieckim, tak? Tak uważasz? Mieliśmy pozwolić Niemcom na budowanie autostrad i kolei na terenie naszego odcinka Pomorza? A może zgodzić się na sojusz z nimi? Po tym, co zrobili w Nadrenii, Austrii i Czechosłowacji?

- My odebraliśmy od Czechów nasze Zaolzie - przypomniał jej Janek. - Cieszyłaś się wtedy jak niemal cała Polska.

- Mamy dobre sojusze, mamy gwarancje międzynarodowe!

- Nie rozumiesz czy tylko udajesz? - Podniósł głos, podobnie jak ona. - Marszałek zawsze mówił, że Polska powinna wejść do przyszłej wojny jako ostatnia. Wiesz dlaczego?! Zgadnij, jaki jest los państwa, które pierwsze bierze na siebie atak tak potężnego przeciwnika.

Kopnięciem otworzył drzwi balkonowe i wybiegł do ogrodu. Skutecznie popsuł im nastroje na kilka następnych dni.

W czerwcu 1939 roku Urszula oznajmiła całej rodzinie i znajomym, że spodziewa się pierwszego dziecka. Radość była powszechna, a gratulacje do zamku Gaston napływały zewsząd.

- Nareszcie! Cztery lata po ślubie - komentowała Barbara, przeczytawszy list od córki. - Byłam przekonana, że zawarła to małżeństwo dla zabawy i zamierza zostawić męża, jak tylko zacznie się z nim nudzić... Tymczasem wygląda na to, że się myliłam.

- I pomyśleć, że będę prababką - zauważyła z pozornym przekąsem Marta. - Oczywiście pod warunkiem, że dożyję. Kiedy dziecko ma przyjść na świat?

- Podobno w styczniu, czyli już po Nowym Roku.

- Wiem, że styczeń jest po Nowym Roku - rzekła zgryźliwie Marta. -

Niestety, dla mnie każdy miesiąc to jak loteria.

- Życie każdego z nas to loteria - odezwała się Weronika. - Zwłaszcza ostatnio, gdy wszyscy mówią o zbliżającej się wojnie.

- Nic nie jest pewne na tym niepewnym świecie - zgodziła się Marta. - Nie wiem doprawdy, co z nami będzie, jeśli istotnie wybuchnie ta wojna.

- Wszyscy twierdzą, że z łatwością pokonamy Niemców, że te ich czołgi to atrapy z tektury, że jeden Polak jest w stanie położyć trupem siedmiu Germanów - zawołała ze śmiechem Weronika.

- Masz rację, że się śmiejesz, bo tylko to wyśmiać. Janek nadal uważa...

- Słuchasz tylko Janka! - zawołała Basia, w geście ironii wznosząc ręce do nieba.

- Lepiej nastawić się na najgorsze. Później przynajmniej unikniemy rozczarowania.

- A nie pomyślałaś, że możemy wygrać?

- Pomyślałam, aby się modlić o zachowanie pokoju. Za stara już jestem na wojny. Co trochę to jakaś wojna. Kiedyś inaczej ludzie żyli...

- Nie możemy porozmawiać o moim wnuku albo wnuczce? - spytała zirytowana Basia.

- A co? Już się urodziło?

- Mamo!

- Spokojnie, nie dostałam jeszcze sklerozy. Boże uchwaj! Już wolę wojnę od sklerozy. Oczywiście, że chętnie bym porozmawiała o moim prawnuku lub prawnuczce, ale ich jeszcze nie ma na zewnątrz tego Bożego świata. Obym mogła zobaczyć to dziecko! Na razie wolę pomówić o Urszulce.

- Co tu mówić? Spowaźniała. Cieszy się na to dziecko. Twierdzi, że sama będzie je pielęgnować i przepędzi wszystkie niańki, jakie załatwią jej teściowie.

- Ciekawe, czy wytrwa w postanowieniu! - Weronika zaśmiała się na słowa Basi.

- Co ma nie wytrwać! - powiedziała oburzona Marta. - Kobiety w naszej rodzinie są wytrwałe w każdej sprawie dobrej, i niekoniecznie takiej. A nianiek do dzieci nie było w naszej rodzinnej tradycji. Mówię wam: moja wnuczka to twarda i dzielna dziewczyna, a jej dziadek zawsze ją podziwiał.

- Zawsze na nią krzyczał, że nie skończyła szkoły.

- Ale zawsze ją podziwiał. Mówił, że jest mądra.

- Jedziemy z Jasiem do Francji w sierpniu, odwiedzimy Ulę - rzekła Weronika. - Przy okazji spotkam brata, bo akurat będzie również w sierpniu w Paryżu w jakiejś zawodowej sprawie.

- Ja pojedę, gdy dziecko już się urodzi. Wcześniej nie dam rady - oznajmiła Barbara, ignorując uwagę Weroniki na temat jej brata.

Kiedy w styczniu 1940 roku będzie wspominać tę rozmowę i swoje plany wyjazdu do Francji, towarzyszyć jej będzie pełen bólu i ironii uśmiech.

Rozdział 131

Lato 1939 roku było ciepłe i suche, wprost wymarzone na wakacyjne wyjazdy.

- Dokładnie jak lato czternastego roku - zauważyła kiedyś Ala i przeraziła się własnych słów.

- Dokładnie jak niejedno lato od tej pory - odpowiedział jej ze śmiechem Raul.

- Paweł dopiero co wrócił od matki i twierdzi, że w Polsce nikt nie ucieka od myśli o wojnie. Przeciwnie. Odbywają się ćwiczenia wojskowe i ogłoszono pożyczkę narodową na dozbrojenie.

- No, nie dziwię się. Po takiej odpowiedzi waszego ministra spraw zagranicznych udzielonej Hitlerowi sam bym się zbroił i okopał palisady, nie mówiąc już o pożyczce.

- Potrafisz chociaż raz być poważny?

- Dlaczego Francuz ma być poważny, skoro Polacy tacy nie są? - Janek wzruszył ironicznie ramionami.

Przyjechali z Weroniką wczoraj rano i od razu zaognili temperaturę dyskusji politycznych. To znaczy zaognił Janek, a Weronika, jak tylko mogła, mitygowała jego zapędy. Ala lękała się tych rozmów, dokładnie tak jak dwadzieścia pięć lat temu. Widziała same analogie, co bezustannie wyśmiewał Raul, a Robert mu w tym sekundował.

- Teraz nikt nie chce wojny, Alice. Sama popatrz. Ludzie chcą żyć i dobrze się bawić. Za bardzo wszyscy oberwali w czasie tamtej wojny - mówił Raul.

- Francji nie grozi na razie wojna - odpowiedziała.

- Francja jest sojusznikiem Polski i udzieliła jej razem z Wielką Brytanią gwarancji. Jeśli Niemcy naprawdę zaatakują Polskę, nasi sojusznicy będą tak samo zaangażowani w wojnę, jak i Polska - rzekł Robert.

- Sami widzicie! Wojna na całą Europę - szepnęła z trwogą Ala.

- Nie obawiaj się, siostrzyczko! Wątpię, czy Francja i Anglia ruszą palcem w bucie w naszej sprawie. Bez obrazy, Raul! Nie bierz tego do siebie. Może na tym polega mądrość twojego kraju. Nie chcecie walczyć z Hitlerem jako pierwsi, więc wystawiacie nas, zachęcając polską ekipę

rzządzającą do odrzucenia propozycji Hitlera i machając jej przed nosem nic nieznaczającymi gwarancjami pomocy. W sukurs idzie wam Wielka Brytania, która na dzień dzisiejszy jest do wojny nieprzygotowana, więc aby zyskać na czasie, wymyśliła te gwarancje. Cholera, na Zachodzie są mądrzy politycy, a nie tylko krasomówcy, jak u nas.

- Co mam powiedzieć? - Raul wzruszył ramionami. - To tylko, że mój kraj walczył heroicznie w poprzedniej wojnie i tak oberwał, że nic dziwnego, że francuska opinia publiczna rozliczy bezlitośnie każdego polityka, który będzie próbował wciągnąć ją w kolejny konflikt.

- W takim razie twoja żona nie ma się czego bać. Wojna wam, przynajmniej na razie, nie grozi.

- Zamknij się, Jasiu - rzucił dobrotliwie Robert i mrugnął porozumiewawczo do siostry.

- Przecież Polska to także mój kraj - zaprotestowała słabo Ala.

- Obawiam się, że był... Przy tak prowadzonej polityce zagranicznej mamy szansę z powrotem stracić z takim trudem odzyskane i odbudowane państwo.

- Kraczesz jak diabli. - Robert nie wytrzymał. - Beck nie miał wyjścia, i dobrze o tym wiesz. A jak nie wiesz, to znaczy, że gówno się na tym znasz. Spełnienie niemieckich propozycji oznaczało zepchniecie Polski do roli państwa wasalnego.

- Nie widzisz, co się szykuje? Niemieccy politycy polecili do Moskwy. Będzie pewnie rewizyta. Rosja i Niemcy dogadują się nad naszymi głowami. Bóg raczy wiedzieć, co się z tego urodzi, ale raczej nic dobrego dla Polski.

- Francja nie dopuści do tego. Jest przecież sojusznikiem Polski - odparł Raul. - Francuzi nie dopuszczą do tego dla własnego bezpieczeństwa. Niemcy, wzmocnione ewentualnym zwycięstwem nad Polską, w dodatku w ewentualnym sojuszu z Rosją, byłyby zbyt poważnym zagrożeniem dla Zachodu. Francja nie może do tego dopuścić, i nie dopuści.

- Dobrze by było, bo nawet Niemcy nie wytrzymałyby chyba wojny na dwa fronty, gdyby Anglia i Francja rzeczywiście były gotowe spełnić swoje zobowiązania wobec Polski - rzekł Janek. - Gdybyś to ty decydował o polityce swojego kraju, byłbym spokojniejszy.

- Tak czy owak, wojna, jeśli wybuchnie, dotrze także i tu - rzekł Raul. - A zatem nie kpjij ze mnie, proszę, mój szwagrze. To ja mam dwóch synów i to

oni w razie czego... - Nie dokończył.

- I Jean Paul - szepnęła przerażona Ula. - A może wy wszyscy...
O Boże...

- Spokojnie, dziecko. - Robert przestraszył się jej reakcji i przytrzymał ją za rękę.

- Zadowoleni jesteście, panowie politycy? - oburzyła się Weronika. - Dziewczyna przyjechała w odwiedziny do ojca i zamiast prowadzić normalną rozmowę, wysłuchuje waszego jazgotu. Gdy Jean Paul dowie się o tym, pourywa wam łby.

- Dobrze się czujesz, kochanie? - spytała Ala bratanicę.

- W porządku, ciociu. Tylko tak w pierwszej chwili pomyślałam o chłopcach, o ojcu, o wujach...

Urszula była na siebie zła za tę chwilę słabości, ale co robić, skoro od paru miesięcy nie była już tylko sobą? Skoro był w niej ktoś jeszcze? Z rezygnacją pozwoliła, aby obie ciotki masowały jej ręce, a ojciec głaskał po głowie, jakby miała pięć lat. Nawet Sylwia z trwogą w oczach podała jej szklanek wody.

- Wyjdźmy do ogródka. Złapiesz trochę powietrza, a panowie niech dalej zabawiają się w strategów wojennych - zaproponowała Weronika i spojrzała z gniewem na męża.

Kobiety natychmiast przystały na tę propozycję i zasiadły na wyplatanych krzeselkach w małej altance na tyłach domu.

- Wygodnie ci, skarbie? - zapytała z czułością w głosie Ala.

- Przestań, ciociu, bo aż mi głupio. To, że jestem w ciąży, nie oznacza, że stałam się słonicą.

- Rozumiem cię, bo sama przeszłam przez to dwa razy i niecierpliwiła mnie niekiedy troska innych. Jednak, kiedy teraz na ciebie patrzę, nie potrafię się powstrzymać.

- Wy tutaj, w Paryżu, i tak jesteście niegroźni w porównaniu z tym, co wyrabiają Gastonowie. Moim teściom chyba się przywidziało, że wydaję na świat następcę tronu.

- Cóż się dziwisz! Długo kazaliście czekać im na wnuka lub wnuczkę.

- A Jean Paul co wyrabia?! Jak tak dalej pójdzie, to nie wiem, czy ten człowiek nie padnie na zawał, zanim urodzi się jego dziecko.

- Nic na to nie poradzisz. Gdybyś widziała Raula podczas mojej ciąży... -

Ala uśmiechnęła się do swoich wspomnień, a po chwili wahania dodała: - Nie mówiąc już o Walterze, który w pewnym momencie codziennie już myślał, że mogę w każdej chwili urodzić. A twój ojciec? Było na co popatrzeć.

- Ciociu - odezwała się po chwili Urszula - a jeśli ta wojna wybuchnie, zanim urodzi się moje dziecko? Jean Paul jest pilotem wojskowym. Boję się... Chciałabym, żeby przynajmniej zobaczył... to dziecko... A jeśli...

Ala szukała w myślach, jakiejś sensownej odpowiedzi, a nie wyświechtanego banału, lecz nic nie przychodziło jej do głowy. Podobnie rzecz się miała z Weroniką. Ula patrzyła błagalnie to na jedną, to na drugą, a potem machinalnie zerknęła na młodszą siostrę.

- Nie wiemy, co będzie - ośmieliła się odezwać Sylwia. - Z tego jednak, co słyszałam, w najbliższych miesiącach wojna nam nie grozi.

- Dobre sobie! W najbliższych miesiącach! - zawołała za złością Urszula.

Ta smarkula zawsze działała jej na nerwy. A potem ponownie uzmysłowiła sobie, że „ta smarkula” jest już dorosłą dziewczyną.

- Nie mam na to wpływu! Myślisz, że ja się nie boję?! - krzyknęła nagle ze łzami w oczach Sylwia, wywołując powszechną konsternację.

Sylwia nigdy nie podnosiła głosu, a do starszej siostry zawsze bała się odezwać. Robiła to najrzadziej, jak się dało, na ogół bardzo trwożliwie i nieśmiało. Ala i Weronika nie wiedziały, jak zareagować, a wtedy Ula, w nagłym przeblýsku świadomości, uśmiechnęła się.

- Co jest? Dlaczego tak się wściekłaś? Masz chłopaka i boisz się, że go wezmą na front?

Sylwia w odpowiedzi ukryła twarz w dłoniach, a Ula, zapominając o własnej trosce, roześmiała się.

- No to alleluja! Już się bałam, że wstąpisz do zakonu.

- Sylwio? - spytała zdumiona Ala, bo o niczym nie wiedziała. - Kto to taki?

- Spotykamy się od pół roku - wydusiła z siebie ponownie onieśmielona dziewczyna.

- Od pół roku? I nikt nic nie załapał? Stary też nie? - zainteresowała się ubawiona Urszula.

- Wołałam mu nie mówić. Wiesz, jaki on jest - szepnęła zawstydzona Sylwia.

- No jasne, że wiem. Masz zupełną rację. Śledziłyby cię za każdym razem albo wynajęłyby detektywa, aby sprawdził twojego chłopaka. Tak zapewne uczyni też wujek Raul, gdy Nicole zacznie umawiać się na randki, chociaż może już zaczęła. Pamiętaj i zrób jak ja! Zawiadom ojca przed samym ślubem. Oby tylko ciocie nie wygadały.

Ala chciała się roześmiać, bo też i humor jej się poprawił. Paplanina Uli mogła ożywić nawet nieboszczyka, a oświadczenie Sylwii było dobrą wiadomością. Lecz najważniejsze było to, że obie siostry wymieniły do siebie największą liczbę słów w całej ich siostrzanej historii.

- Jak on ma na imię? - spytała znowu Urszula. - Kiedy mi go przedstawiś?

- Ma na imię Filip - odparła Sylwia. - A kiedy go przedstawię? - Nagle rozplakała się. - Jeśli Niemcy zaatakują Polskę i Francja będzie musiała jej pomóc, to Filip na pewno pójdzie na front. A wtedy... wtedy...

- Weź z nim ślub jak najszybciej. Narzeczeni zawsze tak robią, gdy grozi wojna.

- I co to zmieni, jeśli i tak będzie musiał pójść?

- Przynajmniej się z nim wcześniej porządnie wykochasz. To się zmieni - odparła Ula i popatrzyła rozbawiona po zmieszanych kobietach. Sylwia spurpurowiała na twarzy po nasadę włosów nad czołem, ale nie obraziła się. Nie wiedziała tylko, co odpowiedzieć.

- Byłam rok młodsza od ciebie, gdy wyszłam za mąż - dodała jeszcze Urszula. - Podobnie ciocia Alicja... I nawet moja matka.

- Moja nigdy nie wyszła za mąż - odparła Sylwia i spojrzała siostrze prosto w oczy.

Ula odpowiedziała jej spokojnym spojrzeniem.

- Jednak ty to lepiej zrób. Sama przecież wiesz...

Nie dokończyła, a Sylwia już nie odpowiedziała, lecz popadła w zamyślenie.

- Chodź, Sylwio, przygotujemy jakąś kolację - odezwała się po dłuższej chwili Weronika. - Panowie wściekają się o politykę, bo zapewne są głodni, a Josephine ma dzisiaj wolny dzień.

- Musi dopieścić mężusia - zauważyła niepoprawna przyszła matka. - Sama widzisz! Nawet Josephine wyszła z tego założenia. Niech inni prowadzą wojny, ty, szczęśliwa Francjo, Kochaj i żeń się!

- Austrio - poprawiła z uśmiechem Ala. - W tym powiedzeniu chodziło o Austrię.

- Wiem, ale mniejsza z tym, o kogo chodziło! Na jedno dzisiaj wychodzi.

- Pomogę wam w kuchni. - Ala podniosła się razem z Weroniką i Sylwią, ale ją powstrzymały.

- Miałś dzisiaj znowu migrenę. Lepiej jeszcze odpocznij - rzekła Weronika.

- Sama widzisz, że i mnie traktują jak chorą - zwróciła się Ala do bratanicy, gdy już zostały same.

- Poważnie jednak, ciciu... Kiedy właściwie zaczniesz się uczciwie leczyć? - spytała zaniepokojona Urszula. - Te bóle głowy zdarzają ci się coraz częściej.

- Za kilka dni mam wyznaczoną wizytę u lekarza.

- No nareszcie. Lepiej późno niż wcale.

- Nie byłabym taka pewna. Osiemnaście lat temu leczyli mnie na serce, aż w końcu stwierdzono, że jestem w ciąży.

- Czyżbyś i teraz coś takiego podejrzewała? - Ula roześmiała się. - Ja bym się nie zdziwiła.

- Daj spokój... - Ala machnęła ręką. - Teraz naprawdę trochę się boję.

- Ciciu... - zaczęła po chwili Ula, z pewnym ociąganiem w głosie, ale Ala natychmiast jej przerwała.

- Nie mówmy o tym. Przecież powiedziałam, że wybieram się do lekarza.

- Ale ja nie o tym... Jest taka sprawa, która od dawna nie daje mi spokoju.

Ala przysunęła się do bratanicy i objęła ją ramieniem.

- Co się stało, kochanie? - spytała łagodnie.

- Matka ciągle nie odzywa się do ciebie, prawda?

Ala drgnęła nerwowo, bo po pierwsze, nie to spodziewała się usłyszeć, a po drugie, nie chciała o tym mówić. Coś jednak należało odpowiedzieć.

- Prawda, kochanie. To jednak za trudne sprawy, abym...

- Pisała już przecież do ciebie, a potem znowu przestała. Wiem o tym.

- Lepiej tego nie ruszajmy.

- To moja wina, ciciu. To przeze mnie... Muszę się teraz wypowiadać przed tobą. Nie daje mi to spokoju. Jednak naprawdę nie chciałam.

- Wiem, kochanie. Przez przypadek usłyszałaś moją rozmowę z doktorem Lityńskim. Byliśmy bardziej nieostrożni niż trzydzieści lat temu.

Urszula spojrzała na ciotkę z pewnym podziwem, a równocześnie ze skruchą.

- Wiedziałaś, że to ja cię sprzedawałam, i nie wściekłaś się na mnie?

- Dlaczego miałabym to zrobić? Ty w niczym nie zawiniłaś. Tak przecież było. To wszystko prawda.

- Przepraszam cię jednak. Wykrzyczałam to wtedy matce, bo strasznie mnie wkurzyła. Mądrzyła się, jakie to kiedyś dziewczyny były rozsądne, a jaka ja jestem durna. No to nie wytrzymałam i chciałam jej przypomnieć pewne fakty z jej i twojej młodości. Rozumiesz? Tylko przypomnieć. Nie wiem, co mi wtedy odbiło, ale pomyślałam, że ona o wszystkim już wie. Poza tym, to były sprawy sprzed naszej ery.

- Sprzed twoich urodzin, ale jednak za naszej ery. - Ala uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Wiem jednak, co mamę ruszyło najbardziej - dodała z westchnieniem Ula. - Chodzi o Karola?

- O Karola? Nie, złotko. Chodzi jej o to, że ja i jej ówczesny narzeczony...

- Ona myśli, że to wszystko ma związek ze sobą, a ja, co gorsza, poddałam jej tę myśl. Taka byłam na nią wtedy zła, że i to jej wygarnęłam. - Ula podniosła do ust szklankę z wodą i spojrzała z powagą na ciotkę. - Zawsze cię podziwiałam. Nie wiedziałaś o tym. Chciałam być taka jak ty. Chciałam cię naśladować. Twoi faceci szaleli za tobą, skoczyliby za tobą w ogień. Obserwowałam cię i naśladowałam, a ty niczego nie zauważyłaś. I udało mi się. Spotkałam kogoś takiego i wyszłam za niego za męża. Jakim wzorem mogła być w tym względzie moja mama? Jaki użytek zrobiła ze swojej urody? Tylko że Karol...

- Co z... Karolem? - spytała Ala, czując, że ponownie zbliża się lęk i ból.

- Powiedziałam wtedy matce, że za tamto wszystko oberwał potem Karol. Zataiła przed nim, kto był jego ojcem, a potem zakochał się we własnej siostrze. Już lepiej by zrobiła, gdyby wyszła za męża za tego Lityńskiego. Najwyżej rozstałaby się z nim później. A może i nie... Nie wiadomo. Wszystko, co potem się stało... z nią, z moim ojcem...

Ala patrzyła na dziewczynę i wreszcie zrozumiała... To o tym krzyczała Barbara pięć lat temu na weselu Urszuli. To o to jej chodziło.

„Nic nigdy potem już mi się nie udało... To przecież było moje życie... Jesteś taka głupia czy tylko udajesz?”

Słowa wykrzywane wtedy w gniewie i nienawiści przez tamtą wróciły teraz do Ali, choć tak bardzo starała się przez te pięć lat o nich zapomnieć. Teraz wszystko było już jasne.

Gdyby nie uległa wtedy Olafowi dla samej ciekawości przeżycia ekscytującej zabawy i skosztowania zakazanego owocu z mężczyzną, który jej się podobał, Barbara wyszłaby za niego za mąż. Gdyby ona, Alicja, od początku odrzuciła awanse Olafa, zamiast wysyłać do niego oczywiste sygnały, nie miałyby potem okazji pisać do niej tego idiotycznego listu. Basia wyszłaby za niego za mąż, a czy byłaby potem z nim szczęśliwa, to już inna sprawa. Potem byłby to już jej wybór. W końcu ostrzegała ją wcześniej jej matka, ojcym, nawet stara Perlicka. Nawet ona, Ala, początkowo też ją ostrzegała. Basia wyszłaby więc za mąż za Olafa i urodziłaby syna mężczyźnie, który był jego prawdziwym ojcem. A czy to małżeństwo by potem przetrwało, czy nie, to już nie byłby problem Alicji. To byłoby już poza nią. Ona zajęłaby się własnym życiem i nie musiałaby opowiadać potem Walterowi i Raulowi o tym, co zawsze ciążyło jej na sumieniu. W dodatku zawsze z przyjemnością wspominała wrażenia, jakich dostarczył jej Olaf, choć paradoksalnie towarzyszyło temu nieustające poczucie winy. Robert nie doznałby uczuć rycerskiej solidarności z Basią i nie ożeniłby się z nią. Nie byłoby takiej potrzeby, skoro poślubiłaby Olafa. Bez problemu mógłby potem poślubić Nicole. I w dodatku, na koniec ta sprawa z Karolem i Aleksandrą.

Jedna szczeniacka ciekawość i chęć zabawy pociągnęła za sobą całą lawinę zdarzeń. Nawet ona sama z trudem przez trzy lata dochodziła do siebie po swoim pierwszym poważnym romansie.

Tak jak krzyczała wtedy w zamku Gaston Barbara. Początek i koniec. Przyczyna i skutek.

Oczywiście Alicja nawet i teraz doskonale wiedziała, że nie ona jedna zawiniła. Był też Olaf. Barbara także nie była święta. I Robert pospieszył się z decyzją o małżeństwie. Byli też inni członkowie rodziny, którzy nie zareagowali do końca odpowiednio na wiadomość o ciąży Barbary. Jednak ona - Ala - też tam była. W dodatku odegrała wtedy zasadniczą rolę. Musi swoją część winy teraz na siebie przyjąć. I to nieważne, że tamte zdarzenia

miały miejsce równo trzydzieści lat temu.

- Znowu boli cię głowa? - spytała z przestrachem Ula, patrząc na jej zmienioną twarz.

- Tylko trochę - odparła, krzywiąc się z wysiłkiem w żalnym grymasie, który miał przypominać uśmiech. - Chodźmy, bo wołają nas już na kolację.

Następnego dnia udała się do kościoła Saint-Genevieve. Lubiła go, bo tu brała ślub z Walterem, chociaż pocciwy ojciec Dunand, który przygotował ją, wówczas niemal poganę, do chrześcijańskiego związku, już od dawna nie żył. Nie przyszła tu jednak, aby wspominać tamten ślub, gości i tamtego księdza. Miała teraz inny cel i wołała mieć to za sobą. Poza wszystkim innym czekała ją wizyta u doktora Leclerca i diagnoza, której przecież się obawiała.

Poczekaa chwilę, aż od konfesjonału odeszła jakaś stara kobieta, a potem sama się do niego zbliżyła.

Nie lubiła spowiedzi i rzadko to robiła. Wołała bezpośrednią rozmowę z Bogiem, w którego przecież wierzyła bez tych dodatkowych ceregieli, rytuałów i pośredników. Pośrednicy owi wystarczali jej do ślubów, pogrzebów i chrztów... I do pierwszej komunii świętej jej dziecka. Tak było. Teraz jednak to, co ona wołała przez całe dotychczasowe życie, nie miało już znaczenia.

- Wybacz mi, ojcze, bo zgrzeszyłam - wyszeptaa do krat konfesjonału.

- Mów, córko... - Usłyszała głos zza tychże krat.

- Zgrzeszyłam ciężko trzydzieści lat temu...

- Nie wyznałaś tego na świętej spowiedzi przez trzydzieści lat? - znudzony, jak jej się na początku zdawało, głos duchownego nabrał teraz jakby innego brzmienia... pewnego zainteresowania.

- Nie tak jak należało to uczynić - odpowiedziała cicho na jego pytanie.

Gdy wychodziła już z kościoła, niespodziewanie natknęła się na Sylwię w towarzystwie jakiegoś chudego, ale całkiem przystojnego młodego człowieka. Domyśliła się od razu, że to był ów Filip. Mimo to z uśmiechem wysłuchiwała, jak Sylwia go przedstawia i jak on potem drugi raz sam się przedstawia. Czyżby, idąc za radą Urszuli, przyszli zamówić ślub? Może i tak, bo Sylwia była zarumieniona, jakby przyłapano ją Bóg wie na czym.

- Co robiłaś w kościele, ciociu? - spytała dziewczyna, która po pierwsze,

miała uzasadnione prawo być zdumiona tym faktem, a po drugie, najwyraźniej chciała odwrócić od siebie i Filipa uwagę ciotki.

- Byłam u spowiedzi - odparła wesoło Ala, którą rozbawiła zdumiona do najwyższych granic buzia dziewczyny. Dodała więc: - Pamiętaj o tym, gdyby coś mi się stało, gdybym ja nie mogła już nic ze sobą zrobić, wytłumacz innym, że jestem już w stanie łaski uświęcającej.

- Ciocia ma zawsze gotowe takie nietuzinkowe odpowiedzi - wyjaśniła Sylwia śmiejącemu się chłopakowi.

Rozdział 132

Zobaczyła go, gdy tylko przekroczyła próg gabinetu doktora Leclerca. Była całkowicie zaskoczona i początkowo nie rozumiała, co jej lekarz do niej mówi.

- Przedstawiam pani mojego kolegę z Zurychu, doktora Olafa Lityńskiego. To pani rodak, myślę zatem, że bez trudu nawiązecie pozytywny kontakt. Poprosiłem doktora Lityńskiego o dodatkową konsultację w pani sprawie. Pan doktor jest wybitnym specjalistą, zwłaszcza w dziedzinie neurologii.

- My się znamy - odpowiedział z uśmiechem Olaf. - Nie wiedziałem, Alicjo, że chodzi o ciebie.

- To prawda, nie wspominałem pani nazwiska - dodał Leclerc, równie zaskoczony jak jego pacjentka. - Czy mimo to zgadza się pani na przebadanie przez doktora Lityńskiego?

Ala już doszła do siebie i nawet nastrój jej się poprawił. Skinęła głową na znak, że się zgadza.

„Dlaczego mam się nie zgodzić, skoro widział mnie już naga... Teraz chyba nie każą mi się rozbierać ze wszystkiego?” - Niemal parsknęła śmiechem na tę myśl.

Oczywiście, że nie kazali. Badanie było na tym etapie rutynowe. Mimo to Olaf też początkowo był w dobrym humorze, bo podczas badania słuchawką jej płuc i serca uśmiechnął się niemal jak trzydzieści lat temu, mrugnął do niej i zauważył głośno, że jest tak samo szczupłutka jak dawniej.

- Przecież mówiłem, że wszystko pamiętam - dodał, a ona poczuła ogień na policzkach.

Na szczęście Leclerc nie zrozumiał, o co chodzi, albo tak dobrze udawał.

Potem Olaf zaświecił jej jakąś lampką w źrenice, a następnie, uderzając lekko w jej kostki i nadgarstki, sprawdzał reakcje jej ciała.

- Przejdź się, Alicjo, po gabinecie. W tę i z powrotem - zadysponował w pewnym momencie.

Potem poprosił, aby usiadła, i spojrzał z troską w jej oczy.

- Pani Renet była leczona kardiologicznie - odezwał się Leclerc. - Już w czasie wojny sugerowałem, aby uważała na serce.

- Potem jednak nie zauważył pan większych nieprawidłowości - dodała Ala, nawiązując do pamiętnej rozmowy doktora z jej mężem, gdy potwierdził u niej ciążę.

- Spokojnie, Alicjo! Serce wykazuje niewielką arytmieję i powinnaś na nie uważać - odparł Olaf.

- Leczyć? - Ala zatrzymała na nim wzrok, czując, że nie powiedział jeszcze wszystkiego, że nie powiedział najważniejszego.

- Na serce wystarczy tylko uważać i odpowiednio je monitorować. To jednak w sumie nic aż tak poważnego. Problem może istnieć gdzie indziej.

- W mojej głowie? - spytała i poczuła lód na swoim ciele.

- Na podstawie takich powierzchownych badań trudno postawić jednoznaczną diagnozę. Musimy przyjrzeć się dokładniej, co dzieje się w środku twojej głowy.

- Chcecie otworzyć moją czaszkę? - Złodowaciała jeszcze bardziej.

- Nie tak od razu. Na razie zastosujemy inne sposoby, aby ci się przypatrzeć. Musisz jednak położyć się na jakiś czas do szpitala. Nie ma rady.

Do szpitala? O mój Boże! Jak Nicole! Jak ojciec!

Ala czuła, że nie da rady tego zrobić. Bała się tak bardzo, jak kiedyś Nicole i ojciec. Poza tym czuła, że to nie ma sensu. Miała wrażenie, że i tak wie, co jej jest.

Tymczasem Olaf zaczął zadawać pytania.

- Jak częste są te bóle głowy i od jak dawna trwają?

- Zdarzały się zawsze, odkąd pamiętam - odparła cicho. - Kiedyś jednak bardzo sporadycznie. W ostatnich latach... coraz częściej. Ostatnio... niemal na okrągło. - Naraz postanowiła przekonać sama siebie i lekarzy, że to nic nadzwyczajnego. - Myślę, że ma to związek z różnymi stresującymi sytuacjami w rodzinie. Mieliśmy różne problemy w ciągu ostatnich kilku lat. A ostatnio żyję w ciągłym napięciu, bo... Wiem, że to zabrzmi idiotycznie, ale... ciągle boję się wojny... To znaczy wybuchu nowej, wielkiej wojny w Europie.

Umilkła zawstydzona, ale żaden z nich nie uśmiechnął się pobłażliwie.

- Czy zdarzają ci się zawroty głowy i zaburzenia pola widzenia? - zapytał ponownie Olaf.

- Tak - przyznała niechętnie i znowu poczuła przygnębienie.

- Czy... czy miewasz halucynacje słuchowo-wzrokowe? To znaczy, czy czasem widzisz lub słyszysz coś, czego w istocie nie ma?

Zadrżała i usłyszała szum w uszach. Nie musiał jej wyjaśniać, czym są halucynacje. Znała to słowo. Co on sobie wyobraża? Nagle jednak zrozumiała, że nie ma sensu obrażać się ani na Olafa, ani na Leclerca. Halucynacje? To, że kiedyś słyszała Waltera i mówiła do niego, że czasem czuła jego dotyk i obecność, to nie były halucynacje. Naprawdę tak było. Czasem miała też wrażenie, że słyszy Nicole, a kiedyś, dawno, dawno temu... także płacz małej Melanie. Czasami otaczali ją dawni przyjaciele, którzy zginęli na wojnie lub po wojnie... jak René. Nie były to jednak halucynacje. Z pewnością nie.

Odpowiedziała przecząco na pytanie Olafa.

- Słyszysz szum w uszach? Drętwieją ci czasem ręce? - zapytał jeszcze.

- Czasem, bardzo rzadko. Ale przecież to nic nadzwyczajnego.

- Alice - odezwał się wtedy Leclerc. - Musi pani jak najszybciej zgłosić się do szpitala.

Nie potrzebowała już nic więcej wiedzieć. Zapragnęła jak najszybciej stąd wyjść i biec do domu. Nawet jeśli w tym domu znowu będzie Janek, Robert, może jeszcze inni. Nawet jeśli znowu będą snuć apokaliptyczne wizje przyszłości. Chciała być z nimi, z ludźmi, których kochała, którzy byli jej życiem. Życiem! Życiem.

- Dobrze, pomyślę o tym - odpowiedziała zdawkowo i podniosła się z krzesła.

- Nie ma o czym myśleć - drążył nieubłaganie Leclerc.

- Potrzebuję paru dni...

- Myśl szybko, Alicjo - dodał Olaf i patrzył na nią dokładnie tak, jak wtedy, gdy ratował ją w Zaborowie po tym, jak zażyła narkotyk od René.

Wróciła do domu, ale nie zastała tam gości. Raul zaczął wypytywać ją o diagnozę lekarską, ale odpowiedziała zdawkowo, że potrzebne będą jeszcze dalsze badania. Na razie trudno coś orzec, w każdym razie sytuacja jest opanowana. Nie ma się czym martwić. O Olafie wolała na razie nie wspominać. W nocy myślała jednak o tym, że w najbliższym czasie trzeba jednak będzie powiedzieć wszystko mężowi. Powinien znać prawdę. Tyle tylko, że... Uznała, że jeszcze trochę z tym poczeka. Najlepiej przez kilka dni nie wywoływać wilka z lasu.

Następny dzień przebiegł bardzo przyjemnie, jak z płatka. Całą gromadą wybrali się na wycieczkę do zamku Chambord, cieszyli się pięknem okolicy, urodą zamku, pogodą i własnym towarzystwem. Byli obecni i Robert z Sylwią, która wreszcie przedstawiła swojego chłopca, i Janek z żoną, i cała rodzina Renet. Szczęśliwie Ralf znowu przybył z wizytą do rodziców, a nawet wspomniał, że być może następnym razem przybędzie do Europy razem z Karolem. Był też Paweł, który za kilka dni wracał już na dobre do Polski. Taką podjął decyzję. W przeciwieństwie do rodzeństwa widział swoją przyszłość w kraju. Janek był bardzo zadowolony z takiej a nie innej postawy bratanka. Ala pomyślała, że najbardziej szczęśliwa jest jednak Barbara, że przynajmniej jedno z jej dzieci będzie blisko niej. Paweł zamierzał ułożyć swoje życie w Warszawie, niemniej odległość między Zaborowem a Warszawą była niczym w porównaniu z odległością między Zaborowem a Paryżem. Zakomunikował zresztą rodzinie i przyjaciółom, że poznał jakiś czas temu dziewczynę, urodzoną warszawiankę, i wszyscy uznali, że zapewne to był ten decydujący powód jego decyzji. Nie rozmawiali zatem podczas wycieczki do Chambord o wojnie i było niemal tak jak kiedyś. Jednak kolejny dzień postawił Renetów i Matzerów wobec zupełnie już innej rzeczywistości...

*

- Nie znam państwa, które nie robiłoby, co tylko można, aby uniknąć zaatakowania jako pierwsze, a przede wszystkim, które nie zabezpieczyłoby się odpowiednio przed wojną na dwa fronty... Oczywiście z wyjątkiem Polski - usłyszała Ala, wracając z Weroniką i Nicole ze spaceru.

- Ten znowu swoje... - Weronika, poznawszy głos męża, westchnęła.

- Uspokój się. Kontakty radziecko-niemieckie zakończą się co najwyżej podpisaniem paktu o nieagresji - odparł Robert. - To dwa suwerenne państwa i nie można im tego zabronić ani temu zapobiec.

- Marszałek by do tego nie dopuścił. Aleś ty się zrobił naiwny po tylu latach mieszkania we Francji!

- Czy coś się stało w polityce podczas naszego spaceru? - spytała drwiąco Weronika. - Czyżby w tym czasie podpisano jakiś straszliwy pakt?

- Niczego nie podpisano - Robert lekceważąco wrzucił ramionami - to raczej twój mąż wróży z fusów albo bawi się w jasnowidza.

- Nikt nie chce wojny - odezwał się Raul. - Większość żyjącej populacji pamięta jeszcze poprzednią. Tak naprawdę nawet Hitler jej nie chce. Moim zdaniem facet sprawdza, jak daleko może się posunąć w stawianiu żądań i prowokowaniu światowej opinii.

- Wiesz co, Raul? - Janek uśmiechnął się. - Dobrze sobie radzisz w biznesie i miałeś nosa w diagnozie kryzysu ekonomicznego, ale na polityce nie znasz się ani na jotę. Ten, jak się wyraziłeś, facet nie po to rozkręcił taką machinę wojenną, aby teraz jedynie sprawdzać, jak daleko może się posunąć. Ta machina kosztowała Niemcy fortunę i teraz muszą ją puścić w ruch. Inaczej zbankrutują.

- Ludzie jednak nie potrafią cieszyć się pokojem i wytrzymać długo bez wojny - mruknęła pod nosem zirytowana na męża Weronika. - Oto jak wyglądają nasze wakacje we Francji.

Ala stanęła przy stole, przy którym siedzieli mężczyźni. Widziała teraz innych mężczyzn, inny stół i inny dom. Dom jej i jej pierwszego, młodego męża. Wrócił on, wrócił Ricardo, wrócił René, Michel.

- Wieczny pokój to sen - powiedziała pomału. - Wojna jest elementem ładu Bożego. Bez wojny świat popadłby w stagnację i zaprzepaściłby się w materializmie.

Patrzyli na nią zdumieni. Raul pomału podniósł się i wyciągnął do niej rękę.

- Co ty mówisz, kochanie? - spytał.

- Nie ja - odparła zdławionym głodem. - Helmut von Moltke, który był...

- Wiemy, kim był.

Nagle zobaczyła, jak Walter wychodzi z domu, a ona już wiedziała, że mąż nie wróci, że zginie pod Chemin des Dames. Nie zobaczą się już nigdy, przynajmniej tu, na ziemi.

„Nie wsiadaj do tego pociągu” - chciała krzyknąć, ale zabrzmiało to jak błaganie wystraszonego dziecka. „Zostań ze mną... Nie wychodź...”

Ale on chyba nie słyszał, za cicho mówiła. Wokół gęstniała mgła, robiło się ciemno. Było dużo ludzi, obejmowali się, całowali. Trzeba pomóc Nicole. Została z małym dzieckiem. Nie pozwoliła o tym mówić Robertowi, ale to przecież i tak się wyda. Basia też nie pozwoliła mówić prawdy o swoim synu. Basia? Mój Boże!

- Ciociu... - Usłyszała wyraźnie i zdawało jej się, że widzi swojego bratanka, Pawła.

Chwała Bogu, wróciła jej świadomość.

- Powiedz Basi... Powiedz, że... rozumiem... że już wiem...

- Ciociu...

- W moim pokoju... jest list... Zawieź jej... - Chwyciła go kurczowo za ramię. - Zawieź...

- Dobrze, ciociu - szepnął przerażony chłopak, a pod nią w tym momencie ugięły się nogi i runęła na podłogę, zanim zdążył ją podtrzymać.

Przez następne pięć dni wydawało jej się, albo może śniło, że słyszy strzępki rozmów. W każdym razie poznawała głosy, chociaż nikogo nie widziała, nie mogła się też poruszyć, nie mogła nic powiedzieć. Nie panowała nad własnym ciałem... Nie mogła nic zrobić. A przecież czasami umysł miała jasny. Niestety, był to umysł uwięziony w zupełnie bezwładnym ciele i nie mogła nawet nikomu przekazać, że wie... że rozumie... że ich słyszy. A potem znowu zapadała w nieświadomość i chyba to już było lepsze od tej paraliżującej bezradności, od poczucia bezwładności. Boże, co się stało?

- Ona już była u spowiedzi, zapewniła mnie o tym. - Usłyszała kiedyś głos Sylwii.

A potem poczuła, że coś jej kładą na powiekach, na nogach, na rękach.

- *Per istam Sanctam unctionem et suam Piissimam misericordiam...*

„Zaraz... Jak to... Przecież to Nicole umiera... Prosiła o księdza, a ja czytałam psalmy. Co to były za psalmy? Nic już nie pamiętam, a Nicole prosiła... O Boże... Co właściwie powiedział ten ksiądz, przed którym odbyłam swoją ostatnią spowiedź? Coś, że Bóg jest Miłością, że Bóg jest blisko wszystkich, wszystkich wzywających Go szczerze. Coś, że Jego Miłosierdzie istniało, zanim powstały góry i morza, zanim On to wszystko stworzył”.

Poznała głos Sylwii, która musiała gdzieś tu siedzieć. Ależ tak, leżała obok Nicole, gdy przyszedł tamten miły ksiądz z wiatykiem. Teraz chyba Sylwia coś czytała.

- *Ty bowiem, Panie, jesteś dobry i pełen przebaczenia, pełen łaskowości dla wszystkich, którzy Cię wzywają. Wysłuchaj, Panie, modlitwę moją i zważ na głos mojej prośby! Wołam do Ciebie w dniu mego utrapienia, bo Ty mnie*

wysłuchujesz... [1]

Ponownie straciła świadomość. Zrobiło się tak cicho. A zatem tak wygląda koniec? Towarzyszy temu aż takie poczucie samotności i bezradności?

- Jak długo to potrwa, doktorze! - krzyknął Raul. - Nic nie robicie. Leży nieprzytomna piąty dzień.

- Uspokój się, Raul, to nic nie da. - Robert położył mu rękę na ramieniu.

- Kiedy ona odzyska przytomność? - spytał Raul, już spokojniej, choć zaciskał obie dłonie.

- Musi pan być przygotowany... - powiedział pomału Leclerc.

- Nie - odparł zdecydowanie Raul - ja płacę podatki, a wy ją uratujecie.

- Nawet jeśli żyje jeszcze czas jakiś, to nie wyjdzie już ze stanu, w jakim obecnie się znajduje - rzekł cicho lekarz.

- Chce pan powiedzieć, że zawsze już będzie taka jak teraz? - Raul patrzył na niego nieprzytomnie.

- Nie mogę pana oszukiwać. To był wyjątkowo paskudny udar, spowodowany prawdopodobnie dużymi zmianami chorobowymi. Żona jest całkowicie sparaliżowana i sam pan widzi, że nie ma z nią już żadnego kontaktu. Nie mówiła panu, że miała zgłosić się do szpitala?

- Nie - szepnęła, sam już niemal nieprzytomny, Raul.

- Prawdopodobnie zresztą nic by to już nie pomogło, więc przynajmniej nie musimy analizować, co by było, gdyby jednak się zgłosiła. - Lekarz zawahał się i dodał cicho: - Szczerze mówiąc, w stanie, w jakim obecnie się znajduje... Już lepiej by było, gdyby...

- Czy ona cierpi?

- Nie, ale...

- To o czym pan, do cholery, mówi! Pragnę, żeby żyła, rozumie pan... nawet taka bezradna, bez siły, nawet taka... Nie musi mówić. Wystarczy, że ja będę do niej mówił. Nawiążę z nią kontakt, zobaczycie... Będę przy niej i ona będzie o tym wiedziała. Tak było zawsze, zawsze... Jest moim światem...

Poczuł, że jego obaj synowie i córka obejmują go i odsuwają od zupełnie bezradnego doktora. Płakał jak dziecko w ramionach swoich dzieci na korytarzu szpitalnym, gdzie kręciło się tylu innych ludzi.

- Tato, spokojnie - szeptał Alan. - Chodź, musisz odpocząć, przespać się...

- Nie mogę, synu... Nie słyszałeś, co mówił ten doktor? A jeśli ona odejdzie, a mnie przy niej nie będzie?

- Napij się chociaż kawy, zjedz coś. Musisz być silny, skoro chcesz opiekować się potem mamą.

- Nie musisz wracać do domu - dodał Ralf. - Możesz zjeść tu, niedaleko, w kafejce... Ja zostanę teraz przy mamie. Nie bój się, nie będzie sama. Ona siedziała kiedyś przy mnie w tym samym szpitalu, więc teraz ja zostanę przy niej.

Raul objął syna i niemal już zgodził się na jego propozycję, ale w ostatniej chwili zrezygnował.

- Nie, dzieci... - powiedział. - Nie mogę... Przyniescie mi coś tutaj, jeśli chcecie... Ja się stąd nie ruszę. Dźwigiem mnie stąd nie wyciągną.

- Tutaj nie pozwolą nam nic wnieść - szepnęła konspiracyjnie jego siedemnastoletnia córka.

Pogłaskał ją po policzku. Boże, ależ była podobna do Alice. Tak jakby widział tamtą dziewczynę sprzed lat, której urządził samodzielne życie.

- Jesteś sprytna, córeczko. Nie wątpię, że coś wymyślisz.

- Zaraz wracamy, tato - powiedział wobec tego Ralf, a on wrócił do sali, gdzie leżała Alice.

Czuł się stary i wiedział, że tak wygląda. Przez pięć dni, od kiedy straciła przytomność, niemal nie spał, nie jadł, tylko czasem pił kawę. Nie mógł od niej odejść i personel szpitalny był wobec jego decyzji bezradny. Jeśli nadal nic nie będą robić, aby jej pomóc, a tylko kombinować, jak się go pozbyć ze szpitala, to on zabierze żonę do domu. Tam nikt nie będzie znacząco na niego patrzeć, tam będzie mógł być przy niej, ile tylko zechce. Tam Alice będzie u siebie.

- Alice... skarbie - szepnął.

Taka była ciągle młoda! Tak spokojnie leżała. Wyglądała niemal tak samo jak każdego ranka po każdej wspólnie spędzonej nocy, gdy budził ją pocałunkiem. Co dnia błogosławił tę chwilę sprzed lat, gdy zdecydował się wreszcie, po tylu nieudanych wcześniej próbach zdobycia się na odwagę... wreszcie zdecydował się i odważył dać jej do zrozumienia, ile dla niego znaczyła.

- Raul...

W pierwszej chwili myślał, że się przesłyszał, że to jego własny mózg z niego zakpił. Lecz wtedy zobaczył, że miała szeroko otwarte oczy i patrzyła na niego.

Jezu Chryste! A oni go chcieli zabrać na kawę! Nie byłoby go teraz tutaj. W takiej chwili!

A może to sen? Czasem zacierała się już mu różnica między snem a rzeczywistością.

- Alice... widzisz mnie, kochanie? Słyszysz mnie? - spytał, niepewny jeszcze, czy może mieć nadzieję, czy lepiej nie.

Widział jednak, że patrzyła przytomnie i wszystko rozumiała, tylko była oszołomiona. Nic dziwnego, po pięciu dniach komy^[2]!

Ala w pierwszej chwili pomyślała, że znowu jest w swoim dawnym domu i budzi się w jego ramionach po ich pierwszej nocy. Potem odrzuciła tę możliwość, bo zobaczyła, że Raul siedział obok niej wymizerowany, postarzały, zapłakany. A zatem obudziła się po zapaści wywołanej urodzeniem Nicole. Nie, to też nie... Wtedy było jakoś inaczej. Wtedy była obolała po urodzeniu dziecka, teraz nie czuła nic.

- Rozumiesz, co się dzieje, Alice?

Wreszcie do niej dotarło.

- Czy wojna już wybuchła? - spytała i zobaczyła, że Raul uśmiecha się z ulgą, z radością.

- Wojna? Nie, skarbie, skądże. Nadal jest piękne lato i ludzie używają życia. Kto by tam myślał o wojnie!

- Tak jak wtedy - szepnęła, a on znowu ucieszył się z jej słów.

- Pamiętasz wszystko, kochanie... A ci durnie, lekarze, mówili...

- Lekarze? - spytała zdumiona. - Co się stało?

- Miałaś jakiś paskudny atak.

Bał się użyć słowa „udar”, aby jej nie wystraszyć.

- Nie mogę się ruszyć. Nic nie czuję - szepnęła nagle przerażona.

- Miałaś atak, kochanie, i to dlatego. - Starał się mówić łagodnym, krzepiącym tonem. - Odzyskałaś przytomność po kilku dniach i najważniejsze, że możesz mówić. To bardzo dużo, bo nie mieliśmy z tobą żadnego kontaktu. Nadal nie mogę uwierzyć...

- Ja was słyszałam prawie cały czas, tylko nie mogłam nic powiedzieć -

odparła, wprawiając go w najwyższe zdumienie.

- No widzisz, Alice - prawie zawołał. Chciał krzyknąć z radości.

- Nie mogę się ruszyć. Nic nie czuję - powiedziała znowu z niepokojem.

- Do wszystkiego dojdziemy. Nie ma strachu. Dzięki Bogu, Alice... Nie męcz się teraz. Nie mów tyle. Zaraz przyjdą inni i powiem temu doktorce, żeby wrócił do szkoły i jeszcze się poduczył.

- Muszę mówić. Tylko tyle ze mnie zostało. Na nic więcej nie możesz już liczyć.

Śmiała się jak wariat. Była znowu sobą. Mówiła, myślała, rozumiała, pamiętała. Nawet żartowała. Najchętniej porwałby ją od razu w ramiona, ale to nie było możliwe. Wobec tego chciał odpowiedzieć w taki sposób, by dać jej otuchę, zapewnić raz jeszcze o swojej bezwarunkowej miłości.

- Będzie jak dawniej, Alice. Jednak nawet gdyby nie było, to pamiętaj, że to, co robiliśmy dawniej we dwoje, wystarczy mi na całą wieczność.

Patrzyła na niego i była tak przejęta, że wystraszył się, czy jego słowa paradoksalnie jej jednak nie zaszkodzą. Poruszyła ustami, ale dopiero po chwili odpowiedziała:

- Prawie nigdy ci nie mówiłam, że cię kocham.

- Zdarzyło się ze dwa, trzy razy - odparł i mrugnął do niej. - Nie byłaś wylewna w słowach. Zdecydowanie lepiej wyrażałaś się, że tak powiem, w czynach.

- Zostały tylko słowa. Jesteś najważniejszy... pamiętaj. Byłeś zawsze...

- Nie zawsze - przypomniał jej.

Nie odrywała od niego wzroku, ale nie komentowała jego odpowiedzi. Tak zastali ich Ralf, Alan i Nicole, którzy przynieśli ojcu ukradkiem kanapkę i kawę.

- Mama odzyskała przytomność i rozmawia - zawołał Raul. - Trzeba wezwać lekarza i przynieść jej coś do jedzenia.

Całą trójką skoczyli ku Ali, dotykali ją i całowali, niemal płacząc z radości.

- Ostrożnie, nie dotykajcie jej - zawołał Raul. - Mogliście nanieść tu jakichś zarazków czy Bóg wie czego jeszcze. Mama nie ma jeszcze tyle siły. Nie może się poruszać.

- Zabierzemy cię do domu, mamó - mówił wzruszony Alan. - Będziesz miała wszystko, czego zapragniesz. A teraz zamówimy ci coś specjalnego.

- Chłopcy - szepnęła chora i łzy pojawiły się w jej oczach. - Moi synowie...

- Jeśli chcesz, położymy się obok ciebie, jak wtedy, gdy wyszedłem ze szpitala - powiedział nie mniej wzruszony Ralf.

- Jeszcze czego! Nie wy będziecie się kłaść przy mojej kobiecie - zaprotestował wesoło Raul, a obaj jego synowie wybuchnęli gromkim śmiechem.

Wtedy drzwi się otworzyły i do sali wszedł Leclerc razem z Robertem. A mąż i dzieci chorej zaczęli prawie wołać jedno przez drugie:

- Obudziła się... Jest przytomna!

- Rozmawia, wszystko rozumie!

- Pamięta nas! Normalnie myśli!

Leclerc nachylił się nad Alą i uważnie ją zbadał. Sprawdził jej źrenice i ich reakcje, dotknął ręk i nóg.

- Nie może się jeszcze poruszać i mówi, że nic nie czuje, ale normalnie rozmawialiśmy. Dzieci świadkami. Nie wmówi mi pan halucynacji, doktorze - powiedział jednym tchem Raul.

Leclerc spojrział najpierw na Roberta, a potem obaj odciągnęli go w najdalszy róg pokoju.

- Panie Renet - powiedział cicho Leclerc, który z trudem wytrzymywał spojrzenie Raula.

- Słucham, doktorze.

- Jest bardzo źle. To już koniec.

Raul na chwilę oniemiał, a potem machnął lekceważąco ręką.

- Jak to źle? Nie słyszy pan, co mówię? Badał ją pan przed chwilą. A ty, Robert? Dlaczego nic nie mówisz? Kończycie te swoje zasrane uczelnie i gówno się znacie. Ona już jest przytomna, rozmawia...

- Tak czasem bywa. Tak czasem reaguje mózg i cały organizm przed zbliżającym się końcem. Taki ostatni impuls życia. Z pana żoną już od dawna było źle.

Raul cofnął się i spojrział na Roberta, ale tamten milczał i miał spuszczoną głowę.

Wobec tego, niemal zataczając się, Renet wrócił do łóżka chorej.

- Chyba znowu zasypia - powiedziała Nicole. - Na pewno się zmęczyła...

- Alice - szepnął przerażony, widząc, jak znowu odpyływa w mroki

nieświadomości.

- Spokojnie, tato. Mama tylko zasypia - powtórzył słowa siostry Alan.

Otworzyły się drzwi. Wszedł Janek z żoną i Pawłem. Zbliżyli się do łóżka Ali, lecz spostrzegwszy, że znowu śpi, cofnęli się w róg pokoju. Cicho rozmawiali tam z Robertem i doktorem Leclerkiem, a potem Janek ponownie podszedł do szwagra.

- Chodź z nami i zjedz coś. Zagłodzisz się w końcu na śmierć. Ona i tak teraz śpi.

- Ty też myślisz, że Alice już się nie obudzi? - wyszeptał Raul, nie odrywając oczu od żony.

Janek oparł obie dłonie na ramionach szwagra i na moment zacisnął zęby.

- Nie wiem, Raul, naprawdę nie wiem. Nie wiem, co bym dał, żeby wróciła. Ty chociaż z nią porozmawiałeś.

- Nie mogę wyjść, nie mogę - odparł Raul, nie zmieniając pozycji.

Siedział u wezgłowia łóżka i trzymał bezwładną dłoń Ali.

- W takim razie posiedzę z tobą, tu obok, na krześle. Nie będę wam przeszkadzał. Skoro obudziła się przy tobie raz, to może zrobi to ponownie - odparł cicho Janek.

Obudziła się po godzinie. Rozejrzała się po pokoju i wyglądało na to, że wszystkich poznaje.

Potem jej wzrok spoczął na córce, która usiadła na łóżku, u wezgłowia, ale po przeciwnej stronie niż ojciec.

- Nicole... Nicole Emily... - powiedziała cicho, ale wyraźnie, i chciała coś jeszcze dodać, ale wzruszenie uniemożliwiło jej to.

Wszyscy jednak odgadli, że wymieniła drugie imię córki, aby nie było wątpliwości, którą Nicole miała na myśli. W wysiłku, jaki sobie zadała, by im to uzmysłwić, wyrażała się jej cała miłość do tego dziecka, całe oddanie przywróconemu przed laty macierzyństwu. Nicole zrozumiała to natychmiast bezbłędnie i ucałowała czoło matki. Ala starała się wykonać jakikolwiek ruch, aby dotknąć córkę, ale było to ponad jej możliwości.

Wobec tego jej wzrok zatrzymał się na mężu.

- Kochany mój... - szepnęła. - Raul...

Też pragnęła zaznaczyć, że wie, do kogo mówi. Raul, podobnie jak córka, nachylił się i pocałował, jednak nie jej czoło, a usta. Nie był w stanie

odpowiedzieć jej inaczej. Gdy wyprostował się i odgarnął z jej czoła grzywkę, ponownie napotkał jej spojrzenie.

I wtedy zrozumiał, że coś się stało. To było spojrzenie człowieka, który jeszcze jest tu, ale zaraz będzie - tam. Jeszcze była tu, ale już odchodziła - tam.

- Walter? - szepnęła, patrząc na Raula.

Nicole gwałtownie podniosła głowę i zatrzymała wystraszony wzrok na twarzy ojca. Wszyscy obecni w pokoju jakby zastygli. Ręka Raula, głaszcząca twarz żony, znieruchomiła.

- Tak, kochanie - odparł twierdząco.

A potem objął ją, uniósł nad poduszkę i przygarnął do siebie. Dokładnie wiedział, w którym momencie opuściła swoje ciało, a mimo to nie wypuszczał jej z rąk.

Ile czasu to trwało? Dopiero Ralf odważył się podejść do niego i położyć mu dłoń na plecach.

- Tato - powiedział przez łzy - mama już chyba...

- Wiem, synu - odparł przez ściśnięte gardło, a potem patrzył wraz z rodziną, jak doktor Leclerc jeszcze raz sprawdzał wciąż otwarte źrenice Ali, puls i tak dalej. Potem, gdy doktor skinieniem głowy potwierdził jej śmierć, Raul ponownie usiadł przy żonie. Patrzył w jej otwarte szeroko oczy i coś szeptał, ale tak cicho, że nikt nic nie usłyszał i nie zrozumiał. Dopiero po dłuższej chwili zamknął jej powieki.

[1] Ps 86, 5-7.

[2] Koma - śpiączka.

Grudzień 1946 roku

Gdy czytałam ostatni list Ali skierowany do mnie i zrozumiałam, że od dawna nie czuję już do niej żalu, nie byłam jeszcze zdolna, aby przyjrzeć się mojemu życiu z boku. Dopiero potem mogłam na siebie spojrzeć tak, jakbym znajdowała się w ciele innej osoby i patrzyła na Barbarę Matzer z domu Majewicz jak ktoś obcy lub mało jej znany. Wtedy jeszcze nie potrafiłam się na to zdobyć. Czytałam list pisany ręką mojej siostry, gdy jeszcze żyła i nie myślała nawet, że to życie już wkrótce się zakończy. Chyba miała nadzieję, że jeszcze zdążymy się spotkać i sama wszystko mi wyjaśni. To mogłam wyczytać między wierszami.

Czytałam ten list i myślałam z bólem, że pewnie, gdyby nadal żyła, nie otworzyłabym koperty. Nawet gdyby Paweł, który na jej prośbę dostarczył mi go osobiście, błagał mnie o to. Od żyjącej bym nie przeczytała. Taką jeszcze miałam w sobie zawziętość. Otworzyłam i czytałam tylko dlatego, że jej już nie było. I to było najgorsze. Wtedy zaczęło do mnie docierać, jak musieli postrzegać mnie ludzie z boku, obcy i bliscy. Aż się bałam tak na siebie spojrzeć - oczami innego człowieka. Ala pisała do mnie to, o czym nie pozwoliłam jej osobiście powiedzieć, gdy był jeszcze czas.

Wtedy, na weselu mojej córki, nie chciałam dopuścić jej do głosu. Mój gniew, rozczarowanie, zazdrość, a nawet nienawiść były zbyt wielkie, bym chciała jej wysłuchać. Pragnęłam obrzucić ją wyzwiskami i zrobiłam to, przechodząc samą siebie. Ona, sprowokowana w końcu i upokorzona przeze mnie, odpowiedziała mi tak, że znowu długo nie mogłam tego zapomnieć. Nie przeklinała jednak. Prawie do samego końca nie chciała się kłócić, liczyła na pojednanie. Potem jej nerwy nie wytrzymały - mnie i mojego zachowania.

Na pogrzebie Joachima widziałam, że jest z nią źle, a fotografia na grobie Krzyckich już wtedy wydała mi się przepowiednią. Nie stać mnie jednak było na pojednanie, nawet w takich okolicznościach. Uważałam, że jeszcze mi nie przeszło, że mam na to jeszcze czas, że poza tym mi nie zależy. A potem w ogóle przestałam się tym przejmować, bo cóż mogły

znaczyć sprawy między nami w obliczu zbliżającej się wojny. Przestałam myśleć i o kobiecie, którą niegdyś uważałam za siostrę, i o moim mężu, i o innych problemach rodzinnych. Cieszyłam się jedynie, że moja córka nareszcie spodziewa się dziecka. Poza tym uwagę moją pochłonięła sytuacja polityczna i zagrożenie wojną.

Lecz gdy miałam w rękach list od nieżyjącej siostry, nawet wojna nie była już ani ważna, ani straszna. Przygniatał mnie smutek nie do opisania, że stało się coś ostatecznego i nieodwracalnego, że nic już nie mogę zrobić, niczego wyjaśnić. Patrzyłam na ławkę w ogrodzie, gdzie tyle razy rozmawialiśmy ze sobą, choć głównie to ja mówiłam. Zawsze miałam wrażenie, że to głównie ja mówię, tak jakbym bała się dopuścić Ciebie, moja Siostrzo, do głosu. Tak jakbym podświadomie bała się tego, co mogę od Ciebie usłyszeć. Patrzyłam na pola, którymi niegdyś spacerowałyśmy albo jeździłyśmy, aby nadzorować przebieg prac w majątku. Tyle razy pomagałaś mnie i mojej matce. Dlaczego tak łatwo o tym zapomniałam, gdy dowiedziałam się o Tobie i Olafie?

Tak, moja Siostrzo. Dokładnie tak, jak napisałam to ponad siedem lat temu - zrozumiałam, że brakowało mi Ciebie od wielu lat i do końca życia będzie brakować. Jak mogłam myśleć, że Weronika albo ktokolwiek inny może mi Ciebie zastąpić?! Weronika jest cudowną przyjaciółką, ale pojawiła się w moim życiu dużo później niż Ty. Nie wie o mnie tego wszystkiego, co Ty wiedziałaś. Ty i ja razem dorastałyśmy, zaczynałyśmy dorosłe życie i stawałyśmy się dojrzałymi kobietami. Razem - pomimo że tak często dzieliła nas wielka odległość i fakt, że bliżej ciebie była Nicole Perrier. Dziś nie pojmuję, jak mogłam mieć o to żal, skoro Nicole była Twoją szwagierką! Była siostrą najbliższego Ci człowieka. Chyba dlatego miałam o to żal, że zawsze widziałam w niej zagrożenie dla siebie. To już jednak zakończona sprawa.

- Raul nie chciał, aby zawiadamiać Cię o pogrzebie Ali. Upierał się, że Ty sobie tego nie życzysz, a on nie chce Cię tam widzieć - wydusił z siebie Robert, gdy rozmawialiśmy w czasie jego krótkiego pobytu w Zaborowie.

Słuchałam dosłownie przywalona przygnębieniem. Przypomniałam sobie wtedy, o co chodziło mężowi Ali. Robert jednak najwidoczniej nie wiedział, bo starał się nieporadnie usprawiedliwić szwagra.

- Był dosłownie otepiaty z rozpacz, nic do niego nie docierało. W końcu

daliśmy mu spokój, tym bardziej że jego dzieci poparły go i stanęły po jego stronie. Musisz mu wybaczyć. Świat mu się zawalił.

- Oczywiście, że rozumiem - odparłam automatycznie i dławił mnie tak koszmarny ból, że nie mogę go opisać.

Jak mogłabym gniewać się na Raula Reneta? Przypomniałam sobie moje ostatnie w życiu słowa skierowane do Ali. On też je pamiętał. To jednak oznaczało, że droga do rodzinnego pojednania będzie daleka i trudna. Jednak - muszę ją podjąć. Ala tego gorąco pragnęła, napisała o tym zresztą w ostatnim liście. Tyle że przez mój upór nie zdążyłyśmy już tego zrobić. Mój upór, zły los, podstępna choroba i śmierć - wszystko naraz. Mogę jednak spróbować pogodzić się z Raulem i jego dziećmi. Raul przecież o wszystkim wiedział. Jeśli pojednam się z nimi, to trochę tak, jakbym pogodziła się z moją siostrą.

Wtedy myślałam, że potrzeba na to czasu. Że muszę trochę poczekać. Dać Raulowi szansę na uporanie się z żałobą. Że nie będzie chciał mnie widzieć. Ani u siebie w domu, ani w moim domu, ani przy jej grobie. Chciałam dać mu czas, bo czas leczy rany, a potem wyciągnąć do niego rękę. Potem - myślałam - wyjaśnię mu, powiem, że go rozumiem. Tak jak ona - gdy napisała do mnie. Jeszcze trochę poczekam. Tak rozważałam, gdy w drugiej połowie sierpnia 1939 roku rozmyślałam o tym. Jednak - znowu zły los, przeznaczenie - zdecydowały inaczej. Z Raulem Renetem spotkam się dopiero jutro, dopiero po siedmiu latach od śmierci Ali... w dodatku na drugiej półkuli Ziemi.

Wtedy, w sierpniu, porozmawiałam jedynie z Robertem. Porozmawiałam z nim wreszcie tak, jak należało, szczerze i od serca, po raz pierwszy od siedemnastu lat. Nasze listy w międzyczasie i to spotkanie na ślubie Urszulki były jedynie czystą kurtuazją lub suchą wymianą niezbędnych informacji. A rozmowa w sierpniu 1939 roku, na dwa tygodnie przed wybuchem wojny, była nareszcie czymś prawdziwym. Rozmawialiśmy w naszym zaborowskim parku, w tej samej alejce, gdzie kiedyś poprosił mnie o rękę. Od razu wtedy o tym pomyślałam i on chyba też, ale nie wspominaliśmy tego. Nie było już takiej potrzeby. Od jakiegoś czasu wiem przecież to, o czym Robert wiedział już dawno temu - że to była pomyłka, impuls, jego szlachetny odruch w dobrej wierze, za który jednak zapłaciliśmy całym naszym dalszym życiem. Tak samo jak wszystkie nasze dzieci, w tym

mój syn i jego córka.

Rozmawialiśmy więc o Ali, o jej osieroconej rodzinie i o naszej rodzinie. Odczarowaliśmy w ten sposób nasze rozstanie w Warszawie i tamtą potworną awanturę z 1921 roku. Bogu niech będą dzięki za to, że chociaż tę rozmowę dane mi było przeprowadzić. Teraz już wiem, że zawsze, ilekroć będę wspominać Roberta, pomyślę o tych chwilach, gdy chcieliśmy, aby było między nami dobrze, i o naszej ostatniej rozmowie. Tak cieszyliśmy się, czekając na naszego pierwszego wnuka i na spodziewany w bliżej nieokreślonym jeszcze czasie, ale jednak oczekiwany ślub Pawła. Nie wiedzieliśmy wtedy, że widzieliśmy się po raz ostatni. Robert został zabity w czasie bombardowania w 1944 roku, gdy jako lekarz frontowy przebywał w okolicach Falaise i pracował w szpitalu wojskowym.

Paweł został w Polsce i tego do dziś nie mogę sobie darować, choć może takie było przeznaczenie. Początkowo bałam się, że jego decyzja o powrocie do kraju była podyktowana troską o mnie, abym nie została sama z moją starą mamą. Paweł był zawsze taki wrażliwy, dobry, delikatny, inny niż jego rodzeństwo. Tamci dwoje, jeśli coś w swojej sprawie postanowili, to nie oglądali się na nic i na nikogo. Paweł zawsze najpierw myślał o innych. Powiedział mi też o tych słowach Ali skierowanych do mnie, zanim straciła przytomność. Nie chciałam, aby poświęcał się dla mnie. Oprócz matki miałam przecież w Zaborowie i okolicach ludzi bliskich mi, wśród których wyrosłam. W Warszawie mieszkał Janek z żoną. Nie byłam więc taka samotna, jak by się to mogło wydawać. Przekonał mnie dopiero wtedy, gdy wyznał, że poznał w stolicy dziewczynę i zamierza związać z nią swoje życie. A jednak teraz serce mnie boli, gdy pomyślę o jego decyzji. Choć może to było przeznaczenie...

Grudzień 1946 roku

Spotkali się w nowojorskim Central Parku i od razu rozpoznali. Od ślubu i wesela jej córki zobaczyli się po raz pierwszy. Od tego czasu minęło dwanaście lat, ale pojęcie czasu może być czymś względnym. W ich wypadku były to całe wieki. W tym czasie świat po raz kolejny pogrążył się w kataklizmie wojny, a przecież oni oboje byli świadkami jeszcze wcześniejszej wojennej katastrofy. Ich życie przewróciło się do góry nogami, tracili najbliższych, musieli oderwać się od korzeni, z którymi, im byli starsi, tym bardziej czuli się związani, zrośnięci. Los rzucił ich aż za ocean. Czy wszystko to mogło wreszcie przynieść pojednanie?

Barbara bała się bardziej od niego, bo też i miała większe powody. Odkąd znalazła się u syna, w Nowym Jorku, wiedziała, że w tym samym mieście przebywa od kilku lat Raul Renet. Mimo to wciąż odwlekała decyzję o podjęciu próby spotkania. Wciąż nie była pewna, czy to dobry moment. Minęło siedem lat od śmierci Ali. Czy dla jej męża to wystarczająco długi czas, aby zapomnieć?

W końcu nie mogła dłużej czekać. Wiadomość przekazał jej syn Karol.

- Wujek Raul i Nicole wracają do Paryża. Alan oczekuje ich już na miejscu. Kupił mieszkanie na prośbę ojca. Podobno mają załatwione bilety na koniec grudnia. Jeśli chcesz spotkać się z wujem, powinnaś się pospieszyć.

Wahała się jeszcze kilka dni, ale w końcu Karol wcisnął jej słuchawkę do ręki.

- Zrób to wreszcie, mamó. Inaczej będziesz się tym zadrećcać przez całe życie.

- Może lepiej zrobię, gdy spotkam się z nim w Paryżu? - Barbara nie czuła się komfortowo.

- W najbliższym czasie wybij sobie z głowy Paryż. Dopiero co znalazłaś się w Nowym Jorku. Nie masz czego szukać w Paryżu. Nie chciałaś przecież mieszkać razem z Urszulą i Jeanem Paulem. Pojedziesz do Paryża po to tylko, aby spotkać się z Raulem? A co potem?

Wolała nie mówić, że już tęskni za swoim krajem i najchętniej wróciłaby tam, nawet gdyby miała żyć w tej komunistycznej nędzy. Karol nie chciał nawet słyszeć, aby jego matka wracała do „tego piekła”. Z takim trudem przy pomocy siostry wyciągnął ją stamtąd zaledwie kilka miesięcy temu.

W końcu przyjęła do wiadomości jego argumenty i drżącą ręką wykręciła numer telefonu podany jej przez Karola. Odebrała młoda dziewczyna. Na pewno Nicole. Córka Raula... Córka Ali.

Barbara zmienionym ze zdenerwowania głosem przedstawiła się i poprosiła do telefonu Raula.

- Ojciec nie czuje się najlepiej i teraz odpoczywa. - Głos dziewczyny zabrzmiał lodowato.

- Czy zechciałabyś powtórzyć mu moją prośbę? - spytała nieśmiało Barbara.

Chwila bardzo nieprzyjaznego milczenia.

- To nie jest dobry pomysł, proszę pani - odparła po pewnym czasie Nicole.

„Proszę pani? Nie nazywasz mnie już nawet ciotką?” - pomyślała przygnębiona Barbara, ale wiedziała, że to jej wina. Zawsze, dopóki żyła Ala, Barbara przecież ignorowała jej córkę. A potem nie miała okazji, aby to zmienić. Zebrała się jednak na odwagę.

- Mimo to proszę powtórzyć ojcu, że dzwoniłam i proszę o spotkanie. To bardzo ważne dla mnie i... myślę, że także dla niego.

- Bardzo wątpię. - Dziewczyna najwyraźniej chciała ją zniechęcić, ale w końcu dodała: - Zrobię to, bo nie mam zwyczaju niczego przed nim ukrywać. Proszę jednak na nic nadzwyczajnego nie liczyć.

Zanim Barbara zdążyła podziękować, usłyszała odgłos odkładanej słuchawki. Mimo to miała nadzieję, że Raul odpowie na jej prośbę.

Nie zawiodła się. Zadzwoił do niej i zaproponował spotkanie w Central Parku.

- Wprawdzie to grudzień i aura może nie sprzyja spacerom pod gołym niebem, ale myślę, że lepiej nam tam będzie niż w zatłoczonej knajpie pełnej hałaśliwych Amerykanów.

Pomyślała, że i on nie najlepiej się tu czuje i tęskni za Europą. Wprawdzie kiedyś spędził spory kawał czasu w Stanach, ale wtedy też przecież zapragnął wrócić. Być może głównie do Ali...

Spotkali się więc w tym miejscu, do którego potrafiła trafić bez problemu. Czy wiedział o tym i był to dodatkowy powód, dla którego zaproponował „spacer pod gołym niebem”?

Nie zmienił się tak bardzo. Nadal był wysokim, postawnym, przystojnym mężczyzną. Posiwał, ale to podobno stało się już podczas krótkiej choroby jego żony. Wyglądał dobrze, nadal mógł podobać się kobietom. A ona, Barbara, jak wyglądała? Wolała tego na razie nie analizować.

- Słyszałam, że wracasz z córką do Paryża - zaczęła nieśmiało, gdy tylko się przywitani.

Była przygotowana na krótką, zdawkową odpowiedź, ale Raul uśmiechnął się niemal tak samo, jak kiedyś. To był znowu ten sam mężczyzna, którego zapamiętała. Jakby czas się cofnął! Gdyby tak mogło być naprawdę!

- Jestem widać jak Napoleon, który pragnął spocząć w tym kraju i wśród tego ludu, który tak ukochał.

- Mądry człowiek - zauważyła, odpowiadając uśmiechem na jego uśmiech.

- Mój idol. Nie byłem w szkole orłem w dziedzinie historii, ale na jego temat przeczytałem niemal wszystko. To był facet z wizją, z szerokimi horyzontami i wychodził poza swoje czasy. Patrzył w przyszłość. Taki też był młody Otton Trzeci, niemiecki cesarz wczesnego średniowiecza, twórca genialnej koncepcji Europy.

- I ty mówisz, że nie nauczyłeś się historii? - zapytała zafascynowana, a równocześnie zaintrygowana faktem, że dopiero teraz tak naprawdę poznaje męża Alicji. Wcześniej nie uczyniła tego z własnej woli. Nawet na ich ślub nie chciała przyjechać.

- Dopiero po skończeniu szkoły trafiłem na znakomitą nauczycielkę - odparł Raul i wtedy w jego oczach pojawiło się wzruszenie.

- Wiem, Raul, wiem. Ja właśnie dlatego...

- Chciałaś porozmawiać o Alice? - spytał.

Skinęła głową i wtedy lzy popłynęły jej po policzkach. Bała się, czy da radę to wszystko wyrazić. Znała francuski w stopniu komunikatywnym, ale przecież on był rodowitym Francuzem. Czy dadzą radę się porozumieć? I to nie tylko ze względu na ewentualną barierę językową.

- Przepraszam za tamto... Przepraszam za wszystko... - wyrzuciła z siebie ze szlochem.

Nie chciała przy nim płakać i w ten sposób go przejednywać, ale stało się.

- Nie płacz - usłyszała jego łagodny głos - przeprosiny przyjęte.

Nie wierzyła własnym uszom, nie wiedziała, co teraz powiedzieć albo zrobić, więc sięgnęła do torebki po chustkę. Była przygotowana na dłuższe wyjaśnienia, perswazje, a nawet awanturę.

- Z tego, co wiem, Alice również miała coś na sumieniu wobec ciebie - zauważył pogodnie i niemal się roześmiał.

Ona także miała ochotę śmiać się z goryczą, że poróżniła ją z Alą sprawa tak błaha w porównaniu z tym, co wydarzyło się później, choćby w przeciągu ostatnich siedmiu lat.

- Nie chciałem cię widzieć na jej pogrzebie - odezwał się znowu Raul, ale już ze smutkiem.

- Wcale się nie dziwię - odparła i poczuła ulgę, że ma to za sobą.

- Wiem, że straciłaś wszystko - podjął rozmowę, gdy ruszyli powolnym krokiem wzdłuż jednej z alejek.

Było dość chłodno i nie spotykali wielu spacerowiczów.

- O śmierci Roberta wiesz już na pewno - odparła. - Nie byliśmy już jednak razem. Trudno mi nawet powiedzieć, że owdowiałam, choć formalnie nigdy nie rozwiedliśmy się. Mimo to... był dla mnie kimś bardzo bliskim... nawet wtedy, gdy tego nie chciał. Nawet wtedy, gdy nazywałam go przy innych ludziach i jego własnych dzieciach łajdakiem.

- Wiem jednak, że wyjaśniliście to sobie.

- Tak. Wtedy, gdy przyjechał do Zaborowa po śmierci Ali. Przez kilka dni rozmawialiśmy niemal na okrągło. Przez cały okres naszego małżeństwa tyle sobie nie powiedzieliśmy, co wtedy, na dwa tygodnie przed wybuchem wojny.

- To dobrze, Barbaro. Trzeba rozmawiać. Połowy łez nie byłoby na tym świecie, gdyby ludzie normalnie do siebie mówili.

- Wiesz także o moim młodszym synu, Pawle? - szepnęła po chwili.

- Mój syn Ralf także stracił życie. Mieszkał od kilku lat w Stanach i jako amerykański żołnierz brał udział w desancie w Normandii. Zginął od razu, pierwszego dnia, w czerwcu czterdziestego czwartego roku.

- Wiem, Raul...

- Ja także podczas poprzedniej wojny wróciłem do Europy w amerykańskim mundurze. Jednak przeżyłem... A mój syn... nie...

Dotknęła jego ręki, aby dodać mu otuchy i chociaż na chwilę odwrócić od smutnych wspomnień o synu.

- Wtedy, w osiemnastym roku wróciłeś do Alice? - spytała miękko.

- Tego nie wiedziałem. Nie wiedziałem, że została sama...

Ją też zabolaty wspomnienia z tamtej pierwszej wojny, chociaż z zupełnie innego powodu. Nagle zapragnęła wrócić do wydarzeń z ostatnich lat.

- Paweł zginął w powstaniu, na Starym Mieście, także od razu w pierwszych dniach - rzekła jakimś chropowatym, nieswoim głosem. - Jego żonę Niemcy zamordowali na Woli razem z tysiącami innych mieszkańców. Ja w tym czasie pielęgnowałam w Zaborowie moją umierającą matkę. A na koniec przyszły radzieckie czołgi i przywiozły nam władzę ludową, a ja, za sprawą jednego dekretu, straciłam Zaborów. Komuniści zabrali nam wszystko: ziemię, łąki, las, ogród, park i pałac. Dobrze, że moja matka tego nie doczekała. Poświęciła życie temu majątkowi. Stworzyła dom dla nas i dla innych pracujących tam ludzi. Zaborów przetrwał i front wschodni w poprzedniej wojnie, i żołnierzy rosyjskich, i austriackich. Przetrwał też czasy wielkiego kryzysu. Nie przetrwał prymitywnej bandy kilkunastu komisarzy czy też innej hołoty komunistycznej, która przyszła z dekretem i wyrzuciła nas wszystkich z torbami na zewnątrz.

Opowiadała o tym już i córce w Paryżu, i synowi w Nowym Jorku, i innym, których spotkała tam i tu. Była pewna, że Raul o wszystkim słyszał. A jednak mówienie o tym jeszcze raz właśnie jemu sprawiało jej ulgę. Tak jakby teraz opowiadała o tym Ali. To też zawsze przynosiło jej ulgę.

- Nasza służba była już w czasie okupacji mocno przerzedzona. Potem każdy, kto jeszcze uchował się przy życiu, udał się w inną stronę. Ja przez kilka dni tłukłam się do Warszawy lub raczej do tej kupy gruzów, jaka z niej została. Odnalazłam Janka i Weronikę, ale mieszkanie nie istniało. Wszystko odbudowywaliśmy własnymi rękami. I po co? Mówiono, że jeden okupant zastąpił drugiego. Janek tak mówił i był z takimi, co tak mówili... że hańbą było wchodzenie w układy z Rosjanami i współdziałanie z nimi przeciwko Niemcom. Hańbą było traktowanie Rosjan jako sojuszników, naszych sojuszników. Nasi sojusznicy!

- Pamiętam, co Janek mówił przed wojną w naszym domu - odezwał się w zamyśleniu Raul.

- No i tak to się skończyło. Moje dzieci wyciągnęły mnie z Polski. Oboje mówili, że nie ma tam nic dla mnie. Ani majątku, ani pracy, ani nic. Jak udało im się tego dokonać, że wyjechałam? Nie wiem. Widocznie było to jeszcze możliwe na początku tego roku. Potem Jean Paul zaczął załatwiać wyjazd Jankowi i Weronice. W pomoc włączył się także... brat Weroniki. Nie bardzo chcieli oboje opuszczać Polskę. Zwłaszcza Janek uważał, że ktoś musi tam zostać, ale dał się w końcu przekonać. Myślę, że był już obserwowany. Aresztowali go w maju, a zaraz potem jego żonę. Nie zdążyli wyjechać.

- Nadal nie wiadomo, co z nimi?

- Nic pewnego, oprócz tego, że żyją. Teraz niewiele już można zrobić w ich sprawie.

- Byli w coś konkretnego zaangażowani? Są jakieś zarzuty?

- Nie wiem. Naprawdę nie trzeba być wielkim działaczem antykomunistycznym, aby siedzieć w komunistycznym więzieniu. Janek był zaangażowany przed wojną i w czasie wojny w konspiracji. A po wojnie? Nie wiem.

Chciał ją pocieszyć, powiedzieć, że z jej przyjacielem wszystko będzie dobrze, że wszystko się wyjaśni, ale przecież nie wiedział. Nie wiedział, tak samo jak ona. Nie chciał znowu być tak naiwny jak siedem lat temu, gdy Janek słusznie wyrzucał mu jego ignorancję.

- Sama widzisz, Barbaro, że nie miałyby sensu, gdybym nadal był obrażony o to, co powiedziałaś mojej żonie w dawnych, szczęśliwych czasach. Nawet to, że przespałyście się jako młode dziewczyny z tym samym facetem, w tym samym domu i tego samego lata, nie ma już teraz żadnego znaczenia. To wręcz brzmi jak słodka sielanka.

Zatrzymała się zdumiona i nie potrafiła się nie roześmiać. A przecież jeszcze siedem, osiem lat temu za takie słowa była gotowa wydrapać oczy.

- Nie dziwię się, że Ala była tak szczęśliwa przy tobie - zawołała i znowu pożałowała tych lat, gdy nie chciała mieć z nimi nic wspólnego.

- Byliśmy szczęśliwi - przyznał Raul. - Ja byłem w siódmym niebie. Była cudowną kobietą, niezastąpioną. Bez niej już nic nie było tak, jak trzeba.

Znowu miał w oczach ten osobliwy blask, a Barbara znowu zapragnęła

go pocieszyć.

- Czasem myślę - zaczęła z wahaniem - że to może dobrze, że nie musiała patrzeć na tę wojnę, na śmierć tylu bliskich jej ludzi i zagładę tylu nieznanym. Wiesz, jak cierpiała po śmierci Waltera. Ta wojna to byłoby zbyt wiele dla niej. A Ralfa kochała jak rodzzonego syna. Nie gniewasz się, że to mówię?

- Po jej śmierci Ralf wyciągnął nas do Stanów. Ze mną było źle. Dzieci uznały, że potrzebuję jakiejś odmiany. W Polsce już wtedy była wojna. Podczas naszego pobytu w Nowym Jorku Niemcy zaatakowali Europę Zachodnią, więc już nie wracaliśmy. Potem moi chłopcy wstąpili do armii i wyruszyli do Europy, ale po to, by walczyć na utworzonym drugim froncie. Alan już zapragnął później zostać we Francji. Ralf...

Przerwał i objąwszy ją po bratersku ramieniem, skierował w przeciwną stronę.

- Teraz wracam tam razem z Nicole. Do mojej Alice i do Ralfa. Już dość się naczekali. Alan ma tam pracę, jakoś urządzimy Nicole.

- A ty? - spytała, czując żal, że tak późno go poznała i tak szybko traci, pomimo że mogliby zostać przyjaciółmi.

- A ja? - powtórzył i po chwili dodał pogodnie: - Dobrze mi się z tobą rozmawia, Barbaro. Od razu, gdy cię poznałem w czasie naszej wspólnej wycieczki do Wersalu, wiele lat temu, wiedziałem, że masz pazury i poradzisz sobie z tym facetem. Bałem się wtedy raczej o Alice. A on mi się nie podobał od początku. Naprawdę, taka atrakcyjna babka jak ty mogła być przez tyle lat wściekła z powodu kogoś takiego jak on?

Była wzruszona, przejęta, szczęśliwa. Wreszcie, po tylu latach, usłyszała, że jako kobieta była jednak coś warta. I powiedział to tak wspaniały facet jak Raul Renet.

- Chodź, Barbaro. Zapraszam cię na kieliszek czegoś naprawdę dobrego. Tam dokończymy rozmowę. Tam powiem ci, co dalej ze mną. I omówimy strategię rodzinną.

Paryż, rok 1956

- Mamo... - Urszula zaniepokojona dotknęła jej ramienia i to obudziło ją z zamyślenia.

- Wtedy, w tej knajpce, do której w końcu z powodu zimna weszliśmy, powiedział mi o swojej nieuleczalnej chorobie. Ty i twój brat jeszcze o tym nie wiedzieliście. Nie chciał was martwić. Wracał do Francji, aby zakończyć w niej życie.

- Żył jeszcze prawie trzy lata - szepnęła Nicole, patrząc na grób z wrytym na nim imieniem i nazwiskiem ojca. - Do końca żył najaktywniej, jak potrafił. Doczekał dwójki wnuków, zarówno ode mnie, jak i od Alana. Był takim wesołym, zachłannym na życie człowiekiem. Kompletnie załamane go widziałam go tylko raz, po śmierci mamy. Wciąż mi go brakuje.

- Dobrze, że macie tu siebie - odparła ciepło Barbara, patrząc na trzy towarzyszące jej kobiety: jej córkę, córkę Ali i córkę Nicole Perrier.

Namówiła je na wyprawę na cmentarz po tym, jak spędziły kilka godzin, raz jeszcze rozmawiając o listach, które ona i Raul polecieli im przeczytać. Po to spotkała się z tymi kobietami, które w jej oczach były wciąż młodymi dziewczynkami. Chciała opowiedzieć im o tym, czego wiedzieć wcześniej nie mogły lub nie chciały. Chciała zobaczyć je razem, tak jak pragnął tego jej ojczym, matka, jej mąż, Ala i Raul.

Jej samej też już wkrótce tu nie będzie. Wraca do swojego kraju. Nie potrafi już dłużej tęsknić. Syn, córka i wnuki nie potrafili tego zrozumieć. Sądzili, że przez dziesięć lat pobytu w Ameryce i po kilku miesiącach w Paryżu przyzwyczała się już do życia na Zachodzie. Przed wielu laty, jako młoda, zakochana dziewczyna, pragnęła żyć właśnie tutaj, i tak niewiele brakowało, a założyłaby tu dawno temu rodzinę. Teraz pragnęła wrócić do kraju noszącego na sobie wciąż zniszczenia wojenne i siermiężną rzeczywistość komunizmu.

Wiedziała, co tam zastanie. Ludzi jej pokolenia raczej trudno oszukać i omamić. A jednak - to był jej kraj, jej przeszłość i przyszłość, zapewne już niedługo trwająca. Tam pragnęła dożyć swoich dni i tam pragnęła zostać

pochowana. W swoim kraju, na swojej ziemi. Myśl o śmierci wcale jej nie przerażała. Młodzi jednak nie lubią o tym mówić. Porozmawia więc o tym z ludźmi, z którymi łączą ją te najstarsze wspólne wspomnienia, którzy tak jak ona nie boją się rozmów o tym, co ostateczne.

Z dziewczętami odwiedziła cmentarz, bo tu spoczywają jej i ich najbliżsi. Tu jest miejsce spotkania przeszłości z teraźniejszością, miejsce wspomnień, rozliczeń i ostatecznego pojednania.

Pożegnały Raula i stanęły przy pomniku Nicole. Grób Roberta znajdował się tuż obok. W jednym nie mogli przecież spocząć. Barbara przeżegnała się i ponownie zastęła w zadumie.

Tym razem Urszula nie przerywała jej, nie poganiała. Stała zamyślona obok, podobnie jak jej przyrodnia siostra. Czasy, gdy tak nienawidziła Sylwii i jej matki, należały do tak odległej przeszłości, że prawie w nią już nie wierzyła.

- Dziękuję jeszcze raz, że pozwoliła pani go pochować właśnie w tym miejscu - rzekła cicho Sylwia i dotknęła dłoni Barbary - że nie kazała go pani potem stąd zabrać.

- Wtedy już nie miałam wątpliwości, że jego miejsce było zawsze przy niej - odparła Barbara i uściśnęła podaną jej dłoń.

Nie było już nic do dodania, więc poszły parę kroków dalej. Tam znajdował się wspólny grób Melanie i Waltera, a blisko niemal przytulał się do tamtego pomnik nagrobny Ali.

- Długo nie mogłam zrozumieć, dlaczego mój ojciec zgodził się wtedy na to - odezwała się Nicole. - Nie chciałam słuchać jego argumentów, że taka była jej wola, wyrażona dawno temu, jeszcze zanim sprowadzono tu ciało jej pierwszego męża. Ojciec przekonywał mnie, że mama nigdy tego życzenia nie zmieniła, że przychodziła tu zawsze tak często, jak mogła. Krzyczałam, że przecież później była już jego żoną. „Tak, Nicole - odpowiedział mi wtedy - miałem ją żywą i taka wciąż jest we mnie. W grobie zostało tylko jej piękne ciało. Całą resztę zatrzymałem, dzieląc się jedynie z Panem Bogiem. Wystarczy mi, że będę kiedyś spoczywał na tym samym cmentarzu, co ona. To nie musi być wspólny grób. Najważniejsze, że przez osiemnaście lat mieliśmy wspólne łóżko, tych wspomnień nikt mi nie odbierze”. Dodał też, że dopiero po jej odejściu zrozumiał, co czuła po śmierci Waltera Salangera. Sam często do niej mówił i twierdził, że czasem ją słyszał i czuł jej dotyk.

Tak jak ona po śmierci tamtego. Dlatego tak zależało ojcu, abym przeczytała listy Waltera do niej, abym wreszcie zrozumiała. Przekonał mnie do tego dopiero po waszym spotkaniu w Central Parku. I rzeczywiście wtedy rozumiałam.

- Niestety zbyt rzadko patrzyłam na małżeństwo twoich rodziców - powiedziała z westchnieniem Barbara. - Długo nie chciałam nic o tobie wiedzieć, czego nigdy nie odżałuję. Pamiętam za to dobrze Alę, Waltera i małą Melanie. Nigdy ich nie zapomnę.

„Wracam, droga siostrzo, do mojego i twojego kraju. Dowiedziałam się, że Janek wyszedł z więzienia na mocy amnestii. Jego żonę wypuścili trzy lata temu, ale on dostał wyrok wielu lat więzienia. Jednak władza komunistyczna zdobyła się ostatnio na pewien cieplejszy gest. Karol myśli, że jestem naiwna, skoro wierzę w dobrą wolę komunistów i dlatego chcę wracać. Wyjaśniłam mu, że nie wierzę im ani na jotę. Ostatnio zapalił im się trochę grunt pod nogami i chcą przetasować własne szeregi. Jak mogłabym uwierzyć w ich jakąkolwiek dobrą wolę?! Myślę nawet, że pod wieloma względami będzie gorzej, niż było. Stalinizm i terror wyzwał w jednych siłę oporu i kontynuowania wojennego bohaterstwa, a w innych wywoływał dławiący lęk, ale generalnie wszyscy pojmowali go jako coś obmierzłego, wrogiego i nieludzkiego, czyli coś, czym komunizm jest w istocie. Ten nowy komunizm, który nazywają socjalizmem z ludzką twarzą, jest w rzeczywistości czymś bardziej niebezpiecznym. Wsącza się w umysł i sprawia, że ludzie mogą uwierzyć w to kłamstwo. Sprawia, że ludzie się przystosowują, przyzwyczajają i złamią. Ale nie ja. I nie wracam tam dlatego, że wierzę, że lepiej będzie mi się żyło w moim kraju. Nie wierzę. Wracam jednak do tamtej przyrody, krajobrazów, piękna i wspomnień. Popatrzę jeszcze raz na Zaborów, choć wiem, że już go nie odzyskam i że pewnie ulega on coraz większej dewastacji. Wracam do Janka i Weroniki. Odkąd wysłuchałam w radiu wstrząsających rewelacji Józefa Światły o traktowaniu więźniów, o sposobie prowadzenia śledztwa i przesłuchań w polskich aresztach i więzieniach, myślę tylko o moim drogim przyjacielu, jego żonie i innych ludziach, których znałam i nie znałam, a którzy przeszli przez to piekło. Chcę znaleźć się blisko nich, żywych i zmarłych, w moim kraju. Porozmawiam z nimi od serca, tak jak z nikim tutaj nie mogłabym tego zrobić. Tu już powiedziałam wszystko, co trzeba. Miałam okazję

pomówić z twoim mężem kilka lat temu, ale we Francji nie zastałam go już przy życiu. Zdążyłam nawet porozmawiać z Olafem Lityńskim, kilka miesięcy temu. Wiesz już o tym zapewne, moja siostró. A my obie?”

Przyklękła przy grobie i dotknęła zimniej płyty z imieniem i nazwiskiem Ali.

„Dobrze, kochana siostró, że nie ma tu żadnej twojej fotografii. Wciąż pamiętam tamtą na Powązkach. Mam inne twoje fotografie. Mam cię wrytą w sercu. Myślę tak jak Raul. Jesteś we mnie żywa. Mogę do ciebie mówić równie dobrze w moim kraju, jak i tutaj. Na razie i tak mi nie odpowiadasz, jeszcze nie mogę cię usłyszeć... To jednak nic, bo już od dawna czuję spokój, gdy o tobie myślę. Żadnych gwałtownych, męczących emocji, żadnej rozpacz, jak dawniej. Jedynie spokój. I miłość. Spotkamy się przecież w końcu i myślę, że całkiem niedługo. Znajdę cię tam, gdzie będziemy obie. Może zresztą będziesz już na mnie czekała i wyjdiesz mi na spotkanie. Wtedy nareszcie poznam również z tobą. Wówczas pozwolę ci mówić wszystko, co zechcesz i jak długo zechcesz. Nie będzie już żadnych szeptów i żadnych tajemnic. Nareszcie będziemy miały czas, którego zawsze nam dla siebie brakowało. Będziemy miały tyle czasu, ile tylko zapagniemy. Całą wieczność”.

Szepty i tajemnice, Tom II

Wydanie pierwsze, ISBN 978-83-7942-947-9

© Agnieszka Janiszewska i Novae Res s.c. 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Wioletta Cyrulik

KOREKTA: Paulina Zyszczak

OKŁADKA: Wiola Pierzgalska

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

NOVAE RES - WYDAWNICTWO INNOWACYJNE

al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.



PPNT Gdynia